



Nowa Era



redakcja: **WUJO PRZEM**
(2017)

1.

Ucieczka

- Admirale, mamy czwartą i nadal przyspieszamy.
- To przyspieszenie jest niczym w porównaniu z prędkością, którą osiągniemy po włączeniu akceleratora plazmy.
- Myśli pan, że przekroczymy prędkość światła?
- Ja nie myślę, ja wiem.
- Niepokoi mnie, że Ziemia nie odpowiada od dwudziestu ośmiu godzin. To nie jest normalne.
- Mnie też to martwi, ale nie będziemy wracać.
- Admirale, mam przekaz z Ziemi – krzyknęła Tania.
- Daj go na głośniki.

„Uwaga! Uwaga! Do wszystkich statków ziemskich w kosmosie. Dwadzieścia osiem godzin temu nasza planeta została zaatakowana przez obcych z kosmosu. Po krótkiej, nierównej walce nasze siły kosmiczne oraz lądowe zostały całkowicie rozbite i zniszczone. Zagładzie uległo kilkadziesiąt największych miast. Są miliony ofiar. Zniszczono kilkadziesiąt elektrowni atomowych, a promieniowanie skaziło setki tysięcy kilometrów kwadratowych. Trzy godziny temu wróg natarł ponownie, a jego atak był jeszcze silniejszy. Zniszczono wszystkie elektrownie atomowe i większość elektrowni wodnych. Bez dostaw energii niemożliwa jest jakakolwiek akcja ratownicza. Promieniowanie ze zniszczonych elektrowni w ciągu kilku dni zabije wszystko, co żyje na naszej planecie. A wam rozkazuję: «Nie wracajcie!» Nam już nic nie pomoże. Jak znajdziecie planetę, na której możliwe jest życie, zostańcie tam”.

- To koniec przekazu – powiedziała Tania.
- Na mostku panowała cisza. Wszyscy skierowali wzrok na admirała.
- Dajcie teleskop z Ziemią na główny ekran – powiedział dowódca. – Gdzie jest Ziemia? – zapytał.
 - Tutaj. – Tania wskazała mały punkcik na mapie nieba.
 - Dajcie maksymalne zbliżenie.
- Powiększono obraz i ukazała się Ziemia wielkości główki od szpilki, z ledwie widocznym Księżycem obok.
- Nagle wszystkich obserwujących poraziło światło eksplozji, które błysnęło w miejscu, gdzie była Ziemia.
- Admirale, tam gdzie znajdowała się Ziemia, teleskop pokazuje deszcz meteorytów.
 - Wyłącz ekran. Przyspieszyć maksymalnie. Wszyscy do swoich zajęć.
- Wielu członków załogi chciało wracać, walczyć i zginąć, ale krótki rozkaz admirała: „W drogę” rozwiął wszelkie wątpliwości co do kierunku lotu. Chwilę później usłyszeli ciche słowa

dowódcy:

– Tam już nic nie ma.

Członkowie załogi, na którą składali się przeważnie naukowcy specjalizujący się w różnych dziedzinach i niemający szczegółowo zorganizowanego dnia, grupami lub pojedynczo przemierzali długie korytarze statku i snując się po kątach, rozmyślali o bliskich, których stracili na

Ziemi, i o sytuacji, w której się znaleźli. Najczęściej zadawane pytania brzmiały: „Co teraz zrobimy? Co teraz będzie? Jak będziemy teraz żyć? I gdzie?”. Cała załoga domagała się odpowiedzi, ale nikt jej nie znał. Co roztropniejsi postanowili iść grupami do dowódcy statku i od niego zażądać odpowiedzi na wszystkie pytania.

Admirał Artur Anderson był dowódcą i współkonstruktorem statku, który nazwany został Odkrywcą. Teraz samotnie siedział w swej kabinie, też zadawał sobie te pytania i szukał odpowiedzi, które muszą wystarczyć załodze. Tuż po odebraniu wiadomości z Ziemi rozkazał pierwszemu oficerowi utrzymać wskazany kierunek lotu, a sam zamknął się w swojej kabinie i zabronił, by mu przeszkadzano. W pierwszej chwili otworzył sejf i wyciągnął zalakowane koperty z tajnymi rozkazami. Otwierał jedną kopertę po drugiej, ale nigdzie nie znalazł odpowiedzi na swoje pytania. Były tam rozkazy na wypadek buntu załogi, na wypadek katastrofy lub awarii statku, ale żaden rozkaz nie mówił, jak się zachować w sytuacji, gdy Ziemia zostaje zniszczona. Każdy rozkaz kończył się nakazem sprowadzenia statku na Ziemię, a admirał wiedział, że tego zrobić nie może. Było koło siódmej czasu pokładowego. O ósmej powinien zmienić pierwszego oficera na mostku. Myślał intensywnie, co powiedzieć załodze. Powie, że na Ziemię nie ma powrotu, że muszą szukać nowego domu, a resztę uzgodnią wspólnie. Kwadrans przed ósmą, ubrany w regulaminowy błękitny mundur ze złotymi dystynkcjami admirała, otworzył drzwi i wolnym krokiem ruszył na mostek. Było to pomieszczenie wielkości sali gimnastycznej, w której boczna ściana była w połowie przedzielona od góry do dołu wąskim wspornikiem i wypełniona szybą z przezroczystego aluminium. Przed oknem w kształcie okręgu rozmieszczone zostały stanowiska obsługi statku. W środku okręgu ustawione były trzy pulpity sterownicze z fotelami dla dowódcy i jego zastępców. Na mostku zebrali się już wszyscy oficerowie oprócz tych, którzy aktualnie pełnili służbę w innych miejscach statku. Zasiedli przy stole, a wtedy admirał zaczął spokojnie i cicho mówić.

– Panowie oficerowie i wy, moi przyjaciele – tu skinął na naukowców, których sam dobierał. – Misja, która miała na celu odkrywanie nowych planet, stała się misją ratunkową. Wiemy, że naszej Ziemi już nie ma. Wróg przybył z kosmosu i zaatakował nas bez jakiegokolwiek przyczyny i ostrzeżenia. Zniszczył wszystko, co kochaliśmy. Dostałem rozkaz ucieczki, bo wróg, atakując planetę, pokazał broń, która w jednej chwili unicestwiłaby nasz statek. Podjęto więc decyzję, by ci, co mogą, ratowali się. Z tego, co wiem, w przestrzeni kosmicznej znajdują się dwadzieścia dwa statki. My byliśmy ostatnim, który odleciał z Ziemi. Wątpię, czy poza tymi załogami ktokolwiek się uratował. Nakazałem ciszę radiową, by nie

informować obcych o naszym położeniu. Nam rozkazano kierować się do gwiazd i tam szukać planety podobnej do Ziemi. Wiem, że podróż może potrwać kilka, a nawet kilkadziesiąt lat, dlatego naszym pierwszym zadaniem będzie zwiększenie prędkości statku do maksimum. Niech każdy oficer odpowiedzialny za swój przydział w ciągu dwudziestu czterech godzin zda raport o możliwościach usprawnienia swojej pracy. Do ważnych spraw należy zaopatrzenie w żywność, wodę, tlen i paliwo. Najważniejsze są jednak osłony magnetyczne przed minimeteoritami, które przy naszej prędkości mogą przebić kadłub statku i zniszczyć go. Interesują mnie nowe źródła zasilania, zwiększony zasięg skanowania przestrzeni oraz wszystkich obiektów, które napotkamy.

Z każdej planety po drodze będziemy zbierać minerały, które wykorzystamy do własnych celów. I módlmy się, byśmy nie spotkali naszych wrogów, nie będąc na to przygotowani. Jeżeli nie ma pytań, to bierzcie się do pracy. Załodze proszę wyjaśnić naszą sytuację i przekazać, że bardzo na nich liczę.

Po przemówieniu admirała wstał główny konstruktor i szef zespołu naukowego i powiedział:

– Będę potrzebował więcej energii, ludzi i sprzętu.

– Z tym proszę zgłosić się do odpowiednich służb i przygotować raport za dwadzieścia cztery godziny. Teraz proszę się rozejść, zostaje tylko obsługa mostka.

Statek poruszał się z czwartą prędkością kosmiczną, czyli czterysta osiemdziesiąt sześć tysięcy kilometrów na godzinę, i kilka godzin po tej rozmowie minął orbitę Jowisza. Przelecieli koło Plutona, który jest zimną i bardzo nieprzyjazną planetą, gdzie światło słoneczne ledwie dociera i nie rozgrzewa jej wcale. Zamyślony admirał obliczał, jakie mają szanse. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli nie zwiększą prędkości, to do najbliższej gwiazdy będą lecieć przez dziesięć tysięcy lat. Muszą ją zwiększyć przynajmniej do prędkości światła, co statek powinien osiągnąć bardzo szybko. Potrzeba będzie jednak jeszcze większych prędkości, i to dużo większych. Wiedział także, że silników impulsowych może użyć dopiero po opuszczeniu układu słonecznego, by nie zostać wykrytym przez obcych. Zastanawiał się, ile potrzeba impulsów, by osiągnąć prędkość trzydziestu parseków. Jest ona sto razy większa od prędkości światła i admirał był pewny, że wtedy nikt go nie dogoni. Potrzebował jednak lepszych skanerów, które przy tych prędkościach będą mogły wykrywać minerały potrzebne do produkcji paliwa, żywności i innych środków niezbędnych do życia załodze.

Jeszcze nie sprawdzili, jak duże prędkości mogą osiągnąć silniki impulsowe. Żaden z naukowców nie znał ich możliwości. Na statku życie toczyło się swoim rytmem. Wszyscy byli na swoich stanowiskach, spieszyli się, bo wiedzieli, że w ciągu dwudziestu czterech godzin muszą opracować szczegółowy raport dla admirała, gdyż od tego zależy ich dalszy los. Na drugi dzień o ósmej rano czasu pokładowego admirał, wchodząc na mostek, przywitał się ze wszystkimi i od razu poprosił o raport głównego mechanika. Ten miał najmniej pracy, ale i najwięcej zmiennych niewiadomych. Czytał:

– Paliwa starczy na tysiąc dwieście impulsów, ale nie wiem, jaką prędkość dzięki temu

rozwinie. W każdym razie nie możemy zużyć naraz całego paliwa. Przygotowanie do pierwszego impulsu zajmie nam dwie godziny. Silniki są gotowe i zaczniemy, jak tylko opuścimy nasz układ słoneczny.

– Dobrze – powiedział admirał. – Dajcie mi znać, jak będziecie gotowi.

– Część energii z głównego akceleratora, która normalnie zostałaby wyrzucona w kosmos, można po niewielkich przeróbkach urządzeń skierować do wzmocnienia pola siłowego – ciągnął główny mechanik. – Pozwoli nam to wzmocnić pole o czterdzieści procent, ale dopiero po rozgrzaniu silników...

– Co z uzbrojeniem? – przerwał mu admirał.

– Mamy dwie eskadry myśliwców, lasery czołowe, torpedy protonowe i konwencjonalne. Na razie nie widzę środków do zwiększenia potencjału militarnego.

– Dziękuję. Proszę o raport o stanie zaopatrzenia.

Wstał szef zaopatrzenia – ociężały w ruchach, ale błyskotliwy oficer, który na Ziemi potrafił załatwić wszystko i naprawdę nie było dla niego rzeczy niemożliwych.

Jednak w tej chwili miał niewesoły wyraz twarzy. Wiedział, że ma to, co ma, i nic więcej nie wyczaruje.

– Powietrza i żywności starczy na dwadzieścia cztery do trzydziestu miesięcy – zaczął powoli. – Paliwa raketowego na trzysta godzin lotu dla każdego z dwudziestu czterech myśliwców szturmowych, plus dla dwóch myśliwców rezerwowych. Trzy promy kosmiczne, dziesięć sond krótkiego i dziesięć dalekiego zasięgu. Pięćdziesiąt głowic nuklearnych o sile jednej megatony każda i pięćdziesiąt o sile dziesięciu kiloton. Broń laserowa ręczna dla każdego członka załogi oraz sto pistoletów ogluszających.

– Dobrze – przerwał admirał. – Z resztą raportu zapoznam się później. Teraz proszę o raport porucznik Riazową.

Wstała kobieta o kruczoczarnych włosach i delikatnych rysach. Wyglądała jak nieśmiała dziewczynka, a nie oficer, i to bardzo surowy, który nie da sobie w kaszę dmuchać. Była córką prominenta z Moskwy, od dziecka wychowywana w posłuszeństwie, tego samego wymagała od podwładnych. Miejsce na statku zdobyła własną pracą i zaangażowaniem. Lubiła myśleć z wyprzedzeniem, zawsze optymistka, nie zamierzała siedzieć beczynn timer, zawsze była czymś zajęta i nigdy nie miała na nic czasu. Dla współpracowników była zawsze miła, ale potrafiła wyegzekwować posłuszeństwo od podwładnych. Zaraz po zaokrętowaniu ścięła się ze swoim zastępcą, podporucznikiem Zyga – jak go nazywali – Polakiem z pochodzenia i obywatelem Stanów Zjednoczonych. Chciał podporządkować sobie młodszą wiekiem przełożoną i wydał jej polecenie, czego nie powinien robić, będąc młodszym stopniem. Tania popatrzyła na niego swymi wielkimi, czarnymi oczyma, aż pomyślał, że zaraz się rozplacze. A ona cicho powiedziała:

– Proszę się pakować. Nie poleci pan ze mną. A o piętnastej proszę zgłosić się z raportem u dowódcy statku.

Gdy o piętnastej Tania zameldowała się po raz pierwszy u dowódcy okrętu, Zyga już był u

admirala, który opieprzył go jak dzieciaka. Gdy kobieta weszła, admirał przerwał na chwilę. Po raz pierwszy zobaczył dowódcę łącznościowców i zrozumiał Zyge, ale nie dał tego po sobie poznać. Wysłuchał raportu Tani, która zachwycała słowiańską urodą i chociaż mogła, nigdy nie wykorzystywała jej do osiągnięcia swoich celów. Stawiała na inne cechy, takie jak inteligencja i pracowitość.

– Proszę wyznaczyć sobie drugiego oficera. Pan porucznik wraca na Ziemię – zarządził admirał.

– Panie admirale – odezwał się Zyga niemal błagalnym głosem – proszę...

– Dość – przerwał mu admirał. – Nie ja pana odwołałem.

Zyga szybko zareagował:

– Mogę zwrócić się do porucznik Riazowej? – zapytał admirała.

Ten lekko skinął głową na znak zgody. Zyga zwrócił się do Tani, nieco zaskoczonej szybkim rozwojem sytuacji.

– Pani porucznik, bardzo przepraszam za swoje zachowanie i przyrzekam, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Proszę wstawić się za mną u admirała, wszystko zależy od pani. Następny statek odleci za trzy lata, z takim raportem mogę się na niego nie dostać.

Tania spojrzała na admirała, ale ten ostentacyjnie odwrócił głowę, dając do zrozumienia, że wszystko zależy od jej decyzji. Po chwili, która Zydze wydawała się wiecznością, swoim cichym głosem powiedziała:

– Ostatni raz puszczam płazem taką niesubordynację, a teraz proszę wrócić na swoje stanowisko i przygotować raport o stanie urządzeń, zaraz tam przyjdę.

Zyga szybko się odmeldował i wyszedł, ciesząc się, że psota uszła mu na sucho.

Tymczasem Tania meldowała:

– Nasze urządzenia pozwalają wykryć obiekt wielkości tego statku z odległości trzech lat świetlnych, a odczyty będą w miarę dokładne. Obiekty oddalone bardziej niż o trzy lata świetlne nie będą już tak wyraźne, a stopień dokładności zależy od ich wielkości. Można zwiększyć zasięg skanowania, podwyższając częstotliwość impulsów do maksimum, ale to łączy się z koniecznością pewnych modyfikacji nadajników, więc w czasie przestrajania nadajnik nie będzie czynny. Jeżeli bierze pan to pod uwagę, radzę zdecydować się już, bo po zakończeniu prac możemy być za daleko, by nawiązać kontakt z naszymi statkami.

– Nie będziemy łączyć się z innymi statkami – powiedział admirał. – Nie możemy pozwolić, by obcy nas usłyszeli i podążyli za nami. Jeżeli siły strategiczne Ziemi nie poradziły sobie z nimi, to my tym bardziej nie mamy szans. Naszym priorytetem jest przetrwanie, a nie walka. Może kiedyś przyjdzie czas na atak. Tymczasem dziękuję pani i proszę porucznika Nielsena o raport.

Nielsen szybko wstał i zaczął meldować:

– Mamy trzydziestu wyszkolonych pilotów, czterdziestu podoficerów służb bezpieczeństwa szkolących się na pilotów w obsłudze dział laserowych i wyrzutni torped, mamy też pełną obsługę promów i...

– Dziękuję, to wszystko – przerwał Nielsenowi admirał.

Dowódca zastanawiał się chwilę, po czym wskazał na Katię Korbielową. To nazwisko zawsze wywoływało emocje wśród męskiej części załogi. Kobieta wstawała powoli i z gracją, a widząc pożądlive spojrzenia, przedłużała tę chwilę, jak tylko mogła. Wiedziała, że jest bardzo atrakcyjną kobietą, umiała wykorzystać ten fakt i to robiła. Odezwała się silnym, lecz łagodnym głosem, który brzmiał jak śpiew słowika, chociaż mówiła o zasobach minerałów, sprawności sond i wyposażeniu laboratoriów. Gdy skończyła, zapadła cisza, jakby słuchacze chcieli, by mówiła dalej. Ciszę przerwał głos admirała:

– Proszę teraz o raport głównego konstruktora.

Profesor Szmit wstał i zaczął czytać raport. Był to mężczyzna w sile wieku, tylko pięć lat starszy od admirała i jedyny, który dostał się na statek dzięki jego protekcji. Był jego przyjacielem jeszcze z czasów pracy na uczelni. Przez cztery lata mieszkali blisko siebie, a że mieli podobne zainteresowania, spotykali się dosyć często. Potem przestali razem pracować, ale utrzymywali ze sobą bliski kontakt. Admirał wiedział, że gdyby zostawił Szmita na Ziemi, nigdy by go już nie zobaczył, bo ta podróż od początku była przewidziana na kilka lub nawet kilkanaście lat. Dlatego też kazał wyposażać biuro konstrukcyjne w najnowocześniejszy sprzęt i nowinki techniczne, które na Ziemi były znane tylko nielicznym naukowcom. Dochodził do tego najlepszy sprzęt komputerowy i programy analityczne – wszystko po to, by Szmit nie mógł odmówić, a admirał miał przyjaciela blisko siebie. Gdy Szmit skończył, dowódca był zadowolony. Nowe paliwo, o którym konstruktor mówił, może uratować życie załozde. Nowoczesne torpedy z antymaterii, które potrafią niszczyć obiekty dziesięć razy większe od statku, również. Cieszył się także z uruchomienia reaktora o dużej mocy. Był niezależny od pracy silników, dlatego nawet w chwili uszkodzenia całego napędu energia będzie dostarczana do wszystkich ważniejszych układów statku.

Następnie raport składał oficer administracji, który odpowiadał za stan wszystkich pomieszczeń oraz ich wyposażenie, bezpieczeństwo pożarowe, drogi ewakuacji i kapsuły ratunkowe. Potem kolejno swoje raporty składali naczelny lekarz, oficer kulturalno-oświatowy i inni. Po ich wysłuchaniu admirał kazał wszystkim wrócić do pracy, a sam z głównym mechanikiem zaczął omawiać sprawę uruchomienia silników impulsowych. Za godzinę opuszczą układ słoneczny i będą mogli przejść na napęd impulsowy. Wszystko jest gotowe, ale żeby się udało, musi być zapięte na ostatni guzik.

Admirał siedział na swoim fotelu i poczuł lekkie drgnięcie. To był pierwszy impuls, który zwiększył prędkość statku o trzy procent.

„*Mało* – pomyślał admirał – *ale zobaczymy, jak pójdzie dalej*”.

Po godzinie poczuł kolejny impuls, potem następny i jeszcze jeden. Dowódca nie czuł już impulsów, ale statek przyspieszał o trzy procent prędkości w porównaniu do poprzedniej. Wrzucił dane do komputera, który szybko obliczył, że prędkość światła osiągną przy dwustu pięćdziesięciu impulsach, a prędkość jednego parseka przy trzystu. Admirał chciał prędko osiągnąć sto parseków, by jak najszybciej znaleźć planetę, na której można by się osiedlić.

Obawiał się tylko, czy zdoła zatrzymać w odpowiednim momencie tak rozpędzonego kolosa i czy statek będzie dostatecznie szybko reagował na stery boczne, by w razie potrzeby zmienić kierunek lotu. Główny mechanik i konstruktor mieli twarde orzechy do zgryzienia – admirał kazał im opracować sposób na szybki rozruch silników impulsowych oraz prawie natychmiastowe ich zatrzymanie. Wyniki współpracy mechaników i konstruktorów były bardzo zadawalające. Teraz impuls występuje co dwie minuty, ale admirał po czterystu impulsach kazał wyłączyć silniki i zrobić ich generalny przegląd. Szybko obliczył, że takie prędkości wystarczą do penetracji naszej galaktyki, a w ciągu dwudziestu czterech godzin doleczą do pierwszej gwiazdy, którą mieli zbadać.

Najważniejsze było teraz zatrzymanie kolosa, który miał dwa i pół tysiąca metrów długości, czterysta metrów szerokości i dwieście pięćdziesiąt metrów wysokości, a swoją kubaturą obejmował dwieście pięćdziesiąt milionów metrów sześciennych przestrzeni. Na dwudziestu pokładach były setki pomieszczeń, od najmniejszych kajut dla załogi aż po największe hangary na myśliwce i promy.

Kabiny załogi rozmieszczone były na środkowym pokładzie Odkrywcy, tak by załoga mogła przez okna obserwować gwiazdy. Najgrubszą burtą był spód statku, gdzie znajdowały się urządzenia sztucznej grawitacji, zajmujące niemal dwa pokłady.

2.

Pierwszy układ

Admirał, siedząc na swoim fotelu, rzekł cicho:

– Możesz zaczynać hamowanie, kiedy znajdziesz się na dwie godziny lotu do celu.

Parker lekko skinął głową i delikatnie wcisnął przycisk, uruchamiając w ten sposób cztery silniki rakietowe, dyszami skierowane do kierunku lotu, i lekko przesunął dźwignie, tym samym zwiększając moc silników hamujących. Prędkościomierz drgnął i zaczął powoli przesunąć się w kierunku pozycji zero. Pierwszy musiał stale czuwać nad pracą silników hamujących, bo mogły okazać się zbyt skuteczne i statek wyhamowałby zbyt daleko od układu Bernarda. Prędkość statku zmniejszyła się powoli, ale regularnie. Nielsen popatrzył na konsolę nawigacyjną i zwrócił się do Parkera:

– Poruczniku, proszę zmniejszyć prędkość statku, bo minimy Bernarda zbyt szybko i nasze skanery nie zdążą wyszukać odpowiedniej planety.

Parker zmniejszył ciąg silników do sześćdziesięciu procent. Wiedział, że są sprawne i przy maksymalnym ciągu mogą zatrzymać statek bardzo szybko. Nielsenowi odpowiedział:

– Spokojna głowa, zatrzymam statek tam, gdzie pan będzie chciał.

Admirał odwrócił fotel w kierunku porucznika Riazowej i zapytał:

– Taniu, czy nasze skanery przed całkowitym wyhamowaniem statku dadzą odczyt, z ilu

planet składa się ten układ?

Tania już dawno obliczyła, że najlepszą prędkością w tej sytuacji są dwa parseki, dzięki czemu możliwy będzie dokładny skaniny planet znajdujących się najbliżej gwiazdy Bernarda. Pozostałe planety oddalone od Bernarda nie przedstawiały żadnej wartości ze względu na zbyt trudne warunki atmosferyczne na ich powierzchni. Po czterech godzinach hamowania statek zbliżał się do jednej z czternastu planet układu Bernarda, gwiazdy, która jest dwa razy większa od Słońca, ale podobna wiekiem i jasnością. Planetę nazwano Lena-i, ponieważ kosmonautka Lena ją odkryła i stwierdziła, że może być bardzo ciekawą i bogatą w minerały. Lena-i miała dwa księżyce, jeden mały – o średnicy tysiąca kilometrów, a drugi większy – o średnicy dwóch i pół tysiąca kilometrów. Były bardzo podobne do Księżyca ziemskiego – okrągłe, pokaleczone tysiącami kraterów po meteorytach, i nie posiadały atmosfery. Z uwagi na niewielkie rozmiary względem planety, wokół której krążyły, i małą odległość od niej obracały się dwa i pół razy szybciej niż Księżyc ziemski. Planeta posiadała gęstą atmosferę, składającą się głównie z dwutlenku węgla. Wystrzelona sonda miała opaść w określonej okolicy, pobrać próbki gleby oraz roślin, jeżeliby takie były, dokonać skanowania geologicznego i po dwóch godzinach wrócić na statek. Stały kontakt radiowy z sondą miał dostarczyć wiadomości na temat składu atmosfery i warunków pogodowych, ale sygnał urwał się zaraz po jej wejściu w górne warstwy atmosfery. Pomimo wzmocnienia sygnału sonda nie odpowiadała, jakby jej w ogóle nie było.

Parker zaproponował, by wysłać następną sondę, ale admirał się nie zgodził. Tłumaczył, że nie mogą sobie pozwolić na stratę kolejnego urządzenia. Kazał czekać, aż upłynie czas konieczny do powrotu pierwszej sondy. Nakazał też wykonać skaniny w poszukiwaniu drugiej planety. Tym zajęły się Tania Riazowa i Katia Korbiewowa, które pracowały przy jednym pulpicie. Kobiety szybko odkryły drugą planetę – była ona nieco większa od Ziemi, ale też bardziej oddalona od swojej gwiazdy, dlatego Korbiewowa podejrzewała, iż jest całkiem zamrożona. Tania stwierdziła jednak, że to nic pewnego, ponieważ Bernard świeci trochę mocniej niż nasze Słońce. Orbita planety B-i przechodzi bardzo blisko orbity planety L-i, ale nie przecinają się i nie oddziałują na siebie.

– Za sześć godzin znajdziemy się bardzo blisko niej i będziemy mogli na nią przeskoczyć. – Minęła trzecia godzina od wystrzelenia sondy i admirał, niemal pewny jej utraty, chciał wydać rozkaz ruszenia naprzeciw, ale właśnie w tej sekundzie Lena krzyknęła:

– Jest, jest sonda, mam sygnał.

– Przenieść sygnał z sondy na duży ekran i powiększyć obraz – nakazał admirał. Teraz już wszyscy ujrzeli sondę, która jak gdyby nigdy nic zmierzała w kierunku statku, podając swoją pozycję, stan techniczny i inne dane.

– Wyłączyć ją promieniem magnetycznym i wyłączyć jej silnik, bo uderzy w nasze pole ochronne – powiedział Parker. Sonda nadal milczała na temat środowiska naturalnego planety, a powinna zasypywać komputer setkami informacji, zwłaszcza że wyglądała na nieuszkodzoną. Jednak technicy w ładowni od razu zauważyli, że urządzenie nadaje się tylko do remontu. Z siedmiu anten sprawna była tylko jedna, i to ta odbiorcza. Reszta została

zniszczona zaraz po wejściu w górne warstwy atmosfery.

Z danych zebranych przez sondę załoga dowiedziała się, że temperatura na powierzchni wynosi czterysta osiemdziesiąt stopni, a ciśnienie trzydzieści dwie atmosfery. Potężne huragany wiejące z prędkością dwustu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę czynią tę planetę nieprzyjazną człowiekowi. W głebie znaleziono duże ilości metali ciężkich, promieniotwórczych rud uranu i najważniejsze – nie stwierdzono życia biologicznego pod żadną postacią. Z uwagi na panujące tam nieprzyjemne warunki atmosferyczne nie brano tej planety pod uwagę pod względem eksploatacji minerałów.

Admirał po wysłuchaniu raportu natychmiast kazał lecieć na B-i. Włączono silniki plazmowe i statek ruszył w kierunku następnej planety, która już po zebraniu wstępnych danych sprawiała wrażenie interesującej. Statek szybko dotarł do planety, ponieważ i ona, lecąc po swojej orbicie, zbliżała się do niego. Sama planeta widoczna była już z daleka i przypominała Ziemię. Gruba powłoka chmur zakrywała niemal cały ląd, tylko gdzieś tam prześwitywały czerwono-brunatne pasma górskie. Wykryto dwie czapy polarne, co świadczyło o możliwości występowania wody. Admirał od razu pomyślał, że ta planeta może być poszukiwaną nową ziemią. Czyżby tak szybko znalazł dom dla swojej załogi? Aż nie mógł w to uwierzyć. To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Sama planeta nie posiadała księżyców i była nieco większa od Ziemi.

Po wejściu na orbitę wysłano sondę, która od razu zaczęła przysyłać niesamowite dane. Z każdą wiadomością słyhać było okrzyki zachwytu. Sonda podawała: azot – siedemdziesiąt procent, tlen – dwadzieścia trzy, dwutlenek węgla – trzy procent i niewielka ilość innych, obojętnych gazów. Obraz, który sonda nadawała z wysokości dwudziestu kilometrów, zachwycił wszystkich. Widać było spokojne oceany, a dalej ląd porośnięty sieciami rzek i zielenią zarośli. Ląd zajmował dwadzieścia trzy procent całej powierzchni, na którą składały się tysiące większych i mniejszych wysp, przeważnie wulkanicznego pochodzenia. Największa wyspa zajmowała powierzchnię prawie trzech milionów kilometrów kwadratowych i znajdowała się na samym równiku. Obok niej było kilka podobnych, tylko nieco mniejszych wysp oraz setki małych wysepek charakteryzujących się zielenią i żółtymi plażami dookoła nich. Temperatura przy powierzchni na samym równiku wynosiła plus siedemnaście stopni, a na biegunach około minus sześćdziesięciu. Wykryto także bogate życie biologiczne w morzach i na lądzie. Nie stwierdzono natomiast żadnych śladów obecności innej cywilizacji. Po wysłuchaniu tego raportu admirał kazał natychmiast utworzyć ekipę wypadową, która promem wyruszy na rekonesans.

– Parker, zbierz ekipę i ruszaj, wylądujesz na największej wyspie, koło rzeki, ale daleko od zarośli.

– Admirale – wtrąciła się Korbielowa – na południu jest nieco mniejsza wyspa, na której znalazłam bogate złoża rud uranu, i to niemal na powierzchni.

Admirał spojrział na ekran monitora i powiedział:

– Pani zorganizuje drugi zespół, zabierze konieczny sprzęt i tam poleci.

Parker wyruszył pierwszy i szybko odnalazł wyspę, na której miał wylądować. Osadził prom lekko i otworzył luk. On jako pierwszy postawił stopę na nowo odkrytej planecie. Po kilku krokach stwierdził, że grawitacja jest trochę większa niż na Ziemi, ale da się wytrzymać. Po nim z promu wyszedł Ramsey z pistoletem gotowym do strzału. Wiedział, że mogą być tu zwierzęta, ale nie miał pojęcia, czy są groźne, i wolał być przygotowany na wszystko. Z promu wyszedł także niski botanik Greg, który z wysiłkiem dźwigał podręczne laboratorium. Greg szybko zabrał się do pracy i już po chwili badał próbki ziemi, skał oraz roślin. Po nim ze statku wyszła reszta załogi i szybko rozeszli się po terenie.

Nagle Ramsey krzyknął:

– Coś leci w naszym kierunku! – I wskazał palcem.

Wszyscy skierowali wzrok w tamtą stronę i w dali ujrzeli lecącego ptaka. Można by rzec, że stworzenie szybowało. Skrzydła miało niemal w kształcie delty i nimi nie poruszało. Ptak okrążył przybyszów kilka razy i zawrócił w kierunku, skąd nadleciał.

Parker popatrzył na odlatującego ptaka i powiedział: – jeśli on może tu oddychać, to my także. – Zdjął hełm i poczuł na twarzy lekkie uderzenie świeżego powietrza, po czym pozostali zrobili to samo. – To chyba będzie nasz dom – stwierdził Parker i podzielił załogę promu na trzy dwuosobowe zespoły. Pierwszy wysłał w kierunku rzeki, drugi w stronę pobliskiego jeziora, a sam z Gregiem ruszył w kierunku pobliskich zarośli i drzew, które tworzyły razem zieloną ścianę około sto metrów od nich. Podeszedł do pierwszego, wysokiego na trzydzieści metrów drzewa o pniu szerokości ponad metra. Przyjrzał się korze, która była gładka jak powierzchnia pnia młodej brzozy. Chwycił za gałąź i mocno szarpnął. Ta oderwała się od miejsca, gdzie rosła, ale mocna kora nadal łączyła ją z drzewem. Parker wyjął nóż, przeciął korę i podał gałąź Gregowi. Ten zwinął ją w kłębek i schował do torby. Nagle w cieniu drzew, gdzieś na wysokości stu dwudziestu centymetrów zobaczył błysk oczu. Nie od razu dostrzegł małą sylwetkę zwierzęcia, wyciągnął miotacz, ale było już za późno – stworzenie uciekło. Przez radio nadał meldunek do wszystkich patroli, by uważały na duże zwierzęta, które mogą być groźne.

Weszli głębiej w las, gdzie z daleka dostrzegli wysoki na około trzy metry stożek z ziemi, wyglądający na gniazdo termitów lub wielkie mrowisko. Gdy Parker zbliżył się, dostrzegł, że to nie mrowisko, ale kopiec chrząszczy, mających osiem odnóży, pancerz i zuchwy potężne jak u ziemskich jelonków. Mężczyzna ostrożnie schwytał kilka osobników do słoika, wrzucił tam trochę liści i trawy. Las stawał się coraz bardziej gęsty i coraz trudniej było się w nim poruszać, gdy na małej polanie Parker dostrzegł kilka drzew obsypanych żółtymi owocami. Podeszedł do jednego z nich, wyciągnął rękę i chwycił owoc, który był wielkości pomarańczy, ale skórkę miał twardą jak arbuz. Po przecięciu z owocu trysnął sok, a w środku znajdowała się pestka wielkości śliwki o czarnej barwie. Greg wziął kilka tych owoców, gdyż wyglądały smakowicie, ale pamiętał o rozkazie, by niczego nie spożywać przed przeprowadzeniem analizy chemicznej.

Parker powiedział:

– Dość na dzisiaj – i taki też sygnał nadał przez radio. Ramsey, który razem z porucznik

Mirą Kaftan ruszył w kierunku rzeki, doszedł do niej po dwudziestominutowym marszu przez otwarty, porośnięty trawą teren. Dopiero nad samą rzeką natrafili na karłowate drzewa i wysoką trzcinę porastającą jej brzegi.

Ramsej pobrał próbki wody i pobliskiej roślinności oraz ziemi. Mira tymczasem mocowała się z dwuipółmetrową trzciną, ale nie dała rady jej wyrwać. Chwyciła więc miotacz laserowy i strzeliła w jej podstawę. Krótki błysk lasera i roślina padła ścięta. Na wierzchołku miała krótką wiechę wypełnioną nasionami. Dziewczyna zebrała je i wsadziła do torby. Trzcinę chwyciła ręką za gruby koniec, a cieńszy z resztą wiechy zanurzyła w wodzie i lekko uderzyła nią o jej powierzchnię. Nagle z wody wyskoczyła półtorametrowa ryba i chwyciła za trzcinę. Przerazona dziewczyna puściła trzymaną w ręku roślinę i odskoczyła jak oparzona. Ramsej, słysząc krzyk Miry, przybiegł szybko i odciągnął ją od brzegu rzeki. Gdy wyjaśniła mu, co zaszło, tylko się zaśmiał, wyciągnął kawałek linki ze sztucznego włókna i powiedział:

– Zaraz złowimy tego potwora. – Zarzucił wędkę i choć za przynętę posłużył zwykły suchar, nie czekał długo. Minęły może ze trzy minuty, gdy poczuł, że coś szarpie tak zrobioną wędkę. Mężczyzna pociągnął mocno i pomyślał, że ryba musi być duża. Pomęczył ją trochę, ciągnąc wędkę w kierunku brzegu i popuszczając linki. Gdy ryba była blisko brzegu, podał linkę dziewczynie, do tej pory tylko obserwującej zmagania Ramseja, wyciągnął pistolet i jednym strzałem ogłuszył rybę. Całe zwierzę miało około półtora metra, ale jego głowa stanowiła niemal jedną trzecią długości. Zęby przypominały uzębienie piranii, ale były kilka razy większe. Ramsej nie dziwił się teraz dziewczynie, że krzyknęła. Takiego potwora można się przestraszyć. Chciał złowić kilka sztuk, ale zrezygnował, nie mając pewności, że są zdatne do jedzenia. Pokroił ją na kilka kawałków i schował do pojemników na próbki. Resztę ryby wrzucił do wody. Wtedy aż zakotłowało się pod lustrem wody. Szczątki ryby były widocznie łakomym kąskiem dla innych zwierząt, których musiało być tu zatrzęsienie. Zbrali jeszcze kilka okazów małych płazów i robaków, gdy usłyszeli przez radio rozkaz powrotu na prom. Pozbierali sprzęt oraz znalezione okazy i ruszyli z powrotem.

Grupy Parkera i Ramseja spotkały się niemal jednocześnie przy promie i od razu zaczęły wymieniać się spostrzeżeniami z wyprawy. Czekali jeszcze na powrót trzeciego zespołu, gdy usłyszeli przerażający krzyk Zygii, który miał zbadać pobliskie jeziorko i okoliczne zarośla. Zobaczyli ich z daleka, wrzeszczących na cały głos: „Chowajcie się, strzelajcie!”. Dopiero później zauważyli, że za członkami trzeciej ekipy biegnie jakieś duże zwierzę. Było wielkości niedźwiedzia, w pysku miało kły lwa i ryczało jak wściekłe. Do promu mieli około stu pięćdziesięciu metrów, a goniące ich zwierzę znajdowało się jakieś pięćdziesiąt metrów za nimi. Nie zmniejszało dystansu, z pewnością chcąc zmęczyć potencjalne ofiary. Parker chwycił miotacz laserowy, a innym kazał pakować się do promu. Gdy odległość nieco się zmniejszyła, machnął ręką, by uciekający zeszli z linii strzału, co zrobili natychmiast, i mężczyzna miał czysty strzał. Wymierzył i strzelił. Spudłował o metr. Zwierzę, widząc nagły błysk i wyrzut ziemi do góry, instynktownie odskoczyło w bok. Biegło dalej, ale już ostrożniej. Gdy Parker wystrzelił jeszcze raz, wyrwał kupę ziemi tuż przed zwierzęciem, które stanęło jak wryte.

Niespodziewanie odwróciło się i uciekło z piskiem jak zbity pies. Zyga nadbiegł pierwszy, krzycząc:

– Pieprzony laser, zaciął się w takim momencie, a niech go...

Jego kolega nadbiegł chwilę później i ciężko dysząc, mówił:

– Nasze próbki zostały blisko jeziora. Musimy po nie wrócić.

– Nie zgadzam się – powiedział Parker. – Mamy rozkaz wracać na statek, po sprzęt przylecimy jutro, a na drugi raz niech każdy bierze swój miotacz, wtedy nie będzie niespodzianek.

Drugi prom wylądował na dość dużej górzystej wyspie – jednej z kilkudziesięciu wysp pochodzenia wulkanicznego, tworzących rozległy archipelag. Nad samą wyspą górował stożek wulkaniczny o wysokości czterech tysięcy metrów. Lekko dymiąc, dawał znaki, że nie wygaś do końca. Prom osiadł na całkowicie pozbawionym roślinności płaskowyżu, przypominającym spękaną pustynię. W pobliżu wykryto duże promieniowanie rudy uranowej. Licznik Geigera niemal szalał. Załoga miała jeden cel – zapełnić ładownie promu jak największą ilością rudy uranowej, i to w jak najkrótszym czasie. Ekipa techniczna była dobrze zorganizowana. Maszyna wiercąca szybko wyjechała z hangaru i zaczęła odwierty w lekko nachylnym podłożu. Kilkadziesiąt otworów wypełniono materiałami wybuchowymi i odstrzelono. Urobku uzyskano tyle, że nie mieścił się w promie. Statek musiał kursować kilka razy, transportując rudę. W ostatnim kursie zabrano sprzęt i resztę rudy. Korbielowa była zadowolona z ilości zebranego materiału. Biorąc pod uwagę dużą zawartość uranu w rudzie, szybko obliczyła, że z czternastu ton rudy uzyska około tysiąca ośmiuset kilogramów czystego uranu. Na Ziemi nigdy nie znaleziono tak bogatej rudy uranowej. Składając admirałowi raport z udanej misji, myślała, że można by tu jeszcze wrócić, a i sama planeta najwyraźniej nadaje się do życia i nie wiadomo, jakie jeszcze skarby kryją się pod jej powierzchnią.

Po powrocie grupy kapitana Parkera opowieściom nie było końca. Wszyscy na statku chcieli wysłuchać wrażeń uczestników wyprawy. Na drugi dzień większość załogi chciała wyprawić się na planetę i na własne oczy zobaczyć te wszystkie cuda, o których słyszeli. Admirał oczywiście nie mógł na to pozwolić. Uważał, że to jest zbyt piękne, by było prawdziwe, i postanowił osobiście wszystko sprawdzić. Start wyznaczono na następny dzień.

Miały lecieć trzy promy, w tym jeden po rudę uranową, oraz dziesięć myśliwców. Każdy ze statków miał sprawdzić inną wyspę, by w jak najkrótszym czasie zdobyć jak najwięcej materiałów.

Na dwie godziny przed startem sonda podała wiadomość o bardzo silnym trzęsieniu ziemi na głównej wyspie. Powstały ogromne fale, które niemal przelewały się przez mniejsze wyspy, czyniąc wielkie szkody w roślinności, a i zwierzęta na pewno ucierpiały z tego powodu. Nagle widoczna na ekranie wyspa zaczęła pękać wśród erupcji wulkanów, które ciągnęły się w poprzek niej. Na innych wyspach też zanotowano silne trzęsienia ziemi i erupcje wulkaniczne. Wyspy pękały i niknęły w oceanach. W innych miejscach nowe wysepki wyrastały wśród ognistych eksplozji nowych wulkanów. Niemal cała planeta zasnęła się pyłem wulkanicznym.

Okazało się, że jest na niej dwieście czynnych wulkanów, z których teraz tryskała lava, paląc wszystko na swojej drodze. Ludzie na mostku obserwowali wydarzenia dziejące się na planecie, co do której jeszcze niedawno robili sobie wielkie nadzieje. Wiedzieli już, że ta planeta nie jest spokojna tektonicznie i może dopiero za tysiąc lat będzie się nadawała do zamieszkania. Należy więc jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę.

Mimo tego niepowodzenia admirał wreszcie zdał sobie sprawę, że możliwe jest życie poza Ziemią, ma szanse znaleźć odpowiednią dla ludzi planetę i prędzej czy później mu się to uda. Obawiał się jednak, że może to potrwać kilka, kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat. Teraz musi pomyśleć, jak rozwiązać problem. Sama załoga jest młoda, średnia wieku to trzydzieści dwa lata, ale co będzie za dziesięć czy dwadzieścia lat, jeśli nie będzie przyrostu naturalnego, a ten jest na statkach kosmicznych od lat zakazany. Na promie znajdowało się kilka małżeństw, póki co bezdzietnych. Część załogi pozostawiła swoje rodziny na Ziemi. Wiedzieli, że ich bliscy najprawdopodobniej poginęli po ataku obcych, a nawet gdyby przetrwali, to powrót statku na Ziemię przez najbliższe kilkadziesiąt lat jest mało prawdopodobny. Trzeba zatem załatwić tę sprawę oficjalnie. Cofnie się zakaz o przyroście naturalnym na statkach, wyda pozwolenia na zawieranie małżeństw i dokumenty rozwodowe dla tych, co pozostawili rodziny na Ziemi, a chcieliby mieć czyste sumienie, gdyby ktoś z ich bliskich przeżył po ataku obcych. Admirał zdawał sobie sprawę, że resztę należy pozostawić naturze. Drugą sprawą jest prędkość statku, którą trzeba jak najszybciej zwiększyć, i to kilkakrotnie. Wiedział, że statek może osiągnąć prędkość stu parseków, ale on potrzebował dwustu, trzystu, a nawet pięciuset i więcej, dużo więcej.

3.

Tryt

Statek gnał przez czerń kosmosu z niewiarygodną dla Ziemiaków prędkością osiemdziesięciu parseków, a admirał, ciągle niezadowolony, poganiał mechaników, by zwiększali prędkość jeszcze bardziej. Sektor napędowy nigdy się nie nudził, zawsze miał coś do roboty – admirał niemal codziennie do niej zaglądał i stale poganiał a to mechaników, a to konstruktorów, którzy pracowali nad nowymi osłonami termicznymi akceleratora. Dowódca tak dał się mechanikom we znaki, że załoga zaczęła z nich żartować i przy każdej okazji dokuczać: „Jedź szybciej, bo admirał idzie” lub „Co tak powoli lecimy? Może by wyjść na zewnątrz i popchać”. Pomimo tych żartów obsługa maszynowni nie czuła się zdeprymowana. Wiedzieli, że robią więcej, niż się od nich wymaga, a i na efekty ich pracy nie trzeba było długo czekać. Już po tygodniu osiągnęli pięćset parseków. Nawet sam admirał był zaskoczony postępami i podczas kontroli nie poganiał już, tylko mruknął pod nosem:

– No, postarali się.

To krótkie zdanie znaczyło więcej niż pochwała przełożonych wpisana do akt. Ogólnie admirał był zadowolony i z tego powodu miał dobry humor od samego rana. Nie trwało to jednak długo. Już na naradzie oficerów, gdy dowódca skończył chwalić mechaników za ich pracę i zaangażowanie, wstał szef maszynowni i powiedział:

– Panie admirale, dziękuję za uznanie, ale muszę pana zmartwić. To, co zrobiliśmy, jest wszystkim, co mogliśmy osiągnąć. Teraz bez nowych technologii nie będę mógł zwiększyć prędkości, co gorsza – przez najbliższy miesiąc nie można włączać akceleratora, musi on przejść remont niemal generalny. Niektóre podzespoły zużyły się nawet w siedemdziesięciu pięciu procentach. Nie radzę się zatrzymywać, bo będziemy stali w miejscu do zakończenia remontu. Teraz, po wyłączeniu akceleratora, utrzymamy osiągniętą prędkość, tylko proszę nie hamować, a nawet nie korygować kierunku lotu, bo to spowolni statek.

– Róbcie swoje – odrzekł admirał. – Resztę zostawcie mnie.

Podczas narady oficerowie dowiedzieli się o nowym zagrożeniu dla załogi, która – poza mechanikami i konstruktorami – nudziła się niemiłosiernie, zwłaszcza że służby medyczne informowały o zauważeniu u załogi pierwszych objawów syndromu kosmicznego, który coraz bardziej zaczął wpływać na samopoczucie załogi. Szczególnie widoczne było to u młodszych załogantów, którzy nie mieli doświadczenia w długich lotach kosmicznych. Admirał stanął przed nie lada kłopotem, ale i w tym przypadku dopisało mu szczęście. Podczas jednej z narad szef zaopatrzenia narzekał, że do przeróbek silników zużyto ogromne ilości metali, takich jak żelazo, kobalt, nikiel, srebro, i ich zapasy są na wyczerpaniu. Nikt nie miał pomysłu, skąd wziąć potrzebne metale, a propozycji, by używać tych z mniej ważnych sektorów statku, admirał nawet nie chciał słuchać. W końcu zdenerwowany dowódca krzyknął do szefa zaopatrzenia:

– Jak nie wiesz, skąd wziąć, to nałap sobie z kosmosu, ale metale mają się znaleźć.

Nikt tej wypowiedzi nie potraktował poważnie, prócz majora Martineza – dowódcy eskadry myśliwców, który pomyślał chwilę i rzekł:

– To da się zrobić, a i piloci będą mieli zajęcie. – Wszyscy spojrzeli na niego z niedowierzaniem, a on, czując ich brak wiary, powtórzył: – To naprawdę da się zrobić.

Admirał pomyślał chwilę i rzekł:

– Zorganizuj ekipę i nie wracaj z niczym. Masz do dyspozycji wszystko i wszystkich. – Dowódca, ucieszony z pomysłu Martineza, zwrócił się do zebranych: – Widzicie, chceć to móc. Pomóżcie Martinezowi, w ten sposób sprawę dostaw metali możemy mieć załatwioną.

Kilka dni później polowanie na meteoryty było już ulubionym zajęciem pilotów. Bryły wybierano starannie, najpierw skanując je dokładnie w celu poznania ich składu, następnie chwytało wiązką holowniczą, a wyposażone w odpowiednie chwytaki myśliwce wylapywały je i transportowały do ładowni. Przeważnie były to meteoryty o średnicy dwóch do trzech metrów, zbudowane z metali lub częściej ze stopów metali. W trakcie takich łapanek, jak nazywano te działania, dostarczono na statek wiele surowca: żelaza, manganu, tytanu, irydu, kobaltu oraz kilku wcześniej nieznanymi metali. Tu dużo do powiedzenia miały laboratoria

doświadczalne, które wprost wyzywały się na próbkach tych metali, topiąc je, tnąc laserami, zgniatając i ścierając, by w końcu stwierdzić, że to nie to, co chcieli osiągnąć. Przełom w badaniach nastąpił, gdy natrafiono na metal, który nie chciał się topić, a raczej jego stopnienie było bardzo skomplikowane. Inne metale podgrzane do trzech tysięcy stopni stawały się płynami, a ten przy pięciu tysiącach nawet się nie zaczerwienił.

Sprawę wyjaśnił nowy piecyk doświadczalny, który rozgrzał się do siedmiu i pół tysiąca stopni i dopiero wtedy metal zaczął się powoli topić. Nazwano go trytem metalicznym. Oprócz wysokiej temperatury topnienia miał jeszcze jedną rzadką właściwość – w czystej postaci odbijał światło jak lustro. Przekonano się o tym, gdy chciano przedziurawić blachę grubości jednego milimetra laserem. Jego promień odbił się od powierzchni blachy jak od lustra, nie wyrządzając cenniejszej szkody. Szef biura konstrukcyjnego wpadł na pomysł, by trytem pokryć jeden z myśliwców i strzelać do niego, jakby to był największy wróg. Za zezwoleniem admirała kazał rozebrać z blach pancernych jeden z myśliwców i w ich miejsce odlać blachę z trytu o grubości pięciu milimetrów. Kłopot stanowiły jedynie szyby myśliwca, wykonane ze specjalnego sztucznego tworzywa. Ich nie można było zastąpić trytem, bo ten nie przepuszczał światła. Szmit nie chciał testować myśliwca, zanim sam uzna, że statkowi nic nie grozi, zwłaszcza że trytu nie zostało wiele i nie wiedział, czy go w ogóle jeszcze zdobędzie. Całe laboratorium pracowało, by wymyślić metodę ochrony szyb myśliwca przed niszczącym działaniem promieni lasera. Po kilku nieudanych próbach Szmit jak zwykle zwołał naradę i po odrzuceniu paru innych pomysłów, które nie dawały nadziei na rozwiązanie problemu, jeden z młodych laborantów rzucił od niechcenia:

– Jeżeli nie mamy tworzywa sztucznego, które wytrzymałoby strzał laserowy, to zastosujemy metodę lustra weneckiego i niech laser odbija się jak od pancerza. – Szmit siedział zrezygnowany, ale gdy słowa młodego uczonego dotarły do jego uszu, wstał i nagle krzyknął z radości:

– Jesteś geniuszem. – I wybiegł z sali.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, wszyscy spojrzeli na młodego naukowca, jedni z podziwem, inni z zazdrością, ale dla naukowca ta chwila trwała godziny. To czerwienił się, to bladł pod spojrzzeniami kolegów i przełożonych pominiętych przy pochwalach, podczas gdy doceniono nikomu nieznanego laboranta. Ciszę przerwało nagle wtargnięcie Szmita.

– A panowie na co czekają? Do roboty!

Wszyscy zerwali się i niemalże stratowali w drzwiach Szmita. Ten tylko zaklął:

– Cholera. -1 też pobiegł za nimi do laboratorium. Na efekty ich pracy nie trzeba było długo czekać, gdyż technologia szkła weneckiego to nic trudnego. Do azotku srebra dodano także pewne ilości trytu, który miał wzmocnić szyby myśliwca. Szkło wykonane z takiego materiału dawało idealną przejrzystość od środka, a lustrzaną płaszczyznę od zewnątrz. Po trzech dniach myśliwiec gotowy był do testów. Jedyne elementy, których nie można było pokryć trytem, to antena i radar, ponieważ tryt odbijał każde promieniowanie. Dlatego też na wypadek zniszczenia podstawowego sprzętu zamontowano dodatkowe anteny wysuwane teleskopowo.

Szmit chciał jak najszybciej przystąpić do testów, jednak admirał kazał się wstrzymać do czasu, aż znajdą planetę, na której będą mogli się zaopatrzyć w surowce, a poza tym remont akceleratora jeszcze się nie skończył. Dowódca nie chciał być uziemiony, gdyby podczas orbitowania zostali zaatakowani przez obcych, bo bez sprawnego napędu czekałaby ich niechybna zagłada. Wolnym od pracy naukowcom kazał zająć się sprawdzeniem wszystkich możliwości trytu. Sprawa wyłapywania metalu nie była prosta, ponieważ w meteorytach występował w postaci drobin wielkości piasku. Znalezienie metody pozyskiwania trytu powierzono znowu Szmitowi, który wiedział, że nie jest to proste zadanie. Naukowiec postanowił trochę zdyskredytować przed kolegami młodego uczonego, którego niebacznie nazwał publicznie geniuszem, co przysporzyło mu tylko wrogów. Szmit wiedział, że młody naukowiec nie poradzi sobie sam z tym zadaniem, więc małe niepowodzenie nie zaszkodzi jego karierze, a pomoże w kontaktach z kolegami. Wezwał Marka Willisa – bo tak nazywał się młody uczonek – i zlecił mu to zadanie.

Willis wysłuchał Szmita, chętnie przyjął wyzwanie, podziękował za pokładane w nim zaufanie i wyszedł. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Szmit pomyślał: „Szkoda mi cię, chłopcze, ale robię to dla twojego dobra”.

Zanim skończył myśl, usłyszał pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedział. W drzwiach stanął Willis.

„Czyżby już doszedł do wniosku, że nie da sobie rady?” – pomyślał Szmit. – „Szybko jak na tak młodego naukowca, ale muszę grać swoją rolę”. I zapytał:

– Co się stało, Willis? Chcesz może pomocy?

– Nie – odparł chłopak. – Wiem, jak wykrywać tryt w meteorytach.

– Co? Co ty mówisz? – zdziwił się Szmit. – Już? Jak to możliwe? Opracowałeś już metodę?

– Sposób jest bardzo prosty. Niepotrzebnie szukaliśmy trytu w znalezionych meteorytach. Trzeba łapać tylko te meteoryty, które mogą zawierać tryt.

– A skąd będziesz wiedział, w których meteorytach jest tryt, a w których nie ma przed ich wyłapaniem?

– To też jest proste. Tryt jest kilka razy cięższy od złota, więc należy wyłapywać tylko te meteoryty, które mają dużą masę, a małe gabaryty. W nich musi być tryt.

Szmit pomyślał chwilę i powiedział do siebie:

– To naprawdę jest proste i zarazem genialne. – A Willisowi rzekł: – Dobry jesteś. Zatem idź do lotników i powiedz im, jak mają szukać, bo teraz tracą cenne paliwo i przywożą kamienie.

Gdy Willis wyszedł, Szmit pomyślał: „Muszę się dokładnie przyjrzeć temu chłopcu, bo to urodzony geniusz”

Po tygodniu stosowania metody Willisa, jak ją nazwano, wyłapano bardzo duże ilości trytu, tak że można było swobodnie przezbroić dziesięć myśliwców.

Tryt jako bardzo wytrzymały materiał poddawano różnym testom. Blachę trytową próbowano ciąć laserem, strzelać do niego, rozrywać materiałami wybuchowymi, ale metal

wszystko wytrzymał. Blachę grubości pięciu milimetrów przebito dopiero, gdy zastosowano pocisk trytowy kalibru dwanaście milimetrów. Wykonano go do działka kalibru pięćdziesiąt milimetrów i wypełniono materiałem wybuchowym. Pocisk wystrzelono w meteoryt o średnicy piętnastu metrów, ale nawet go nie zniszczył, tylko przebił na wylot i poleciał w kosmos, nie rozrywając się.

– Trzeba zmniejszyć grubość ścianek pocisku do półtora milimetra i trzykrotnie zwiększyć ilość materiału wybuchowego – powiedział Szmít. – Inaczej materiał nie rozerwie trytu.

Pocisk wykonano zgodnie z zamówieniem, a Willis kazał dodatkowo wyposażyć go w zapalnik czasowy z minutowym opóźnieniem. Wyszukano meteoryt o średnicy trzydziestu pięciu metrów i wystrzelono pocisk, który wbił się w meteoryt i poleciał razem z nim. Naukowcy, nie wiedząc o opóźnieniu zapalnika, zaczęli już pokpiwać z Willisa, że to niby geniusz, a nic nie wskórał. Meteoryt był już daleko, gdy Willis powiedział:

– Uwaga, teraz! – Wszyscy spojrzeli przez małe okienka w statku, na które wskazywał Willis. Potężny błysk

rozświetlił kosmos. Fala uderzeniowa była tak mocna, że mimo znacznej odległości dosięgła statku, trzęsąc nim wyraźnie. Na pokładzie natychmiast zarządzono alarm. Zdawano sobie sprawę, że przeprowadza się doświadczenia z bronią, ale nikt nie spodziewał się takiej eksplozji. Zaraz wezwano wszystkich naukowców na dywanik do admirała. I gdy wszyscy już się zebrali, padło pytanie:

– Kto odpowiada za to zamieszanie?

Koledzy Willisa pomyśleli: „No, teraz się Markowi dostanie” i wskazali go jako prowadzącego eksperyment. Admirał popatrzył na chłopaka i zapytał:

– Proszę mi powiedzieć, co mnie obudziło?

Willis w skrócie opowiedział o prowadzonych badaniach, o przewidywanej eksplozji i wytłumaczył, że zamontował detonator czasowy, bo obawiał się właśnie takiego efektu.

– Aha – przerwał mu admirał. – To znaczy, że gdyby nie pańska przezorność, to ten meteoryt eksplodowałby koło statku, rozrywając go na strzępy? – zapytał.

– To nie do końca tak. Wprawdzie spodziewałem się silnej eksplozji, ale miała być sto razy słabsza. W tym meteorycie musiało coś jeszcze być, że tak eksplodował.

– Tym razem nic się nie stało, ale na drugi raz wybuchy róbcie sobie na sprawdzonych meteorycach, nie chcę już takich niespodzianek.

Pomimo wysiłku eksperyment nie poszedł po myśli Willisa, ponieważ naukowiec nie poznał wyników doświadczenia zafałszowanego materiałem eksplodującym, który najwyraźniej był składnikiem meteorytu. Szansa sprawdzenia nowej broni zdarzyła się szybko. Z uwagi na intensywne prace badawcze i duże zużycie energii zapasy paliwa do reaktorów szybko topniały. W tym celu szukano i znaleziono planetę posiadającą duże zasoby rudy uranowej. Sama planeta była czerwona, pozbawiona atmosfery i usiana kraterami – zupełnie niezdatna do życia. Ekipa geologów wyruszyła promem po rudę uranową, ale cała załoga ciekawa była testów nowego myśliwca i broni. Myśliwiec sterowany zdalnie wyleciał z doków

bez przeszkód. Oddalił się dwa kilometry od statku i zatrzymał na wyznaczonej pozycji. Wtedy zaczęło się prawdziwe piekło – strzelano do niego z każdej możliwej broni, jaką dysponował Odkrywca. Promienie laserów odbijały się od kadłuba, a konwencjonalne torpedy nie mogły mu wyrządzić żadnej szkody. Przygotowano też drugi myśliwiec, wykonany z samego trytu – był większy, szybszy i lepiej uzbrojony od standardowych samolotów. Wewnątrz podzielono go na kilka sekcji, a każda z nich została szczelnie odizolowana od sąsiadującej. Dzięki temu przy bezpośrednim trafieniu myśliwca i przebiciu osłon z trytu powietrze nie uciekało w kosmos z całego statku, lecz tylko z jednej komory i myśliwiec nadal mógł walczyć. Za jego sterami usiadł Parker, który jako najlepszy pilot nie mógł przepuścić takiej okazji. Znowu zaczęto ostrzeliwać maszynę, używając wszystkiego, co posiadał w swoim arsenale Odkrywca. Na koniec strzelono z pocisku trytowego, starając się ominąć kabinę pilota.

Pocisk przebił jeden z boków myśliwca i wbił się w drugi, ale nie przeszedł na wylot. Po wylądowaniu Parker stwierdził, że w ogóle nie odczuł trafienia. Była to zasługa nowych amortyzatorów fotela w kabinie pilota oraz zwiększonej masy myśliwca. Parker miał jednak kilka zastrzeżeń do samej konstrukcji. Poprzez zwiększenie masy i zamontowanie większego silnika maszyna stała się mniej zwrotna. Dodatkowo Willis kazał zamontować drugą osłonę zbiorników paliwa oraz działko na pociski trytowe, które potrafią przebić na wylot wykonany z innego materiału pancierz. Prowadzone testy udowodniły szerokie zastosowanie trytu, co wiązało się z jego zapotrzebowaniem. Od tej chwili każdy szkolący się kadet czy pilot miał obowiązek brać udział w wychwytywaniu meteorytów w celu pozyskiwania trytu. To samo dotyczyło wszystkich przeszkolonych w lataniu członków załogi, którzy w wolnej chwili chcieli polatać i wylapywać trytowe meteoryty. Admirał na jednej z narad rzucił pomysł, by pięciomilimetrową blachą z trytu pokryć cały statek albo przynajmniej akcelerator, aby w czasie ataku obcych można było bezpiecznie się oddalić. Do tego konieczne były ogromne ilości metalu. Praca ta dawała potrzebne zajęcie załodze, która zaczęła nawet współzawodniczyć w tym, kto złowi meteoryt zawierający największą ilość trytu.

Tym razem popisał się znowu Marek Willis, którego od czasu wymyślenia nowych szyb do myśliwców nazywano Szczęściarzem. To on zgłosił się do pracy przy łowieniu meteorytów w wolnym czasie. Namierzył niewielki meteoryt o średnicy trzech i pół metra i przetransportował go do ładowni. Nic nie wskazywało, że to będzie rekord. Po oczyszczeniu bryły z zanieczyszczeń okazało się, że pod cienką warstwą kamienia błyszczy niemal czysty metal. Meteoryt zawierał osiemdziesiąt dwa procent czystego metalu – w sumie pięćset dwanaście ton. Powiadomiony o rekordzie admirał osobiście pogratulował Szczęściarzowi. Nigdy później nie znaleziono tak czystego meteorytu. Z tej okazji specjalnie wykonano odznakę Łowcy Trytu i Szczęściarz nosił ją z dumą. Przydzielono jeszcze jedną taką odznakę – dostał ją pilot, który spędził najwięcej czasu przy łapaniu meteorytów, zatem zwyciężył, rywalizując w ilości zdobytego metalu.

W laboratoriach prace nad wykorzystywaniem trytu trwały dalej nieprzerwanie. Liczeni chcieli określić dokładnie liczbę atomową pierwiastka i ustalono, że wokół jądra atomu trytu

kraży tysiąc trzysta elektronów. Wyselekcjonowano atom trytu i zaczęto jeden po drugim wytracać kolejne elektrony z atomu. Gdy oderwano już siedemset pięćdziesiąt z nich, stało się coś niepokojącego – atom zaczął drgać. Po oderwaniu kolejnych jego struktura zaczęła się zapadać. Elektrony samoczynnie wypadały ze swych orbit i zapadały się w jądro atomu. Najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej. Samo jądro skurczyło się jak supernowa tuż przed wybuchem. Nagle Szczęściarz zerwał się ze swojego fotela i krzyknął:

– W nogi! – Po czym rzucił się do ucieczki, a jego koledzy instynktownie zareagowali tak samo. Nagle silna eksplozja targnęła statkiem, na którym ogłoszono alarm. Gdy ratownicy dotarli do laboratorium, pomieszczenie było całkowicie zrujnowane. Nic nie pozostało w całości, jakby przeszedł tajfun i odrzucił wszystko pod ściany, łamiąc to i niszcząc. Na szczęście nie było ognia i to uratowało życie obsłudze. Sam Szczęściarz, mimo iż był najbliższą eksplozji, rzucony o ścianę jedynie złamał rękę i nabił sobie ogromnego guza na czole, co było do zniesienia, ale niestety w wypadku całkowicie stracił słuch. Po tygodniu Willis odzyskał siły, jednak słyszeć zaczął dopiero po trzech tygodniach od wypadku. W szpitalu miał czas na przeanalizowanie wszystkich czynności, które wykonywał, i zastanowienie się, w którym momencie popełnił błąd. Po trzech tygodniach poprosił admirała o możliwość powrotu do pracy. Usłyszał:

– Wykluczone, najpierw się wylecz, później raport, a dopiero potem zapadnie decyzja o dalszej pracy nad trytem.

Po przeczytaniu raportu Willisa Szmit nie krył zadowolenia. Trypt już był bardzo użytecznym materiałem, ale to, że stanowi ogromne źródło energii, było niemal cudem. Gdyby jeszcze zapanować nad taką energią, można by bez trudu nawet Słońce zdmuchnąć.

Gdy po miesiącu Szczęściarz wrócił ze szpitala do swojej kajuty, postanowił zaraz obejrzeć miejsce wypadku. Laboratorium zostało już wyremontowane, a nawet unowocześnione – po eksplozji nie było śladu. Jego stanowisko zostało oddzielone od reszty laboratorium grubą, centymetrową płytą trytową, zamontowano też kamery obserwujące stanowiska każdego pracownika laboratorium. Po powrocie Willisa prace nad procesem rozszczepiania trytu poszły bardzo szybko. Szczęściarz odkrył, że już po usunięciu siedemset czterdziestego piątego elektronu tryt samoczynnie zaczyna reakcję łańcuchową, choć dzieje się to bardzo wolno. Zabranie każdego kolejnego elektronu znacznie przyspiesza tę reakcję. Ustalono, że po usunięciu siedemset pięćdziesięciu elektronów reakcja następuje po minucie, gdy zabrano siedemset czterdziesty dziewiąty, eksplozja nastąpiła po trzech minutach, a przy siedemset czterdziestym ósmym tryt eksplodował po dziewięciu minutach, odejmowano po jednym, aż do siedemset czterdziestu czterech, kiedy tryt był już stabilny. Nie obeszło się bez testów. W tym celu wykonano pocisk z trytu o wadze siedmiu gramów i wielkości łebka od szpilki. Najwięcej miejsca zajął zapalnik, który ważył trzydzieści kilogramów. To wszystko załadowano do pocisku o kształcie torpedy i wystrzelono w nadlatujący meteoryt o średnicy osiemdziesięciu metrów. Wcześniej sprawdzono, czy meteoryt nie zawiera trytu, ponieważ to by zafałszowało wynik eksperymentu. Zapalnik ustawiono na dwadzieścia siedem minut, z których dwie

zmarnowano na procedurę nakierowania i wystrzelenia pocisku, przez pozostałe dwadzieścia pięć minut leciał już wbity w meteoryt pędzący w przeciwnym kierunku niż statek. Po upływie tego czasu nastąpiła eksplozja – wyglądała, jakby pojawiło się nowe Słońce, które po chwili zgasło, jednak fala uderzeniowa dotarła do Odkrywcy, mimo że ten był już daleko. Szczęściarz nie był zadowolony z eksperymentu, bo eksplozja była większa, niż się spodziewał. Przejrzał jeszcze raz wyniki badań meteorytu i okazało się, że przy zawartości trytu w bryle wpisane były śladowe ilości zamiast zera, którego się tu spodziewał.

– Kto zrobił ekspertyzę meteorytu? – zapytał, prawie krzycząc, wszystkich obecnych w laboratorium. I dodał: – To niedopuszczalne!

– Ja robiłam tę ekspertyzę – odezwała się Tania Riazowa. – Czy coś się stało? – zapytała.

– Tak, pani porucznik, co to znaczy „śladowe ilości”? Gdy pytałem, czy jest tam tryt, usłyszałem, że nie ma go wcale, teraz czytam, że był w śladowych ilościach.

– Śladowe ilości to mniej niż jedna stutysięczna procenta – odpowiedziała Tania.

– A wie pani, ile to jest trytu przy tak dużym meteorycie? Nie wie pani, to pani powiem. Sto trzydzieści kilogramów. I na dodatek nie wiem, ile z tego weszło w samą reakcję. Czyli po przeprowadzeniu eksperymentu dzięki pani wiemy o sile wybuchu trytu tyle, co przed eksperymentem, czyli nic.

– Willis, nie unos się – odezwał się Szmít, gdy zauważył, że zawsze roześmiane i wesołe oczy zaczęły się szklić od płaczu. Poza tym wszyscy lubili Tanię i Szmít nie chciał, by ktoś zauważył łzy w oczach pani porucznik. – To nie jest tylko jej wina, także nasza. Mogliśmy to przewidzieć.

Poza tym nawet gdyby był jeden kilogram trytu, wynik też byłby fałszywy, a nie ma możliwości wykryć tak niewielkiej ilości.

Willis pomyślał chwilę i rzekł:

– Ma pan rację, szefie, to nie jej wina, przynajmniej nie cała. Teraz będziemy musieli powtórzyć eksperyment, ale tym razem bez meteorytu. Detonujemy samą torpedę.

– No widzisz – powiedział Szmít. – Po co się zaraz złościć? Trzeba analizować błędy, poprawiać je i przede wszystkim do pracy, do pracy.

Tania popatrzyła na Szmita z wdzięcznością i oczyma podziękowała za ocalenie, bo niewiele brakowało, a wybuchnęłyby płaczem jak mała dziewczynka. Następnego dnia przygotowano nową torpedę i wystrzelono w kosmos. Zapalnik ustawiono na dziewięć minut i mimo małej ilości trytu eksplozja była duża, co dało pojęcie, jak potężną bronią może stać się ten metal. Siła wybuchu była porównywalna z eksplozją dwudziestu tysięcy ton trotylu, ale oprócz potężnej fali uderzeniowej i osłepiającego błysku eksplozja nie wywołała żadnego promieniowania i fali cieplnej.

Admirał był zadowolony z nowej broni, z nią mógłby przeciwstawić się każdemu statkowi w kosmosie. Jednak dowódca chciał znaleźć sposób na każde niebezpieczeństwo, myślał: *„Zniszczyć jeden prom kosmiczny to jedno, ale jeśli uderzy na niego kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt, to czy same torpedy trytowe wystarczą? Wróg może dysponować podobną bronią.*

Odkrywcy potrzebne są i inne atuty, jak nowe pole siłowe i mocne lasery".

4.

Pierwsze ślady obcych

Minęło już dziewięć miesięcy od chwili ruszenia w tę podróż. Czas biegł, a Odkrywca omijał kolejne planety i układy słoneczne, szukając domu dla swojej załogi. Nie natrafiono na żadną planetę, która by choćby w niewielkim stopniu spełniała wszystkie podstawowe wymogi przyszłych kolonistów. Nie znaleziono też żadnych śladów obcej cywilizacji, chociaż akurat z tego powodu admirał był zadowolony. Statek zatrzymywał się przy różnych planetach, zaopatrując się w wodę i tlen oraz rośliny i niemetale, natomiast metale uzyskiwano jako uboczny efekt zdobywania trytu.

Admirał siedział w fotelu na mostku i patrzył na migające gwiazdy, ale myślami był daleko. Z zadumy wyrwał go cichy alarm. Jakby nagle przebudzony ze snu zapytał nawigatora:

– No co tam?

– Wykryłem jakiś obiekt na naszym kursie.

– To go omiń. Nie wiesz, co robić?

– Ale ten obiekt na pewno nie jest naturalnego pochodzenia.

– A co to w ogóle jest? – zapytał admirał.

– To jakiś mały statek kosmiczny, a raczej jego wrak.

– No to łap go, na co czekasz? – krzyknął admirał i dodał: – Wezwać naukowców, niech oni się tym zajmą.

Gdy schwymano statek wiązką trakcyjną, od razu zauważono, że jest podziurawiony jak sito. W połowie długości niemal przełamany. Miał około pięćdziesięciu metrów długości, dlatego nie zmieścił się cały do ładowni. Admirał kazał przeciąć go w miejscu rozerwania i wiązką przetransportować do dwóch ładowni. Już po pierwszych oględzinach stwierdzono, że dziura o średnicy dwóch metrów z pewnością powstała na skutek zderzenia z meteorytem, który niemal całkowicie zniszczył mostek statku. W pierwszym raporcie było więcej przypuszczeń niż faktów. Prom zbudowany został ze stopów żelaza, niklu, tytanu, kobaltu i jeszcze kilku metali w mniejszych ilościach. Na mostku zachowała się część fotela pilota z tworzywa sztucznego o nieznanym składzie, a po jego rozmiarach stwierdzono, że pilot miał około dwóch i pół metra wzrostu i był dość smukłej budowy. To było wszystko, co wynikało z analizy mostka, który w osiemdziesięciu pięciu procentach uległ zniszczeniu.

Z instalacji w miejscu przełamania statku wynikało, że było tam coś na kształt reaktora, który najpewniej został wyrwany z pojazdu i odrzucony w kosmos. Z pewnością nie eksplodował, bo wtedy nic nie zostałoby ze statku, jednak najprawdopodobniej ten wybuch był przyczyną zniszczenia statku. Najważniejsze było jednak, że określając wiek statku na

podstawie rozpadu uranu w jego instalacjach, ustalono, iż pojazd dryfuje od kilku tysięcy lat. Fakt ten dawał do myślenia członkom załogi Odkrywcy, którzy uznali, że jeżeli kilka tysięcy lat temu jakaś cywilizacja miała taką technologię, to dzisiaj z pewnością jest jeszcze bardziej rozwinięta i być może to ta cywilizacja zniszczyła Ziemię. Po wraku można było stwierdzić, że w kosmosie odbyła się jakaś bitwa, co znaczyło, że obcy z wraku mają też potężnych wrogów. Pojawiła się również myśl, że ta sama rasa walczyła między sobą. Po przeprowadzeniu szczegółowej analizy ustalono, że statek obcych to coś w rodzaju promu. Był słabo uzbrojony, nie posiadał pola siłowego, przygotowano go dla sześciuosobowej załogi i miał duże, ale puste ładownie. W ich podręcznych magazynach znajdowało się dużo uszkodzonych części, co świadczyło, że nie został idealnie skonstruowany i często wykonywał loty. Znalezione też trochę nieuszkodzonych, a w magazynie jeden ważny element wyposażenia statku, który rzucił trochę światła na budowę anatomiczną właścicieli statku. Był to kompletny skafander do wykonywania napraw w kosmosie wraz z podręcznym zestawem narzędzi. Już po pierwszych oględzinach można było stwierdzić, że obcy nie byli ludźmi, ale niewątpliwie humanoidami. Hełm był dwa razy większy od ludzkiego, posiadał dwa iluminatory, jakby oczy obcego były daleko oddalone od siebie, w środkowej części twarzy musiał być narząd oddechowy, ponieważ rurki z butli biegły wokół piersi do miejsca łączenia hełmu ze skafandrem. Całość stroju miała ponad dwa i pół metra. Obcy byli szczupłymi istotami o długich rękach i nogach, mierzyli około dwustu trzydziestu do dwustu czterdziestu centymetrów. W butlach zachowały się szczątkowe ilości gazu, którym oddychali, i okazało się, że ten niczym się nie różni od powietrza.

Gdy uczeni badali skafander obcych, nadszedł Swen Larsen, który był chyba najwyższym członkiem załogi, a na pewno najszcuplejszym, i gdy go zauważono, ktoś dla żartu krzyknął:

– O, nasz obcy! – Rozległ się śmiech.

Szczęściarz, będący w ekipie badaczy wraku, zawołał:

– Swen, chodź do nas.

– A co, nie macie się już z kogo naśmiewać? – z wyrzutem zapytał Larsen.

– Nie złość się, tylko wkładaj skafander – odpowiedział Szczęściarz.

Znowu rozległ się śmiech obecnych. Larsen popatrzył na nich, potem na Szczęściarza, który w ogóle się nie śmiał, pomyślał: „A co mi szkodzi” i już chwycił za skafander. Nagle wszyscy zaczęli mu bez słowa pomagać i doradzać. Po piętnastu minutach Larsen był całkowicie ubrany. Skafander leżał na nim jak ubranie starszego brata. Mężczyzna stał tak ubrany, gdy nagle otworzyły się drzwi i weszli Szmit, admirał, Tania Riazowa i Parker, którzy chcieli obejrzeć skafander, nie przeczuwając nawet, że w środku znajduje się Larsen. Nie mógł się ruszyć, by nie zdradzić swojej obecności, zwłaszcza że przybyli uważnie przyglądali się skafandrowi. Po kilku minutach wszyscy zaczęli wymieniać swoje opinie na jego temat, zupełnie zapominając o Larsenie, który pocił się strasznie. Gdy już nie mógł wytrzymać, szturchnął Willisa, by go oswobodził. Jego gest zauważyła Tania i krzyknęła, wskazując na skafander:

– To żyje! – Gdy wszyscy spojrzeli na ubiór, Larsen już zdejmował hełm. Szczęściarz, trochę zły, że Larsen się zdradził, podszedł do niego, by mu pomóc, skoro i tak wszystko się wydało. Gdy już zdjęli hełm i pokazała się głowa Larsena, ten, łapiąc powietrze, powiedział:

– Nareszcie, na co tak długo czekaliście? Chcielibyście, abym się udusił?

Wszyscy zaczęli się śmiać, tylko Tani nie było do śmiechu, bo rozweselenie wywołał przecież jej krzyk przerażenia. Admirał też się śmiał i powiedział do Szczęściarza:

– Willis, ty to kiedyś zbierzesz za te swoje kawały, a Tania cię kiedyś udusi, zobaczysz.

Po wysłuchaniu szczegółowego raportu o znalezisku admirał kazał zabrać ze statku wszystko, co mogłoby się przydać do dalszych badań, a sam kadłub porzucić na jakiejś planecie, tak by nikt go nie znalazł. Zrzucano wrak na dużą gazową planetę wielkości Jowisza, która szybko pochłonęła mały stateczek, przetapiając go na jednolitą bryłę, tak że przypominał bardziej jajo dinozaura niż statek kosmiczny. Życie na Odkrywcy wróciło do normy. Laboratoria pracowały pełną parą. Prace nad wykonywaniem nowych osłon z trytu dawały zajęcie pilotom. Blachą trytową pokryto wszystkie myśliwce, które wraz z tym w całości wykonanym z cennego metalu stanowiły jedyną siłę ofensywną statku. W planach było zbudowanie eskadry myśliwców z trytu, ale dopiero po pokryciu nim całego Odkrywcy. To wymagało stałych dostaw trytu, więc myśliwce ciągle zajęte były wyłapywaniem meteorytów, gęsto przelatujących obok statku. Część załogi zajmowała się zakładaniem już gotowych płyt trytowych, osłaniających akcelerator od zewnątrz, utrzymując kontakt ze statkiem tylko za pomocą lin. Płyty trytowe

O grubości pięciu milimetrów i powierzchni czterech metrów kwadratowych mocowano nitami z tego cennego metalu do istniejących już stalowych osłon. Na obudowę samego akceleratora potrzeba ich było niemal dwanaście tysięcy sztuk, a na cały statek prawie pięćset tysięcy, więc zadań było dużo, ale i chętnych nie brakowało, bo wszyscy woleli pracę niż nudę i bezczynność. Były dni, że na zewnątrz pracowało nawet sześćdziesięciu ludzi

1 używano wszystkich myśliwców, które dostarczały materiał i powietrze dla pracowników. Działania przy osłonach posuwały się szybko i sprawnie, wszyscy zdawali sobie sprawę z ich znaczenia i na efekty nie trzeba było czekać zbyt długo.

5.

Nowe życie

Admirał odpoczywał w swojej kabinie, oglądając filmy zabrane z Ziemi, czasami słuchał muzyki, która uspokajała go i pozwalała oderwać się od problemów dowodzenia taką rzeszą ludzi. Nagle lekkie pukanie do drzwi wyrwało go z zadumy.

– Proszę – powiedział i wziął do ręki książkę raportową, którą zamierzał przestudiować, ale jakoś nie miał na to ochoty. W drzwiach stanęła Joanna Tein, lekarz i psycholog.

– Mogę wejść? – zapytała, a gdy usłyszała pozwolenie, weszła i usiadła na wskazanym miejscu.

– Co panią do mnie sprowadza?

– Muszę powiadomić pana o czymś, co niedawno odkryłam, i nie wiem, jak to panu przekazać.

– Proszę mówić śmiało i bez ceregieli, przecież jestem tu między innymi po to, żeby rozwiązywać problemy załogi.

– Otóż podczas rutynowych badań odkryłam – ciągnęła powoli doktor Tein – iż jedna z techników jest w drugim miesiącu ciąży.

Admirał aż zaniemówił na chwilę. Wprawdzie spodziewał się tego i nawet chciał, żeby na statku były dzieci, ale gdy o tym usłyszał, poczuł się zbity z tropu. Nie wiedział, jak się zachować: cieszyć się czy też złościć. Po chwili zapytał lekarzkę:

– A pani jako psycholog co o tym sądzi?

Pytanie dowódcy bardzo zaskoczyło lekarzkę, ponieważ spodziewała się raczej wybuchu gniewu lub innej, ale na pewno bardziej przykrej reakcji.

– Wie pan – zaczęła niepewnie – nie mam wyrobionego zdania na ten temat, ale myślę, że jest to niedopuszczalne na statku kosmicznym. Tu nie ma odpowiednich warunków, aby wychowywać dzieci, i uważam, że powinniśmy rozważyć możliwość dokonania aborcji, nawet wbrew woli matki. Jako lekarz jestem całkowicie przeciwna usuwaniu ciąży, ale jaką przyszłość miałoby takie dziecko na statku kosmicznym, który na dodatek stał się statkiem wojennym?

– Proszę przyprowadzić ją do mnie i dowiedzieć się, kto jest ojcem dziecka. Czy ona zna wyniki badań? – Gdy usłyszał przeczącą odpowiedź, kazał powiadomić o tym przyszłą matkę. Lekarce nakazał dyskrecję i wytłumaczył, że sam musi to przemyśleć. Gdy Tein wyszła, admirał wezwał do siebie całe dowództwo statku. Chciał poznać zdanie innych oficerów, mimo że sam już podjął decyzję w tej sprawie. Po zebraniu się wszystkich admirał zaznajomił ich z sytuacją i poprosił każdego o opinię.

Zapanowało milczenie. Nikt nie chciał zabrać głosu w tak ważnej sprawie jako pierwszy. Admirał wyczuł to i postanowił zmusić ich do wypowiedzenia się.

– Leno, może ty pierwsza wyrazisz swoją opinię. Co o tym sądzisz?

Lena, trochę zaskoczona i zmieszana, nie chciała brać na siebie takiej odpowiedzialności. Pomyślała, że odbije piłeczkę i wskaże Parkera, kapitan zawsze coś wymyśli – jest bystry i nie owija w bawełnę.

– Może najpierw kapitan Parker się wypowie. Ja jestem kobietą i nigdy nie pozwolę przeprowadzić na sobie aborcji, więc nie mogę być obiektywna.

Parker również był nieco zaskoczony, gdy usłyszał swoje nazwisko, ale przywykł już do podejmowania szybkich decyzji, zatem wstał, pomyślał chwilę i podszedł do stojącego przy oknie admirała, który oglądał gwiazdy.

– Panie admirale, ja uważam, że na statku należy stworzyć warunki do tego, by załoga

mogła normalnie żyć, i musimy liczyć się z takimi sytuacjami, więc jestem całkowicie przekonany, że dziecko powinno się urodzić. Zwłaszcza że nie wiemy, czy nie jesteśmy jedynymi żywymi ludźmi w kosmosie, dlatego każde życie musimy szanować, nawet jeśli jest nieplanowane. To jest moje zdanie i nikt mnie nie przekona do jego zmiany.

Admirała nieco zaskoczyła stanowczość Parkera, ale w duchu cieszył się z tego.

– Teraz proszę o wypowiedź...

– Ja jestem tego samego zdania, co kapitan Parker – przerwała admirałowi Lena, po czym nieco zawstydzona swoim wybuchem entuzjazmu szybko ucichła. Wypowiedzi reszty załogi były podobne, a na koniec głos zabrał admirał.

– Myślę podobnie jak wy, ale muszę zaznaczyć, że statek nie może zamienić się w kosmiczny żłobek. Nie ma mowy, by odbywało się to spontanicznie i bez żadnej kontroli. Wprawdzie nie mogę tego zabronić, ale chciałbym, by było to uregulowane w cywilizowany sposób. Musimy wprowadzić kilka zasad, którymi należy się kierować. Oczywiście mogą zdarzyć się odstępstwa, ale naprawdę nie chciałbym, by było ich zbyt dużo. Proponuję przyjęcie regulaminu, według którego powinny być załatwiane tego typu sprawy. Zatem po pierwsze dzieci mogą rodzić się tylko w związkach małżeńskich – będziemy udzielać ślubów. Po drugie liczbę dzieci w małżeństwie musimy ustalić z góry na nie więcej niż dwoje, bo mamy mało miejsca, a i ktoś musi się zająć wychowaniem i nauczaniem. Po trzecie każde małżeństwo powinno jak najszybciej powiadomić swojego przełożonego o spodziewanym potomku, by na czas macierzyństwa znaleźć zastępstwo na swoim stanowisku pracy. Resztę dopracujecie sami. Może to nie są zbyt moralne reguły, ale w naszej sytuacji konieczne. Proszę doktora Zindberga, by zajął się zorganizowaniem porodówki. Jeśli chodzi o dzisiejsze ustalenia, proszę zachować dyskrecję. W odpowiednim czasie sam powiadomię resztę załogi.

Nazajutrz, gdy admirał pił poranną kawę, usłyszał pukanie do drzwi. Nie zdziwił się, ponieważ oczekiwał doktor Tein i kobiety, która spodziewała się dziecka. Lekarka przedstawiła admirałowi ciężarną:

– To jest pani Zofia Wagner, technik astrofizyk.

Admirał spojrzał na dziewczynę i zwrócił się do doktor Tein:

– Proszę zostawić nas samych.

Gdy za lekarką zamknęły się drzwi, admirał kazał dziewczynie usiąść i sam usiadł naprzeciwko niej.

– Zna pani regulamin w tej sprawie?

– Tak – odparła cicho.

– Złamała pani zasady, a na statku kosmicznym to jest niedopuszczalne – ciągnął ostro admirał. – Kto jest ojcem dziecka? – zapytał.

Po chwili wahania dziewczyna odpowiedziała:

– Tom Rikardson, kolega ze zmiany. Razem pracowaliśmy...

– No i dorobiliście się – przerwał jej admirał – nie ma co. Już widzę efekty waszej pracy. W astrofizyce nie chodzi o to, by powiększać stan załogi statku, no chyba że niedawno coś się

zmieniło i ja jeszcze o tym nie wiem? A może pani ma inne zdanie na ten temat?

Dziewczyna milczała, w jej oczach admirał zauważył łzy. Poruszyło go to trochę, bo jego serce nie było z kamienia. Sam nie miał dzieci, ale czasami myślał o tym, by kiedyś założyć rodzinę.

– Czy kochacie się z tym Rikardsonem?

– O tak, bardzo – wyrwało się dziewczynie.

„Oczywiście” – pomyślał admirał – „kto by nie kochał tak ładnej dziewczyny”, a głośno zapytał:

– A gdzie on teraz jest?

– Za drzwiami – odparła dziewczyna.

– To proszę go zawołać.

Dziewczyna wstała i otworzyła drzwi, za którymi stał Rikardson.

– Wejść – powiedziała cicho.

Rikardson wszedł i zameldował się regulaminowo.

– Spocznij – powiedział admirał. – Wiesz, że będziesz ojcem?

– Tak, dziś się dowiedziałem.

– I co masz do powiedzenia w tej sprawie?

– Proszę o rękę Zofii – wypalił. Admirał aż się zaśmiał.

– A ty myślisz, że ja jestem jej ojcem? Nie ode mnie zależy, czy ona za ciebie wyjdzie, ją poproś.

– Ona już się zgodziła – poinformował Rikardson.

– Szybko to ustaliliście, bardzo szybko – powiedział admirał.

– Proszę o pozwolenie na ślub – wypalił znowu Rikardson.

Admirał odwrócił się do niego i zapytał:

– Jakie masz stanowisko?

– Jestem pilotem w drugiej eskadrze i astrofizykiem – padła odpowiedź.

– Dobrze, zgadzam się, ale ślub ma się odbyć szybko, zanim rozejdzie się wieść, że Zofia jest w ciąży.

– To może jutro? – rzucił Rikardson.

Admirał pomyślał chwilę i rzekł:

– To niemożliwe, kucharze nie zdążą przygotować uczytu weselnej. Ślub odbędzie się za trzy dni i ja go wam udzielenie. To jest moja powinność.

– Dziękujemy, panie admirale – krzyknęli oboje i rzucili się sobie w objęcia. Po chwili Rikardson zwrócił się do admirała:

– Zapraszamy pana na wesele.

– No ja myślę – powiedział admirał. – Teraz zameldujecie się u przełożonych, poinformujcie wszystkich o swoim ślubie, a ja daję wam urlop na załatwienie wszystkich spraw.

Gdy ucieszona para wyszła, za drzwiami dał się słyszeć ich radosny śmiech. Admirał

zadowolony był, że powiększy mu się załoga, zdawał sobie sprawę, że ci ludzie są wszystkim, co pozostało ze starej planety. Przeczynał, że na Ziemi stało się coś strasznego, ale nikomu nie mówił o swoich przypuszczeniach.

Ślub odbył się w sali obok stołówki, a uczta weselna na samej stołówce. Ubrany w galowy mundur admirał udzielił ślubu, a potem młoda para przeszła do sali balowej pod szpalerem z uniesionych szabel oficerów myśliwców. Tłum weselnych gości wiwatował na cześć pary młodej. Oficerowie i żołnierze ubrani byli w galowe mundury, cywile założyli garnitury lub fraki, natomiast kobiety bez wyjątku wybrały suknie balowe. Para młoda zajęła miejsce pośrodku koła zrobionego ze stolików, a goście co chwilę podchodzili, składali życzenia i obdarowywali ich drobnymi upominkami. Wieść o ślubie szybko rozeszła się po statku, ale o tym, że panna młoda spodziewa się dziecka, wiedziała tylko nieliczna grupa osób, które zobowiązane były do milczenia. Admirał składał życzenia jako ostatni i po krótkiej przemowie zawołał podoficerów, którzy wnieśli pięknie wykonaną drewnianą kołyskę, ozdobioną złotem i platyną, i zawiadomił wszystkich, że para młoda spodziewa się potomka. Wiadomość ta wywołała jeszcze większą wrzawę. Następnie admirał powiadomił o decyzji dowództwa w sprawie zawierania małżeństw, ale dodał, że ma się to odbywać zgodnie ze specjalnie opracowanym regulaminem. I oczywiście nie wszyscy naraz.

Miesiąc po weselu, gdy wszystko wróciło do normy, aż sześć par poprosiło o pozwolenie na ślub, na co admirał wyraził zgodę. Później śluby odbywały się coraz rzadziej, co było normalne z uwagi na ograniczoną liczbę załogantów. Po siedmiu miesiącach od ślubu Rikardsonom urodził się syn, któremu nadano imię Jan, i na statku znowu zawrzało, bo każdy chciał zobaczyć pierwszego człowieka urodzonego w kosmosie. Mały Jasio dostał mnóstwo prezentów – między innymi przydział do eskadry pilotów, którzy byli najbardziej dumni, jako że jego ojciec był ich kolegą z eskadry, a to niemalże jak rodzina. Dwa miesiące później na statku znowu przyszedł na świat chłopiec, potem jeszcze jeden. Dopiero czwarta z kolei urodziła się dziewczynka, której nadano imię Gwiazdka, a załoga już zaczęła ją swatać z Jasiem. Wszystkie dzieci były zdrowe i wesole, może dlatego, że na statek mogły trafić jedynie osoby o doskonałym zdrowiu fizycznym i psychicznym. Przestrzegano tego skrupulatnie i bez wyjątków. Największym zaskoczeniem był fakt, że najładniejsza dziewczyna na statku, Tania Riazowa, razem z Markiem Willisem zgłosiła się u admirała po pozwolenie na ślub. Dowódca był całkowicie zaskoczony tą sytuacją, bo myślał, że nie utrzymują ze sobą kontaktów poza kilkoma spotkaniami w szerszym gronie, a jak pamiętał, Willis na jednym z nich strasznie nakrzyczał na Tanię, która według niego zaważyła eksperyment.

– Ty naprawdę jesteś szczęściarzem – zwrócił się do Willisa. – Żenisz się z najładniejszą dziewczyną na statku, do której wzdycha połowa męskiej załogi, bo druga jest już żonata albo jak ja – za stara na żeniaczkę. A ty bierzesz, co najlepsze – żartował admirał.

Zgodę oczywiście dostali, ale admirał nie wytrzymał i zapytał:

– Jak się dogadaliście? Bo wiem, że wasze pierwsze kontakty nie były zbyt sielankowe.

Tania zaczęła mówić, że na weselu Rikardsonów Marek poprosił ją do tańca, przeprosił za

swoje zachowanie na naradzie oraz przy próbach z nową bronią i od tej chwili spotykali się dosyć często.

Willis chciał jeszcze coś dodać, ale admirał przerwał mu w pół słowa.

– Ciebie nie pytam, bo jesteś szczęściarzem, a poza tym kto by odrzucił miłość tak pięknej i miłej dziewczyny. Kiedy chcecie wziąć ślub? – zapytał.

– Jak najszybciej – odpowiedział Willis.

– No jakże miało być inaczej – skomentował dowódca i dodał: – Za tydzień może być?

Młodzi podziękowali i wyszli. Tydzień później odbyła się kolejna wielka gala i zabawa na statku, były gratulacje i prezenty, ale też kilka złamanych serc.

6.

Nowe możliwości

W laboratoriach intensywnie pracowano nad skonstruowaniem urządzenia do przesyłania przedmiotów na odległość, co nie było sprawą prostą, bo należało najpierw rozbić dany przedmiot na cząstki elementarne, następnie zmienić w strumień energii, przesłać na odległość i zmaterializować.

Po pewnym czasie udało się przeobrazić przedmiot w wiązkę energii, ale z powodu braku urządzenia do jej materializacji energia ta rozproszyła się w powietrzu wyrzucanym na zewnątrz statku. Nie pomogły szczelne kabiny, ponieważ zdematerializowane przedmioty osiadały w postaci kurzu na ścianach pomieszczenia. Już wszystkim opadły ręce i mieli zrezygnować z prób przesyłania materii, gdy Szczęściarz zaproponował, by zorganizować burzę mózgow. Chodziło o to, by zebrać wszystko, co do tej pory zrobiono, i pomyśleć, co z tym można zrobić. Pomysł był dobry, zwłaszcza że nikt nie miał lepszego. Zebrał się cały zespół i gadali tak jeden przez drugiego, ale nikt nie znalazł rozwiązania. Główny konstruktor Szmít wszedł w trakcie żywej dyskusji i słuchał uważnie. Przyglądał się rozmawiającym, a w końcu usiadł razem z nimi i podrzucając swoje spostrzeżenia, próbował wnieść coś do dyskusji. Po dwóch godzinach rozmowy ucichły – nikt nie miał konkretnego pomysłu, co dalej. Wszystkie propozycje Szczęściarz odrzucał słowami: „Niemożliwe do wykonania”, „Nie mamy takiej technologii” czy „Brak nam takiego sprzętu”. Wreszcie powiedział:

– Panowie, potrzebujemy promieniowania, które pomogłoby utrzymać rozbitą materię w postaci energii w jednym miejscu chociaż przez krótki czas, by można to zmaterializować bez straty tej energii lub jej zamiany w inną formę.

Szmít wstał i powiedział:

– Zastosujcie coś w rodzaju kodu genetycznego pierwiastków.

– Nie mamy nic takiego – odrzekł Szczęściarz.

– No to opracujcie taki kod, jesteście przecież naukowcami – odpowiedział konstruktor i

wyszedł.

Naukowców podzielono na kilka niezależnych zespołów pracujących każdy nad innym rodzajem promieniowania i zajmujących się kolejnymi pierwiastkami. Na efekty ich pracy nie trzeba było długo czekać. Już po tygodniu widoczne były postępy, które zwiastowały przełom w dziedzinie przesyłu przedmiotów na odległość. Ustalono, że fale radiowe przepuszczone przez katalizator siarczanu żelaza tworzą wiązkę promieni rozkładających tylko przedmioty wykonane z żelaza, a inne przedmioty nie reagują na takie promieniowanie. Postanowiono przeprowadzić eksperyment, jako przedmiot przesyłu biorąc pióro Szmita, które tylko częściowo było wykonane z żelaza. Skierowano na nie wiązkę promieni o odpowiedniej częstotliwości, przepuszczając je przez katalizator. W drugim miejscu, gdzie pióro miało się zmaterializować, stworzono coś w rodzaju pola magnetycznego, mającego utrzymać zmaterializowane żelazo w miejscu. Po włączeniu promiennika części metalowe pióra znikły i zostały przesłane, a w stworzonym polu magnetycznym znajdowała się kupka materii w stu procentach składająca się z żelaza. Gdy wyłączono pole magnetyczne, lekki podmuch z klimatyzacji zdmuchnął kupkę ze stołu.

Szmit popatrzył przez chwilę i powiedział:

– Bardzo dobrze, a nawet jeszcze lepiej.

Wszyscy jednak wiedzieli, że próba się nie powiodła.

– Jak to dobrze? Przecież nam się nie udało. Nie o to nam chodziło w tym doświadczeniu.

– Teraz opracujcie katalizator dla trytu. Słuchajcie, po co mamy latać myśliwcami, wylapywać meteoryty, rozbijać je i wytapiać z nich tryt, skoro możemy taką wiązką wydobyć czysty tryt z przelatującego meteorytu, nie tracąc ani jednej kropli paliwa? Przecież to jest genialne. Nie sądzicie? Tryt można kierować wprost do pieca w postaci proszku i przetapiać. – Szmit był dumny ze swojego pomysłu, a Szczęściarz rzucił za nim:

– Taki emiter może też być doskonałą bronią do niszczenia zawierających żelazo korpusów statków. – Jednak tego Szmit już nie słyszał. Willis dodał tylko: – Muszę zgłosić to jako mój patent.

Szczęściarz odwrócił się do kolegów, którzy z ustami otwartymi ze zdziwienia patrzyli na Willisa – konstruktor zaraz po genialnym pomysle Szmita znalazł równie genialne zastosowanie jego wynalazku jako broń ofensywną, bardzo potrzebną admirałowi.

– Co tak patrzycie? – rzucił Willis. – Do roboty, trzeba znaleźć katalizator dla trytu i innych pierwiastków, a i emitera też nikt za was nie robi.

Prace nad budową emitera energii do teleportera trwały nadal, ale Szczęściarz konstruował emiter dużej mocy, tak by można było podłączyć go do akceleratora energii dającego maszynie wielką moc. Inną sprawą było stworzenie takiej luki w polu magnetycznym chroniącym hangar statku przed ucieczką atmosfery przy startujących myśliwcach, aby można było przez nią skierować strumień promieniowania na wybrany meteor lub wiązkę niszczącą wrogi statek. Gdy emiter gotowy był do pierwszej próby, przeniesiono go do ładowni i podłączono do źródła energii. Następnie zmniejszono moc pola magnetycznego utrzymującego atmosferę w ładowni

i wycelowano emiter w zbliżający się meteoryt. Przygotowano też wcześniej pomieszczenie z silnym polem magnetycznym, a w nim pompę ssącą, która zasysałaby uzyskany tryt do pieca rozgrzanego do odpowiedniej temperatury. Włączyli emiter, a po dziesięciu minutach go wyłączyli. Czekali na wiadomość od obsługi pieca, ponieważ cały proces przesyłu niemożliwy był do zauważenia gołym okiem. Tylko po efektach można było stwierdzić, czy eksperyment się powiódł. Wreszcie dostali informację, że piec jest w dziewięćdziesięciu czterech procentach wypełniony czystym trytem. Wszyscy odetchnęli z ulgą. To daje jedenaście ton metalu za jednym razem. Taką ilość czystego trytu dostarczano co trzeci dzień, a pracować przy tym musiało przynajmniej dwudziestu ludzi. Sukces był niewątpliwy, a laury zebrali przede wszystkim Szmit jako pomysłodawca projektu i Szczęściarz jako prowadzący akcję od początku. W ten sposób skończyły się czasochłonne i energochłonne loty myśliwcami. Nowa metoda okazała się na tyle skuteczna, że nawet gdy meteoryt nie wykazywał lub wykazywał śladowe ilości trytu, to przy jego dużych rozmiarach pozyskiwano znaczne ilości metalu. Piloci zostali teraz skierowani do pracy przy montażu gotowych płyt pancerza statku, co znacznie przyspieszyło zakończenie tych działań.

Wypróbowano też nową, wymyśloną przez Szczęściarza broń. Do pojemnika z blachy trytowej włożono śmieci oraz inne odpadki i wyrzucono go w kosmos. Wycelowaną wiązką strzelono w pojemnik. Efekt był natychmiastowy. Pojemnik zniknął zupełnie, a śmieci poleciały w kosmos. To samo doświadczenie przeprowadzono przy użyciu innych metali mogących być budulcem statków kosmicznych. Wszystkie próby powiodły się znakomicie. Admirał kazał zbudować duże emitery do dezintegracji trytu, żelaza i tytanu i zamontować je w różnych częściach statku, by w razie uszkodzenia jednego z nich inny mógł prowadzić walkę.

W laboratoriach trwały prace nad skonstruowaniem emitera do przesyłu związków chemicznych, ale nie zaobserwowano spodziewanych efektów. Przesyłane związki stawały się kupką luźnych minerałów. Głównym problemem było stworzenie procedury zachowania wiązań międzycząsteczkowych po ich rozpadzie w strumieniu energii. Przełom w wiązaniach dało dopiero rozciągnięcie fal emitera do pewnej wielkości, a zarazem zmniejszenie natężenia przesyłanych fal, co spowodowało rozciągnięcie wiązań między atomami na tyle, by można je było przesłać w postaci strumienia energii tak, by nie pozrywać ich na stałe. Po przesłaniu przedmiotu rozciągnięte wiązania powracały do dawnej postaci, a przedmioty zachowywały ten sam kształt.

Gdy powiadomiono o sukcesie w przesyłaniu przedmiotów, admirał rzekł:

– Jak prześlecie mi żywy organizm, to dopiero będziecie mogli mówić o sukcesie.

Do dyspozycji dostali zebrane na pierwszej planecie jelonki rogacze. One same bardzo dobrze czuły się w terrarium. Były to jedyne żywe okazy fauny na statku i każdy z nich miał nawet swoje imię.

Załoga laboratorium biologicznego podniosła raban, ponieważ jej członkowie nie chcieli się z nimi rozstawać. Jednak ich lamenty nie pomogły, musieli oddać kilka sztuk dla celów naukowych. Musiał po nie przychodzić sam Szmit, bo każdego laboranta wyrzucano z hukiem.

Konstruktorowi też się oberwało i mimo wysokiego stanowiska posypały się za nim określenia typu „morderca”, „sadysta” i „człowiek bez serca”. Ten tylko się zaśmiał i wyciągnął cztery sztuki z terrarium, a na odchodnym powiedział:

– Nie powinniście się zbytnio przywiązywać, bo badania i tak trzeba zrobić, a lepiej, by to były jelonki niż ludzie.

Na koniec usłyszał, że niech sam się teleportuje, jak chce przeprowadzać eksperymenty.

Jeden jelonek musiał zginąć od razu. Należało go zbadać i wprowadzić do komputera dane o wiązaniach międzycząsteczkowych. Nie było to łatwe, ponieważ każda komórka jelonka składała się z kilku lub nawet kilkunastu pierwiastków, takich jak węgiel, wapń, woda czy żelazo. Po setkach prób i doświadczeń wreszcie zakończono programowanie komputera i można było przystąpić do prób na żywym organizmie. W tym celu wybrano największego jelonka o imieniu Gucio, ale żuczek, jakby przeczuwając podstęp, nie chciał ani na chwilę zatrzymać się w jednym miejscu. Dlatego też przywiązano Gucia nitką do pudełka z trytu, które też zamierzano teleportować. Gdy wszystko było gotowe, włączono teleporter i nagle Gucio wraz z pudełkiem zniknęli, a pozostała po nich jedynie nitka, którą zapomniano zakodować do przesyłu, oraz kupka niezidentyfikowanej substancji. Po chwili wszyscy znowu ujrzeli Gucia i pudełko. Jelonek nie był już przywiązany nitką, ale pozostawał nieruchomy, jakby nie żył. Fakt, że zawsze ruchliwy Gucio pozostawał w miejscu, zmartwił wszystkich, dlatego uznano, że nie żyje i eksperyment się nie powiódł. Dopiero gdy jeden z laborantów podszedł i dotknął palcem żuczka, ten wyrwał do przodu jak oparzony i przebiegając szybko nóżkami, zniknął z pola widzenia. Następnie skrył się pod szafą i za żadne skarby nie chciał stamtąd wyleźć. W końcu jeden z biologów asystujących przy eksperymencie przyniósł zielony listek, przysmak jelonków, położył go na środku pomieszczenia i kazał się wszystkim odsunąć. Gucio najpierw wystawił czułki spod szafy, a gdy stwierdził, że nic mu nie grozi, podbiegł szybko do listka i zaczął się nim zajadać. Wtedy Szczęściarz bez trudu pochwycił żuczka. Badania na jelonku utwierdziły wszystkich w przekonaniu, że można przysyłać organizmy żywe bez szkody dla ich zdrowia. Doświadczenia powtarzano wiele razy, za każdym razem poprawiając parametry teleportera. Badano też, czy przysyłanie wielokrotnie wpływa na zdrowie osobnika, ale wyniki zawsze były dobre. Może po kilku latach wystąpią jakieś efekty uboczne, ale tego nie da się teraz przewidzieć ani sprawdzić. Dopiero gdy naukowcy chcieli przesłać dwa jelonki naraz, otrzymali straszne efekty. Tkanki dwóch zwierząt zespoliły się w jedno, które żyło tylko chwilę, a po chwili zdechło. Sekcja potwierdziła, że emiter połączył te same komórki obydwu osobników w jeden organizm. Stracono dwa jelonki o imieniu Jasio i Brutus, ale nie na darmo. Ten fakt uświadomił naukowcom, że przesył organizmów żywych może okazać się niebezpieczny.

Gdy Szczęściarz poszedł po dwa nowe okazy, niemal został pobity przez biologów za zabicie Brutusa i Jasia. Spokornieli dopiero, gdy wytłumaczył im, że śmierć tych jelonków przyczyniła się do uratowania wielu ludzi, którzy w imię nauki zgłosili się do teleportacji. Kilka takich górnolotnych pochwał i obietnic pozwoliło Szczęściarzowi bezpiecznie wyjść z nową

parą jelonków. Szybko ustalono, iż błąd polegał na tym, że nie wprowadzono do komputera wiadomości o kodzie genetycznym jelonków, który był dodatkowym filtrem, innym dla każdego osobnika. Razem z biologami ustalono kody genetyczne dla Jacka i Placka, dwóch następnych jelonków, nie pomijając najmniejszego szczegółu. Doświadczenie powiodło się, więc przeprowadzono jeszcze kilkaset takich teleportacji i wszystkie były udane. Dopiero wtedy wyniki badań przedstawiono dowództwu.

Admirał pogratulował naukowcom, ale zaraz rzekł:

– Teraz spróbujcie z ludźmi, ale tylko z ochotnikami. Nikogo nie będę zmuszał. – Po czym zwrócił się do Szczęściarza: – Tobie nie wolno się zgłaszać. Tania nigdy by mi nie darowała, gdyby coś ci się stało.

Mimo zapewnień o bezpieczeństwie eksperymentu nikt się nie zgłosił po ogłoszeniu komunikatu. Członkowie załogi słyszeli, co stało się z jelonkami, dlatego nie chcieli tak ryzykować w imię samej nauki. Gdy zdesperowany Szczęściarz sam chciał się teleportować wbrew rozkazom admirała, do laboratorium weszła doktor Tein i powiedziała:

– Mam pacjenta, który zgłasza się na eksperyment.

– Tak! A to dlaczego?

– Wie, że umrze, i chce się jeszcze na coś przydać.

– Kto to jest? Czy go znam?

– Nie znasz, to technik z obsługi reaktorów. Ma raka z przerzutami, operacja nie wchodzi w rachubę. Wykryto u niego jedenaście ognisk zapalnych. Naraz można zoperować trzy, będące obok siebie, a potem trzeba czekać na zagojenie się ran. Nie starczy czasu, pacjent umrze, zanim przeprowadzimy wszystkie potrzebne operacje. On wie, że umiera i nie ma nic do stracenia.

– Proszę przysłać tu pacjenta i przynieść wynik jego badań.

Willis kazał kolegom zrobić dokładny skan genetyczny pacjenta.

– Proszę także zakodować wzory leków tamujących krwawienie. I to w podwójnej dawce.

Po wykonaniu wszystkich zaleceń Szczęściarza pod czujnym okiem lekarzy dokonano przesyłu człowieka. Na miejscu, gdzie chwilę wcześniej leżał pacjent, pozostały tkanki rakowe, które mają inny kod genetyczny niż przesyłany. Natychmiast podano dodatkowe leki tamujące krwawienie pooperacyjne. Pacjent żył, ale zapadł w śpiączkę.

– Może to i lepiej – powiedział Szczęściarz – takiego bólu mógł nie wytrzymać.

O całym zajściu poinformowano admirała, który nie krył niezadowolenia.

– Jedyłą osobą na tym statku, mogącą decydować o czyimś życiu, jestem ja – grzmiał dowódca, niezadowolony, iż naukowcy nie poinformowali go, że robią eksperyment na umierającym. – To nie było do końca moralne, nawet jeżeli chory sam tego chciał.

Szczęściarz był innego zdania, poprosił nawet o możliwość przeprowadzenia tego samego eksperymentu ze zdrowym człowiekiem. Admirał odmówił do czasu, aż chory odzyska przytomność. Przez jedenaście dni pacjent był nieprzytomny, aż pewnej nocy przebudził się i poprosił o jedzenie. Oczywiście nie dostał go, ale otrzymał kroplówkę na wzmocnienie.

Następnego dnia wykonano badania i testy, które wykazały, że usunięto wszystkie ogniska rakowe, a i rany ładnie się zagoiły. Organizm powoli się regenerował, a pacjent z dnia na dzień stawał się coraz mocniejszy.

Po przeczytaniu raportu o stanie chorego admirał był bardzo zadowolony, zasugerował nawet, by szpital został zaopatrzony w urządzenie, które wyleczyło technika. Pozwoli to leczyć choroby zakaźne i wirusy, będzie formą filtra biologicznego. Po kilku dniach zgłosił się pacjent chory na grypę i również wyleczono go, teleportując, a w miejscu, gdzie siedział, pozostał jedynie wirus grypy. Admirał rozkazał, by każdy członek załogi przynajmniej raz się teleportował. Urządzenie nie było jednak doskonałe i pochłaniało ogromne ilości energii, poza tym nadal potrzebne były dwie maszyny: emiter i odbiornik. Prace nad jego udoskonaleniem trwały. Najpierw pozbyto się odbiornika, który został zastąpiony przez impuls elektromagnetyczny o różnej długości w zależności od tego, gdzie przedmiot ma być przeniesiony. Następnie do emitera zaprogramowano siatkę przestrzenną wokół Odkrywcy, tak by każdy przedmiot mógł być przeniesiony do dowolnego miejsca na statku oraz poza jego kadłub we wszystkich kierunkach, przynajmniej tysiąc metrów od statku.

Cel, który obrała załoga laboratorium, został osiągnięty, a na dodatek przypadkiem skonstruowano urządzenie do wykonywania operacji bez potrzeby otwierania pacjenta i do leczenia chorych zarażonych wirusami oraz bakteriami. Teleporter można było też wykorzystać jako broń do przenoszenia min na pokład wroga, pod warunkiem, że odległości nie będą duże i że przeciwnik nie będzie miał pola ochronnego.

Zadowolony z postępów swoich uczonych admirał kazał zorganizować dla nich przyjęcie. Zaproszono dwustu gości, wśród których jak zwykle rej wodzili piloci myśliwców. Humory dopisywały i jeden z pilotów wpadł na pomysł, by zapolować na meteoryty. Rywalizacja miała polegać na tym, by złowić meteoryt o średnicy dwóch metrów i o najmniejszej wadze. Potrzeba było do tego szczęścia, ale i doświadczenia. Po zważeniu i zmierzeniu złowionych meteorytów okazało się, że idealny meteoryt złowił Parker, jednak to nie on był prawdziwym zwycięzcą, lecz Szczęściarz, który zauważył, że gdy po zakończeniu konkursu niepotrzebne meteoryty teleportowano w przestrzeń kosmiczną, po meteorycie Parkera została pokaźna bryła jakiegoś minerału. Wprawdzie zdarzało się to już wcześniej, ale zwykle były to śladowe ilości nieznanymi niemetali. Teraz naukowcy mieli przed sobą pokaźną bryłę o średnicy siedemdziesięciu pięciu centymetrów o szarozielonej barwie, ważącą, o dziwo, dwanaście kilogramów. Żelazo w takiej bryle ważyłoby około stu dwudziestu kilogramów. Szczęściarz z ciekawości zaniósł nieznaną minerał do laboratorium. Po zakończeniu prac nad teleporterem jak wszyscy uczeni miał kilka dni wolnego i powinien odpoczywać, ale on zabrał się za badanie znaleziska, biorąc pod uwagę jego właściwości fizyczne, chemiczne i mechaniczne. Poza małą gęstością metal ten prawie nie różnił się od innych niezrzelaznych. Jego dziwne właściwości dały się zauważyć dopiero przy próbie roztopienia. Bryłę włożono do pieca i podgrzano do dwóch tysięcy siedmiuset stopni Celsjusza. Gdy metal roztopił się, odlano z niego blachę grubości pięciu milimetrów. Wypełnił formę i zaczął stygnąć. Szczęściarz podszedł do komputera, by

zapisać temperaturę topnienia i inne parametry, a gdy wrócił, w formie nie było blachy, tylko taka sama bryła czystego metalu, jaką włożył do pieca. Willis powtarzał to doświadczenie kilka razy, zawsze z tym samym skutkiem, ponieważ, jak odkrył, metal ten posiadał niesamowitą pamięć swojego kształtu. Szczęściarz czuł, że jest bliski odkrycia wielkiego sekretu. Musiało to mieć związek z temperaturą przetopu. I nie mylił się – gdy rozgrzał metal do temperatury siedmiu tysięcy stopni, materiał przybierał kształt formy. Szczęściarz opracował kod dla tego metalu i rozkazał wylapać go jak najwięcej. Nie wiedział, do czego może się przydać, ale założył, że dowie się tego podczas wykonywania testów.

Wkrótce okazało się, że znowu miał rację. Gdy strzelono pociskiem trytowym do arkusza blachy z tego metalu, okazało się, że albo laborant nie trafił w blachę, co nie było możliwe, albo pocisk odbił się od niej. W każdym razie na arkuszu nie powstał nawet znak, że do niego strzelano. Próbę powtórzono pięć razy i za każdym razem skutek był ten sam. Nikt nie miał pomysłu, jak sprawdzić, o co chodzi, ponieważ nawet na zwolnionym filmie widziano jedynie, że pocisk zagłębia się i znika z pola widzenia. Nagle Szczęściarz zerwał się, podbiegł do wyłożonej miękkim materiałem ściany i zaczął szukać dziur po pociskach trytowych. Szybko odnalazł sześć wystrzelonych niedawno pocisków, które były jeszcze ciepłe. Sprawa szybko się wyjaśniła. Okazało się, że posiadający pierwotną pamięć metal po uderzeniu w niego pociskiem trytowym o wielkiej energii kinetycznej rozgrzewa i przebija próbkę, ale po wystygnięciu próbka szybko zasklepia dziurę, wracając do poprzedniego kształtu i absorbując przy tym dużo energii. Szczęściarz odkryty przez siebie metal nazwał molem. Na metalu przeprowadzono setki doświadczeń, by znaleźć dla niego zastosowanie. Najważniejsze z nich polegało na wyrzuceniu w kosmos puszki wypełnionej powietrzem i strzelaniu do niej z lasera. Trafiono kilka razy, a po wyłowieniu puszki stwierdzono, że znajduje się w niej dziewięćdziesiąt pięć procent powietrza. Admirał kazał wykonać wewnętrzne osłony myśliwca z blachy molowej o grubości pięciu milimetrów. Gdy po tygodniu samolot był gotowy, zdalnie sterowany dostał się pod ogień działek trytowych. Po sprowadzeniu go do laboratorium stwierdzono kilkanaście przestrzeleń w pancerzu trytowym, ale osłona molowa zasklepiła dziury tak szybko, że w myśliwcu było jeszcze osiemdziesiąt dwa procent powietrza. To wystarczyłoby, aby pilot przeżył, a nawet walczył dalej. Co było do przewidzenia, admirał rozkazał, by wszystkie myśliwce i promy wyposażać w takie wewnętrzne osłony. Teraz tylko bezpośrednie trafienie pilota mogło doprowadzić do straty myśliwca. Wykorzystano też inną właściwość tego metalu – pochłaniał on ogromne ilości energii, dlatego w myśliwcach zrezygnowano z chłodnic silnika, a chłodzenie podłączono do osłon molowych, co zwiększyło pojemność myśliwca. W pustych miejscach zamontowano dodatkowe zbiorniki paliwa, co zwiększyło zasięg samolotu o siedemdziesiąt procent. Powiększono też ilość amunicji i zamontowano kapsułę ratunkową.

7.

Pierwsza cywilizacja

Podróż Odkrywcy trwała już dwadzieścia pięć miesięcy i w tym czasie załoga powiększyła się o siedmioro dzieci: pięciu chłopców i dwie dziewczynki. Jako ostatni na świat przyszedł syn Szczęściarza – Dark, który chował się zdrowo i często przebywał z mamą na stanowisku radaru dalekiego zasięgu. Pewnego dnia Tania Willis z małym Darkiem na kolanach korygowała kierunek skanu dalekiego zasięgu. Chcąc włączyć skan krótkiego zasięgu na drugim monitorze, pochyliła się nad pulpitem sterowniczym. Chłopczyk – jakby tylko na to czekał – pociągnął za jedną z dźwigni, zmieniając kierunek skanowania radaru dalekiego zasięgu o siedemdziesiąt pięć stopni w lewo od pierwotnego kursu statku. Gdy Tania zobaczyła, że malec próbuje schwytać wszystko, co znajduje się w zasięgu jego rączek, zaniósła go do specjalnie przygotowanego kojca wypełnionego zabawkami. Gdy już miała poprawić kierunek skanowania, na brzegu monitora zauważyła coś dziwnego. Wokół planety w pobliskim układzie słonecznym krążyły małe obiekty. Natychmiast włączyła nagrywanie danych. Najpierw pomyślała, że to jakieś małe księżyce lub meteoryty przyciągane przez grawitację planety, których setki widziała przy mijanych obiektach. Nagle jeden z nich zawrócił.

Meteoryty i księżyce nie zwracają. Tania natychmiast powiadomiła o tym Parkera, który akurat miał służbę na mostku. Ten po otrzymaniu raportu kazał obudzić admirała. Wiadomość o wykryciu obcych natychmiast rozeszła się po statku. Ogłoszono alarm bojowy i zarządzono ciszę radiową, bo chociaż do samej planety były trzy dni lotu, to załoga Odkrywcy nic nie wiedziała o poziomie technicznym obcych. Admirał był dobrej myśli – miał nadzieję, że to nie oni zaatakowali Ziemię.

Gdy statek zbliżył się do dziwnego obiektu, skaning krótkiego zasięgu wykazał, że koło planety odbyła się jakaś bitwa. Nakazano ostrożność, by nie zostać wykrytym za wcześnie, a w razie konieczności być gotowym do ucieczki. Zbliżano się właśnie do gwiazdy, wokół której orbitowało dziewięć planet i co dziwne – dwie podobnej wielkości krążyły na tej samej orbicie, ale po przeciwnej stronie gwiazdy. Na powierzchni jednej z tych planet zauważono zniszczenia i pożary. Wokół niej krążyło kilka wraków małych statków kosmicznych. Na wstępnej naradzie ustalono, że doszło tu do ataku mieszkańców jednej planety na drugą, leżącą dokładnie po drugiej stronie Słońca. Jedno było pewne – mogą zostać szybko zauważeni przez jedną lub drugą stronę konfliktu, ponieważ obcy z pewnością mają urządzenia do wykrywania obiektów w kosmosie. Nikogo na statku nie zdziwiło, że do odkrycia pierwszej obcej cywilizacji przyczynił się syn Szczęściarza – mały Dark, który przy tej okazji dostał mnóstwo prezentów od załogi. Chłopiec, nie zdając sobie sprawy ze swojego odkrycia, gryzł, co popadło, bo właśnie wyrzynały mu się ząbki. Był zadowolony, gdy mógł wbić swoje ostre ząbki w coś miękkiego.

Nagle rozległ się alarm bojowy. Od strony Słońca zbliżał się jakiś obiekt i nie było

wątpliwości, że zostali zauważeni. Admirał rozkazał, by prom i dziewięć myśliwców wystartowały do walki, a pozostałe dwadzieścia cztery samoloty miały czekać za Odkrywcą, gotowe do obrony. Włączono akcelerator i całą moc przekazano do osłon. Admirał wydał rozkaz pilotom myśliwców, by nie atakowali sami, tylko czekali na rozkaz.

Tymczasem obcy statek podlegał bliżej, by móc dokładniej wycelować w Odkrywcę. Nie było to proste, ponieważ promienie Słońca odbijały się od pancerza statku i skutecznie oślepiły przeciwnika. Obcy stanęli dziobem do Odkrywcy i oddali strzał laserowy. Ukryci za statkiem piloci myśliwców początkowo zaniepokoił się, ale widząc nieporadność przeciwnika, uspokoili się i czekali na rozkaz. Tymczasem obcy oddał już czwartą salwę z lasera i znowu pudło, wreszcie za piątym razem laser trafił w osłony Odkrywcy, które przejęły strzał bez problemów. Obcy strzelił jeszcze dwa razy i admirał wydał myśliwcom rozkaz do ataku – mieli uszkodzić statek obcych tak, by nie mógł strzelać. Obcy zdążył wystrzelić jeszcze raketę, gdy zorientował się, że otacza go rój świecących jak małe gwiazdki myśliwców, odbijających promienie gwiazdy. Kilka serii z karabinów maszynowych i statek obcych był pozbawiony napędu oraz działa laserowego. Wystrzelona przez nich rakietą dotarła do Odkrywcy, ale jego osłony przejęły eksplozję bez szkody dla statku. Skan stateczku mówił o dwunastu członkach załogi, która zebrała się na przedzie statku.

Gdy obcy statek był w ładowni, otoczyła go w pełni uzbrojona drużyna służb bezpieczeństwa. Myśliwce już dokowały w hangarze obok, ale dziewięć z nich stale penetrowało przestrzeń wokół statku, spodziewając się następnych gości. Przez iluminator było widać kilka postaci w skafandrach, ale bez hełmofonów, mierzących co najmniej dwieście dwadzieścia centymetrów. Postacie te miały skafandry bardzo podobne do znalezionego przez Ziemiaków we wraku statku kilkanaście miesięcy wcześniej.

„Czy to może być ta sama rasa?” – myślał szybko admirał. Jednak sam sobie odpowiedział, że to niemożliwe. – *„Przecież przez kilka tysięcy lat musiałby nastąpić wielki postęp technologiczny, a ta rasa niewiele różni się od tamtej z wraku”*.

Po kilku minutach właz statku zaczął się otwierać i opadając, utworzył rodzaj pomostu, po którym zeszła jedna z postaci w kombinezonie, ale bez hełmu, co wskazywało, że oddychają tym samym powietrzem. Gdy całkowicie się wyłoniła, okazało się, że mierzy dwa metry i jest bardzo szczupła. Istota przez chwilę patrzyła na ludzi, po czym nagle odwróciła się w stronę swojego statku i powiedziała coś spokojnie do czekających wewnątrz towarzyszy. Po chwili następna postać wyłoniła się ze statku, potem następna i następna, aż wyszła cała dwunastka. Reszta obcych była wyższa od pierwszego o dwadzieścia centymetrów. Obcych okrążyła drużyna ochrony z kapitanem Lewisem na czele, który pierwszy podszedł do obcego i wyciągnął rękę na powitanie, tak jak czynią Ziemiaki. Innego powitania przecież nie znał. Obcy spojrział na Lewisa, zdjął rękawicę i wyciągnął rękę do przywitania. Dopiero wtedy załoga Odkrywcy zauważyła, że obcy mają po sześć palców u rąk. Przybysz powiedział coś do stojących nieco z tyłu towarzyszy i nagle zaczął się gwar, bo wszyscy obcy zaczęli podchodzić do Lewisa i coś tłumaczyć w swoim języku. Kapitan, nie rozumiejąc ani słowa, pomyślał, że

istoty te muszą być niezłymi tchórzami, skoro najpierw puścili najmniejszego ze swoich, a dopiero gdy się zorientowali, że nic im nie grozi, zaczęli wszyscy naraz mówić.

Obcy nie mieli ze sobą broni, więc drużynę ochrony też odwołano – poza Swenem Larsenem, który jako jeden z najwyższych na pokładzie Odkrywcy niemal dorównywał im wzrostem. Jego też upatrzili sobie obcy – przerywali potok swojej mowy, tylko kiedy mówił do nich Larsen. Admirał kazał poprowadzić obcych do sali konferencyjnej i tam poczęstować ich sokiem oraz owocami. Jednak najbardziej smakowała im sałata i miękkie warzywa. Gdy goście weszli do sali, jednego z nich poproszono na bok, gdzie przy swoim komputerze siedział kryptolog. Obcy szybko zrozumiał, co się od niego wymaga, i chętnie przystąpił do tłumaczenia niektórych wyrazów, nazw przedmiotów i tak dalej. Najwięcej informacji uzyskano, gdy pokazano mu fotografie wraku statku znalezionego w kosmosie, a także po pokazaniu notatnika i skafandra, które znaleziono we wraku. Po trzech godzinach komputer mógł już tłumaczyć rozmowy, stale jednak ucząc się mowy obcych. Urządzenie było tak zaprogramowane, że słysząc rozmowę po angielsku, tłumaczyło ją na mowę obcych, a tę z kolei przekładało na język Ziemi.

– Dlaczego do nas strzelaliście?

– Myśleliśmy, że to Zarianie. Zbudowali nowy statek.

– Kim są Zarianie?

– To mieszkańcy Zarii, planety za słońcem.

– Czy stoczyliście z nimi niedawno bitwę?

– Tak, trzy dni temu wróg został pobity i schronił się na swojej planecie.

– Dlaczego ich nie atakowaliście dalej, skoro rozbiliście im siły kosmiczne?

– Oni mają broń, która niszczy nasze statki, zanim wejdą w ich atmosferę.

– Oni na was napadają?

– Pięć dni temu napadli na naszą planetę Nadię, ale zostali odparci. Ich statki zniszczono, jednak i my ponieśliśmy duże straty.

– Czy Zarianie mówią waszym językiem?

– Pochodzimy z jednej planety, ale jedenaście tysięcy lat temu znaleźliśmy drugą, po przeciwnej stronie słońca – Nadię – i założyliśmy tam kolonię. Poza tym niczym się nie różnimy.

– To dlaczego ze sobą walczyacie?

– Zarianie szybko wyeksploatowali swoją planetę i zaczęli grabić Nadię, lekceważąc kolonistów i zabierając wszystkie minerały na Zarię. Zupełnie nie przejmowali się nami, traktowali nas jak coś gorszego.

– Kosmos jest bardzo duży, dlaczego nie polecieli gdzie indziej szukać minerałów?

– Jedenaście tysięcy lat temu nie byliśmy tak rozwinięci technologicznie, by podróżować poza nasz układ słoneczny. Potem zaczęła się wojna, która trwa do dzisiaj. Wszystkie nasze statki są niszczone przez Zarian, a my w odwecie niszczymy ich broń, więc nie mamy czasu, by budować wielki statek do dalekiej podróży w kosmos, poza tym Zarianie zaraz by go nam

zniszczyli. Teraz budujemy małe zwrotne stateczki, zdolne do walki w kosmosie. Gdybyśmy mieli statek jak wasz, to na pewno szybko wygralibyśmy wojnę i zapanowałby pokój.

– My nie możemy mieszać się do waszej wojny – odpowiedział admirał. – Musicie sami rozwiązać ten problem.

– Już się wmieszaliście, niszcząc nam statek.

– Nie próbujcie nami manipulować. To wasza wojna. Jeśli chcecie, możemy jednak pomóc w negocjacjach pokojowych. Nic poza tym.

– Musimy o tym porozmawiać z władzami naszej planety. Sami nie możemy podejmować tak ważnych decyzji.

– Jaka duża jest populacja na waszej planecie?

– Jest nas około czterdziestu milionów, a Zarian dwa razy tyle.

– Macie zwierzęta?

– W stanie dzikim prawie nie ma. Pozostały tylko ptaki, ryby i trochę morskich stworzeń.

– Możecie nam dostarczyć po kilka par zwierząt, które zostały?

– Nie ma problemu, ale nasz statek jest uszkodzony i nie mamy czym wrócić.

– Nasi technicy już zdążyli go naprawić, tak że możecie nim lecieć. Porozmawiajcie o pokoju, bo świat idzie do przodu, a wy stoicie w miejscu. Jedenaście tysięcy lat temu, kiedy wy zdobywaliście kosmos, nasi przodkowie chodzili jeszcze po drzewach, a teraz przewyższamy was technologicznie o kilkaset lat. Zobaczcie, do czego doprowadziła was ta wojna. Nie jesteśmy agresywną rasą. Są inne, które bez powodu niszczą wszystkie napotkane stworzenia.

– Co będziecie robić, gdy my będziemy rozmawiać z naszym rządem?

– Polecimy do Zarian, by z nimi porozmawiać.

– Uważajcie na nich. Boją się tylko silniejszych. Ze słabszymi źle się obchodzą, a was mogą zabić, by zdobyć waszą technologię.

– Dziękuję, możecie lecieć – powiedział admirał i chciał wyjść.

– Przepraszam – zatrzymał go jeden z Nadian. – Czy mogę zostać na waszym statku do powrotu naszych?

– Tak, ale weź ze sobą komunikator, bo inaczej z nikim się nie dogadasz. Porucznik Lewis będzie ci towarzyszył.

Na odchodnym dowódca Nadian zapytał:

– Czy zaatakujecie nas, jeśli się nie dogadamy?

– Nie obawiajcie się, nie użyjemy siły przeciwko nikomu, kto nas nie zaatakuje. Poza tym was wystarczy zostawić w spokoju, a przez wojnę sami cofniecie się w rozwoju.

Gdy Nadianie odlecieli, na Zarię został wysłany prom w asyście dziewięciu myśliwców. Jak było do przewidzenia, w kierunku Ziemi rozpoczęto ostrzał z broni laserowej. Admirała zdziwiła tylko gęstość ostrzału, bo promienie laserów odbijały się od trytowych kadłubów myśliwców i leciały w kosmos, a niektóre nawet wracały na planetę, wznecając tam pożary.

Na Zarii szybko zorientowano się, że ostrzał laserowy nie przynosi spodziewanych skutków, więc po kilku minutach z planety nadleciały rakiety, jednak zostały zniszczone przez

zaporowy ogień myśliwców, zanim dotarły do promu.

Ziemiańskie wysłały wiadomość w kierunku Zarian:

– Nie strzelajcie. Nie jesteśmy Nadianami. Nie mamy złych zamiarów. Chcemy porozmawiać. Pozwólcie nam wylądować lub przylećcie do nas. Nie będziemy strzelać.

Po piętnastu minutach przyszła odpowiedź:

– Wysłałyśmy statek na rozmowy.

Po godzinie z atmosfery wyłoniło się dziesięć statków kosmicznych. Jeden z nich wielkością zbliżony był do promu, a pozostałe to myśliwce, które zatrzymały się naprzeciw ziemskich myśliwców.

Dowódca promu, porucznik Jantos, nadał wiadomość do przybyszów, którzy czekali w swoich stateczkach:

– Niech osoba, z którą mamy rozmawiać, przybędzie na nasz prom.

Już po kilku minutach jeden z myśliwców leciał w kierunku ziemskiego promu. Ziemiańskie otwarli ładownię i myśliwiec łagodnie zaparkował. Po wyrównaniu ciśnienia zapalono światła. Kabina myśliwca otwarła się i wyłonił się z niej Zarianin w kombinezonie. Porucznik Jantos wyszedł na powitanie i podał mu rękę. Zarianin przywitał się i zapytał:

– Czy nie ma tu kogoś wyższego?

Jantos zaraz mu odpowiedział:

– Jesteśmy Ziemiańskimi. U nas wzrost osobnika nie ma takiego znaczenia. Tutaj ja jestem dowódcą.

Obcy zapytał się bez ogródek:

– Czego tu chcecie?

– Jak mówiłem, jesteśmy Ziemiańskimi i szukamy dla siebie domu, bo nasza planeta została zniszczona przez obcą rasę.

– Macie takie statki i przegraliście?

– To długa historia, opowiem ją przy innej okazji.

– Czego więc chcecie?

– Porozmawiać o pokoju.

– My z wami nie prowadzimy wojny.

– Tak, ale prowadzicie ją z Nadianami, a oni chcą pokoju.

– Gdyby chcieli pokoju, nie niszczyliby naszej floty. Teraz my musimy zadbać, by nie dokonali inwazji na Zarię.

– Oni tego nie chcą.

– A skąd wy wiecie, czego oni chcą?

– Powiedzieli nam o tym, jak z nimi wczoraj rozmawialiśmy.

– I co, nie atakowali was?

– Atakowali.

– Zniszczyliście ich?

– Nie.

– Dlaczego? Macie przecież lepsze statki.

– My nie chcemy walczyć ani a nimi, ani z wami. Staramy się was pogodzić.

– To niemożliwe. Wojna trwa od tysięcy lat i pochłonęła miliony istnień. Zbyt dużo jest między nami nienawiści.

– Dlaczego? Przecież jeśli wojna potrwa jeszcze trochę, wyniszczycie się nawzajem. Jak duża była wasza populacja, kiedy zaczęła się wojna?

– Zarian było półtorej miliarda, a Nadian jakieś trzysta tysięcy. Teraz nas jest trochę ponad sześćdziesiąt milionów, Nadian na pewno mniej.

– Widzicie, do czego doprowadziła was ta wojna? Nasi przodkowie jedenaście tysięcy lat temu chodzili jak małpy po drzewach, a wy zdobywaliście kosmos. Teraz was jest coraz mniej i nadal dążycie do zagłady.

– A ilu ludzi jest na waszej planecie?

– Jak wylatywaliśmy z Ziemi, było na niej ponad osiem miliardów mieszkańców, ale nasza planeta została zaatakowana przez obcą rasę, na pokonanie której nie mieliśmy dostatecznie silnej broni. Nasz statek był już w drodze i dostaliśmy rozkaz, by nie wracać. Broń, jaką teraz dysponujemy, udoskonaliśmy dopiero w drodze. Gdybyśmy mieli ją wcześniej, na pewno nikt nie zaatakowałby Ziemi.

– Sprzedajcie ją nam, a zabijemy Nadian i zapanuje pokój.

– To niemożliwe. Chciałbym, abyście się dogadali, bo albo wojna was zniszczy, albo przylecą ci, którzy zaatakowali Ziemię, i wybiją was bez większych problemów.

– My się nikogo nie boimy.

– To nie znaczy, że was nie pokonają. Będziecie umierać z odwagą w sercach, ale tak czy siak będziecie martwi. Gdy odlatywaliśmy, widziałem obok Ziemi potężny wybuch i miliony meteorytów lecących w kierunku naszej planety. Z tamtymi obcymi nie macie żadnych szans, oni nawet nie będą z wami rozmawiać. Jedyne, co możecie zrobić, to natychmiast przestać walczyć i współpracować z Nadianami, jesteście przecież jedną rasą.

– Nie możemy się z nimi porozumieć. Przed każdym atakiem wysyłamy statek w celu nawiązania rozmów pokojowych, ale Nadianie zaraz go niszczą.

– Czy zgodzilibyście się na rozmowy pokojowe, gdyby przeprowadzono je na naszym statku?

– W tej sprawie muszę skontaktować się z Zarią. Damy wam odpowiedź za trzy godziny.

– Dobrze, zatem leć do swoich i dowiedz się wszystkiego.

Zarianin wszedł do myśliwca, który po chwili odleciał w kierunku obcej planety. Pozostałe myśliwce i prom ruszyły za nim. Na Zarii znano treść rozmowy, ponieważ Zarianin miał włączony komunikator, o czym Jantos doskonale wiedział.

Pięć godzin później delegacje obu planet zasiadły naprzeciwko siebie przy stole rokowań. Ich członkowie spoglądali po sobie podejrzliwie, ale i z ciekawością. Walczyli po przeciwnych stronach od kilku tysięcy lat, a od początku wojny nie widzieli swoich przeciwników. Nie różnili się niczym poza ubraniami. Mówili tym samym językiem i tak samo gestykulowali przy

rozmowie. Wszyscy zaś w z lekką pogardą patrzyli na Ziemiaków, których przewyższali wzrostem o około sześćdziesiąt centymetrów. Oczywiście poza Swenem Larsenem, który im niemal dorównywał. Obcy dziwili się, że nie on jest dowódcą tak dużego statku.

Gdy w końcu przyszło do rozmów, strony zaczęły wypominać sobie wzajemnie wyrządzone krzywdy i ogromne straty. Przepychankom słownym nie było końca, aż w którymś momencie przerwał im admirał:

– Jeżeli chcecie pokoju, to zawrzyjcie go zaraz, bo my odlecimy i zostawimy was pogrążających się w wojnie, która wcześniej czy później doprowadzi was do samozagłady. Mogą też przylecieć inni obcy, którzy na pewno was zniszczą. I nie myślcie, że to może przydarzyć się tylko tej drugiej stronie, a wam nie.

– Ale jak to zrobić? Przecież nie potrafimy zaufać sobie wzajemnie.

– Zatem szantażem zmusicie się do zaufania – powiedział admirał i od razu dodał: – Co macie najcenniejszego?

– Nasze dzieci, bo jest ich mało.

– Niech więc obie strony wymienią się dziećmi, które mają być wychowywane w dobrych warunkach, czego będzie pilnowała specjalna komisja.

Zapadło milczenie, które trwało kilka minut. Wreszcie odezwali się Nadianie:

– A jak wymordują nasze dzieci?

– Nie zrobią tego, bo zdają sobie sprawę, że taki sam los spotkałby ich potomstwo.

– Zarianie mają więcej dzieci.

– Na pewno, ale nie będą chcieli, by nawet część z nich poginęła. Nie zyskaliby nic poza nową wojną. Ponadto powinny to być dzieci tych, którzy są w rządach obu planet, tak by nie było wśród nich nikogo, kto nie wysłał dziecka na przeciwną planetę. Jeśli ktoś z rządzących spróbuje zerwać pokój, będzie sobie zdawał sprawę, że poświęca własne dziecko.

Propozycja admirała wywołała żywą dyskusję i zaczęły się rysować nici porozumienia.

– No tak, możemy porozmawiać o pokoju. A jak będziemy się porozumiewać z Nadianami, kiedy wy odleciecie? – zapytał admirała jeden z Zarian.

– Na orbicie waszego słońca zostawimy satelity komunikacyjne i damy wam po jednym nadajniku. W ten sposób możliwe jest utrzymywanie kontaktu. Z czasem zaczniecie latać do siebie w gości, własnymi statkami.

– Dobrze, teraz wrócimy na nasze planety, by ustalić i dopracować traktat.

– Przepraszam – jeden z Zarian odezwał się do Nadianina. – Czy mogę lecieć z wami?

– A nie boisz się, że cię zabijemy?

– Gdy dasz słowo, że tego nie zrobicie, to polecę.

– Tak ufasz moim słowom?

– Ja też chętnie polecę na Nadię – powiedział drugi z Zarian.

– Dobrze – odrzekł inny Nadianin. – Możecie lecieć.

– Chętnie zobaczę planetę, z której pochodzimy – powiedział Nadianin, który zgłosił się na ochotnika.

– Zgoda – odpowiedział Zarianin. – Będziesz ambasadorem Nadii, a moi ziomkowie zostaną ambasadorami Zarii u was. I przygotowujecie wszystko, co potrzebne do podpisania pokoju.

Kilka dni później przedstawiciele obu planet spotkali się po raz pierwszy od kilku tysięcy lat, i to w celu podpisania pokoju.

Po zatwierdzeniu formalności obie delegacje zaproszono na przyjęcie na Odkrywcy. Dowódcy wojskowi obu nacji, jeszcze kilka dni temu zażarci wrogowie, teraz wspólnie rozmawiali i żartowali.

– Kiedy wyślecie nam swoje dzieci? – zapytał Zarianin Dako.

– Jutro – odpowiedział Nadianin. – Przyleci do was grupa dwudziestu dzieci, wśród nich mój jedyny syn. Dbajcie o malca, ma dopiero sześć lat i nie rozumie, dlaczego musi opuścić dom.

– Nie obawiaj się. Będzie miał u nas jak u mamy. Potrafimy dbać o swoje dzieci, a waszymi zaopiekujemy się jeszcze lepiej.

– Na przybycie małych Zarian też wszystko jest już przygotowane. Będą mieszkać u rodzin, które oddały swoje dzieci. Będzie im tam dobrze.

Kilka dni później z pomocą Odkrywcy zakończono lokowanie dzieci na planetach i założono placówki dyplomatyczne.

Po odlocie gości admirał zorganizował naradę z wyższymi oficerami w celu ustalenia, czy należy zostawić technologię Ziemi obu nacom. Narada nie trwała długo. Wypowiedź Parkera wystarczyła wszystkim:

– Zostawimy im po jednym myśliwcu i wtajemniczymy w technologię wyławiania minerałów z meteorytów za pomocą wiązki teleportacyjnej. Jeżeli się dogadają, wybudują setki myśliwców i będą mieli szansę się obronić przed każdym, a jak się nie dogadają, to już ich sprawa. Sami się zniszczą.

Obcych zaproszono jeszcze raz przed odlotem Odkrywcy i przekazano im wiedzę, o której mówił Parker. Nie zapoznano ich z technologią rozszczepiania trytu, bo była to wyjątkowo destrukcyjna broń. Zarianie i Nadianie bardzo ucieszyli się z podarowanych myśliwców i wtajemniczenia w tajniki technologii. Zapewnili, że Ziemia zawsze będzie dla nich przyjaciółmi i mogą na nich liczyć.

Odkrywca jeszcze dzień przebywał w tym układzie, badając pozostałe planety, po czym poleciał w kosmos. Admirał wiedział, że może tam spotkać różne rasy istot, bardziej lub mniej rozwinięte. Pierwszy kontakt z obcą cywilizacją pokazał, że Ziemia wcale nie są najsłabsi, a nowa broń może okazać się bardzo skuteczna, zatem postanowił ją dalej rozwijać.

8.

Druga rasa

Już trzy miesiące minęły od spotkania pierwszej cywilizacji. Odkrywca bez przeszkód przemierzał kosmos, nie napotykając żadnych oznak życia. Z mijanych planet czerpano wszystko, co potrzebne było załodze do życia: wodę, drewno, minerały, rośliny i zwierzęta, jeśli się trafiały. Admirał był szczególnie zadowolony, gdy znaleziono planetę posiadającą bogate złoża rudy uranowej, co pozwoliło na zwiększenie prędkości statku do sześciuset parseków. Nie było to proste zadanie, ponieważ nigdy wcześniej akceleratora nie poddano tak dużym obciążeniom. Poza tym wydłużała się droga hamowania i istniała możliwość zderzenia się z dużym meteorytem. W związku z tym zaistniała potrzeba zwiększenia pola skanowania przed statkiem.

Gdy osiągnięto prędkość sześciuset parseków i nie stwierdzono zagrożenia, pozwolono przyspieszać dalej. Dopiero przy ośmiuset pięćdziesięciu parsekach akcelerator zaczął się dobrze rozgrzewać. Natychmiast go wyłączono i przystąpiono do przeglądu napędu. Sprawa z przewodami chłodzącymi od razu wydała się poważna, bo osiemnaście procent instalacji nadawało się tylko do wymiany, a bez niej niemożliwe było uruchomienie napędu. Załoga wiedziała, że niewskazane jest zatrzymywanie statku, bo wymiana zużytych elementów potrwa dwa tygodnie i statek będzie stał w przestrzeni.

Służby techniczne od razu przystąpiły do wymiany zużytych elementów, stosując nowe materiały, takie jak tryt i mol, które idealnie ze sobą współpracują i uzupełniają się, zwłaszcza jeżeli chodzi o pręty chłodzeniowe w akceleratorze. Grube pręty trytowe o średnicy dziesięciu centymetrów pokryto dwucentymetrową warstwą molu – metalu, który pochłania ciepło i tym samym schładza pręt trytowy. Po dwóch tygodniach remont ukończono, a zaraz potem statek osiągnął prędkość tysiąca dwustu parseków i nie zauważono żadnych oznak przegrzewania się instalacji. Kłopot tkwił jednak w tym, że skanery krótkiego zasięgu przy tak dużych prędkościach zbyt późno podawały ostrzeżenia o większych meteorytach na drodze statku. Admirał kazał zwiększyć prędkość statku do tysiąca sześciuset parseków, a do skanowania używać tylko skanerów dalekiego zasięgu. Rozkazał też zwiększyć moc osłon, by zabezpieczyć statek przed większymi meteorytami. Zapasowy reaktor, który marnował się w laboratorium, podłączono do zasilania pola osłonowego i wzmocniono zasięg skanowania.

Któregoś dnia podczas swojego dyżuru Zyga, zastępca Tani Willis, na końcu skanera zauważył kilka małych obiektów, które posiadały silne pole siłowe jak na tak niewielkie rozmiary. Szybko wyostrzył skaner i od razu domyślił się, że mogą to być statki kosmiczne, obiekty te leciały bowiem w szyku. Natychmiast włączył alarm bojowy dla całej załogi.

Mógł to zrobić tylko w jednym przypadku – gdy uznał, że zagrożenie jest realne i dotyczy bezpośrednio Odkrywcy. Po kilku minutach na mostku zaczęli meldować się oficerowie wszystkich sekcji, a piloci myśliwców i promów stali przy swoich maszynach gotowi do startu.

Do promów zamontowano małe reaktory wytwarzające pola siłowe i dodatkowe działka trytowe dużego kalibru. Gdy admirał usłyszał o bliskim spotkaniu z dobrze uzbrojonymi obcymi, kazał włączyć akcelerator, całą moc przekazać do osłon i wyhamować statek. Obawiano się, że przeciwnik jest inteligentny, a może to nawet ten, który napadł na Ziemię. Wszystkie myśliwce uzbrojono i przygotowano do walki. Na Odkrywcy i na promach ułożono dziesiątki gotowych do wykorzystania torped trytowych. Odległość między obcymi zmniejszała się, admirał kazał skanować obiekty przez cały czas i podawać wyniki na bieżąco. Wysłano sondę krótkiego zasięgu, by przesyłała jak najwięcej informacji. Ta jednak zdążyła podać zmianę szyku statków i przekazać informację, że są to obiekty cztery razy mniejsze od Odkrywcy, po czym eksplodowała od strzały z lasera. Admirał zastanawiał się, czego jeszcze może się spodziewać po przeciwniku, który posiada broń laserową.

Gdy obcy zbliżyli się na odległość pięciu kilometrów, dowódca wysłał na zwiady dziewięć myśliwców i jeden prom ze Stewardem jako szefem zgrupowania. Z promu wyleciał mały zdalnie sterowany myśliwiec i niebezpiecznie zbliżył się do obcych statków. Błysnął laser, który odbił się od powłoki trytowej i poleciał w kosmos. Po chwili zaczęły strzelać inne statki, jednak z tym samym skutkiem. W pewnym momencie jeden z odbitych promieni trafił w drugi strzelający statek i nagle pole siłowe tego statku znikło. Obcy przestali strzelać laserami, ale od jednego ze statków oderwała się rakieta i trafiła w bezzałogowy myśliwiec. Nastąpiła eksplozja, która odrzuciła samolot w kosmos. Po chwili z obcych statków wysypały się myśliwce, które były mniejsze, ale liczebnością ośmiokrotnie przewyższały zgrupowanie Stewarda. Obce myśliwce szybko zbliżały się do lecących w ich kierunku myśliwców ziemskich. Gdy odległość zmniejszyła się do pięciuset metrów, obce myśliwce otworzyły ogień i wtedy Steward wydał rozkaz, by złamać szyk. Szturmowce ziemskie rzuciły się do ataku na słabsze, ale liczniejsze myśliwce wroga. Już przy pierwszym starciu kilka eksplozji świadczyło, że przeciwnik ponosi straty. Natomiast ziemskie myśliwce szturmowe, mimo że trafione pociskami, nie ucierpiały w ogóle. Pancerze trytowe sprawdzały się doskonale. W kłębowisku walczących statków co chwilę rozrywany był myśliwiec wroga. Obcy sami robili swoim krzywdę, strzelając laserami, które odbijały się i trafiały w ich ziomeków. Po kilku minutach walki przeciwnik stracił trzydzieści myśliwców, a z ziemskich statków żaden nie był nawet uszkodzony. Zanim obcy zdał sobie sprawę, że ani laserami, ani bronią konwencjonalną nie poradzi sobie ze szturmowcami przeciwnika, stracił jeszcze kilkanaście maszyn i dopiero wtedy jego myśliwce zaczęły wycofywać się w kierunku swoich krążowników. Za nimi ruszyły ziemskie maszyny, niszcząc jeszcze kilkanaście obcych myśliwców, zanim tamci dolecieli do większych statków. Te miały swoje pole siłowe i były nie do ugryzienia przez myśliwce, poza jednym – tym, który stracił już swoje pole siłowe. Szturmowce Ziemi skoncentrowały ogień na uszkodzonym statku, rozpruwając mu pociskami kadłub w kilku miejscach. Statki wroga starały się osłaniać uszkodzoną jednostkę, ale nie widząc możliwości zniszczenia przeciwnika, zaczęły powoli jeden po drugim wycofywać się, począwszy od tego uszkodzonego. Wkrótce na polu bitwy pozostały wraki obcych myśliwców i wszystkie szturmowce ziemskie, które

wracały w euforii. Admirał nie podzielał ich radości.

Wiedział, że przepędzony przeciwnik wraca w większej sile i dlatego kazał tankować maszyny i szykować się do nowej walki. Dodatkowo nakazał zaopatrzyć myśliwce szturmowe w rakiety trytowe małej mocy, bo torpedy posiadały do tej pory tylko Odkrywca i promy. Zyga miał cały czas śledzić kierunek ucieczki statków przeciwnika, by odgadnąć, skąd zaatakują ponownie, bo tego, że zaatakują, admirał był pewny.

Odkrywca trzy dni śledził obce statki widoczne na skanerach dalekiego zasięgu i dopiero na trzeci dzień flota obcych wyhamowała przy niewielkiej planecie krążącej wokół dużej gwiazdy. Planeta była dwa razy większa od Ziemi, więc jej mieszkańcy – narażeni na większe ciężenie – musieli być niskiego wzrostu i krępej budowy ciała. Po analizie uzbrojenia ustalono, że rasa ta nie mogła zaatakować Ziemi, bo nie dysponowała tak silną bronią. Gdy Odkrywca zbliżył się do układu słonecznego obcych, z orbity planety skierowało się w jego kierunku około sześćdziesięciu obiektów różnej wielkości. Jedenaście z nich było większych od Odkrywcy, a reszta wyglądała jak statki, które stanęły naprzeciwko kolosa Ziemian kilka dni wcześniej.

Admirał kazał wystrzelić sondę w nadziei, że obcy będą chcieli najpierw porozmawiać. Po kilkunastu minutach, gdy sonda zbliżyła się do floty przeciwnika na odległość strzału, błysnął promień lasera i sonda zamieniła się w kupę złomu. Było jasne, że przeciwnik nie chce rozmawiać, tylko walczyć.

„Przyda im się nauczka, którą zapamiętają na długo” – pomyślał admirał, po czym rozkazał, by do myśliwców przyczepić rakiety w trytowej osłonie, ale z konwencjonalnym ładunkiem, a w promach by były przygotowane torpedy z silnym ładunkiem trytowym. Do walki admirał przeznaczył wszystkie pięćdziesiąt cztery myśliwce szturmowe. Do osłony statku pozostawił tylko dwa oraz dwa promy. Obcy zbliżali się powoli i gdy odległość między flotą a myśliwcami Ziemian wyniosła mniej niż dwa kilometry, ze statków wroga zaczęły wylatywać myśliwce. Były ich setki, na każdy ziemski stateczek przypadało kilkadziesiąt myśliwców wroga i gdyby nie wiara we własne możliwości, to sytuacja Ziemian byłaby nie do pozazdroszczenia. Pięćset metrów przed czołem szyku Ziemian maszyny wroga otworzyły ogień z laserów, koncentrując na każdym szturmowcu po kilkanaście promieni. Co było do przewidzenia, wszystkie promienie zostały odbite i poleciały w kosmos. Ziemskie statki też zaczęły strzelać i kilkadziesiąt maszyn wroga zamieniło się w kłęby ognia. Obcy znowu natarli, ale z tym samym skutkiem – stracili kolejne myśliwce. Strategia admirała polegała na tym, by jego piloci nie starali się wiązać walką myśliwców wroga, ale polecieć w kierunku floty przeciwnika. Jak było uzgodnione, szturmowce dotarły do statku wroga, który natychmiast włączył osłony, uważając, że to wystarczy, by czuć się bezpiecznym.

Dowódcy obcych okrętów starali się rozgryźć taktykę Ziemian, ale nie rozumieli, jak można było zostawić własny statek bez osłony, a myśliwce posłać na niemal samobójczą walkę z dobrze osłoniętymi i uzbrojonymi krążownikami. Na dodatek samoloty pozostawione same na polu walki natychmiast ruszyły za ziemskimi maszynami. Szturmowce Ziemian odpaliły

rakiety konwencjonalne w powłokach trytowych. Lasery nie mogły ich zniszczyć, ale pokładowa broń z krążowników zdruzgotała kilkanaście z nich przed celem. Gdy rakiety dotarły do osłon krążowników, rozbijając się o nie i nie czyniąc im żadnej szkody, wróg upewnił się, że nic im nie mogą zrobić. Tymczasem maszyny Ziemi zaczęły szukać słabych miejsc krążowników, którymi były emitery pól siłowych, umieszczone pod spodem statku. Przypadkowe trafienie w to miejsce w poprzednim starciu pozwoliło zlikwidować pole siłowe jednego z krążowników. Teraz wszystkie myśliwce szturmowe zaczęły ostrzeliwać dolne sekcje krążowników, nic sobie nie robiąc z ich laserów i broni pokładowej, na którą były odporne. Jeden ze szturmowców trafił wreszcie i pole siłowe krążownika przestało istnieć. Na ten moment czekały pozostałe maszyny, które raketami w powłoce trytovej ostrzelały uszkodzony krążownik. Mimo zagęszczonej obrony rakiety Ziemi dotarły do celu, zamieniając krążownik w kulę ognia. Inne szturmowce wstrzeliwały się powoli w miejsca usytuowania emiterów pola i co chwilę jeden albo dwa krążowniki traciły swoje pola siłowe. Na te natychmiast rzucały się ziemskie statki, nie przejmując się powracającymi właśnie myśliwcami wroga. Jeden po drugim krążowniki obcych eksplodowały na oczach przerażonych i bezradnych ziomków.

Część obcych po starciu z pierwszą linią ziemskich statków, widząc, że te poleciały dalej, skierowała się na pozostawiony niemal bez osłony wielki krążownik wroga. Setki myśliwców natarły na Odkrywcę bronionego przez jeden prom i dwa myśliwce szturmowe. Odkrywca włączył pole siłowe i był bezpieczny, ziemski prom i myśliwce niszczyły kolejne maszyny przeciwnika jeden po drugim. Odkrywca też zaczął się wstrzeliwać i wróg tracił coraz więcej maszyn. Gdy obcy zrozumieli, że nic nie wskórają, ich myśliwce zawróciły i odleciały w kierunku swoich krążowników, które też zostały mocno przerzedzone przez atakującą je ziemską flotę. Gdy zniszczono kilka krążowników, uszkodzone jednostki zaczęły opuszczać pole bitwy, odsłaniając dostęp do dwóch największych statków. Promy tylko na to czekały – zaczęły strzelać do nich torpedami trytowymi. Jakież było zdziwienie wroga, gdy myśliwce ziemskie i obydwa promy nagle zrobiły zwrot i zaczęły wiać w kierunku Odkrywcy. Gdy myśliwce parkowały już bezpieczne w swoich dokach na Odkrywcy w centrum floty wroga, która nie rozumiała, dlaczego ziemskie maszyny odleciały, nie skończywszy bitwy, nastąpiła potężna eksplozja torped trytowych. Dwa największe krążowniki i kilka stojących obok mniejszych po prostu zostały rozerwane na strzępy. To samo spotkało setki myśliwców, które wracały do swoich jednostek po ataku na Odkrywcę. Fala uderzeniowa rzuciła pozostałymi statkami we wszystkich kierunkach jak zabawkami, niszcząc je lub uszkodzając. Fala dotarła też do Odkrywcy, który przygotowany na to wzmocnił swoje pole. Mimo to fala wstrząsnęła również ziemskim kolosem – admirał postanowił, że na przyszłość będzie ostrożniejszy, strzelając tymi torpedami. Zaraz po przejściu fali uderzeniowej statek podleciał bliżej pola bitwy, na którym nie było nic. Daleko z przodu stało kilka odrzuconych i uszkodzonych jednostek wroga. Zaraz wystartowały myśliwce i skierowały się na owe wraki, niszcząc je jeden po drugim. Nadleciało kilka krążowników, które najmniej ucierpiały i teraz starały się

osłonić swoje jednostki. Nie na wiele się to zdawało – Ziemianie, znając słabe strony krążowników wroga, wykorzystywały to bezlitośnie. Przeciwnik, zdając sobie sprawę ze swojej niemocy i przewidując nadchodzącą klęskę, zaczął się w pośpiechu wycofywać. Niewiele z obcych maszyn przetrwało bitwę, zaledwie kilkanaście i wszystkie były w jakimś stopniu uszkodzone.

Załoga Odkrywcy nie poniosła żadnych strat, wszyscy piloci powrócili na swój statek podnieceni zwycięstwem

i dumni, że pokonali o wiele liczniejszego wroga. Admirala zajmowały jednak inne myśli. Zdawał sobie sprawę, że wygranie tej bitwy nie oznacza końca walki z obcą rasą. Przeczował, iż to dopiero początek, a wróg może mieć więcej statków, dlatego kazał śledzić kurs ucieczki przeciwnika. Co było do przewidzenia, wszystkie uciekające statki kierowały się w jedno miejsce. Jednak to nie była ich planeta, ale raczej baza kosmiczna założona na jednym z księżyców wielkiej gazowej planety, krążącej wokół gwiazdy. Skan przestrzeni wykazał, że obcy nie mogli pochodzić z tego układu, ponieważ nie ma w nim planet zdolnych do zamieszkania, tylko takie gazowe olbrzymy jak Jowisz i jeszcze większe. Przy takim kolosie znaleziono planetę z atmosferą i właśnie na niej obcy założyli sobie bazę kosmiczną. Była to zła wiadomość, bo dawała wyobrażenie o sile obcych. Jeżeli wrogowie mają tak duże bazy kosmiczne poza swoim układem, a mogą mieć ich kilka, to flota, którą właśnie pokonali Ziemianie, jest ułamkiem ich potęgi. Gdy wróg powiadomi swoich ziomków, tamci zaczną koncentrować jeszcze większą flotę. Obcy, nawet dysponując niedoskonałą bronią, w takiej liczbie mogą być naprawdę niebezpieczni.

Odkrywca, lecąc za uciekającymi statkami, napotkał dryfujący myśliwiec obcych, którego pilot był nieprzytomny, ale jeszcze żył. Szybko przechwycono samolot i przetransportowano go na Odkrywcę. W ładowni statku pośpiesznie uporano się z włazem do myśliwca i nieprzytomnego pilota przeniesiono do szpitala, gdzie trzymano go pod strażą. W specjalnym pomieszczeniu utworzono atmosferę i warunki, jakie panowały w kabinie pilota, która poza podwyższonym ciśnieniem atmosferycznym niczym nie odbiegała od kabin dla ludzi. Na pierwszy rzut oka było widać, że rasa ta różniła się od Ziemian – bardziej przypominali Zarian, tylko byli niżsi, mierzyli około stu sześćdziesięciu centymetrów, ale byli krępej budowy ciała i dobrze zbudowani. Twarze mieli takie jak Zarianie, tyle że bardziej spłaszczone, a ich organy najwyraźniej niczym się nie różniły. Zakładano, że te rasy muszą być spokrewnione i dlatego kazano przynieść program tłumaczący z zariańskiego na angielski. Ziemscy naukowcy zbadali także myśliwiec, który nie przedstawiał wielkiej wartości: zwykły silnik rakietowy, lasery i karabin pokładowy na zwykłą amunicję. Następnego dnia jeniec ocknął się i krzyknął przerażony widokiem stojących wokół niego ludzi. Zobaczywszy lukę między ludźmi, chciał rzucić się w nią i uciec, ale odbił się od pola siłowego otaczającego łóżko w promieniu dwóch i pół metra, po czym padł na podłogę. Po chwili wstał, usiadł na łóżku i zaczął do siebie mówić w języku podobnym do zariańskiego. Parker powiedział kilka słów, które komputer natychmiast przetłumaczył na zariański. Obcy przerwał swoją mowę i próbował zrozumieć pytającego go

człowieka. Potem powiedział coś w swoim języku, a komputer nie bez trudności przetłumaczył to na angielski. Obcy pytał:

– Kim jesteście i czego chcecie?

– Dlaczego nas zaatakowaliście? – zapytał Parker.

– My się tylko broniliśmy.

– Nie chcieliśmy walczyć, tylko porozumieć się z wami.

– Wy pierwsi nas zaatakowaliście, wysyłając sondę szpiegowską – ciągnął obcy.

– To była sonda komunikacyjna, nie szpiegowska, a wy ją zniszczyliście.

– Wasza sonda nie podała kodu.

– Nie podała, bo niby skąd mogliśmy znać wasze kody?

– Nie dziwcie się zatem, że ją zniszczyliśmy. Musimy bronić się przed obcymi agresorami.

– My nie chcemy was niszczyć, szukamy planety, na której moglibyśmy się osiedlić.

– A na waszej nie ma już dla was miejsca?

– Nasza planeta nazywała się Ziemia i została zniszczona przez rasę taką jak wasza, która nie rozmawia, tylko od razu atakuje i niszczy wszystko, co żyje. Z całej populacji pozostało nas kilkanaście tysięcy, którzy wyruszyli w kosmos na takich statkach jak ten.

– Kim byli ci, co zniszczyli waszą planetę?

– Nie wiemy.

– A skąd znacie nasz język?

– Kilka tysięcy lat świetlnych stąd na sąsiadujących planetach żyją dwa ludy: Zarianie i Nadianie. Ci drudzy wywodzą się od pierwszych. Gdy tam przybyliśmy, od ponad dziesięciu tysięcy lat trwała między nimi wojna i tylko dzięki nam udało im się zawrzeć pokój.

Obcy, gdy to usłyszał, zerwał się i zapytał:

– Czy to nie są dwie planety poruszające się na tej samej orbicie, tylko po przeciwnych stronach słońca?

– Tak – odparł Parker.

– A więc legenda mówi prawdę – stwierdził obcy.

– Jaka legenda? – zapytał Parker.

Obcy zaczął swoją opowieść:

– Prowadziliśmy wojnę z Nadianami prawie trzy tysiące lat, gdy na Zarii wybudowano wielki statek, jakiego nikt wcześniej nie widział. Przeznaczony był do dalekich podróży kosmicznych. Zaraz po zbudowaniu wojskowi chcieli pokazać Nadianom siłę jego laserów. Po zniszczeniu kilku stateczków Nadian zbliżyliśmy się niebezpiecznie blisko do ich planety, nie spodziewając się oporu, zwłaszcza że wcześniej zniszczyliśmy im całą flotę kosmiczną. I to nas zgubiło. Gdy opuściliśmy osłony by wypuścić oddziały szturmowe, z powierzchni planety odezwały się jakieś działa nieznanego nam konstrukcji i kilkakrotnie celnie trafiły w nasz okręt. Pierwsze strzały zniszczyły nam osłony i stery, następne trafiły w maszynownię, gdzie zniszczeniu uległy urządzenia sterujące dozowaniem paliwa do silników. Nasz statek był tak skonstruowany, że jego prędkość zależała od ilości paliwa dostarczonego do silników. Po

kolejnym strzale paliwo szerokim strumieniem płynęło do silników, a statek, który nie miał stabilizatorów, wpadł w ruch wirowy wokół dłuższej osi i bardzo przyspieszał. Ostrzał i ruch wirowy sprawiły, że część załogi straciła przytomność, a część była unieruchomiona przez szczelne grodzie zamykane automatycznie. Obsługa mostka zginęła podczas ostrzału. Pękły przednie osłony kadłuba i wszyscy natychmiast się udusili. Sterówka była nieuszczelna – panowała tam próżnia. Co gorsza, większość załogi nie знаła nawet rozkładu statku i nie wiedziała, jak się po nim poruszać.

Po trzech dniach takiego lotu, kiedy wirowa siła odśrodkowa niemal miażdżyła załogę do ścian kadłuba, przytomność odzyskał jeden z nawigatorów. Ze złamaną nogą czołgał się przez prawie dwa kilometry korytarzy, zawracając często z powodu nieczynnych chodników z uwagi na rozszczelnienie kadłuba. Poprzez cztery pokłady doczołgał się do sterówki, która była zamknięta. Nie wiedział, jak długo tam podążał, ale okazało się, że wysiłek poszedł na darmo. Co kilkadziesiąt minut mdlał z wyczerpania, ale gdy tylko odzyskiwał świadomość, czołgał się dalej. Klęknął przed zamkniętą sterówką, którą chciał otworzyć ręcznie, oparł się o drzwi i aż zasyczał. Drzwi pomieszczenia były zamrożone. Uświadomił sobie, że załoga mostka nie żyje i panuje tam próżnia.

Stracił przytomność i nie wiadomo, jak długo tak leżał. Gdy się ocknął, pomyślał o skafandrach, ale one były w maszynowni i hangarach. Uznał, że ze złamaną nogą nigdy tam nie dojdzie. Już miał się poddać, gdy na małych drzwiczkach nad głową zobaczył napis „Zasilanie awaryjne”. Podniósł się z wysiłkiem i szarpnął za uchwyt. Drzwiczki odpadły. Nawigatorowi ukazał się przewód zasilający mostek. Wiedział, że jeśli ten przewód zostanie uszkodzony, komputer automatycznie przeniesie sterowanie do maszynowni i co najważniejsze – włączy się automatyczny pilot, ponieważ komputer stwierdzi, że załoga mostka nie ma możliwości sterowania statkiem. Wyciągnął pistolet i zaczął strzelać do kabli. Za którym razem trafił – nie wiedział. Faktem jest, że zasilanie sterówki zostało przerwane, a pilot automatyczny włączył się i ustabilizował statek, tak że nadal leciał z ogromną prędkością w nieznanym kierunku, ale już bez ruchu wirowego.

Załoga powoli doszła do siebie i znalazła sposób odzyskania panowania nad statkiem. Kilka miesięcy trwało, zanim uszczelniono wszystkie sekcje, najgorsze było to, że statek stracił całe paliwo i mimo że gnał z ogromną prędkością, nie mógł zostać wyhamowany, bo więcej nie ruszyłyby z miejsca. Nawigator był nieprzytomny jeszcze siedem dni. Obudził się w ambulatorium, gdzie zajmował się nim lekarz pokładowy. Z powodu uszkodzenia sekcji telemetrycznej niemożliwe było ustalenie położenia statku, a gdy z części zamiennych odbudowano coś na kształt radaru kosmicznego, załoga uświadomiła sobie, że w ogóle nie zna tej części kosmosu. Lecieli tak przez kilka lat i naprawdę nikt nie wiedział, jak szybko, bo skala prędkościomierza zawsze była przekroczona. Paliwo, które udało im się wyprodukować, starczało jedynie do zmiany kursu statku, by nie wpaść na jakąś gwiazdę lub planetę. Było im bardzo ciężko, zapasy kończyły się, mimo że przygotowywane były dla czterech tysięcy osób, jednak loty miały trwać najwyżej kilka miesięcy, a z załogi zostało tylko trzystu

osiemdziesięciu czterech członków. Wtedy nasz dowódca Kilia, wcześniej nawigator, który wyprowadził statek z ruchu wirowego, wpadł na pomysł, by do wyhamowywania statku użyć paliwa z myśliwców. Kazał je przyczepić do kadłuba w kierunku przeciwnym do lotu statku i ich silnikami powoli wyhamował statek. Gdy natrafiono na pierwszą planetę zdatną do życia, statek zatrzymano na dobre i osadzono go na niej.

Była to planeta trzy razy większa od Zarii, ale atmosfera, klimat i roślinność przedstawiły się bardzo obiecująco. Poza tym zawsze znajdowało się na niej mnóstwo zwierzyny łownej. Na początku rozbitkom było bardzo trudno z powodu zwiększonej grawitacji, ale ich dzieci już nawet tego nie czuły, od małego przyzwyczajone do takiego ciężenia, a ich ciała były bardziej krępe i niższe. Z pokolenia na pokolenie przez siedem tysięcy lat nasz lud osiągnął wzrost, jaki mamy teraz, chociaż wiemy, że nasi przodkowie byli wyżsi i smuklejsi. My urodziliśmy się na Kili – tak nazwaliśmy nasz świat od nazwiska nawigatora, który doprowadził nas na tę planetę. Od momentu przybycia nasza rasa rozrosła się, założyliśmy parę baz kosmicznych i eksploatujemy kilka planet, zaopatrując się w surowce. Wszystko było dobrze, aż dwa lata temu wykryliśmy statek lecący w naszym kierunku. Wysłaliśmy im na powitanie dwa nieuzbrojone statki, które natychmiast zostały zniszczone.

Szybko zorientowaliśmy się, że grozi nam niebezpieczeństwo, bo obcy zmierzali w kierunku Kili. Wystawiliśmy potężną flotę, składającą się z tysiąca dwustu czterdziestu okrętów różnej klasy, i stanęliśmy naprzeciw wroga. Walka niestety nie trwała długo. Po kilku godzinach wszystkie należące do nas statki przestały istnieć, a nietknięty wróg leciał w kierunku naszej planety. Natychmiast zarządzono ewakuację. Niestety uratowano tylko dwa i pół miliona dzieci. Na więcej nie mieliśmy statków. Gdy przylecieli obcy, planeta była bezbronna i mimo to została zaatakowana bez ostrzeżenia. Kiedy wróg odleciał, na Kili nie było życia: ani Kilian, ani zwierząt, a i większość roślin też została niszczone i zatruta. Nawet morza i atmosfera. Za jednym razem straciliśmy cztery i pół miliarda rodaków. Teraz pracujemy nad odtruciem planety, ale to potrwa z dwieście lub trzysta lat. Nie dziwcie się, że was atakowaliśmy, wolimy dmuchać na zimne, niż ponownie się sparzyć.

Po wysłuchaniu opowieści Parker powiedział:

– Nie chcemy z wami walczyć, musisz to powiedzieć swoim, podaj nam kod porozumiewawczy.

– To niemożliwe – odpowiedział obcy. – I tak wam nie uwierzą, zwłaszcza że wasz statek jest bardzo podobny do tamtych niszczycieli światów, błyszczy jak gwiazda i nasze pociski mu nie zaszkodziły, a wy zniszczyliście kilkadziesiąt naszych największych statków, to byłaby zdrada.

– Musisz podać kody, bo wiemy, że zbieracie siły do następnego ataku. Jeżeli tego nie zrobisz, twoi krajanie zginą jak przy poprzednim ataku.

– Nie mogę tego zrobić, to byłaby zdrada, lepiej mnie zabijcie.

– Nie jesteśmy tu po to, by was zabijać – odrzekł Parker. – Chcemy tylko bezpiecznie przelecieć przez waszą przestrzeń i mieć pewność, że nikt nas nie zaatakuje, jak zatrzymamy

się przy jakiejś planecie, by uzupełnić zapasy. Czy chcesz, byśmy tylko z samego poczucia zagrożenia zniszczyli wam niepotrzebnie bazę i zabili przy tym tysiące twoich ziomków? Jeśli się nie dogadamy, na pewno do tego dojdzie.

– Jeżeli podam wam te kody, będziecie mogli bez obawy podlecieć bardzo blisko bazy i zniszczyć ją z zaskoczenia. Nie mogę zgodzić się na takie ryzyko.

Zdenerwowany uporem obcego Parker powiedział:

– Wiesz, co teraz nastąpi? Polecimy dalej, a twoi ziomkowie zaatakują nas i wszystkie statki zostaną zniszczone. Jeśli napotkamy waszą bazę, to też ją będziemy musieli zniszczyć, żebyście z niej nie zaatakowali nas od tyłu, i tak zabijemy tysiące twoich ziomków, a krew każdego z nich spadnie na ciebie. W końcu pochwycimy innego twojego krajana, dogadamy się z nim i polecimy sobie dalej, przedtem jednak przekażemy cię rodakom i powiemy, że chcieliśmy tylko przelecieć przez wasze terytorium, a nie walczyć. Myślisz, że podziękują ci, że tysiące z nich mogło żyć, ale przez ciebie zginęli? Jak spojrzysz ich rodzinom w oczy? Co im powiesz? Zastanów się nad tym. – Parker skończył mówić, a wtedy odezwały się syreny alarmowe. Odkrywca zbliżał się do układu, gdzie znajdowała się baza kosmiczna niedawnych przeciwników.

Parker jeszcze raz zwrócił się do obcego:

– Słyszysz? To sygnał alarmu bojowego. Na orbicie waszej bazy odkryliśmy sto dwadzieścia statków, które będziemy musieli zniszczyć. Życie tych ludzi zależy od ciebie.

– Nie mogę, to zdrada, nie mogę... – i umilkł.

– Komandorze, może go wypuścić, niech porozmawia ze swoimi – powiedział Szczęściarz. Obcy, słysząc wypowiedź Willisa, zerwał się i powiedział:

– Jeżeli rzeczywiście nie chcecie walczyć, to puśćcie mnie, spróbuję przekonać naszych, że chcecie tylko przelecieć przez nasze terytorium.

Parker pomyślał chwilę i skontaktował się z admirałem, który sam miał dowodzić atakiem na bazę kosmiczną. Zmiana planów nie była po jego myśli, ponieważ psychicznie nastawił się już na walkę, zwłaszcza że wróg go jeszcze nie wykrył i łatwo można było ich zaskoczyć.

„Gdy odeślę jeńca, całe zaskoczenie diabli wezmą” – pomyślał dowódca, ale nie chciał uchodzić wśród załogi za krwiożerczą bestię.

– Zgoda – powiedział cicho. – Macie dwie godziny od chwili startu obcego z pokładu Odkrywcy. Jeżeli po tym czasie nie będzie żadnej odpowiedzi, to znaczy, że czekaliśmy na darmo i straciliśmy szansę zaskoczenia.

Obcy bardzo się ucieszył, że odzyska wolność. Zaprowadzono go do myśliwca, do którego wsiadł i bez słowa pożegnania odleciał do swoich, od razu nadając kod bezpieczeństwa. Chwilę po nim wystartowała sonda komunikacyjna, która miała przekazać odpowiedź o chęci porozumienia się z Ziemią.

Po godzinie sonda nadała wiadomość od Kilian:

– Podleci do was statek średniej wielkości, nie jest uzbrojony i nie posiada pola siłowego. Nie strzelajcie. Ze statku wysłamy prom, który będzie dokował na waszym okręcie z delegacją

na rozmowy o rozejmie.

Gdy ustało nadawanie, Parker oburzył się:

– Za kogo oni nas mają? Myślą, że strzelalibyśmy do nieuzbrojonego statku?! – Po chwili dodał: – Wyślijcie im odpowiedź: „Zgoda na dokowanie waszego promu. Na powitanie statku wyślemy swój prom i eskadrę myśliwców”.

Gdy wiadomość została wysłana, Tania zapytała Parkera:

– Dlaczego wysłał pan im eskortę? To jest niepotrzebne straszenie.

– Nie tylko wyślę prom i myśliwce. Mają być uzbrojone w najmocniejszą torpedę trytową, a myśliwce niech wezmą ze sobą atomówki.

– Ale po co to wszystko? – zapytała Tania.

– Za bardzo chcą dostać się do środka statku. A co jeśli, będąc w środku, wysadzą prom i połowę Odkrywcy razem z nim? Ja bym tak zrobił. Wtedy bylibyśmy bezbronni na łasce wroga, a tak to będziemy mieli czym się odpłacić, zniszczyć bazę i przejąć kilka ich krążowników. Bez tego zabezpieczenia nie wpuszczę żadnego obcego na pokład.

Słyszając to, admirał powiedział:

– Nie przewiduję takich kłopotów, ale rzeczywiście lepiej się zabezpieczyć. Poza tym, o czym powiedziałaś, niech z Odkrywcy wystartują wszystkie myśliwce i obydwie promy i staną w pewnej odległości za statkiem. Nie wszyscy obcy myślą o pokoju.

Godzinę później z grupy kiliańskich krążowników wysunął się jeden, podleciał na odległość czterech kilometrów od Odkrywcy i zatrzymał się. W jego kierunku wystartował prom oraz sześć myśliwców, które zatrzymały się przed krążownikiem. Po chwili wyleciał z niego prom i skierował się do Odkrywcy. Prom ziemski zawrócił za kiliańczykiem, a za nim sześć myśliwców, po trzy po obu burtach. W takiej eskorcie doleciał do Odkrywcy i zadokował w środku. Prom i myśliwce pozostały na zewnątrz statku. Po wylądowaniu promu w hangarze zapalono w nim światła. Gdy włączono światła, było słychać syk powietrza – wyrównywało się ciśnienie. Z promu zaczęło wylinać się dwanaście postaci, które poruszały się dziwnie, nieswojo czując się przy zmniejszonej grawitacji. Zaprowadzono ich do sali, gdzie kilka miesięcy wcześniej siedzieli ich krewni: Zarianie i Nadianie. Goście cały czas rozglądali się, jakby chcieli zapamiętać każdy szczegół statku. Był wśród nich pilot myśliwca, który zachęcał swoich ziomków do zajmowania miejsca przy stole. Goście bali się i mimo że próbowali to ukryć, zdradzały ich nerwowe ruchy.

Rozmowy zaczął admirał, który przedstawił siebie oraz starszych oficerów, potem podał powód przybycia Odkrywcy w przestrzeń kosmiczną Kilian i wyraził żal, że nie doszło do rozmów wcześniej, przed niepotrzebnym rozlewem krwi.

– Zanim zorientowaliśmy się, że tak naprawdę nie jesteśmy wrogami, bo ani wy nas, ani my was wcześniej nie atakowaliśmy. A z tego, co udało mi się dowiedzieć, to zarówno wasza, jak i nasza cywilizacja zostały zniszczone przez ten sam statek złej i potężnej rasy. Jeżeli jednak dojdzie do porozumienia i będziecie chcieli walczyć, to muszę was ostrzec. Ja się walki nie boję i jeżeli taka będzie wasza wola, to po rozmowach odleciecie do swoich i możemy walczyć.

Tylko jedno wam powiem: my niczym nie ryzykujemy, nawet nie mamy gdzie wracać, walka będzie więc na śmierć i życie, a jak już pokazaliśmy, mamy środki do walki i potrafimy je wykorzystać. Żeby jednak przekonać was co do naszych intencji i udowodnić, że nie jesteśmy waszymi wrogami, pokażemy film nakręcony podczas ceremonii zawarcia pokoju pomiędzy Zarianami i Nadianami oraz z okazji ustanowienia przymierza pomiędzy naszymi rasami.

Kilianie po raz pierwszy od tysiący lat zobaczyli swoich krajan – wysokich i smukłych jak ich przodkowie – którzy po jedenastu tysiącach lat walk zawarli pokój, a Ziemianie jako inicjatorzy pokoju przekazywali im swoje świecące myśliwce. Po obejrzeniu filmu zapadło milczenie. W oczach gości błyszczały łzy radości. Po chwili jeden z gości wstał i zapytał:

– Czy jak podpiszemy układ, to dacie nam taki myśliwiec?

Admirał był nieco zaskoczony pytaniem i odpowiedział:

– Nie wiem jeszcze, bo Zarianie nas nie atakowali, a wy tak, więc przekazywanie wam tak niebezpiecznej broni byłoby nierozważne. Być może dostaniecie taki prezent, kiedy dojdziemy do porozumienia, ale nie ma nic za nic, jak mówi stare ziemskie przysłowie. O wzajemnej wymianie technologii porozmawiamy, kiedy układ będzie podpisany.

Same dyskusje na temat układu okazały się trudniejsze, niż zakładano. Kilianie domagali się technologii wielkiego wybuchu, który zniszczył im większość floty. Admirał skwitował krótko:

– Nie ma takiej możliwości. Rasa taka jak wasza, która przez jedenaście tysięcy lat nie potrafi dojść do porozumienia, nie może posiadać takiej broni, gdyż w jednej chwili mogłaby zniszczyć nawet całą planetę.

Kilianie próbowali prosić, a nawet grozić, wyolbrzymiając swoją potęgę, ale to na nic. Admirał był zły, że rozmowy się przeciągają, a on chciał je zakończyć jak najprędzej.

– Kilianie – przerwał dowódca Ziemian – czy chcecie, abym jedną torpedą zniszczył waszą bazę i flotę? Chcecie tego?

– Nie – odpowiedzieli niemal chórem.

– Zawrzemy więc układ?

– Tak – powiedział jeden ze starszych Kilian.

– Nasze warunki są takie – po tych słowach wszyscy skierowali uwagę na admirała, ponieważ do tej pory Ziemianie nie stawiali żadnych warunków – Kilianie przekażą nam technologię osłon statków, a my dostarczymy im kilka pocisków trytowych dużej mocy i pokażemy, jak za ich pomocą walczyć.

Wtedy wstał jeden ze starszych Kilian i zaczął mówić:

– Nie miejcie nas za swych wrogów, a i my nie będziemy was tak traktować. Obawiamy się obcych, którzy zniszczyli nasz świat, i dlatego potrzebujemy waszej broni, nie po to, by z wami walczyć. Wiem, że jak ich dorwiecie, to zapłacą za wasze i nasze krzywdy. Chcemy być waszymi przyjaciółmi. Gdy dowiedzieliśmy się o Zarii i Nadii oraz o pokoju zawartym między nimi, przekonaliśmy się, że nie musimy się was obawiać. Przepraszamy, że was zaatakowaliśmy, i dziękujemy, że nie zniszczyliście nas za tę agresję. Damy wam wszystko,

czego potrzebujecie, i weźmiemy to, co będziecie mogli nam dać. Od tej chwili uważajcie nas za swoich przyjaciół.

Następnie starszy Kilianin podszedł do admirała, uściśnął mu rękę i dodał:

– U nas uścisk ręki to więcej niż prawo.

Admirał, ściskając rękę Kilianina, powiedział:

– U nas, Ziemian, przyjaciel znaczy więcej niż brat. Zyskaliście nie tylko przyjaciół, ale także sprzymierzeńców, którzy bez zastanowienia pójdą za wami do walki.

Nagle rozległy się oklaski radości Kilian i Ziemian. Zaraz też sporządzono dokument, na podstawie którego obie rasy zobowiązywały się do wzajemnej pomocy gospodarczej i militarnej. Sprzymierzenie to nazwano Układem Dwóch Cywilizacji.

Po zakończeniu rozmów Kilianie powrócili do swoich z wiadomością o zawartym porozumieniu. Kilka godzin później statki floty kiliańskiej zaczęły oddalać się z miejsca koncentracji. Część z nich wylądowała w bazie, dziesięć okrętów zostało na orbicie, a reszta odleciała w kosmos.

Na statek Ziemian przybyła liczna grupa Kilian, przeważnie naukowców i wojskowych, w celu wymiany osiągnięć naukowych. Załoga Odkrywcy najbardziej cieszyła się z technologii pola siłowego. Było ono bardzo mocne, jednak posiadało pewien słaby punkt – narażony na ataki wroga emiter, co podczas walki skrzętnie wykorzystwały myśliwce ziemskie. Mimo że wróg, który atakował Kilian, doskonale radził sobie z tym polem, admirał miał nadzieję, że uczonym uda się je wzmocnić. Technologia pola polegała na wytworzeniu zakrzywionej fali energetycznej z emitera pod spodem statku do drugiego urządzenia skupiającego te promienie. Urządzenie to było osłonięte przed zniszczeniem poprzez skupione promienie energetyczne, ale emiter pod statkiem nie był niczym chroniony, dlatego admirał polecił, by w czasie walki utrzymywać dodatkowo osłony magnetyczne. Kilianie dostali jeden w pełni uzbrojony myśliwiec, dwieście ton trytu oraz technologię pozyskiwania surowców z meteorytów za pomocą teleportera, z którego byli najbardziej zadowoleni, ponieważ pozwalał w szybkim czasie uzyskiwać minerały wyjątkowej czystości. Na koniec, gdy wymiana technologii była zakończona, admirał przekazał obiecane sześć torped trytowych dużej mocy. Był to rzeczywiście gest pokoju, bo niedawnego wroga uzbrojono w broń mogącą rozerwać na strzępy Odkrywcę. Gdy Kilianie dowiedzieli się, że niedawni wrogowie, a dzisiejsi przyjaciele podarowali im najpotężniejszą broń, jakiej ci do tej pory widzieli, wpadli w zachwyt i nie odbyło się bez łez radości. Taka broń dawała nadzieję w przypadku powrotu obcych.

Talek, przywódca Kilian, poprosił admirała o jeszcze jedną przysługę. Chodziło o to, by kilku Kilian mogło lecieć dalej z Ziemianami na Odkrywcy.

Admirała bardzo zdziwiła ta prośba, ponieważ wiedział, że jego statek może więcej już tu nie wrócić, ale nie chciał odmawiać nowym sojusznikom. Poza tym byli tu krótko, a chciał poznać kulturę i zwyczaje Kilian, którzy przecież wywodzą się od Zarian, zatem należą do jedynej rasy, jaką Ziemianie dotychczas spotkali w kosmosie.

– A ilu jest chętnych? – spytał admirał.

– Dziesięciu oficerów z rodzinami. To są ci oficerowie, którzy jako pierwsi was zaatakowali, a potem uciekli. Zostali aresztowani i oskarżeni o zdradę.

– Przecież gdyby zostali, na pewno zginęliby wraz załogami, a tak przynajmniej ocalili ich i siedem statków od niechybnej zagłady.

– Tak, ma pan rację, ale według naszego prawa uszkodzonym statkiem, w celu jego ochrony, może wrócić najwyżej jeden pilot, w szczególnych przypadkach dwóch. Reszta powinna walczyć i zginąć. Dlatego czterech dowódców okrętów i sześciu innych oficerów wraz z rodzinami wyraziło chęć lot z wami. Łącznie jakieś dwadzieścia osób. To dobrzy oficerowie i mogą wam się przydać. Dziećmi zajmą się ich kobiety, więc wy nie będziecie mieć z tego powodu problemów. Niech pan nie myśli, że to dla nich straszna kara. To są świetni fachowcy w swoich dziedzinach, a życie na statku i na stacji kosmicznej jest takie samo. Poza tym chcę oszczędzić im wstydu i hańby oraz represji od ziomków, które by tu ich na pewno spotkały, ponieważ u nas nie lubią tych, co uciekają z pola bitwy. Ich dzieciom z pewnością też by się dostało. Lepiej dla nich będzie, jak polecą z wami. Zresztą będą panu potrzebni, zwłaszcza na początku, zanim pańscy technicy opanują obsługę statku.

– Jakiego statku? – zdziwił się admirał.

– Tego, który zmierza w naszym kierunku.

Admirał spojrział na iluminator i zobaczył kiliański

statek, który był o połowę mniejszy od Odkrywcy, ale w warunkach Kilian mógł uchodzić za potężny okręt.

– To dobry okręt, szybko osiąga osiemdziesiąt parseków, a może lecieć jeszcze szybciej.

Admirał zastanawiał się: „To dobry statek, trochę go udoskonalić, wyposażyć w broń i w razie ataku obcych może być bardzo pomocny. Niestety nie ma pełnej załogi, a szkolenie Ziemian potrwa długo. Może warto zaryzykować”.

– Dobrze, z wdzięcznością weźmiemy statek i wszystkich Kilian, którzy zechcą z nami lecieć, ale będę wymagał od nich bezwzględnego posłuszeństwa, bo od tego może zależeć życie załogi obu statków.

– Oni się na wszystko zgadzają. Już z nimi rozmawiałem. Zresztą to dla nich lepsze niż hańba, która niewątpliwie by tu ich czekała, a tak przedstawimy ich jako bohaterów, którzy z nowymi przyjaciółmi lecą w kosmos, by pomóc na agresorach śmierć rodaków. Ich rodziny będą szanowane i znajdą się pod opieką rządu.

– Przekonałeś mnie, Kilianinie. Biorę ich wszystkich, ale będą musieli poznać nasze prawo i stosować się do niego. Staną się teraz członkami mojej załogi i jako kapitanowi złożą mi przysięgę wierności, jaką składa każdy oficer w mojej załodze.

Admirał zwiedził statek kiliańskiego typu i nazwał go Przyjaciel I. Dowództwo na nim objął porucznik Steward, który dostał awans na kapitana. Steward był do tej pory drugim oficerem na Odkrywcy i gdy Parker został komandorem, on i kilku innych oficerów też dostało awanse kapitańskie. Załogę stanowiło dziesięciu mężczyzn, specjalistów w swoich dziedzinach, oraz sześć tak samo dobrze wyszkolonych kobiet. Tylko cztery kobiety nie miały

nic wspólnego ze statkami kosmicznymi i nie potrafiły nic w tej dziedzinie, dlatego stały przed admirałem ze spuszczoneymi głowami, wstydząc się swojego braku jakichkolwiek umiejętności. Całe to zdarzenie obserwowali Kilianie i grupa ludzi, która miała być szkolona do obsługi urządzeń na kiliańskim krążowniku.

Admirał popatrzył na kobiety i powiedział:

– Nie martwcie się, są na statku zajęcia niewymagające szczególnych umiejętności w dziedzinie kosmonautyki. Na was będzie spoczywał obowiązek, by na czas nakarmić załogę, opiekować się dziećmi, pomagać w innych czynnościach, bez których życie na statku byłoby nie do zniesienia. Wasze obowiązki u nas traktowane są na równi z zadaniami innych członków załogi i tak samo będę wymagał od was sumienności i dokładności. – Na koniec dodał: – Nawet najlepszy pilot czy mechanik nie będzie dobrze pracował, będąc głodnym lub martwiąc się, czyjego dziecko ma dostateczną opiekę i czy mu się nie dzieje krzywda.

Wszyscy klaskali z radości, że admirał potrafi docenić prace służb pomocniczych. W społeczeństwie Kilian osoby wykonujące te zadania nie były doceniane, mimo że bardzo ich potrzebowano. Admirał tymi słowami zrównał je w prawach ze wszystkimi członkami załogi, za co kobiety były mu bardzo wdzięczne, podobnie jak ich mężowie, bo wreszcie mieli poczucie, że już niczego nie muszą się wstydzić. Steward szybko zaczął swoje rządy. Wyzaczył zastępców, pierwszego i drugiego oficera. Wszystkie wachty były dublowane – z Kilianinem służbę zawsze pełnił człowiek, który miał uczyć się obsługi kiliańskiego krążownika. O możliwość lotu z Ziemianami poprosił też pilot myśliwca, który przez jakiś czas był w niewoli na Odkrywcy. Pomimo że u swoich uchodził za bohatera, który doprowadził do pokoju pomiędzy Ziemianami i Kilianami, sam zgłosił chęć lotu, ponieważ pociągał go kosmos. A to mogła być niepowtarzalna okazja. Admirał wyraził zgodę i Kobo, bo tak miał na imię mężczyzna, i jego żona jako jedenasta kiliańska rodzina zaokrętowali się na pokładzie Przyjaciela I. Okazało się, że Kobo i jego żona są jedynymi pilotami myśliwców na pokładzie statku, co sprawiło, że mężczyzna został dowódcą eskadry myśliwców, a jego żona zastępcą. Obydwoje zostali awansowani do stopni oficerskich.

Gdy Ziemianie szykowali się w dalszą podróż, na okręt dowodzenia kiliańskiej floty, żegnający nowych przyjaciół, teleportowali małą szkatułkę z trytu. Kiedy Odkrywca był już daleko, dowódca Kilian otworzył skrzynkę, zobaczył małą kartkę z napisem w języku kiliańskim, poprzedzonym kilkoma cyferkami, które oznaczały współrzędne Zarii i Nadii.

– Gdy będziecie w tych stronach, pozdrówcie od nas naszych przyjaciół Zarian i Nadian – pisali Ziemianie.

Ta wiadomość bardzo ucieszyła Kilian, ponieważ w zgiełku przygotowań zapomnieli spytać o te współrzędne, a teraz mogli poznać swoje korzenie.

9.

Inna rasa

Odkrywca i Przyjaciel I już od sześciu miesięcy lecieli razem, nie napotyając żadnych oznak życia. Czas poświęcali na udoskonalanie swoich statków. Kilianie, którzy teraz częściej przebywali na Odkrywcy niż na swoim krążowniku, chętnie poznawali ziemską kulturę, obyczaje i język, oczywiście angielski. Nie było sensu uczyć ich języków, którymi posługiwali się pochodzący z różnych krajów członkowie załogi Odkrywcy, bo było ich kilkanaście, ale gdy opowiadano Kilianom o kilkuset językach i dialektach ziemskich, ci dziwili się, że Ziemianie w ogóle mogli się dogadać. Doszli do przekonania, że poza wyglądem fizycznym i językiem, kulturą i zachowaniem obie rasy nie różnią się zupełnie i dlatego nie dochodziło do konfliktów, zwłaszcza że Ziemianie przyzwyczajeni byli do różności kultur i języków, więc traktowali gości jak swoich. Na dodatek rozdane całej załodze komunikatory na bieżąco tłumaczyły mowę gości.

Kilianie, istoty wyjątkowo sumienne, w pracy byli cennym nabytkiem dla załogi. Dziećmi też zajmowano się wspólnie. Daro, siedmioletni syn Zara, dowódcy Kilian, często zabierał dwuletniego Jasia i dwudziestomiesięczną Gwiazdkę na spacer po pokładzie statku, wszędzie budząc radość i uśmiechy załogi. Maluchy traktowały

Daro jak starszego brata i często ze sobą przebywały, dlatego szybko zaczęły łąpać kiliański. Wszystkim sprawiało to radość, bo gulgotały jak indyki, rozmawiając między sobą – wszystko to sprawiało, że załoga kiliańska czuła się na statku dobrze i swobodnie. Utworzono też przedszkole, w którym prócz dziewięciu małych Ziemian było siedmioro dzieci Kilian, w większości starszych, poza jednym rówieśnikiem Jasia, Gulem, z którym chłopczyk często się bawił, zwykle głośno gulgocząc. Kiedyś do przedszkola przysłała mama Gula i zobaczyła, jak grupka ludzi śmieje się, spoglądając na dzieci, które beztrósco gulgotały, nie zwracając uwagi na dorosłych. Mama Gula wzięła chłopca na ręce i wyszła bez słowa z wielce obrażoną miną. Po godzinie przyszedł ojciec chłopca i zapytał przedszkolankę, dlaczego dorośli śmiali się z jego syna. Jego żonie bardzo się to nie spodobało i z płaczem wróciła z Gulem do pokoju. Przedszkolanka bardzo zmartwiła się tym, że Kilianka tak zareagowała, i zaczęła ojcu Gula tłumaczyć, że nikt nie wyśmiewał się z jego syna. Po chwili do ojca Gula i przedszkolanki podszedł mały Jasio, który usłyszał mowę kiliańską. Popatrzył na niego i zagulgotał w jego języku. Gdy Kilianin to usłyszał, spojrzął się na chłopca i tak serdecznie się roześmiał, że aż łzy pocięły mu po twarzy. Chłopiec też się zaczął śmiać i zaraził tym przedszkolankę.

W tym momencie weszli komandor Parker i kiliańska matka z Gulem na rękach. Oboje zobaczyli, jak cała trójka zanosi się od śmiechu. Parker zwrócił się do przedszkolanki, że jest skarga na nią. Tymczasem Kilianka powiedziała coś do męża, ale ten nie przestawał się śmiać. W końcu ze łzami w oczach powiedział do żony:

– Posłuchaj tego chłopca – po czym odezwał się po kiliańsku do Jasia. Chłopczyk

odgulgotał mu, jak potrafił, no i Kiliańska też zaczęła się z tego śmiać. Przedszkolanka wytłumaczyła Parkerowi, że nie śmiała się z Gula, tylko z Jasia, który nauczył się kiliańskiego i swobodnie dogadywał się z Gulem. Jasiu znowu coś zagulgotał do Gula, ale tym razem zrobił to na tyle wyraźnie, że tłumacz przełożył to na angielski:

– Gulo, choć się ze mną pobawić.

Kiliańskie małżeństwo przeprosiło przedszkolankę i Parkera za kłopot i wszyscy razem patrzyli, jak dwaj chłopcy, gulgocząc do siebie, rozmawiali swobodnie bez komunikatorów. Gulo też zaczął szybko mówić po angielsku i jako pierwszy najlepiej opanował język Ziemi.

Na polecenie admirała dozbrojono Przyjaciela I i w kilka myśliwców ziemskich, broń trytonową i konwencjonalną. Załoga laboratorium pracowała nad silnikami fotonowymi dla Odkrywcy, ponieważ pozwalały one na niemal natychmiastowy rozruch statku i zatrzymanie go w razie potrzeby.

Sprawa nie była prosta, gdyż najpierw trzeba było odstrzelić poprzedni napęd, czyli cały akcelerator, i w to miejsce wbudować fotonowy, a na to potrzeba przynajmniej kilkunastu tygodni. Poza tym trzeba by było zatrzymać okręt na jakiejś orbicie. Gdy admirał usłyszał, co naukowcy chcą zrobić i jakim kosztem, wpadł we wściekłość. Nawet staremu przyjacielowi oberwało się za pomysł odstrzelenia akceleratora. Admirał zrugął go jak sztubaka i na koniec powiedział:

– Napęd impulsowy jest i będzie podstawowym napędem Odkrywcy. Fotony mają być, ale jak to zrobicie, to już wasza działka. I nie myślcie, że pozwolę zatrzymać Odkrywcę w jednym miejscu na dłużej niż tydzień.

Sprawę uratował Szczęściarz, który w odpowiednim momencie zabrał głos:

– Jest wyjście, które pozwala zachować napęd impulsowy i zamontować fotonowy. Napędy te mogą współpracować ze sobą lub działać każdy z osobna. Na dodatek nie ma potrzeby zatrzymywać okrętu, chyba tylko po to, by zaraz ruszyć, sprawdzając nowy napęd fotonowy, który potrafi w ciągu godziny osiągnąć prędkość osiemdziesięciu parseków.

Gdy skończył, wszystkie oczy były skierowane na niego, a admirał rzekł:

– Słyszeliście. Tak powinien odpowiadać naukowiec, a nie tylko piętrzyć trudności. Mówić o sposobach rozwiązywania problemów!

– Jest jednak pewien problem – powiedział Szczęściarz.

– Jaki? – zapytał admirał.

– To, o czym mówiłem, na razie jest tylko teorią, nie ma jeszcze żadnych planów.

– A w tym to ja wam pomogę – powiedział admirał i wrzasnął z całych sił: – Weźcie się, cholera, wreszcie do roboty, i to natychmiast. – I wyszedł, zostawiając wystraszonych naukowców.

W końcu odezwał się Szmit:

– Willis i Kiro, opracujecie projekt, do wieczora chcę mieć szkic napędu na moim biurku. Macie też określić zapotrzebowanie na konieczne surowce. – Aha – dodał, wychodząc – Willis, jeśli schrzanisz ten projekt, to osobiście cię wykopię na zewnątrz i tak długo będziesz pchał

Odkrywcę, aż osiągnie prędkość osiemdziesięciu parseków.

Wieczorem Willis referował przed Szmitem wstępny projekt nowego silnika, który opierał się na wykorzystaniu rur trytowych otulonych molem do ich schładzania, przesyłaniu nimi fotonów twardych, gdzie przed ich wyrzuceniem łączono z czystym tlenem i wtedy na pełną skalę zaczynała się reakcja tworzenia fotonów miękkich, tuż przy wylocie dysz pozwalająca statkom osiągać niesamowite prędkości. Rzecz jasna, niemożliwa była praca obu napędów jednocześnie, ale po zamknięciu dysz silnika fotonowego ich osłony stają się ekranem silnika impulsowego. Zatem statek rozpędzony silnikiem fotonowym do maksymalnej prędkości wyłącza ten napęd i automatycznie włącza się silnik impulsowy, który nie– przegrzany rozruchem okrętu szybko przyspiesza i do czasu osiągnięcia masy krytycznej może osiągać prędkości rzędu kilku tysięcy parseków.

Pomysł Willisa bardzo spodobał się Szmitowi, dlatego kazał natychmiast przekazać go do biura konstrukcyjnego, by porzuciwszy realizowane do tej pory zadania, zaprojektowano wszystkie podzespoły i współdziałające z nim urządzenia. Rozrysowano cały projekt i podzielono naukowców na zespoły, z których każdy zajmował się innym elementem silnika. Niemal cała załoga pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę przez cały miesiąc przy wykonywaniu poszczególnych elementów silnika. Wykonywano odlewy, łączono instalacje elektryczne i tworzono nowe rozwiązania techniczne. Specjalistami w dziedzinie silników fotonowych byli Kilianie i to na nich spoczywały najważniejsze zadania. Po miesiącu ciężkiej pracy napęd fotonowy gotowy był do prób. Sami Kilianie zachwycali się tym silnikiem, ponieważ zastosowano w nim materiały i myśl techniczną, jakie nie były im znane do tej pory. Silnik był zupełnie nowej generacji i zdawali sobie sprawę, że na Kili takim sami nie zbudowaliby nawet w ciągu pięćdziesięciu lat.

Admirał kazał zatrzymać Odkrywcę, a Przyjaciel I miał lecieć dalej w wyznaczonym kierunku z maksymalną prędkością przewidzianą dla niego na sto dwadzieścia parseków. Po uzyskaniu tej prędkości silniki Przyjaciela I nie wykazywały żadnego przeciążenia, a wszystko dzięki chłodzeniu reaktora fotonowego trytem i molem. Silnik wyłączono dopiero, gdy osiągnął prędkość dwustu trzydziestu pięciu parseków.

Godzinę później na Odkrywcy włączono silnik fotonowy, który szybko osiągnął prędkość dwustu parseków i mimo że nie było to maksimum jego możliwości, ponieważ silnik na Odkrywcy był dwa razy większy od tego na Przyjacielu I, wyłączono go i włączono silnik impulsowy, który dawał trzy procent przyspieszenia przy każdym impulsie, traktując prędkość dwustu parseków jako zerową. Przy dziesięciu impulsach osiągnął ponad dwieście sześćdziesiąt parseków, a przy trzydziestu czterysta siedemdziesiąt jeden. Admirał kazał zaprzestać przyspieszania, ponieważ dostał wiadomość, że właśnie minęli Przyjaciela I, a nie chciał go zgubić. Rozkazał zmniejszyć prędkość, by lecieć równo z drugim statkiem. Dowódca zdawał sobie sprawę, że dysponuje teraz maszyną szybszą, niż kiedykolwiek marzył.

Odkrywca i Przyjaciel I lecieli przez cały czas w jednym kierunku. Wlecieli w przestrzeń międzygalaktyczną szeroką na jedną trzecią galaktyki, w której gwiazdy były coraz rzadziej

spotykane, a od pewnej chwili przestrzeń kosmiczna była zupełnie pusta. Jednak na widnokręgu kosmosu widać było cieniutki pasek następnej spiralnej galaktyki i statki kierowały się na jej obrzeża. Podróż przedłużała się na tyle, że admirał nakazał zamontować przy silniku fotonowym Przyjaciela I dodatkowe chłodnice trytowo-molowe, by osiągać większe prędkości. Pomysł był skuteczny – statki osiągnęły prędkość pięciuset parseków i lecąc tak szybko przez sześć miesięcy, zbliżyły się do następnej galaktyki. Minąwszy pierwsze gwiazdy admirał kazał rozpocząć proces powolnego hamowania, ale nie spieszył się za bardzo, ponieważ zewnętrzne gwiazdy galaktyki to przeważnie nadolbrzyny posiadające planety, przeważnie wielkie gazowce, na których na pewno nie było życia. Mogło być na ich księżycach, ale gwiazdy te emitowały pulsacyjne światło i nawet patrzeć na nie było trudno. Statki nadal hamowały, a wokół mijanych gwiazd coraz częściej pojawiały się interesujące planety.

Właśnie wykryto ciekawy układ słoneczny, w którym wokół trochę większej od ziemskiego Słońca gwiazdy orbitowało osiemdziesiąt różnej wielkości planet, ale raczej małych. Obydwa statki oddzielnie badały te planety, eliminując od razu te najbliższe gwiazdy, które były spalone jej promieniami, oraz te zbyt od niej oddalone, przeważnie zamrożone. Kilka planet szczególnie zainteresowało odkrywców z uwagi na surowce naturalne, które potrzebne były na obu statkach, przede wszystkim tlen i wodę, bez których trudno się obejść. Na jedną z takich planet wystrzelono sondę. Planeta z początku nie wyglądała na ciekawą z powodu dużej aktywności sejsmicznej i promieniowania na całej jej powierzchni, choć nie tak groźnego, by nie można było tam lądować i przebywać krótki czas. Jednak ku zdziwieniu wszystkich niestety zbyt późno zauważono drugiego satelitę, który promieniem lasera po prostu zestrzelił sondę. Admirał kazał ogłosić alarm i wysłał tam myśliwiec, który jednak został ostrzelany przez satelitę. Gdy wszystkie promienie odbiły się od jego pancerza, satelita po prostu eksplodował. Jednak przed samym wybuchem sonda wysłała silny impuls w kierunku środka galaktyki, prawdopodobnie z ostrzeżeniem do budowniczych satelity, że zbliża się obcy statek. Teraz bez przeszkód zbadano planetę i już z pierwszych informacji, które dotarły na Odkrywcę, dowiedziano się, że żyła na niej wysoko rozwinięta cywilizacja, która została w całości zniszczona. Pozostawiła po sobie dowody świadczące o jej wysokiej kulturze w postaci budowli, które oparły się najeźdźcy, czasowi i samej naturze. Niestety jej roślinność niemal w całości została zniszczona, a zatruta planeta jeszcze nie poradziła sobie ze skażeniem. Zwierzęta na pewno wyginęły wcześniej niż sama roślinność. Promieniowanie kiedyś musiało być duże, teraz osłabło i gdyby dać szansę tej planecie, to odżyje i za kilkaset lat może znowu nadawać się do zamieszkania. Admirał w dobrze nawodnionych rejonach planety kazał posadzić wiele gatunków drzew i krzewów, rozsiał nasiona traw i porostów. Nazwał tę planetę Pierwsza, bo jako pierwsza została napotkana w tej galaktyce. Kazał ją także wpisać do rejestru planet mogących nadawać się do zasiedlenia i odwiedzić ją za pięćdziesiąt lat w celu jej dalszego uzdatniania albo nawet zasiedlenia.

Po przeprowadzeniu dokładnej analizy stanu Pierwszej okazało się, że zniszczona została

około pięćdziesięciu lat wcześniej. Najpierw usunięto systemy obronne planety, a potem sukcesywnie niszczone miasta i elektrownie atomowe, gdzie promieniowanie nadal było zabójcze dla życia. Wody w oceanach i wielkich lądowych zbiornikach zawierały ślady promieniowania, co znaczyło, że zatopiono w nich znaczne ilości odpadów promieniotwórczych i chemicznych. Poza tym Ziemianie zobaczyli wielkie połacie popalonych lasów, gdzie z powodu promieniowania roślinność nie mogła się odrodzić. Po zakończeniu badania planety oba statki ruszyły w głąb galaktyki, ale zaczęły dokładniej badać przestrzeń przed sobą, cały czas mając w pamięci, że satelita przed samozniszczeniem wysłał do swoich budowniczych sygnał o pojawieniu się obcych. Lecąc do następnego układu słonecznego, podróżnicy szybko przekonali się, że znajdują się blisko obcej cywilizacji, gdyż sensory dalekiego zasięgu wykryły zbliżający się statek kosmiczny. Nie było wątpliwości – był to niewielki statek patrolowy, zaledwie trzy razy większy od promu, posiadający silne pole siłowe i na pewno broń nieznaną załodze statków.

Admirał rozkazał, by Przyjaciel I oddalił się i próbował okrążyć obcy statek, aby w razie potrzeby mógł mu przyjść z pomocą. Zalecił Stewardowi, by ten jak najdłużej trzymał się poza sensorami wrogiej jednostki lub ukrył się za jakimś asteroidem. Steward pośpiesznie się oddalił i zaczął poszukiwania odpowiedniego meteorytu. Szybko taki znalazł i wiązką holowniczą zaczął nadawać mu prędkość stosownie do tempa ruchu takich meteorytów w naturze, ale w kierunku spotkania Odkrywcy z obcym statkiem. Gdy w końcu obcy pilot wykrył statek Ziemian, szybko zbliżył się do niego. Z Odkrywcy wystartowało dziewięć myśliwców szturmowych i jeden prom posiadający pole siłowe kiliańskiego typu, które zbliżyły się do obcego, a ten zaczął strzelać laserami. Jak było do przewidzenia, promienie odbijały się od pancerzy. Myśliwce Ziemian też zaczęły ostrzeliwać obcy statek, ale osłony wroga były zbyt mocne i ostrzał nie przyniósł pożądanych efektów. To, co nastąpiło po chwili, całkowicie zmieniło strategię walki admirała z obcymi. Od wrogiego statku oderwał się czerwony promień lasera, który trafił jeden z myśliwców, przebijając go na wylot. Po chwili przez radio odezwał się pilot trafionego myśliwca:

– Trafił mnie w bok, poszycie z mola spełniło swoje zadanie. Straciłem osiem procent powietrza, które zostało zrekompensowane zapasem z butli.

Chwilę później drugi myśliwiec został trafiony z takim samym skutkiem. Dopiero gdy w trzecim przestrzelono zbiornik paliwa, maszyna eksplodowała. Obcy statek wyłączył go z walki. Zbiorniki paliwa, wykonane z trytu i dodatkowo osłonięte warstwą molu, nie mogły być rozerwane. Paliwo z tego zbiornika po prostu wypaliło się jak z palnika acetylenowego, dając niekontrolowany odrzut myśliwca w kosmos. Pilot myśliwca dał znać, że nic mu nie jest, ale zaczął dryfować i prosi o ściągnięcie go. Koledzy, widząc, że nie ugryzą obcych, ruszyli po dryfującego kolegę, po czym zawrócili na Odkrywcę. Prom stał w miejscu, jakby na coś czekał. Obcy spostrzegł to i zatrzymał swój statek, czekając na reakcję załogi promu lub stojącego dalej statku. Nie zauważył, jak za jego plecami zbliża się asteroida. Przyjaciel I wystrzelił torpedę trytową, która szybko leciała w stronę obcego statku. Pilot wroga musiał zauważyć

torpedę, ale nie zrobił nic. Na pewno zaufał swoim do tej pory niezawodnym osłonom. Torpeda zbliżyła się na dziesięć metrów do obcego statku i eksplodowała. Potężny wybuch rozświetlił kosmos, a fala uderzeniowa rzuciła małym stateczkiem w kierunku promu jak piłką. Obcy statek koziołkował, ale pole siłowe jeszcze się utrzymywało. Prom jakby na to czekał – wystrzelił w kierunku wroga torpedę trytową i natychmiast zawrócił, uciekając z jej pola rażenia. Druga torpeda uderzyła już bezpośrednio w obcy stateczek i wybuchła. Pomimo że eksplozja była trzy razy słabsza od poprzedniej, pole siłowe wrogiego stateczku pękło jak bańka mydlana. Statkiem rzuciło prosto na nadlatującą asteroidę, za którą w pewnej odległości leciał Przyjaciel I. Takiego zderzenia mały stateczek nie mógł wytrzymać i, co dziwne, asteroida też rozleciała się w kawałki.

Po bitwie admirał kazał załogom myśliwców zebrać jak najwięcej części z rozbitego statku obcych w celu zbadania technologii lub przynajmniej poznania rodzaju materiału, z jakiego maszyna została wykonana. Pomysł z asteroidem był wspaniały, obcy do ostatniej chwili nie wiedzieli nawet, że są dwa statki i może to powstrzymało wroga przed wezwaniem pomocy. Zwyczajnie uznał, że posiada dostateczną siłę, by powstrzymać Odkrywcę lub nawet zniszczyć go. Istniała możliwość, że gdyby wcześniej zauważył drugi statek, dla bezpieczeństwa wezwałby pomoc.

Z analizy przestrelonego myśliwca wynikało, że czerwony laser daje temperaturę większą niż siedem tysięcy stopni, bo tyle wynosiła temperatura topnienia trytu, a biorąc pod uwagę łatwość przepalania pancerza trytowego, temperatura ta musiała być znacznie wyższa. Obcych mogło zaskoczyć jedynie to, że trafiony myśliwiec nie eksplodował, tylko nadal prowadził ostrzał. Musieli być z tego powodu zdenerwowani. Admirał zwołał naradę, na której omawiano przebieg bitwy oraz dalsze posunięcia i sposoby walki z wrogiem, który posiadał lepsze uzbrojenie. Pojawiła się propozycja, by wylapać odpowiednio duże meteoryty i ukryć za nimi Odkrywcę oraz Przyjaciela I w ten sposób poruszać się w przestrzeni wroga. Pomysł ten upadł, ponieważ ruch za asteroidami był zbyt powolny. Według innej propozycji myśliwce należało wyposażyć w detonatory trytowe, które włączane byłyby w razie przechwycenia maszyny przez wrogi statek i wciągnięcia jej do jego wnętrza. Taka eksplozja w środku maszyny zniszczyłaby na pewno każdy statek. Admirał najpierw nie chciał się zgodzić, bo uznał, że to dla pilota pewna śmierć, jednak jeden z pilotów spytany o tę kwestię odpowiedział, że to świetny pomysł i on już wyraża zgodę na zamontowanie takiego detonatora. Dodał jeszcze:

– Wcale nie musi się to wiązać ze śmiercią pilota, ponieważ wiadomo, że ich czerwony laser przebija wszystko, także myśliwce, co łatwo im sprawdzić. Jednak gdy zobaczą, że laser trafił myśliwiec kilka razy, a pilot zdążył się katapultować, na pewno będą chcieli sprawdzić, dlaczego myśliwiec nie został zniszczony i wciągnął go do statku. Do zrealizowania tego pomysłu potrzebny będzie prom i kilka maszyn – te w odpowiedniej chwili po prostu uciekną, zabierając ze sobą katapultującego się pilota, a zostawią myśliwiec, który jest bombą z opóźnionym zapłonem. Wróg na pewno wciągnie go na swój pokład. Proponuję zatem lecieć dalej, skanując przestrzeń przed sobą, a w razie dostrzeżenia obcych statków zatrzymać się, by

wysłać prom oraz myśliwce.

Admirałowi bardzo spodobał się ten pomysł i dlatego kazał w każdym samolocie zamontować detonator podłączony do pięciokilogramowego ładunku trytowego, a nie, jak wcześniej zakładano, podłączać go do pancerza, ponieważ siła eksplozji myśliwca, który zawiera dwie tony trytu, mogłaby rozerwać nie tylko obcy statek, ale i stojącego daleko Odkrywcę. Nie było obawy, że nastąpi reakcja łańcuchowa bomby z trytem z pancerza, ponieważ metal ten wchodzi w reakcję tylko z trytem powiązany wiązaniami subatomowymi, a gdy brak jest takich połączeń, tryt traktowany jest jak obcy materiał.

Statki ziemskie ruszyły w dalszą podróż, intensywnie skanując przestrzeń przed sobą, i powoli nabierały prędkości. Po dwóch dniach lotu skanery dalekiego zasięgu wykryły pojedynczy asteroid o wielkości od pięciu do sześciu kilometrów, poruszający się jak inne asteroidy z prędkością sześćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Admirał rozkazał, by jeden prom i cztery myśliwce zbadały kolosa i zorientowały się, czy do czegoś się przyda. Po dwóch godzinach z promu przyszedł meldunek alarmowy:

– To obcy! Wykryli nas!

Natychmiast ogłoszono alarm i zatrzymano statki. Włączono akcelerator do wzmocnienia pola ochronnego Odkrywcy. Teraz na radarach zauważono, że za promem trzymającym myśliwiec na wiązce holowniczej obcy potężny statek powoli zmienia kurs na kolizyjny z Odkrywcą. Był to kolos pięciokrotnie większy od statku Ziemi i przypuszczalnie posiadający potężną broń. Admirał kazał wprowadzić w życie plany bitwy pod kryptonimem „Koń Trojański”.

Dwa promy i osiemnaście myśliwców ruszyło pełną mocą silników w kierunku wroga, który wykrywszy je, zatrzymał się. Być może obcy uznali, że skoro ich wróg przeciwko takiemu kolosowi wysłał tylko dwa małe stateczki i kilkanaście myśliwców, to dysponuje potężną, ale nieznaną im bronią. Po półgodzinnym locie promy zbliżyły się do kolosa, ale najpierw wystrzelono sondę komunikacyjną na wypadek, gdyby obcy nie chcieli walczyć, ale porozumieć się. Niestety krótki błysk lasera zmienił sondę w kupę złomu i dał znać Ziemiom, że obcy statek nie przybył na pogawędkę. Myśliwce zaczęły ostrzelać kolosa, ale bezskutecznie. Obcy też próbował trafić jeden ze szturmowców, ale ze względu na ich dużą ruchliwość nie udało mu się to. Wtedy z kolosa wyleciało kilkadziesiąt myśliwców, które od razu dostały się pod ostrzał ziemskich maszyn. Niestety Ziemiom spotkał zawód, myśliwce wroga posiadały własne pola siłowe i lasery nie wyrządzały im szkody. Broń konwencjonalna też nie robiła obcemu krzywdy. Jedynym pocieszeniem było to, że lasery wroga odbijały się od osłon trytowych. Nagle wyleciało około stu obcych myśliwców, które skierowały się w stronę dwóch stojących do tej pory promów. Widząc to, myśliwce ziemskie zaczęły chować się za obcego kolosa, znikając tym samym z pola widzenia promów. Parker, dowodzący bitwą z promu, wystrzelił torpedę trytową w kierunku wrogich myśliwców, natychmiast zawrócił i uciekał z pola bitwy w kierunku Odkrywcy. Obce myśliwce, uważając, że torpeda wymierzona jest w ich macierzysty statek, próbowali ją zestrzelić, ale ich lasery odbijały się od torpedy jak wcześniej

od ziemskich maszyn. Gdy torpeda znalazła się w środku zgrupowania myśliwców, nastąpiła potężna eksplozja i oślepiający błysk rozświetlił pole bitwy. Promy lecące w kierunku Odkrywcy nie zdążyły uciec przed falą uderzeniową. Próbowaly skryć się za statek, lecz zostały rzucone w jego kierunku. Tylko dzięki refleksowi Parkera udało się uniknąć kolizji.

W innym położeniu znajdowała się eskadra obcych myśliwców, z których większość została po prostu rozerwana podczas wybuchu. Część z nich wpadła na siebie, eksplodując. Kilkanaście myśliwców wroga zostało rzuconych o pole siłowe własnego statku i po prostu spłonęły. Pole siłowe musiało być wyłączone, ponieważ ukryte przed wybuchem torpedy myśliwce ziemskie na pewno poważnie uszkodziłyby nawet tak ogromny statek. Obcy na wielkim statku patrzyli, jak ziemskie myśliwce rzucają się na ich pozbawione pól siłowych myśliwce i niszczą je jeden po drugim. Myśliwce ochrony statku latały między ziemskimi szturmowcami, ale nie mogąc im nic zrobić, tylko traciły paliwo. Masakra jeszcze trwała, gdy obcy zobaczyli, jak siedem ziemskich maszyn ostrzeliwuje laserami cudem ocalony myśliwiec, posiadający jeszcze pole siłowe. Maszyna pełną parą leciała w kierunku swojego statku, jakby jej załoga czuła, że nie przetrwa ataku tych szerszeni. To, co nastąpiło później, wprawiło w osłupienie nie tylko obcych, ale i Ziemian. Zauważono, jak jeden z ziemskich myśliwców z numerem jedenaście, pilotowany przez porucznika Rikardsona, zawraca o sto osiemdziesiąt stopni i z całą mocą silników ustawia się pasie kolizyjnym z myśliwcem wroga. Wszyscy z przerażeniem obserwowali, co się za chwilę wydarzy. Rozpędzony myśliwiec ziemski był tylko trochę większy od maszyny obcych, ale za to siedem razy cięższy. Pilot obcego myśliwca musiał w ogóle nie zauważyć tego manewru, ponieważ natychmiast zmieniłby kurs, unikając kolizji. Gdy spostrzegł, co się dzieje, było za późno. Ziemski myśliwiec z takim impetem uderzył w maszynę obcych, że ta nawet nie zdążyła eksplodować, po prostu rozpadła się na wiele kawałków i nie pomogło jej nawet pole siłowe.

Później, omawiając ten atak, stwierdzono, że technika musiała ustąpić masie i prędkości, a pilot Rikardson dostał dziesięć dni aresztu za narażenie życia i myśliwca oraz medal za odwagę. U kolegów uzyskał ksywkę „Straceniec”. Po tym zdarzeniu myśliwce obcych zaczęły obserwować, czy kolejne szturmowce nie chcą taranować ich maszyn. Ziemscy piloci wyczuli strach przed taranowaniem i zaczęli markować takie ataki. Obcy zrozumieli, że Ziemianie znaleźli skuteczny sposób niszczenia ich maszyn, i zaczęli wycofywać się w kierunku kolosa. Wtedy piloci usłyszeli rozkaz „Koń Trojański”. Rzucili się za myśliwcami obcych, ostrzeliwując je gęsto, mimo że wiedzieli, iż nie mogą im zrobić wielkiej krzywdy. Po pewnym czasie ziemskie myśliwce zaczęły latać coraz wolniej, narażając się na ostrzał czerwonymi laserami. I co było do przewidzenia, kolos strzelał do maszyn, trafiając niemal za każdym razem. Jednak nawet kilka razy trafiony myśliwiec ziemski latał dalej. Wrogowie nie mogli zrozumieć, jak to możliwe. Próbowali nawet łapać blisko przelatujące myśliwce ziemskie w wiązkę holowniczą, ale bezskutecznie. Gdy jeden z ziemskich myśliwców trafiono w zbiornik paliwa, które paląc się, zaczęło uciekać w kosmos, obcy dojrzeliby możliwość zbadania myśliwców przeciwnika. Jednak ziemski pilot wiedział, co ma robić. Nacisnął przycisk

katapulty i już był w kapsule ratunkowej na zewnątrz. Na to tylko czekał sterujący innym ziemskim myśliwcem – podleciał do kapsuły, wstrzelił hol i jak najszybciej pociągnął ją w kierunku statku. Pozostałe myśliwce zaczęły natychmiastowy odwrót. Chwilę przed wystrzeleniem kapsuły pilot włączył detonator nastawiony na trzydzieści minut. Kolos, widząc odwrót ziemskich myśliwców, opuścił pole siłowe i zaczął zbierać swoje maszyny. Najpierw jednak wciągnął na pokład zdobyczny myśliwiec. Gdy ostatnie samoloty lądowały na pokładzie, Odkrywca włączył pole siłowe, wzmacniając je akceleratorem.

Minutę później potężna eksplozja targnęła kosmosem, statek obcych z hukiem rozleciał się w kawałki, a cała jego załoga zginęła.

Tak oto zakończyła się eliańska dominacja w tej części galaktyki. Na Elii nie zrozumiano, dlaczego ich najnowszy, najpotężniejszy i największy statek przestał nadawać, mimo że ostatni meldunek brzmiał: „Wróg pokonany, wycofuje się. Zdobyliśmy ich myśliwiec, który trafiony sześć razy nadal latał i ostrzeliwał statek. Dopiero po trafieniu w zbiorniki paliwa został unieszkodliwiony. Zabieramy go do zbadania. Koniec przekazu”. Potem była tylko cisza, jakby statku w ogóle nie było. Po eksplozji maszyny Odkrywca przyleciał w miejsce, gdzie wcześniej stał kolos, ale nawet szczątki były już daleko porzucane i tylko największa część kadłuba opadła na pobliską planetę wielkiego gazowego olbrzyma, dwa razy większego od Jowisza. Najmocniejsze skanery go tam nie znajdują. Nazajutrz po bitwie Odkrywca schronił się za planetą, a Przyjaciół I poleciał skontrolować, czy obcy nie wysłali jakiegoś statku, i sprawdzić, co się stało z ich kolosem.

Admirał się nie pomylił, rzeczywiście wykryto mały stateczek wielkości promu, który badał latające wokół pola bitwy szczątki.

Steward, dowodząc Przyjaciółem I, myślał intensywnie, jak niezauważenie podlecieć do promu obcych. Myślał i wymyślił. Zauważył, że skośnie do kursu statku leci deszcz meteorów, które w pewnym czasie zjedną się z kursem obcego. To może wystarczyć, by wróg nie zauważył go zbyt szybko. Ustawił się w odpowiedniej pozycji, poczekał na nadlatujące meteoryty i po prostu poleciał z nimi, tak by skanery obcego statku nie wykryły go. Był większy od każdego meteoru, ale z daleka mógł uchodzić za asteroid. Gdy podleciał bliżej, odpalił torpedę trytową niezbyt dużej mocy. Została ona zauważona przez pilota obcego statku, ale zbyt późno na jakąkolwiek reakcję. Błysk eksplozji rozerwał czerni kosmosu, a fala uderzeniowa rzuciła małym stateczkiem tak mocno, że zaczął koziółkować, obracając się bezwładnie wokół trzech osi, natomiast pole siłowe, wyjątkowo silne w statkach należących do tej rasy, pękło jak bańka mydlana. Przyjaciół I natychmiast spróbował pochwycić maszynę wiązką holowniczą, ale obcy statek miał zbyt dużą masę i przy każdej próbie się urywał. Za każdym razem jednak zmniejszał swoją prędkość, aż w końcu został pochwycony i przytwierdzony do boku Przyjaciół I. Wkrótce grupa wypadowa została teleportowana do wnętrza obcego statku po uprzednim sprawdzeniu, że atmosfera tam panująca odpowiednia jest także dla Ziemi. Nie było przeciwwskazań i grupa w składzie trzech ludzi i jednego Kilianin została wysłana na obcy statek z bronią ogłuszającą gotową do strzału. Grupa szybko poruszała

się w kierunku kokpitu, gdzie według skanera przebywała trzyosobowa załoga tego statku.

Po dotarciu na miejsce najpierw dostrzeżono trzy fotele, a na nich trzy małe ciała obcych. Były to niewielkie istoty, miały około stu dwudziestu centymetrów wzrostu, dużą głowę i wielkie czarne oczy. Ich ciała były szczupłe i nieproporcjonalne do wielkości głowy, co wskazywało na wybitną inteligencję. Poruszające się miarowo piersi wrogów wskazywały, że żyją, dlatego zostali skrępowani i przeniesieni na Przyjaciela I, gdzie umieszczono ich w oddzielnych kabinach.

Natychmiast po przeniesieniu obcych zaczęto penetrować statek w celu poznania jego budowy, uzbrojenia osłon i innych technologii. Kilianin jako inżynier zaczął pracę od sprawdzenia konsoli sterowniczych, które zostały zablokowane przez wybuch. Na mostku zadziałało oświetlenie awaryjne, część monitorów była wyłączona, a przy innych świeciły się małe lampki. Na monitorach przesuwaly się szeregi niezrozumiałych znaków. Kilianin, oglądając konsolę dowódcy, usiadł na jego fotelu, ledwie się mieszcząc. Porucznik Naruta podszedł do niego i zapytał:

– Orientujesz się, do czego co służy?

– Nic nie rozumiem – odpowiedział Kilianin. – Czarna dziura. Bez instrukcji obsługi nic nie zwojujemy – dodał.

– Poczekaj, zaraz się tym zajmiemy – powiedział Naruta i usiadł w fotelu obok. – Zgodnie z logiką nikt nie montuje przycisku destruktora na pulpicie sterowniczym, by przez pomyłkę go nie wcisnąć, co zatem może nam grozić? – I nacisnął duży, migający na czerwono przycisk. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki włączyły się wszystkie światła, monitory, skanery pokazujące obraz za i przed statkiem, wskazujące obiekty poruszające się i stojące w kosmosie w zasięgu roku świetlnego. – No widzisz, już jest lepiej, niż było, a przynajmniej jaśniej i widać, że wszystko jest sprawne.

– No to teraz wcisnijmy to – powiedział Kilianin, naciskając czerwony przycisk obok fotela, na którym siedział Naruta. Nagle w podłodze rozsunęły się płyty, fotel zmienił kształt w formę ślizgawki i Naruta z wrzaskiem ześliznął się w dół przez otwór w podłodze. Wylądował miękko w nieco przyciasnym fotelu, a przed sobą miał monitor z przednich kamer z charakterystycznym celownikiem po jego środku. Jasne było, że to stanowisko przedniego Strzelca, które znajdowało się w przeszkolonym półbąblu na spodzie statku. Gdy minął szok wywołany tak nagłą zmianą miejsca, Naruta zadarł głowę do góry i krzyknął:

– W porządku. Nic mi nie jest.

Rozsiadł się wygodniej i nacisnął przycisk znajdujący się po prawej stronie fotela na jego poręczy. Błysnął promień lasera, wskaźnik na poręczy pokazał ubytek energii, która zaraz została uzupełniona z jego źródła, to znaczy z reaktora napędu, do którego podłączono wszystkie urządzenia. Po prawej stronie fotela, na jego oparciu był drugi wskaźnik, mający tylko czerwone pole, które świeciło, wskazując prawdopodobnie stopień naładowania jakiegoś urządzenia, którego przeznaczenia jeszcze nie znał, ale skoro siedział na stanowisku Strzelca, uznał, że musi to być jakaś broń.

„Może karabiny automatyczne” – pomyślał.

Chwilę się zastanawiał, czy nacisnąć przycisk, bo mogła to być także katapulta – znalazłby się w kosmosie, i to bez skafandra próżniowego. Jednak ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem i Naruta lekko stuknął w przycisk. Nagle znad kabiny Strzelca oderwał się błysk czerwonego lasera.

„O to mi chodziło” – pomyślał i kątem oka spojrzął na wskaźnik, który przed chwilą był czerwony, a teraz zgasł zupełnie. To był wskaźnik naładowania czerwonego lasera, który, o dziwo, ładował się dosyć powoli. Widać było, że odbywa się to z innego źródła. Minęło trzydzieści sekund, zanim wskaźnik naładowania znowu zabłysnął, sygnalizując, że broń jest gotowa do użycia. Gdy przekazał Parkerowi swoje spostrzeżenia, na statek obcych przybyło jeszcze czterech mechaników, którzy zajęli się demontażem działa i wszystkich urządzeń. Nie była to prosta sprawa, ponieważ o ile zwykły laser podłączony był do zwyczajnego źródła energii, to ten miał całkiem inne źródło i dodatkowo coś w rodzaju ładownicy, która była sprzężona z działkiem i razem stanowiły jedną całość. Sprawę rozwiązał Steward, który kazał po prostu odpalić laserem całe urządzenie i przenieść je do Przyjaciela I. Dwaj technicy zaraz zajęli się szukaniem sposobu montażu tego urządzenia na statku Kilian.

Broń została zdobyta, teraz należało zająć się badaniem pola siłowego, które było niespotykane mocne. Po kilku próbach naciskania różnych przycisków i badania reakcji urządzeń naciśnięto zielony przycisk i nikt nawet nie zwróciłby uwagi na efekt tego posunięcia, gdyby nie wiadomość z Przyjaciela I:

„Dlaczego włączyliście pole siłowe bez ostrzeżenia?”

Teraz wszystko było jasne, znowu przybyli technicy i zabrali, co tylko się dało: broń ręczną, ubrania, części zamienne, nawet żywność w celu poznania fizjologii obcych. Następnie Przyjaciel I chwycił statek obcych wiązką holowniczą i poleciał w kierunku Odkrywcy. Na długo przed powrotem do układu, gdzie stał Odkrywca, Steward kazał skanować przestrzeń, by się dowiedzieć, czy inne statki nie szukają zaginionego kolosa, i już z daleka wykrył duży wrogi statek, którego załoga zajmowała się zbieraniem myśliwców rozrzuconych daleko w kosmos po eksplozji torpedy trytownej. Steward wiedział, że mało prawdopodobne jest, by obcy wykrył jego statek, ponieważ skanery przeciwnika najprawdopodobniej nastawione były na krótki zasięg i poszukiwały małych statków.

Dokładnie wyliczono czas i drogę, jaką ma przebyć zaminowany statek wroga, by znalazł się w pobliżu dużego statku ratującego rozbitków. Przyjaciel I rozpędził mały stateczek do odpowiedniej prędkości i odczepił go od holu. Teraz samoczynnie nadanym pędem statek patrolowy zmierza w kierunku dużego krążownika obcych. Na kolosie zauważono zbliżający się patrolowiec, który wprawdzie nie nadsyłał znaków rozpoznawczych, ale zbagatelizowano ten fakt, sądząc, że to jakaś awaria, poza tym rozpoznano swoją maszynę i nie zajmowano się tym więcej.

Przyjaciel I odleciał poza skanery wroga i zataczając koło, zmierzał na spotkanie z Odkrywcą, podczas gdy patrolowiec zbliżał się coraz bardziej i nadal nie dawał znaków życia.

Duży krążownik musiał wykonać manewr unikowy, by patrolowiec nie rozbił się o jego kadłub. Wtedy nastąpiła potężna eksplozja i błysk stu słońc rozświetlił horyzont. Krążownik jednak ocalał. Na sekundę przed samą eksplozją jego dowódca, wykazując się niesamowitą intuicją, przeczuł podstęp i zdążył włączyć pole siłowe na krążowniku. Biorące udział w akcji ratunkowej myśliwce nie miały tyle szczęścia. Te, które znalazły się najbliżej, zostały rozerwane, te oddalone odrzuciło bezładnie w kosmos. Nawet te, które były daleko i holowały znalezione myśliwce, same zostały tak uszkodzone, że wymagały holowania. Dowódca obcych, wściekły, że dał się zaskoczyć, pozbiierał jak najszybciej swoje szturmowce i zaczął skan dalekiego zasięgu w poszukiwaniu obcej jednostki. Jednak bezskutecznie – nigdzie nie było żadnego śladu wrogiej maszyny. Już miał zrezygnować, gdy jeden z jego oficerów dał propozycję, by lecieć wstecznym kursem patrolowca, który eksplodował. Kurs zapisany był w komputerze statku. Krążownik zawrócił i leciał kursem patrolowca, szukając śladów. Po pewnym czasie znaleziono ślad obcego statku, który w tym miejscu odczepił od holu patrolowiec, a sam, zmieniając kurs, oddalił się w nieznanym kierunku. Krążownik potrafił wykryć pozostałości spalin silników napędowych i poruszał się kursem Przyjaciela I. Dowódca krążownika pragnął zemścić się za porażkę kolosa i zdobyć jeden z osławionych myśliwców, które odbijają lasery, a broń konwencjonalna nic im nie robi. Wprawdzie czerwony laser dziurawi owe myśliwce, ale mimo to latają dalej i ostrzeliwiają statki.

„Muszę dostać tych, którzy zniszczyli superkrążownik i tyle moich samolotów” – pomyślał dowódca. Gdy kilka godzin później dostrzegł na skanerach obcy statek, zaczął szykować się do walki. Lecz przeciwnik zauważył go i ruszył do ucieczki, zostawiając jedynie jakiś mały obiekt. Radość dowódcy obcych była ogromna, gdy dowiedział się, że pozostawionym w popłochu obiektem jest myśliwiec wroga, który został uszkodzony w walce.

Natychmiast przerwano pościg i próbowano pochwycić błyszczącą maszynę z dziurą w kabine pilota. W tym czasie załoga Odkrywcy dowiedziała się o walce Przyjaciela I z patrolowcem obcych oraz o tym, że zdobyto ich technologię, broń czerwonego lasera i pole siłowe. Duże znaczenie miało też pojmanie jeńców, którzy nadal byli nieprzytomni i przebywali w oddzielnych salach, a ich łóżka otoczone zostały polem siłowym. Przesłuchania odłożono do czasu ucieczki lub zniszczenia dużego okrętu. Już było wiadomo, że kiliańskie osłony, jakie miał Odkrywca, nawet wzmocnione ziemskimi mogą nie wytrzymać ostrzału czerwonego lasera. Chyba że obcy to rasa inna niż ta, która zniszczyła Kilię.

Admirał wydał rozkaz, by statki jak najszybciej oddaliły się z tego miejsca. Jednak przed odlotem szef bezpieczeństwa zaproponował, aby pozostawiono jeden uszkodzony myśliwiec z bombą na pokładzie. Obcy, gdy go zobaczą, na pewno będą chcieli poznać budowę maszyny, która doprowadziła do zniszczenia ich statków. Kłopot sprawiało tylko zaprogramowanie odpowiedniego czasu detonacji ładunku trytowego. Problem jednak rozwiązał się sam, ponieważ radary wykryły szybko zbliżający się statek i czasu na przygotowania nie było wiele. Na szczęście samo przygotowanie pułapki nie okazało się pracochłonne, gdyż ładunek trytowy znajdował się w każdym myśliwcu, a i maszyna – uszkodzona w ostatniej bitwie – nie była

jeszcze naprawiana. Na dodatek laserem wypalono dużą dziurę w kabinie pilota, by była widoczna z daleka. Tak spreparowany myśliwiec wyrzucono w kosmos.

Oba statki zaczęły intensywnie przyspieszać, by obcy krążownik nie pokusił się o atak na nie. Krążownik wroga wyhamował, chcąc pochwycić myśliwiec. Jego dowódca uznał, że i tak złapie uciekinierów. Wiązką trakcyjną schwytano wrak i przetransportowano go do laboratorium. Po pobieżnych badaniach zauważono, że laser uszkodził zbiorniki paliwa, które wypaliło się w środku. Natomiast drugi strzał zabił pilota. Stwierdzono to po dziurze w kabinie i przestrzelonym fotelu – wszystko było upozorowane, ale o tym obcy mieli nigdy się nie dowiedzieć. Odkrywca przyspieszył, jednak admirał czuł za plecami oddech obcych. Zyskali trochę czasu, gdy wróg zatrzymał się, by przejąć myśliwiec, i teraz dowódca Ziemian zastanawiał się, czy od razu przystąpią do badania wraku, czy też ruszą za nimi w pogoń. Jedno i drugie było niebezpieczne, ponieważ gdy zaczną badać myśliwiec, mogą zauważyć detonator i rozbroją ładunek lub wyrzucą statek w kosmos. Drugi wariant też niosł ze sobą niebezpieczeństwo, bo jeśli natychmiast ruszą w pogoń, mogą ich dogonić, a eksplozja zniszczy wszystkie trzy statki. Skanery Odkrywcy śledziły wroga, który zbliżał się pośpiesznie. Mimo dużej prędkości dystans między statkami się skracał.

Gdy obcy krążownik znajdował się około miliona kilometrów od Ziemian, nastąpiła potężna eksplozja i wroga maszyna w jednej chwili przestała istnieć. Duża prędkość obu statków sprawiła, że Ziemianie niemal nie odczuli fali uderzeniowej. Pierwsza bitwa była wygrana, mimo iż przeciwnik dysponował lepszą technologią. Wszystko dlatego, że był zbyt pewny siebie, za bardzo zaufał swojej broni i tarczom. Nie był przygotowany na walkę z przeciwnikiem, który potrafi zastawić pułapkę i wykorzystać każdy ich błąd, a ponadto dysponuje nieznanym materiałem wybuchowym o niewyobrażalnej sile. Gdyby spodziewali się czegokolwiek, po obu ziemskich statkach nie zostałby ślad.

Admirał zastanawiał się, czy obcy zawiadomili swoich, ale po ich zachowaniu domyślił się, że nie chcieli przyznać się do porażki i utraty statku. Na pewno najpierw chcieli uporać się z wrogiem, a potem w chwale wrócić jako zwycięzcy. Admirał wiedział, że przez jakiś czas będzie miał spokój, przynajmniej dopóki obcy będą szukać dwóch statków, które nie zameldowały się na czas. A że to nastąpi, wiedział na pewno. Nikomu o tym nie mówił, ale pragnął konfrontacji z obcymi. Nie miał na to żadnych dowodów, ale czuł, że to ta rasa napadła na Ziemię. Ufał załodze, że stanie na wysokości zadania. Zemsta za najazd na Ziemię musi nastąpić i on tego dokona.

10.

Trzeci w układzie planet

Po ostatnich wypadkach admirał nie chciał już lecieć po trasie obcych statków, ale kazał

zmienić kurs o siedemdziesiąt stopni. O tym, że właśnie skierował się do centrum imperium obcych, dowiedział się dopiero później.

Po tygodniu przytomność odzyskał pierwszy z obcych. Otworzył oczy i rozejrzał się wokół siebie. Szybko spostrzegł, że znajduje się na obcym statku, i to w niewoli. Usiadł na łóżku, z jego gardła wydobył się przeraźliwy pisk, a skóra zmieniła barwę z białej na szarą. Zrozumiał, że on, przedstawiciel potężnej rasy panującej w tej części galaktyki, zajmującej osiemdziesiąt dwa układy, na własnym terytorium został złapany przez nieznane istoty i pozbawiony wolności jak małe dziecko. Bez swojej technologii był bezbronny, słaby i nieszczęśliwy. Znowu rozległ się pisk żalu i rozpacz. Nie chciał żyć, ale zanim popełni samobójstwo, zamierza zobaczyć swych prześladowców i pokazać im, że nie boi się śmierci.

Do sali, gdzie przetrzymywany był obcy, weszli komandor Parker, Willis i Kilianin Dark. Mała istota spojrzała na przybyszów i pomyślała, że pamięta te rasy z kronik. Jedni to Ziemianie, bardzo prymitywna rasa, a drudzy to Kilianie, którzy posiadają statki, ale bardzo prymitywne.

„Co oni robią w tej galaktyce? Kilianie niedawno stracili swoją planetę oraz całą flotę, które zostały zniszczone przez obcą rasę. Przez tak krótki czas nie mogli zrobić takiego postępu” – myślał więzień.

Parker pierwszy przerwał milczenie i zaczął zadawać obcemu pytania:

– Jak się nazywa wasza rasa? Gdzie znajduje się jej macierzysta planeta? Czy to wy zniszczyliście Ziemię?

I Kilię? Rozumiesz moje pytania?

Obcy milczał. Kilianin powtórzył pytania, ale również bez skutku. Obcy rozumiał oba języki dzięki zamontowanemu w kombinezonie komunikatorowi, który zapamiętał wszystkie znane im podbite, ale też kiedykolwiek odwiedzane światy. Nie chciał odpowiadać na pytania, ale ciekaw był, co się stało z jego towarzyszami i statkiem. Nie zamierzał jednak nic mówić, dopóki nie pozna obu ras lepiej. Parker rozmawiał cicho ze Szczęściarzem. Stwierdził, że ta rasa jest zbyt dumna, pyszna i egocentryczna, żeby pójść na współpracę, zwłaszcza że może być winna zniszczenia Ziemi i Kili. Choćby z tego powodu będą chcieli zachować milczenie. Postanowili zatem podstępem zmusić obcego do rozmowy – zaczęli rozmawiać tak, by więzień słyszał ich mowę.

– Zobacz, on nic nie rozumie – zaczął Parker. – To musi być jakaś tępa rasa – dodał.

– Tak, tylko skąd oni mają tak nowoczesne patrolowce, jak ten, w którym go złapaliśmy?

– Na pewno komuś ukradli tę technologię, bo tacy kurduple sami by niczego nie wymyślili – stwierdził Willis.

Wszyscy zaczęli obserwować obcego i wyśmiewać się z jego małego wzrostu, dużej głowy i szeroko rozstawionych oczu, mówiąc, że to tępa rasa, która przypadkiem odkryła możliwość poruszania się w kosmosie.

Obcy, przysłuchując się rozmowie obserwujących go istot, nie mógł już znieść tego, jak poniża się jego krajan i wyśmiewa budowę jego ciała. Twarz zrobiła mu się biała z wściekłości

i zaczął coś piszczeć do komunikatora, który skrętnie tłumaczył te jego piski na ziemski język.

– Jak wy, śmiecie kosmosu, możecie bez wstydu mówić o rasie, której nie znacie, która panuje nad tą częścią galaktyki?!

Ludzie zaczęli jeszcze głośniej się śmiać, co mocniej rozzłościło obcego, który teraz bez ogródek wyzywał obie rasy i gotował się ze złości. W końcu dał za wygraną, umilkł i usiadł na ławce. Szczęściarz wyszedł na chwilę bez słowa. Parker tymczasem zwrócił się do obcego:

– Pogromco świata, powiedz, co robisz w naszej niewoli? – kpił dalej, chcąc sprowokować obcego do rozmowy. Ten jednak milczał. Po chwili wrócił Szczęściarz – w klapie marynarki miał wpiętą taką samą klamrę, w jaką puknął obcy przed wybuchem złości. Szczęściarz stuknął w nią tak, jak to zrobił więzień, i zaczął mówić, a z klamry wydobyły się ciche gwizdy.

– Wiem, że nas rozumiesz. – Obcy zerknął na Szczęściarza i zobaczył komunikator. – Jesteś na statku Ziemiaków, których planetę trzy lata temu zniszczył wasz krążownik. Są z nami Kilianie – ich planetę też napadliście. Twój statek pokonaliśmy tak, że twoi krajanie do końca nie wiedzieli, kto ich zabija.

– To nic – odparł obcy. – Niech dowie się o was Archatus, to w proch rozniesie wasz stateczek.

– Czy myślisz o takim wielkim na kilka kilometrów krążowniku w złotym kolorze z błękitną linią wzdłuż kadłuba?

– Tak, to on, na pewno już was goni. Gdy was dorwie, wysadzi ten statek, a załogę każe wypchać trawą i postawi w muzeum historii. Tak jak zrobiliśmy to z bardziej rozwiniętymi rasami – i zamilkł, czekając na reakcję Ziemiaków.

Po chwili odezwał się Parker:

– Dziś mija siedem dni, jak Archatusa i jego statek odesłaliśmy do domu w postaci pyłu kosmicznego.

Obcy, słysząc to, znowu wstał, zacisnął małe piąstki i jakby chciał się na nich rzucić, krzyknął:

– To niemożliwe! W całym kosmosie nie ma statku, który mógłby pokonać krążownik tej klasy, a jeżeli nawet istnieje, to wy go nie możecie mieć.

– A jednak mamy – przerwał mu Parker. – Nie wiem, czy wszyscy twoi rodacy zginęli. Uderzyliśmy w środek zgrupowania dwustu myśliwców, z których niewiele zostało. Może kilku z nich ocalało, ale mało prawdopodobne, by przeżyli siedem dni w kosmosie w malutkim, w dodatku uszkodzonym myśliwcu. Jesteś prawdopodobnie jedynym żywym przedstawicielem swojej rasy w tej części kosmosu.

Nagle obcy zapytał o towarzyszy ze swojego stateczku. Parker, chcąc odegrać się na aroganckim więźniu, zakpił:

– Niestety obaj zginęli. Na pewno posrali się na śmierć, tchórze. – I zaśmiał się szyderczo.

Obcy znowu wybuchnął gniewem:

– Myślicie, że uda wam się uciec? Będą was ścigać setki statków. Nie wiecie, że co dziesięć godzin wysyłałem raport do dowództwa i jeżeli nie odezwę się przez trzy następne okresy, to

zaczną poszukiwania. Wtedy znajdą szczątki rozbitego statku i ślady bitwy. Jak myślicie, co sobie pomyślą? – Nie czekał na odpowiedź, tylko ciągnął dalej: – Powiadomią flotę i zaczną was szukać. Przynrządy pokazały, że kiedy nas zaatakowaliście, wlatywaliśmy w sam środek naszego imperium. Nie macie zatem żadnych szans. Lepiej się poddajcie, to kilku z was przeżyje jako eksponaty obcej cywilizacji. Ale ty na pewno nie, już ja się o to postaram – obcy zwrócił się do Parkera.

Komandor uśmiechnął się i powiedział:

– Czy myślisz, że my tu przylecieliśmy, by uciekać? Wasze trzy statki zniszczyliśmy dla zabawy. Zamierzamy odplacić wam za zniszczenie Ziemi i Kilii. Będziemy ścigać wasze statki i niszczyć je po kolei jeden po drugim lub po kilka naraz. Mamy broń, która potrafi nawet zdmuchnąć słońce, a co dopiero takie stateczki jak wasze.

Obcy, gdy to usłyszał, umilkł.

Następnego dnia przytomność odzyskał drugi z więźniów. Parker, bogatszy o doświadczenie z pierwszego przesłuchania, zaczął już nieco inaczej, z zastosowaniem tłumacza.

– Dobrze się czujesz? Potrzebujesz czegoś? Masz może jakieś pytania? Kto was zaatakował?

Obcy spojrział na nich i zapytał:

– jeżeli jestem rozbitek, to dlaczego trzymacie mnie w polu siłowym?

Parker był przygotowany na to pytanie i szybko odpowiedział:

– Nasza atmosfera to mieszanina gazów, które są dla was zabójcze. Niestety dowiedzieliśmy się o tym za późno. Gdy przenieśliśmy na statek twoich towarzyszy, ci po pięciu minutach zmarli. By ocalić ciebie, musieliśmy otoczyć łóżko polem siłowym.

– Jak się znalazłem na tym statku?

– Wasz statek dryfował, gdy go znaleźliśmy. Był poważnie uszkodzony, miał kilka wyrw w poszyciu. Doprawdy nie wiem, jakim cudem atmosfera utrzymywała się jeszcze w kokpicie.

– A gdzie są ciała moich towarzyszy?

– Przenieśliśmy je na wasz statek, który nieco załataliśmy, by atmosfera nie uciekła. Byłeś nieprzytomny przez osiem dni i nie wiedzieliśmy, kiedy się obudzisz. Nie znamy też twojej anatomii, dlatego nie mogliśmy cię zahibernować. Nie mamy pojęcia o twojej rasie, nie wiemy, gdzie znajduje się wasza planeta i gdzie powinniśmy cię odwieźć.

– Najpierw powiedzcie, kim jesteście – powiedział obcy.

Parker zaczął mówić, przygotował zmyślony historię:

– Jesteśmy Karianami i od siedmiuset lat lecimy z prędkością pięciuset parseków.

– Zatem wasz dom jest bardzo daleko stąd. Kiedy zamierzacie do niego wrócić? – zapytał obcy.

– Wrócimy za tysiąc osiemset lat, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– Tak długo życie? – zapytał obcy.

– Nie – odparł Parker. – Po prostu przez cały czas lecimy w stanie hibernacji, a komputer

budzi nas, gdy zauważy coś ciekawego. – Gdzie mamy cię odwiedzić? – pytał komandor. – Skąd pochodzisz?

– Jestem Elianinem, moja planeta nazywa się Elia i leży osiemdziesiąt lat świetlnych od miejsca, gdzie mnie znaleźliście. Odstawcie mnie tam lub na jakikolwiek statek, których jest tu dużo, ponieważ znajdujemy się w centrum naszego imperium.

– Dobrze – odparł Parker i pożegnał się z obcym. Zastanawiał się, jak podejść trzeciego z Elian, by ten zdradził sposób obsługi zdobytej na ich statku broni. Gdy ten się przebudził, Parker opowiedział mu historyjkę o znalezieniu ich statku i uratowaniu tylko jego z całej trójki. Powiedział, że przed eksplozją ze statku udało się wymontować trochę urządzeń, ale nie wiedzą, do czego służą i jak je obsługiwać. Sami pochodzą z daleka, a ich statek nie posiada żadnej broni, tylko słabe tarcze magnetyczne i mocny silnik, który jednak potrzebuje dużo czasu, aby nabrać prędkości. Tłumaczył, że są pokojową rasą, która od trzech tysięcy lat z nikim nie walczyła. Zawsze udawało im się uciec przed napastnikami. Elianin uwierzył we wszystko, co Parker powiedział o składzie atmosfery, która rzekomo zatrula jego kompanów, o polu siłowym i rasie podróżników. Nie miał powodu, by nie ufać istotom, które uratowały go z wraku statku. Twierdził, że nie wie, kto i dlaczego go zaatakował. Tuż przed utratą przytomności przez ułamek sekundy dojrzał statek wyłaniający się z pola asteroid i na pewno rozpoznałby go, gdyby zobaczył go jeszcze raz.

Nagle maszyną targnął wstrząs, a po chwili drugi i trzeci. Światła alarmowe zapaliły się na całym statku. Po chwili do pomieszczenia wbiegł Szczęściarz i krzyknął:

– Atakuje nas jakiś nieznany statek! – Zwrócił się do Elianina: – Może to twoi ziomkowie?

– Muszę go zobaczyć – odrzekł Elianin. – Może ich powstrzymam.

Szczęściarz włączył monitor i ukazał się Przyjaciół I, który gęsto strzelał do Odkrywcy ze swoich laserów. Gdy Elianin zobaczył atakujący statek, nie miał wątpliwości.

– To ten statek zaatakował mój patrolowiec. Na pewno się nie mylę.

Parker krzyknął:

– Musimy uciekać, i to szybko!

– Nie możemy uciec – powiedział Szczęściarz. – Już po nas – dodał. – Uszkodzili nam główny silnik, już nie uciekniemy. Tarcze wytrzymają godzinę, może mniej, po czym zniszczą nas.

Elianin patrzył przerażony na zrezygnowanych i pogodzonych ze śmiercią ludzi i krzyknął:

– Dlaczego się nie bronicie?!

– Nie mamy broni na pokładzie. Dysponujemy tylko tym złomem, który zabraliśmy z twojego statku, ale jest bez wartości, bo nikt z nas nie potrafi go obsługiwać. Ty nie możesz tam iść, bo zatrujesz się atmosferą statku.

– Gdzie to macie? – zapytał.

Ziemiańskie na monitorze pokazały mu urządzenia z jego statku. Elianin tylko na nie spojrzął i powiedział:

– Podłączcie to urządzenie do źródła energii, to z tym, a tamto z tym. Wynieście działo na

zewnątrz statku i strzelajcie. Tu jest ładownica, a tu sprawdza się stan naładowania lasera. Macie dwanaście strzałów, to wystarczy do zniszczenia takiego statku. Chyba że ma eliańskie lub mocniejsze tarcze, ale tego nie przewiduję.

Pół godziny później Odkrywca oddał pierwszy strzał z czerwonego lasera w kierunku Przyjaciela I. Laser już pierwszym strzałem zniszczył osłony kiliańskiego statku. Zanim laser naładował się, Steward włączył zapasowe tarcze z drugiego źródła zasilania. Gdy chciano oddać drugi strzał, obcy zdążył powiedzieć:

– Nie strzelajcie przed upływem trzech minut, bo stopi wam lufę lasera. U nas było specjalne chłodzenie, a wy tego nie macie. My strzelamy co pół minuty, jednak bez chłodzenia nie jest to możliwe.

– A jak braknie nam nabojów? – odezwał się Szczęściarz.

– Nie obawiaj się o to. A nawet jeśli wam braknie, to macie przecież srebrzysty metal. – Tu wskazał na odznakę łowcy meteorytów na mundurze Szczęściarza. – Z niego zrobicie pociski, które wytwarzają czerwony laser, a nawet niezniszczalne tarcze, jakie są na naszych krążownikach. Ta konsola podłączona do źródła energii wytworzy pole o średnicy do trzech kilometrów. Moc pola zależy od ilości materiału dostarczonego do dozownika, podobnie jak przy miotaczu laserowym.

Elianin nie wiedział, że wszystkie jego słowa są skrupulatnie nagrywane, a szereg zdawkowych pytań uzupełnia wiadomości potrzebne do poznania budowy broni i tarcz eliańskich.

Przyjaciela I po kolejnym trafieniu ponownie stracił tarcze i zaczął odwrót. Zatoczył koło i stanął obok Odkrywcy, usiłując włączyć na powrót swoje osłony. Tego jednak Elianin nie wiedział, odbierając podziękowania od Parkera i Szczęściarza. Komandor chciał dowiedzieć się czegoś jeszcze o siłach Elian, więc zapytał:

– Jak to możliwe, że zdołali uszkodzić wasz statek, skoro macie taką broń?

– Posiadają broń, której przeciwko wam z jakiś powodów nie mogli użyć.

– Może dlatego, że nasz statek jest dwa razy większy od ich, a wasz to małe stateczek.

– Całkiem możliwe – stwierdził Elianin. – To logiczne.

– To teraz powinniśmy lecieć na Elię i pomóc w jej obronie. – Parker wydał polecenie obrania kursu na planetę Elian. – Chyba że macie – tu zwrócił się do Elianina – potężniejszą broń i możecie sobie sami poradzić, a my tylko odstawimy was na planetę.

– Nasi na pewno sobie poradzą, dysponują trzykrotnie większymi statkami niż ten, który was zaatakował. Te krążowniki mają po sześć dział z każdej burty, a mamy ich setki. – Nagle Elianin zwrócił się do Parkera: – Skąd znasz pozycję Elii? Przecież ja ci jej nie podałem.

Parker zrozumiał, że popełnił błąd, ale było już za późno, by temu zaprzeczać. Musiał coś szybko wymyślić. Na szczęście rozmowie przysłuchiwał się Willis, który w tym momencie odezwał się do Parkera:

– Chyba możemy mu przekazać dobrą wiadomość?

Parker zbaraniał, bo o niczym takim nie wiedział, ale

żeby nie wyjść przed Elianinem na idiotę, rzucił:

– No dobrze, to niech mu pan powie i nie trzyma go dłużej w nieświadomości. Ja za dziesięć minut zaczynam służbę na mostku. – Pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł.

Szczęściarz zaczął mówić do obcego:

– Wiesz, kiedy znaleźliśmy wasz statek, twoi towarzysze nie byli martwi. Zatrucie składem naszej atmosfery spowodowało, że wpadli w letarg podobny do naszej śmierci. Ciała im ostygły i poszarzały. Wsadziliśmy ich do naszych chłodni. Tam ich organizmy po prostu przyswoiły sobie skład naszej atmosfery i sześć godzin temu obaj odzyskali przytomność. Chcieliśmy ci o tym powiedzieć, ale atak na statek tak nas przestraszył, że zapomnieliśmy. Komandor rozmawiał z jednym z nich i wyjaśnił mu nasze położenie, a ten tylko: „Odwieźcie mnie na Elię” i podał nam współrzędne. Gdy tylko zbadamy, który ze składników atmosfery wam szkodzi, zaprowadzimy cię do nich.

To wyjaśnienie wystarczyło obcemu. Cieszył się, że nie zostawili nieprzytomnych kompanów na statku, który eksplodował.

Szczęściarz pożegnał się z Elianinem i poszedł do laboratorium, gdzie jego koledzy już rozbierali konsolę sterującą polem siłowym. Byli ogromnie zadowoleni z nowych zdobyczy technicznych, szczególnie że mieli ogromne ilości trytu, mimo iż już dawno nie łapali meteorytów. Kilka dni później dział konstrukcyjny zaczął budować prototyp induktora według eliańskiego projektu. Już pierwsze próby przyniosły wspaniałe efekty, zwłaszcza że w miotaczu laserowym zastosowano nie jedno, jak u Elian, ale dwanaście sprzężonych działek laserowych, podłączonych do doskonałego materiału odbierającego ciepło mola. Dodatkowo wykonano solidną antenę z trytu, doskonale przewodzącą ciepło, i wystawiono ją na zewnątrz statku. Taki laser mógł prowadzić ciągły ostrzał aż do wyczerpania zapasów amunicji. Natomiast ładownice powiększono do dwustu naboii.

Kilka dni później Odkrywca, Przyjacieli I i trzy promy wyposażone były w tę broń. Na jednym z wykonanych z trytu myśliwców szturmowych zamontowano także miotacz laserowy. Admirał chciał najpierw wypróbować szturmowiec, ale nagle rozległ się alarm bojowy. Wykryto sześć krążowników typu eliańskiego. Odkrywca nie miał jeszcze osłon trytowych, więc admirał musiał zastosować podstęp, zwłaszcza że wiedział, iż Elianie potrzebują trytu, a meteorytów nie było widać od kilku tygodni. Poza tym walka z sześcioma krążownikami naraz była z góry skazana na porażkę. Kazał zatem przygotować siedem puszek trytowych o średnicy dwóch metrów każda, z minami w środku, i zostawić je na kursie floty eliańskiej. Gdy Odkrywca zaczął się oddalać, obce statki przyspieszyły, trzymając szyk bojowy. Nagle jeden z krążowników wyłamał się z szyku, potem drugi i trzeci. Widząc to, pierwszy ze statków zatrzymał się, dając czas pozostałym na wyłapanie puszek i dołączenie do niego. Admirał miał rację – bańki trytowe były łakomym kąskiem, którego obcy nie mogli zignorować, zwłaszcza że metal był niemal idealnej czystości. Elianie szybko wyłapali tryt i dołączyli do prowadzącego, który widząc dwa mniejsze od siebie statki, spodziewał się łatwej zdobyczy. Prowadzący kolumnę eliański krążownik szybko zbliżył się do dwóch obcych statków, które

obróciły się przodem i gotowały do walki.

Ziemiańskie podnieśli swoje osłony. Z jednej z ich maszyn wyleciał mały stateczek i trzy myśliwce, z których jeden posiadał czerwony laser. Statek eliański zatrzymał się nagle, widząc gotowe do walki obce jednostki, które – mimo że mniejsze – bez respektu dla ich potęgi zagroziły im drogę. Nagle Elianie usłyszeli w swoich łączach wypowiedź we własnym języku.

Admirał przez komunikator przemówił do nich:

– Elianie, nie zbliżajcie się, bo zginiecie. Jest to pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Odpowiedź przyszła szybko – promień żółtego lasera błysnął w osłony Odkrywcy. Admirał nie kazał strzelać, czekał. Następny był czerwony laser. Uderzył w osłony Odkrywcy i Przyjaciela I, które wytrzymały strzał, ale zaraz potem opadły i nie dały się włączyć. Admirał wiedział, że ma niewiele czasu i kazał natychmiast zdetonować miny trytowe wyłapanie przez eliańskie krążowniki. W pięciu wrogich krążownikach eksplodowały miny pułapki, rozrywając statki na strzępy. Tym razem admirał kazał przygotować tyle trytu, by zniszczyć tylko statek wroga, nie naruszając okolicy. Na polu bitwy został jeden statek, który mimo upływu trzydziestu sekund nie strzelał. Jego dowódca z pewnością nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Przyjaciel I tymczasem podleciał i stanął pomiędzy eliańskim krążownikiem a Odkrywcą, który stracił swoje pole siłowe. Admirał wydał rozkaz, by prom zaatakował eliańczyka, bo Przyjaciel I też nie wytrzyma długo ostrzału wroga. Mały ziemski prom zaczął strzelać do wielkiego eliańskiego krążownika. Elianie, widząc, co się dzieje, próbowali zestrzelić prom za pomocą czerwonego lasera, ale ten strzelał co pół minuty, a prom poruszał się dosyć szybko i niemiłosiernie ostrzeliwał krążownik. Elianie po raz pierwszy widzieli, jak czerwony laser strzela bez przerwy, i to z tak małego statku. Osłony ledwie wytrzymały. Wtem do walki włączyły się obydwie ziemskie statki. Pole siłowe na krążowniku padło, a lasery cięły poszycie i niszczyły statek. Tuż przed eksplozją kolos wroga zdążył wypuścić część myśliwców, z których większość wybuchła razem ze statkiem. Na pozostałe rzuciły się ziemskie myśliwce, niszcząc wszystkie poza jednym, który przedarł się przez obronę i zmierzał w kierunku pozbawionego osłon Odkrywcy. Admirał domyślił się, że to misja samobójcza, ponieważ za pomocą laserów samolot nic nie mógł zrobić statkowi pokrytemu pancierzem trytowym. Dowódca wiedział, że pilot myśliwca spróbuje staranować statek, dlatego rozkazał zestrzelić natręta. Po chwili eliański myśliwiec zamienił się w kulę ognia.

Po bitwie admirał zwołał naradę, by omówić przebieg starcia oraz poznać przyczyny blokady pola siłowego. Natomiast Elianom postanowiono przedstawić przebieg bitwy, by zrozumieli, że Ziemiańskie nie strzelali pierwsi. Po naradzie Parker i Willis weszli do pokoju, gdzie przetrzymywany był najbardziej pomocny Elianin. Na ich widok mężczyzna wstał i wesołym głosem bardziej stwierdził, niż zapytał:

– Pokonaliście ich!

– Tak – wesoło odparł Szczęściarz. – To było aż sześć statków. Gdy podlecieliśmy bliżej, jeden z nich, mimo naszych ostrzeżeń, zaczął strzelać. Prosiliśmy, by zaprzestali ataku, ale gdy kolejny strzał zniszczył nam osłony, musieliśmy zaatakować. Dzięki twojej broni szybko ich

pokonaliśmy. To były piękne statki. Chcieliśmy się z nimi dogadać, próbowaliśmy we wszystkich znanych nam językach, ale nie odzywali się, tylko strzelali. Nawet gdy pozostał ich ostatni myśliwiec, nie chcieliśmy go zestrzelić, ale on uparł się i chciał staranować nasz statek. To był naprawdę dzielny pilot. Zginął w płomieniach eksplodującego myśliwca z okrzykiem „wasta” na ustach.

Nagle Elianin poszarzał:

– Co ja zrobiłem – powiedział. – Zabiłem swoich.

– Jak to swoich? – zapytał Parker.

– „Wasta” to okrzyk bojowy eliańskiego wojownika idącego na śmierć. Tym pilotem na pewno był Elianin. A jakie barwy miały statki?

– Wszystkie były złote z błękitnym pasem wzdłuż kadłuba.

– O bogowie! – krzyknął Elianin. – To przecież eliańskie krążowniki. Przyczyniłem się do ich zagłady – powiedział i umilkł.

Ludzie zostawili Elianina i wyszli.

Parker poszedł do drugiego więźnia, dowódcy eliańskiego patrolowca, i wprost zapytał:

– Czy wasze statki są złote z błękitnym pasem na boku?

– Tak – odparł Elianin i dodał: – Czyżby już was znaleźli?

– Tak – odparł Parker.

– To już możesz zacząć prosić mnie o litość. Może cię uratuję, gdy się poddadacie.

– O poddaniu się nie ma mowy. Chciałem się tylko upewnić, czy te sześć krążowników, które zniszczyliśmy w ciągu dziesięciu sekund, były wasze.

Elianin swoimi wielkimi oczyma patrzył na Parkera i nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Po zadowolonej minie komandora i ciszy domyślił się, że jest już po walce, a zwycięzcami są ci, którzy go tutaj przetrzymują. Usiadł na ławie i zamilkł. Tylko skóra poszarzała mu jeszcze bardziej.

Dwa tygodnie minęły od potyczki z Elianami, a statki leciały bez przerwy przez nikogo nie niepokojone. Teraz bardziej uciekali, niż szukali swojego miejsca w kosmosie. Mogli walczyć z powodzeniem, ale początkowy cel misji był inny.

Po szczegółowych przesłuchaniach Elian wyszło na jaw, że to nie oni jako pierwsi zaatakowali Ziemię. Lecieli za ogromnym statkiem obcej cywilizacji, która bojąc się wzrostu potęgi innych ras, zmierzała przez kosmos, niszcząc napotkane światy, a w szczególności te cywilizacje, których przedstawiciele zaczęli podróżować w kosmosie. Często oznaczało to zagładę całej rasy. Elianie również z nimi walczyli, ale gdy tamci zniszczyli dwadzieścia eliańskich krążowników i jedną z ich kolonii, statek odleciał. Jeden z Elian zeznał, że ich atak na okręt wroga trwał dziesięć minut. Wszystkie eliańskie statki zostały zniszczone, a tarcze krążowników pękały jak bańki mydlane. Obcy statek zmierzał w kierunku macierzystej planety Elian, dlatego wysłali dziesięć krążowników do kontrataku. Nie po to, by walczyć z wrogiem, ale zmusić go do zmiany kursu i chronić Elię. Tak też się stało. W krótkim starciu Elianie stracili trzy krążowniki i zaczęli odwrót. Obcy, widząc łatwy łup, szybko dogonił i zniszczył

następny krążownik, a potem jeszcze jeden. Po kolejnym dniu pogoni, gdy wróg był już bardzo blisko, statki eliańskie rozproszyły się w pięciu kierunkach. Obcym nie chciało się zawracać na poprzedni kurs, więc polecili dalej, rezygnując z pościgu za pojedynczym krążownikiem. Gdy statki eliańskie wracały do domu, jednemu z nich nakazano lecieć za obcym i w razie jego powrotu ostrzec Elię. Statek miał nie wracać, póki nie upewni się, że obcy odlecieli. We wszystko, czego potrzebował, miał się zaopatrywać na planetach zniszczonych przez obcych.

Admirał zapytał Elian, czy mają wystarczającą technologię, by zniszczyć całą planetę.

– Tak, kiedyś próbowaliśmy z małą planetą pokrytą wulkanami. Do jej jądra wprowadzono potężny ładunek i zdetonowano go. Planeta zamieniła się w krążące wokół gwiazdy asteroidy.

– A czy wasz statek miał taki pocisk?

– Każdy z naszych statków posiada takie pociski.

– Co w takim razie decyduje o użyciu tej broni?

– Zemsta, determinacja, demonstracja siły lub maskowanie ucieczki. Taki pocisk z powierzchni księżycy lub planety wyrzuca masy skał, wyrzuca je w kosmos i powstaje deszcz meteorytów oraz asteroid, które pozwalają uciec każdemu statkowi. Niemożliwe jest namierzenie czegokolwiek w deszczu meteorytów.

„Tak mogło być w przypadku Ziemi” – pomyślał admirał. – „To znaczy, że Ziemia mogła przetrwać, ale czy ludzie na jej powierzchni przeżyli taką eksplozję?”

Dowódca, wściekły na obcego, wybiegł z pomieszczenia.

„Co to za rasa? Jak ktoś nie chce im czegoś dać, to go zniszczą, całą cywilizację, miliardy istnień. Oni nie zasługują, by żyć. Po prostu hieny, nie ludzie”. – Admirał doszedł do wniosku, że obcy, mimo iż nie byli ludźmi, utożsamiali ich najgorsze cechy. Wyróżniali się bezmyślnym i bezcelowym mordowaniem innych istot tylko dlatego, że były słabsze. Admirał przyrzekł sobie, że nie zostawi w spokoju żadnego eliańskiego statku, który mu stanie na drodze, i się nie podda. Zamierzał nawet rozstrzelać trzech jeńców, ale postanowił, że wykorzysta ich dużą wiedzę techniczną. Poza tym chciał się dowiedzieć czegoś o tej drugiej rasie, która niszczyła każdy przejaw rozwoju cywilizacyjnego w kosmosie. Postanowił złamać ich, a przede wszystkim dowódcę, który nie wykazywał najmniejszych chęci do współpracy, uważając się za kogoś lepszego niż ludzie.

Jednak miesiąc w niewoli zmiękczył Elian, zwłaszcza że obowiązywał zakaz kontaktu z nimi. Nawet obsługa podająca jedzenie miała zakazane odzywanie się i odpowiadanie na ich pytania. Obcy próbowali nawiązać dialog, ale w końcu dali za wygraną. Pozostali dwaj więźniowie byli bardziej podatni na sugestie niż ich dowódca. Wprawdzie nie chcieli niczego powiedzieć wprost, ale chwalili się i tym samym przekazywali informacje, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Szczęściarz poznał szczegóły budowy i działania czerwonych laserów oraz używania emitera pola siłowego, które właśnie montował na Przyjacielu I. Potem podobne, tylko nieco mniejsze emitery zamontowano na promach. Po maksymalnym zmniejszeniu urządzeń zainstalowano je także na myśliwcach, ale konieczne było usunięcie z nich kapsuł ratunkowych. Nie wszyscy piloci się na to zgodzili, bo pozornie oznaczało to

mniejsze szanse ratunku w razie uszkodzenia lub awarii. Admirał uznał jednak, że lepszą ochronę dadzą osłony niż kapsuły – gdyby Odkrywca musiał uciekać, nie miałby kto pozbierać kapsuł z pilotami.

Na jednym z myśliwców zamontowano czerwony laser i znowu trzeba było zrezygnować z części wyposażenia. Unowocześniono też miotacz – zastosowano w nim lufy, które po strzale obracały się o pewien kąt i podłączały do emitera. Obcy musieli czekać trzydzieści sekund po każdym strzale dla ochłodzenia lufy, a dzięki wynalazkowi Szczęściarza w dziesięć sekund pilot mógł oddać osiem strzałów i czekać dwadzieścia sekund lub strzelać co cztery sekundy, prowadząc ostrzał ciągły. Zwiększono też zapasy naboju trytowych w myśliwcach, zamiast ładownic z dwunastoma pociskami zastosowano taśmy jak w karabinach maszynowych. Myśliwiec mógł teraz prowadzić ogień ciągły aż do wyczerpania się amunicji. Piloci nie martwili się o zapasy trytu, ponieważ na Odkrywcy znajdowały się jego wielkie ilości. Co nie znaczy że były niewyczerpane, zwłaszcza że w tej galaktyce trytu było jak na lekarstwo. Elianie też od pewnego czasu zapuszczali się po tryt do sąsiednich galaktyk.

Admirał zdecydował się przesłuchać dowódcę obcych, którego od pewnego czasu trzymano w izolacji. Razem z Parkerem, Willisem, Stewardem i Darem weszli do pomieszczenia, gdzie przebywał więzień. Elianin zobaczył oficerów i zaczął coś piszczeć. Admirał włączył komunikator, aby wszyscy słyszeli, co mówi obcy. Ten zaś wylewał z siebie potoki słów i oskarżeń.

– Śmiecie kosmosu, jak śmieliście mnie trzymać w zamknięciu? Nie wiecie, co robicie. Jesteście jak dzieci bawiące się bombą. Myślicie, że ujdzie wam to na sucho? Przylecą nasze statki i odbiją mnie, a was zgładzą i nie będzie litości. Nie pozwolę, by taka zaraza istniała i zaśmiecała kosmos. Zniszczą was i waszą planetę, tak że wszechświat zapomni, iż kiedykolwiek istnieliście. Na waszej planecie nigdy nic nie urośnie. Wasz statek ostrzelamy salwą z laserów, aż rozleci się na kawałki. Nic po was nie pozostanie, dosłownie nic.

– Milcz! – odezwał się admirał. – Ty jesteś Urko. Dowódca statku czwartej klasy, Elianin. Jesteś zarozumiałą, głupią istotą, która nie rozumie, w jakiej sytuacji się znalazła. Sześć eliańskich krążowników pierwszej klasy, które stanęły nam na drodze i chciały nas zniszczyć, wraz z ich załogami roznieśliśmy w pył kosmiczny, nie tracąc przy tym nawet jednego myśliwca. Zniszczymy teraz każdy wasz statek, który napotkamy. Będziesz oglądał to na własne oczy, bo zostaniesz tu do końca swojego życia, które z resztą nie będzie zbyt długie. Będziesz żył, dopóki nie poznamy dokładnie budowy twojego ciała.

Pokroimy cię na cienkie plasterki, nie będzie nikogo, kto mógłby wyrwać cię z naszych rąk. To wy jesteście przekleństwem kosmosu. Zarozumiali, pyszni i niemądrzy jak dzieci, które dostały do rąk niebezpieczną broń i chcą zabić wszystkich, którzy nie myślą tak jak oni. Nie zdajecie sobie sprawy, że swoją arogancją sprowadziliście na siebie zagładę. Teraz my poszukamy starszych obcych, rozdrażnimy ich i naprowadzimy na wasze światy, tak jak wy uczyniliście z naszą planetą. Przyczyniliście się do tego, że Ziemia uległa zagładzie. Gdy wasze światy zginą, a twoi rodacy zostaną wymordowani, nawet echo po was nie zostanie. Ci, którzy

przeżyją, będą uciekinierami i wtedy może zrozumieją, co uczynili Ziemianom i Kilianom.

Urko milczał i słuchał słów admirała z przerażeniem. Wyraźnie nim wstrząsnęły. Znikły jego pycha i duma. Obnażony prawdą i odarty ze złudzeń o własnej potędze, aż jęknął i usiadł na ławce.

– To wy już wszystko wiecie? – zapytał cicho.

Skóra na jego ciele stawała się coraz ciemniejsza. Admirał nieco obawiał się o jego życie, bo wiedział, że gdy Elianie umierają, ich ciała przybierają ciemniejszą barwę. Dowódca nie znał dokładnie ich fizjologii i nie wiedział, czy takie załamanie może doprowadzić do śmierci, a tego na razie nie chciał. Nadszedł czas, by powiedzieć Elia- nom, że nie są na statku sami, że cała załoga patrolowca żyje. To na pewno poprawi humor i samopoczucie Urka. Zatem pojedynczo wprowadzono ich do pomieszczenia, w którym uwięziony był ich dowódca. Gdy zobaczył wchodzących, aż wstał oniemiały. Ludzie wyszli, zostawiając ich samym. Po godzinie Parker wrócił i zobaczył ich siedzących w ponurych nastrojach.

Urko zwrócił się do Parkera:

– Okłamaliście nas, mówiąc każdemu, że pozostali nie żyją. Tymczasem podstępem wyciągnęliście od nas informacje o naszej cywilizacji i technologii. To hańbiące i podłe z waszej strony. W dodatku mówiliście, że jesteście spokojną i uczciwą rasą. Co teraz z nami zrobicie?

Dwaj jego podkomendni siedzieli cicho w ponurych nastrojach. Wiedzieli, że tylko przez ich głupotę Ziemianie dowiedzieli się wszystkiego, czego chcieli.

Parker zwrócił się do wszystkich:

– Nie miejcie do siebie pretensji, że zdradziliście nam swoją technologię. Nawet bez niej pokonalibyśmy krążownik Artusa i jeszcze dwa inne małe statki. Nasza broń jest równie skuteczna, jak wasza, a pole siłowe, które ochrania wasze statki, nie jest tak mocne, jak myślicie. Urko mówił, że pękało jak bańka mydlana pod ostrzałem obcych, którzy was zaatakowali. Przyda nam się zarówno wasza broń, jak i emitery pola, ale musieliśmy ją nieco udoskonalić i teraz jest dziesięć razy mocniejsza niż ta, którą posiadają wasze krążowniki.

Parker nieco przesadził z tą mocą, ale liczył, że Elianie jeszcze pomogą ją unowocześnić. Zdawał sobie sprawę, że razem mogą wiele zdziałać, a jeżeli więźniowie nie pójdą na współpracę, ludzie będą musieli poczekać na efekty. Było to szczególnie ważne w obliczu konfrontacji z tymi, którzy zniszczyli Ziemię. Parker chciał być gotowy na to spotkanie. Był gotów zawrzeć pakt nawet z diabłem, by odplacić za zniszczenie Ziemi.

Urko odezwał się:

– Czego wy jeszcze od nas chcecie?

– Chcemy, żebyście pracowali z nami i pomogli stworzyć broń, która zniszczy statki obcych. To może się przydać również wam, bo was też zaatakowali. A gdy to zrobili raz, mogą zrobić i drugi. Nie wiadomo, kiedy to nastąpi. Lepiej się przygotować, niż być bezbronnym i liczyć, że wróg was nie odnajdzie. Jeżeli my sobie z nimi nie poradzimy, dysponując silniejszą bronią niż wasza, to wy także nie wygracie. I nie myślcie, że znowu ich przechytzycie, bo taka

sztuczka może się udać tylko raz. Wystarczy, że przybędzie nie jeden, a sto takich statków. Cóż wtedy zrobicie?

– A jaką mamy pewność, że kiedy pomożemy stworzyć wam taką broń, nie użyjecie jej przeciwko naszym statkom?

– Takiej pewności nigdy nie będziecie mieli. Mogę powiedzieć tylko, że chcemy dopaść tych, którzy jako pierwsi nas zaatakowali, ponieważ ponoszą winę za zniszczenie Ziemi. Gdyby nie agresja na was, nie dotarlibyście na Ziemię. Ziemianie są mściwi, ale potrafią też zapomnieć i wybaczyć. Zastanówcie się teraz. Kiedy wrócę za godzinę, oczekuję odpowiedzi. I nie obawiajcie się, nie zabijemy was, nawet jeśli nam odmówicie. Wypuścimy was, jak tylko nadarzy się okazja.

Parker wyszedł i, jak zapowiedział, wrócił godzinę później, ale na czele całego dowództwa z admirałem Andersonem włącznie.

Obcy postanowili porozumieć się z Ziemianami, ale nie bez warunków. Urko jako dowódca przemawiał w imieniu pozostałych Elian:

– Zgadząmy się na współpracę, ale w zamian żądamy wolności osobistej, możliwości swobodnego poruszania się po statku, poznania waszej technologii i w razie potrzeby udostępnienia jej naszej rasie. Ten ostatni warunek dotyczy się także tego, co uda nam się razem stworzyć.

Nagle rozległ się alarm bojowy. Rozmowy przerwano. Nie było wątpliwości – szykowałą się bitwa. Przeciwko dwóm statkom ziemskim przygotowano eskadrę osiemdziesięciu krążowników. Odkrywca zatrzymał się w układzie wielkich gazowych planet, olbrzymów trzykrotnie większych od Jowisza. Krążowniki eliańskie ukryte za jedną z tych planet wyłoniły się nagle i nie pomógł żaden skan. Planeta dokładnie zasłaniała całą flotę. Zaskoczenie było całkowite. Admirał postanowił zrobić pokazówkę dla Elian i kazał wezwać ich na mostek. Elianie, gdy zobaczyli swoje krążowniki, aż pojaśnili z radości, a Urko rzekł:

– Poddajcie się, a w zamian za waszą technologię zapewnię wam dobre traktowanie w naszej niewoli.

Admirał popatrzył się na niego i powiedział:

– Jesteś w błędzie. Nie wiesz, co widzisz? To nie jest zwycięska flota. Powinieneś być smutny, tylko smutny. Zobaczysz teraz siłę naszej broni, i to wcale nie w najlepszym wydaniu. Twoi ziomkowie już są martwi, tylko jeszcze o tym nie wiedzą.

W tej chwili od Odkrywcy w kierunku stojącej przy planecie floty eliańskiej wystartował jeden myśliwiec. Urko myślał, że to przedstawiciel na rozmowy o poddaniu się Ziemian.

– Jeśli chcesz, możesz im zaproponować, by się poddali. W przeciwnym wypadku w kilka minut zniszczę całą ich flotę.

Urko spojrział na admirała i pomyślał, że ten nie mówi poważnie. Jednak po tonie jego głosu domyślił się, że Ziemianin nie żartuje. Powiedział tylko:

– Nie mam odwagi im tego zaproponować.

– To będziesz musiał patrzeć na ich śmierć.

Elianie na swoich statekch spoglądali, jak w ich kierunku od słońca zmierza mały stateczek, myśliwiec wykonany z trytu, materiału tak cennego i poszukiwanego. Nie traktowali tego jak agresję, po prostu nie wiedzieli, co o tym sądzić, ale na pewno nie obawiali się ataku takiego myśliwca. Zeskanowali go i okazało się, że nie ma tam nikogo żywego. Myśliwiec był sterowany zdalnie i zatrzymał się na przedzie floty eliańskiej. Elianie sądzili, że to rodzaj przekaźnika lub satelity komunikacyjnego i nie zwracali na niego uwagi.

By utwierdzić ich w przekonaniu, że wysłany obiekt to tylko przekaźnik, admirał kazał zamontować na nim tłumacza, tak że słowa, które do nich kierował, na myśliwcu przekładane były na eliański.

Admirał przemówił do floty eliańskiej:

– Słuchajcie, Elianie na krążownikach. Mówi do was admirał Anderson z ziemskiego krążownika Odkrywca. Proponuję, abyście się poddali i odpowiedzieli za dokonane przez wasz statek zniszczenie Ziemi, jeżeli tego nie zrobicie, zniszczymy waszą flotę i zaczniemy plądrować wasze kolonie jedna po drugiej. Mówię to do każdego Elianina osobno. Jak zechce, może się indywidualnie lub ze swoimi statekami poddać. Niech każdy odpowiada tylko za siebie. W przeciwnym wypadku zginiecie wszyscy. Daję wam dziesięć minut na podjęcie decyzji. Jeśli nikt się nie zgłosi i nie odłączy od swojej floty, potraktuję to jako brak zgody na poddanie się.

Gdy admirał skończył, zapanowała cisza.

– Podnieść tarcze, włączyć akcelerator, wzmocnić osłony do granic możliwości. Niech Przyjaciel I stanie za Odkrywcą. Ma zbyt słabe osłony. Wystrzelić torpedę trytową i detonować dwadzieścia sekund po eksplozji myśliwca.

– Twoje warunki są nie do przyjęcia – rzekł Urko.

– I o to mi chodzi. Nie chcę, by się poddali – powiedział admirał. – Chcę, by zginęli wszyscy. Niech żaden nie przeżyje.

Na statku dowodzenia eliańskimi siłami propozycja admirała wywołała rozbawienie. Nie słyszano o tym, by dwa małe stateczki chciały wziąć do niewoli osiemdziesiąt krążowników. Myśleli, że chciano z nich zakpić.

– Nie będziemy z nimi rozmawiać. Zniszczyć ich sondę komunikacyjną – padały rozkazy. Błysnęły lasery, ale ich promienie zaczęły odbijać się od trytowego pancerza myśliwca. Gdy Elianie pojęli, że zwykły laser nic nie robi, zaczęli strzelać czerwonym laserem. Kilka promieni przeszło myśliwiec na wylot i nadal nic, nie było eksplozji.

Gdy minęło dziesięć minut, admirał nadał jeszcze jedną wiadomość do Elian:

– To wasz wybór! Ognia!

Wtedy przed linią eliańskich krążowników nastąpiła potężna eksplozja. Błysk był tak jasny, że nawet bliskość gwiazdy nie przyćmiła blasku wybuchu. Potężna fala uderzeniowa, która błyskawicznie uderzyła we flotę eliańską, momentalnie zepchnęła wszystkie statki w kierunku wielkiego gazowego potwora, który teraz wciągał swoją grawitacją bezwładne krążowniki, miażdżąc je jeden po drugim. Te, które utraciły pola siłowe, nie miały wiele czasu i szybko

ekspłodowały, natomiast załogi tych, w których pole się zachowało i przez jakiś czas jeszcze dawało załogom osłonę przed grawitacją planety, wiedziały, jaki los ich czeka. Gdy nastąpiła druga eksplozja, floty eliańskiej już nie było. Zniknęła w chmurach wielkiego gazowego olbrzyma, który stał się grobem tysięcy Elian.

Kilka sekund po drugiej eksplozji fala uderzeniowa torpedy trytowej uderzyła w Odkrywcę. Wstrząsnęło całym statkiem. Druga detonacja osłabiła siłę uderzeniową pierwszej eksplozji, a dodatkowo wzmocnione osłony poradziły sobie doskonale.

Urko patrzył w czerń kosmosu, gdzie widział tylko wielką gazową planetę, a po potężnej flocie eliańskiej nie było ani śladu. Na dodatek nawet nie doszło do bitwy. Teraz zrozumiał, że w słowach admirała nie było ani krzty przechwałki. Doskonale wiedział, co mówi. Zdawał sobie sprawę, co może zrobić, i zrobił to.

– Odprowadzić jeńców do brygu, mogą przebywać razem. Nie ma sensu dalej trzymać ich oddzielnie.

Gdy wyprowadzono obcych, admirał wydał rozkaz:

– Znaleźć Elię! – I wyszedł.

Dowódca nie był zadowolony. Myślał, że poczuje się lepiej, jak odpłaci wrogom za zniszczenie bezbronnej planety. Ale nie czuł się tak, jak się spodziewał. Miał wyrzuty sumienia, które mówiło mu, że źle postępuje. To nieludzkie tak się mścić, jednak wiedział też, że siła przemawia do silnych lepiej niż najlepsze słowne argumenty. Teraz zaczęła się z nim liczyć. Na pewno.

Dwa dni później przy jednej z gwiazd wykryto planetę, wokół której orbitowały setki satelitów i kilka stacji orbitalnych. Ziemianie uznali, że natrafili na kolonię eliańską, a może nawet na ich macierzystą planetę. Po wstępnej analizie stwierdzili jednak, że to nie może być Elia, ponieważ prawie nie ma statków ochrony. Admirał nie zamierzał się ukrywać. Leciał kursem bezpośrednim w kierunku planet. Odkrywcy towarzyszył Przyjaciół I. Obydwa statki były gotowe do walki.

Zauważono ich z daleka. Zza planety przeciwko Ziemianom wyleciał jeden krążownik i kilka mniejszych jednostek. Statki te bez ostrzeżenia zaczęły ostrzeliwać przybyszów. Jednak na ich lasery Odkrywca i Przyjaciół I odpowiedzieli dziesiątkami czerwonych laserów, w okamgnieniu niszcząc mniejsze stateczki, a i krążownik nie wytrzymał długo. Ziemianie nawet nie zwolnili, a po słabiutkiej flocie obrony planety nie pozostał ślad. Tylko krzyk rozpaczliwych załóg eliańskich, które nie wiedziały, kto i za co ich zabija. Przy orbicie planet admirał wypuścił wszystkie myśliwce i promy, które zestrzeliły znajdujące się wokół planety satelity. Samoloty okrążyły planetę, rozstawiły się wokół jej orbity i na rozkaz admirała w kierunku atmosfery wystrzelono rakiety trytowe. Siedemdziesiąt rakiet powoli zmierzało w stronę globu. Nikt na statku Ziemian nie wiedział, jakie skutki wywoła atak. Planeta rozjaśniła się błyskiem eksplozji. Ogromne fale uderzeniowe przewalające masy powietrza atmosferycznego miażdżyły wszystko na swojej drodze. Eksplozja rakiety trytowej w promieniu dwudziestu kilometrów wytwarzała próżnię, dusząc wszelkie stworzenie i niszcząc wszystko, co

znajdowało się na powierzchni planety, a nawet zrywała poszycie i miliony ton piasku, roślin, wody z oceanu przenosiła dziesiątki kilometrów dalej, wyrzucała w powietrze, by eksplozja następnej rakiety przerzuciła to wszystko z powrotem. Wybuchy nie trwały długo, ale dla planety był to dopiero początek koszmaru. Jako wysoko uprzemysłowiona posiadała setki elektrowni jądrowych, które zostały zniszczone. Promieniowanie zabiło wszystko, co przeżyło atak rakiet trytowych: istoty żywe, faunę i florę. Planeta umierała powoli, ale nieuchronnie. Atak oglądały trzy pary eliańskich oczu.

– Saratoga, tak nazywała się planeta, którą właśnie zniszczyliście – powiedział Urko. – Żyło na niej ponad miliard Elian. Oni nigdy wam tego nie wybaczą.

– Nie przybyliśmy tutaj po przebaczenie, ale by się zemścić za zniszczenie Ziemi. Im szybciej to zrozumiecie, tym szybciej będzie pokój między naszymi rasami.

– Ci na Saratodze mogli nawet nie słyszeć o zniszczeniu Ziemi.

– Tym bardziej wina za ich śmierć spadnie na przywódców waszej cywilizacji. Wreszcie zrozumiecie, że nie wolno nikogo zabijać bezkarnie. Możesz nadać wiadomość na macierzystą planetę, bo następna będzie ona. Ostrzeż ich i lepiej, żebyś teraz nie bał się im tego przekazać.

Urko wrócił do siebie i w samotności redagował odpowiedni meldunek. Nazajutrz admirał pozwolił mu skorzystać z nadajnika na Odkrywcy. Admirał powiedział mu tylko:

– Uważaj na to, co im mówisz. Jeżeli nie nakłonisz ich do poddania się i podpisania rozejmu, to tylko zwiększysz liczbę ofiar po stronie twoich ziomków, nic więcej nie zyskasz. Dla mnie byłoby lepiej, byś ich nie ostrzegał. Wtedy z czystym sumieniem zniszczyłbym kilkanaście waszych kolonii i może kilkaset krążowników. Daję wam jednak szansę, byście bez sensu nie ginęli. Jeżeli ich przekonasz do poddania się, to będzie tylko twoja zasługa. Postaraj się zatem.

Elianin wiedział, co ma powiedzieć. Nie chciał tego, ale nie miał wyboru.

„Do przywódców Elian na Elij i we wszystkich koloniach eliańskich w kosmosie. Mówi Urko, pilot czwartej klasy patrolowca. Jestem jeńcem na ziemskim statku Odkrywca klasy mniejszych krążowników. Statek Ziemian kilka miesięcy temu wleciał w naszą przestrzeń kosmiczną w celu dokonania zemsty za zniszczenie im planety i wymordowanie ośmiu miliardów jej mieszkańców przez załogę naszego statku. Ten cztery lata temu poleciał za obcym statkiem, który na nas napadł. Teraz oni w akcie zemsty dzięki zdobyczom technologicznym przewyższającym nasze możliwości niszczą nam statki jeden po drugim, dziesiątkami rozrywają nasze krążowniki, wreszcie w kilka minut zniszczyli Saratogę. Uważam, że nie mamy możliwości przeciwstawienia się ich potędze, mimo że mają tylko dwa małe statki. Ziemianie to mądra, przebiegła i mściwa rasa. Nie wolno ich lekceważyć, bo kto to robi, zginie przez własną głupotę. Nie my jednak jesteśmy celem ich zemsty, a obcy, którzy i na nas napadli. Dlatego

proponują nam rozejm, pokój i współpracę. Jeżeli jednak duma i wiara w siłę naszej floty przestani wam jasny pogląd na rzeczywistość, to ostrzeżli nas, że znajdą i zniszczą wszystkie nasze kolonie, tak że o Elianach zacznie się mówić jak o rasie wymarłej. Dowodem na prawdziwość ich ostrzeżeń jest to, co zrobili na Saratodze. Mówię to tylko z troski o własną cywilizację. Oświadczam, że nikt mnie do niczego nie zmuszał, a wszystko, co powiedziałem, jest prawdą. Macie siedem dni na odpowiedź".

Kilka dni później przysłała odpowiedź na propozycję pokoju:

„My, Elianie, zgadzamy się zawrzeć porozumienie z Ziemianami i Kilianami w celu podjęcia współpracy pomiędzy naszymi rasami. Przedstawicielei przyślemy na naszym krążowniku".

Rzeczywiście, następnego dnia przybył krążownik eliański, który podleciał z opuszczonymi osłonami na znak, że nie zamierza walczyć. Admirał jednak postanowił się zabezpieczyć i większość załogi z ich rodzinami umieścił na Przyjacielu i, gdzie zamustrowano też wszystkie myśliwce. Promy z kolei miały chronić

Odkrywcę. Przyjaciel I dla bezpieczeństwa miał odlecieć na pewną odległość.

Rozmowy przebiegły bez większych niespodzianek. Elianie poważnie potraktowali propozycję Ziemian. Bardzo duży wkład miał Urko, który wywalczył wiele ustępstw na rzecz Elian. Uzyskał między innymi dostęp do osiągnięć technologicznych wspólnie opracowanych dla wszystkich ras, tak że cokolwiek Ziemianie wymyślą z pomocą Elian, muszą podzielić się tą wiedzą z niedawnym wrogiem. Uzyskano też zapewnienie, że Ziemianie będą informowani o wynalazkach Elian. W ten sposób stworzyli projekt porozumienia o nazwie Układ Trzech Cywilizacji. Elianie ustanowili też swojego ambasadora na Odkrywcy. Został nim Urko, i to na własną prośbę. Pozostali dwaj Elianie też wyrazili chęć pozostania na Odkrywcy, by mieć kontakt z tą interesującą rasą, jak to określili. Urko został też zwierzchnikiem wszystkich sił oddanych do dyspozycji przez Elian, chociaż ci jeszcze żadnego statku nie podarowali Układowi. Urko miał również prawo do uczestniczenia we wszystkich naradach oficerów. Na Odkrywcy świętowano podpisanie Układu – jego główną atrakcją byli Elianie, których kilkudziesięciu przybyło na ziemski statek. Dwóch eliańskich inżynierów przyłączyło się do grupy ziemskich naukowców i tam widzieli rozwój kariery. Elianin Zyto, gdy tylko wszedł do laboratorium, od razu poprosił o pokazanie całej technologii ziemskiej. Po kilku godzinach miał już pojęcie o wiedzy ziemskich naukowców i dostrzegał duże możliwości związane z dopiero co poznanymi materiałami. Powiedział też, że Elianie prowadzili prace nad uzyskaniem pola ochronnego czerwonej kuli utworzonej z trytu, ale przerwano je z uwagi na duże koszty materiałowe. Pole czerwonej kuli jest sto razy lepsze niż zwykłe pole, jakie mają krążowniki. Elianie tylko teoretycznie wiedzieli, jak wytworzyć czerwoną kulę – nigdy nie dysponowali taką ilością trytu, by mogli zrealizować projekt, a do badań potrzebne były jego stałe dostawy. Poza tym bardzo daleko latali po tryt, a i tak wszystko zabierało wojsko.

Szczęściarz kazał iść za sobą Elianinowi i zaprowadził go do pomieszczeń magazynowych. W jednym tylko magazynie o wymiarach sześćdziesiąt na dwieście metrów i o wysokości dziesięciu metrów znajdowały się miliony sztabek trytu, które wypełniały magazyn po sam sufit.

– Czy to wystarczy? – zapytał Willis.

Elianin zadarł głowę, by ogarnąć wzrokiem całość, i rzekł:

– Nigdy w życiu nie widziałem takiej ilości trytu w jednym miejscu. Nasze statki latają daleko, przywożą po kilka ton i jesteśmy z tego dumni. Częściej wracają z ładunkiem zaledwie kilkuset kilogramów.

– A my mamy cztery takie magazyny i kilka mniejszych, nie licząc urządzeń wykonanych z trytu, które w razie potrzeby można jeszcze wykorzystać jako surowiec. Ile trytu potrzeba, by wytworzyć pole siłowe czerwonej kuli?

– Siedemdziesiąt kilogramów na godzinę, ale przy ostrzale pole siłowe słabnie i trzeba je wzmocnić, a to oznacza dodatkowe zużycie trytu. Jednak z taką ilością tego metalu możemy pokusić się o stworzenie białej kuli.

– Co? Co powiedziałeś? Powtórz – powiedział Willis.

Zyto, nieco zaniepokojony reakcją Willisa, powoli powtórzył ostatnie zdanie:

– Powiedziałem, że mając taką ilość trytu, możemy spróbować stworzyć pole siłowe białej kuli. – I zaraz zaczął tłumaczyć szczegóły techniczne.

– Nie o to mi chodziło – przerwał mu Szczęściarz. – Po raz pierwszy powiedziałeś, że możemy coś zrobić razem. Zawsze mówiłeś, że wy możecie to lub tamto.

– Czy to takie ważne?

– Bardzo – odpowiedział Szczęściarz.

– Dlaczego?

– Powiedziałeś my, co znaczy, że nie dzielisz już ras na waszą i naszą. To jest bardzo ważne dla wspólnego rozwoju. Teraz opowiadaj o białej kuli.

– Jest to pole siłowe wytworzone z trytu, podobne jak czerwona kula, ale kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt razy silniejsze. My nigdy jej nie zrobiliśmy, bo potrzeba do niej kilkaset kilogramów trytu, a może i więcej.

– Co takiego w niej jest poza tym, że jest mocniejsza?

– Teoretycznie wytworzona z trytu biała kula załamuje światło, tak iż nie widać w niej statku, a że sama jest przezroczysta, niczego nie widać. Poza tym temperatura jej powierzchni jest tak wysoka, że ukryty w niej statek może schować się w środku gwiazdy i tam przecześć niebezpieczeństwo. Wszystko to jednak jest teorią, a co przyniosą doświadczenia, dopiero się okaże.

– A co będzie, gdy zderzą się statki schowane w białych kulach?

– Statek w kuli o mniejszej energii zostanie zniszczony, ale temperaturę, a tym samym energię, można podnieść o kilkaset stopni w ciągu kilku sekund. Na pewno chciałbyś też wiedzieć, jak to zrobić.

– Oczywiście – powiedział Willis.

– To postaraj się o tryt, wtedy przekażę ci resztę. Po co mam mówić, jeśli nie dostaniesz trytu.

Admirał nie tylko się zgodził na użycie cennego metalu, ale nadał tym badaniom tryb pierwszeństwa. Szczęściarz był jednak bardziej dociekliwy, niż się Zytowi zdawało i nadal zanudzał go pytaniami.

– A czym można zniszczyć białą kulę?

Praktycznie niczym, ale gdy zbyt długo będzie ostrzeliwana czerwonymi laserami, to pole osłabnie, potem przejdzie w czerwoną kulę, a w końcu zniknie. Istnieje możliwość wzmocnienia pola, jednak nie należy tego robić bez przerwy, bo instalacja chłodząca nie wytrzyma. Można też zastosować dodatkowe chłodnice i tak dalej. To jednak jeszcze teoria, w praktyce wszystko sprawdzimy sami. Zrobimy projekt i zabierzemy się za montaż urządzeń. Niektóre elementy możemy wykonać już teraz, jeszcze przed fazą projektowania.

11.

Same kłopoty

Już trzy miesiące minęły od zawarcia Układu Trzech Cywilizacji i życie na statkach biegło własnym torem. Na świat przyszło dwoje ludzkich dzieci i jedna kiliańska dziewczynka. Jaś, najstarszy z ziemskich dzieci, miał już cztery lata i wraz z synem Kilianina Darka przysparzał najwięcej kłopotów. Chłopcy wszędzie chodzili razem, wszystkiego musieli dotknąć i wszędzie wejść. Bardzo przypadł im do gustu Urko, któremu najbardziej dokuczali, ale też najbardziej go lubili. Pozostali dwaj Elianie byli stale zajęci w laboratorium i nie mieli czasu na zabawy. Urko często odwiedzał chłopców w przedszkolu i zabierał ich na długie spacery po statku. Mężczyzna wiedział, że musi przekonać załogę ziemską do Elian. Zdawał sobie też sprawę, że Ziemianie mogą żywić do nich urazę za zniszczenie planety – opiekując się ich dziećmi, starał się zdobyć zaufanie Ziemian. Urko miał nadzieję, że w ten sposób szybko zyska przychylność całej załogi, ale też po prostu bardzo lubił dzieci. Elianie to dziwna rasa. Mają mało kobiet i te rodzą najwyżej dwoje dzieci. Są wątłej budowy, dlatego ich organizm rzadko wytrzymuje trzecią ciążę. W porównaniu z innymi rasami żyją długo, około stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu lat, oczywiście o ile nie osłabią ich choroby. Na dziesięcioro dzieci dziewięć to chłopcy, więc rodzina jest bardzo szczęśliwa, gdy urodzi się dziewczynka. O jej względy już od najmłodszych lat zabiegają rodzice chłopców. Urko traktował chłopców jak rodzinę i uczył ich eliańskiego. Dzieci szybko chwyciły obcy język i pogwizdywały między sobą, sprawiając Urkowi wielką przyjemność. Poza przygotowywaniem dziennych raportów mężczyzna nie miał wiele roboty, więc stale przesiadywał w przedszkolu, gdzie przyzwyczajono się już do jego obecności. Właśnie taką chwilę przerwał głos z megafonów: „Wszyscy oficerowie na

mostek". Urko pożegnał się z dziećmi i wyszedł. Na mostku wszyscy już byli, czekali tylko na niego. Zajął więc swoje miejsce i zapytał:

– Co się stało?

Admirał wyjaśnił mu, że za pół godziny spotkają się z grupą eliańskich statków i nie wiedzą, jak się zachować, bo Elianie nie odpowiadają na sygnały. Podnieść osłony i gotować się do bitwy czy bez osłon czekać na ich ruch?

– Urko, czy to możliwe, by jakieś statki nie otrzymały wiadomości o zawartym przymierzu?

– zapytał dowódca.

– Nie, na pewno znają nasze raporty. Wysyłam je codziennie.

– Jakie mogą mieć zamiary w stosunku do nas?

Urko zastanawiał się chwilę, choć wiedział, że eliańskie krążowniki gromadzą się i poruszają w szyku po kilkanaście sztuk tylko w obliczu bitwy. Zdawał sobie sprawę, że zniszczenie ziemskich statków oznacza położenie kresu Układowi Trzech Cywilizacji. Jednak z drugiej strony przekonał się, że ludzie to bardzo inteligentne istoty, które mogą pomóc w walce ze starszymi obcymi, jak nazwali agresorów sprzed pięciu lat. Na dodatek Ziemianie nie mają gdzie uciekać i będą walczyć do ostatniego myśliwca, a walczyć umieją i mają czym. Statki doskonale poradzą sobie z Elianami. Urko zastanawiał się, czy to jakiś sprawdzian lojalności.

– A jakie to statki? Może transportowce? I ile ich jest?

– To nie transportowce. To trzydzieści pięć krążowników. I lecą w szyku.

Urko wstał i powiedział:

– Panie admirale, Elianie w takiej sile szykują się tylko do bitwy. Radzę wszystko, co lata, uzbroić w najlepszą broń i szybko podnieść osłony. Na pewno dojdzie do bitwy. Elianie rozmawiają tylko z silniejszym.

Urko domyślił się, że admirał już podjął decyzję, ale chciał, by jego zamiar wyszedł z ust Elianina, który był ambasadorem swojej rasy. Gdy decyzja wyjdzie od ambasadora, uwiarygodni go w Układzie. Admirał pragnął, by Układ był monolitem, a nie przypadkową zbieraniną.

Dowódca wydał rozkazy:

– Podnieść osłony. Wszystkie myśliwce i promy zajmą stanowiska wokół statku. Myśliwce z Przyjaciela I pozostaną do jego ochrony.

Trzy promy i dziesięć myśliwców wyposażono w emitery pola siłowego i w czerwone lasery. Dodatkowo na promach zamontowano działka trytowe o większym kalibrze i zwiększonej mocy, które potrafią przebić kadłub krążownika na wylot lub przynajmniej wbić się w niego głęboko i wypuścić atmosferę, co zwykle prowadzi do śmierci załogi. W ciągu piętnastu minut wszystkie pozycje były zajęte. Przyjaciela I chroniły tylko trzy myśliwce Darka i jego dwóch rodaków, jednym z pilotów była żona Kilianina. Admirał kazał dołączyć do niego dwóm pilotom ziemskim i pozostać tam do odwołania. Na radarach widziano już poszczególne statki. Było ich nieco więcej, bo około czterdziestu. Gdyby zaatakowali naraz, mogło być

groźnie, jedyna nadzieja Ziemiaków w rozproszeniu ich formacji. Strategia ludzi zakładała, że najpierw z większej odległości ostrzelają krążowniki torpedami konwencjonalnymi. Gdy te rozbiją się o ich pola siłowe, wyślą drugą falę pocisków, a ostatnie z nich będą miały ładunki trytowe. Po eksplozji zaatakują.

Urko podszedł do stanowiska łączności, by powstrzymać atak Elian. Przedstawił się jako ambasador Elian na statku ziemskim, przedstawiciel Układu Trzech Cywilizacji. Gdy nadał wiadomość, flota eliańska zatrzymała się. Po chwili otrzymał odpowiedź: „Szykujcie się na śmierć! Parchatos”.

– Dowodzi nimi Parchatos, to mój zaciekły wróg i brat Archatusa, który zginął w starciu z waszym statkiem – powiedział Urko.

– Zrób coś, przemów im do rozumu, bo niepotrzebnie zginie wiele istot, i to na pewno będą Elianie – powiedział nawigator Nielsen.

– Poczekaj, z Parchatosem zawsze latał Komuś, mój kolega jeszcze ze szkoły lotniczej, łączą go dobre stosunki z dowódcą i ogólnie jest szanowany.

Urko zaczął nadawać:

„Do Komusa, dowódcy krążownika 124563 eliańskich sił kosmicznych. Od Urka, ambasadora Układu Trzech Cywilizacji podpisanego z Ziemiakami i Kilianami na statku ziemskim, mianowanego przez Radę Najwyższą Elii, która nadała mi prawo do dysponowania każdym napotkanym po drodze eliańskim statkiem, który będzie potrzebny do obrony Układu. Na mocy nadanych mi uprawnień nakazuję ci aresztować Parchatosa oraz wszystkich, którzy się do niego przyłączą. Będą oni sądzeni za zdradę według prawa eliańskiego. Ciebie zaś, Komusie, mianuję dowódcą wszystkich krążowników, które się do ciebie przyłączą”.

Statki eliańskie zatrzymały się w miejscu i zaczęły łamać swe szyki. Widać było, że interwencja Urka odniosła pożądany skutek – eskadra podzieliła się na dwie prawie równe oddalające się od siebie części. Jedna z nich ustawiła się w szyku bojowym, a druga rozproszyła poza polem bitwy.

– Dwadzieścia jeden statków to i tak za dużo na bezpośrednie starcie – powiedział admirał.

– Jest depecha od Komusa – odezwał się Urko.

„Komuś do ambasadora Urka. Przejąłem władzę nad połową statków. Reszta przyłączyła się do Parchatosa, pragnie walczyć i zniszczyć Układ. My nie możemy ich powstrzymać. Nie chcemy walczyć ze swoimi. Niech to załatwią Ziemiaki. Powodzenia”.

– Dobrze – powiedział admirał. – Zniszczymy wszystkich naraz. Niech Komuś oddali się poza zasięg radarów. Wlecimy w środek formacji i zdetonujemy tryt na kadłubie Odkrywcy. Taką zrobimy bombkę, że supernowa przy niej to ognisko.

– Jak to? – zdziwił się Urko. – Przecież kadłub Odkrywcy to tysiące ton trytu. Nastąpi reakcja łańcuchowa i w promieniu kilkudziesięciu lat świetlnych nic nie pozostanie, nawet

gwiazdy zgasną.

– Tak, masz rację. Należy przenieść wszystkie rodziny na Przyjaciela I i dać mu czas, by odleciał na bezpieczną odległość. Urko, zabierz swoich na tamten statek, my zrobimy resztę.

Urko pomyślał chwilę i podszedł do nadajnika.

„Do Komusa. Zabierz swoje statki i natychmiast leć poza zasięg radarów albo jeszcze dalej. Koniec przekazu”.

Po chwili znowu zaczął nadawać:

„Do zdrajcy Parchatosa oraz tych, którzy zdecydowali się zginąć, hańbiąc siebie i swoje rodziny. Statek ziemski dysponuje potężną bronią, która bez strat zniszczyła naraz osiem naszych krążowników. Potem w jednej bitwie stracił osiemdziesiąt krążowników eliańskich, z których żaden nie zdołał do niego dolecieć nawet na odległość strzału. A gdy podpisano Układ, unowocześniliśmy tę broń jeszcze bardziej. W tej chwili Elia nie dysponuje siłami, które mogłyby przetrwać jego atak. Nie próbujcie łamać Układu, dla którego Elianie z pokorą musieli znieść stratę największej kolonii – Saratogi.

Jeżeli nawet udałoby się uszkodzić statek, to jego kadłub pokryty jest tysiącami ton materiału rozszczepialnego, który zniszczy wszystko w promieniu dziesiątek lat świetlnych. Przypomnijcie sobie nie tak dawną historię szalonego uczonego Sycha, który opracował metodę detonacji trytu i próbował zdetonować jeden jego kilogram. Gdzie jest on i całe miasto? Pozostała tylko ogromna dziura w ziemi. A Ziemianie zdołali opanować i ujarzmić tę siłę. Więc jeżeli nie chcecie zginąć, teraz macie szansę, by się uratować. Nie myślcie, że jak wygracie, to będziecie bohaterami. Wszyscy pójdziecie pod sąd za zdradę”.

Szyki zgrupowania Parchatosa znowu się załamały i siedem krążowników skierowało się w stronę pozycji Komusa. Pozostało czternaście krążowników gotowych na śmierć.

Admirał pomyślał chwilę i rzekł:

– Sami wybrali śmierć. Niech nikt nie przeżyje. Atakować wszystkimi siłami. Najpierw uderzą na nas ich myśliwce – nimi zajmą się nasze szturmowce i promy. Ma wystartować wszystko, co lata.

Czternaście krążowników stanęło w szyku i wypuściło swoje myśliwce. Naprzeciw stanęły dwa ziemskie statki, mniejsze od każdego z krążowników, i wypuściły swoje myśliwce oraz promy. Dwa tysiące sześćset eliańskich myśliwców uderzyło w pięćdziesiąt osiem ziemskich i kiliańskich stateczków. Po kilku sekundach formacje myśliwców starły się ze sobą. Najpierw ziemskie myśliwce otworzyły ogień z broni konwencjonalnej, czyli z karabinów maszynowych z pociskami trytowymi. Pociski przeszywały po kilka samolotów naraz, wchodząc w ich pancerze jak w masło. Jeżeli pilot nie został trafiony od razu lub silnik nie eksplodował, to umierał z powodu szybkiej utraty atmosfery w myśliwcu, ponieważ pilotaż w skafandrze był bardzo niewygodny, a piloci myśliwców nie używali hełmów. Gdy wreszcie dowodzący mogli namierzyć i ostrzelać myśliwce ziemskie, okazało się, że ich broń jest nieskuteczna. Ani jeden statek Ziemian nie został zniszczony, za to nadlatywała nowa grupa i sytuacja powtarzała się.

Po każdej fali zniszczonych eliańskich myśliwców dowódca ziemskiej eskadry Steward meldował zniszczenie wrogich maszyn bez strat własnych.

Urko obserwował bitwę i z minuty na minutę stawał się coraz bardziej szary. Nawigator Olaf Nielsen zauważył to i by go pocieszyć, powiedział:

– Urko, nie patrz na to. Sami wybrali śmierć w walce. Są dzielni, szkoda, że nie zdają sobie sprawy, iż nie mają żadnych szans. To nie jest równa walka i nigdy nie powinno do niej dojść.

Z krążowników wyleciało naraz kilkaset myśliwców w jednym zgrupowaniu. Zmierzały w kierunku promów ziemskich. Wtedy wystrzelono jedną torpedę. Była malutka, tak że większość pilotów nawet jej nie zauważyła. Jednak gdy eksplodowała w środku zgrupowania eliańskich myśliwców, zajaśniała jak małe słońce, niszcząc całe zgrupowanie za jednym razem. Urko patrzył, jak kolejne kilkusetosobowe zgrupowanie myśliwców eliańskich zmierza do miejsca, gdzie przed chwilą w jednej sekundzie śmierć poniosło kilkuset ich rodaków. Nagle Elianin zerwał się z miejsca, podbiegł do nadajnika i krzyknął:

– Przerwijcie ten bezsensowny atak. Nie walczyście z wrogiem, tylko z własną rasą. Ziemianie nawet nie pokazali swej potęgi, a już zginęło was tysiące.

To wezwanie dotarło do wszystkich eliańskich statków i myśliwców. Fala ich maszyn była już w połowie drogi, gdy zgrupowanie zaczęło się łamać. Około trzystu z nich zawróciło do swoich krążowników i tam chciało czekać na rozwój wypadków. Druga ziemaska torpeda leciała w kierunku myśliwców, które starały się ją zestrzelić. Jednak wszystko na nic, ponieważ tryt odbijał promienie laserów myśliwców i innej broni pokładowej. Gdy piloci zrozumieli, że nie zdołają zestrzelić torpedy, zaczęli zawracać, ale na ten manewr było już za późno. Eksplodująca torpeda spełniła swoje zadanie, zamieniając myśliwce w kosmiczny pył. Niewiele z nich ocalało, zaledwie kilka będących najdalej od epicentrum wybuchu. Krążowniki ruszyły w szyku bojowym, utrzymując kształt rombu ze statkiem dowodzenia w środku zgrupowania. Jeden ze statków pozostał w tyle, by zbierać zdziesiątkowane myśliwce. Szturmowce ziemskie wystrzeliły torpedy konwencjonalne o wzmocnionym ładunku detonującym, a w dodatku pokryte trytem. Było ich sześćdziesiąt i od razu znalazły się na celownikach eliańskich krążowników. Torpedy były małe i szybkie, a czerwony laser strzelał co pół minuty, tak więc tylko kilka udało się zestrzelić przed celem, reszta doleciała do pola siłowego krążowników i efektownie wybuchła, nie robiąc żadnej szkody eliańskiej flocie. Urko patrzył na to i nie rozumiał podstępu. Myślał, że torpedy łatwo zniszczą pole siłowe krążowników. Parchatos też się ucieszył, gdy zobaczył, jak pociski rozbijają się o osłony i nie eksplodują, nie wyrządzając żadnych szkód. Zarządził atak na dwa główne statki Ziemian, zapowiedział też, by nie przejmować się drugą falą torped, która zmierzała w ich kierunku, gdyż sądził, że i ona rozbije się o pole siłowe krążowników. Przeliczył się jednak. Z pierwszymi torpedami oczywiście tak się stało, jednak następne wybuchły potężnie. Obserwatorzy na ziemskich statkach zobaczyli kilka słońc w jednym miejscu. Fale uderzeniowe miażdżyły wielkie krążowniki o długości trzech i pół tysiąca metrów. Niektóre zostały rozerwane na strzępy, inne zmiażdżone pomiędzy dwoma falami uderzeniowymi. W

sekundzie zniszczono osiem krążowników, a pięć uszkodzonych dryfowało bezwładnie. Na te statki natarły promy i myśliwce przeciwnika. Zaczęto ostrzalać z Odkrywcy i Przyjaciela I. Ekspłodował następny statek i jeszcze jeden. Dwa z nich na chwilę odzyskały sterowność i podniosły osłony, starając się uciec z pola walki. Na próżno – trzy promy zagroziły im drogę i celnym ostrzałem czerwonych laserów najpierw skasowały ich pole siłowe, potem dziurawiąc kadłub jak sito, doprowadziły je do eksplozji. Zbuntowanym Elianom pozostał jeden sprawny statek, który zajmował się zbieraniem myśliwców. I teraz na niego przysła kolej. Posiadające pola siłowe ziemskie szturmowce zaczęły ostrzeliwać krążownik, a i Przyjaciel I zmierzał w jego kierunku. Pozostała chwila przed zniszczeniem osłony krążownika. Urko powiedział cicho:

– Darujcie im życie. Oni nie walczyli. – I spojrzął na admirała.

Dowódca zerknął na zatroskaną postać małego Elianina, po czym powiedział:

– Dobrze, daruję im życie, ale mają natychmiast oddać się do twojej dyspozycji, inaczej podzielę los swoich krajan.

Natychmiast przerwano ostrzał krążownika, który stracił już osłony i otrzymał kilka trafień z laserów. Wiadomość o przerwaniu ataku przysła w ostatniej chwili. Myśliwce ziemskie jak osy latały wokół bezsilnego kolosa, czekając na rozkaz, by dobić drania. Rozkaz ten jednak nie przyszedł. Kazano czekać.

Urko po raz kolejny usiadł do nadajnika i zaczął nadawać:

„Urko do dowódcy eliańskiego krążownika. Poddajcie się i nie podnoście osłon. Niech dowódca przyleci sam na ziemski statek”.

Nic więcej nie musiał mówić. Apel był tak jasny, że dziecko by go zrozumiało. Po kilku minutach z eliańskiego krążownika wystartował niewielki transportowiec. Odkrywca opuścił osłony i wpuścił go do hangaru.

Po wylądowaniu z transportowca wyszedł mały Elianin w mundurze dowódcy krążownika – Borta. Na jego powitanie wyszli admirał Anderson, Kilianin Daro, który wrócił już z pola bitwy, Parker i trzech Elian z Urkiem na czele. Gość zapytał, kto jest dowódcą okrętu. Urko wskazał na admirała.

Mężczyzna podszedł i wręczył admirałowi kolorową laskę.

– Co to jest? – admirał zapytał Urka.

– To insygnia władzy nad okrętem bojowym. Proszę je przyjąć, wygrał pan bitwę i okręt należy do pana. Razem z załogą – powiedział Urko.

– Nie – odpowiedział admirał. – Nie mnie one się należą.

– Ale przecież to pan wygrał tę bitwę.

– Nie, nie ja ją wygrałem.

– A kto? – spytał zbity z topu stary Elianin.

– On – powiedział admirał, wskazując na Urka. – Napadliście na statek Układu Trzech Cywilizacji i tylko on jako Elianin może przyjąć kapitulację zbuntowanego eliańskiego okrętu.

Urko przyjął laskę i zapytał dowódcy:

– Dlaczego nie walczyłeś, skoro nie zamierzałeś odlecieć?

– Widziałem dostatecznie dużo i nie pragnąłem samobójstwa. Po co miały ginąć jeszcze trzy tysiące Elian? Wystarczająco wielu ich dzisiaj zginęło, a większość z nich nie wiedziało nawet, dlaczego i co ich zabiło. Poza tym od początku nie chciałem walczyć, a zostałem tylko dlatego, że byłem coś winien Parchatosowi i przypomniał mi o tym tuż przed bitwą. Za załogę też nie mogłem decydować. Teraz żałuję, że nie wsiałem do myśliwca i nie zginąłem z resztą pilotów. Na Elii czeka mnie sąd i hańba mego rodu.

Na to odezwał się admirał:

– Nie walczyłeś, więc nie ma mowy o zdradzie. Zostałeś przy Parchatosie, bo wiedziałeś, że nie szanuje życia i chciałeś uratować załogi myśliwców. Wielu ocaliłeś.

Urko zwrócił się do Borty:

– Weź swoją laskę i wracaj na okręt. Leć na Elię, opowiedz o zdradzie Parchatosa i o bitwie, by to się nigdy więcej nie powtórzyło.

Wtem odezwał się sygnał alarmowy: „Obce statki w liczbie dwudziestu siedmiu na kursie Odkrywcy”.

– Borta! – krzyknął admirał. – Wracaj na swój statek i ogłoś alarm bojowy. – A do swoich rzeź: – Podnieść osłony. Myśliwce na pozycje.

Nagle nawigator krzyknął:

– Admirale, jest depecha z jednego z okrętów Elian.

– Czytaj – rozkazał dowódca.

„Gdzie są okręty Parchatosa? Kim jesteście?”

Urko usiadł przy nadajniku i zaczął nadawać:

„Jestem Urko, przedstawiciel Elian na statku ziemskim wchodzącym w skład Układu Trzech Cywilizacji. Parchatos został ukarany za zdradę. Napadł na nas mimo ostrzeżeń i poprowadził na śmierć tysiące Elian. Doprowadził do zniszczenia dwunastu krążowników i tysięcy myśliwców. Elia poniosła dzisiaj ogromne straty. Meldunek na Elię już poszedł. Rodziny zdrajców będą odsunięte od urzędów na zawsze i osadzone na niegościnnych koloniach. Przebieg bitwy opowie wam Borta, który wszystko widział, ale nie walczył przeciwko Układowi. Lećcie na Elię, po drodze zabierzcie Komusa i jego statki. Komuś nie walczył przeciwko nam, ale też nie udzielił pomocy. Znał rozkazy i był zobowiązany do jej udzielenia. Gdyby stanął naprzeciwko Parchatosa, to ten, widząc wyrównane siły, może by nie zaatakował i nie zginęłoby tylu Elian. Niech to rozsądzi Synod Elii”.

Po chwili przyszła odpowiedź:

„Mówi Lentek, dowódca 36. Eskadry Krążowników. Wykonuję twoje rozkazy”.

Admirał powiedział do Urka:

– Nadaj na Elię wiadomość ode mnie.

„Z głębokim żalem zawiadamiam Synod Elii, że stałem się dzisiaj ze zbuntowanymi eliańskimi krążownikami i zmuszony byłem je zniszczyć. Przykro mi, że przyczyniłem się do śmierci tylu dzielnych eliańskich żołnierzy. Mam nadzieję, że taka tragedia nigdy się nie powtórzy. Z wyrazami szacunku, Admirał Anderson, dowódca Floty Układu Trzech Cywilizacji. PS. Nie mścijcie się na rodzinach poległych żołnierzy. Oni wykonywali rozkazy swych dowódców. Ich śmierć to dostateczna kara za zdradę”.

Nazajutrz admirał kazał uzupełnić amunicję w myśliwcach, naprawić przestrzeliny i uzupełnić paliwo. Jak najszybciej rozkazał też zamontować osłony w myśliwcach. Nie chciał stracić ani jednego pilota, zwłaszcza że w kosmosie zaczęło robić się coraz ciasniej. Na takie wrażenie wpłynął fakt, że Odkrywca coraz szybciej pokonywał odległości pomiędzy światami i gwiazdami. Każdy z pilotów po kilka razy opowiadał, ile to myśliwców strącił, na jakie krążowniki natarł i jakie szkody im wyrządził. Tylko jeden pilot, który serią laserów doprowadził do zniszczenia i eksplozji pozbawionego pola siłowego krążownika, nie mógł dojść do siebie i darować sobie, że zabił trzy tysiące istot. Był nim ojciec Jasia, doświadczony żołnierz, a jednak coś w nim wtedy pękło. Udał się on do Urka, by wyrazić skruchę.

Urko popatrzył na niego i powiedział:

– Oficerze, zrobił pan to, co do pana należało. Poza tym statek musiał oberwać wcześniej, i to solidnie, pan po prostu strzelił jako ostatni. Proszę nie myśleć, że zabił pan trzy tysiące Elian. To byli zdrajcy i na pewno zabiliby pana oraz pana rodzinę, gdyby im na to pozwolono. Pańskie dziecko wypchaliby trawą i postawili jako trofeum. Wszystkim wmówiliby, że odlecieliście i ślad po was zaginął. Nie ma kogo żałować.

Gdy Rikardson to usłyszał, zrobiło mu się trochę lżej na duszy. Poza tym kilka dni później za wielkie bohaterstwo admirał odznaczył go orderem „Najlepszy Pilot na Odkrywcy”. Rikardson został również awansowany na porucznika, co oznaczało przejęcie dowództwa nad eskadrą. Nazajutrz po bitwie dowództwo przeanalizowało jej przebieg i podjęło decyzję, że Odkrywca i Przyjaciół I nie będą już brali udziału w walkach zaczepnych, a jedynie w obronnych. Całość zadań ofensywnych miały wykonywać promy i myśliwce. Admirał nakazał szybko zwiększyć ich liczbę.

12.

Czerwona i biała kula

Statki leciały ze stałą prędkością dwustu sześćdziesięciu parseków. Związane z niedawną bitwą emocje już ostygły i od dwóch tygodni nic ciekawego się nie wydarzyło. W laboratorium trwały intensywne prace nad budową czerwonej kuli. Szczęściarzowi i dwóm jego nowym eliańskim kolegom w końcu udało się ją utworzyć, ale jedynie na kilka minut. Zbyt dużo

szczegółów w emiterze, dotyczących rozpadu trytu, trzeba było wyjaśnić.

Prace trwały nadal, zwłaszcza że Elianie znali konstrukcję kuli tylko w teorii. Jak na razie jedynym sukcesem było zbudowanie emitera, który tworzył czerwone kule na zewnątrz statku i wystrzeliwał je jak pociski. Jednak te po kilku sekundach pękały i rozpadały się w postaci promieniowania. W celu przetestowania nowej broni i określenia jej mocy szukano asteroidy o odpowiedniej wielkości. Niestety od pewnego czasu w ogóle nie było widać asteroid, nawet najmniejszych. Do testów użyto ziemiańskiego myśliwca, który był zdalnie sterowany i miał zamontowany emiter pola eliańskiego typu. Zaczęto ostrzeliwać ten myśliwiec czerwonymi kulami o średnicy dwudziestu centymetrów. Zauważono, że pole siłowe traciło tyle mocy, ile energii posiadała czerwona kula. Wytworzono zatem większą kulę o zwiększonej mocy i strzelono nią w samolot. Trafiona maszyna najpierw straciła swoje pole siłowe, po czym spłonęła i zamieniła się w pył kosmiczny. Także kula rozplynęła się w kosmosie, tracąc swoją energię w przestrzeni. Szczęściarz nie wynalazł niezawodnego pola siłowego, ale za nową broń dostał pochwałę i rozkaz tygodniowego urlopu. Admirał wiedział, że Willis pracuje po osiemnaście godzin na dobę i cierpi przez to jego rodzina. Teraz dał mu bezwzględny zakaz wstępu do laboratorium.

Szczęściarz wrócił do kajuty, gdzie Tania i ich synek bawili się klockami. Przywitał się, usiadł obok nich na podłodze i powiedział:

– Tata ma problem, bo pan admirał nie chce mu dać myśliwca do testów. Żał mu dwudziestu czterech ton trytu. No tak – powiedział do siebie, a patrząc na syna, dodał: – Co może cię obchodzić, że nie mam do czego strzelać. Asteroid o odpowiedniej wielkości to dawno już nie spotkałem.

W tym momencie wtrąciła się Tania:

– Także od dawna nie widziałam żadnych asteroid, nawet najmniejszych meteorytów. Jest tak czysto, że moglibyśmy lecieć bez osłon. Jakby wszystko wessała jakaś czarna dziura.

– Jak to? Nic nie ma? Od kiedy?

– Od kilku tygodni – odpowiedziała Tania. „*Czy to normalne?*” – zastanowiła się w myślach, na głos zaś rzekła: – Tu zawsze było pełno asteroid, meteorytów i pyłu kosmicznego. Elianie przecież przylatywali tu po minerały bardzo bogate w tryt i inne metale. Jednak od pewnego czasu zaczęło wszystkiego brakować i zaprzestano lotów.

– Dzieje się coś niedobrego – powiedział Szczęściarz. I dodał: – Trzeba o tym powiadomić admirała.

– Dobrze – odpowiedziała Tania. – Za godzinę zaczynam dyżur. Sprawdzę to jeszcze raz i jeśli twoje przypuszczenia się potwierdzą, to zamelduję o nich przełożonym.

Gdy przyszedł czas na dyżur Tani, kobieta natychmiast wzięła się do skanowania przestrzeni. I rzeczywiście obawy jej męża potwierdziły się. Tania właśnie pisała raport o swoich spostrzeżeniach, podparty obliczeniami i danymi z komputera, gdy na mostek wszedł admirał i z uśmiechem na twarzy zapytał kobietę:

– Co u ciebie?

– Mamy kłopoty, panie admirale – usłyszał.

– Jakie kłopoty?

– Niech pan spojrzysz na skanery.

Admirał przebiegł oczyma po skanerach i niczego nie zauważył.

– Wszędzie pusto i cicho. Nic nie widać. Jakie ty widzisz kłopoty?

– To właśnie są te kłopoty. Jest za cicho, za spokojnie i za pusto. Tu niczego nie ma, a powinny być asteroidy, meteoryty, miliardy mikrometeorytów i pyłu kosmicznego. To niespotykane, powiem, że to nawet niemożliwe.

– Co pani sugeruje?

– Uważam, że należy zatrzymać statki i zbadać przyczynę braku meteorytów w kosmosie.

– Czy to może być aż tak poważne? – zapytał.

– Tak, możliwe, że zmierzamy prosto do czarnej dziury.

– Czarne dziury widać z daleka.

– Tych najmniejszych nie widać.

– Zatrzymamy statki na dwie godziny – rzekł admirał.

– To powinno wystarczyć do przeprowadzenia odpowiednich badań.

Po zatrzymaniu statków zaczęto skanować kosmos w poszukiwaniu najmniejszych meteorytów lub czegokolwiek, co dałoby jakąś wskazówkę. Niczego nie znaleziono. Zbliżała się druga godzina postoju i wszystko wydawało się w porządku, poza brakiem meteorytów.

Tymczasem na mostek przyszedł Szczęściarz, który uśpił dziecko i nie mogąc zasnąć, postanowił odwiedzić żonę na stanowisku pracy.

– I co, kochanie? Masz coś? – zapytał Tanię.

– Nie, niczego nie mam. Niepotrzebnie narobiłam alarmu. To może być jakaś anomalia kosmiczna. Chyba przeproszę wszystkich i polecimy dalej.

– Tak, tak – powiedział Szczęściarz. – Jeśli zostaniemy dłużej, to za chwilę będziemy mieli tu niezły śmietnik.

Tania spojrzała w okno i zobaczyła, jak wyrzucane z Odkrywcy śmieci wędrują w kosmosie wzdłuż burt statku do przodu.

– Czy oni nie mogą wyrzucać tych śmieci z tyłu statku?

I nie zaśmiecać nam drogi?

– Ależ śmieci są wyrzucane z tyłu – wyjaśniła Tania.

– One same tak nie wędrują – stwierdził Szczęściarz.

Kobieta spojrzała na przyrządy, potem na szybę, znowu na przyrządy i nagle krzyknęła:

– Panie admirale, coś nas ściąga! I śmieci też.

Admirał spojrział na odlatujące śmieci i zapytał:

– Jaki mamy ciąg?

– Lekko wsteczny.

– To, do jasnej cholery, dlaczego lecimy do przodu? Natychmiast włączyć silniki i cała wstecz. Przyjacieli i niech robi to samo.

Gdy statki cofnęły się o około pięćset tysięcy kilometrów i zatrzymały się, znowu zaczęto prowadzić badania. Efekt był ten sam – coś ciągnęło statki do przodu.

– To może być czarna dziura – powiedział Szczęściarz.

– Nawet tak nie myśl! – przerwał mu admirał. Zdawał sobie jednak sprawę, że według wszystkich danych to nie jest nic innego. Nic w kosmosie nie zachowuje się w podobny sposób. Kazał wysłać sondę dalekiego zasięgu i obserwować przyrzędy. Sonda przez kilka dni nadawała sygnał regularnie, potem jednak zamilkła. Tania szybko obliczyła prędkość sondy, przyspieszenie spowodowane przyciąganiem oraz inne parametry i stwierdziła na głos:

– Ta czarna dziura jest jakaś inna.

– Dlaczego? – zapytał admirał.

– Ona porusza się w jednym kierunku i swoją grawitacją zbiera wszystko, co przelatuje obok. Na dodatek jest dość młoda i lekka.

– Co to znaczy lekka?

– To znaczy, że jakaś mała gwiazda się zapadła i zamiast zmienić się w zwykłą gwiazdą neutronową, stała się małą czarną dziurą, która na dodatek porusza się w określonym kierunku. Wszystko to musiało wydarzyć się niedawno. Może młode czarne dziury tak się zachowują. Nasza wiedza o nich nie jest zbyt bogata, właściwie prawie nic o nich nie wiemy. Może to akurat naturalny proces.

– Co nam to daje? – dociekał dalej admirał.

– A to, że nic nam nie grozi. Niech sobie leci.

– W jakim kierunku leci? – wtrącił się Urko.

Tania wzięła od Urka dane i znowu zaczęła obliczenia.

– Gdyby teraz przeleciała koło Elii, gdzie zmierza, to planeta przetrwałaby, jednak dziura porusza się z taką prędkością, że dotrze tam za trzydzieści lat. W tym czasie zwiększy swą masę dziesięciokrotnie, a i siłę przyciągania też. Elia nie przetrzyma takiej grawitacji i zostanie pochłonięta. A jeżeli nawet oprze się sile przyciągania, to jednak atmosfera i wszystko, co jest na planecie, będzie przyciągnięte do czarnej dziury.

– Co możemy zrobić? – zapytał admirał.

– Nic. jedynie ostrzec Elian. Będą mieli dużo czasu na ewakuację planety.

– A z czego zbudowana jest taka czarna dziura? – zapytał Szczęściarz.

Tania, wiedząc, że mąż lubi rzetelne informacje, zaczęła czytać opracowane przez siebie dane.

– Czarna dziura zbudowana jest z dwóch materii: z zapadniętej gwiazdy i z materii ściągniętej z kosmosu. Cięższe pierwiastki przebijają się do jądra i powiększają siłę grawitacji. Wiadomo, cięższe metale, w tym tryt, którego dużo było zawsze w tych rejonach, mogą stanowić teraz jądro tej czarnej dziury, dlatego jej grawitacja będzie szybciej rosła. Tak ściśnięty w jądrze metal jest monolitem.

– Dość już usłyszałem – przerwał Szczęściarz. – Admirale, potrzebuję tysiąc ton trytu, a zamienię czarną dziurę w gwiazdę.

Wszyscy spojrzeli na Willisa, jakby powiedział coś głupiego, lecz nikt tego nie skomentował, bo wiedzieli, że jest genialnym naukowcem i wykazuje się nadzwyczajną intuicją.

– Czy to możliwe? – zapytał admirał.

– Tak, tylko muszę zrobić szpic z trytu, który wbije się w skorupę z lżejszych materiałów, po czym eksploduje razem ze zgromadzonym tam trytem.

– Gdyby udało ci się zrobić to, co przewidujesz, to na jaką odległość musielibyśmy odlecieć?

– Kilkadziesiąt lat świetlnych wystarczy. Jednak nie wiem, ile tam może być trytu. Bezpieczniej odlecieć nawet na tysiąc lat świetlnych.

– Jak chcesz zdetonować zapalnik w odpowiednim czasie?

– Możemy wykonać kulę o średnicy pięciu metrów i tam umieścić zapalnik. Z opóźnieniem, jakim chcemy. Opóźnienie będzie nam potrzebne, by nasz pocisk przebił skorupę z lżejszych minerałów i skał. Jest jednak pewna trudność. Żeby taki pocisk przebił tę skorupę, musimy nadać mu większą prędkość, bo sama siła grawitacji nie wystarczy. Trzeba by było poświęcić jeden z promów. Maksymalnie wypełnić go trytem, pozostawiając miejsce tylko na paliwo. Poza tym by nastąpiła reakcja łańcuchowa, tryt musi być wlany do promu na gorąco przez otwór w stropie, a kula z detonatorem powinna być w nim zatopiona.

– Ile czasu zajmą przygotowania do tego eksperymentu?

– Dwa tygodnie – odparł Szczęściarz.

– No to nie ma na co czekać. Nie pozwolimy przecież, by czarna dziura zniszczyła Elię – powiedział admirał.

Odkrywca zlokalizował czarną dziurę, która znajdowała się siedemdziesiąt pięć lat świetlnych od statków. Po dwóch tygodniach statek z odległości dwóch tysięcy lat świetlnych wysłał specjalnie spreparowany pocisk w postaci promu. Na zewnątrz maszyny zamontowano trzy dodatkowe zbiorniki na paliwo, dzięki którym torpeda miała przyspieszać niemal przez całą podróż. Gdy prom wystartował, obydwie statki skierowały się w przeciwnym kierunku, skręcając nieco w prawo, by wejść na swój kurs przed znalezienia czarnej dziury. Przyjaciel i, dotychczas wolniejszy, dzięki nowym chłodnicom trytowo-molowym, które sprawdzały się doskonale, osiągnął pięćset parseków i nawet nie zagrażał silników. Dwa tygodnie później potężny błysk rozświetlił kosmos na odległość dziesiątek lat świetlnych. Wszyscy pomyśleli, że powstaje nowa gwiazda. Trzy dni później kosmos wrócił do poprzedniego stanu, a w miejscu, gdzie spodziewano się ujrzeć nową gwiazdę, nie było niczego. Tak jakby nic się nie wydarzyło. Nie wykryto w tym rejonie żadnego pola grawitacyjnego, jakby czarna dziura nie istniała. Nawet zaczęły latać tamtędy asteroidy i meteoryty jak dotychczas.

Uratowanie Elii było szczególnym sukcesem zwłaszcza dla znajdujących się na Odkrywcy Elian, którzy serdecznie dziękowali admirałowi i Szczęściarzowi – głównemu pomysłodawcy projektu. Willis długo zastanawiał się, co sprawiło, że sukces przyszedł tak łatwo. Sprawa wyjaśniła się dopiero trzydzieści lat później. Przypominając sobie tamte chwile, Szczęściarz

myślał o tym, dlaczego wykluczył lub też w ogóle nie brał pod uwagę innych przyczyn powstania czarnej dziury niż naturalne. Od czasu zlikwidowania tego niebezpiecznego zjawiska kosmicznego Elianie i Kilianie nabrali większego szacunku dla ludzi. Podziwiali ich za inteligencję i poświęcenie się dla innych.

Sam Urko w rozmowie z Kilianinem Darem powiedział:

– Od tysiąca lat Elian nie spotkało nic lepszego niż poznanie Ziemi. Straty spowodowane przez ziemski statek są niczym w porównaniu do zniszczenia całej planety. Gdyby nie Ziemianie, z pewnością by do tego doszło. Elianie, nawet ostrzeżeni, nie ewakuwaliby planety w ciągu trzydziestu lat, bo z powodu braku trytu statki eliańskie od dawna tu nie latały. Nikt nawet nie badał już tej przestrzeni. Wyobraź sobie, że gdyby ta dziesięciokrotnie powiększona czarna dziura została zauważona zbyt późno, eksplozja byłaby tak silna, że po słońcach w okolicy nie byłoby śladu, a o Elii nawet nie wspomnę.

Admirał cieszył się z sukcesu naukowego, ale nie mógł powstrzymać się od komentarza na temat straconego promu oraz sporej ilości trytu, który w tym rejonie nie występował. Wydał więc rozkaz budowy dużo nowocześniejszego promu, którego konstrukcja miała być oparta o najnowsze zdobycze techniki i najlepsze surowce. Powołał trzy zespoły i każda z ras miała stworzyć swój projekt, z których najlepszy zostanie zakwalifikowany do realizacji. Już w ciągu miesiąca przygotowano wszystkie trzy projekty. Dwa z nich były do siebie podobne. Przedstawiały maszyny trochę większe niż zwykły prom, posiadające bardziej nowoczesne silniki, lepsze uzbrojenie i mocniejsze pola siłowe. Poza tym nie wyróżniały się niczym szczególnym. Miały konkretne zadania i dlatego niewiele można było wymyślić. Natomiast trzeci projekt, wykonany przez zespół Urka, zaskakiwał swoimi rozwiązaniami technicznymi. Niestety był praktycznie nie do wykonania na Odkrywcy z powodu dużych rozmiarów.

Zaprojektowana przez zespół Urka maszyna kubaturą pięciokrotnie przewyższała normalny prom. Posiadała eliański napęd fotonowy z molowymi chłodnicami. Całkowicie wykonana z trytu, miała wewnętrzną powłokę molową podłączoną do chłodzenia silnika. Już sama konstrukcja była wielką niespodzianką – statek składał się z trzech członów. Człon silnikowy posiadał potężny, jak na statek tej klasy, silnik fotonowy eliańskiego typu, w którym zamontowano kiliańskie generatory dopalania plazmy przy zmniejszonym wyrzucie fotonów miękkich. Wszystko to można było zastosować po zamontowaniu molowych chłodnic, którymi wyłożony był cały kadłub molowo-trytowy. W związku z tym, że nie zaistniała potrzeba montowania chłodnic, zajmujących w statkach eliańskich sporo miejsca, zainstalowano mocniejszy i większy silnik, który pozwalał tak małemu statkowi osiągać prędkości rzędu setek parseków.

Drugi człon, zwany bojowym, dysponował wszystkimi rodzajami uzbrojenia, począwszy od broni konwencjonalnej, przez karabiny z pociskami trytowymi, aż do pocisków kalibru pięćdziesięciu milimetrów o wzmocnionej sile i zasięgu. Zamontowano też sprzężone działka czerwonego lasera oraz rakiety trytowe o różnej mocy i zasięgu. Dodatkowo zainstalowano broń o nazwie dezintegrator masy. Był to lekko zmodyfikowany teleporter do niszczenia

wiązań międzycząsteczkowych w kadłubach statków. Ponadto posiadał własny napęd o krótkim zasięgu i mocne pole siłowe.

Trzecia część statku nazwana została członem dowodzenia. Był on przeznaczony dla obsługi mostka. Poza tym został wyposażony w przyrządy telemetryczne dalekiego zasięgu, stanowisko nawigatora, uzbrojenie działek sprzężonych czerwonego lasera oraz pole siłowe i własny napęd krótkiego zasięgu. W czasie bitwy statek mógł walczyć jako całość, a w razie potrzeby rozdzielić się na trzy człony, ponieważ wszystkie miały własne uzbrojenie i pola siłowe oraz niezależny napęd. Siłą ognia dorównywał dwudziestu eliańskim krążownikom. Do obsługi czerwonych laserów maszyna miała szesnaście sprzężonych luf, które jednym strzałem mogły zniszczyć eliański krążownik z mocnym polem siłowym.

Admirał był zachwycony tym projektem, a i innym oficerom bardzo się on spodobał. Jednak mimo zachwytów nad jego konstrukcją i możliwościami wszyscy wyrazili opinię, że takiego statku nie da się zbudować bez stacjonarnej bazy. Część komisji przeszła do wybierania jednego z dwóch pozostałych projektów rozrysowanych na tablicach.

W tym momencie na mostek wszedł Szczęściarz z synkiem na rękach. On sam nie brał udziału w projektowaniu promów. Jednak wizja Urka była mu już znana, ponieważ Elianin w trakcie projektowania pytał go o możliwości i drobne rozwiązania techniczne. Po chwili przed niezwykłym projektem stali tylko admirał i Szczęściarz, który zapytał dowódcę:

– To kiedy zaczynamy budowę tego statku?

Nieco zaskoczony pytaniem admirał odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Czy możemy zbudować tak duży statek bez zatrzymywania się i bez stacji kosmicznej?

– Na pewno – odparł Szczęściarz.

Rozmowa admirała z Willisem zgromadziła kilka osób, które już obejrzały pozostałe projekty. Padły pierwsze komentarze: „To niemożliwe”, „Jest za duży, nie zmieści się na Odkrywcy”, „Jak chcesz to zrobić? To nierealne”.

– Statek ma się dzielić na trzy człony, z których każda może działać samodzielnie. Zbudujemy go w częściach, każdą w innej ładowni lub w hangarze myśliwców. Całość połączymy poza statkiem, zatrzymując się najwyżej na kilka dni, na przykład przy jakiejś ciekawej planecie. Przy okazji zaopatrzymy się w surowce – wytłumaczył Willis.

Jakoś nikt już nie oponował. Admirał zarządził:

– Marek, Urko, weźcie ten projekt i opracujcie sposób realizacji z uwzględnieniem potrzeb materiałowych.

Po chwili jednak zastanowił się i rzekł:

– Wiem, że statek pochłania duże ilości trytu, a w projekcie jest stworzenie osłon z białej kuli, dlatego wyłączam z prac nad statkiem Willisa i Elianina Zytę, którzy będą pracować nad osłonami z czerwonej kuli. Większość myśliwców na czas budowy statku ma przenieść się na Przyjaciela i. No, a teraz do pracy! Chcę mieć ten statek.

Wszyscy wiedzieli, że zanim dojdzie do pierwszego lotu niezwykłego statku, upłynie dużo czasu. Nie istniały jeszcze osłony białej kuli, ani nawet czerwonej, która była tylko etapem do

osłon z białej. Laboratoria pracowały nad projektem nieprzerwanie. Największą przeszkodą były ograniczenia przestrzenne samego laboratorium, dlatego próby przeprowadzano w przestrzeni kosmicznej. By przetestować emiter, za każdym razem musiano je przemieszczać z laboratorium do hangarów. Mimo tych trudności skonstruowano emiter energii, który potrafił zatrzymać w jednym miejscu strumień czerwonego lasera, a na końcu jego promienia utworzył czerwony kulę.

Nie trwało to jednak dłużej niż minutę, a sama kula miała średnicę zaledwie dwóch metrów. Po upływie minuty po prostu zniknęła lub rozplynęła się w kosmosie. Nie udało się też wprowadzić kuli w ruch, by można było zamienić ją w jakąś broń. Dużymi kulami nie można było sterować, ale po doświadczeniach z mniejszymi uczeni doszli do wniosku, że musi być jakieś rozwiązanie, trzeba tylko czasu. Przeprowadzono setki prób, marnując przy tym ogromne ilości trytu, a gdy wszystko już zawiodło i nikt nie miał pomysłów, w doświadczeniach nastąpił przełom. Doszło do tego, gdy zaistniała potrzeba zaopatrzenia załogi w wodę, roślinność i minerały.

Niedaleko wykryto planetę, która obfitowała we wszystkie te składniki. Wokół dużego czerwonego karła, starej gwiazdy, która emitowała już niewiele światła, krążyła mała planeta. Jeszcze kilka milionów lat temu była martwa – palona gorącymi promieniami gwiazdy. Jednak pod koniec życia gwiazdy, która już nie paliła jej powierzchni, a ledwie ją ogrzewała, na jej powierzchni powoli zaczęło budzić się życie. Temperatura wynosiła tam teraz zaledwie osiem stopni Celsjusza, ale to wystarczało, by pojawiła się woda, a czapy biegunów świeciły białą śniegów. Na łąkach równikowych rozwinęła się roślinność. Atmosfera też sprzyjała rozwinięciu się życia. Szybko wysłano grupę naukowców, którzy mieli ocenić planetę pod względem przydatności do rozwoju życia organicznego. Zasadzono kilkadziesiąt nowych gatunków roślin, by pomóc naturze. Wprawdzie jej słońce gasło, ale ten proces potrwałby około czterech miliardów lat. Na planetę przywieziono jelonki, które rozmnożyły się w laboratorium i już zaczynały sprawiać kłopot. Roślinność nowo odkrytej planety bardzo im smakowała i nie miały tam naturalnych wrogów, zatem warunki do ich rozwoju były idealne. Podczas gdy biolodzy założyli cywilizację jelonków na planecie, admirał wydał pilotom rozkaz, by stosując nowe technologie, przeciwiczyli sposoby walki. Myśliwce zaczęły latać jeden za drugim wokół statku, planety i jej trzech małych księżyców.

W tym czasie w wydzielonym sektorze przestrzeni kosmicznej naukowcy pod wodzą Szczęściarza prowadzili eksperymenty z czerwonym kulą. W chwili gdy wytworzyła się kula, w odległości około stu metrów od Odkrywcy z hangaru z dużą prędkością wyleciał myśliwiec. Leciał prosto w wytworzoną kulę i pilot zginąłby na miejscu, rozbijając się lub co gorsza paląc żywcem, jednak w ostatniej chwili zauważył ją i miał czas, by nacisnąć spust czerwonego lasera. Promień na ułamek sekundy wyprzedził myśliwiec i kula po prostu zniknęła. O zdarzeniu natychmiast powiadomiono admirała, który zabronił przeprowadzania eksperymentów, kiedy piloci latają. Gdy w hangarze znowu składano emiter do transportu, jeden z pilotów meldował przez radio:

– Gratulacje dla waszych naukowców. Ja też chcę mieć taką broń na pokładzie. Kiedy możecie ją nam przekazać?

– Nieprędko – odparł Szczęściarz, myśląc o czerwonej kuli. Jednak coś go niepokoiło i podczas kolacji poszedł do messy pilotów.

– Kto nam dzisiaj gratulował? I dlaczego?

– Jak to dlaczego? Proszę nie żartować! – odpowiedział młody pilot. – Dlaczego chowacie przed nami tak wspaniałą broń, jak biała kula?

– Biała kula? Ależ my niczego takiego nie stworzyliśmy. To była czerwona kula i pilot myśliwca ją zestrzelił.

– Spójrz na to zdjęcie. Zrobiłem je dziś rano koło tego małego księżyca. – Wyciągnął z teczki kilka zdjęć jednego z krążących wokół planety księżyców.

Szczęściarz rzucił okiem na fotografie i powiedział:

– Co tu widzisz? Bo ja nic.

– Pokażę ci z bliska. – I wyciągnął zdjęcie księżyca z małą czarną plamką.

– Niby o czym ma świadczyć ta plamka? – zapytał Szczęściarz.

– Przecież to nie jest żadna plamka, tylko kosmos i gwiazdy.

Szczęściarz chwycił zdjęcie jeszcze raz i przyjrzał się dokładnie. Na zdjęciu zobaczył małą dziurę, przez którą świeciły dwie gwizdy. Pomyślał, że albo piloci chcą go nabrać i dlatego zrobili zdjęcie lustra odbijającego światło gwiazd, albo to dziura o średnicy dwóch metrów. Pobiegł do laboratorium, gdzie obliczył czas ćwiczeń i utworzenia czerwonej kuli, a także położenia trafionego księżyca. Wszystko zgadzało się idealnie. Czerwona kula nie zniknęła po strzale z lasera, tylko zmieniła się w białą i poleciała w kierunku strzału lasera, po drodze dziurawiąc księżyc na wylot. Szczęściarz myślał szybko. Natychmiast chciał przeprowadzić eksperyment jeszcze raz. Myśliwce wystartowały, emiter pola został ustawiony w odpowiedniej pozycji i księżyc znajdował się na wprost. Po kilkunastu próbach naukowiec poprosił o wezwanie admirała, by pokazać mu księżyc podziurawiony jak ser szwajcarski. Był to przełom w tworzeniu nowej, niezawodnej osłony i doskonałej broni o niewyobrażalnej sile niszczenia. Podczas kolejnych prób drugi przypadek sprawił, że osiągnięto inny efekt, niż zamierzano. Jeden z pilotów pomylił spusty i zamiast czerwonym laserem, strzelił żółtym. W efekcie czerwona kula powiększyła się dziesięciokrotnie i utrzymała dłużej. Gdy pilot zorientował się w swojej pomyłce, jeszcze raz strzelił żółtym laserem, a kula znowu powiększyła się – miała już średnicę stu metrów i dwie godziny później nadal stała.

Wtedy podziurawiony księżyc wysunął się i ustawił w linii prostej dla kuli i myśliwca. Pilot, niewiele myśląc, strzelił z czerwonego lasera i po chwili księżyc miał nową przestrzelinę, o średnicy stu metrów. Po dopracowaniu szczegółów nową broń dołączono do wyposażenia Odkrywcy i Przyjaciela i. Admirał zażyczył sobie jeszcze jednego eksperymentu z czerwoną kulą. Jeden ze zdalnie sterowanych myśliwców, posiadających pole siłowe eliańskiego typu, wystawiono na ostrzał czerwonej kuli. Ta próba też się powiodła. Trafiony białą kulą myśliwiec zniknął, przetrwało tylko kilka elementów, które nie znalazły się w polu rażenia kuli.

Po eksperymencie stwierdzono, że przed białą kulą nie ma ratunku i żadne pole nie wytrzyma takiego ostrzału.

Przeprowadzono jeszcze jedno doświadczenie. Strzelano do siebie białymi kulami, tak by mogły się zniszczyć nawzajem. W efekcie przez chwilę niczego nie było widać, potem jednak zaczęły się rysować kontury obu kul dotykających się czołem, które najpierw zrobiły się czerwone, a potem rozplynęły się w przestrzeni. Jednak dopiero kolejne, przeprowadzone przez Szczęściarza doświadczenie przyniosło efekty, na które wszyscy czekali.

Willis wsiadł do promu, wyleciał i wyemitował pole trytowe eliańskiego typu. Następnie od wewnątrz oddał strzał z lasera trytowego w swoje osłony. Do tej pory sprzężony z laserami komputer miejscowo włączał dezintegrator pola, by laser nie zniszczył własnego pola siłowego. Dezintegrator robił przejście dla promienia laserowego bez szkody dla pola. Dodatkowo Szczęściarz dostosował moc pola siłowego do mocy lasera, by zbyt silny promień nie zniszczył pola. Zatem kule trytowego pola miały taką samą energię jak promień lasera. Willis wszystko wymyślił sam i nikogo o tym nie poinformował. Wiedział, że admirał nigdy nie zgodzi się, by naukowiec ryzykował życie dla eksperymentu, który powinien być najpierw sprawdzony na pilotach automatycznych. Willis zdawał sobie sprawę, że w planowanym doświadczeniu występowało zbyt wiele zmiennych, a komputer nie umiał kreatywnie myśleć.

W przypadku niepowodzenia straciłby prom, a dowódca na pewno nie dałby mu drugiego. Dlatego też wolał sam dopilnować, by wszystko poszło zgodnie z planem. Strzelając laserem w swoje osłony od wewnątrz, zniknął z oczu obserwujących eksperyment ludzi i – co ważniejsze – także z radarów Odkrywcy, jakby przestał istnieć. Na mostku zapadło milczenie. Wszyscy wiedzieli, co się stało. Prom przestał istnieć, a ich kolega zginął. Tania zbladła jak ściana i nogi się pod nią ugięły. Parker podtrzymał ją i posadził na fotelu. Nagle, jeszcze stojąc w ciszy, usłyszeli spokojny głos Willisa:

– Co się dzieje? Widzicie mnie czy nie? Dlaczego milczycie? Ja tu ze środka nie widzę, czy eksperyment się powiódł. Dla mnie nic się nie zmieniło.

Dopiero na mostku wybuchła wrzawa:

– Nie widzimy cię! – krzyknął Parker.

– I na skanerach też cię nie widać – dodał Nielsen. – Tylko twój głos słyszymy.

– Wyłącz pole siłowe i pokaż, gdzie teraz jesteś.

Szczęściarz już chciał to zrobić, ale pomyślał chwilę i włączył silniki promu. Maszyna i jego osłona poruszały się razem. Prom przeleciał z lewej burty statku na prawą i dopiero wyłączył pole siłowe. Wszyscy znowu go zobaczyli i odetchnęli z ulgą, a na mostku zawrzało od pochwał na temat geniuszu Willisa. Później opracowano szczegółową dokumentację wszystkich doświadczeń i admirał rozkazał, by na Odkrywcy zamontowano emitery białej kuli.

W tej dziedzinie osiągnięto więcej, niż zakładano. Niestety rozwój techniczny oznaczał duże koszty. Najbardziej stopniały zapasy trytu, których na razie nie można było odnawiać. Admirał rozkazał, by wszystkie promy i myśliwce uzbroić w pola siłowe. Jednak zabronił marnowania trytu, zwłaszcza że budowa nowego statku wreszcie ruszyła z miejsca i

pochłaniała jego znaczne ilości. Zdecydowano, że w ramach oszczędności będą stosowane osłony magnetyczne i fotonowe kiliańskie, a białą kulę zastosuje się tylko w obliczu niebezpieczeństwa.

Odkrywca i Przyjaciel i gnali z możliwie największą prędkością przez kosmos, nadrabiając czas stracony na postój wokół planety, przy której dokonano największych odkryć w dziedzinie obronności i bezpieczeństwa. Życie na statkach wróciło do normy, tylko ekipy techniczne miały ręce pełne roboty przy budowie nowego statku.

Reszta załogi zajmowała się własnymi sprawami. Droga Odkrywcy biegła po trasie, po której wcześniej leciała czarna dziura i dlatego astrometria nie wykrywała żadnych obiektów kosmicznych.

Drugą przyczyną pustki kosmicznej był fakt, że lecieli po krawędzi galaktyki, gdzie gwiazdy były bardziej rozrzucone. Admirał starał się jak najszybciej opuścić tę strefę i lecieć w kierunku centrum galaktycznego – tam kosmos był gęściej usiany gwiazdami. Statki poruszały się z prędkością trzystu dwudziestu parseków, bo jedynie taką prędkość mógł osiągnąć Przyjaciel i bez skutków ubocznych. Admirał nie chciał rozdzielać statków. Jako że Odkrywca mógł osiągać większe prędkości, po jakimś czasie dowódca postanowił, że Przyjaciel i ma dotrzeć w odpowiednim czasie do wyznaczonej gwiazdy i tam się zatrzymać, a w tym czasie Odkrywca z całą załogą polecą i przeszuka kilka układów. Uznano, że pozwoli to zaoszczędzić dużo czasu. Gdy załoga zajmie się badaniem kolejnych układów, Przyjaciel i będzie miał czas, by dołączyć do Odkrywcy. Gdy wszystko przygotowano i zaprogramowano komputer Przyjaciela i, cała załoga zamustrowała się na Odkrywcy, który zaczął gwałtownie przyspieszać, gdy tylko pozbył się balastu w postaci wolniejszego statku. Szybko osiągnięto pięćset parseków, a niedługo potem tysiąc. Przy tej prędkości silniki fotonowe zaczęły się grzać, więc wyłączono je. Uruchomiono natomiast silniki impulsowe i statek znowu zaczął przyspieszać. Gdy osiągnął tysiąc pięćset parseków, admirał kazał przerwać przyspieszanie. Nie chciał później zbyt długo czekać na drugi statek, zwłaszcza że lecieli w nieznane rejony galaktyki i nie wiedzieli, co może ich tam spotkać. Po naprawie silników fotonowych dowódca znowu nakazał przyspieszyć. Gdy Odkrywca osiągnął prędkość trzech tysięcy parseków, admirał znowu kazał zwolnić, ponieważ Przyjaciel i musiałby lecieć dwanaście razy dłużej niż Odkrywca. Minęło osiem tygodni, od kiedy kolos zostawił w tyle wolniejszy statek i zmierzał do najjaśniejszej gwiazdy w okolicy, poruszając się już z prędkością czterech tysięcy osmiuset parseków. Admirał stale kazał przyspieszać, za każdym razem mówiąc, że już wystarczy. W końcu jednak wydał komendę do włączenia procedury powolnego wyhamowania statku.

Kiedy skan dalekiego zasięgu potwierdził, że przy dużej gwiazdzie oprócz gazowych olbrzymów nie ma ciekawych planet, skierowano statek na następną gwiazdę, potem na kolejną i jeszcze jedną. Dopiero przy czwartej z kolei natrafiono na planetę, która wielkością i odległością od swojej gwiazdy przypominała Ziemię. Dawała nadzieję na rozwój życia biologicznego. Gdy Odkrywca parkował na orbicie planety, wszyscy członkowie załogi patrzyli na jej błękitno-zieloną powierzchnię. Brak sztucznych satelitów oznaczał, iż nie ma

tam rozwiniętej cywilizacji. Wysłano sondę do atmosfery planety, mając nadzieję, że panujące na niej warunki pozwolą ją zasiedlić. Sonda podała skład atmosfery: tlen – dwadzieścia jeden procent, azot – siedemdziesiąt osiem i jeden procent innych gazów. Łądy stałe zajmowały czterdzieści dziewięć procent jej powierzchni, reszta to oceany. Łąd był gęsto porośnięty roślinnością, w większości składały się na niego równiny poprzecinane licznymi rzekami i znaczone ogromnymi jeziorami. Dostrzeżono zwierzęta lądowe i wodne oraz wiele gatunków ptaków. Najlepszą wiadomość sonda podała na samym końcu: „Brak jakichkolwiek oznak życia wyższych form”, co znaczyło, że rzeczywiście nie rozwinęła się tam żadna cywilizacja. Gdy admirał to usłyszał, powiedział:

– Wszyscy mają urlop. Niech promy rozwiozą ekipy badawcze w różne miejsca. Za kilka dni chcę wiedzieć, czy znaleźliśmy planetę dla Ziemi. Na Odkrywcę mają zostać tylko służby techniczne. Wysłać kod dla Przyjaciela i, by zmienił kierunek i leciał prosto tutaj. Niech wszyscy będą uzbrojeni w broń ogłuszającą. Nie wiadomo, jakie zwierzęta tu żyją.

Promy miały kłopoty z lądowaniem. Nie mogły znaleźć dogodnego miejsca. Dopiero na plaży dostrzeżono odpowiednio dużą przestrzeń. Ludzie wybiegali z promów bez skafandrów, wciągając w nozdrza świeże powietrze. Steward, jako dowódca promu, szybko przywołał wszystkich do porządku. Najpierw nakazał wybudować obóz, by zapewnić ludziom bezpieczne miejsce do odpoczynku po pracy. Wyposażona w miotacze grupa ludzi szybko wykarczowała spory kawał terenu. Jedyne buldożer z Odkrywcę zajął się wyrównywaniem terenu. Naprędce zbudowano coś na kształt chroniącej od deszczu wiaty. Większość ludzi nie chciała wracać na Odkrywcę i postanowiła spędzić noc na lądzie. Urządzono małe polowanie – zastrzelono kilka wyglądających jak duże kozy zwierząt i dzikich świń. Największe zwierzę, jakie upolowano, przypominało świnie o rozmiarach hipopotama. Zapadła ciemna noc – księżyc był dwa razy mniejszy od ziemskiego. Ludzie jednak cieszyli się z pierwszej nocy pod gołym niebem. I nikomu nie przeszkadzał brak wygod i miękkiego pośłania. Jedli świeże owoce i pieczeń z dzika, jak ją nazwali. Następnego dnia wylądował prom z admirałem, który na maszcie kazał powiesić flagę ONZ i powiedział:

– W imieniu Układu Trzech Cywilizacji biorę tę planetę jako dziedzictwo Ziemi i nazywam ją Nową Ziemią.

Byli przy tym Elianie i Kilianie, którzy wcześniej uzgodnili, że planeta przypadnie ludziom w ramach rekompensaty za zniszczenie starej Ziemi. Obcy złożyli też przyrzeczenie, że nigdy nie będą rościć sobie praw do tej planety i żadnej innej w tym układzie oraz iż w obliczu niebezpieczeństwa wspólnie staną do walki w jej obronie. Następnie wciągnięto na maszt flagę Układu Trzech Cywilizacji. Oznaczało to, że planeta stała się też siedzibą Układu.

Sama planeta była mniej górzysta niż stara Ziemia. Admirał rozkazał, by niektóre gatunki zwierząt i roślin przewieziono na Odkrywcę. Na planetę dostarczono też kilka par królików, kaczek i kurcząt, których tu nie było. Dowódca kazał wykarczować wielką polanę w odległości dziesięciu kilometrów od morza, gdzie zaplanowano zbudowanie osady. Ludzie chętnie wzięli się do pracy i szybko postawili kilkanaście solidnych drewnianych domków. Buldożer robił

drogę z osady nad brzeg morza, a inni karczowali las pod uprawy. W związku z tym, że na żywność z upraw trzeba było trochę poczekać, często organizowano polowania. Zorganizowano też wyprawę łodzią podwodną w celu zbadania fauny morskiej. Oceany okazały się równie łaskawe, jak lądy. Pełno było w nich ryb i innych zwierząt morskich. Po miesiącu pobytu i badań stwierdzono, że planeta idealnie nadaje się do zasiedlenia. Obfituje w bogactwa naturalne w postaci rud metali kolorowych i niemetali, takich jak siarka i węgiel, oraz w ropę naftową i gaz ziemny.

Gdy część załogi pracowała lub odpoczywała na planecie, na Odkrywcy przeprowadzano trudną operację montażu nowego statku. Kiedy wszystkie jego człony zostały zbudowane, a podzespoły przetestowane kilkanaście razy, postanowiono połączyć je w całość i przeprowadzić ostateczne próby sprawności. Cała akcja montażu trwała kilka minut. Podzespoły w poszczególnych członach pasowały idealnie. Na jednym z księżyców następnej planety w tym układzie wykonano testy ogniowe, niszcząc księżyc zupełnie. Statek potrzebował dziesięcioosobowej załogi na każdej zmianie, co oznaczało, że jej pełny stan to trzydzieści jeden osób. Nowy pojazd stał się trzecim statkiem w Układzie, najmniejszym, ale siłą ognia dorównującym pozostałym. Tym samym stał się on główną bronią zaczepną Układu.

Admirał chciał jeszcze wypróbować silniki, dlatego wysłał Urka do najbliższego układu na zwiad. Mężczyzna miał przetestować moc silników i wymyślić nazwę dla statku. Urko wykonał wszystkie polecenia poza jednym. Właśnie osiągnął tysiąc pięćset parseków i musiał już hamować, by nie minąć wyznaczonego układu. Nie było tam niczego ciekawego. Kilka nieprzyjaznych planet i martwych księżyców. Urko, widząc mały księżyc o średnicy stu pięćdziesięciu metrów, rozpędził się i uderzył w jego powierzchnię białą kulą swego pola siłowego. Z łatwością przebił księżyc na wylot, a statek nawet nie drgnął. Zadowolony ze swojego osiągnięcia poleciał w kierunku oddalonej o sto sześćdziesiąt milionów kilometrów gwiazdy. Prędkość, jaką osiągnął, była zawrotna dla statków tej klasy. Dwa tysiące sześćset parseków to marzenie każdego kapitana mniejszego krążownika eliańskiego. Po kilku dniach doleciał do układu, w którym wokół gwiazdy krążyło sześć planet. Pięć z nich nie sprawiało wrażenia interesujących, za to szóstą nosiła ślady cywilizacji, która na pewno nie mieszkała na planecie na stałe, ale mogła mieć na niej swoją bazę. Ślady wskazywały, że jakiś czas temu prowadzono tam eksploatację surowców. Dowodziły tego sztucznie utworzone hałdy ziemi i pozostawione wraki maszyn górniczych. Widać było, że gospodarowanie minerałami miało raczej charakter płądrowania niż planowej eksploatacji.

Urko zebrał dowody świadczące o ingerencji obcej cywilizacji i zamierzał powrócić na Nową Ziemię. Jednak postanowił przeprowadzić jeszcze jeden eksperyment. Ukrył się w białej kuli i leciał z maksymalną prędkością w kierunku Odkrywcy. Po przylocie na miejsce nie ujawniał swojej obecności, ale śledził płynące na Odkrywcę i wychodzące ze statku meldunki. Zorientował się, że nie został wykryty. To właśnie chciał sprawdzić – włączył podsłuch i słyszał wszystko, co mówiono w sali narad. Dowiedział się, że lada dzień spodziewają się przylotu Przyjaciela I i powrotu Urka, który powinien być już widoczny na skanerach dalekiego

zasięgu. Szczęściarz powiedział:

– To nie jest takie pewne. Gdy włączy białą kulę, podleci blisko nas i go nie wykryjemy.

Słyszac to, Urko wyłączył osłony i teleportował się wprost do sali narad. Pojawienie się pilota sprawiło wszystkich w zdumienie. Nie byli przyzwyczajeni do poruszania się za pomocą teleportera. Jakoś nikt nie polubił transportu tą drogą.

– Od kiedy tu jesteś? – usłyszał pytanie.

– Od godziny – odpowiedział. – A wy niczego nie zauważyliście?

– Nie, niczego nie wykryto.

– Aleś nam kawał wyciął. Trzeba coś z tym zrobić, bo wróg, mając taką technologię, dowie się wszystkiego, o czym rozmawiamy – powiedział admirał.

– Jak poszedł test statku? – zapytał zawsze ciekawy Szczęściarz.

– Jest wspaniały – szybki i groźny dla każdego wroga. Tu jest raport o wszystkich testach z wynikami kontrolnymi urządzeń.

– Dobrze, teraz powiedz, jak go nazwałś.

Urko całkiem o tym zapomniał, ale pomyślał chwilę i rzekł:

– Statek jest szybki, zwinny i groźny. Nazwę go tak, jak nazywa się pewien gatunek ptaków ziemskich posiadający takie cechy. Mówię o sokole. – Nazwa spodobała się wszystkim i tak zapisano statek w rejestrach Odkrywcy.

Następnego dnia z daleka zauważono zbliżającego się Przyjaciela i. Gdy wreszcie dotarł na orbitę planety, dokonano przeglądu wszystkich jego urządzeń. Postanowiono też zamontować dodatkowy silnik oparty na eliańskiej technologii.

13.

Nowy świat, nowy wróg

Admirał zwołał naradę, by przedyskutować sytuację, w jakiej się znaleźli. Z jednej strony nie chcieli pozbywać się załogi, a z drugiej musiał zostawić kilka rodzin na planecie, która stała się domem ich wszystkich. Chętnych było wielu, ale wybrano osoby z dziećmi lub lada chwila spodziewające się potomstwa. Łącznie wytypowano siedem par z trojgiem pociech. Wyposażono je w sprzęt łączności, broń i niezbędne zapasy. Zapewniono im dostawy energii elektrycznej, stawiając elektrownie wiatrowe i baterie słoneczne. Dodatkowo zostawiono im jeden myśliwiec i zapas trytowych pocisków. W jednym z domów zamontowano stację radarową dalekiego zasięgu oraz dużo sprzętu elektronicznego i budowlanego. Odkrywca jeszcze dwa tygodnie był na orbicie Nowej Ziemi, a kiedy zakończono montaż nowego drugiego silnika na Przyjacielu i, ruszono w kosmos. Aby nie dublować odkryć Urka, wybrano inny kierunek lotu. Statki szybko osiągnęły prędkość do siedmiuset pięćdziesięciu parseków. Leciały teraz nie po to, by znaleźć planetę do życia, lecz po to, by odszukać tych, którzy napadli

na błękitny glob. Jeżeli po drodze napotkają dobre miejsce, otrzymają je Kilianie. Uzgodniono to z synodem eliańskim.

Pozostawienie czternastu członków załogi na planecie nie było odczuwalne dla załogi Odkrywcy ponieważ zabrano kilkunastu Kilian i ich rodziny. Ziemianom też rodziło się potomstwo, więc liczebność załogi szybko rosła. Nową niespodzianką było to, że Szczęściarz z dumą oświadczył, iż spodziewa się potomka, i to płci żeńskiej. Wiadomość szybko rozniosła się po statku. Wkrótce wszyscy zaczęli składać gratulacje i życzenia.

Do najbliższej gwiazdy było dwanaście dni lotu. Nie spodziewali się żadnych niespodzianek podczas podróży. Po przylocie na miejsce okazało się, że układ tej gwiazdy nie nadaje się do niczego. Wszystkie planety tego układu to gazowe olbrzymy lub pozbawione atmosfery spalone lub zamrożone karzełki. Wybrano inny układ gwiazdny, oddalony o trzydzieści pięć lat świetlnych, ale i tam nie znaleziono niczego interesującego.

Dopiero w następnym układzie zlokalizowano planetę z wyraźnymi śladami eksploatacji minerałów i z dużym zanieczyszczeniem atmosfery. Powłoka ta jednak nawet przed jej skażeniem nie nadawała się dla ludzi, ponieważ zawierała spore ilości metanu i chloru wydobywającego się z gęsto usianych szczelin w skorupie globu. Ciśnienie i temperatura na planecie były jednak bardzo podobne do atmosfery ziemskiej i miejsce to nadawało się do prowadzenia robót eksploatacyjnych. Ślady podejmowania takich przedsięwzięć widać było wszędzie, ale niestety nic nie można było powiedzieć o cywilizacji, która zajmowała się eksploatacją tego globu. Zebrano kilka porzuconych części maszyn górniczych, ale tylko po to, by mieć je z czym porównać.

Wybrano następny układ gwiazdny, który, jak powiedział Szczęściarz: „może nas zaskoczyć”. Zupełnie jakby przewidział późniejsze wydarzenia.

Znowu intuicja nie zawiodła Willisa, co wzbudziło podziw u kiliańskich kolegów. Urko też zastanawiał się, skąd u Ziemianina tak błyskotliwy umysł, wyróżniający się zadziwiającą intuicją, rzadko spotykaną u innych członków załogi Odkrywcy. Statki były jeszcze daleko od wybranego celu, gdy przy jednej z planet wykryto satelity oraz duży statek transportowy nieznanego pochodzenia. Wszystkie statki ukryły się w białych kulach i podleciały blisko do planety, po czym zaparkowały na jej orbicie. Szybko zorientowano się po obserwacji transportowca, że należy do wysoko rozwiniętej cywilizacji. Na planecie nie było ani jednej żywej istoty. Cała praca była zautomatyzowana. Co jakiś czas z planety startował mały transportowiec i parkował w większym statku. Tam na pewno rozładowywano go i stateczek wracał po następną porcję rudy.

Surowcem, jaki wydobywano na owej planecie, był tryt. Admirał postanowił przejąć statek i ładunek, który teraz stał się bardzo potrzebnym minerałem. Rozkazał, by wszystkie statki naraz wystrzeliły i zniszczyły satelity oraz ośrodek łączności na statku. Uszkodzono też silnik transportowca, by ten pojazd nie mógł odlecieć. W ten sposób statek i jego zawartość stały się prawowitym łupem ziemskich załóg. Admirał pomyślał, że właściciele transportowca zajmowali się okradaniem planet z minerałów, a same automaty nie odróżniały planety zdanej

do zamieszkania od takiej, na której życie nigdy się nie rozwinię, więc można swobodnie brać z takich planet surowce. Gdyby taki zautomatyzowany transportowiec trafił na Nową, na pewno zniszczyłby jej powierzchnię, eksploatując surowce. Nie zwracałby uwagi na życie biologiczne.

Admirał postanowił zniszczyć wszystkie maszyny na powierzchni, odnaleźć ich właścicieli i zmusić do zaprzestania pozyskiwania surowców tą metodą lub do zmiany sposobu, w jaki automaty odróżniały planety zdadne do zasiedlenia dla ludzi. Wysłano prom w osłonach białej kuli. Przechodząc przez atmosferę, stał się widoczny dla automatycznych strażników z powierzchni planety. Natychmiast z globu wystartowało kilkanaście małych statków, które bez ostrzeżenia zaczęły ostrzelać promu raketami trytowymi. Załoga pojazdu szybko niszczyła zbliżające się rakiety czerwonymi laserami, a zautomatyzowane myśliwce ochrony podzieliły los raketek. Następnie prom poleciał na powierzchnię planety i zniszczył wszystkie maszyny i urządzenia potrzebne do eksploatacji minerałów. Po dwóch godzinach prom wrócił na Odkrywcę, a na powierzchni planety, skąd eksploatowano tryt, zauważono krótki błysk i promień podobny do laserowego przemknął obok statków w kosmos. Zaniepokoiło to admirała, który powiedział:

– Jeżeli to był tylko strzał z lasera, to wszystko w porządku, jeżeli jednak to jest to, o czym myślę, będziemy mieli kłopoty z właścicielami transportowca. A na to się zanoszą.

Kazał jeszcze zniszczyć urządzenie, które wysłało sygnał, i ponownie zbadać dokładnie planetę. Ze statku transportowego przeładowano tryt. Surowca było tak dużo, że z trudem zmieścili go na trzech statkach. Wypełniono nim wszystkie wolne przestrzenie na Odkrywcy, Przyjacielu i na Sokole. Po zbadaniu transportowca stwierdzono, że cywilizacja ta nie dorównuje eliańskiej, lecz jest bardziej rozpowszechniona. Świadczy o tym sposób pozyskiwania surowców. Poza tym musi ona czuć się bezpiecznie, skoro wysyła statki bezzałogowe do poszukiwań i eksploatacji planet. Glob ten jest bogaty w minerały. Admirał nakazał zostawić znaki rozpoznawcze, by było jasne, że planeta jest własnością Układu Trzech Cywilizacji. Zrobił to również po to, by zdenerwować byłych gospodarzy.

Cywilizacja ta potrafi wykorzystywać tryt, ponieważ zużywa ogromne ilości tego surowca. Dlatego wysyła automaty na jego poszukiwaniu. Czy jednak zna jego wszystkie właściwości, czy korzysta z technologii białej kuli? I czy odkryła metodę rozszczepiania trytu? Na te pytania admirał chciałby znać odpowiedź. Wkrótce się przekonamy i oby nasze obawy się nie sprawdziły.

W związku z przejściem tej planety przez Układ admirał kazał powiadomić Elię i Kilię o odkryciu bogatych złóż trytu. Zaproponował, żeby przyleciało tam kilkanaście statków. Planeta ta miała zostać bazą surowcową Układu. Po przylocie Elianie mogliby odwiedzić Nową – jak nazywali swój nowy glob Ziemiańskie. Tam będzie na nich czekała całkowita dokumentacja tworzenia pola siłowego białej kuli. Statki z Odkrywcą na czele poleciały szukać tych, którzy odebrali sygnał z planety. Admirał stwierdził, że lepiej ich szukać, niż czekać, aż tamci ich znajdą.

Według astrofizyków sygnał podąża w kierunku grupy gwiazd oddalonych o tysiąc pięćset lat świetlnych w głąb galaktyki. W związku z tym, że statki będą się poruszać tylko w osłonie białej kuli, postanowiono zabrać jak największe ilości tego minerału i wypełnić nim każdą wolną przestrzeń na statkach, promach, a nawet w kabinach myśliwców, w których też składano tryt, aby nie marnować przestrzeni na statku. Opróżniono cały transportowiec i admirał kazał go zniszczyć. Jednak musiał zmienić swój rozkaz, gdy dowiedział się, że sam pojazd jest w siedemdziesięciu ośmiu procentach wykonany z czystego trytu. Postanowił zostawić transportowiec na niskiej orbicie i zaminować go. Kody do min kazał przesłać na Nową. Ktokolwiek chciałby zająć statek, zainstalowana mina trytowa rozerwałaby go na strzępy. Tryt znaleziony w transportowcu bardzo się przydał, ponieważ budowa Sokoła oraz doświadczenia przy technologii białej kuli pochłonęły siedemdziesiąt procent jego zapasów. Poza tym tryt miał szerokie zastosowanie. Budowano z niego serię nowoczesnych myśliwców szturmowych, wyposażonych we wszystkie zdobycze techniki, z białą kulą włącznie. Teraz statki wypełnione tym surowcem, lecąc z prędkością tysiąca parseków, pokonywały dziennie dziewięć lat świetlnych. Z uwagi na to, że Odkrywca był szybszym statkiem od pozostałych, postanowili, że polecą naprzód i zaczeka na pozostałych przed pierwszą gwiazdą z konstelacji, do której zmierzał sygnał z trytowej planety. Sokół także nie zamierzał marudzić przy Przyjacielu i. Poleciał przodem. Steward, dowodzący najwolniejszym statkiem, nie był w zbyt dobrym humorze i dawał wszystkim to odczuć. Wprawdzie hamował się przed Kilianami, ale ludziom nie popuszczał ani na odrobinę. Wszystko to przez zbyt wolną podróż i opóźnienie w stosunku do pozostałych statków.

Kiedy już wszyscy mieli tego dość, jeden z mechaników zapytał Kiliana Daro, który był zastępcą dowódcy statku:

– Czego on od nas chce? Przecież nie wyjdę na zewnątrz i nie popchnę statku, by leciał szybciej.

– No to pomyśl i zrób coś, by statek leciał szybciej – usłyszał odpowiedź.

– To niemożliwe – odparł mechanik. – Jeśli choć trochę przyspieszymy, przegrzejemy silniki i będzie trzeba wymienić rdzenie chłodzące.

– A ile to by trwało? – zapytał Daro.

– Jeden dzień – odparł.

– A ile czasu zaoszczędzimy, jeśli polecimy prędej?

– Jakies czterdzieści dni.

– To o co ci chodzi? Idź do dowódcy i zamelduj o tym. Na pewno się zgodzi.

Mechanik zostawił wszystko i poleciał do Stewarda.

– Komandorze, mam pomysł, by przyspieszyć lot, ale będzie się to wiązało z koniecznością wymiany rdzenia w silniku.

Tamtemu od razu humor się poprawił:

– No, czekałem na takie wiadomości. Teraz mów, co chcesz zrobić.

Mechanik szybko wszystko mu wyjaśnił. Steward zgodził się, ale kazał zatrzymać statek do

wymiany rdzenia na dzień drogi przed celem, by po przylocie na miejsce był sprawny technicznie. Mogli bowiem trafić na konflikt zbrojny. Musieli być gotowi do walki.

Na wyznaczoną pozycję pierwszy, jak można było przewidzieć, przybył Odkrywca, który, nie chcąc marnować czasu, zostawił sondę komunikacyjną z wiadomością dla Sokoła. Wiedział, że ten statek przyleci przed Przyjacielem i. Nakazał Sokołowi badać wyznaczony sektor i co dziesięć dni wysyłać w kierunku sondy wiadomości, by nie dublować się w badanych układach gwiazdnych. Odkrywca zbadał kilka układów i nie znalazł niczego ciekawego. Latał więc od układu do układu, szukając planet klasy ziemskiej. Sądził, że tylko w takich miejscach mogło rozwinąć się życie. Natrafiono w końcu na planetę, która kilka lat temu została zaatakowana i ograbiona z minerałów. Różniła się od innych tym, że istniały na niej warunki do życia biologicznego. Wprawdzie były one ciężkie, ale żyjącym tam zwierzętom i humanoidom nic nie groziło. Na planecie napotkano populację humanoidów na niskim poziomie rozwoju cywilizacyjnego. Nie było ich dużo, raptem kilka do kilkunastu tysięcy osobników podzielonych na plemiona liczące od dwustu do trzystu osobników. Nie bez trudu porozumiano się z jedną z takich grup, a raczej z jej wodzem. Po pokonaniu trudności językowych i zdobyciu zaufania raczej podarunkami niż argumentami słownymi istota bardziej podobna do tysej małpy niż do człowieka opowiedziała historię swojego plemienia i wydarzeń, które pamięta, a przede wszystkim z relacji przodków. Starzec twierdził, że jakieś trzydzieści lat temu z nieba zeszyły duże rzeczy i spaliły chaty, pozabijały całe rodziny. Niewielu tubylców zostało ukrytych w jaskiniach, przeważnie były to niepotrafiące polować dzieci i kobiety. Inne rzeczy, które zeszyły nieba, niszczyły lasy i pola z uprawami i zabijały zwierzęta. Żli nie jedli ich, tylko zabijali i palili. Byli tu rok, a potem odeszli i już nie wrócili. Gdy tubylcy wyszli z jaskiń, niewielu ich ocalało. Ziemia była zniszczona i nie dawała plonów. Zwierzęta uciekły lub zostały zabite. Panował głód, wszechobecna była śmierć. Czas zaleczył ziemię i wydała plon. Z czasem zwierzęta też się pokazały. Ptaki zaczęły śpiewać, rodziły się dzieci. Życie powróciło na planetę. Wódz miał wtedy piętnaście lat. Już nigdy nie było mu tak dobrze jak z rodzicami.

Admirał kazał zostawić na planecie kilka par królików i trochę drobiu, bo zwierząt nadal było mało, a z czasem będą stanowić dodatek do diety mieszkańców. Umieszczono też nadajnik w jaskini. Nakazano wodzowi nacisnąć czerwony guzik, gdy tylko zło wróci. Admirał obiecał, że wówczas wrócą i przegonią napastnika.

– Jak nazywa się wasza planeta? – zapytał wodza.

Ten nie wiedział, czym jest planeta, ale odparł, że jego lud to Matta.

– Dobrze – rzekł admirał. – Niech ta planeta od tej pory nazywa się Matta, a zamieszkujący ją lud – Mattanie.

Układ bierze ten glob i żyjący na nim lud pod swoją opiekę. Zostawiono tutaj znaki rozpoznawcze Układu Trzech Cywilizacji na znak, że planeta jest już zajęta.

Admirał wywnioskował, że najeźdźcy zajmowali się pozyskiwaniem minerałów z planet. Jednak takie prace prowadzone na niezamieszkałych globach to jedno, a niszczenie środowiska, w którym rozwija się cywilizacja, choćby taka jak mattańska – zupełnie co innego.

– Winni tej zbrodni powinni zostać ukarani. Dopilnuję tego – oświadczył.

Odkrywca zbadał jeszcze kilka planet w innych układach gwiazdnych i ponownie natknął się na ograbiony z surowców glob, na którym najwidoczniej celowo zniszczono środowisko naturalne. Gdy statek dolatywał do następnej gwiazdy, Tania, która pełniła dyżur przy radarach, powiadomiła admirała, że umilkła sonda pozostawiona dla Przyjaciela I i Sokoła. Wezwał dowództwo na naradę, ponieważ była ona jedynym drogowskazem dla pozostałych statków. Tania stwierdziła, że sonda na pewno została celowo zniszczona, ponieważ była wyposażona w systemy naprawcze. Poza tym gdyby została uszkodzona, wysłałaby sygnał ostrzegawczy. Admirał nakazał powrót w miejsce, gdzie ukryto sondę. Tak też zrobiono. Nie miejscu nie było śladu, znajdowało się tam natomiast dwanaście krążowników nieznanego pochodzenia oraz kilka mniejszych statków, badających najbliższy układ gwiazdny Wykryto też obecność Przyjaciela I i Sokoła. Statki te w polu siłowym były niewidoczne dla obcych. Uzgodniono, że Odkrywca będzie zauważalny z daleka. Pozostałe statki mają obserwować obcych i interweniować według swojego uznania.

Gdy Odkrywca oddalił się na dość dużą odległość, zawrócił w kierunku obcych i zaczął powoli lecieć, wychodząc z pola siłowego. Szybko został wykryty, gdyż stateczki nagle zawróciły i zaczęły parkować na krążownikach. Po godzinie dwanaście krążowników w szyku ruszyło w kierunku Odkrywcy, a za nimi jak dwa cienie poruszały się statki ziemskie, niewidoczne dla przeciwnika. Gdy odległość wynosiła dwadzieścia kilometrów, statki zatrzymały się. Odkrywca również stanął w miejscu i czekał na reakcję obcych. Po chwili z krążowników wystartowały setki myśliwców i w szyku bojowym zmierzały w kierunku Odkrywcy. Admirał kazał swoim szturmowcom i promom wystartować, ale nie pozwolił włączać pola siłowego, lecz jedynie trytowe osłony eliańskie. Statki miały nie podejmować walki, tylko czekać na rozkaz. Duże, niezbyt zwrotne maszyny trójkami rzuciły się na Odkrywcę i nieruchome pojazdy. Ich bronią były przede wszystkim lasery i trytowa broń maszynowa, która nie stanowiła zagrożenia dla potężnie osłoniętych ziemskich załóg. Tarcze wytrzymały ostrzał, a ich pola siłowe nie słabły. Po kilku minutach do ataku ruszyły dwa krążowniki obcych, które swym potężnym laserem trafiły w pole siłowe Odkrywcy. Osłony wytrzymały jeden strzał i następny. Rozzłościło to dowódcę krążownika obcych, który kazał wypalić z wielkiego lasera w jeden z myśliwców ziemskich. Strzał natychmiast zniszczył pole siłowe pojazdu, a samą maszynę odrzuciło bezwładnie daleko w kosmos. Pilotowi nic się nie stało, a myśliwiec nie ucierpiał. Musiał tylko z daleka wracać do Odkrywcy. Admirał, widząc to, rozkazał atakować.

Myśliwce obcych po pierwszym ataku przestały strzelać. Ich piloci uznali, że przeciwnik jest zbyt mocny. Latały trójkami wokół Odkrywcy i myśliwców ziemskich. Sporadycznie próbowały strzelać, ale bez skutku. Gdy do ataku ruszyły ziemskie myśliwce, od pierwszych strzałów strącono kilkanaście jednostek wroga. Walka zaczęła się na nowo. Teraz jednak to ziemskie statki zaczęły uganiać się za myśliwcami obcych i niszczyć słabiej opancerzone maszyny. Dwa wysunięte krążowniki próbowały zestrzelić jeden z małych statków wroga

swoimi dużymi laserami, ale myśliwce zbyt szybko latały i nie dawały się namierzyć. Wróg skoncentrował więc ogień na stojącym bez ruchu Odkrywcy. Pojazd przyjął kilka strzałów z wielkich laserów. Osłony zaczęły słabnąć i zmieniać barwę na czerwoną. Wtedy admirał wydał rozkaz zniszczenia krążownika czerwonym laserem. Ustawiono działo laserowe w taki sposób, by promień przeszedł przez środek statku wzdłuż jego kadłuba. Czerwony laser przebił cały statek na wylot i krążownik natychmiast eksplodował. Drugi chwilę później podzielił los pierwszego. Po tych eksplozjach pozostałe krążowniki ruszyły do walki, ostrzeliwując Odkrywcę. Dwa ukryte ziemskie statki tylko na to czekały. Zmieniły swoje pola siłowe na eliańskiego typu i zaatakowały zgrupowanie krążowników od tyłu, niszcząc bez ostrzeżenia dwa pozostające w tyle statki. Wywołało to spore zamieszanie w szeregach wroga, który nie spodziewał się ataku z tamtej strony. Sokół wleciał w środek grupy statków i zaczął ostrzeliwać sześć krążowników naraz, które jeden po drugim poczęły eksplodować. Przyjaciel 1 zniszczył następnego. Gdy Sokół dorzynał swoją szóstkę, ostatni z krążowników naprędce zbierał myśliwce, a widząc klęskę rodaków, włączył główny silnik i zniknął z pola bitwy. Zostawił kilkanaście myśliwców, które zaczęły gonić krążownik, aby je pozbił. Dwa z nich zostały przechwycone promieniem trakcyjnym i przetransportowane na Odkrywcę. Gdy okazało się, że na polu bitwy oprócz wraków krążowników i myśliwców nie było nikogo żywego, ziemskie statki ponownie uruchomiły pole siłowe i stały się niewidoczne. Admirał wezwał dowódców na naradę, ale przedtem polecił, by Urko, ukryty w polu siłowym białej kuli, poleciał za uciekającym krążownikiem. Ten z radością to uczynił, ale nie był zadowolony z rozkazu, by nie niszczyć ostatniego krążownika, a jedynie śledzić jego kurs i rozpoznać siły wroga, jeżeli w pobliżu takie się znajdują. W razie kłopotów miał nie podejmować walki, tylko szybko wrócić i ostrzec pozostałych.

Admirał chciał lepiej poznać tę rasę, dlatego kazał Parkerowi zaraz przesłuchać jeńców. Samemu Parkerowi pojmani wydali się dziwnie znajomi. Byli bardzo podobni do Mattan, tylko bardziej cywilizowani, lepiej odżywieni, czystszy, porządnie ubrani i mniej zarośnięci. Najpierw nie chcieli nic mówić, potem jednak ciekawość wzięła górę nad strachem i ostrożnością, zwłaszcza że Parker nabrał pewności, że oni i Mattanie muszą pochodzić z tej samej rasy. Od razu zapytał o to w ich prymitywnym języku. Byli zaskoczeni. Zaczęli zadawać pytania: „Skąd jesteście?“, „Kim jesteście?“. Parker odparł:

– To nie wasza sprawa. Zaatakowaliście nas, zniszczyliście naszą sondę komunikacyjną.

– To nasze terytorium.

– Już nie wasze, tylko nasze – odpowiedział. – Jesteście najeźdźcami – odparł pilot myśliwca. – To wy trzydzieści lat temu napadliście na Mattan i zniszczyliście ich planetę. Na dodatek większość z nich wymordowaliście. Nie darowaliście nawet zwierzętom. Niszczenie w ten sposób tworzącej się cywilizacji jest zbrodnią.

– Po pierwsze, to nie są żadni Matanie, tylko Talianie. Więźniowie, którzy ponad trzysta lat temu zostali przewiezieni na tę planetę za zbrodnie. Trzydzieści lat temu natknęliśmy się ponownie na tę planetę. Okazało się, że Talianie rozmnożyli się i próbowali zakładać miasta.

Myśleliśmy że od dawna nie żyją.

– Tak więc po prawie trzystu latach przypadkiem natrafiliście na potomków więźniów i postanowiliście ich wymordować?

– Oni dawno powinni wyginąć na tej martwej planecie, jednak rok po zostawieniu więźniów rozbił się tam statek badawczy. Na pokładzie znajdował się materiał genetyczny, który miał wzbogacić życie na Talii.

– Więc to wy zniszczyliście celowo ten świat?

– Tak – odpowiedział jeniec.

– W takim razie wiedz, że tamten świat jest pod naszą ochroną. Zajmujemy go. Nie pozwolimy zniszczyć planety.

– A kto ochroni was przed nami? Zniszczyliście dwanaście krążowników, a mamy ich tysiące. I co wtedy zrobicie?

– Zniszczymy je. Waszą planetę też.

Obcy chwilę myślał. W końcu powiedział:

– Nie dacie rady, macie tylko trzy statki, i to nieduże.

– Uwierz mi, nadlecą inne, wielkie i potężnie uzbrojone, tak jak te trzy małe, które bez strat własnych zniszczyły waszą eskadrę krążowników. Już ich powiadomiliśmy. Elianie i Kilianie, przedstawiciele tych ras, są tu z nami. Jednak nawet bez ich pomocy damy sobie radę z całą waszą flotą. Prymitywne krążowniki, których używacie, nie stanowią zagrożenia dla naszych statków.

– To kim wy jesteście? – zapytał jeniec ze strachem w oczach.

– My jesteśmy Ziemianami, a z cywilizacją eliańską i kiliańską tworzymy Układ Trzech Cywilizacji. Dysponujemy tysiącami krążowników. Szukamy rasy podobnej do waszej, by ją zniszczyć, a przy okazji uczymy innych pokory.

Po wymianie jeszcze kilku zdań Parker zakończył przesłuchanie i przesłał admirałowi raport.

Tymczasem Sokół podążał za obcym krążownikiem z prędkością dwustu dwudziestu parseków. Dopiero po trzech dniach statek obcych zwolnił. Leciał w kierunku małej planety orbitującej wokół gwiazdy o wielkości zbliżonej do Słońca. Sokół, nadal ukryty w białej kuli, bez zwracania na siebie uwagi podleciał w pobliże globu, na którym, ku zdziwieniu Urka, nie było dużego ruchu. Natomiast na orbicie stacjonowało ponad sto krążowników. Co jakiś czas przylatywał następny, a czasami po kilka naraz. Od planety zaczęły również odrywać się dziesiątki mniejszych statków. „To na pewno ich baza kosmiczna” – pomyślał Urko. Małe maszyny cały czas krążyły wokół większych, a potem na powrót leciały w kierunku planety. Wiele statków wykonanych było z trytu. W promieniach gwiazdy lśniły jak małe słońca.

Sokół trzy dni stał w pobliżu formującej się armady krążowników gotujących się do jakiejś wielkiej bitwy. Było ich ponad czterysta i ciągle nadlatywały nowe. Z ruchu statków, które zaczęły ustawiać się w szyku, Urko wywnioskował, że będą szykowały się do drogi. Widząc, że pojazdy transportowe przestały kursować i ruch się zmniejszył, postanowił pomieszać im

trochę szyki. Pomiedzy statkami floty poruszały się tylko myśliwce i właśnie do takiej maszyny Urko teleportował minę trytowa i natychmiast odleciał z maksymalną prędkością. Był ciekaw miny pilota, który nagle w swojej kabynie dojrzał trytową kulę o wadze pięćdziesięciu kilogramów. Nie wiadomo, czy technologia teleportacji była znana tej rasie, ale nawet jeśli, to myśliwce na pewno nie miały tych urządzeń na swoich pokładach. Urko oddalił się dwa lata świetlne i odleciał za gwiazdę, by ta swoim cieniem osłoniła statek przed falą uderzeniową. Eksplozja była widoczna z daleka. Myśliwiec stał się bombą eksplodującą w środku eskadry i zmiotł ją, rozrywając w sekundzie wszystkie statki stojące po tej stronie globu. Samej planecie, czyli bazie kosmicznej, też się oberwało, ponieważ część maszyn została siłą fali uderzeniowej ciśnięta na powierzchnię i tam eksplodowała. Ocalały statki stojące za globem, która ocaliła je od zniszczenia. Część maszyn została tylko częściowo uszkodzona, ale nie była zdolna do walki. Urko szybko oszacował, że brakuje czterdziestu trzech krążowników, ale ze względu na to, że w przestrzeni latało wiele szczątków, trudno było dokładnie policzyć. Wiele statków poruszało się bezwładnie i nie wiadomo było, czy taka maszyna nadaje się do walki, czy na złom, czy można zaliczyć ją do uszkodzonych, czy zniszczonych pojazdów. Pozostałe statki oddaliły się od siebie i od planety, by w razie eksplozji uniknąć uszkodzeń od eksplodującego krążownika. Kapitanowie statków po skontrolowaniu ich stanu technicznego znowu zaczęli łączyć je w eskadry liczące po dwanaście sztuk. Nie wiedzieli, kto i dlaczego ich zaatakował, postanowili więc zwiększyć odstępny pomiedzy eskadrami. Jedna z takich dwunastek ruszyła z miejsca i skierowała się za swoją gwiazdę. Po chwili nie była widoczna dla pozostałych statków floty. Sokół nadleciał z drugiej strony gwiazdy i nie wychodząc z ukrycia, niszczył jedną maszynę po drugiej. Zanim przeciwnik domyślił się, że eskadra została zaatakowana przez inny obcy pojazd, połowa eskadry już nie istniała. Widział tylko, jak czerwony promień trafia w krążownik, a statek zamienia się w kulę ognia. Po kilku następnych strzałach pozostałe dwa krążowniki zaczęły manewr zawracania. Było jednak za późno i obydwa chwilę później przestały istnieć.

Gdy ostatni z dwunastu krążowników eksplodował, zza tarczy gwiazdy zaczęła wyłaniać się następna dwunastka. Urko dojrzał ją w ostatniej chwili i nie był pewny, czy tamci znali przyczynę zniszczenia poprzedników i to przesądziło o ich losie. Gdy eskadra dotarła do miejsca, gdzie krążyły wraki krążowników, była nadal w szyku blisko siebie. Urko ustawił Sokół w taki sposób, by mieć gwiazdę przed sobą, a eskadrę pomiedzy nim a gwiazdą. Wyszedł z białej kuli i odpalił torpedę w kierunku dwunastki. Potem szybko ukrył się w polu siłowym białej kuli i zaczął się oddalać za tarczę gwiazdy, która miała go osłonić przed falą uderzeniową. Bez problemu wleciał pomiedzy stojące po drugiej stronie gwiazdy krążowniki obcych. Manewr wystrzelenia torpedy dostrzegł jeden z krążowników i powiadomił o tym pozostałe statki. Jeden z nich, zagrożony bezpośrednim trafieniem, odsunął się na bok, aby zrobić drogę torpedzie, która ostatecznie trafi w gwiazdę i tam spłonie. Urko zrozumiał, że ta rasa nie odkryła technologii rozszczepiania trytu. Gdyby ją znała, zwiewaliby, gdzie pieprz rośnie. Wróg nie przejmował się jedną torpedą, tylko skanował przestrzeń, szukając statku,

który ją wystrzelił.

Pocisk eksplodował trzysta metrów przed statkami. Moc fali uderzeniowej była tak duża, że zepchnęła eskadrę w stronę gwiazdy. Statki straciły sterowność, a gdy ich załogi powróciły na swoje stanowiska, z których zostały powyrzucane siłą eksplozji, nie mogły zapanować nad bezwładnymi i uszkodzonymi krążownikami. Z większych maszyn wyleciały myśliwce, jednak było już za późno. Statki dostały się w pole grawitacyjne gwiazdy, która przyciągała do siebie wszystko, co tylko znalazło się w zasięgu jej studni grawitacyjnej. Załoga obserwowała, jak małe myśliwce paliły się w koronie gwiazdy. Wszyscy oni wiedzieli, co ich czeka. Nawet nie mogli powiadomić innych o swoim losie. Po chwili jeden z krążowników eksplodował, potem następny i następny. Statki paliły się jak ćmy, które znalazły się za blisko świecy. Załogi zginęły i nawet nie wiedziały, kto i dlaczego ich zabił.

Sokół musiał już wracać. Urko nakazał powrót, mimo że załoga mogła i chciała zadać wrogowi jeszcze większe straty przed główną bitwą. Nie wiedział, czy Odkrywca nie natknie się na którąś ze ściąganych tu pospiesznie eskadr lub też całe zgrupowanie. Urko dobrze domyślił się, że cywilizacja ta może dysponować tysiącami krążowników, skoro w ciągu kilku dni zgromadziła ich około pięciuset. Dzięki niespodziewanemu atakowi zyskał chyba na czasie. Przeciwnik zastanawiał się, gdzie podziały się jego dwie eskadry, ale błysk eksplozji za gwiazdą dał im do myślenia. Wystarczy, że któryś ze statków okrąży gwiazdę i załoga dostrzeże wraki pierwszej eskadry, chociaż i one za kilka dni zbliżą się do korony tego obiektu i zostaną przez niego pochłonięte.

Gdy Sokół był jeszcze na misji, admirał przygotował zasadzkę na wroga. We wrakach krążowników i myśliwców ukryto miny trytowe, które miały być odpalane za pomocą sygnału radiowego. Tak przygotowane pułapki czyhały na ofiary. Odkrywca i Przyjaciel i czekały w polach siłowych białej kuli za tarczą planety na powrót Sokoła. Dla obcych zostawiono sondę komunikacyjną o przejęciu przez Układ Trzech Cywilizacji sektora ich terytorium. Określono je jako trzysta lat świetlnych wokół Nowej i dodatkowo pięćdziesiąt lat świetlnych przestrzeni niczyjej. Z tych terenów miały być wycofane wszystkie statki kosmiczne i bazy militarne, a także osady należące do Talian. Admirał nie musiał powiadamiać wroga o swoich zamiarach, ale chciał wyprowadzić go z równowagi.

Wiedział, że gniew i duma to źli doradcy. Dwa dni później przyleciał Sokół i dołączył do ukrytych statków.

Urko zdał raport o zniszczeniu na pewno sześćdziesięciu siedmiu krążowników i wielu mniejszych statków. Wróg nawet nie wiedział, przez kogo został zaatakowany. Z tego kapitan Sokoła był najbardziej dumny. Mimo poważnych zniszczeń dokonanych w obozie przeciwnika admirał postanowił wysłać Urko jeszcze raz w tamten rejon, aby zniszczył bazę kosmiczną. W drodze powrotnej miał zestrzelić każdy statek wroga, jednak w taki sposób, by sam nie został wykryty. Po powrocie miał się nie ujawniać, dopóki nie otrzyma sygnału. Sokół zawrócił i pod osłoną pola siłowego poleciał z pełną prędkością w kierunku bazy kosmicznej wroga. W połowie drogi wykrył lecące w szyku statki wroga. Nie chciał używać laserów, ponieważ

szybko zostałyby wykryty. Rozgrzał pole siłowe białej kuli i przeleciał przez środek eskadr, niszcząc każdy statek, który napotkał.

Talianie, widząc eksplozje krążowników, momentalnie złamali szyki, by nie uszkodzić od nich mniejszych pojazdów. Flota zatrzymała się. Zbadano wrak uszkodzonego krążownika. Była w nim wielka dziura, przez całą długość statku aż do silnika. Maszyna nie eksplodowała, ponieważ Sokół, przelatując przez nią, swoim polem siłowym spalił paliwo i reaktor fotonowy, więc nie miało co wybuchnąć. Inne statki nie miały tyle szczęścia. Trafione mimosrodowo, eksplodowały natychmiast. Talianie domyślili się, że to, co stało się z ich pojazdami, nie było dziełem natury, lecz wynikiem działania technologii dużo bardziej zaawansowanej niż ich własna. Strata dwóch eskadr krążowników koło bazy kosmicznej to pewno też robota wroga. Z wyglądu szczątków, które udało im się zebrać po drugiej stronie gwiazdy, wywnioskowali, że druga eskadra musiała zostać w jakiś sposób zepchnięta w studnię grawitacyjną słońca i tam spłonęła. Wskazywały na to badania promieniowania słonecznego, które jak nigdy wskazywały na obecność jonów trytu, niewystępujących w gwiazdach. Zastanawiano się, jaką bronią dysponuje przeciwnik, skoro zmusił całą eskadrę potężnych krążowników do samobójczego lotu w koronę słońca. Drugim ważnym powodem, dla którego zatrzymano flotę, był atak na statki w locie. Stwierdzili, że maszyna zmierza w kierunku ich bazy, gdzie zbiera się druga część posiłków. Natychmiast wysłano wiadomość. Dodatkowo wyekspediowano krążownik, by gnał, ile silniki pozwolą, i przekonał wszystkich o poważnym zagrożeniu nawet siłą, jeśli nie będzie można inaczej. Z obliczeń wynikało, że obiekt niszczący ich statki leciał wolniej niż zwykły krążownik. Istniała zatem szansa, że ten ostatni przybędzie do bazy wcześniej. Wiadomość wysłana do bazy była krótka i zwięzła:

„Leci do was nieznaną obiekt o nieznanym pochodzeniu, mający ogromną siłę niszczenia. Jesteście celem ich ataku. Proponujemy natychmiast ewakuować bazę. Zgromadzone statki niech się rozstawią na dużej przestrzeni”.

Kilka godzin później odebrali sygnał od floty Wiadomość zdziwiła ich. Dlaczego mają się ewakuować, a nie walczyć? Mają tu ponad sto krążowników i silnie uzbrojoną bazę kosmiczną. Zastanawiano się, co może zniszczyć taką siłę. Przecież nie zlikwidowano sił ekspedycyjnych – gdyby się tak stało, otrzymaliby wiadomość. Postanowili walczyć, a nie uciekać. Od dawna nikt nie zmuszał ich do ewakuacji. Zawsze to oni atakowali i nigdy nie musieli przechodzić do obrony. Znaczenie miał też fakt, że meldunek nie wspominał o wrogu. Czy to statek, a może coś innego? Określenie „siła niszczenia” nic im nie mówiło. Na podstawie takiego meldunku ewakuacja bazy nie była możliwa i traktowano ją jako pomyłkę. Innego zdania był jeden z dowódców eskadry, który znał oficerów będących we flocie ekspedycyjnej i wierzył, że nie bez powodu wysłali taki meldunek. Wiedział, że nie byli tchórzami, ale ostatnia eksplozja, niszcząca dziesiątki krążowników, dała mu do myślenia Postanowił, że za zgodą dowództwa oddali się na rok świetlny od bazy w celu zaatakowania wroga z drugiej strony, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Sztab zgodził się na taki manewr, ale nie brał pod uwagę możliwości zainicjowania walki.

Ufano w siły bazy, która powiększała je z godziny na godzinę poprzez przybywające stale statki. Nie chciano jednak odmawiać staremu dowódcy, który cieszył się dobrą opinią wśród wysokich oficerów floty. Oprócz tej dwunastki wysłano jeszcze drugą, mającą w razie potrzeby przyjść z odsieczą. Statki przybywały, powiadomione o koncentracji sił. Miały daleką drogę do przebycia. Strata dwóch eskadr nie stanowiła żadnego problemu. Dowódca eskadry odwodowej po kryjomu zabrał z bazy kosmicznej swoją rodzinę i rodziny swoich oficerów oraz żołnierzy, a także bez ich wiedzy rodziny przyjaciół, po czym rozkazał zawieźć ich wszystkich na Talię.

Na drugi dzień przybył krążownik, którego flota przysłała z ostrzeżeniem do bazy. Gdy dowódca statku zreferował wydarzenia, jakie przyczyniły się do zatrzymania floty i w błyskawicznym tempie zniszczenia prawie trzydziestu krążowników, wielu chciało natychmiast opuścić bazę. Ledwo udało się opanować panikę. Głównodowodzący przekonał pozostałych, że skoro wiedzą o przeciwniku, mogą przygotować się do walki.

O przybyciu statku z wiadomościami nie powiadomiono dwudziestu czterech krążowników będących w odwodzie. Uznano, że jeżeli sto czterdzieści statków i baza kosmiczne nie wystarczą, te też niewiele pomogą. Z analizy raportów wynikało, że wroga nie widział nikt. To, co zniszczyło statki, mogło być jakąś anomalią kosmiczną. Obliczenia kursu podanego przez flotę wskazywały, że baza zostanie ominięta. Taka opinia głównodowodzącego zaważyła na losie całego zgrupowania.

Przez dwa dni nic się nie wydarzyło.

Dopiero trzeciego, gdy wszyscy myśleli, że już się nic nie przytrafi, odebrano sygnał nadawany z sondy kosmicznej oddalonej o dziesięć minut lotu z maksymalną prędkością.

Tymczasem Urko przebywał od kilku godzin wokół bazy i z ukrycia badał jej możliwości obronne, a także założenia strategiczne Talian. Zdawał sobie sprawę, że przeciwnik wie o jego ataku. Zauważył mijający go statek wroga. Mógł go dogonić i zniszczyć, ale nie chciał tego robić. Wolał powalczyć z przygotowanym wrogiem czującym strach.

Urko był żołnierzem niemal od urodzenia. Dał szansę wrogom na obronę lub ucieczkę. Zostawił niedaleko sondę, by zmylić przeciwnika, a sam poznał jego siłę i liczebność floty. Czekał na jego reakcję. Może będzie chciał się porozumieć? Urko rozdzielił Sokoła na trzy części, by zwiększyć operatywność statku. Każdy z członów otrzymał zadanie. Urko wskazał cel ataku. Uruchomiona zdalnie sonda nadawała przez cały czas wiadomość w języku taliańskim:

„Talianie, do was wszystkich i do każdego z osobna kieruję ten przekaz. W związku z tym, że nie szanujecie życia słabiej rozwiniętych cywilizacji i niszcycie planety zdolne rozwinąć życie biologiczne, postanowiliśmy ukarać was za te zbrodnie przeciwko naturze, a także przeciwko swoim krajanom, których tysiącami mordowaliście bez zdania racji. Możecie jednak uchronić swoje życie, jeśli oddalicie się z pola walki. Za godzinę nastąpi atak. Kto tu pozostanie, na pewno zginie”.

Wiadomość ta była nadawana przez sondę bez przerwy. Eskadra przelatująca w jej pobliżu

nie wykryła żadnych innych obiektów, więc przechwyciła ją, aby poznać technologię agresorów. Przeprowadzono pobieżne badania. Okazało się, że właściciel sondy nie jest zbyt rozwinięty technologicznie. Urko celowo kazał tak spreparować jej budowę, by przeciwnik uważał ją za prymitywne urządzenie.

Po czterdziestu pięciu minutach Talianie nadali w kosmos odpowiedź na ultimatum z sondy:

„Jesteście szaleńcami, że przylatujecie z peryferii kosmosu i myślicie, że możecie dyktować komuś, jak ma żyć. Nie zdajecie sobie sprawy, na kogo podnieśliście rękę. To, co robimy ze swoimi zbrodniarzami i planetami, to nasza sprawa. Nie pozwolimy nikomu się wtrącać. O poddaniu nie może być mowy. Na znak, że dalszych rozmów nie będzie, zniszczono sondę komunikacyjną”.

Urko po odebraniu tej wiadomości odczekał godzinę, jak obiecał, a gdy upłynęła, wydał rozkaz, by samodzielne człony Sokoła przystąpiły do ataku.

Rozgrzane białe kule pól siłowych rozpędzonych elementów maszyny dziurawiły jeden krążownik po drugim z trzech stron naraz. Wiele statków eksplodowało natychmiast, a jeśli jakieś nie wybuchły, to z dziurami o średnicy dwudziestu pięciu metrów traciły atmosferę. Załogi tych statków wylatywały w próżnię i ginęły na miejscu. Talianie umierali tysiącami, nie zdając sobie sprawy, że nie mieli najmniejszych szans z niemal niewidzialnym i bardzo szybkim przeciwnikiem. Widzieli tylko czerwone błyski laserów, które celnie trafiały w silniki, unieruchamiając lub niszcząc duże krążowniki. Gdy do pola bitwy zbliżała się eskadra dwunastu krążowników, które zestrzeliły sondę, widziała, jak z wielkiej floty pozostawały setki wraków i ani jednego sprawnego statku. Chwilę później i te maszyny przestawały istnieć. Gdy planeta-baza została pozbawiona osłony, strzelała ślepo w kosmos. Była niemal bezbronna. Wówczas Urko kazał wszystkim członom Sokoła zbliżyć się i połączyć. Na moment zespolenia wszystkie elementy musiały opuścić osłony pól siłowych. Wtedy Talianie przekonali się, jak mały stateczek zniszczył ich flotę. Wielkie działa laserowe z planety próbowały ostrzelać Sokoła, ale nie potrafiły wycelować. Jedyne promień lasera odbił się od lustrzanej powierzchni kadłuba maszyny. Urko ukrył ponownie statek w polu siłowym białej kuli i wleciał w atmosferę planety. Przez pewien czas był widoczny, ale gdy tylko obniżył lot, znikł z pola widzenia. Obleciał glob kilka razy i do kilkudziesięciu czynnych wulkanów wstrzelił torpedy trytowe dużej mocy, nastawione na jeden czas eksplozji. Gdy zakończył minowanie, szybko wyleciał z atmosfery i oddalił się od planety na bezpieczną odległość. O wyznaczonej godzinie globem targnęły potężne wybuchy torped zatopionych głęboko w lawie. Porozrywały stożki wulkaniczne, wyrzucając wielkie masy lawy wysoko ponad powierzchnię planety. Wielkie trzęsienia wstrząsnęły globem. Miliardy ton wody morskiej wtargnęły w otwarte rany planety, wytwarzając potężne ciśnienie i jeszcze bardziej rozrywając skorupę. Łądy zaczęły się zapadać, wypychając na powierzchnię miliardy metrów sześciennych gorącej lawy, która paliła wszystko, czego nie zniszczyła pierwsza eksplozja i trzęsienia ziemi. Cała planeta zamieniła się w morze ognia. Nikt nie przeżył – ani Talianie, ani zwierzęta, ani nawet żadna roślina. Planeta

została kompletnie zniszczona i umarła.

Dwie eskadry, które stały w odwodzie, zaniepokojone urwaniem się kontaktu z bazą podleciały bliżej. To, co zobaczyli, zmroziło ich serca. Setki zniszczonych statków. Na powierzchni planety nie było żadnych oznak życia. Przyczajony Sokół rzucił się na te eskadry i w krótkim czasie z dwudziestu czterech krążowników zostały tylko dwa. Statek odleciał niezauważony. Talianie stali się świadkami klęski ich imperium.

Dowódcy statków nadali meldunek we wszystkich kierunkach o tym, co się wydarzyło. Sami pozostali na miejscu i czekali na posiłki.

Postanowili, że poczekają, aż uzbiera się cała eskadra. Wówczas ruszą w kierunku macierzystej planety.

Podczas gdy Sokół niszczył bazę kosmiczną, Talianie przylecieli w miejsce, skąd pozostawiona przez Odkrywcę sonda przez cały czas nadawała prowokującą informację: „Poddajcie się. Nie macie szans w walce z nami. Wasza baza i flota zgromadzona przy niej już nie istnieją”. Admirał nie wiedział, czy baza już została unicestwiona, ale zakładał, że Urko jest dokładny i potrafi wszystko wykonać na czas. Na odpowiedź ze strony floty taliańskiej nie musiał długo czekać. Jeden błysk lasera i sonda zmieniła się w kupę złomu. Był to wystarczający sygnał dla admirała. Wróg chce walczyć. Przeciwnik nie wiedział, że urwany sygnał z sondy uruchomił detonatory w minach podłożonych we wrakach myśliwców, które były wykonane z trytu, bardzo cennego metalu, dlatego wraki zostały szybko wyłapane przez krążowniki. Wybuch zniszczył kilkadziesiąt krążowników. Wiele zostało uszkodzonych bądź zepchniętych siłą eksplozji w atmosferę planety, przy której stała flota. Opadając bezwładnie, płonęły razem ze swoimi załogami. Ze statków tych zaczęły wylatywać myśliwce i małe statki ratunkowe. Nie wszystkim udało się uciec. Więcej niż połowa załóg poginęła w płomieniach. Część krążowników była tak uszkodzona, że nawet nie potrafiła odlecieć. Ledwie utrzymywała w środku atmosferę. Po opanowaniu paniki okazało się, że połowa statków została zniszczona lub tak uszkodzona, że nie nadaje się do walki.

Admirał postanowił się ujawnić. Wiedział, że pokryty trytem pancierz i eliańskie pole siłowe ochronią go przed laserami taliańskich krążowników. Przyjacieli nie miał takich osłon, więc pozostawał w ukryciu. Admirał podprowadził statki pod flotę taliańską i wyłączył białą kulę.

Talianie po raz pierwszy zobaczyli statek, który ich atakował. Nie strzelali, ponieważ wiedzieli, że wróg dysponuje bronią, która może zniszczyć w okamgnieniu połowę ich floty. Znalazło się kilku śmiazków, którzy chcieli zniszczyć ujawnionego przeciwnika. Odkrywca nadał sygnał w języku taliańskim: „Poddajcie się i wyślijcie dwudziestu najwyższych dowódców promem w celu omówienia warunków waszej kapitulacji. Jeżeli tego nie zrobicie, zostaniecie zniszczeni”. Po chwili przyszła depecha: „Ile macie statków, skoro twierdzicie, że jesteście w stanie zniszczyć naszą flotę?” „Nie jestem sam, a ile mam statków, dowiecie się, gdy się poddadacie – lub w chwili naszego ataku i waszej śmierci, jeśli odmówicie”.

Po tej odpowiedzi nastąpiła chwila przerwy. Z kilku krążowników wyleciały pojedyncze

myśliwce i kierowały się do jednego statku. Tam na pewno odbędzie się narada dowództwa.

Jeden z pilotów podleciał myśliwcem do Odkrywcy. Został złapany promieniem trakcyjnym i wciągnięty do hangaru statku. Pilot nie stawiał oporu. Była to niewielka istota, bardzo podobna do Mattan, tylko lepiej ubrana i odżywiona. Tak samo wyglądał pasażer myśliwca, był tylko nieco straszny od pilota. Parker przywitał nieproszonych gości w języku taliańskim. Tłumaczeniem zajął się komputer pokładowy, który znał mowę od Mattan i jeńców.

– Witam na pokładzie statku Układu Trzech Cywilizacji.

– Nie chciałem tu przybyć, sami mnie ściągnęliście – odpowiedział Talianin.

To po co tu przyleciałeś? – zapytał Parker.

– Chciałem zobaczyć, kogo dziś zabijemy.

Komandor parsknął śmiechem.

– To powiedz, gdzie jest połowa waszej floty? Czy trzeba koniecznie was wszystkich zabić, bo nie możecie zrozumieć, że nie możecie nam nic zrobić?

Talianin pomyślał chwilę i zadał rozsądne pytanie:

– Kim jesteście i dlaczego nas zaatakowaliście?

Parker odpowiedział na pytanie, bo zdawał sobie sprawę, że jeśli nie podpiszą pokoju, ta istota zostanie z nimi na zawsze.

– Nazywam się Parker, komandor Parker. Jestem Ziemianinem. To jest Elianin Zyto – przedstawiciel rasy Elian, z którą zawarliśmy przymierze. Na tym statku są jeszcze Kilianie, należący do jeszcze innej rasy. Wspólnie zawarliśmy Układ Trzech Cywilizacji. Zawarliśmy go w celu obrony przed wszystkimi wrogami. Jesteśmy podróżnikami i odkrywcami, ale też bronimy słabszych ras przed takimi istotami jak wy. Nie szanujecie życia ani swoich rodaków, prymitywnych Mattan, ani innych, mniej inteligentnych od was. Niszczycie planety, na których mogło rozwinąć się życie. To karygodne i niedopuszczalne. Wzięliśmy Mattan pod swoją opiekę i nie pozwolimy ich unicestwić. Wyzaczyliśmy też sektor zakazu lotów w promieniu piętnastu lat świetlnych od ich planety. Umieściliśmy tam swoje sondy, które szybko dadzą nam znać, kto naruszył nasz zakaz. Na pewno nie pozostanie bez kary.

– Talianie niczego nie oddadzą bez walki – odpowiedział buńczucznie przybysz.

– To będziecie walczyć i zginiecie, a gdy zniszczymy wasze krążowniki, zabierzemy wam dziesięć razy więcej.

– Mamy tysiące krążowników i wiele baz wojskowych. Nie dacie nam rady.

– O to się nie martw. Za kilka miesięcy przylecą tu Elianie w swoich potężnych krążownikach. To liczna, silna, dumna, waleczna i okrutna rasa. Walczyłem z nią i wiem, co mówię. Kilianie też tu przybędą. Oni również mają bazy kosmiczne. Są liczni, żądni władzy i bogactwa. Zobaczysz, jak zaroi się od ich statków. Być może dla Talian zabraknie miejsca w tej galaktyce.

W tym czasie ze statków wroga zaczęły wylatywać myśliwce i ostrzeliwać Odkrywcę. Krążowniki, nie czekając na powrót swoich dowódców, przyłączyły się do ostrzału. Statek ziemski włączył pole siłowe eliańskiego typu i czekał spokojnie na rozwój wypadków. Parker

pomyślał: „Widać wolą zniszczyć wroga, niż się z nim układać”, a Talianinowi powiedział:

– Chodź, zobaczysz, jak zniszczymy flotę taliańską.

Zaprowadził pilota i starszego Talianina na mostek i posadził ich pod strażą na fotelach.

Odkrywca zaczął ostrzelać z trzech czerwonych laserów naraz. Broń niszczyła taliański krążownik za jednym strzałem. Jednak coraz więcej krążowników ostrzeliwało Odkrywcę. Jego osłony zaczęły słabnąć, aż zupełnie zanikły. Teraz laser trafiał w trytowy pancerz, który skutecznie odbijał promienie, te zaś wracały odbite od statku i uderzały we flotę. Talianie stracili kilka statków, zanim nauczyli się tak strzelać, by odbite promienie leciały w kosmos. Admirał kazał wystartować myśliwcom wyposażonym w broń trytową i osłony trytowe. Myśliwce miały atakować tylko krążowniki i nie przejmować się laserami myśliwców. Odkrywca włączył pole siłowe białej kuli i zniknął z oczu. Następnie natarł na najbliższy krążownik, rozrywając go na dwie części. Obserwujący to Talianie nie mogli uwierzyć w to, co widzieli. Krążowniki zaczęły eksplodować także z drugiej strony, tam gdzie dotąd było bezpiecznie. Teraz z niewiadomych przyczyn eksplodowały jeden po drugim. Myśliwce też robiły swoje. Niektóre uszkadzały silniki, inne, wyposażone w tarcze białej kuli, przelatywały przez środek krążownika.

Po godzinie było po bitwie. Setki zniszczonych i uszkodzonych krążowników taliańskich dryfowały w kierunku gwiazdy. Ocalały dwa statki, celowo zostawione przez Odkrywcę. Ziemijski pojazd wyszedł z ukrycia. Ujawnił się również dwa razy mniejszy Przyjaciół i.

Talianie długo nie mogli uwierzyć w to, co się stało. Ponad pięćset krążowników zostało zniszczonych przez zaledwie dwa statki wroga, i to mniejsze od nich samych. Na dodatek te maszyny nie były ani trochę uszkodzone.

Pilot taliański zapytał:

– To macie tylko dwa statki?

– Nie – odpowiedział admirał. – Wasza baza kosmiczna i statki będące w jej osłonie zostały zniszczone przez nasz trzeci statek, który leci tu z powrotem i będzie za dwa dni. Należy on do klasy małych niszczycieli. Siłą ognia dorównuje Odkrywcy.

Tymczasem z jednego krążownika oderwał się myśliwiec i zaparkował w doku Odkrywcy. Wyszło z niego trzech Talian w mundurach pilotów.

Admirał kazał zaprowadzić ich do sali, gdzie siedzieli już Parker, Elianin Zyto, Kilianin Daro oraz uzbrojona eskorta. Goście usiedli obok nich i czekali na przesłuchanie. Pierwszy odezwał się admirał:

– I po co wam to było? Czy trzeba was wszystkich zabić, byście zrozumieli, że nie możecie nas pokonać?

– Nie my o tym decydowaliśmy. Kazano nam walczyć, to walczyliśmy. My jesteśmy dowódcami tych ocalałych okrętów. Całe dowództwo zgrupowania poniosło śmierć we flagowym okręcie.

– A więc nadal nie mam z kim gadać! – powiedział admirał.

– Tak – odparł jeden z Talian. – My możemy decydować o sobie i naszych statkach, o

niczym więcej. Flota jest tak liczna, że nikt nie będzie brał pod uwagę zawartych z nami porozumień. Talia, gdy dowie się o klęsce, wyśle jeszcze więcej krążowników.

– Które my zniszczymy – przerwał Ziemianin.

– Talia wyśle wtedy jeszcze więcej statków.

– A ile wy ich macie, skoro nie zależy wam na stratach?

– Takich baz jak ta na planecie Ominia, na której stacjonowałem, mamy czterdzieści albo czterdzieści jeden. Nie pamiętam. A samych krążowników kilkanaście tysięcy, nie licząc transportowców i mniejszych jednostek, liniowców pasażerskich i innych statków badawczych i poszukiwawczych.

– A gdzie znajduje się wasza planeta?

– Tego wam nie powiem.

– Nie chcecie, to nie mówcie. Kiedyś i tak na nią trafimy. Lepiej dla niej, żebyśmy byli wtedy w dobrych humorach. Powiedz jeszcze, ilu członków załogi przebywa na takim krążowniku.

– Około czterech tysięcy, ale często jest ich mniej, bo nie na wszystkich znajdują się naukowcy. Do prowadzenia działań potrzeba osiemdziesięciu członków załogi i około trzystu pilotów myśliwców. Reszta to służby techniczne i rodziny załóg.

– Dobrze, nie mów, jeśli nie chcesz, gdzie jest twoja planeta, ale i tak nie wymigasz się od odpowiedzialności za waszą rasę. Weźmiesz jeden ze statków oraz rodziny załogi z drugiego pojazdu. Polecicie na waszą planetę lub do waszej bazy kosmicznej i opowiecie, co tu widzieliście. Wasze zadanie polega na przekonaniu rodaków do zawarcia pokoju na naszych warunkach. Nie przylecieliśmy tutaj, by z wami walczyć i całkowicie was wyniszczyć. Szukamy innego wroga. Przed wami podjęliśmy się chronić Mattan, jak ich nazywamy. Powiedz, że dowódcy muszą wybrać, czy zawrzecie pokój na naszych warunkach, czy mamy zniszczyć wasze krążowniki, bazy kosmiczne wszystkie statki pomocnicze i kolonie. Wybór należy do was.

– Jakie konkretnie są warunki pokoju? – zapytał Talianin.

– Wycofacie się z tej części galaktyki. – Admirał pokazał na mapie galaktyki niewielki sektor zajęty dla ochrony Nowej i planety Mattan. Poszerzył strefę z trzystu do tysiąca lat świetlnych. – Resztę możecie zachować. Nie narzekajcie, że was krzywdzimy. Macie jeszcze spory kawał galaktyki.

– Dużo chcecie, to dla Talian nie do przyjęcia.

– Gdy opowiecie o walce waszej floty z dwoma statkami, dwa razy zastanowią się, zanim ponownie uderzą. Kto chce, może zostać na naszym statku jako gość. Reszta ma prawo odlecieć do swoich. Drugi statek zostanie na miejscu. Zajmiemy go. Macie dobre silniki jak na tak słabo rozwinięte pojazdy. Poszłicie na ilość, nie na jakość, dlatego się nie rozwinęliście.

Po tych uzgodnieniach jeden pilot i jeden gość, który przyleciał po bitwie, pozostali na Odkrywcy. Reszta nie ufała Ziemianom albo za bardzo wierzyła w swoje siły, bo poleciała na statek w kierunku rodzimej planety. Tania szybko wyznaczyła kurs, którym odleciał pojazd, ale

admirał wątpił, by wróg udał się na macierzysty glob. Kazał zająć się zbadaniem statku pozostawionego przez Talian. Maszyna nie była zbyt interesująca. Jedyne silniki były duże i sporo potrafiły. Teraz nie mogli zabrać ze sobą tego statku – był zbyt słabo uzbrojony i bezbronny, pozbawiony pola siłowego. Admirał postanowił zostawić go na stałej orbicie drugiej planety tej gwiazdy. Może kiedyś się przyda.

Dowiedział się z pierwszej ręki, że Talianie od lat eksploatują surowce z niezamieszkałych planet, nie zwracając uwagi na życie biologiczne. Czasami zdarza się, że nie mają szacunku również dla słabiej rozwiniętych cywilizacji zamieszkujących owe globy. Istoty takie zapędzają do niewolniczej pracy w kopalniach, co wiąże się często z eksterminacją całej rasy. Z silniejszymi cywilizacjami Talianie jeszcze się nie spotkali. Słyszeli jednak, że jeden z ich statków trafił na zniszczoną planetę, na której musiała kiedyś żyć wysoko rozwinięta cywilizacja. I została ona zniszczona przez najazd innej rasy. Gdy trafili na tę planetę, statek wracał bardzo szerokim łukiem na Talię, by nie ściągnąć wroga na swoje terytorium. Później zakazano lotów w tę przestrzeń.

Na drugi dzień przyleciał Sokół i zaparkował w pobliżu Odkrywcy na orbicie drugiej planety tego układu, nazwanej T-2. Gdy Urko składał raport, życzył sobie, by byli przy tym Talianie.

Kapitan Sokoła mówił, że podczas drugiego ataku zniszczył sto sześćdziesiąt osiem krążowników i silnie umocnioną bazę kosmiczną na planecie. Sama też została całkowicie unicestwiona i nic tam nigdy nie będzie już żyło. Dwa statki pozostawił, by Talianie mogli powiadomić swoich ziomków o klęsce. Łącznie w dwóch atakach zniszczył dwieście trzydzieści pięć krążowników, nie licząc mniejszych jednostek.

– Jednym statkiem to uczyniłeś? – zapytał Talianin.

– Tak – odpowiedział Urko. – Nawet nie wiedzieli, kto ich atakuje.

– Tak więc – odezwał się admirał – niewiedza kosztowała was siedemset trzydzieści trzy krążowniki i bazę kosmiczną. Policz, ilu Talian zginęło i ilu jeszcze musi zginąć, byście zrozumieli, kto naprawdę rozdaje karty w tej grze.

Zdawał sobie sprawę, że Talianie szybko się nie poddadzą, a oni nie mogą tu walczyć kilka miesięcy, bo tylko tracą czas. Poza tym dowiedział się, gdzie znajdują wysoko rozwiniętą cywilizację. Śpieszyło mu się, bo mogło się okazać, że to ta, która zaatakowała Ziemię. Zawarcie pokoju było o tyle ważne, że leciały tu eliańskie statki, które wielkością dorównywały taliańskim, ale mimo osłon trytowych nie dałyby sobie rady z flotą złożoną z pięciuset okrętów. Admirał zdecydował się zostawić na Nowej dziesięć urządzeń do wytwarzania białej kuli, zmodyfikowany laser do ciągłego ostrzału czerwonym promieniem i sto torped trytowych średniej mocy. Niestety pomysł powrotu na Nową nie wypalił, dlatego na trzeciej planecie poprzedniego układu gwiazdowego pozostawiono wszystkie te zdobycze techniki i zaminowano je. W ustronnym miejscu Urko ukrył nadajnik niskich fal, które wykryją tylko odbiorniki eliańskie. Po odszyfrowaniu kodu Elianie uzyskają dostęp do urządzeń.

Dwa tygodnie po bitwie Talianie mówili, że odpowiedzi, czy będzie pokój, czy wojna,

można spodziewać się lada chwila. Ziemsy inżynierowie dokładnie zbadali silniki ze statków wroga i doszli do wniosku, że ich moc wynika z pokaźnych rozmiarów i nic poza tym.

Szczęściarz z braku innych zajęć pracował nad stworzeniem broni, której podstawą byłby emiter białych kul. Szybko osiągnął sukces, opierając się na technologii emitera pola siłowego. Zwiększył moc ładunku trytowego i na zasadzie emitera czerwonych kul to samo uzyskał z białymi kulami. Na dodatek dzięki sprzęgnięciu emitera z laserem czerwonym i podniesieniu ich potencjału energetycznego utworzył pierwsze działo – złote kule – które mocą przewyższało kilkanaście razy czerwone kule, a już to było straszną bronią. Potrafiło wytworzyć cztery złote kule w ciągu kilku minut. Zdublowano to działo. Jako bateria strzelało siedem i pół sekundy złotą kulą. Sprawdzono tę broń na asteroidzie o średnicy trzystu metrów. Asteroida obracała się wokół własnej osi, więc zanim się rozpadła, podziurawiono ją jak sito. Broń zamontowano na razie na Odkrywcy, ponieważ wykonanie takiej baterii trwało dwa tygodnie. Potem działo miał otrzymać Sokół – jedyny statek przeznaczony do działań zaczepnych. Przyjacieli był najslabiej uzbrojony, ponieważ jako najwolniejszy, mógł zostać przechwycony przez wroga. W założeniach strategicznych po ewakuacji załogi był przeznaczony do wysadzenia go jako miny trytowej wielkiej mocy. Do jego osłon silnika zużyto siedemdziesiąt pięć ton trytu, który w razie potrzeby mógł być zdetonowany. Jednak taką ewentualność zakładano jako ostateczność. Na razie budowano wzmacniacze pola siłowego białej kuli, ponieważ złote kule nader szybko radziły sobie z takim polem siłowym. Wszystkie te eksperymenty pochłonęły duże ilości trytu. W związku z tym rozebrano na części i przetopiono wszystkie wyłapanie myśliwce taliańskie zbudowane z tego surowca. W ten sposób zaopatrzone w tryt ładownie ziemskich statków.

14.

Nowy i stary wróg Ziemi

Dostrzeżono z daleka szybko zbliżający się statek taliański. Leciał z ogromną prędkością z kierunku, z którego spodziewano się raczej wielkiej floty niż pojedynczego pojazdu. Admirał nakazał, by telemetria szukała innych statków. Spodziewał się ataku. Krążownik zatrzymał się gwałtownie niedaleko ziemskich statków i zaczął wypuszczać myśliwce oraz kapsuły ratunkowe. Nagle eksplodowały silniki krążownika i zaraz cały statek rozleciał się na strzępy. Admirał kazał przyjąć rozbitków na pokład. Na Odkrywcy wylądowały cztery myśliwce i wyłapano sześć kapsuł ratunkowych.

Admirał rozpoznał dowódcę krążownika taliańskiego, który gramolił się z myśliwca. Oprócz niego z dwuosobowego pojazdu wyszło jeszcze sześciu Talian. To samo było w pozostałych myśliwcach i kapsułach ratunkowych. Musieli przed czymś uciekać, i to w wielkim pośpiechu. Ale dlaczego tutaj, do wroga? Zagrożenie musiało być ogromne. Na

wszelki wypadek kazał włączyć pole siłowe białej kuli i skanować przestrzeń.

Z pośpiesznej mowy taliańskiego dowódcy wynikało, że lecąc, nadali meldunek o bitwie i klęsce. Po chwili dostali odpowiedź, że ze wszystkich baz wojskowych lecą tu krążowniki. Zgłaszały się setkami, i to ze wszystkich kierunków. Gdy pozostał dzień drogi stąd, zebrało się jedenaście tysięcy krążowników i wszystkie leciały w kierunku Odkrywcy. Talianin tłumaczył, że nie mogło być mowy o żadnym porozumieniu. Nie pomogło tłumaczenie, że zniszczono ponad siedemset krążowników. Uważali, że takiej potęgi nic nie pokona. Nawet jeśli będą musieli taranować, nie poddadzą się. Nie zdawali sobie sprawy, że statków Ziemiaków w ogóle nie widać.

– Kazano mi zawrócić i powiadomić was, że będzie bitwa, w której zginiecie. Po godzinie ze statku bazy dotarł do mnie sygnał: „Ktoś nas atakuje. Nie wiemy kto”. Flota myślała, że to wy ich atakujecie. Ustawiała się w szyku obronnym. Wróg przeleciał przez środek zgrupowania, niszcząc jeden statek za drugim. Niewiele zostało krążowników po takim ataku. Po dwóch godzinach z całej floty zostało tylko kilka statków, które rzuciły się do ucieczki w waszym kierunku. Uciekające statki nadały do nas sygnał, byśmy uciekali, bo flota nasza nie istnieje, a wroga nawet nie widzieli. Wiedzieliśmy, że to nie mogliście być wy, ponieważ mieliście tu czekać na naszą odpowiedź. Za nami w pewnej odległości leciały statki, które ocalały. Te jednak jeden po drugim, począwszy od ostatniego, zaczęły wybuchać. Siła niszcząca i niewidzialna doganiała statki i niszczyła je. Ostatnią eksplozję słyszeliśmy godzinę temu. Kazałem więc przyspieszyć lot, spalić nawet silniki, by osiągnąć prędkość pięciu tysięcy parseków. Statek leciał tak ostatnie dwadzieścia pięć minut. Musiałem ewakuować załogę, bo pojazd miał eksplodować.

Część załogi wypuściłem po drodze w myśliwcach i promach. Wiedziałem, że wróg poleci za największym statkiem. Reszta załogi dotarła do was. Jeżeli to nie wasi Elianie, to i wy jesteście w niebezpieczeństwie. Talia po tej bitwie straciła osiemdziesiąt procent swojej floty. Większość maszyn rozproszona jest po całej galaktyce. Teraz możemy wystawić dwieście, ale tylko w obronie macierzystej planety. Co to pomoże, jeżeli tam zniszczono jedenaście tysięcy krążowników? Już po nas...

– Ale nie po nas – odpowiedział admirał. Jednak nie był pewny, czy powinien angażować się w walkę z wrogiem potężniejszym od Talian i dysponującym technologią białej kuli. Z opowiadania Talianina wynikało, że mógł to być tylko jeden statek, większy od taliańskiego krążownika lub równy mu. Takie statki na pewno zużywają ogromne ilości trytu. Dlatego tamci chcą złamać potęgę Talian i zabrać im dostęp do surowców.

Admirał postanowił zastawić pułapkę. Kazał przygotować atak z trzech stron. Jednak po zastanowieniu uznał, że lepiej ukryć statki za planetą. Nie wiedział, kiedy pojawi się wróg. Osłony białej kuli chroniły także przed wykryciem przez radary, chyba że przeciwnik korzysta z tej technologii. Przynętą miał być wielki opuszczony taliański krążownik, zawierający spore ilości trytu. To był nie lada kąsek dla statku zużywającego mnóstwo tego surowca i pozbawionego stałych jego dostaw. Zostawiona sonda przyczepiona do pojazdu miała

powiadomić o przybyciu obcych.

Minęła może godzina, jak trzy ziemskie statki ukryte za tarczą planety nasłuchiwały cichutkiego kodu nadawanego przez sondę. Nagle urządzenie umilkło. To był znak, że wróg się pojawił i zniszczył sondę. Urko pierwszy zobaczył, jak obok taliańskiego krążownika stał trochę większy statek. Kilka mniejszych płądrowało pojazd. Admirał kazał atakować wszystkimi siłami dopiero po stwierdzeniu, że tamci zostali wykryci. Nic jednak takiego się nie stało. Statki ziemskie, promy i myśliwce otoczyły wrogi pojazd i nie zostały wykryte. Odkrywca teraz oddalił się od wrogiej maszyny. Poleciał w kierunku planety. Tam włączył osłony magnetyczne i wzmocnił eliańskie pole siłowe. Takie zabezpieczenie mogło wytrzymać kilka uderzeń czerwonego lasera.

Przygotował na pełny ostrzał wszystkie działa czerwonego lasera i emiter złotych gwiazd. Tak uzbrojony, ale widoczny dla wroga wyleciał powoli zza planety. Został dostrzeżony z daleka – było widać, jak z taliańskiego krążownika w pośpiechu uciekają mniejsze stateczki w kierunku macierzystego pojazdu. Po chwili Odkrywca poczuł pierwsze uderzenie lasera, zaraz potem kolejne. Sam nie użył broni, ale zatrzymał się. Po krótkiej chwili przeciwnik zaczął strzelać już częściej. Teraz już było wiadomo, że chce zniszczyć Odkrywcę. Admirał kazał wystrzelić kilka razy ze zwykłego lasera. Wiedział, że nic nie zrobi obcemu. Przeciwnik przekona się, że Odkrywca nie ma broni, która pozwoliłaby mu zniszczyć jego statek. To powinno zadziałać w ten sposób, że nie będzie się obawiał o bezpieczeństwo i odkryje swoje słabe strony. Poskutkowało to na chwilę, ponieważ ostrzał umilkł. Po minucie zdwojono ostrzał. To wystarczyło admirałowi:

– Ognia ze wszystkich dział.

Potężne uderzenie laserów targnęło statkiem wroga. Opadły osłony i przez chwilę okręt wroga był bezbronny. Po chwili jednak przeciwnik podniósł zapasowe tarcze i zagęścił ostrzał. Odkrywca włączył białą kulę i zniknął z pola widzenia. Zszedł od razu z linii ognia. Przeciwnik, widząc to, też włączył białą kulę, ale to już mu się na nic zdało. Nagle wszystkie statki, promy i myśliwce rozpoczęły ostrzał z każdej broni, jaką miały. Na taki atak wróg nie był przygotowany. Jego tarcze przestały być niewidoczne i zaczęły słabnąć z każdą chwilą.

– Zobaczymy, co potrafi złota gwiazda – powiedział admirał.

Szczęściarz sam chciał wypróbować nową broń. Wystrzelił. Gwiazda o średnicy dwóch metrów przebiła pole siłowe, zrobiła dziurę w kadłubie statku i wyleciała z drugiej strony. Pole siłowe ledwie się trzymało. Urko tylko na to czekał. Rozgrzał białą kulę Sokoła i z impetem natarł na statek wroga. Łatwo przebił jego tarcze. Potem już tylko laserami dziurawił kadłub kolosa, który tracił atmosferę i powoli umierał. Jakiś myśliwiec wleciał za Sokołem i też darł laserami wrogi statek. Na koniec Odkrywca w otwór po gwieździe wstrzelił małą torpedę trytową i nadał sygnał do Urka, by ten odleciał. Gdy kapitan Sokoła przebił słabiutkie osłony i wydostał się na zewnątrz, nastąpiła eksplozja torpedy. Kolos został przełamany na dwie części. Gdy Odkrywca szykował się do ostatniej salwy, z obcego statku wyleciał promień i pomknął w kosmos. Strzały laserowe dokonały dzieła zniszczenia i statek wroga eksplodował, rozlatując

się na tysiące części.

Wygrali bitwę, ale admirał nie był zadowolony. Zaniepokoiła go technologia obcych, która była prawie porównywalna z ziemską. Wrogowie nie mieli pocisków trytowych i nie znali technologii wytwarzania złotych gwiazd oraz wykrywania statków ukrytych w białych kulach, za to ich maszyny były dużo większe i szybciej latały. Poza tym obcy mieli zamontowanych kilkanaście dział czerwonego lasera, ale na tak duży statek to zdecydowanie za mało. Sam Odkrywca przewyższał go kilkukrotnie siłą ognia. Działo szybkostrzelne czerwonego lasera ziemskiej produkcji na razie było nie do pobicia. Żeby jednak wykorzystać przewagę ogniową, nie wolno dać się zaskoczyć. Trzeba opracować technikę wykrywania białych kul. To najpilniejsze zadanie dla działu badań.

Na naradzie zorganizowanej po bitwie omawiano możliwości wykrywania statków ukrytych i poruszających się w białych kulach. Według Szmita nie można wykryć białych kul, ponieważ pochłaniają każdy rodzaj fal wysłanych w ich kierunku. Nie poradzili sobie z tym obcy i Ziemianie mieli niewielkie szanse. Zresztą już próbowali. Bez skutku.

Admirał po wywodzie Szmita dziwnym wzrokiem popatrzył na Szczęściarza, jakby szukał w nim nadziei. Ten jednak zagadał się z sąsiadem z boku i nie widział wzroku dowódcy. Admirał, chcąc poznać opinię najlepszego naukowca i konstruktora, zapytał wprost. Wiedział, że zrobi przykrość Szmitowi. Sytuacja była jednak nadzwyczajna. Musiał zapomnieć o skrupułach.

– A co ty o tym sądzisz, Marku?

Szczęściarz, trochę zły, że przerwano mu ciekawą wymianę poglądów, odpowiedział pospiesznie:

– Oni nie opracowali odpowiedniej technologii, ale to nie znaczy, że my sobie nie poradzimy. – Szybko uprzytomnił sobie, do kogo mówi. – Obcy nie mają pocisków trytowych, nie mają złotych gwiazd i dział szybkostrzelnych, a na pewno by chcieli. Po prostu trzeba jeszcze nad tym popracować. Na pewno coś się wymyśli. Nawet jeśli odkrycie nie nastąpi natychmiast, nie jest powiedziane, że w przyszłości nie zdołamy wymyślić jakiejś metody.

Po naradzie Szmit podzielił uczonych na zespoły, które miały oddzielnie prowadzić badania. Gdy laboratoria dostały zadania, admirał zastanawiał się, co zrobić z kilkudziesięcioma Talianami. Dowódca prosił admirała, by ten, wracając kursem obcego statku, zebrał jego załogę, która ewakuowała się na promach, myśliwcach i kapsułach ratunkowych podczas ucieczki jego krążownika przed obcym statkiem. Ten niechętnie, ale zgodził się.

Teraz po zniszczeniu taliańskiej floty mógł czuć się bezpiecznie. Dowódca wroga wiedział, gdzie jego załoga opuszczała statek. Szybko ją zebrał. W nagrodę wszystkie kapsuły i myśliwce wykonane z trytu pozostały na Odkrywcy. Talianie w tej chwili nie stanowili zagrożenia, ale przyjaciółmi też nie byli. Mógł ich odesłać częściowo okradzionym, ale sprawnym krążownikiem, orbitującym wokół T-2. Nie chciał jednak zostawić wroga, który wiedział o położeniu Nowej Ziemi. Planeta mogła zostać zniszczona z kosmosu przez jeden

krążownik. Musiał wymyślić jakiś układ, który zabezpieczy Nową przed przylotem Elian. Admirał wezwał Kato-Sun-Lahima, dowódcę taliańskiego krążownika. Chciał się zorientować się, czy przeciwnik będzie teraz skłonny do zawarcia pokoju.

Admirał zaczął powoli:

– Kato – tak nazywał go w skrócie – powiedz mi, co mam zrobić z twoją rasą? Jesteście bardzo agresywną i niezbyt rozsądną cywilizacją. Mimo że obcy złamali kręgosłup waszej potęgi, nadal stanowicie dla nas poważne niebezpieczeństwo. Macie rozbudowany potencjał przemysłowy i bardzo szybko odbudujecie flotę. My nie możemy zostawić za plecami wroga, który czyha na nasze potknięcie, by zaatakować nas od tyłu. Jest kilka wyjść. Najpewniejszym byłoby lecieć od bazy do bazy i niszczyć je po kolei. Tak samo robić z koloniami. W ten sposób wyniszczę Talię gospodarczo. Jednak pojawił się nowy przeciwnik, z którym muszę się zmierzyć, dlatego nie chcę tego robić. Drugie wyjście jest takie, że zostawimy was w spokoju i polecimy walczyć z obcymi. Możliwe niestety, że wy tymczasem skoncentrujecie swoje siły i uderzycie na nas od tyłu. Na to nie mogę pozwolić. Powiedz, co mam z wami zrobić? Może od razu poszukać Talii i zniszczyć ją?

Kato pomyślał chwilę i odparł:

– Może zawrzecie z nami taki sam układ jak z Elianami i Kilianami?

– Układ... – powiedział na głos admirał. – Układ? Myślałem o rozejmie albo o pokoju. Układ zobowiązuje wszystkie strony do pomocy i obrony słabszych ras, bez względu na stopień rozwoju. Wy do tej pory nie przestrzegaliście takiego prawa i nie wiem, czy będziecie do tego zdolni. Czy potraficie powstrzymać swoje skłonności do panowania nad słabszymi i wykorzystywania ich? Poza tym czy dowódca jednego krążownika może zawrzeć takie porozumienie za całą cywilizację?

– Ja nie mogę tego zrobić – odpowiedział Kato. – Rozwiązaniem jest wysłanie wiadomości na Talię i przedstawienie naszej sytuacji. Można poinformować o zniszczeniu całej floty przez obcy statek, chociaż na mojej planecie na pewno o tym wiedzą. Nie mają jednak pojęcia, że to wy zniszczyliście ten obcy statek. Talianie zawsze mogą zawrzeć taki układ z silniejszym.

– Tak, ale czy będziecie przestrzegać postanowień układu, gdy odlecimy i pozostawimy nasze ziemie bezbronne? Poza tym musielibyście zaakceptować całą treść układu i narażając ochronę macierzystej planety, wysłać w razie potrzeby więcej statków, a wiesz, jaką potęgą dysponują obcy.

– Wiem – odpowiedział Kato. – To oni zniszczyli naszą potęgę. Przylecieli tu, więc od dawna chcieli to zrobić. Zaatakowali nas bez ostrzeżenia i niszczyli bez litości. Pańskie obawy o zdradę ze strony Talian są bezpodstawne. Talia dzięki układowi zyskuje potężnego sojusznika, i to niewielkim kosztem. Nasza galaktyka jest tak duża, że nie zwiedziliśmy nawet pięciu procent jej powierzchni, a kontrolujemy niecały procent. Nawet gdybyście chcieli odebrać nam osiemdziesiąt procent, i tak nie zbadamy reszty przez następne tysiąc lat.

– To, co mówisz, brzmi logicznie. Opracuj więc meldunek i razem z treścią układu prześlij na swoją planetę. Ile czasu zajmie twoim ziomkom zdecydowanie, czy przystąpią do Układu?

– Miesiąc, może mniej – odpowiedział Talianin.

– Dobrze, wyślij wiadomość z waszego krążownika i zobacz, czy nadaje się do lotu. Gdy to zrobisz, udaj się na poszukiwanie swych rodaków, bo chyba nie wszystkich znaleźliśmy.

Wiadomość o propozycji zawarcia Układu została natychmiast wysłana. Teraz trzeba było tylko czekać. Admirał postanowił, że tak czy inaczej włączy taliański krążownik do floty Układu. Wydał rozkazy, by część załogi Odkrywcy przeniosła się na tę maszynę. Od razu zamontowano tam trytowe pole siłowe eliańskiego typu.

Część Talian chciała przystąpić do Układu nawet bez zgody swoich władz. Widząc, jakie warunki panują na statku ziemskim, zaczęli zazdrościć tym rasom przede wszystkim bezpieczeństwa. Zresztą nigdy nie byli na Talii i nie znali jej. Urodzili się na bazach kosmicznych lub koloniach. Sami zgłosili, że chcą lecieć dalej z Ziemianami, bez względu na to, czy pakt zostanie podpisany. Zdawali sobie sprawę, że mogą już nie wrócić do macierzystego imperium. Admirał nie miał nic przeciwko tej decyzji, reszta dowództwa nie chciała się sprzeciwiać, bo i nie było potrzeby. Przed całym dowództwem dwudziestu siedmiu Talian złożyło przysięgę wierności Układowi Trzech Cywilizacji. Od tej chwili stali się oni pełnoprawnymi członkami Układu. Natychmiast zaczęto szkolić ich w obsłudze czerwonego lasera i emitera pola siłowego. Złote gwiazdy miały być na razie używane tylko przez Ziemian. Gdy admirał kazał przejąć taliański krążownik, nie krył zadowolenia. Statek był większy od Odkrywcy. W jednej z ładowni mieścił się cały Sokół. Było to ważne, bo tylko Odkrywca mógł dorównać wspomnianej maszynie w prędkości lotu. W ładowniach znaleziono kilkanaście trytowych myśliwców, które po dobrojeniu i montażu osłon nadawały się do walki. Były większe od ziemskich i nie miały od wewnątrz warstwy molu. Przez to były słabsze i mniej zwrotne. Każdy z nich ważył siedemnaście ton, a więc były bardzo cenne. Wyposażone w pole siłowe białej kuli, rozpędzone mogły zniszczyć obiekt, eksplodując pod przebitym polem siłowym.

Prace nad nowym krążownikiem szybko postępowały. Kolejnych dziewięciu Talian zgłosiło chęć pozostania na statku Układu. Admirał nie miał nic przeciwko temu. Kazał zaprzysiąc nowych członków Układu i włączyć ich do załogi. Trzydziestu sześciu Talian to mała obsługa krążownika, a po zamontowaniu dodatkowych urządzeń potrzeba ich będzie jeszcze więcej. Na razie około dwustu ludzi pracowało na taliańskim krążowniku, montując urządzenia i szkoląc się w obsłudze statku. Admirał był dobrej myśli. Sądził, że po podpisaniu Układu z Talią chętnych będzie więcej.

W połowie trzeciego tygodnia radary wykryły sygnał wywoławczy statku taliańskiego, z którego wynikało, że eskadra dwunastu krążowników taliańskich z bazy czterdziestej czwartej leci udzielić pomocy w walce z obcymi. Baza ta była najdalej wysuniętą bazą wojskową. Tam nie słyszeli o innych obcych, jak tylko o Ziemianach. Z taliańskiego krążownika skopiowano systemy wczesnego ostrzegania, które były lepsze od ziemskich i eliańskich. Dzięki nim wcześniej zauważono zbliżające się statki. Ziemskie maszyny ukryły się w swoich polach siłowych.

Stały się niewidoczne. Rozmowy mieli prowadzić Talianin Kato i komandor Parker.

Z Talii nie było jeszcze odpowiedzi, więc pozostało przekonać dowódcę eskadry w kwestii zamiarów Ziemian i poinformować, w jakiej sytuacji znalazła się jego cywilizacja. Na początku Talianin chciał aresztować Kato, a Parkera rozstrzelać. Komandor musiał nim wstrząsnąć, bo ten uważał się za silniejszego i nie chciał nikogo słuchać. Krzyknął, że jeśli Nasil się nie uspokoi, rozpirzy jego flotę w ciągu minuty. Talianin, nie zdając sobie sprawy ze swojego położenia, odparł:

– Człowieku, ty nie możesz nic mi zrobić. Jesteś na moim statku, otoczony przez moich Talian!

– Mylisz się – odpowiedział Parker. – To ty jesteś na moim statku, otoczony przez moich Talian.

– To się okaże – odparł Nasil i zwrócił się do strażników: – Aresztować tego Ziemianina.

Parker wybrał wcześniej strażników z Talian, którzy przystąpili do Układu. Wiedział, że niczego nie zrobią bez jego rozkazu. Mężczyźni, ubrani w mundury służb bezpieczeństwa z Odkrywcy, nawet nie drgnęli, tylko patrzyli na Parkera. Gdy Nasil spostrzegł, że straż nie reaguje, sięgnął po pistolet i chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Trzech strażników rzuciło się na niego i powaliło go na ziemię, po czym szybko rozbroiło, a broń przekazało Parkerowi. Adiutant Nasila chciał stanąć w obronie dowódcy, ale jeden z sojuszników Układu przyłożył mu pistolet do skroni i rozbroił go.

Taliański dowódca wstał powoli, ciężko dysząc.

– Co tu się dzieje? Kim wy jesteście? – zwrócił się do Kato.

– My jesteśmy Talianami, a ty jesteś głupcem i nie wiesz, z kim zadzieras. Oni wprawdzie zniszczyli nam siedemset krążowników i bazę numer siedem, przylecieli jednak inni obcy, którzy napadli na zgrupowanie jedenastu tysięcy krążowników gotowych do walki z Ziemianami. Unicestwili wszystkie w ciągu kilku godzin. Nie ocalał ani jeden krążownik z jedenastu tysięcy. Przylecieli tutaj i napadli na Ziemian, którzy zamienili ich w pył kosmiczny. Teraz powiedz mi, jak mamy walczyć z Układem, potężniejszym od tych, którzy doprowadzili do zagłady naszej floty. Jak teraz mamy odtrącić rękę wyciągniętą na zgodę? Dodam, że to potężna ręką. I powinniśmy to zrobić nie ze strachu, bo Ziemianie wiedzą, że nasza flota nie istnieje, tylko z przyzwoitości. Im nie zależy na tym, by doprowadzić Talian do zagłady. Na Talię wysłano propozycję umowy, którą mamy zawrzeć. Do Układu należą ponadto Kilianie i Elianie, których statki tu lecą. Lada dzień przybędzie odpowiedź z Talii. Wtedy zyskamy potężnego sprzymierzeńca lub miliony Talian zginą w swoich statkach i bazach kosmicznych. Dodam, że kilkudziesięciu naszych już przystąpiło do Układu bez zgody dowództwa. Widzieli, jaką bronią dysponują Ziemianie. Nie zaprezentowali nam nawet dziesięciu procent swoich możliwości. W razie wojny będziesz walczył ze swoimi, bo ten statek jest obsługiwany przez Talian. Wierz mi, że twoja eskadra w walce nie przetrwa nawet minuty.

Nasil wysłuchał Kato i powiedział:

– No to poczekamy na wiadomość z Talii. A gdzie ziemskie statki?

– Właśnie okrążyły twoją eskadrę – odpowiedział Parker.

Na umówiony znak komandora maszyny zaczęły wychodzić z ukrycia. Nasil zobaczył, jak jeden po drugim ujawniają się obce statki. Były wszędzie: za i przed jego eskadrą, z jej boków i pomiędzy statkami latały ziemskie myśliwce.

– Teraz wam wierzę – powiedział Nasil. Parker poinformował go o zamiarach Ziemian w razie podpisania Układu. Po spotkaniu ustalono, że do chwili otrzymania wiadomości obie strony nie będą wchodziły sobie w drogę.

Ziemskie statki odleciały w kierunku planety T-2, a eskadra taliańskich krążowników została na miejscu. Nasilowi nie podobało się, że Ziemianie zajęli krążownik, ale Parker powiedział, że to zdobycz wojenna. Oddanie okrętu nie wchodziło w rachubę.

Sokół otrzymał obiecany przez admirała emiter złotych gwiazd, chociaż Urko spodziewał się, że dostanie po jednym emiterze na człon. Niestety na razie musiał się zadowolić jednym. Następny emiter miały otrzymać Przyjaciel I i nowy statek taliański. Laboratoria pracowały tymczasem nad skonstruowaniem wykrywacza białych kul. Póki co bez powodzenia. Szmit, bardzo niezadowolony, krzyczał na podwładnych. Szczęściarz tłumaczył, że to niczyja wina. Nagle wydał z siebie okrzyk. Szmit już wiedział, że kolega wpadł na jakiś pomysł.

– Mów, Marek, przecież widzę, że coś ci chodzi po głowie – zachęcał go.

– Tak – wolno cedził Willis. – Może popełnialiśmy błąd w rozumowaniu? Biała kula jest nie do wykrycia dla nas i dla obcych. To dlaczego podczas naszego ataku, gdy myśliwce były w ruchu, celność ich ognia dochodziła do dziewięćdziesięciu pięciu procent? Natomiast gdy pojazdy spokojnie stały, obcy nie trafili ani razu.

– No i co z tego? – niecierpliwił się Szmit.

– A to, że silniki naszych statków zostawiały w locie ślady spalin, a te stojące w miejscu nie robiły tego.

Spaliny w białych kulach zakłócały namierzanie, stąd błąd celowników rzędu pięciu procent.

Szmit chwilę pomyślał i powiedział:

– To bardzo prawdopodobne. Masz łeb nie od parady. Widzę, że jak cię trochę przycisnąć, to zaraz ruszasz głową. Przygotujcie mi czujniki spalin do wszystkich znanych nam paliw rakietowych oraz czujniki rozpadu miękkich neuronów przy silnikach napędu fotonowego. Wypróbujemy ten pomysł.

Wybiegł z sali. Willis rzucił za nim:

– Ale my nie wiemy, jakie paliwo spalają obce statki. – Jednak Szmit już tego nie słyszał. Szczęściarz dodał więc: – Zrobimy czujnik na silniki fotonowe. To powinno wystarczyć.

Przejęty od Talian krążownik, dobrojony i wyposażony w emitory pól siłowych, pierwszy raz włączył emiter pola białej kuli i zniknął z pola widzenia. Obserwujący to nowi sojusznicy Układu aż powstawali z wrażenia. Wielki i potężny krążownik nagle zniknął. To był dla nich niemal szok. Statek włączył silniki i zaczął się przemieszczać, coraz szybciej i szybciej. Wszystkie te manewry śledziła nowa aparatura do wykrywania śladów spalanej paliwa i

pomiaru cząstek fotonowych konstrukcji Willisa. Obserwujący to admirał powiedział:

– No to, synku, powiedz teraz, gdzie jest ten statek?

Szczęściarz sprawdził pomiary i nacisnął spust lasera.

Wystrzelony promień uderzył w powierzchnię pola siłowego białej kuli, nieznacznie ją zarysowując. Po chwili znowu wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

– Świetnie, masz u mnie piwo, Marku.

– Ja też – dodał stojący za ojcem syn Toma Rikardsona, mały Jasio.

– I ja też chcę piwo – powiedział po angielsku mały Kilianin, syn Darka.

Admirał popatrzył na chłopców srogo:

– Wy jesteście za mali na piwo. – I łagodnie dodał: – Za to soku możecie pić, ile dusza zapagnie.

Lubił dzieci, a tych dwóch chłopaków szczególnie. Wszędzie było ich pełno, wszystkiego byli ciekawi i od małego nierozłączni. Gdzie pojawiał się Jaś, tam też musiał być mały Kilianin – i na odwrót. Syna Darka nie miał imienia. Rodzice zwracali się do niego pieszczotliwie w kiliańskim języku. Tymczasowe imię nadawano tylko wtedy, gdy w rodzinie pojawiał się drugi syn. Przydomek na całe życie wybierali chłopcu rodzice lub wybierał sobie sam, gdy kończył dwanaście lat. Mały Kilianin już teraz zdradził Jasiowi, że będzie nosił imię Parko. Oprócz syna Toma nikt o tym nie wiedział. Jaś oświadczył, że jak dorośnie, chciałby być dowódcą Sokoła, tak jak wujek Urko. Mały Kilianin odparł, że będzie jego zastępcą na Sokole i dowódcą eskadry myśliwców, tak jak jego tata na Przyjacielu i. Teraz na Odkrywcy było dwadzieścioro dwoje dzieci. Trójka maluchów została z rodzicami na Nowej, aby stworzyć tam nową cywilizację. Admirał myślami był teraz z dziećmi, które są oznaką odradzającej się potęgi. Nie wiedział, czy na Ziemi ktoś przeżył. Planeta nigdy nie odpowiedziała na żadną z wiadomości wysyłanych w jej kierunku.

– Czy możesz tym wykryć statek obcych? – zapytał Willisa.

– Okręt obcych był trochę większy od krążowników taliańskich czy eliańskich, ale biorąc pod uwagę podobne napędy fotonowe obu nieznanymi cywilizacji, mogą mieć podobną technologię.

– Obyś miał rację. Pomyłka może nas drogo kosztować, nawet życie.

Na drugi dzień nadeszła wiadomość, że na Nową dotarło dziesięć krążowników eliańskich, a trzy z nich lecą tutaj.

– To wspaniała wiadomość! – krzyknął Urko, a skóra na jego ciele zmieniała się jak u kameleona pod wpływem różnych emocji. Cieszył się, że za kilka dni ujrzy swoich rodaków. Admirał liczył na pomoc w walce, a przybycie trzech krążowników eliańskich mogło wybić z głowy nagły atak na to zgrupowanie taliańskiej floty. Dowódca w rozmowie przypomniał, że na podstawie porozumienia i w ramach Układu wszystkie eliańskie statki podlegają Urkowi, sam zaś kapitan Sokoła na mocy układu podlega jemu jako dowódcy floty Układu Trzech Cywilizacji.

Zbliżał się dzień, kiedy miała nadejść odpowiedź rządu taliańskiego w sprawie

przystąpienia do Układu. Wcześniej jednak przyleciały trzy eliańskie krążowniki i zatrzymały się na orbicie T-2. Pojawienie się statków wielkością dorównujących taliańskim okrętom, a siłą ognia i tarczami przewyższających je wielokrotnie, było nie na rękę Nasilowi, któremu nadal po głowie chodziła myśl zniszczenia ziemskich jednostek i przejęcia ich technologii. Do końca nie dowierzał admirałowi i starał się izolować swoje załogi od obcych wpływów. Teraz taka postawa nie miała sensu. Postanowił nawiązać stosunki dyplomatyczne. Pod pozorem kontroli życia taliańskich ziomków będących już w Układzie poprosił o możliwość rozmowy z nimi. Admirał z okazji przybycia eliańskich statków wydał przyjęcie i zaprosił kilkudziesięciu oficerów z taliańskiej eskadry. Talianie patrzyli z góry na niskich wzrostem Elian, ale ci, znając swoją wartość, zupełnie to ignorowali.

Po rozmowach z Elianami admirał nieco się zawiódł. Sądził, że dostanie trzy statki. Zaoferowano mu jeden.

Drugi miał lecieć w przestrzeń, by badać inne cywilizacje, a trzeci po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Talianami planowano wysłać na ich planetę. Tam miał zostać. Wytypowany statek admirał kazał wyposażać we wszystkie zdobycze techniki i dobroić go gruntownie. Elianie mieli pozostać na orbicie T-2, a dopiero po podpisaniu Układu polecieć tam, gdzie im polecono. Słuchali admirała, ponieważ dał im do dyspozycji połowę zastrzeżonych dla Układu terenów galaktyki, z wyłączeniem przestrzeni dwudziestu lat świetlnych od Nowej i Matty, jako suwerenną przestrzeń Ziemian. Z terenów wpływów Elian wydzielono jak wcześniej jeden układ gwiazdny oraz trzy układy sąsiadujące jako zaplecze surowcowe dla Kilian.

Kilka dni później przyszła wiadomość, na którą wszyscy czekali. To, czego dowiedzieli się Talianie, wstrząsnęło nimi. Po otrzymaniu wiadomości o zniszczeniu floty i odebraniu propozycji paktu nikt nie mógł w to wszystko uwierzyć. Zmiana decyzji nastąpiła wraz z atakiem obcych na potężne bazy kosmiczne Talian, z których w krótkim czasie siedem przestało istnieć. Gdy wrogowie zbliżyli się do Talii, niszcząc ósmą bazę, najsilniej uzbrojoną, bo najbliższą planecie macierzystej, a także dwieście krążowników ochrony. Byli już niemal przed samą planetą z miliardami Talian skazanych na zagładę. Wówczas z głębi kosmosu przyleciał mały promień i powstrzymał atak obcych. Uznano, że wróg poleciał na pomoc statkowi, który został zniszczony przez Ziemian, dlatego przerwali atak na bezbronną Talię. Zebrani przedstawiciele wszystkich planet wchodzących w skład Imperium Taliańskiego ratyfikowali i podpisali bez zastrzeżeń pakt. W imieniu Talii dokument podpisał Nasil i on ustanowił ambasadora. Potem ma jak najszybciej wracać na Talię.

Zawarcie Układu Czterech cywilizacji uwzględniło dotychczasowe zdobycze Ziemian, Kilian i Elian. Ambasadorem Talian na Odkrywcy został Kato. Jako wkład Talii w walkę z obcymi Nasil przekazał admirałowi do dyspozycji sześć krążowników z jego eskadry. Admirał nie przyjął tych statków, ponieważ były tak słabo uzbrojone, że stanowiły zbyt łatwy łup dla wrogów. Nie chciał, by zginął ktokolwiek oddany pod jego rozkazy. Kazał odesłać okręty do ochrony planety Talian. I tak stracili zbyt wiele statków – następnych nie musieli. Uzbrojony z

przeszkoloną załogą taliański krążownik wszedł do służby Układu teraz już Czterech Cywilizacji pod nazwą Syriusz. Jego dowódcą został John Steward.

Statkom taliańskim kazano ukryć się za planetą i do czasu pojawienia się obcych nie nadawać żadnych wiadomości. Wystawiono sondę, która cały czas nadawała sygnał ostrzegawczy. Wokół niej w pewnej odległości ustawiły się wszystkie statki ukryte w polu siłowym. Tylko Syriusz miał włączone pole siłowe eliańskiego typu, które z powodzeniem mogło wytrzymać uderzenie kilku trafień z czerwonego lasera. To była pułapka. Gdy tylko obcy zaatakują, dostanie ostrzał ze wszystkich laserów, aż zostanie zniszczony. Podczas postoju obok T-2 było trochę czasu. Dozbrojono także Odkrywcę, który dostał po dwie dziobowe sprzężone baterie czerwonego lasera na każdym boku. Sam świetnie poradziłby sobie ze statkiem obcych, nie używając swej najpotężniejszej broni, złotej gwiazdy, nie mówiąc o trytowych torpedach. Kilka godzin później Szczęściarz wykrył zbliżający się ślad spalin. To na pewno ukryty w białej kuli statek wroga. Nie leciał szybko, bojąc się podstępny. Na pewno jego poprzednik, nadając wiadomość ostrzegł go przed pułapką, w której cała załoga straciła życie. Wróg był ostrożny, dlatego leciał bardzo wolno. Od zniszczenia obcego statku minął ponad miesiąc i tyle czasu leciał obcy, badając każdy napotkany układ. Gdyby poleciał maksymalnie szybko, kilka dni po zniszczeniu pierwszego statku doszłoby do ponownego starcia. Minęło dwadzieścia godzin od wykrycia obcego. Statek zbliżał się do Syriusza, ale nie strzelał. Informacje, które otrzymał, mówiły o ataku kilkudziesięciu różnych, ale dużo mniejszych, potężnie uzbrojonych statków. Widać było, że czuł respekt. Do tej pory nigdy nie słyszał, by jakikolwiek jego statek został zniszczony przez inną cywilizację.

Tutaj zaś stał jeden, i to tego samego typu co te, które niszczył dziesiątkami.

Jeszcze chwilę czekał, badając skanerami okolice w poszukiwaniu innych statków. Gdy niczego nie znalazł, wystrzelił w sondę. Została natychmiast zniszczona. Następnie wymierzył laserem w Syriusza. Statek wytrzymał uderzenie. Syriusz oddał cztery strzały ze sprzężonego dział w osłony wroga. Biała kula wrogiego statku zaczerwieniła się. Obcy zrozumieli, że to nie ten sam statek, mimo że wygląda identycznie. Ten był wyposażony w osłony i potężne działa. Mógł być niebezpieczny, więc należało go koniecznie zniszczyć. Obcy wystrzelił z sześciu laserów naraz. Osłony Syriusza pękły jak bańka mydlana. Jeszcze jedna salwa i byłoby po okręcie. Nagle wszystkie statki wyszły z ukrycia. Obcy pojęli groźbę sytuacji. Statki, które zniszczyły ich poprzedników, okrążyły okręt i otwierały ogień. Biała kula pola siłowego pękła jak bańka mydlana, lasery dziurawiły kadłub obcego na wylot. Zza planety wyleciały taliańskie krążowniki i zaczęły ostrzeliwać obcego. Na jego kadłubie było widać eksplozje. Każde z dział na statku zostało zniszczone. Kolos stał się łatwym celem, ponieważ Odkrywca celnym strzałem unieruchomił go, niszcząc silnik, z którego teraz wydostawały się kłęby dymu. Urządzenie Szczęściarza wykryło, że z luków obcego wylatują myśliwce wyposażone w pola siłowe białej kuli. Na niewiele się to zdało. Szybko wykryte pojazdy padły łupem ziemskich myśliwców, które, przygotowane na taką ewentualność, niszczyły jednego po drugim. Jeden z ziemskich statków przeleciał przez kadłub krążownika, dziurawiąc go swoim polem siłowym.

Przez siedmiometrowy otwór zaczęły wylatywać różne przedmioty i kilka sylwetek człekokształtnych istot. Odkrywca wystrzelił małą torpedę trytową, która wbiła się głęboko w kadłub statku i eksplodowała w środku, rozrywając okręt. Przed samym wybuchem zauważono, że dwa myśliwce przedarły się przez kordon ziemskich szturmowców i zmierzały w kierunku najsłabszych taliańskich krążowników. Strzały z Przyjaciela i zniszczyły ich pola ochronne, a torpeda trytowa małej mocy tak targnęła maszynami, że piloci stracili panowanie nad sterami i przytomność. Jedna z nich została pochwycona wiązką trakcyjną, a druga leciała bezwładnie na taliański krążownik, który nie miał pola siłowego i na pewno ciężko by oberwał po zderzeniu z trytowym myśliwcem. Przyjaciel i musiał zniszczyć statek obcych strzałem z czerwonych laserów. Odkrywca przejął myśliwiec wroga i wciągnął go do ładowni. Tam zdemontowano broń i emiter polu do zbadania przez naukowców. Nieprzytomnego pilota przeniesiono pod strażą do ambulatorium.

Po przeanalizowaniu bitwy okręty poleciały w swoje strony. Dwanaście taliańskich krążownikowi jeden eliański ruszyły w kierunku Talii. Elianie mieli założyć tam ambasadę. Drugi eliański okręt poleciał szukać planety do założenia kolonii. Statki Układu Czterech Cywilizacji leciały w kierunku, skąd nadleciały obce okręty. Talianie skrupulatnie podali lokalizację, z której mógł przybyć wróg. Po cichu liczyli na to, że Ziemianie, mający przewagę technologiczną, przetrzebią flotę obcych i dadzą im do zrozumienia, że ta część galaktyki jest już zajęta i dobrze chroniona. Eskadrę stanowiło pięć bardzo dobrze uzbrojonych w najnowsze zdobycze techniki statków. Załoga często zastanawiała się, czy kiedykolwiek wróci na Ziemię. Uważała, że potężna eksplozja zniszczyła planetę. Admirał też myślał o Ziemi. Zastanawiał się, jak radzą sobie pozostałe statki, które zdążyły odlecieć z Ziemi. Podczas lotu podrasowano silniki Przyjaciela i, który mógł osiągnąć dwa tysiące parseków. Poza tym czas biegł powoli, a podczas drogi starano się dozbroić wszystkie statki. Emitery złotych gwiazd miał już każdy z okrętów, Sokół nawet dwa, choć Urko liczył na sześć.

Na trzeci dzień po bitwie obudził się nadal zamknięty dla bezpieczeństwa jeniec. Gdy zobaczył, że jest w niewoli na obcym statku, zaczął niszczyć obudowę ścian ambulatorium. Trafił na pokrywę kabli energetycznych. Włożył tam ręce i chwycił dwa grube przewody. Nastąpiło zwarcie i błysnął ogień. Istota spłonęła, trzymając się przewodów. Wszystko to działo się w nocy, a wartownicy nie mogli nic zrobić, ponieważ przybyli za późno. Udało się ustalić, że pilot był istotą człekokształtną, a budową ciała nie różnił się od ludzi.

Eskadra leciała z prędkością dwóch tysięcy parseków z włączonymi minimalnymi osłonami, by ustrzec się przed zderzeniem z mikrometeorami. Natomiast czujniki nastawione były na nasłuch i wykrywanie wszystkiego, co się rusza w zasięgu ich radarów. Cel był jeden: znaleźć obcych i dowiedzieć się, czy to oni napadli na Ziemię, Kilię, Elian i zemścić się. Drugim celem było zlikwidowanie zagrożenia dla Nowej, a obcy, którzy napadli na Talian, na pewno je stanowili. Zbliżali się do środka galaktyki, którą Talianie uważali za swoją, mimo że jej nie zbadali i nawet nie wysyłali tu swoich statków. Interesowała ich tylko eksploracja minerałów. Wysyłali automatyczne transportowce, które były tak zaprogramowane, by same

mogły wyszukiwać odpowiednie planety. Układy gwiazdne były coraz ciekawsze, a obiekty okazały się nie tak duże jak na obrzeżach galaktyki.

Podczas drogi zepsuł się silnik Przyjaciela I. Cała eskadra musiała zatrzymać się na przymusowy postój. Jako miejsce wykonania odpowiednich napraw wybrano planetę oddaloną o dwieście milionów kilometrów od swojej gwiazdy, trochę większej od Słońca. Na globie rosła bujna roślinność, ale życie biologiczne było bardzo ubogie. Poza owadami i płazami nie znaleziono innych form życia. W zbiornikach wodnych też niewiele było istot, może plankton i trochę skorupiaków. Widać jednak było, że planeta chciała żyć. Atmosfera tlenowo-azotowa i zawartość dwutlenku węgla wskazywały na duże możliwości rozwoju. Admirał kazał zasadzić tam wiele drzew liściastych, owocowych, wypuścić kilka gatunków ptaków i innych małych zwierząt, przeważnie roślinożernych. Do zbiorników wodnych także wrzucono kilka gatunków ryb i ślimaków. W ten sposób przyspieszono rozwój planety o kilka milionów lat. Zaznaczono ten obiekt na mapach jako potencjalnie dobry do zasiedlenia, za jakiś czas oczywiście.

Przebudowano silnik na Przyjacielu I. Wyszła z tego hybryda silnika eliańskiego i kiliańskiego z elementami chłodzenia typu ziemskiego. Cała budowa silnika trwała dwa tygodnie. Po jej zakończeniu eskadra mogła nareszcie ruszyć. Na początek musiała wystarczyć prędkość tysiąca pięciuset parseków. Po jednodniowym postoju i przeglądzie nowego silnika ruszono dalej. Tym razem przyspieszono do dwóch i pół tysiąca parseków. Praca motoru mieściła się w granicach normy.

Nadal zmierzano do środka galaktyki. W układach słonecznych znajdowało się wiele małych planet, bardzo często mających atmosferę, w której kwitło życie biologiczne. Tam zaopatrywano się w wodę i powietrze, a także zbierano gatunki roślin nadających się do jedzenia i rozpowszechnienia na innych globach. W jednym z układów natrafiono na planetę z powłoką zawierającą niemal czysty tlen. Nie było tam życia, za to atmosfera sprawiała, że obiekt stanowił prawdziwą bombę. Planeta mogła w każdej chwili eksplodować. Następnym obiektem w tym układzie okazał się gazowy olbrzym, dwa razy większy od Jowisza. Miał cztery księżycy, zupełnie martwe i pozbawione atmosfery. Dopiero gdy zza jego tarczy wyłonił się następny satelita, ten był dopiero zjawiskiem. Dwa razy większy od ziemskiego Księżyca, a może jeszcze potężniejszy, miał atmosferę azotowo- – tlenową, ale obracał się wokół planety w taki sposób, że tylko jedną stroną zawsze był zwrócony do gwiazdy. Tam rozwinęło się bujne życie biologiczne. Gdy księżyc wchodził za tarczę planety, ciemność panowała na całym satelicie. Natomiast ciemna strona była uboga w roślinność. W zasadzie prawie nie występowało na niej życie biologiczne.

Gdy badano ten księżyc, sondy wykryły sygnał, który mignął w postaci nagłego błysku promienia laserowego. Uchwycono go dzięki dalekosięzdnemu czujnikowi, który na ułamek sekundy wychwycił jego tor lotu. Sygnał ten podobny był do tego, który wysłano przed zniszczeniem obcego statku. Wtedy nie zwrócono na to uwagi, teraz jednak skojarzono oba przypadki. Wniosek nasuwał się sam: statki Układu zbliżały się do terytorium wroga. Po przeanalizowaniu toru lotu skierowano się tam, skąd pochodził sygnał. Spodziewano się lada

dzień kontaktu z wrogiem i podjęto wszelkie środki ostrożności. Do Ziemi było jakieś pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych w linii prostej. To bardzo daleko nawet dla statków obcych, zwłaszcza że nikt nie lata po liniach prostych, gdy szuka innych cywilizacji. Od bitwy minęło osiem miesięcy. Przelecieli prawie pięć tysięcy lat świetlnych. Jeżeli wróg przebył taką odległość, by zniszczyć życie na Ziemi, to członkowie Układu pokonają tę samą odległość, by zemścić się za tamten atak. To było zadanie, jakie wyznaczył sobie admirał już na samym początku podróży. Wówczas nie zdawał sobie sprawy, że będzie dysponował środkami niezbędnymi do realizacji swojego celu. Zadania innych członków wspólnoty były zbieżne, ale nie bardzo obchodziły admirała.

Po dwunastu dniach lotu wykryto w jednym z układów statek obcych, który orbitował wokół jednej planety i ostrzeliwał ją z laserów, wznecając pożary na jej powierzchni. Admirał nie miał wątpliwości, że to był akt agresji w najgorszej formie. Obrońcy nie mieli szans.

Nie mając środków do walki z obiektami znajdującymi się w przestrzeni kosmicznej, admirał wydał rozkaz, by Syriusz bez ostrzeżenia zniszczył obcą jednostkę. Tania zauważyła, jak od planety oderwał się mały stateczek i zmierzał w kierunku obcego krążownika. Jeden błysk i niewielki pojazd zamienił się w kulę ognia. Obcy, zajęty ostrzałem, nie mógł zauważyć podlatującego ukrytego Syriusza, który z najbliższej odległości wypalił w sam środek obcego statku. Obcy okręt czuł się bezpiecznie, nie użył osłon, dlatego salwa przełamała go na dwie części. Tylony człon z silnikiem eksplodował natychmiast, a drugi zaczął zbliżać się do atmosfery planety. Spalał się w jej górnych warstwach – na powierzchnię globu trafił w formie meteorów.

Po półgodzinie z planety wystartował mały statek tej samej klasy co poprzednio zniszczony przez obcych. Przyleciał w miejsce katastrofy agresora, który z niewiadomych przyczyn eksplodował, co na pewno zauważono z powierzchni globu. Mały prom okrążył miejsce zniszczenia statku, a gdy niczego nie znalazł, zamierzał wracać. W tym momencie Steward wyszedł kamuflażu i ujawnił swoją pozycję. Sytuacja była nieco zaskakująca dla pilota niewielkiego statku, gdy nagle zobaczył ogromnych rozmiarów okręt nieznanego konstrukcji. Jeszcze większe wrażenie musiały na nim wywrzeć następne maszyny, wyłaniające się nagle obok poprzednika. Dziwna rzecz – pilot promu nie uciekał, nie był przerażony. Na pewno zdał sobie sprawę z tego, że nie ma szans ucieczki. Wolał przyjrzeć się statkom, które zniszczyły agresora. Admirał kazał nawiązać kontakt. Wysłał prom, który z powodzeniem mógł wylądować na planecie. Poleciał nim Tom Rikardson, ojciec Jasia. Stanął blisko promu gospodarzy i czekał na jego reakcję. W związku z tym, że pilot nie był widoczny spoza trytowych szyb, światłami dał kilka znaków, by gospodarz zdecydował się na jakiś ruch. Obcy pilot już na pewno zorientował się, że nic mu nie grozi. Przerwał milczenie i powiedział kilka zdań w niezrozumiałym dla Ziemiaków języku. Tom nie znał znaczenia tych słów, ale na wszelki wypadek nadał w kilku językach wiadomość: „Przybywamy w pokoju”.

Po chwili nadeszła odpowiedź w mowie taliańskiej: „Witamy przybywających w pokoju. Lećcie za mną” – odebrał Tom i mały statek zawrócił w stronę planety. Po wejściu w atmosferę

Ziemianin zauważył kilka dużych pożarów na powierzchni globu. Tam gdzie się nie paliło, widać było dobrze zagospodarowane tereny rolnicze, ogromne sady i uprawy roślin na dużych terenach. Budynki w miastach były wykonane z jakiegoś tworzywa, miały piękne kształty i jaskrawe, harmonizujące ze sobą barwy. Widać było, że mieszkała tam bardzo rozwinięta cywilizacja, niezwykle zorganizowana.

Gdy zbliżył się do powierzchni planety, zauważył lądowisko, którego na pewno wcześniej nie było w tym miejscu. Gdy zatrzymał się obok statku gospodarzy, polecił sprawdzić skład atmosfery. Nie pozwolił nikomu wyjść z promu, póki nie upewnił się, że nie ma jakiegoś podstęp. Skład chemiczny nie różnił się od składu atmosfery ziemskiej poza jednym – była idealnie czysta. Otworzył luk promu i czyste chłodne powietrze wypełniło cały statek. Tom wyszedł pierwszy, za nim radiooperator i mechanik. Kilka metrów od statku stały trzy postacie ubrane w kolorowe tuniki do ziemi. Był tam starszy mężczyzna, w wieku mniej więcej sześćdziesięciu lat, młodszy, mający na oko dwadzieścia pięć, i kobieta około trzydziestki. Byli wzrostu ludzi, mieli duże błękitne oczy i blond włosy. Byli dobrze ubrani i odżywieni, a proporcje ich sylwetek wydawały się niemal doskonałe.

Tom zbliżył się do postaci i powiedział jeszcze raz:

– Przybywamy w pokoju.

Tłumacz osobisty przełożył im jego słowa na mowę taliańską, która była im znana. W odpowiedzi usłyszał:

– Witamy na naszej planecie. Chodźcie z nami.

Starszy z gospodarzy wyciągnął rękę do góry i lekko nią machnął. W miejscu, gdzie przed chwilą był trawnik, pojawiły się schody i zejście do jakichś drzwi. Ziemianie poszli za gospodarzami. Podziemne pomieszczenia były dobrze oświetlone i pomalowane łagodnymi kolorami. Weszli do pomieszczenia, gdzie w centralnym miejscu stał stół otoczony dwunastoma krzesłami. Na trzech z nich siedziały trzy postacie nieco starsze niż te, które witały wysłanników Układu. Gdy wszyscy zasiedli do stołu, głos jako pierwszy zabrał Tom:

– Przybywamy w pokoju. Pochodzimy z Ziemi, planety znajdującej się w innej galaktyce. Byliśmy spokojną rasą, która dopiero stawiała pierwsze kroki w kosmosie. Atak zaskoczył nas na statku, który nie był wyposażony broń. Nie mogliśmy niczym przeciwstawić się agresorom. Postanowiliśmy uciekać i znaleźć sobie nową planetę, na której moglibyśmy przetrwać. Po drodze dokonaliśmy kilku wynalazków. Pozwoliły nam one przetrwać i uczynić przyjaciół z wrogo nastawionych ras. Znaleźliśmy też miejsce, które spełnia wszystkie nasze oczekiwania dotyczące przetrwania gatunku. Teraz razem z przyjaciółmi szukamy tych, którzy doprowadzili Ziemię i Kilię, planetę naszych przyjaciół, do zagłady i zabili tam miliardy istot. Są też z nami inne istoty. Straciły one w spotkaniu z tymi samymi agresorami tysiące krążowników. Przeżyły zagładę kilku kolonii, odnotowały miliony ofiar. Z tego, co widzieliśmy, waszą planetę atakował taki sam statek, który napadł na nasze rasy, dlatego go zniszczyliśmy. Chcemy pomścić miliardy istot zabitych na naszych ziemiach, koloniach i statkach. Czy wiecie coś o tych agresorach?

– My jesteśmy Dorianami. Nazywam się Symen. Jestem przełożonym nad ludem Dorian na tej planecie. Dziękujemy wam za pomoc. Bez niej ta planeta mogłaby nie przetrwać ataku. Przybysze nie pierwszy raz nas atakują. Są dokładni, palą wszystko, burzą nasze domy i niszczą pola. Nigdy nie lądują na planecie. Mamy podziemne schrony, dobrze ukryte, zapasy żywności i wody. Skonstruowaliśmy też urządzenia do oczyszczania atmosfery. Nie uznajemy broni. Nasze statki nie mają żadnego uzbrojenia, wystrzegamy się walki. Dlatego wasze przybycie bardzo nam pomogło. Statek, który nas zaatakował, należał do rasy Dorian. Tak, dobrze słyszałeś. Mieszkają oni kilkaset lat świetlnych stąd i są bardzo wojowniczą rasą. Moi przodkowie wyrzekli się walki. Nie chcieli niszczyć światów i planet. Jakies siedemset lat temu ich statek ruszył w kosmos na poszukiwania planety, na której mógłby się osiedlić. Tak znaleźliśmy się tutaj. Po kilkuset latach budowy świata opartego na miłości i pokoju nasze społeczeństwo stało się idealne. Czterdzieści lat temu odnaleźli nas nasi ziomkowie. Chcieli, byśmy wrócili do ich społeczeństwa, opartego na przemocy i wojnach. Odmówiliśmy im i pokazaliśmy, co udało nam się zbudować pracą i pokojem. Nie dali za wygraną. Co jakiś czas próbują przekonywać nas i grozić. Gdy to nie skutkuje, niszczą naszą planetę ekonomicznie. Co kilka lat przylatuje tu jeden lub dwa statki i niszczą wszystko, co znajduje się na powierzchni. Okręt, który unicestwiliście, był już drugim w tym roku. Widać zintensyfikowali działania. Postanowiliśmy nie walczyć. Pobudowaliśmy schrony i spichlerze podziemne, z góry zasłonięte przez emisje holograficzne. Cieszymy się każdą chwilą spokoju. Tym razem było inaczej. Przed atakiem wysłali wiadomość: „To wasz koniec. Inwazja jest nieunikniona. Zniszczymy was wszystkich, a planeta będzie naszą bazą wojskową”. Zaczęli niszczyć miasta, zginęły setki Dorian. Ma tu przybyć flota. Dokona inwazji. Zabiją wszystkich, którzy się nie przyłączą, a nie nadają się do pracy. Reszta będzie budować tu obiekty bazy wojskowej i ich statki aż do wyniszczenia lub asymilacji całej populacji. Wysyłaliśmy sygnał o pomoc, ale nie wiem, czy ktoś go odbierze. Nadawaliśmy go zbyt krótko, ponieważ komunikat można nadać z kosmosu, a oni niszczyli nasze statki, które nawet nie zdążyły wyjść z atmosfery.

– Przechwyciliśmy sygnał z waszej planety, ale nie mogliśmy go rozszyfrować – przerwał mu Tom. – Taki sam wysłał statek, który musieliśmy zniszczyć, bo atakował i niszczył taliańskie kolonie. Zbadaliśmy kierunek, skąd go wysłano, i przylecieliśmy tutaj.

Wtem odebrał wiadomość od dowództwa: „Ukryj prom, zbliża się wróg”. Tom przekazał wiadomość gospodarzom, że przybyła flota inwazyjna i szykuje się do ataku.

– Czy możecie ukryć prom, by nie był widoczny z kosmosu? – odezwał się jeden z Dorian.

– Tak, pokryjemy go polem maskującym. Dzięki temu nikt go nie wykryje. A wy możecie tu zostać, dopóki dowódca was nie wezwie.

– Mój statek jest mały, ale dobrze uzbrojony. Może pomóc w walce.

– Będziecie atakować? – spytał Symen.

– Tak, ale jak znam admirała, poczeka, aż oni pierwsi zaatakują nas albo was.

Tymczasem admirał szykował się do walki. Wszystkie myśliwce i promy stały ukryte już na swoich pozycjach. Wielkie krążowniki doriańskie przyleciały bez włączonych pól siłowych.

Dowódcy tych okrętów byli pewni, że nikt nie może ich pokonać. Krążowniki stanęły w jednym miejscu i szukały za pomocą skanerów swojego okrętu, który kilka godzin temu miał zmiękczyć Dorian na planecie. Gdy niczego nie znaleźli, przeczuwając coś złego, jeden po drugim zaczęły włączać pola siłowe. Admirał przewidział taki manewr, dlatego nakazał, by każdy statek oznaczył miejsce postoju wrogiego statku i po włączeniu przez niego białej kuli śledził go za pomocą czujnika spalin.

Przeciwnik dopiero po godzinie wykonał ruch. Z jednego krążownika wyleciały trzy stateczki w polu siłowym białej kuli i skierowały się w stronę planety. Admirał wysłał wiadomość do Toma, by gdy tylko myśliwce zaatakują powierzchnie planety, zniszczył je. Tamten już siedział za sterami promu na pewnej wysokości, gotowy do walki. Śledził na skanerach trzy małe smugi spalin. Prom był gotowy do walki. Obsługa czekała na atak wroga.

Myśliwce obleciały spory teren, sprawdzając, czy coś się wydarzy. Nagle Tom usłyszał rozmowę pilotów w pojazdach. Było to możliwe dzięki tłumaczowi podarowanemu mu przez Dorian z planety:

– Zauważyłem szczątki spalonego naszego krążownika. Z powierzchni nie mogli go zestrzelić, musiał ulec awarii. To niemożliwe, by nikt się nie uratował i żeby nie nadano sygnału o usterce. To co robimy? Jak by nie było, to wina tych z dołu. Przekaż, że jesteśmy gotowi do ataku.

Po chwili Tom jeszcze raz usłyszał głos pilotów:

– Mamy rozkaz ataku. Zaraz przylecą inni.

Myśliwce zanurkowały i rozpoczęły ostrzał budynków na powierzchni. Tom tylko czekał na ten moment. Wycelował w zbliżający się myśliwiec i strzelił czerwonym laserem, przebijając mały stateczek na wylot. Maszyna zamieniła się w kulę ognia. Chwilę później w miejsce upadku dopalającego się myśliwca przyleciały dwa następne. Zaczęły krążyć nad wrakiem. Jeden z nich wylądował obok szczątków pojazdu, a drugi krążył nad nim. Tom ponownie wycelował w latający myśliwiec i zniszczył go. Pilot będący na powierzchni szybko wskoczył do maszyny i włączył pole siłowe. Tom serią laserów szybko zniszczył tworzącą się białą kulę i trzeci pojazd eksplodował. Ziemianin po zniszczeniu myśliwców ukryty w białej kuli leciał w kierunku Odkrywcy starając się opuścić atmosferę. Wtedy to otrzymał uderzenia lasera w tarczę. Po chwili dostał drugi raz.

Oslony zaczęły słabnąć. Następne trafienie sprawiło, że kula stała się czerwona. Tom próbował unikać strzałów, ale nie przed wszystkimi udało mu się ustrzec. W krążownik, który go ostrzeliwał, wypalił serię z działek sprzężonych czerwonego lasera. Zniszczył pole siłowe okrętu, a następnie strzelił małą torpedą trytową w środek kadłuba. Pocisk wbił się na czterdzieści metrów w statek i tam eksplodował. Potężny wybuch rozerwał wielki krążownik na dwie części. Te jedna po drugiej zaraz eksplodowały. Walkę krążownika z małym promem obserwowały inne krążowniki. Ich piloci nie mogli uwierzyć w to, co widzieli. Jak tak mały statek mógł zniszczyć potężny krążownik? Tom wykorzystał chwilę zaskoczenia do włączenia białej kuli, ale drugi krążownik zauważył ten manewr i strzelił celnie w prom, niszcząc jego

pole siłowe. Następnie trafienie przedziurawiło maszynę na wylot. Jednak osłony wewnętrzne z mola spełniły swoje zadanie i zatkały otwory po strzałach, a ciśnienie powietrza zostało wyrównane z butli zapasowych. Wściekły Tom krzyknął do nadajnika:

– Rozpieprzy ktoś tego gnoja czy sam mam wszystko zrobić?

Odpalił w ukryty krążownik drugą serię z czerwonego lasera. Nie wszystkie promienie trafiły, ale to wystarczyło by osłony okrętu padły.

Następna seria wycelowana w silnik i środek kadłuba sprawiła, że krążownik był przedziurawiony na wylot w dwudziestu czterech miejscach. Tylko gdzieniegdzie widać było wybuchy. Chwilę potem wszystkie światła pogasły i statek stracił sterowność. Zaczął dryfować w kierunku planety. Większość załogi wielkiego krążownika zmarła w wyniku ucieczki atmosfery przestrzeli– nami, które samoczynnie się powiększały. Trafienie zaś w wiązki przewodów spowodowało wyłączenie urządzeń ratunkowych. Załoga, która jeszcze żyła, nie miała możliwości ratunku.

Prom Toma był zasłonięty przez cielsko dryfującego kolosa. Nie miał zamiaru stamtąd wylatywać, dopóki na powrót nie włączą się osłony. Inne statki wroga nie mogły go ostrzelać, ponieważ istniało ryzyko, że trafiłyby swój uszkodzony statek. Jeden z krążowników odpalił silniki manewrowe i próbował od góry zejść prom Toma i zniszczyć go. Na to czekał Urko, który serią z Sokoła zniszczył doriański okręt niemal w jednej chwili.

Admirał wydał rozkaz ataku wszystkim statkom. W kosmosie zawrzało od wystrzałów. Krążowniki doriańskie jeden po drugim traciły pole siłowe, a potem rozpoczęła się masakra. Myśliwce strzelały w mostek, wywołując próżnię. Taki statek był niemal bezbronny, pozbawiony dowództwa i sterowania. Ziemskie statki przewyższały siłą ognia każdy z krążowników doriańskich, a myśliwce były nie do ustrzelenia. Odkrywca złotą gwiazdą wymierzył w ukryty w polu siłowym krążownik. Statek trafiony od czoła natychmiast stracił pole siłowe, a złota gwiazda, przechodząc przez środek okrętu, wzdłuż jego burt, przepalała wszystko, co napotykała na swej drodze. Dziurawiła silnik, który eksplodował, a po nim następne człony statku, aż cały został rozerwany w wybuchu.

Myśliwce świetnie sobie radziły z krążownikami. Ostrzeliwały pole siłowe, które było już słabe, przebijały je swoim polem siłowym, a następnie serią z laserów niszczyły i dziurawiły poszycie statku. Kilka takich rejsów i krążownik zaczynał dryfować lub eksplodował, trafiony małą torpedą trytową.

W godzinę uporano się z całą eskadrą. Parker nie mógł doliczyć się jednego krążownika. Z tego powodu admirał nie pozwolił nikomu wyjść z pola siłowego. Czekał na ruch wroga. Jedyнным widocznym statkiem był prom Toma, który, trafiony w emiter białej kuli, nie mógł się ukryć. Lecił od strony planety, gdzie spalił się krążownik, za którym się ukrywał. Teraz wracał, nie zdając sobie sprawy, że leci na wprost wycelowanego działa ukrytego okrętu.

Dowódca tego krążownika wiedział, że gdy tylko wystrzeli, ujawni swoją pozycję. Wówczas pozostałe statki wroga zniszczą go. Prom leciał kursem kolizyjnym i zderzenie z polem siłowym na pewno by go zniszczyło. Jednak to wskazałoby jego wrogowi pozycję

statku. Dowódca doriańskiego krążownika wykonał manewr, jak uważał, najbezpieczniejszy: po prostu zszedł z kursu, jakim poruszał się prom, by uniknąć kolizji. Tom kątem oka spojrzął na wykrywacz spalin i dojrzał obcy okręt. Prom lekko skręcił w kierunku krążownika i wystrzelił salwę z dwóch sprzężonych działek laserowych. Pole siłowe statku obcych pękło, a czerwone lasery zaczęły dziurawić jego poszycie, wzniesając eksplozje. Torpeda trytowa wstrzelona w krążownik wryła się głęboko w jego kadłub i wybuchła, rozrywając okręt na dwie części. Chwilę potem krążownik eksplodował. Uratował się tylko jeden myśliwiec, który jeszcze w hangarach włączył pole siłowe. To ono ochroniło jego przed śmiercią. Myśliwiec gnał teraz pełną mocą silników w kierunku innych planet tego układu. Admirał nie nakazał zniszczenia go. Wiedział, że takie statki mają niewielki zasięg. Chciał się dowiedzieć, dokąd mu się tak spieszy i czy nie ma tu jakiejś ukrytej bazy lub okrętu. Poleciał za nim Sokół. Ukryty w polu siłowym, śledził jego lot. Po kilku godzinach lotu mały myśliwiec leciał na pełnym ciągu silników, stale przyspieszając. Nagle motor mu zgasł i pojazd poruszał się dalej tylko siłą rozpędu. W kosmosie nie ma oporu powietrza, więc myśliwiec nie zwalniał.

Minął jakiś czas. Urko zeskanował przestrzeń na kursie myśliwca i odkrył, że ten zmierza do czwartej planety układu gwiazdowego. Zza planety na spotkanie pojazdu wyleciał statek wielkością przypominający Przyjaciela I i zestrzelił maszynę bez ostrzeżenia. Urko zdenerwował się, że kapitan tego statku tak potraktował swojego pilota. Oddał salwę ze swoich laserów. Statek obcych nie miał najmniejszych szans. Krążownik nie przetrzymałby takiego ostrzału, a co dopiero trzy razy mniejszy statek. Urko obleciał planetę dookoła kilka razy i niczego na niej nie znalazł. Sprawdzał też czujniki spalin. Bez efektów. W związku z tym zawrócił w kierunku planety, gdzie odbyła się bitwa. Dopiero na drugi dzień drugi ze statków orbitujących wokół czwartej planety szybko odpalił silniki i znikł. Kapitan tego okrętu patrzył bezradnie, jak jego bliźniacza maszyna rozlatuje się na kawałki, jednak zachował zimną krew i nie wdał się w walkę z nieznanym, za to potężnym wrogiem. Wolał zaczekać i powiadomić kogo trzeba o zajściu.

Tymczasem zaraz po bitwie prom Ziemiań wylądował w tym samym miejscu co przedtem, ale na jego pokładzie byli admirał Anderson Dark, Kilianin Zyto, Elianin i Parker. Zaproszono też Willisa jako konsultanta naukowego, by to i owo podpatrzył. Po przylocie gospodarze wydali przyjęcie dla gości. Dorianie nie chcieli słuchać o bitwie. Nie lubili walki, wprost brzydzą się nią. Byli jednak zadowoleni z ratunku, który nadszedł w ostatniej chwili. Z przechwyconych rozkazów udało się odszyfrować, że siedem krążowników miało zniszczyć tę cywilizację i założyć na planecie bazę kosmiczną. Wszystkich, którzy nie zgodziliby się podporządkować władzy centralnej, miano zgładzić.

Dorianie przekazali admirałowi technologię i projekt konstrukcyjny budowy urządzeń do szerokiego oczyszczania atmosfery planety z zanieczyszczeń i promieniowania. Maszyna ta potrafiła wytrącać z powietrza poszczególne pierwiastki i łączyć je z innymi w ciała stałe, które opadały na powierzchnię, a z czasem tworzyły pokłady tych minerałów. Nie chcieli jednak podać położenia planety macierzystej Dorian, bo to by znaczyło, że opowiadają się po jednej ze

stron konfliktu. Woleli tego uniknąć.

Kilka dni później eskadra po włączeniu pola siłowego leciała kursem, skąd nadleciały statki Dorian. Na statku poza służbami radiotechnicznymi zapanował spokój. Emocje opadły po stoczony bitwie. Wtedy to przypomniano, że Tom Rikardson sam zniszczył trzy okręty. Za waleczność i odwagę został mianowany do stopnia kapitana i dostał przydomek Łowca Krążowników.

Statki leciały z maksymalną prędkością. Mijając kolejne mało interesujące układy gwiazdne, sporadycznie trafiały na ślady cywilizacji. W jednym z układów napotkano czynną sondę szpiegowsko-przekaznikową. Zbierała ona błyski z galaktyki i przekazywała je dalej w różnych kierunkach. Błyski takie widziano już wcześniej i nietrudno było zgadnąć, do kogo ta sonda należy. Admirał rozkazał, by pod urządzenie podleciał prom w polu siłowym białej kuli. Miał je wyłączyć, gdy znajdzie się tuż przed sondą. Gdy Tom Rikardson podleciał tam i opuścił pole siłowe, urządzenie natychmiast przeskanowało stateczek i wysłało krótki sygnał w kosmos. Potem nastąpił strzał z czerwonego lasera. Promień przepalił prom na wylot. Osłona z mola zadziałała błyskawicznie, naprawiając przestrzelinę. Gdy prom nie eksplodował, sonda błysnęła jeszcze raz i wiadomość poszła w kosmos w tym samym kierunku, co poprzednia. Tom włączył białą kulę. Sonda znowu strzeliła, ale pole siłowe wytrzymało uderzenie. Znowu błysnął promień z wiadomością. Po chwili drugi strzał uderzył w pole siłowe promu. Tym razem również nie wyrządził szkody. Sonda znowu wysłała krótki błysk w tym samym kierunku. Tom już nie czekał. Wymierzył i strzelił. Sonda zamieniła się w kupę złomu i zaczęła dryfować.

Rikardson poszedł obejrzeć przestrzelinę, która powstała w dopiero co naprawionym statku. Po pewnym czasie zawrócił i zaparkował na Syriuszu, gdzie zreperowano prom. Nie rozumiał tylko, dlaczego admirał kazał czekać tak długo ze zestrzeleniem sondy i dlaczego pozwolił, by nadała sygnał o ich obecności i strzelała do niego. Obiecał sobie, że zapyta o to przy najbliższej sposobności.

Okazja ta trafiła się szybciej, niż się spodziewał. W dodatku nie musiał zadawać pytania, ponieważ admirał od razu wyjaśnił przyczyny swojego postępowania. Na naradzie przedstawił swój punkt widzenia i dalszą strategię walki.

– Panowie, gdy się nie zna sił przeciwnika, nie wolno pokazywać mu wszystkich swoich możliwości, bo mógłby się przygotować. A teraz gdy dostanie wiadomość, że leci tylko jeden mały statek wyposażony w pole siłowe i potężne działa laserowe, ile okrętów wyśle mu na spotkanie?

– Jeden lub kilka – powiedział Tom.

– No właśnie, będzie kierował tu po kilka statków. Zanim domyśli się, z kim ma do czynienia, straci połowę floty. Poza tym teraz doskonale znamy kierunek, w którym mamy lecieć, by odnaleźć wroga. Wiemy, skąd przylecą statki obcych. I nie będzie ich pięćdziesiąt, tylko kilka. Na pewno sobie z nimi poradzimy.

Tak jak przewidział admirał, kilka godzin później na skanerach paliwowych wykryto trzy

krążowniki, które leciały prosto na ukryte ziemskie okręty gotowe do strzału. Odkrywca ustawił się na wprost środkowego statku i wymierzył do niego złotą gwiazdą, która zniszczyła natychmiast pole siłowe i przeleciała przez środek maszyny, niszcząc ją zupełnie. Silnik, a potem reszta okrętu eksplodowały. Dwoma kolejnymi statkami zajęły się pozostałe okręty ziemskie. Tak jak powiedziałby kiedyś ojciec admirała: „Cała walka trwała dwa pacierze i było po ptakach”.

Dowódca zdawał sobie sprawę, że dotychczasowe zwycięstwa zawdzięcza zaskoczeniu przeciwnika i jego arogancji. Taka komfortowa sytuacja nie będzie jednak trwać wiecznie. W końcu ktoś się zastanowi, gdzie podziały się statki wysyłane na misje przeciwko obcym kręcącym się po ich terytorium. Spodziewał się, że musi dojść do dużej bitwy i jeśli nie przygotuje załogi na coś takiego, finał może być tragiczny. Duże znaczenie miał fakt, że wróg nadal nie wiedział, z iloma statkami ma do czynienia. Nie zdawał sobie również sprawy z faktu, że Ziemianie dysponują nową bronią, która już pokazała, co potrafi. Nadal technologia złotej kuli była dla innych członków układu tajemnicą. Obsługiwali ją tylko Ziemianie. Mankamentem tej broni był natomiast fakt, że potrzebowała dużych ilości trytu. Surowiec ten był również wykorzystywany na czterech statkach do obsługi pola siłowego i czerwonego lasera. Zdecydowano, że Sokół będzie służył do celów zwiadowczych, a w ostateczności zostanie skierowany do walki. Dzięki temu będzie można oszczędzić tryt wykorzystywany do utrzymywania osłon białej kuli. Ważne było jednak to, że przeciwnik nie zdążył nadać sygnału ostrzegawczego. W ten sposób zyskano na czasie. Ten zaś był potrzebny do opracowania strategii walki z przeciwnikiem mającym dużą przewagę liczebną. Zaskoczenie nadal mogło być koronnym atutem w walce, zwłaszcza że wróg dawno nie prowadził wojny z żadnym sąsiadem dysponującym porównywalną bronią.

Admirał zażądał od załóg, by w trakcie najbliższej potyczki zostawiły jeden ze statków w stanie dobrym, ale takim, by nie mógł się bronić ani uciec. Pochwalił manewr jednego z pilotów myśliwców, który przebił polem siłowym pole siłowe okrętu i niszczył jego urządzenia oraz działa laserowe. Zaznaczył, że wprowadzenie tej strategii walki może mieć kluczowe znaczenie w przypadku tego przeciwnika.

Kazał skanować dokładnie przestrzeń. Kilka dni spokoju wprowadziło go w zły nastrój. Spodziewał się zaskoczenia, a tego naprawdę nie lubił. Kiedyś po służbie wezwał Szmita i Willisa i zaproponował, by zastanowili się nad stworzeniem emitera złotej gwiazdy wielkości statku. Niszczyłaby ona całe bazy kosmiczne. Uczni szybko wyperswadowali mu ten pomysł. Przypomnieli, że złota gwiazda i tak zużywa ogromne ilości trytu. Ledwie udało im się wybić admirałowi z głowy tę koncepcję, a ten miał już kolejną. Chciał, by na każdym statku było kilka emiterów złotej gwiazdy. Ten pomysł spodobał się uczonym. Poparli go. Szczęściarz poszedł dalej – zaproponował, by emiterzy zamontować na obrotowych wieżyczkach. Dzięki temu zasięg ostrzału byłby większy. Ten pomysł na jakiś czas poprawił admirałowi humor.

Kilka dni później był w złym nastroju. Szybko puszczały mu nerwy i to z byle powodu, dlatego każdy wykonywał swoje obowiązki jak najlepiej. Admirał nigdy nie był taki spięty. Ta

atmosfera udzieliła się i innym. Szmit i Urko, mimo iż uważali się za przyjaciół admirała, schodzili mu z drogi. Dowódca teraz często przesiadywał w dyżurce radiooperatora, co denerwowało obsługę stacji. Oberwało mu się, i to solidnie, od Tani, która zabrała na dyżur rozbrykane dzieci małego Toma i syna Darka. Chłopcy, nie zwracając uwagi na dorosłych, zachowywały się, według admirała, zbyt głośno. Burknął na dzieci. Tania nie wytrzymała i wybuchła gniewem:

– Czas wolny proszę spędzać u siebie, odpoczywać. Rozprasza mnie pan i denerwuje. Proszę wyjść z dyżurki bo poskarżę się lekarzowi, który każe panu zbadać się pod kątem nerwicy. Jak położy pana na kilka dni w ambulatorium, przynajmniej załoga odpocznie. Stał się pan zrzędlawy, nie do zniesienia. Nie widzi pan, jak załoga przez pana warczy na siebie?

Admirał, zaskoczony wybuchem Tani, zaniemówił z wrażenia. Jednak pomyślał, że ta kobieta ma rację. Ostatnio załoga zachowywała się nerwowo i było dziwnie cicho. Mógł wprawdzie ochrzanić Tanię, ale po co? Przecież wiedział, że miała rację.

Wyszedł z dyżurki i wrócił do siebie. Położył się, ale sen nie nadchodził. Wiedział, że wróg może się maskować. Kto wie, czy nie czeka, aż ziemskie statki wyjdą z ukrycia. Przeciwnik może też śledzić Ziemian po spalinach, tak jak oni to robią. Niewykluczone, że odkryli odpowiednią metodę. Zaatakują Ziemian i zmuszą ich do nierównej walki, z góry skazanej na klęskę Układu. Nie po to tu przybył, by zginąć z załogą, lecz po to, by mścić się za zniszczoną Ziemię i Kilię. Elianie i Talianie nie poradzą sobie z Dorianami. Cały Układ może się rozpaść po pierwszej porażce. Co wtedy stanie się z kolonią na Nowej? Koniecznie musi zwiększyć liczebność kolonistów, by planeta mogła się obronić. Nieważne, czy to będą ludzie, Talianie, czy Elianie. Istotne, by chcieli tam mieszkać i w razie potrzeby mogli bronić Nowej.

Tymczasem tania wpatrywała się w ekran monitora i nic oprócz asteroidów nie było widać. Obok niej bawili się chłopcy, jej syn i syn Kilianina Darka. Tom miał już osiem lat i często towarzyszył matce na dyżurze. Nierzadko wyręczał ją w obserwacji kosmosu, zwłaszcza że wzrok miał bystry i nic nie umknęłoby jego uwadze. Tania poprosiła chłopców, by zastąpili ją w obserwacji radioteleskopów. Musiała porozmawiać z Tomem. Malcy zwietrzyli nową zabawę i zaczęli bawić się w szukanie największych asteroid. Zwiększali skalę i rozszerzali zakres skanowania. Po jakimś czasie niemal jednocześnie na obydwu skanerach dalekiego zasięgu odkryli duży zbliżający się obiekt wielkości małej planety. Nie poruszał się, więc nie był asteroidą. Do najbliższej gwiazdy było dwa i pół roku świetlnego, więc to nie mogła być planeta jakiegoś układu poruszająca się po wielkiej orbicie. Chłopiec nacisnął cichy alarm, który powiadamia admirała o nieznanym obiekcie. Gdy ten odebrał słuchawkę, chłopiec zameldował:

– Zauważono obiekt kosmiczny wielkości planety, mający atmosferę. Obiekt nie porusza się. Do najbliższej gwiazdy dwa i pół roku świetlnego. Koniec raportu.

Admirał powiedział:

– Wciśnij klawisz alarmu drugiego stopnia i powiadom mamę.

Chłopiec dokładnie wykonał polecenie. Odezwały się ciche bucзки alarmu we wszystkich

dyżurkach. Sygnał ten nakazywał natychmiastowy postój i kontakt wszystkich wyższych oficerów. Tania jeszcze raz skierowała wszystkie czujniki na obiekt, który miał nawet pole siłowe, a po jego orbicie krążyły satelity. W ciągu dziesięciu minut oficerowie zebrali się. Tania pojawiła się jako ostatnia.

– Przepraszam, czy mogę zabrać głos? – zapytała.

– Za chwilę – usłyszała głos admirała. – Przed nami znajduje się obiekt wielkości małej planety, mający atmosferę. Trzeba zbadać, czy przebywają tam statki wroga.

– To nie planeta, tylko baza kosmiczna mająca silne pole siłowe – przerwała mu Tania. – Dodatkowo jest tam kilkanaście lub kilkadziesiąt statków kosmicznych typu krążownik i wiele mniejszych jednostek. Z zachowania tych okrętów można stwierdzić, że obcy nie wykryli nas. Do stacji mamy pięć godzin lotu z maksymalną prędkością. To wszystko.

Usiadła. Oczy wszystkich skierowały się na admirała, który powiedział:

– Tak, sprawa jest jasna, baza kosmiczna... Tego się nie spodziewałem. Najgorsze jest to, że musimy ją zniszczyć, by upadło ich morale.

Zyga Pona, który przejął wachtę po Tani, zameldował, że stacja kosmiczna bardzo powoli porusza się w kierunku statku Układu. Szybko obliczył, że za czternaście dni będzie w zasięgu strzału. Admirał niemal podskoczył z radości.

– To jednak będziemy mogli ich zaskoczyć. Poczekamy na nich w ukryciu.

W bazie, a raczej na stacji kosmicznej rzeczywiście niczego nie wykryto. Nadal czekano na wiadomość od trzech krążowników wysłanych z misją przeciwko jakiemś obcemu stateczkowi, który znieacka pojawił się na ich terytorium. Na wszelki wypadek zaczęto ściągać wszystkie jednostki będące w pobliżu.

Gdy nie było potwierdzenia o zniszczeniu statku, uznano, że albo popsuły się nadajniki we wszystkich okrętach naraz, albo zostały zniszczone przez ten pojazd. Obydwie opcje odrzucono jako mało prawdopodobne. Inna alternatywą było to, że stateczek to tylko zwiad jakiejś wielkiej floty, która w mgnieniu oka zniszczyła trzy krążowniki, nie dając im nawet szansy na nadanie meldunku. Dorianie nie chcieli wysłać w pojedynkę okrętów na zwiady, by jak tamte trzy nie uległy zagładzie. Teraz dopiero przypomniano sobie raporty, według których już kilkanaście krążowników nie daje znaku życia i nie składa raportów do dowództwa. Kierujący stacją doriańską domyślał się, że może mieć do czynienia z wysoko rozwiniętą rasą, nie pochodzącą nawet z tej galaktyki. Pobliskie cywilizacje zostały podbite lub zniszczone albo znajdowały na takim poziomie rozwoju, że nawet za tysiąc lat nie będą stanowić zagrożenia. O tej rasie wiedział tylko tyle, że z jakiegoś powodu niszczy ich krążowniki i jest nieznana. Jeśli jednak się spotkają, to ta baza kosmiczna okaże się najpotężniejszą bronią w galaktyce. Dysponuje dwoma tysiącami dział laserowych, setkami rakiet i dział plazmowych najnowszej generacji. Do tego ma setki krążowników i szturmowców oraz tysiące myśliwców kosmicznych. Przede wszystkim jednak korzysta z potężnego pola siłowego, okalającego całą planetę. Tak myślał dowódca bazy doriańskiej. Nie wiedział wówczas, że już niebawem będzie musiał zweryfikować swoje poglądy na temat potęgi i wytrzymałości swojej bazy.

Tymczasem na Odkrywcy dowództwo omawiało strategię walki. Głównym założeniem było zaskoczenie przeciwnika. Najważniejsze zadanie przypadnie myśliwcom, które będą musiały jako pierwsze przebić pole siłowe planety i odnaleźć, po czym zniszczyć emiter pola siłowego oraz wyrzucić jak najwięcej szkód. Uzbrojono je w dodatkowe torpedy trytowe, które, eksplodując w atmosferze planety, wywołują w miejscu wybuchu próżnię na dużym obszarze, a fala uderzeniowa spotęgowana jest przez przemieszczające się masy powietrza. Reszta statków miała zniszczyć doriańskie okręty zbierające się na orbicie planety. Na pięć dni przed atakiem flota liczyła czterdzieści sześć krążowników i co kilka godzin przybywał następny. W takim ataku wszystko się może zdarzyć, dlatego admirał wydał polecenie, by piloci myśliwców zamontowali detonatory na swoich myśliwcach. Niech wróg wie, że zestrzelenie jednego z pojazdów spowoduje eksplozję o niewyobrażalnej sile, i to w atmosferze planety. Zapalnik miał detonować minutę po zderzeniu się z powierzchnią globu.

Kilka dni później wszystkie statki stały w założonych formacjach gotowe do walki i ukryte w białych kulach. Steward dowodzący Syriuszem przeniósł się na prom i miał z niego rozmawiać z Dorianami. Prom narażony był na bezpośrednie trafienie, dlatego przed nim miał stać jeden człon Sokoła, który odleci, jak tylko zostanie trafiony laserem. Jego miejsce przed promem zajmie drugi, a potem trzeci człon Sokoła. Atak na pojazd Układu był bezpośrednim rozkazem do szturmowania floty wszystkimi siłami.

Gdy nadszedł czas, prom wyszedł z ukrycia i nadał w kierunku Dorian wiadomość o warunkach ich kapitulacji: „My, przedstawiciele ras Ziemi, Elian, Kilian i Talian napadniętych przez wasze statki, przylecieliśmy tutaj, by odplacić wam za miliardy pomordowanych naszych obywateli. Proponujemy, żebyście poddali bazę kosmiczną i statki, wtedy darujemy wam życie, jeżeli odmówicie, czeka was zagłada. Nic was od niej nie uchroni. Na odpowiedź czekamy godzinę”. Steward skończył mówić i ukrył prom w białej kuli. Włączył na chwilę silniki i zaraz je wyłączył. To wystarczyło, by przesunąć statek o kilkadziesiąt metrów i zejść z linii strzału krążowników.

Dowódca bazy słuchał przekazu i nie mógł uwierzyć, że tak mały stateczek zniszczył sondę szpiegowską. Poraziła go bezczelność pilota.

– Jacy Ziemianie czy Kilianie? O czym ta istota mówi? – pytał swoich doradców. Kazał szukać w archiwach wiadomości o tych rasach. Według danych to zacofane technologicznie rasy, które nie miałyby siły pokonać kilku statków, a co dopiero żądać kapitulacji bazy kosmicznej i floty. Raport donosił, że ich krążownik w jednej bitwie zniszczył jedenaście tysięcy statków taliańskich. Z Ziemi uratowało się kilkanaście stateczków, z których jeden nawet mieli w muzeum obcej technologii. Załoga pojazdu w większości nie żyła. Statek ten nazywał się Kopernikus. Przyholowano go z sąsiedniej galaktyki.

Czas mijał. Dorianie nadali wiadomość: „Nie obchodźcie mnie wy ani wasz Układ, który zostanie zniszczony. Sam tego dopilnuję. Co do Ziemi: mamy w muzeum wasz statek Kopernikus, a przedstawiciele waszej rasy wypchaliśmy trawą i stoją teraz jako eksponaty obok maszyny. To wy się poddajcie. Wówczas może przeżyjecie jako niewolnicy w naszych

kopalniach. Oto nasza odpowiedź".

W tym momencie z krążowników oderwało się kilkanaście czerwonych laserów i uderzyło w miejsce, skąd nadawał prom Stewarda. Gdyby statek stał w tym samym miejscu, byłby podziurawiony jak sito. Tymczasem promienie poleciały w kosmos. Krążowniki doriańskie podleciały do miejsca, gdzie powinien stać prom. Zaczęły poszukiwania. Zostawiały widoczny dla czujników ślad spalin. Syriusz pierwszy uderzył złotą gwiazdą w rufę okrętu wroga, który natychmiast eksplodował. Nie pomogły nawet potężne osłony białej kuli. Pozostałe statki też otworzyły ogień. Zniszczyły w pierwszej salwie osiem krążowników. Powstało małe zamieszanie. Wszystkie krążowniki wysunięte na czoło zostały zniszczone, a wroga nie było widać. Pozostała flota skoncentrowała się na orbicie planety. Nie była przygotowana do walki. Uważano, że tamte wysłane statki to aż za dużo na spotkanie z małym stateczkiem. Dorianie zdawali sobie sprawę, że maleńki pojazd nie może sam latać, bo jego zasięg jest ograniczony, ale są na swoim terytorium, czyli u siebie, więc co tu jest grane? Flota ruszyła się i zmierzała powoli w miejsce, gdzie jeszcze dryfowały wraki jej statków. Tymczasem ziemskie myśliwce zmierzały w kierunku planety, która nie spodziewała się ataku.

Statki ziemskie podleciały blisko krążowników i niemal schowane przed innymi krążownikami doriańskimi zaatakowały pełną siłą ogonia. Odkrywca ostrzeliwał z powodzeniem cztery okręty naraz. Sokół też nie dawał się prześcignąć i niszczył jeden statek za drugim. Nie upierał się, by dorzynać uszkodzone statki. Po prostu zabierał się za następny, pozwalając załodze opuścić uszkodzony pojazd. Setki myśliwców, stateczków i kapsuł ratunkowych zmierzało w kierunku planety.

Gdy myśliwce rozgrzały swoje pola siłowe, bez przeszkód przeszły przez pole siłowe planety. Były jednak przez jakiś czas widoczne. Wszczęto alarm na globie. Piloci wiedzieli, że zanim dolecą na powierzchnię, obrona będzie na stanowiskach, dlatego zaraz po wejściu pod pole wystrzelono kilkadziesiąt małych torped trytowych. Pociski z ogromną prędkością zmierzały w kierunku planety. Obrońcy nie mieli czasu zareagować. Zresztą uważali, że zamiar z tak wielkiej wysokości nie mógł być dokładny, więc i zniszczenia będą niewielkie. Rozrzut torped też był ogromny. Nie obawiano się ich za bardzo.

Jednak to, co się stało, gdy torpedy jedna po drugiej zaczęły eksplodować, przeszło wszelkie wyobrażenia obrońców. Niemal cały kontynent został zniszczony, a eksplozja zmiotła wszystko z powierzchni planety. Na obszarze, gdzie wybuchały torpedy nie było drzewa ani budynku, które nie byłoby unicestwione. Wszystko, co tam żyło, na pewno zginęło. Pole siłowe planety bardzo osłabło. Gdyby znikło, planeta umarłaby niemal natychmiast, zamarzając bez gwiazdy i ochrony przed zimnym kosmosem.

Myśliwce poleciały na drugi kontynent, ale tam obrona była już przygotowana. Niemniej podleciały pod obiekty wojskowe i zaczęły je sukcesywnie niszczyć. Zaroilo się od samolotów obrony naziemnej wroga, które strzelały krótkimi laserami w poszukiwaniu ziemskich stateczków, aż natrafiły na pojazd, który oberwał i stracił pole siłowe. Koledzy starali się ochronić uszkodzoną maszynę, ale skoncentrowany ostrzał kilkoma laserami zniszczył ją.

Myśliwiec spadł na powierzchnię planety. Pilot nie dawał znaków życia. Wtedy wszystkie ziemskie myśliwce jak jeden mąż wydarły pełną mocą silników w górę. Wiedzieli, co za chwilę nastąpi. Detonacja dwóch ton trytu z myśliwca to nie przelewki, zwłaszcza w atmosferze planety. Błysk, który nastąpił, zwrócił uwagę wszystkich walczących w kosmosie. Planeta zajaśniała niemal jak gwiazda, a potem zgasła i zamilkła. Zniszczone pole siłowe już nie chroniło niczego na powierzchni. Wszystko, co się tam znajdowało, zamarzło, łącznie z życiem.

Myśliwce wróciły na pole bitwy gdzie walka z przeważającymi siłami nabierała rozpędu. Już wszystkie statki ziemskie otrzymały po kilka trafień i ich pola siłowe były nadwątlone. Dorianie mimo ogromnych strat walczyli dzielnie. Myśliwce z marszu weszły do walki, przebijając polem siłowym osłabione walką białe kule pola siłowego wrogich krążowników. Kilka statków eksplodowało niemal w tej samej chwili. To był przełom w walce. Rozpoczęło się dorzynie rannego zwierza. Ostatni z krążowników admirał kazał uszkodzić i pozbawić środków obrony. Zaatakowano silnik i hangary myśliwców. Zniszczono baterie i statek zaczął dryfować, ale załoga żyła. Ponownie zaczęły działać silniki manewrowe. Było już po bitwie. Obok osiemdziesięciu wraków statków doriańskich i zniszczonej bazy kosmicznej na polu bitwy zostały tylko pojazdy Układu.

Od planety oderwała się jedna mała maszyna i bez pola siłowego podleciała do krążownika doriańskiego, który był jeszcze w miarę sprawny, i tam zaparkował. Na rozkaz admirała wszystkie statki Układu opuściły osłony – oprócz eliańskiego okrętu. Dopiero wtedy Dorianie zobaczyli, ile statków i jakiej wielkości zniszczyło ich flotę i potężną bazę kosmiczną, z której byli tak dumni. Admirał wysłał meldunek do statku doriańskiego, by się poddał i czekał na wejście wojska Układu. Po godzinie teleportowano ponad stu ludzi. Zajęli cały statek i wzięli do niewoli ponad sześćset członków załogi oraz Dorian wywiezionych pojazdem z planety, tych, którzy przeżyli atak.

Po zajęciu okrętu jego załogę umieszczono w hangarze myśliwców pod strażą. Sami Dorianie byli bardzo podobni do ludzi, tak jak już poznani Dorianie na pokojowej planecie. Charaktery mieli inne. Byli butni, ponurzy i mało przystępni. Może to wynika z sytuacji, w której obecnie się znaleźli, nietypowej dla nich. Nigdy nie słyszeli, żeby jakaś załoga statku dostała się do czyjejś niewoli.

Do hangaru wszedł Parker i zapytał za pomocą urządzenia tłumaczącego, które otrzymał od pokojowych Dorian:

– Kto jest dowódcą tego statku?

– Ja jestem dowódcą tego krążownika, ale nie ze mną powinniście rozmawiać.

Na statku po bitwie przyleciał z planety dowódca całego zgrupowania.

– To niech wystąpi z szeregu – powiedział właśnie nadchodzący admirał.

Z grupy Dorian wyszedł niestary jeszcze osobnik, wręcz za młody na tak wysokie stanowisko. Musiał pochodzić z liczącej się na swojej planecie rodziny. Admirał popatrzył na niego i zapytał:

– Gdzie się podziała twoja buta? Gdzie arogancja i pycha? Przez was zginął mój pilot myśliwca, a wy wszyscy i cała wasza rasa nie jesteście warci jego życia. Co teraz czujesz, pokonany i pobity? Nie mów, wiem! Wiem, bo gdy wasz statek niszczył naszą Ziemię, czułem to samo. Wściekłość i bezsilność. I chęć zemsty. Teraz poczujesz, jak moja eskadra niszczy twój świat. Obiecuję ci, że to wasze imperium upadnie na kolana. Za dawniej przelaną krew zapłacicie własną krwią. Mówiłeś, że masz Kopernikusa i jego załogę wypchaną trawą. Mówię ci, to samo spotka waszych ziomków. Nie podaruję ani jednej kropli krwi przelanej przez was. Jeżeli masz coś na swoją obronę, mów teraz, bo innej okazji nie będziesz mieć.

– Nie wszyscy z załogi Kopernikusa zginęli. Część z nich żyje – odpowiedział Dorianin. Admirala aż zatkało. Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego.

– Gdzie oni teraz są?

– A darujesz życie mnie i moim ludziom?

– Masz moje słowo. Jeżeli ludzie żyją, to i wy przeżyjecie.

– W promie jest hibernator. Znajduje się w nim dwunastu członków załogi Kopernikusa. Śpią od trzech lat.

– Każ swoim ludziom obudzić ich. I lepiej byłoby, gdyby przeżyli ten proces.

Gdy grupa doriańskich naukowców poszła pod strażą na krążownik, admirał dalej przepytawał ich dowódcę:

– W jaki sposób pochyciliście statek? I co się stało z resztą załogi?

– Dwa lata temu nasz okręt wracał z waszej galaktyki i zauważył obiekt poruszający się z prędkością czterech i pół tysiąca parseków. Z taką prędkością nie porusza się żaden obiekt kosmiczny oprócz statków. Pojazd ten leciał bezwładnie z ogromną prędkością, był uszkodzony, a większość załogi nie żyła. Nasz krążownik szybko dogonił uszkodzony statek i zajął go. Przeżyło dwadzieścia siedem osób. Resztę pochowano w kosmosie, tak robimy z Dorianami, gdy poniosą tam śmierć. Dwanaście osób pozostawiono w bazie, a resztę przewieziono na Dorię. Po znalezieniu byli w bardzo złym stanie, dlatego od razu ich zahibernowano. Nawet nie wiem po co.

– Teraz podaj położenie Dorii.

– Nie mogę, bo zniszczycie ją tak jak moją bazę.

– Jak nasi będą żyć, to może jej nie zniszczymy. Jednak kiedyś i tak ją znajdziemy. Jeżeli ludzie z Kopernikusa nie żyją, lepiej nie podawaj nam jej pozycji. Nie liczcie na litość. Będziemy zabijać, aż zgładzimy całą waszą rasę.

Dowódca uszkodzonego krążownika, przysłuchujący się rozmowie, odezwał się niepytany:

– Na pewno ich nie zabili. A trzymają w tajnych bazach jako przedstawicieli inteligentnych istot z kosmosu. Zawsze tak robiliśmy. Są Talianie, Kilianie, Jattanie i ludzie oraz inne istoty, których nawet nie pamiętam. Z początku trzymaliśmy ich żywych, ale w niewoli popełniali samobójstwa lub atakowali wartowników, próbując uciec. Teraz wszystkich hibernujemy. Mówię to, bo możliwe że nie każdy przeżył.

Rozmowę przerwał buczonek alarmu. Pojawił się nowy wrogi krążownik. Całe dowództwo

przeniosło się na swoje okręty, a na doriańskim statku pozostała ziemską załogę. Pojazdy Układu ukryły się w polu siłowym. Widoczne pozostały tylko uszkodzone doriańskie krążowniki i wraki innych krążowników. Gdy obcy statek podlegał do ledwie działającego okrętu, utrzymując się w polu siłowym, admirał nadał do niego wiadomość: „Zdejmij pole siłowe, inaczej zostaniesz zniszczony”. Po kilku chwilach pokazał się statek doriański tej samej klasy co wcześniej unicestwione. Niedaleko wyszedł z ukrycia Odkrywca, utrzymujący pole siłowe eliańskiego typu, które mogło wytrzymać kilka trafień czerwonego lasera. Obcy statek nie strzelał. Admirał kazał dowódcy bazy kosmicznej Melek-Szurowi zaprosić dowódcę tego krążownika na rozmowy, które odbędą się na Odkrywcy. Melek-Szur nadał wiadomość do Zento-Paka, by przybył na statek wroga, a od siebie dodał, by nie próbował żadnych działań militarnych, ponieważ większe okręty są ukryte i tylko czekają, by zniszczyć obydwa krążowniki.

Zento-Pak chwilę się zastanawiał nad wiadomością, ale poznał głos dowódcy bazy kosmicznej. Poza tym zniszczone wraki i milcząca baza kosmiczna opodal najlepiej świadczyły o sile przeciwnika i przemawiały bardziej niż najlepszy słowny argument. W asyście dwóch adiutantów myśliwcami przyleciał na Odkrywcę. Po wylądowaniu w hangarze na spotkanie przybył sam admirał i kilku oficerów z Melek-Szurem. Goście zostali zaproszeni do sali audiencyjnej. Tam admirał zapoznał przybyłych z sytuacją, w której się znaleźli. Zento-Pak nieco się przeraził zniszczeniem bazy kosmicznej i unicestwieniem osiemdziesięciu jeden krążowników przez kilka mniejszych statków. Spuścił z tonu, zwłaszcza że Melek-Szur wszystko to potwierdzał. Uzgodniono, że Zento-Pak poleci na Dorię i przywiezie wszystkich ludzi, Elian i Kilian, a także Talian i wymieni ich za załogę z krążownika. Jeżeli tego nie zrobią, Ziemianie odbiorą swoich krajan wraz z ich życiem i życiem miliardów Dorian.

– Zobaczcie, co zrobiłem z waszą bazą i flotą przy niej. Nie wiem, czy teraz wasza planeta ma taką obronę, jaką miała ta baza kosmiczna – odezwał się admirał.

„Rzeczywiście” – pomyślał Zento-Pak. „W tej chwili nie ma floty przy Dorii prócz kilkunastu krążowników, a większość załóg znajduje się na planecie na urlopiach. Flotę taką można szybko pokonać, a wtedy Doria będzie zupełnie bezbronna. I stanie się łatwym celem”.

Nie wiedział, że admirał nie zna położenia planety, a próby zlokalizowania jej przypominałyby szukanie igły w stogu siana. Zento-Pak jednak nie ryzykował. Wiedział, że torturami wszystko można wyciągnąć z załogi krążowników. Zgodził się na wymianę, ale chciał, by admirał już przekazał mu kilkunastu Dorian za dwunastu ludzi przekazanych mu przez Melek-Szura.

– Wykluczone – powiedział admirał. – Tymi ludźmi Melek-Szur wykupił swoje życie i życie swoich Dorian z bazy i tego krążownika. Zapomnij więc o targowaniu się.

Zento-Pak przyjął te słowa bez emocji. Wiedział, że tak będzie, ale musiał spróbować. Chciał się przekonać, na ile może sobie pozwolić z tą rasą. Poszedł pod strażą do hangaru, gdzie stał jego myśliwiec. Poleciał na swój krążownik i zawrócił w kierunku Dorii. Admirał wydał rozkaz, by Syriusz śledził ten krążownik, a gdy tylko doleczą do Dorii, miał zaraz wracać. Czas

oczekiwania na powrót doriańskiego krążownika wypełniły wydarzenia, które poruszyły całą załogę Odkrywcy. Odbyła się ceremonia pogrzebowa pilota poległego w ataku na bazę kosmiczną. Przez osiem lat wspólnego lotu cała załoga poznała się dobrze i młody porucznik Walery Jurkin, który zginął jako pierwszy człowiek, był lubiany przez kolegów za nieprzeciętne poczucie humoru. Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Admirał wygłosił piękną mowę i docenił wkład pilota w zniszczenia bazy. Potem trumnę Jurkina z galowym mundurem i fotografią wysłano w kierunku najbliższej gwiazdy.

Po tych wydarzeniach zaczęto wybudzać ludzi ze snu w hibernatorach. Część z nich niczego nie pamiętała. Po służbie zasnęli w swoich kajutach, a obudzili się tutaj, na Odkrywcy i dowiedzieli się, że większość ich przyjaciół nie żyje, zwłaszcza że dla nich minął dzień, a nie osiem lat. Jedynym oficerem był Paweł Kowalczyk, Polak z pochodzenia. W dniu katastrofy pełnił służbę na mostku. Kopernikus wyleciał miesiąc wcześniej niż Odkrywca. Kierunek lotu statku był przesunięty o trzydzieści stopni od kierunku lotu Odkrywcy w płaszczyźnie poziomej od orbity Ziemi wokół Słońca. Po czterech tygodniach lotu na silnikach impulsowych usłyszano meldunek z Ziemi o ataku obcych: „Nie wracać. To rozkaz”.

– Silnik sprawował się doskonale. Zbadaliśmy dokładnie kilka układów, ale później zatrzymywaliśmy się tylko przy takich, które rokowały nadzieję na dobre warunki albo zapasy wody lub minerałów. Podróż trwała, a my nie napotkaliśmy żadnej planety podobnej do Ziemi. Pewnej nocy miałem służbę. Zgłoszono mi awarię podajnika paliwa do reaktora impulsowego. Statek stale przyspieszał. Wysłałem do pomocy w maszynowni grupę techników. Ci jednak nie mogli dostać się do pomieszczeń maszynowni. Po wysadzeniu drzwi okazało się, że płonie. Cała obsługa nie żyła. Podajnik jednak wciąż działał i dostarczał coraz więcej paliwa do silnika. Urządzenia sterownicze były spalone i rozgrzane do czerwoności. Ogłosiłem alarm dla załogi. Wtedy spojrzałem na prędkościomierz, który wskazywał sześć tysięcy parseków i ta wartość stale powoli wzrastała. Wtedy odezwał się buczek alarmu kolizyjnego. Lecieliśmy prosto na asteroidę. Chciałem natychmiast zmienić kurs, ale było za późno. Uderzyliśmy w coś. Rzuciło mnie na ścianę i straciłem przytomność. Później obudziliście mnie. To wszystko, co pamiętam.

Resztę dopowiedział Melek-Szur, który przysłuchiwał się opowiadaniu oficera.

– Kto z załogi przeżył? – zapytał oficer Melek-Szura.

– Nie wiem. Wszyscy uratowani są u nas numerami trzynaście do dwadzieścia siedem. Nazwisk nie znam. Wy byliście numerami od jednego do dwunastu. Nie wiedzieliśmy, co z wami zrobić, więc pozostawiono was tak, jak znaleziono – śpiących. Wrak waszego statku znajdował się na zniszczonej przez was bazie kosmicznej. Na pewno też nie przetrwał.

Porucznik podszedł do Melek-Szura, chwycił go za rękę i potrząsając nią, powiedział:

– Dziękuję przedstawicielom waszej rasy za uratowanie członków załogi Kopernikusa z katastrofy.

Powstała sytuacja wydała się Melek-Szurowi nieco dziwna. Był jeńcem rasy, której przedstawiciel dziękował mu za uratowanie życia. Teraz mógł liczyć na jakieś względy.

Admirał, by przerwać ciszę, zapytał go:

– Czy jest możliwe, by ktoś przeżył atak na bazę?

– Na pewno tak się stało – odpowiedział. – Stacja oprócz głównego reaktora miała kilka tysięcy innych. Poza tym czerpała energię z jądra planety. Niemożliwe by było zniszczenie wszystkiego naraz. Pod powierzchnią są tysiące pomieszczeń z własnym zasilaniem i zapasami. Baza większość czasu orbituje wokół niewielkiej gwiazdy. Z takiej orbity łatwo ją wybić, zwłaszcza że planeta miała naturalne komory silnikowe. Zamontowaliśmy tam potężne silniki trytowe, które sterują globem podczas podróży w kosmosie. Prędkość nie jest zawrotna, ale można ją stale zwiększać. Na planecie znajdują się ogromne pokłady trytu, więc paliwa nie brakuje. Kilka statków pomaga w sterowaniu w kosmosie. To wszystko. Część załogi bazy zginęła podczas ataku, jednak pozostali zamarzli na skutek zniszczenia źródeł zasilania. Pod powierzchnią mogą żyć jednak jeszcze Dorianie, ale i oni zginą, ponieważ nikt nie dostarczy im paliwa do reaktorów. Przecież cała infrastruktura na powierzchni została zniszczona.

– Musimy przeprowadzić ewakuację całej załogi. Nie ma sensu, by ginęła na darmo – powiedział admirał. – Niech twoi Dorianie wezmą promy i poleca po ocalałych. Nie będę traktował ich jako jeńców, lecz jak rozbitków.

Po kilku godzinach przywieziono pięciuset Dorian. Nie wszyscy chcieli lecieć. Czuli się bezpieczni w schronach. Na rozkaz admirała statki ziemskie zaczęły holować planetę w kierunku najbliższej gwiazdy i osadziły ją na dokładnie wyliczonej orbicie, na tyle blisko gwiazdy, by nie można już było wybić jej z orbity. Zniszczono też silniki wykonane w naturalnych wgłębieniach planety.

Po tygodniu statki wróciły z misji. Planeta-baza stała się teraz zwykłą planetą, a osadzono ją na takiej orbicie, która pozwalała na rozwój życia. Tak już miało być zawsze. Stała się własnością całego Układu.

– Na pewno Dorianie żyjący jeszcze w schronach będą chcieli przejąć planetę we władanie – powiedział admirał. – Jak będą się buntować, prędzej zbombarduję ją jeszcze raz, niż oddam komukolwiek.

Planeta stała się zapleczem surowcowym Układu w tryt. Statki przywiozły go pełne ładownie i zaopatrzyły resztę floty.

Na radarach pokazały się trzy doriańskie krążowniki. Wszystkie statki Układu ukryły się za Odkrywcą i szykowały do bitwy. Ostrożność ta powodowana była faktem, że admirał nie znał zamiarów Dorian, mimo że wykryto tylko trzy ślady spalin. Okręty te stanęły obok uszkodzonego krążownika i Zento-Pak zaczął nadawać. Admirał przerwał mu i sam wysłał wiadomość do przybyłych: „Jeżeli wasze ukryte krążowniki nie opuszczą osłon, każę strzelać do nich, do waszych statków i rozstrzelać wszystkich jeńców. Macie pięć minut na podjęcie decyzji”.

– Co jest? – zapytał Parker Urka, który był nie mniej zdziwiony zachowaniem admirała. – Przecież urządzenia na Odkrywcy niczego nie wykazały.

Jednak zdecydowanie, z jakim mówił te słowa, było tak silne, że nikt nie śmiał oponować. Po pięciu minutach admirał nadał do promu: „Poruczniku Wagner, wystrzelcie torpedę trytową

w środkowy krążownik, ale tak, by trafić go od tyłu".

Wagner odleciał na piętnaście kilometrów za ostatni doriański okręt i odpalił pocisk. Nagły błysk rozświetlił kosmos i pole siłowe ukrytego krążownika pękło jak bańka mydlana. Wtedy ukryte ziemskie myśliwce otworzyły ostrzał za krążowniki doriańskie i szybko znaleźli dwa pozostałe okręty. Celny ostrzał szybko pozbawił pola siłowego trzy krążowniki.

Zento-Pak nadał wiadomość do admirała: „Proszę przerwać ostrzał, to statki opuszczą osłony”.

„Powstrzymaj mnie, jeśli potrafisz!” – odparł tamten. „Chciałeś mnie oszukać. Musisz ponieść karę. Te trzy statki muszą być zestrzelone, bo chciały nas zniszczyć”.

Po chwili przyszła wiadomość: „To pomysł dowództwa z Dorii. Poza tym na jednym z trzech krążowników są ludzie”

Admirał pomyślał, że Dorianie mieli chytry plan.

„Teraz nie mogę zniszczyć tych statków, bo zabiłbym ludzi”.

„Przerwij ostrzał statków i zajmij je. Jeśli będą się bronić, zabij całą załogę. Ludzie śpią w hibernatorach. Możesz wypuścić atmosferę z tych statków. Wszystkie załogi trafią na planetę-bazę jako jeńcy”.

Stan ostrzeliwanych krążowników był kiepski. Ledwie dryfowały i utrzymywały w środku atmosferę. Admirał zabronił udzielać pomocy załogom tych okrętów. To, co zrobił, było bardzo upokarzające dla Dorian. W centrum ich imperium obcy poniżają ich i traktują jak gorszych.

– Admirale, skąd pan wiedział o tych statkach? – zapytał Parker.

– Za szybko się witali, poza tym sam bym tak zrobił. Za stary wróbel jestem, by nabrać się na takie plewy – dodał.

Po przylocie Zento-Paka na Odkrywcę ten, nie znając jeszcze zamiarów admirała dotyczących załóg uszkodzonych krążowników, zaczął przeproszać za swoje dowództwo. Cisnęło mu się jednak na usta pytanie. Nie wytrzymał i zadał je:

– Jak udało się wam wykryć ukryte statki?

– Czytamy w waszych myślach. I nie szukaj bazy. Przejęliśmy ją i stała się własnością Układu.

Zento-Pak był przerażony nie na żarty. Chciał zapytać właśnie o los bazy. „Może on rzeczywiście umie czytać w myślach?”. Po chwili sam sobie zaprzeczył: „To niemożliwe”.

Szedł obok admirała do sali, w której mieli prowadzić rozmowy. Wtedy dowódca Ziemi odezwał się do niego:

– Nawet o tym nie myśl. Nic by wam to nie pomogło. Naraziłbyś tylko swoich na okrutniejszą zemstę.

Zento-Pak właśnie pomyślał, że gdyby zabił teraz admirała, może sam by zginął, ale uratowałby swój świat. Przełknął tylko ślinę ze strachu przed tym Ziemiąninem i nabrał dla niego większego respektu.

Gdy zasiedli do stołu rokowań, pierwszy głos zabrał admirał.

– Co macie dla nas, ludzi, a także przedstawicieli innych ras?

– Mamy piętnastu ludzi, trzech Elian, piętnastu Talian, siedmiu Jattan i sześciu Nadian. Wszyscy są zahibernowani i śpią od wielu lat, ale żyją.

– Niech prom przywiezie hibernatory i od razu zabierze Dorian. Jest ich kilka setek, ponieważ przeprowadziliśmy akcję ratunkową na bazie kosmicznej.

Po tych słowach Zento-Pak kazał wydać hibernatory. Nie czekał na rozkaz wyższego rangą Melek-Szura. Od doriańskiego krążownika zaczęły kursować promy na Odkrywcę i z powrotem. Przywoziły hibernatory, a zabierały Dorian.

Rozmowy trwały dalej. Admirał stawiał warunki.

– Przylecieliśmy tutaj tylko w jednym celu: by mścić się za zniszczenie Ziemi i Kilii, za śmierć milionów Talian i innych istot, których nie znamy, a przez was może nie poznamy. Planowałem zagładę całej waszej rasy, taką, jaką wy zgotowaliście naszym planetom. Uwierzcie mi, mam na to środki. Do tej pory zniszczyłem sto waszych okrętów i bazę kosmiczną, która jest teraz naszą własnością. Jeżeli będziecie oponować, poszukam waszej Dorii i nie będę miał litości. Zniszczę ją.

Zento-Pak wstał i zapytał:

– Panie admirale, a nie obawia się pan, że teraz podpiszemy porozumienie, a później zaatakujemy was z zaskoczenia i zniszczymy was i wasze światy?

Ten odpowiedział natychmiast:

– To pytanie znałem, zanim je wypowiedziałeś. Nie obawiam się. Miałem tego nie mówić, ale niech tam, powiem wam. Po przylocie do tej galaktyki znalazłem kilka interesujących planet i zająłem je, a dodatkowo połowę galaktyki, którą podarowałem Elianom jako ich strefę wpływów. Teraz tę galaktykę bada dziewięć potężnych eliańskich krążowników. To jeszcze nic, leci tu kilkaset innych statków eliańskich i kiliańskich. Gdyby jakimś cudem udało się wam zniszczyć nasze statki, wiedźcie, że przylecą tu i zniszczą was. Nie będą chcieli z wami gadać. I nie liczcie na litość Elian. Gdy tylko dowiedzą się, że mimo porozumienia zaatakowaliście nas, wymordują was co do jednego.

Dorianin zamyślił się nad tym, co powiedział admirał.

– Wiem, o czym myślisz, Zento-Pak. Jest już za późno na pokój. Twoi szykują atak i nic na to nie poradzisz. Oddanie nam przedstawicieli obcych ras to tylko mydlenie oczu. Chcieliście faktem oddania istot zmusić nas do

odkrycia się. Taki był ten wasz plan? W tej chwili zbieracie swoje siły wokół dwóch baz kosmicznych, które tu zbiegają.

– Wokół jednej – przerwał mu Zento-Pak, zdradzając tym samym plan ataku.

– Mylisz się, lecą tu dwie bazy kosmiczne. Znam myśli twoje i twoich ludzi. Niektórzy z nich wiedzą więcej niż ty. Jeżeli chcesz zapobiec ich zagładzie, wyślij statek. Niech ostrzeże Dorian, że o wszystkim wiemy.

Zento-Pak aż otworzył usta ze zdziwienia. Przywołał Melek-Szura i powiedział po cichu:

– Ty leć, mnie nie uwierzą. Powiedz, co widziałeś i słyszałeś.

Tymczasem admirał rozmawiał cicho z Parkerem. Chciał wiedzieć, czy wszystkie promy wróciły ze zwiadu. Parker od kilku dni rozsyłał je w różnych kierunkach. Śledził ruchy statków, zbierał dane i informacje. Parker wyszedł i zaokrętował się na eliańskim krążowniku. Miał lecieć za okrętem Melek-Szura, znaleźć Dorię i tam czekać na rozkaz ataku. Parker wysłał też wiadomość na Elię: „Jeżeli chcecie utrzymać swoje zdobycze, wyślijcie jak najwięcej okrętów. Zbliża się decydująca bitwa. Ten, kto będzie wtedy z nami, dostanie najwięcej”. Parker nie spodziewał się pomocy z Elii. Dziewięć krążowników, które już tu były, stanowiły dużą siłę.

Po odlocie Melek-Szura Zento-Pak odezwał się do admirała:

– Wiadomość dotrze w ciągu kilku dni. Ale już teraz wiem, że do bitwy na pewno dojdzie.

– Zdaję sobie z tego sprawę i jestem przygotowany do bitwy. Wasze bazy zbierają wszystkie siły do walki z nami, ale powiem ci jeszcze jedno: gdy potyczka się rozpocznie, bez względu na jej finał Doria, twoja macierzysta planeta,

zostanie zniszczona. Bazy kosmiczne zabiorą wszystkie krążowniki ochrony planety do walki ze mną. Gdybyście nawet wygrali, co jest mało prawdopodobne, i tak poniesiecie porażkę, bo straciecie to, o co walczyliście.

– Ale przecież nie zna pan jej pozycji.

– Mówiłem, że umiem czytać w myślach! Ty znasz pozycję Dorii, to i ja ją znam. Przekonasz się o tym, gdy będzie za późno na wszystko. Twoją winą będzie tylko to, że nie zdołałeś przekonać swoich rodaków.

– Na tę decyzję nie mam żadnego wpływu. Nawet jeżeli uwierzyliby Melek-Szurowi, i tak by zaatakowali. To wbrew naszej naturze. Lepiej się tylko przygotują i zbiorą więcej statków. A w to, że lecą tu eliańskie krążowniki, i mnie trudno uwierzyć.

– To wiedz, Zento-Pak, że to Elianie zniszczą Dorię. Taki wydałem im rozkaz. Nie wierzysz, że oni tu przylecą, więc nie przekonam cię, że unicestwią planetę. Szybko oprzytomniejesz, bardzo szybko.

Po tych słowach admirała Zento-Pak zamyślił się. „Jeżeli ten człowiek mówi prawdę, to już po nas. Jeżeli jednak blefuje i dojdzie do bitwy, na pewno przegra... On jednak nie zachowuje się tak, jakby obawiał się o wynik bitwy. Jest pewny swego, a na szaleńca lub samobójcę też nie wygląda. Jeżeli nie blefuje, to co będzie ze mną i z moimi statkami? Czy zniszczy je przed bitwą? Czy pozwoli nam walczyć? Mógłbym wydać rozkaz ataku i zginąć na tym krążowniku, ale ich myśliwce stale latają, a ukryte maszyny na pewno osłaniają ich flagowy okręt. To na nic, straciłbym tylko życie i możliwość rozmawiania z nimi i porozumiewania się. Co robić? Jak się dogadać z admirałem? Wiem, że to zdrada swoich, ale jeśli on mówi prawdę, dojdzie do zagłady całej rasy, a na to nie mogę pozwolić. Co robić? Nie zdołam przekonać dowódców do zaprzestania walki. Są zbyt pewni swojej siły i nie zdają sobie sprawy, że mogą przegrać. Niczego nie mogę wymyślić. Może admirał wpadnie na jakiś pomysł? Inteligentna istota. Może ma już gotowe rozwiązanie? Przecież musiał zakładać, że nie będziemy chcieli walczyć i zgodzimy się na pokój, który proponował. Z tego, co się o nim dowiedziałem, wcale nie chce bitwy, ale jeśli już się zacznie, to jest strasznym przeciwnikiem, bezlitosnym i konsekwentnym. Zrobi wszystko, co sobie założył, a nawet więcej. Niech to on w tej sytuacji poda najlepsze rozwiązanie”.

Zwrócił się do dowódcy Ziemi, który spoglądał przez okno i obserwował w oddali doriańskie krążowniki, świecące tysiącami światełek jak choinka u babci.

– Panie admirale, myślałem o naszej sytuacji.

– Ja także, i wiem, że nie da się uniknąć bitwy – odparł.

– Mimo to chciałbym uratować Dorię i tylu Dorian, ilu się da. Z tego, co wywnioskowałem, nie chce pan zagłady naszej rasy. Gdyby tak było, ruszyłby pan w kierunku Dorii, niszcząc pojedyncze krążowniki i bazy kosmiczne. Jednak jest pan tutaj. Czy ma pan jakieś propozycje?

Admirał wysłuchał Zento-Paka i zastanawiał się chwilę nad sposobem przekazania mu swojej decyzji, tego, co chciał mu wcześniej zaproponować. Czekał jednak na to, by sam się o to upomniał.

– Powiem ci, czego bym chciał! Chciałbym, żebyście walczyli, bo wiem, że przegracie. Poznałem waszą technologię i nie ulega wątpliwości, że nie macie żadnych szans. Bylibyście zdani na moją łaskę lub niełaskę. Skoro jednak poruszyłeś ten temat, to nie chcę okazać się większym mordercą od waszej rasy, która zniszczyła dwa mniej rozwinięte światy, nie zastanawiając się, ile miliardów istnień zabija. Ja nie chcę pokoju, chcę was wszystkich zabić, ale nie mogę być takim samym draniem jak wy. Tuż przed bitwą dam wam szansę na przeżycie. Wszystko będzie zależeć od ciebie. Na tobie spocznie cała odpowiedzialność za waszą rasę. Nie będę rozmawiał z dowódcami baz, które tu lecą. Ty będziesz się z nimi komunikował. Jeżeli przekonasz chociaż jednego z nich, baza przetrwa i później będę rozmawiał o pokoju. Jednak pamiętaj: jeżeli chociaż jedna z tych stacji otworzy ogień do moich statków, Doria umrze. To im powiesz. Dodasz także, że wiem, iż zabrali większość statków ochrony planety, więc jest bezbronna. To samo dotyczy krążowników, które tu lecą, a podlegają dowódcom baz. Oni odpowiadają za poczynania tych jednostek. Gdy bazy tu nadlecą, weźmiesz jeden ze swoich krążowników i polecisz do nich. Rozmawiaj z nimi oddzielnie i później z całym sztabem. Jeżeli się dogadasz i zechcą pokoju, wrócisz tu i powiesz mi o tym. Jeżeli nie wrócisz, a bazy będą leciały dalej, najpierw zniszczę twoje cztery statki. Potem bazy i całą resztę floty, a dalej wiesz, co będzie.

Zento-Pak usłyszał wszystko, co miał usłyszeć.

Admirał wstrzymał go jeszcze na chwilę.

– Poczekaj jeszcze. Wezwij tu swoich dowódców krążowników. Mam dla nich propozycję. Dla wszystkich razem lub dla każdego oddzielnie. Zbierz ich razem z zastępcami i powtórz im wszystko, co powiedziałem. Niech będą gotowi do podjęcia samodzielnej decyzji. Spotkamy się tutaj za dwie godziny i przedstawię im swoją propozycję.

Gdy Zento-Pak poszedł do swojego promu, admirał wezwał Rikardsona i kazał mu promem podholować sześć myśliwców, które mają dostać się pod pole siłowe bazy kosmicznej i tam czekać na rozkaz do ataku.

– Dozbrój je i w razie ataku niech starają się wyłączyć pole siłowe lub zniszczą źródła energii. Baza pozbawiona ogrzewania w kosmosie szybko zamrznie i przestanie walczyć.

Rikardson przekazał też rozkaz Parkera o wezwaniu pomocy z Elii. Nie liczył na statki z planety, lecz na te, które już są w tej galaktyce.

– Dobrze zrobił – rzekł admirał. – Bardzo dobrze. Niech Elianie też coś zrobią dla siebie i Układu.

– A jeżeli nie będą chcieli walczyć?

– To każę ich rozstrzelać jako zdrajców – rzekł Urko, który właśnie wszedł do sali. – Poza tym oddamy do waszej dyspozycji te statki razem z załogami, a obiecane nam podległe terytorium ograniczymy do dziesięciu procent.

– Urko, przyjacielu, wreszcie się pokazałeś – powitał go admirał. – Jednak co nam po tym, jak przegramy bitwę?

– Nie przegramy, admirale, choćbym miał sam walczyć z Dorianami. Przyszedłem dopiero

teraz, bo nadzorowałem montaż na Sokole dodatkowych czterech emiterów złotych gwiazd. Teraz mam ich sześć – na każdy człon po dwa.

– To dobrze, Urko. Ja jednak nie liczę na eliańskie krążowniki. Mam pomysł, by skłócić samych Dorian i zmusić ich do walki ze sobą. Chodźcie ze mną. Goście na pewno już czekają.

Rikardson poszedł do swojego promu, a admirał wyjaśnił plan Urkowi.

– Przedstawiłem was, Elian, jako rasę bezlitosnych wojowników. Tak też się zachowuj – powiedział.

Wraz z Urkiem weszli do sali, gdzie zebrali się już wszyscy dowódcy i ich zastępcy. Zento-Pak powiadomił admirała, że wszystkich poinformował o tym, co mówił dowódca Ziemian. Admirał przedstawił siebie i Urka obecnym.

– Już wiecie o waszej sytuacji. Teraz musicie sami zdecydować o losie swoim i swoich załóg. Jest tu sześć waszych krążowników, z czego jeden uszkodzony, ale naprawy trwają i za kilka dni będzie gotowy do lotu. W naszym kierunku lecą dwie wasze bazy kosmiczne i flota krążowników. Chcą walczyć, ale damy im szansę na pokój. Zento-Pak poleci wcześniej na bazę kosmiczną i będzie rozmawiał z dowódcą. Czy już wybrałeś, którym krążownikiem polecisz?

– Tak, admirale, polecę z okrętem Kmon-Dara.

– To dobrze, każę eskortie go przepuścić. Przed odlotem zgłóście się do mnie. Przekażę ci coś, co pomoże ci w rozmowach z dowództwem. Słuchajcie teraz pilnie. Do bitwy na pewno dojdzie, ponieważ Dorianie to dumny i zuchwały gatunek. Zento-Pak nie zdoła ich przekonać, gdyż mają potężną broń w rękach. Nie zdają sobie sprawy, że to, co mają, to za mało, by obronić się przed moim atakiem. Jeśli dojdzie do bitwy, będę musiał zniszczyć wasze krążowniki. Nie mogę pozwolić, by wasze statki wzmocniły flotę przy bazach. Pomyślałem, że nie musi się tak stać. Dlatego mam dla was kilka propozycji. Którąś z nich możecie wybrać. Od tego będzie zależeć wasz los. Niech każdy z dowódców podejmie decyzję za własny okręt i własną załogę.

Pierwsza propozycja jest taka: opuście okręty i zostaniecie przeniesieni na waszą pierwszą bazę, która jest teraz zwykłą planetą i nosi nazwę Wenus II. Tam poczekacie na wynik bitwy. Jeżeli wygramy, a wiem, że tak się stanie, będziecie traktowani jak cywile – niezbyt łaskawie, ale przeżyjecie i nie będziecie w niewoli. Planeta nadaje się do zamieszkania. Zostaniecie na niej do końca życia.

Druga propozycja jest taka: zerwiecie wszystkie kontakty ze swoją rasą i zostaniecie przetransportowani na Dorię, do waszych pokojowo nastawionych ziomków i tam zostaniecie do końca życia. Z nimi nie prowadzimy wojny i nie będziemy prowadzić. Są wolnym Dorianami i mogą robić, co chcą.

Trzecia propozycja jest taka, abyście już teraz przystąpili do Układu Czterech Cywilizacji jako piąta rasa. Będziecie jednak musieli udowodnić swoją decyzję odpowiednią postawą – walcząc obok nas przeciwko swoim ziomkom. Ci, którzy zdecydują się na tę propozycję, staną ramię w ramię z nami w najbliższej bitwie. O wstąpieniu was do Układu powiadomimy przed bitwą wasze bazy kosmiczne i flotę. Nie możecie więc liczyć na to, że w razie naszej klęski

przeżyjecie. Decyzję musi podjąć każdy członek waszych załóg indywidualnie. Ci, którzy się zdecydują, weźmiemy na nasze statki, jeżeli będzie ich niewielu. Jeśli zginiemy, oni też nie przeżyją. Jeżeli zwyciężymy; oni będą władać Imperium Doriańskim. Mogą bardzo dużo zyskać, ale najpierw muszą udowodnić, że są tego warci. Jeżeli będzie was dużo, przejmemy statki i wcielimy je do naszej floty. Macie dwa dni na podjęcie decyzji. Teraz idźcie do załóg i powiadomcie je o naszej propozycji. Nie naciskajcie ich ani w jedną, ani w drugą stronę. Niech podejmą decyzję zgodną z własnym sumieniem. Jeszcze jedno wam powiem: jeżeli nawet przegramy tę bitwę, to lecą tu statki eliańskie, taliańskie i kiliańskie, które udoskonaliliśmy. Tamci nie będą z wami w ogóle rozmawiać. Oni lecą was zniszczyć i tylko my możemy ich powstrzymać. O planecie Dorii nie wspominałem celowo. Skazałem ją na zagładę. Statki zostały już wysłane i nic nie może mnie powstrzymać. Miliardy Ziemiaków, którzy zginęli na swojej planecie, wołają o pomstę i pomstę dostaną. Po to tu przybyłem.

Dowódcy statków polecieli do swoich załóg. Nastął czas oczekiwania na decyzje Dorian oraz na powrót zwiadowców. Nie wiadomo, ile przybędzie krążowników: dwieście, a może pięćset? To poważna siła, zwłaszcza że eliański okręt poleciał w kierunku Dorii. Tak więc Odkrywca, Przyjaciel i, Syriusz i Sokół będą musiały zmierzyć się z przeciwnikiem sto razy liczniejszym, a zaskoczyć wroga będzie można jedynie atakiem siedemdziesięciu myśliwców, złotymi gwiazdami i torpedami trytowymi. Admirał rozkazał, że gdy któryś ze statków Ziemiaków zostanie wymacany przez lasery wroga, dwa promy mają natychmiast go ostrzelać, by nie mógł szybko ponownie wystrzelić.

Tymczasem do kondycji wrócili zahibernowani ludzie i inne istoty. Dwudziestu siedmiu ludzi wzmocniło załogę Odkrywców. Kilian zaokrętowano na Przyjaciela i, Ta- lianie trafili na Syriusza, a Elianie i Jattanie zostali na Odkrywców.

Najbardziej zadowolony z nowych załogantów był Urko, ponieważ wśród trzech Elian jedną osobą była kobieta, i to bardzo piękna jak sam mówił.

Ludzie nie bardzo widzieli różnicę pomiędzy kobietami eliańskimi, ale Urko był zachwycony Bellą, bo tak miała na imię. Oprowadzał ją po statku i opowiadał jej o bitwach, które stoczył i wygrał. Nie pozwalał, by ktoś inny, zwłaszcza Elianin, zajmował jej uwagę dłużej niż minutę. Starał się zaimponować Belli w każdy możliwy sposób, jaki przyszedł mu do głowy. Już przedstawiając się, powiadomił ją, że jest tu najważniejszym Elianinem, w zasadzie nawet w całej galaktyce. Pochwalił się, że Synod Elii nadał mu władzę nad wszystkimi statkami eliańskimi, które będą w kosmosie.

Bella też była zachwycona Urkiem, który był tu na statku bardzo szanowanym Elianinem, i to nawet przez przedstawicieli innych ras. Nie wiedziała, że jest jedyną Elianką w tej galaktyce. A sam Urko nie chciał jej uświadamiać. Trochę się z niego podśmiewano, że musiał lecieć do drugiej galaktyki, by znaleźć sobie narzeczoną, jak o niej mówiono. Sprawa stała się na tyle głośna, że nawet admirał wezwał go na męską rozmowę.

– Urko, ta kobieta robi z tobą, co chce! Weź ślub tu i teraz, bo uschniesz nam na dobre.

Ten popatrzył na admirała niemal szczęśliwy, tak mu się owa propozycja spodobała.

Posmutniał po chwili i powiedział:

– Czy jednak Bella mnie zechce? Elianki są wybredne i często zmieniają zdanie. Drugiej szansy nie będę miał, bo jak odmówi, to na zawsze.

– Nie bój się, Urko, tak to załatwię, że sama poprosi cię o rękę, a jak nie, to wsadzę ją w hibernator i odeślę na Elię, gdzie doleci za tysiąc lat – zażartował admirał.

– Dobrze, ale niech sam to pan zrobi. Ja nie zniósłbym tej odmowy.

– Urko, nie martw się, będzie dobrze. Teraz idź do siebie. Wezwę ją przez straż.

Bella była tymczasem w swojej kabinie, przystosowanej na mieszkanie dla Elianina. Wcześniej mieszkał tam Urko. Teraz z chęcią oddał kobiecie swoją kabinę.

Do kabiny Belli zastukało dwóch wartowników pod bronią. Gdy otworzyła drzwi, strażnik przekazał jej rozkaz natychmiastowego stawienia się u admirała. Bella, trochę wystraszona uzbrojonymi ludźmi, bez słowa skargi podążyła za nimi. Podprowadzili ją pod same drzwi admirała i zapukali. Gdy usłyszeli komendę „Wejść”, otworzyli drzwi i wpuścili Eliankę do środka, ale sami nie wchodzili.

Bella, lekko obawiając się srogiego, obcego admirała, stanęła przed nim i zapytała:

– Czy życzysz sobie czegoś ode mnie, admirale?

– Tak – odrzekł. – Proszę, usiądź i wysłuchaj mnie dokładnie. Od początku podróży stoczyłem wiele bitew ze swoimi wrogami i wszystkie zwyciężyłem. Czeka mnie może najważniejsza, od której zależy nie tylko moje życie, ale też życie tych, co mi zaufali i wierzą we mnie. Znam siły swoje i wroga, który liczebnością przewyższa nas stukrotnie. Tylko odwaga i zuchwałość mogą nas uratować. Z moich bitew wziąłem do niewoli Kilian, Dorian, Talian. Tylko przedstawiciel jednej rasy nie poddał się. Żeby go pochwycić, musiałem pozbawić go przytomności. Tak, to Urko, który po zawarciu pokoju stał się ambasadorem Elij w Układzie. Podlegają mu wszyscy Elianie na moich statkach oraz ci, którzy tu przylecą, obojętnie, ilu by ich było. Jest najważniejszym Elianinem poza samą Elią. Powierzyłem mu najnowocześniejszy statek, jaki zbudowały znane mi cywilizacje. Może to nie krążownik, tylko mały niszczyciel, ale ma taką siłę ognia, że sam może pokonać sto doriańskich krążowników naraz. Urko na tym statku udowodnił, że jest dzielnym wojownikiem. Sam zniszczył kilkadziesiąt krążowników. Nadchodzi teraz wielka bitwa. Urko potrzebny mi jest teraz najbardziej, a szczególnie jego odwaga, inteligencja i waleczność. Od czasu jednak, jak panią uratował i zakochał się w pani, jest inną istotą. Nie myśli o bitwie, tylko o pani, jakby wojna już się skończyła. Nie obmyśla strategii bitwy, bo marzy o pani. Nie przychodzi na narady wojenne. Co pani z nim zrobiła? Może pani jest agentem doriańskim i miała pani za zadanie wykluczyć z walki naszego najdzielniejszego wojownika? W końcu gdy tak się martwił, powiedziałem mu, że albo poprosi panią o rękę, albo wsadzę panią do hibernatora i odeślę na Elię. Niech pani tam mąci Elianom w głowach, nie tu. Tak więc proszę w jego imieniu o pani rękę, bo ten żołnierz, śmiały w walce, przed panią jest bezradny jak dziecko. Proszę odpowiedzieć: czy zostanie pani jego żoną?

Bella słuchała uważnie monologu admirała, rozważając każde jego słowo, każdą pochwałę

Urka. Ten ostatni znacznie urósł w jej oczach. Bella też pokochała Urka i chciała za niego wyjść. Tradycja Elian nakazywała, by kandydat wykazał się bohaterstwem. Chwalenie jego zasług należało do rodziny. Jednak z braku tejże na statku powinność spadła na jego przełożonych, czyli admirała, który, nieświadomy tego, spisał się wspaniale.

Bella uważała Urka za bardzo wartościowego Elianina. Uznała, że na pewno nie będzie wstyd wejść do jego rodu. Swojej rodziny nie musiała pytać o zgodę, ponieważ była zahibernowana przez dziewięćdziesiąt cztery lata i jej najbliżsi już nie żyli.

Patrząc na admirała, rzekła poważnie:

– Niech jutro Urko w obecności Elian i dowództwa statku złoży prezent. Wtedy dam mu odpowiedź.

Potem pożegnała się i wyszła bez pytania. Admirał, nieco zdziwiony tym, co usłyszał, zaczął wezwać Urka. Zjawił się prawie natychmiast. Zauważył, że admirał ma nieco zdziwioną minę, ale jako Elianin nie znał znaczenia wszystkich ludzkich grymasów i zachowań. Przewidywał najgorsze. Rozmowa przedłużyła się bardziej, niż wymagała tego tradycja eliańska. Powoli zaczął żałować, że poprosił admirała o pomoc. Wszystko działo się za szybko. Powinien poprosić jakiegoś Elianina, który zna tradycję jego rasy.

Gdy Urko zajął miejsce przy stole, admirał zaczął powoli:

– Nie wiem, co ci mam powiedzieć. Przekazałem jej twoje oświadczyzny, ale nie mam pojęcia, czy je przyjęła.

Urko aż pociemniał na całym ciele i chicho zapytał:

– Co powiedziała?

– Trudno określić, bo nie powiedziała ani „tak”, ani „nie”. Kazała ci w obecności wszystkich przynieść jakiś prezent czy coś takiego. Nie wiem, co to ma znaczyć...

Urko w tym momencie pojaśniał jak żarówka i powiedział:

– Eliańska panna w ten sposób wyraża zgodę. Oczywiście jeśli przyjmie prezent.

Admirał doskonale wiedział, że Bella wyraziła zgodę na ślub, ale chciał się trochę podroczyć z Urkiem. Po prostu nie mógł się powstrzymać.

– Co jej podarujesz? – zapytał z uśmiechem.

– To musi być coś cennego. Jeśli prezent się nie spodoba, odrzuci go razem z oświadczynami. Ale co ja mam? Niczego nie posiadam – posmutniał Urko.

– Nie martw się, możesz podarować jej wszystko, co jest na statku, a nie stanowi czyjejs własności.

Urko podziękował i wyszedł.

Admirał dostał właśnie wiadomość, że zbliżają się dwa duże obiekty kosmiczne. Były dwa dni drogi od Odkrywcy, ale szybko się zbliżały. Admirał poszedł na mostek, gdzie Tania skanowała obydwa obiekty.

– To na pewno bazy kosmiczne, na statki są zbyt wielkie.

Admirał wezwał dowódców statków i Zento-Paka.

– Leć na swoje bazy kosmiczne, które będą tu za dwa dni, i spróbuj przekonać Dorian, by

nie atakowali. Zresztą sam wiesz, co masz mówić.

Gdy Zento-Pak wyszedł, admirał powiedział do Rikardsona:

– Kapitanie, proszę uczynić tak, jak ustaliliśmy.

Sześć myśliwców przyklejonych do burty doriańskiego krążownika znikło z pola widzenia.

– Teraz chcę zobaczyć, ilu Dorian zamierza walczyć w naszych szeregach.

W pięciu krążownikach było tysiąc pięciuset sześćdziesięciu dwóch Dorian. Stu osiemdziesięciu ośmiu zdecydowało się nie brać udziału w walce i wyraziło chęć dotarcia do Dorian pokojowo nastawionych na Dorii II. Sześćdziesięciu dwóch wołało czekać na wynik bitwy. Tych przewieziono na Wenus II. Reszta, to jest tysiąc dwunastu, zgodziła się przystąpić do Układu i walczyć przeciwko swoim. Admirał był zaskoczony tak dużą liczbą chętnych. Szybko mu wyjaśniono, że ci Dorianie nigdy nie byli na Dorii i znają ją tylko z filmów i opowiadań. Nie są związani emocjonalnie ze swoją planetą.

Admirał ucieszył się, ponieważ tuż przed bitwą przybyły mu cztery krążowniki. Załogi okrętów doriańskich zajęły stanowiska w swych statkach na pierwszej linii obrony. Reszta miała się odbyć według wcześniej omówionego scenariusza. Dorianie złożyli stosowną przysięgę i prosili, by powiadomić ich bazy, gdzie stoją, aby skupić na sobie pierwszy ostrzał z baz.

– Muszą wiedzieć, że przystąpienie do Układu to nasza suwerenna decyzja – powiedział Admirał. – Przekażcie im swoją decyzję, ale nie podawajcie pozycji. Niech was znajdą, jeśli potrafią, bo rzeczywiście skupicie na sobie ich ogień. Ja nie chcę was zabić, ale pragnę, byście przeżyli tę bitwę. Później będę was potrzebował, więc walczcie, a nie gińcie. To wasze zadanie.

Zento-Pak nadał sygnał do bazy, że się zbliża. Nakazał, by otwarto okno w polu siłowym. Gdy to zrobiono, statek wleciał w pole siłowe i zaparkował na powierzchni bazy, gdzie stało kilka krążowników. Po wylądowaniu sześć zamaskowanych myśliwców oderwało się od burt krążownika i szukało ważnych obiektów o strategicznym znaczeniu, by je podminować. Baza ta zbudowana była na bazie małego księżycy i w naturze nie miała atmosfery. W celu przystosowania takiego obiektu do celów wojskowych zamontowano urządzenia do generowania pola magnetycznego. Było ono na tyle mocne, by utrzymać sztucznie wytworzoną atmosferę. Cały księżyc był zabudowany sztucznymi obiektami. Samej jego powierzchni niemal nie było widać. Tysiące baterii słonecznych wskazywało na to, że energie pobierano także z gwiazd i magazynowano pod bazą. Same budowle były wysokie na sto dwadzieścia metrów nad powierzchnią i siedemdziesiąt w głąb pod powierzchnią księżycy.

Trzy myśliwce po rozłożeniu odpowiednich ładunków przylgnęły znowu do korpusu krążownika i czekały na lot w kierunku drugiej bazy kosmicznej. Zento-Pak wraz ze swoim oficerem Kirk-Dalem spotkał się z dowódcą bazy kosmicznej i switą jego doradców oraz dowódców okrętów stacjonujących na tej bazie. Zaczął mówić:

– Karo-Teku, wiem, że jesteś gotowy do bitwy. Masz ze sobą siłę i władzę. Myślisz, że jesteś potężny. Wróg, z którym masz się zmierzyć, to nie jest ten słaby i prymitywny człowiek, o którym wiesz, że należy do rasy Ziemi. To inteligentna istota, korzystająca z potężnej

broni. Dysponuje tylko kilkoma statkami, chociaż sam mówi, że ma więcej, i zachowuje się tak, jakby je miał. Wie, że się zbliżacie i zna wasze siły. Mimo że przewyższasz go liczebnością okrętów pięćdziesięciokrotnie, stanął do walki i czeka na ciebie. I jest tak pewny swojego zwycięstwa jak to, że cię tu widzę. Powiedział jeszcze, że jeżeli padnie chociaż jeden strzał z twojej bazy lub z twoich krążowników, to wydał już rozkaz zniszczenia Dorii, ponieważ wie, że zabrałeś krążowniki jej ochrony. Mówił, że umie czytać nasze myśli. Wiedział, że lecą tu dwie bazy kosmiczne. Usłyszałem o tym od niego. On już o tym wiedział. Skąd? Wiedział, że zabierzesz statki ochrony planety. Skąd? Zaproponował, byś czekał na decyzję dowódcy trzeciej bazy, jak ją nazwał. Czekam na twoją odpowiedź.

Karo-Tek był wściekły, jednak od dawna znał Zento – Paka, więc mu nie przerywał. Gdy jednak tylko tamten skończył, wybuchnął gniewem.

– Ty tchórze, zdrajco i nieudaczniku! Myślisz, że się przestraszę kilku stateczków? Mam ich setki, które zetrą na miazgę ich flotę. To bajki, że leci tu jakaś flota. W kilku sąsiednich galaktykach nie ma siły, która mogłaby nam zagrozić lub powstrzymać nas. Co z tego, że zgadł, że mam dwie bazy? Ma dobry zwiad i tyle. Co z tego, że zabrałem statki ochrony planety? Ma ona jeszcze setki małych niszczycieli do obrony. Wierzę, że jest odważny, bo z kilkoma statkami uderzył na nasze mocarstwo, ale to bardziej szaleństwo niż odwaga. My mamy przewagę liczebną, a w walce liczą się statki i tylko statki. Nie wierzę, że zniszczą Dorię, poza tym taki mam rozkaz. Najpierw muszą zmierzyć się ze mną, a ja zniszczę ich wszystkich.

Zento-Pak spodziewał się takiej odpowiedzi. Wiedział, że nic nie wskóra, jednak chciał spróbować jeszcze raz.

– Karo-Teku, nie nazywaj mnie tchórzem i zdrajcą. Nie bałem się wroga, mimo że Melek-Szur, tak jak ty ufny w siłę swojej bazy kosmicznej i floty, podjął walkę i przegrał wszystko. Poleciałem tam jednym statkiem i nie bałem się śmierci, choć wróg zniszczył przede mną osiemdziesiąt jeden naszych krążowników. Melek-Szur nie miał takiej szansy jak ty. Nie znał możliwości i siły bojowej wroga. Ty jeszcze możesz zapobiec tragedii Dorii i klęski bazy oraz floty przy niej zgromadzonej. Nie podejmuj walki teraz. Poznaj najpierw słabe strony przeciwnika i wtedy uderz.

– Przestań skamleć, tchórze – przerwał mu Karo-Tek. – Nie będę pertraktował z Ziemianami ani z tą bandą. Wynoś się z bazy. Nie chcę cię tu widzieć.

Zento-Pak zagryzł wargi i pomyślał: „Jeszcze będziesz mnie prosił o wstawiennictwo”, ale odparł:

– Dobrze, ty zdecydowałeś. – Zwrócił się do dowódców eskadr: – Wytyż możecie zdecydować o losie swoim i swoich załóg. To jedyna możliwość uratowania życia tysięcy Dorian. Z osiemdziesięciu jeden krążowników został tylko jeden, i to uszkodzony, a oni stracili tylko jednego myśliwca, w dodatku tylko dlatego, że uległ awarii. Mają broń, przed którą nasze krążowniki nie mogą się obronić. Na nic nasze pole siłowe. Jest za słabe i nie wytrzyma uderzenia. Każdy może ocalić swoją eskadrę. Inne wyjście to pewna śmierć. Oni nie mają wielu statków, ale czekają na posiłki, a cztery nasze krążowniki już przystąpiły do Układu Czterech

Cywilizacji. To są właśnie owoce waszej polityki niszczenia słabszych cywilizacji w ramach obrony przed najazdem. Zebrało się tam teraz kilka cywilizacji i nastąpiło coś, czego zawsze się obawialiście. Każdą pojedynczo mogliśmy zniszczyć, ale cztery naraz? Nie damy rady! Jeżeli zależy wam na przyszłości Dorian, powinniście przyłączyć się do nich i walczyć z ich wrogami. Ten świat, który znaliście, właśnie umiera i nic na to nie możecie poradzić. Teraz chodzi o to, by z tej wojny nie wyjść na kolanach lub co gorsza całkowicie wyniszczonym i nie cofnąć się w rozwoju o pięć tysięcy lat. Dodam coś jeszcze. Ich admirał powiedział: „Chciałbym, abyście nie zgodzili się na współpracę. Wolę, żebyście podjęli walkę. Wówczas będę mógł z czystym sumieniem zniszczyć doriańską cywilizację i cofnąć was w rozwoju do epoki kamienia łupanego”. To właśnie nas czeka, jeśli teraz czegoś nie zrobicie. Decydujcie sami, macie na to dwadzieścia cztery godziny. Teraz was zegnám. Muszę przedstawić propozycję Ziemian dowódcy drugiej bazy. Może on będzie bardziej przewidujący i podpisze porozumienie.

– Nie licz na to – odezwał się Karo-Tek. – Dowódcą drugiej bazy jest Leno-Tek, mój syn. Nie będzie chciał nawet z tobą gadać, ale spróbuj.

Zento-Pak wrócił na swój krążownik i poleciał w kierunku drugiej bazy kosmicznej, zabierając ze sobą przyklejone do kadłuba ziemskie myśliwce. Tak jak w pierwszej bazie okręt wleciał bez przeszkód pod osłony bazy.

Myśliwce niezauważone ruszyły wykonać swoje zadanie, penetrując systemy obronne bazy.

Rozmowa z dowódcą rzeczywiście nic nie dała. Potraktowano go gorzej niż poprzednio. Zento-Pak łykał ślinę ze strachu, znosząc obelgi młodego, ale bardzo wysokiego rangą oficera. Tylko interwencja starszych oficerów, którzy znali wcześniej przybysza, uchroniła go przed śmiercią. Ten wrócił na swój okręt zły, że pozwolił na takie traktowanie młokosowi.

Zdał sobie też sprawę, że już nie ma powrotu do floty doriańskiej. Gdy Dorianie wygrają, on, nawet jeśli nie będzie z nimi walczył, zginie. Tekowie nie darują mu tego. To mściwa i bardzo poważana w rządzie Dorii rodzina. Jedyne wyjście dla niego to układ z Ziemianami. Wtedy będzie musiał stanąć do walki przeciwko swojej rasie, i to nie tylko teraz, ale w każdej bitwie. Wojna tak szybko się nie skończy. Jeżeli Ziemianie wygrają, będzie mógł coś zrobić dla Dorian. Musi przystąpić do Układu.

Admirał starał się opracować plan bitwy. Wiedział, że najpierw będzie musiał zniszczyć flotę, i to daleko od baz kosmicznych, by nie być narażonym na ostrzał z ich potężnych dział plazmowych, których na bazach były setki, jak donosiły myśliwce penetrujące powierzchnie baz. Małe pojazdy muszą zniszczyć pole siłowe baz, które jest zasilane z kilku źródeł naraz. Zniszczenie jednego nic nie pomoże. Baza atakowana z daleka złotymi gwiazdami nie odniesie niemal żadnych szkód i będzie mogła spokojnie lecieć na Dorię II, zniszczyć ją, a potem ruszyć na Nową. Bazy muszą zostać obrócone w proch.

Rozmyślenia admirała przerwał Zento-Pak, który właśnie wszedł i po zreferowaniu swojej misji zgłosił chęć przystąpienia do Układu już teraz. Dowódca Ziemian zgodził się, ponieważ zyskał następną krążownik, ale stosunek sił i tak był nierówny. Musiał wymyślić sposób na

odciągnięcie okrętów od baz, by je zaatakować, jedynym sposobem było posłużenie się doriańskimi krążownikami, które przeszły na jego stronę.

Gdy baza kosmiczna zbliżyła się do celowo pozostawionej sondy, nadającej przez cały czas wiadomość do Dorian w ich języku, by się poddali, od bazy podleciał jeden krążownik doriański i zniszczył ją strzałem z lasera.

Na ten moment czekał ukryty sojuszniczy okręt doriański, który wystrzelił serię z siedmiu baterii czerwonego lasera. Pole siłowe krążownika ledwie się trzymało. Wtedy do akcji ruszyły dwa eskortujące okręt myśliwce ziemskie i seriami z laserów najpierw zniszczyły osłabione pole siłowe, a potem lecąc wzdłuż jego boków, pręły kadłub statku. Po chwili krążownik eksplodował. Ani jeden myśliwiec nie zdążył opuścić hangarów doriańskiego okrętu. Na pomoc temu statkowi ruszyły trzy następne krążowniki, ale zanim zdołały dolecieć na odległość strzału, było po starciu. Dorianie zaczęli ostrzeliwać miejsce postoju statków ziemskich. Następna seria z ukrytego krążownika zniszczyła pole siłowe jednego z trzech okrętów. Dwa pozostałe nie widziały, skąd strzelano, ponieważ atakowany pojazd zasłaniał wroga swoim cielskiem. Myśliwce tylko na to czekały. Celnymi seriami ostrzelały strategiczne miejsca krążownika, doprowadzając go do eksplozji. Po wybuchu swego okrętu wróg szybko określił miejsce jego postoju. Nakierowany przez myśliwce wyposażony w wykrywacz spalin ziemsko-doriański krążownik szybko i celnie odgryzł się przeciwnikowi, niszcząc jego osłony. Na osłabiony okręt rzuciły się ziemskie myśliwce. Zniszczyły jego główny silnik, wprost odcinając go od kadłuba. Doriański statek nagle zaczął dryfować i pogasły wszystkie światła. Wyglądało to tak, jakby okręt umarł. Z odciętej części oderwało się trochę przedmiotów i kilka postaci z obsługi zostało porwanych przez próżnię kosmosu. Tymczasem trzeci z krążowników wstrzelał się w ziemski statek, niszcząc jego osłony. Teraz dopiero Dorianie zobaczyli, że atakował ich rodzimy krążownik, nie zaś ziemski. W bazach obserwowano walkę. Domyślano się, że muszą to być krążowniki Zento–Paka, który przystąpił do Układu. Piloci ziemskich myśliwców wiedzieli, że następna seria zniszczy ich okręt. Mieli tylko pół minuty na atak. Rozgrzali pola siłowe i rozpoczęli ostrzał doriańskiej maszyny. Zniszczyli jej osłony, a następnie podziurawiły korpus. W efekcie doprowadziły do zniszczenia krążownika na oczach niemal całej eskadry krążowników, która ruszyła swoim na pomoc. Ziemsko-doriański okręt zaczął wycofywać się z pola walki ze zniszczonymi emiterami osłon. Ciągnął za sobą całą eskadrę, oddalając ją od bazy i możliwej pomocy w razie zagrożenia. Myśliwce swoimi laserami ostrzelały pierwszy z nadlatujących krążowników. Pole siłowe pękło, a statek, podziurawiony od czoła, gdzie znajdują się mostek i sterówka, zaczął dryfować i złamał szyk. Dowództwo na pewno tam zginęło, a urządzenia sterujące zostały zniszczone. Inne krążowniki natychmiast przerwały pościg i zaczęły badać przestrzeń za ziemskimi myśliwcami. Jeden ziemski szturmowiec latał pomiędzy statkami eskadry i ostrzeliwał raz tę, raz inną jednostkę wroga. Tamci, próbując zniszczyć myśliwiec, strzelali, ale niecelnie. Czasami trafiali nawet swój krążownik. Druga z maszyn podleciała do ostatniego okrętu w eskadrze i otworzyła ostrzał w dysze jego silników. Pole siłowe pękło, a laser uszkodził silnik. Statek zaczął

dryfować. Z tylnych hangarów wystartowały doriańskie myśliwce. Ziemiński statek wystrzelił w ich kierunku torpedę trytową małej mocy i szybko ukrył się za cieleciem jednego z krążowników wroga. Nagły błysk eksplozji rozświetlił kosmos, a fala uderzeniowa rozerwała wszystkie myśliwce doriańskie i trzy okręty straciły pola siłowe. Tej okazji nie mogły przeoczyć ziemskie maszyny. Zniszczyły osłabione krążowniki. Trzy eksplozje rozświetliły kosmos, obwieszczając śmierć załóg doriańskich. Załogi pozostałych krążowników nie myślały już o pościgu. Zatrzymały się i wypuściły swoje myśliwce, które zaczęły ostrzeliwać kosmos w poszukiwaniu ziemskich statków. Ziemińskie myśliwce przykleiły się do dwóch następnych krążowników. Było jasne, że wróg nie zacznie atakować swoich okrętów. Co jakiś czas myśliwce Układu krótkimi seriami niszczyły osłony jednego z krążowników i mimo że doriańskie myśliwce ostrzeliwały ziemskie statki, następny okręt wroga został zniszczony. Zniemacka następny statek zaatakowano z innej strony.

To ziemsko-doriański krążownik po usunięciu awarii emitera pola siłowego wrócił na pole walki i z marszu zniszczył jeden okręt. Ziemińskie myśliwce natarły na następny statek wroga. Zniszczyły najpierw jego pole siłowe, a następnie doprowadziły go do eksplozji. Nagle pozostałe krążowniki zaczęły bez walki wycofywać się w kierunku bazy kosmicznej. Ziemińskie myśliwce nie mogły gonić wroga z powodu małego zasięgu – paliwo się kończyło. Tak więc z dwunastu statków eskadry w pobliżu bazy wróciły cztery, trzy dryfowały uszkodzone, a reszta została zniszczona. Pierwsze starcie dobiegło końca. Myśliwce szybko wróciły na ziemsko-doriański krążownik i zaczęły tankować paliwo oraz uzupełniać amunicję. Od bazy w kierunku ziemskich pozycji wyleciały dwie następne eskadry. Ziemiński krążownik, trafiony w pole siłowe, natychmiast zawrócił, nie podejmując walki. Uciekając, wciągnął w pułapkę dwie eskadry niczego niespodziewającego się wroga. Bazy kosmicznej nie było już widać, gdy rozpętało się piekło. Sprzymierzony krążownik został dogoniony i wykryty przez lasery wroga. Jego osłony słabły pod ostrzałem trzech okrętów. Nagle trzy doriańskie krążowniki, ostrzeliwujące ziemsko-doriański statek, rozleciały się w mgnieniu oka, trafione złotymi gwiazdami. To Urko nie mógł wytrzymać i zniszczył trzy jednostki za jednym zamachem. Sprzymierzony krążownik szybko wzmocnił swoje pole siłowe i zmienił pozycję. Zaczął ostrzeliwać nadlatujące okręty doriańskie, miał jednak kłopoty z określeniem ich pozycji, ponieważ nie był wyposażony w technologię wykrywania spalin. W tym względzie pomocne były ziemskie myśliwce. Wykrywały one po kilka krążowników naraz i ostrzeliwały je, zamieniając białe kule w widoczne doskonale czerwone bańki pola siłowego. Wtedy sprzymierzony okręt oddawał serię dwunastu strzałów z czerwonych laserów i doriański statek rozlatywał się na części. Następnie szybko zmieniał swoją pozycję i znowu czekał, aż myśliwce znajdą cel i laserami poważnie osłabią jego pole siłowe.

Tymczasem Sokół swoimi gwiazdami czynił niesamowite spustoszenie w środku eskadr. Z kolei cztery ziemskie myśliwce robiły zamieszanie od ich tyłu. Tak więc Dorianie byli atakowani z trzech stron. Po półgodzinie pozostały tylko trzy sprawne okręty, które zaczęły wzywać pomocy. Od bazy kosmicznej ruszyły trzy następne eskadry, sądząc, że główna bitwa

rozegra się tam, gdzie rozpoczął się konflikt. Dołączyły do nich cztery ocalałe statki z pierwszej eskadry. Gdy dotarły na pole bitwy, sprzymierzony krążownik właśnie dorzynał ostatnią z walczących jednostek doriańskich. Niestety naraził się w ten sposób na ostrzał z kilku przybyłych statków naraz. Mimo interwencji Sokoła i myśliwców, które zniszczyły cztery atakujące go krążowniki, osłony pojazdu padły. Urko krzyknął do nadajnika:

– Natychmiast opuścić krążownik To rozkaz!

Ze statku wyleciało kilkadziesiąt myśliwców i kapsuła ratunkowych. Krążownik chwilę potem eksplodował razem z pozostałą załogą. Admirał zauważył, jak trzydzieści dziewięć okrętów dotarło do pola bitwy i starało się wykryć ziemskie statki. Gdy tylko któryś z laserów wroga trafił w ziemski okręt, natychmiast ściągał na siebie ostrzał pozostałych krążowników. Sęk w tym, że Sokół i myśliwce to bardzo małe i ruchliwe statki; ciężko było je namierzyć. Krążowniki wypuściły setki myśliwców, które, ostrzeliwując przestrzeń, szukały ziemskich maszyn.

Admirał wydał rozkaz ataku na pozostającą w odwodzie eskadrę dwunastu krążowników, gdy wszystkie ziemskie i doriańskie statki były ustawione w jednej linii. Siedem złotych gwiazd w jednej chwili rozdarło siedem okrętów. Trzy sprzymierzone doriańskie krążowniki i pięćdziesiąt osiem ziemskich myśliwców rzuciło się na pozostałe pięć statków wroga. Jeszcze nie przebrzmiały eksplozje po poprzednich okrętach, a już następne eksplodowały. Ziemska flota uderzyła na i tak przetrzebione dwie eskadry przeciwnika. Po piętnastu minutach na polu bitwy pozostały ziemskie statki i dziesiątki wraków krążowników doriańskich. Admirał kazał pozbierać wszystkich rozbitków ze zniszczonego sprzymierzonego krążownika. Z załogi liczącej dwustu dziewięćdziesięciu siedmiu członków załogi uratowano tylko osiemdziesięciu sześciu, w tym dowódcę, Zento-Paka. Po bitwie admirał powiedział do niego i jego Dorian:

– Cywilizacja, która ma takich wojowników, nie zginie.

Obiecał również Zento-Pakowi, że będzie decydował o dalszym losie jego rasy.

Tymczasem baza kosmiczna leciała dalej, zostawiając za sobą pole bitwy. Dowódca bazy Karo-Tek uważał, że główne siły wroga są nadal przed nim. Nie miał pojęcia, że zmierza wprost w pułapkę i że stracił siedemdziesiąt osiem ze stu ośmiu krążowników. Przed bazą stały Syriusz i Odkrywca. Z lewej strony Sokół i jeden sprzymierzony krążownik, z prawej dwa następne i Przyjaciel i.

Przy zamykaniu pułapki na jednym ze sprzymierzonych krążowników nastąpił bunt załogi, która przejęła mostek i wyszła z kamuflażu, zdradzając swoją pozycję. Wysłała sygnał do bazy, że przechodzi na stronę Dorii. Dowódca tego statku wraz z garstką załogi wydostał się z aresztu i w myśliwcach opuścił krążownik. Posypały się za nim strzały laserowe i dwie maszyny eksplodowały. Myśliwce ziemskie, będące najbliżej, nie czekały dłużej i natarły na krążownik, który zdradził swoją pozycję. Karo-Tek, zaskoczony pojawieniem się okrętu, bardzo się ucieszył. Niestety dowiedział się też o zastawionej pułapce i o założeniach odciążenia statków osłony od bazy. Liczył na więcej wiadomości o stanie i liczebności sił wroga, ale tego już się nie dowiedział. Jeden myśliwiec rozgrzał białą kulę swego pola siłowego i natarł na

krążownik, przebijając jego osłony i wbijając się w niego na wysokości mostka. Po chwili okręt eksplodował. Na pomoc z bazy ruszył natychmiast inny statek, ale i ten został zniszczony przez następnego szturmowca, który łatwo przebił się przez ostrzelane wcześniej pole siłowe krążownika i przeleciał przez korpus pomiędzy silnikiem a zbiornikami paliwa. Dowódca bazy, ostrzeżony o założeniach strategicznych Ziemi, zakazał ścigać myśliwce. Dopiero teraz spostrzegł, że ma do dyspozycji tylko trzydzieści pięć ze stu ośmiu krążowników. Zrozumiał podstęp admirała.

Karo-Tek pojął, że został pozbawiony głównych sił uderzeniowych, i to przed samą bitwą o bazę.

Tymczasem Odkrywca oddalił się nieco i przejął dziewięć myśliwców uratowanych z doriańskiego krążownika, który zdradził. Wróg znał ich pozycję, dlatego admirał przesunął pułapkę trochę dalej. Krążowniki zostały nieco za bazą, która poruszała się przez cały czas. Wówczas ziemskie myśliwce nacierały po kilka na stojące okręty, niszcząc ich pola siłowe. Na to zaś czekały doriańskie myśliwce sprzymierzonych, które w liczbie stu dwudziestu rzuciły się na niemal bezbronne krążowniki. Do tej pory barierą nie do pokonania dla niewielkich maszyn typu doriańskiego było potężne pole siłowe, gdy jednak zostało ono zniszczone, niemal bezkarnie prуły poszycie okrętów. Działa laserowe krążowników nie mogły nadążyć za szybkimi myśliwcami. Na doriańskie statki ochrony krążowników czekały ziemskie, które bronią pokładową i laserami niszczyły je po kilka naraz. Torpedy trytowe, wstrzeliwane w hangary krążowników, rozrywały maszyny na strzępy. Dorianie nie przywykli do walki z małutkimi myśliwcami. W ogóle sobie nie radzili. Na wypuszczane dziesiątki myśliwców zawsze leciała jakaś torpeda trytowa i rozrywała je na starcie.

Tuż po zniszczeniu sondy na początku bitwy admirał wydał rozkaz, by eliański krążownik pod dowództwem Parkera, stojący przy Dorii, włączył się do akcji. Elianie tylko na to czekali. Nie zapomnieli swojej determinacji, gdy doriański krążownik niszczył ich statki, zabijając na nich tysiące rodaków. Parker całą akcję powierzył Elia- nom. Ci, mając wolną rękę, zaczęli ostrzalać od samej stolicy. Sto osiemdziesiąt eliańskich myśliwców wleciało niespodziewanie w atmosferę planety. Zanim podniesiono alarm, myśliwce niszczyły wcześniej wytypowane strategiczne obiekty. Zaczęto od baz wojskowych i składów broni oraz koncentracji wojska. Krążownik wszystkimi bateriami ostrzeliwał większe miasta i ośrodki przemysłowe. Po trzech godzinach nastąpiła przerwa. Myśliwce musiały wracać po paliwo i amunicję. Trwało to dwie godziny. Później nastąpił drugi atak, potem trzeci i czwarty. Z planety we wszystkich kierunkach wysyłano wiadomość o ataku. Niestety pomoc nie nadlatywała, a obrona Dorii słabła i szybko została zlikwidowana. Po czwartym ataku zrzucono kilka bomb atomowych o silnym skażeniu, zwanych brudnymi bombami. Silne promieniowanie gamma rozeszło się po powierzchni planety, zatruwając powietrze i wodę. Na końcu zniszczono stację nadawczą, która cały czas wzywała pomocy.

Karo-Tek słyszał sygnał z macierzystej planety: „Doria wzywa pomocy. Obce statki atakują z kosmosu. Myśliwce wroga niszczą miasta i ośrodki przemysłowe. Nie mam czym się bronić,

siły planetarne zniszczone. Planeta płonie. Doria wzywa pomocy!". I tak przez cały czas.

Karo-Tek siedział na mostku i intensywnie myślał. „Ziemski admirał mówił prawdę, podobnie jak Zento – Pak". Postanowił się zastrzelić, jednak nagle przyszła wiadomość od jego syna: „Przysyłam ci dziewięćdziesiąt sześć krążowników. Tobie bardziej się przydadzą. Nie wiem, czy zdążę na bitwę". Karo-Tek pomyślał: „Chcą bitwy, to będą ją mieć". Kazał tak rozmieścić krążowniki wokół bazy, by jeden był chroniony przez dwa następne. Myśliwce miały czekać przy okrętach i w razie ataku silnych torped chować się za statkami, które chroniły. Nagle na radarach pojawiło się osiem maszyn różnej wielkości, w tym cztery doriańskie krążowniki.

– Za godzinę zetrę te statki w proch – powiedział na głos Karo-Tek. Nie przewidział jednak podstęp. Już od pół godziny przy każdym jego krążowniku leciały zamaskowane myśliwce i tylko czekały na sygnał do ataku. Admirał przejął meldunek z drugiej bazy kosmicznej, rozszyfrowany przez szyfrantów ze sprzymierzonego krążownika. Chciał uniknąć połączenia sił wroga. Wydał myśliwcom rozkaz ataku na krążowniki ochrony bazy. Maszyny szybko uporały się z polem siłowym okrętów przeciwnika, które nie było ustawione na maksimum. Myśliwce najpierw zniszczyły emitery pól siłowych i działa laserowe, dziurawiąc przy tym kadłuby okrętów w kilku miejscach. Krążowniki stały się widoczne, bezbronne, pozbawione napędu. Torpedy trytowe małej mocy, wstrzelone w kadłuby, rozrywały je, tworząc ogromne wyrwy. Ginęła przy tym większość obsługi, wprost wysysana ze statków. Z krążowników wylatywały setki myśliwców doriańskich, które starały się odnaleźć ziemskie maszyny.

Te jednak, niewidoczne dla Dorian, mogły łatwo niszczyć statki wroga. Nadrzędnym zadaniem myśliwców było unieszkodliwienie krążowników osłony bazy. Nie przejmowały się setkami doriańskich maszyn, które latały koło swoich okrętów, szukając przeciwnika. Ostrzelały jeszcze kilka krążowników, jako tako jeszcze manewrujących, doprowadzając je do eksplozji. Przed wybuchami z okrętów wyleciało jeszcze kilka promów i kapsuł ratunkowych. Ziemskie myśliwce wycofały się do swoich statków, które właśnie nadlatywały. Na rozkaz admirała myśliwce ukryte pod polem siłowym bazy detonowały ładunki trytowe. Baza nagle zajaśniała od eksplozji jak gwiazda. Miliardy ton konstrukcji, urządzeń i obiektów przemieszało się z pożarami i eksplozjami. Nagle pole siłowe pękło i baza stała się bezbronna. Wszystkie ziemskie statki otworzyły ogień w jej kierunku. Nie trwało to długo. Główne urządzenia grawitonowe, utrzymujące atmosferę bazy, przestało działać. Szczątki zniszczonego obiektu zaczęły unosić się tuż nad powierzchnią planety. Wszystko, co żyło, a nie znalazło się w szczelnym schronie, pozbawione atmosfery musiało umrzeć. Admirał nie pozwolił zniszczyć całkowicie bazy. Chciał, by wzywała pomocy. Zamierzał wciągnąć w pułapkę nadlatującą flotę.

Karo-Tek, siedząc w bezpiecznym schronie, nadał wiadomość do trzeciej bazy kosmicznej: „Moja flota zniszczona, baza za chwilę eksploduje. Płacę wysoką cenę za brak wyobraźni. Nie popełnij tego samego błędu. Nie walcz. Zawrzyj układ. Ratuj bazę i Dorian".

Gdy Leno-Tek dostał wiadomość od ojca o zniszczeniu bazy, kazał wycofać połowę z

dziewięćdziesięciu sześciu krążowników lecących jej na pomoc. Część statków, które pokonały dziewięćdziesiąt procent drogi, musiała zawrócić, a reszta leciała dalej w pułapkę zastawioną przez Ziemiaków. Tymczasem wezwani na pomoc Elianie w dziewięciu krążownikach uderzyli na niczego niespodziewającą się trzecią bazę. Zniszczyli na samym początku dwanaście osłaniających je krążowników, które beztrudno stały bez podniesionych pól siłowych. Jednak ostrzał samej bazy z laserów nic nie dał, ponieważ jej pole siłowe było zbyt mocne. Elianie wiedzieli o zniszczeniu drugiej bazy przez statki Układu i też chcieli się wykazać. Ewakuowali jeden z krążowników i rozgrzewając jego pole siłowe, natarli z rozpędu na obiekt. Okręt przedarł się, ale stracił pole siłowe i stał się łatwym celem dla dział plazmowych sztabu wroga. Osłabione pole siłowe nadal nie pozwalało na niszczenie obiektów w bazie. Na darmo Elianie poświęcili swój krążownik, nie zyskując nic w zamian.

Leno-Tek, siedząc w schronie, nie mógł pojąć, jak to się mogło stać. Kilka małych statków zniszczyło dwie bazy kosmiczne i setki niepokonanych dotąd krążowników. Jaki wróg ostrzega przeciwnika o ataku, nie starając się go okłamać? I dlaczego tylko Zento-Pak uwierzył admirałowi? Żaden z jego doradców nie ostrzegł go, że ten człowiek może mówić prawdę. „Sam mogłem to przewidzieć. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie atakuje tysiąc razy silniejszego przeciwnika. Mogłem się domyślić, że mają lepszą broń, dlatego są tacy pewni zwycięstwa. I teraz te krążowniki eliańskie, które miały nie istnieć, ostrzeliwiają moją bazę. Jednak nie uda im się mnie pokonać. Już stracili krążownik i niczego nie zyskali". Nagle przyszła mu do głowy straszna myśl: „Gdyby Elianie natarli ośmioma pozostałymi krążownikami, baza zostałaby poważnie uszkodzona, o ile nie zniszczona całkowicie. Oni nie wpadli na ten pomysł. Już stracili nadzieję na udany atak na tak silnie opancerzonego przeciwnika".

Na powierzchni bazy ukryte ziemskie myśliwce obserwowały atak Elian i ich porażkę. Dowódca trójki maszyn Tom Haris przedarł się spod pola siłowego i chociaż rozgrzał pole siłowe do maksimum, stracił je, przechodząc przez osłony bazy. Elianie nie mogli wręcz uwierzyć w to, że spod pola siłowego wyleciał w ich kierunku ziemski myśliwiec. Natychmiast nawiązali kontakt z Tomem i wciągnęli go na pokład swojego krążownika. Zaprowadzono go do sali narad, gdzie Haris, mierzący metr osiemdziesiąt pięć, musiał się pochylić, ponieważ pomieszczenia Elian, rasy o wzroście nieprzekraczającym stu trzydziestu centymetrów, nie były wyższe niż metr osiemdziesiąt. Tak więc Tom na siedząco referował stojącym przed nim dowódcom eliańskich krążowników swoje poczynania na powierzchni bazy.

– Jesteśmy tam ukryci od trzydziestu sześciu godzin. Zamontowaliśmy ładunki wybuchowe na znalezionych przez nas emiterach pola siłowego. Wiem, że mają ukryte emitery pola siłowego głęboko pod powierzchnią bazy, do których nie mieliśmy dostępu. Tam znajdują się dwa moje myśliwce. Każdy z nich jest wyposażony w cztery torpedy trytowe. Tyle samo jest w mojej maszynie, którą musiałem zostawić, aby do was przylecieć. Mamy je odpalić, gdy nadleci nasza flota.

Gdy Haris skończył, odezwał się Saraj, dowódca krążownika flagowego:

– Kapitanie, wiem, że dostałeś rozkaz, by czekać na statki admirała, ale czy nie mógłbyś nam pomóc w ataku na tę bazę? Straciliśmy już jeden z krążowników i nie chcielibyśmy odlatywać pokonani.

Haris zastanawiał się chwilę, ale wiedział, że musi się zgodzić. Dorianie nie mogli się dowiedzieć, że zdołaliby obronić się przed Elianami. Gdyby tak się stało, opór znacznie by się wzmocnił. Admirał nie darowałby mu tego.

– Dobrze, przeprowadzimy atak, ale zrobimy to tylko tak, jak ja to widzę. Wy nie macie takiej broni, jaką ma admirał, a nie chcę ryzykować ataku, który mógłby się nie udać. Gdyby tak się stało, admirał osobiście obdarłby mnie ze skóry.

Elianie zdziwieni popatrzyli na Harisa, ale zgodzili się na jego warunki.

– Dorianie – Tom zaczął tłumaczyć założenia strategiczne – mają tak silne pole, ponieważ jest ono zasilane nie z jednego, lecz z setek małych emiterów pola, czerpiących energię z różnych źródeł. Tak więc zniszczenie kilku emiterów nic nie da – od razu włączą się zapasowe. Dlatego na mój znak moi piloci zdetonują miny i ładunki wybuchowe przy emiterach na powierzchni. Dodatkowo wstrzelą pod powierzchnię kilka torped trytowych. Po eksplozjach wytworzy się okno w polu siłowym. Wleciecie w nie, zanim się zamknie. Będziecie bezpieczni, ponieważ torpedy na powierzchni zniszczą wszystko, działa plazmowe także, jednak tylko w miejscach działania pocisków. Baza jest duża. Dorianie mogą jeszcze długo walczyć myśliwcami, a i samo pole być może się naprawi. Tak więc po dostaniu się pod pole musicie wypuścić swoje maszyny i niszczyć wszystkie działa plazmowe oraz baterie laserów.

Elianie zgodzili się na taki plan ataku. Natychmiast zaczęto przygotowania. Wszystkie krążowniki podleciały w jedno miejsce, znajdujące się blisko bazy kosmicznej. Dorianie zauważyli ten manewr i obsadzili tam działa plazmowe i lasery. Zebrali myśliwce i statki szturmowe. To ich zgubiło. Nie spodziewali się sabotażu. Nagły błysk eksplozji torped trytowych rozjaśnił połowę bazy kosmicznej. Fala uderzeniowa, ograniczona kopułą pola siłowego, miażdżyła wszystko, co napotkała. Wszystko, co stało lub sterczało nad powierzchnią bazy, zostało zniszczone. Pole siłowe w promieniu osiemdziesięciu kilometrów przestało istnieć. W tę lukę wleciały krążowniki eliańskie, które wypuściły swoje myśliwce. Ponad tysiąc myśliwców rzuciło się na urządzenia bazy kosmicznej, niszcząc wszystko, co mogło być przydatne do obrony. Pole siłowe zamykało się powoli, mimo że na powierzchni nie było sprawnych urządzeń. Elianie zauważyli, że kopuła pola powoli kurczy się i zmniejsza przestrzeń do powierzchni planety. Oznaczało to tylko, że pole bazy może zmiażdżyć statki eliańskie, które teraz są w pułapce, ponieważ nie zdołają wydostać się spod pola siłowego. Zmniejszona powierzchnia stała się kilka razy silniejsza. Teraz nie przebiłoby go nawet osiem krążowników. Elianie szybko pojęli, że przewaga strategiczna jest po stronie Dorian, a oni sami są blisko klęski.

Saraj nadał wiadomość do Harisa: „Kapitanie, mimo zniszczenia urządzeń nie wygramy tej bitwy. Pole ochronne zmiażdży nasze krążowniki. Nie przebijemy się już na zewnątrz. Ma pan jakieś propozycje?”. Po chwili nadeszła odpowiedź: „Zostawcie to nam i zbierzcie się w

jednym miejscu". Haris nadał do swoich pilotów wiadomość, by samoloty swoim polem siłowym wykonały dziury w skorupie bazy. Myśliwce rozgrzały pola siłowe i natarły na powierzchnię planety, wbijając się na dwieście metrów pod jej powierzchnię. Wstrzelono tam dwie torpedy trytowe dużej mocy. Potężne eksplozje targnęły bazą kosmiczną i pole siłowe natychmiast opadło. Elianie tylko czekali na to, by wydostać się z pułapki. Ziemskie myśliwce wykonały ten sam manewr z drugiej strony bazy. Po tych eksplozjach baza kosmiczna zgasła. Stała się czarną kulą w kosmosie. Z jej wnętrza dobiegał słaby sygnał z prośbą przerwania ostrzału. Obrońcy chcieli złożyć broń. Haris zaproponował, by wszystkie eliańskie statki leciały w kierunku drugiej bazy kosmicznej. Elianie nie chcieli brać jeńców, więc chętnie przystali na tę propozycję. Statki natychmiast ruszyły pełną mocą silników. Elianie chcieli wykazać się przed admirałem i Urkiem, ale to właśnie ziemskie myśliwce uratowały osiem ich krążowników. Zamierzali szybko wejść do walki i wykazać się dzielnością. W połowie drogi minęły lecące odwołane z drugiej bazy krążowniki Leno-Teka.

Doriańskie statki, które przyleciały na pomoc drugiej bazie kosmicznej, ujrzały całkowicie zniszczony obiekt. Okrążyły go i starały się wykryć sygnały życia na stacji. Dwanaście krążowników opuściło pola siłowe i wysyłając promy ratunkowe, starało się uratować pozostałych przy życiu obrońców bazy. Reszta floty miała chronić statki ratownicze przed atakiem. Ziemskie myśliwce, podlatując do okrętów wroga, z najbliższej odległości uszkadzały emitory pól siłowych. Doriańskie statki stawały się niemal bezbronne. Natychmiast wszczęto alarm na krążownikach i setki myśliwców zaczęły wysypywać się z hangarów. Ziemskie statki, ukryte w polu siłowym, były niewidoczne dla doriańskich maszyn. Krótkie błyski serii laserowych promieni wystrzeliwanych w korpus krążownika zauważano dopiero po eksplozjach i zniszczeniach. Myśliwce szybko uporały się z eskadrą okrętów. Mniejszymi maszynami admirał kazał się nie zajmować. Poleciał szukać doriańskich krążowników, które często zmieniały pozycje. Wykrywacze spalin szybko odnajdowały poruszające się okręty i ostrzeliwały go. Jeden po drugim znikwały doriańskie krążowniki, namierzone przez myśliwce, a niszczone przez flotę ziemską.

Po zlikwidowaniu drugiej eskadry na statki Układu, stojące niemal w jednym miejscu, nagle otworzyła ogień

cała eskadra doriańskich krążowników. Ziemianie odpowiedzieli tym samym i gwiazdy niszczyły okręt za okrętem. Wtedy to z innej pozycji znowu odezwały się serie czerwonego lasera z następnej eskadry doriańskich krążowników. Myśliwce z pierwszej eskadry zaczęły osłaniać swoje okręty, przyjmując na siebie ostrzał z ziemskich statków. Pola siłowe maszyn Układu zaczęły czerwienieć i słabnąć. Myśliwce Dorian ostrzeliwały je. Ziemianom coraz trudniej było ustrzelić krążownik wroga, bo w linii strzału wpadał jeden lub kilka nawet maszyn, ratując tym samym okręt od zniszczenia. Urko zdenerwował się takim obrotem spraw. Na oczach Dorian opuścił pole siłowe i rozdzielił Sokoła na człony. Po włączeniu pól siłowych rozgrzał je i nie patrząc, że taranuje myśliwce, natarł na trzy krążowniki naraz. Osłabione pola siłowe doriańskich okrętów nie mogły wytrzymać takiego ataku i trzy eksplozje rozświetliły przestrzeń.

Ziemskie statki skoncentrowały ostrzał na ostatniej eskadrze, która powoli zaczęła wycofywać się i chciała opuścić pole walki. Ostatnie trzy krążowniki rzeczywiście bardzo się oddaliły. Niestety miały pecha, ponieważ gdy tylko udało im się uciec przed wściekle atakującymi Ziemianami, dostawali się pod morderczy ostrzał eliańskich okrętów, które co sił gnały, by zdążyć na czas. Zniszczenie tych trzech krążowników było ostatnim akordem bitwy. Na polu walki były tylko uszkodzone krążowniki i tysiące mniejszych statków. Uganiały się za nimi ziemskie myśliwce i promy. Do nich dołączyły setki eliańskich, które wystartowały z przybyłych krążowników.

Wkrótce było po bitwie. Wszystkie statki opuściły pola siłowe i siedemnaście statków Układu stało na polu bitwy. Wszystkich dowódców krążowników i ich zastępców zaproszono na Odkrywcę. Obok Elian i Ziemian byli też

Kilianie i Talianie z Syriusza. Na samym końcu przyszło pięciu oficerów z krążowników sprzymierzonych Dorian, z Zento-Pakiem na czele. Na Odkrywcy był też dowódca z okrętu, którego załoga zbuntowała się, a dowódca z garstką wiernych oficerów i żołnierzy uciekł z aresztu. Nie chciał iść na odprawę. Wstydził się, że załoga go zdradziła. Zento-Pak wytłumaczył mu, że nie ma powodów do wstydu. On nie zdradził, a tamci nie cieszyli się długo wolnością – zginęli niemal natychmiast. Odwrócenie się od dowódcy przyniosło im śmierć. Na wstępie admirał poprosił o raport ze strat własnych. Saraj, Elianin, wstał i meldował:

– Straciliśmy jeden krążownik oraz wspaniałego dowódcę, który zginął na nim, przebijając sam jeden okrętem pole siłowe trzeciej bazy kosmicznej. Poza tym poległo trzydziestu siedmiu pilotów walczących pod polem siłowym z myśliwcami i bateriami laserowymi wroga.

Potem wstał Parker, który na eliańskim krążowniku atakował Dorię. Powiedział krótko:

– Bez strat własnych.

Admirał dodał, że Odkrywca nie poniósł strat. Steward, walczący na Syriuszu, meldował o stracie osiemnastu pilotów myśliwskich, którzy zginęli w walce z maszynami doriańskimi. Daro wstał dumny.

– Przyjacieli i bez strat własnych.

Na końcu głos zabrał Zento-Pak.

– Dorianie sprzymierzeni w Układzie stracili jeden krążownik, dwustu jedenastu członków załogi i pilotów walczących z myśliwcami. Plus jeden krążownik, który przeszedł na stronę wroga i został zniszczony ze zdrajcami na pokładzie. Dowódca razem z wiernymi pilotami zdołał uciec na jedenastu myśliwcach. Niestety dwa z nich zostały trafione laserami zdrajców. Czterech pilotów możemy dołączyć do dwustu jedenastu bohaterów, którzy zginęli wcześniej.

Admirał podziękował wszystkim i powiedział:

– Uczcijmy minutą ciszy pamięć bohaterów, którzy dzisiaj oddali życie, by budować lepszą przyszłość dla wszystkich ras, jak to czyniliśmy na Ziemi.

Gdy minęła minuta, ciągnął dalej:

– Teraz zobaczymy, jakich zniszczeń dokonaliśmy. Zlikwidowaliśmy dwieście pięćdziesiąt cztery krążowniki, trzy bazy kosmiczne, tysiące myśliwców, a na koniec planeta macierzysta wroga poczuła to samo, co czuły miliardy ludzi i Kilian, gdy niszczone nasze światy. Nie uczyniliśmy tego z samej chęci zabijania. Każda rasa pamięta, ilu straciła swoich obywateli przez złą doktrynę wojenną samych Dorian. Dowiedziałem się, że oni, chcąc zabezpieczyć się przed atakiem ze strony młodych cywilizacji, niszczyli kolejno światy, zanim stałyby się dla nich groźne. To jednak odwróciło się przeciwko nim. Pobite rasy utworzyły Układ, który my reprezentujemy. To na nas teraz spoczywa odpowiedzialność za pokój. Nie dopuścimy więcej do tego, by jakkolwiek rasa niszczyła drugą tylko dlatego, że może to zrobić. Myślę, że zemsta już się dokonała. Musimy zadbać o to, by taka sytuacja więcej się nie powtórzyła. To jeszcze nie koniec walki. Uderzyliśmy mocno, ale nie złamaliśmy potęgi i dumy Dorian. Mają jeszcze setki krążowników i wiele baz, ale teraz wiedzą jedno: mamy środki i wolę by je zniszczyć. Jednego są jeszcze nieświadomi: póki co nie pokazaliśmy im swojej potęgi. Nie wiedzą o

naszej największej broni. Na razie dysponują nią tylko Ziemianie, ale przyjdzie czas, że wszyscy członkowie Układu będą z niej korzystać. To tyle na ten temat. Parker, ilu mamy jeńców?

– Do tej pory czterystu pięćdziesięciu siedmiu, ale poszukiwania trwają.

– Jeńcy mają zostać przewiezieni na planetę powstałą po osadzeniu bazy kosmicznej numer i na stałej orbicie. Zająłem ją w imieniu Układu z powodu bogatych złóż trytu. Życie biologiczne na pewno się tam odrodzi. Z ramienia Układu to Elianie będą nią administrować.

Ci ostatni byli zaskoczeni wyróżnieniem. Nie spodziewali się go. Admirał wiedział, że Elianie stracili krążownik i mają jedną załogę ponad stan. Do nich mieli dołączyć ochotnicy ze sprzymierzonych krążowników. Admirał polecił traktować ich na równi z Elianami. Ci oczywiście zgodzili się na tę propozycję, ponieważ nie wiedzieli, co zrobić z dodatkową załogą, a poza tym mieli wreszcie dostęp do bardzo bogatych złóż trytu. Sprzymierzeni Dorianie na pewno się przydadzą. Pomogą zapanować nad jeńcami.

– Bazę numer 2 należy zniszczyć lub zepchnąć w przestrzeń międzygalaktyczną w kierunku jakiejś wielkiej gwiazdy, która spali ją na proch – kontynuował admirał. – Tym zajmie się Steward. Co do Dorian sprzymierzonych z nami i dzielnie walczących w bitwie, niszcząc kilkadziesiąt krążowników i setki myśliwców – proponuję, by od dziś stali się piątym członkiem naszego Układu. Pomoże to szybciej ustanowić pokój na naszych warunkach. Gdy inni Dorianie dowiedzą się, że traktujemy ich ziomków tak jak wszystkich członków Układu, wielu bez walki przyłączy się do nas. Oni muszą zrozumieć, że ich imperium już nie istnieje i nigdy się nie odbuduje.

Dorianie złożyli już przysięgę Układowi, więc powołanie Układu Pięciu Cywilizacji stało się faktem. Admirał podszedł do grupki Dorian z Zento-Pakiem na czele i powiedział:

– Witamy was w Układzie Pięciu Cywilizacji. Skończmy na dzisiaj naradę i zróbmy sobie święto. Wszystkich zapraszam na wesele.

Zapanowała cisza. Nikt nie wiedział o Urku i Belli.

– Wesele odbędzie się jutro na Odkrywcy. Panem młodym jest Ambasador Elii i zwierzchnik sił kosmicznych w Układzie, dzielny żołnierz i bystry dowódca, a mój przyjaciel, Urko. Panna młoda to księżniczka eliańska Bella, uratowana z rąk Dorian, gdzie była przetrzymywana w stanie hibernacji dziewięćdziesiąt lat.

Elianie zawsze panowali nad emocjami, tym razem jednak nie mogli powstrzymać się od zachwyty. Ślub eliański w takim towarzystwie to zaszczyt i honor dla każdego członka ich rasy.

Po naradzie odbyła się druga, w której uczestniczyli tylko admirał, Parker, Zento-Pak i Urko.

– Po weselu musimy ruszać dalej. Dorianie mają jeszcze w pobliżu pięćdziesiąt cztery krążowniki. Stanowią potężną siłę i na pewno odnajdą bazę numer i. Nie chcę, by zastali tam niemal bezbronych Elian. Poza tym nie wiem, czy nie uda im się uruchomić bazę numer 3. Elianie nie mieli czasu dokładnie jej zniszczyć.

Ustalono, że po odwiezieniu jeńców i Elian na planetę – bazę ruszą dalej do walki z

pozostałymi krążownikami.

Tymczasem czterdzieści osiem doriańskich okrętów, które wróciły do trzeciej bazy, zaczęło poszukiwania ocalałych obrońców. Mimo poważnych zniszczeń w schronach ukryło się wielu Dorian, między innymi dowódca bazy Leno-Tek. Uruchomiono zapasowe generatory i baza kosmiczna znowu zajaśniała światłami. Leno-Tek dostał się na statek dowodzenia i objął zwierzchnictwo nad eskadrami. Stary komandor zapyta:

– Kto zaatakował i zniszczył bazę kosmiczną?

Leno-Tek, wściekły, odburknął:

– Eliańskie krążowniki. Jeden zniszczyliśmy, ale było ich dziewięć. Na dodatek Ziemianie ukryli tu swoje myśliwce, które dokonały sabotażu naszych urządzeń osłonowych i krążowniki przedarły się, wypuszczając hordy maszyn. Te szybko rozprawiły się z bateriami laserów i dział plazmowych. To jednak nie najważniejsze. Zaatakowano i zniszczono Dorię. Wezmiesz dwanaście krążowników i polecisz udzielić pomocy rannym. Zostaniesz tam do ochrony planety. Ja wezmę resztę floty i spróbuję wywalczyć pokój na jak najlepszych warunkach. Prowadzenie dalej wojny oznacza szybką śmierć. Rasy, które dotąd uważaliśmy za słabe, dokonały wielkiego skoku technologicznego. Co więcej, zawarły pakt i wspólnie uderzyły na nas. Najgroźniejsi z nich to Ziemianie. Chociaż mają najmniej statków, przewodzą w Układzie. Są przebiegli, bezczelni i niestety bardzo inteligentni. Jeden z naszych krążowników kilka lat temu zniszczył ich planetę gdzieś w sąsiedniej galaktyce. Ziemianie, pałając chęcią zemsty, przylecieli aż tu i zniszczyli Dorię – mówił dalej Leno-Tek. – Zabrali ze sobą Talian, których jeden statek zniszczył jedenaście tysięcy ich krążowników. Okręt ten został jednak zlikwidowany chyba przez Ziemian, kiedy akurat wtedy tam przylecieli. Zabrali się z nimi Kilianie, którym też zniszczyliśmy planetę, i oczywiście Elianie. Przylecieli tu dziesięcioma krążownikami. Gdy pojawili się tu Ziemianie, straciliśmy dwieście pięćdziesiąt okrętów, trzy bazy i macierzystą planetę. Flota Układu uszczupliła się o zaledwie trzy statki, w dodatku żaden z nich nie był ziemski. Jakby tego było mało, do paktu dołączyło kilku zdrajców, którzy w normalnych warunkach zginęliby jako pierwsi. Jednak nauczeni przez Ziemian strategii walki z naszymi krążownikami, zniszczyli dwadzieścia pięć naszych statków, a sami stracili zaledwie jeden. Drugiego nie liczę, bo w ostatniej chwili przeszedł na naszą stronę i tamci go zlikwidowali, jego załoga zdążyła ostrzec nas przed pułapką Ziemian, dzięki czemu wrogowi nie udało się ten manewr. Ci dzielni Dorianie przypłacili to życiem. Na szczęście mamy jeszcze te statki i setki innych kosmosie, więc nadal jesteśmy groźni dla Układu. Nie wiem tylko, czy oni nas zaatakują, czy też będą czekać na nasz ruch. Ty teraz leć na Dorię. Ja tutaj poczekam na nich. Może zechcą dokończyć dzieła zniszczenia na bazie. Trzeba jak najszybciej przywrócić jej pole siłowe i zdolności bojowe. Gdy będziesz przy Dorii, nadaj komunikat do wszystkich kolonii z poleceniem, by nadsyłały pomoc dla macierzystej planety.

Jedna eskadra ruszyła jak najszybciej w stronę macierzystego globu. Okręty nie podnosiły osłon białej kuli, które nieznacznie opóźniały lot. W ten sposób stary komandor narażał statki na wykrycie, ale wiedział, że wróg jest daleko, a flota Leno-Teka znajduje się między nimi.

Dalo-Zen nie miał pojęcia, że zaraz po bitwie o drugą bazę, gdy eliańskie krążowniki zniszczyły trzy uciekające okręty doriańskie, jeden ze statków Układu natychmiast zawrócił w kierunku trzeciej bazy. Tam pilnował drugiej części floty Leno-Teka. Eliański krążownik wystartował wcześniej i miał nieznaczną przewagę nad doriańskimi statkami. Te jednak nadrabiały dystans i mogły go przegonić. Dowódca eliańskiego krążownika bardzo ryzykował, atakując w pojedynkę całą eskadrę. Nie miał jednak wyjścia. Gdyby postąpił inaczej, wróg przeleciałby obok niego, a za wcześniej też nie chciał atakować, ponieważ na pomoc mogły nadlecieć inne krążowniki Leno-Teka. Gdy doriańskie okręty zbliżyły się, eliański statek ostrzelał pierwszą jednostkę przeciwnika, dziurawiąc ją serią z czerwonego lasera. Krążownik natychmiast eksplodował. Następny zbyt gwałtownie hamował i wpadł na niego lecący za nim bliźniaczy okręt. Obydwa eksplodowały.

Na następne dwa posypały się kolejne strzały z lasera i torpedy. Jeden został zniszczony, a drugi poważnie uszkodzony. Następne statki podniosły osłony i poleciały w siedmiu różnych kierunkach. Dorianie nie oddali ani jednego strzału. Pewno uważali, że wpadli w pułapkę kilku statków. Nie chcieli się o tym przekonywać – woleli uciec. Zresztą mieli zadanie udzielić pomocy macierzystej planecie. Po dziesięciu minutach eliański krążownik opuścił osłony i podleciał do ciężko uszkodzonego okrętu doriańskiego. Po dokonaniu abordażu wzięto do niewoli siedemdziesięciu jeden jeńców. Reszta załogi doriańskiego statku zginęła. Wrak krążownika zaminowano i wysadzono, a eliański okręt zawrócił w kierunku swoich. Kapitan eliańskiego krążownika kazał przesłuchać jeńców. Dodał, że tylko jeśli zdecydują się mówić, będą żyli. Dowiedział się, że Dorianie zastawili pułapkę na flotę Układu przy bazie kosmicznej, która odzyskiwała sprawność bojową. Leno-Tek od dwudziestu czterech godzin wiedział o zniszczeniu Dorii i zdawał sobie sprawę, że załogi statków niszczących planetę będą chciały połączyć się z flotą Układu właśnie przy bazie kosmicznej, by dokończyć dzieła zniszczenia. Leno-Tek rozmieścił swoje krążowniki w siatce dwieście na dwieście kilometrów. Między statkami latały myśliwce wypełnione materiałami wybuchowymi. Gdyby krążownik Układu trafił w taką minę, na pewno zostałby wykryty i zniszczony. Eliański dowódca, wiedząc o pułapce, ominął ją szerokim łukiem. Wreszcie dołączył do floty i zdał raport ze swojej akcji, szcząc się tym, że zaatakował w pojedynkę całą eskadrę i zniszczył pięć z dwunastu krążowników.

Tymczasem do bazy kosmicznej numer trzy dotarło następne sześć okrętów, które wyszły z pogromu floty. Przy bazie były już zatem czterdzieści cztery krążowniki. Do bazy dotarły też wieści, że z dwunastu wysłanych na pomoc Dorii dotarło tylko siedem, a pięć zostało zaatakowanych i zniszczonych przez Elian.

Doria, zwana przez jej mieszkańców perłą galaktyki, czysta i zadbana, prawie pozbawiona przemysłu i zanieczyszczeń, służyła przede wszystkim jako miejsce odpoczynku dla załóg statków i baz kosmicznych. Była siedzibą rządu i administracji imperium. Mieszkały tu przede wszystkim rodziny osób pełniących obowiązki w administracji planety i zarządzaniu siłami kosmicznymi. Na planecie swoje domy mieli też najbogatsi i najbardziej wpływowi obywatele Dorii. Były tu muzea, uniwersytety i uczelnie. Dawne pola i ziemie uprawne oddano we władanie naturze. Były to obecnie ogromne tereny leśne, pełne dzikiej zwierzyny. Dorianie mogli sobie na to pozwolić – mieli kilkanaście kolonii zamieszkałych liczniej niż ich macierzysta planeta. Teraz glob przedstawiał żałosny widok. Wielkie pożary strawiły miasta i tereny leśne. Promieniowanie zabiło wiele zwierząt i Dorian, zanieczyściło akwen słodkiej wody. Doria straciła miliony obywateli, którzy uważali, że są bezpieczni w swoich domach. Planeta na szeroką skalę miała rozwinięte tylko rolnictwo i uprawy. Była spichlerzem imperium, a teraz sama potrzebowała żywności, ponieważ zapasy zostały spalone lub napromieniowane. Wysyłano sygnały z prośbą o pomoc do wszystkich kolonii, ale wiedziano, że wróg panuje w kosmosie i może zniszczyć każdy statek ze wsparciem. Wysłano nawet prośbę o pomoc na Dorię II. Natychmiast nadeszła odpowiedź: „Otrzymacie wszelką pomoc, ale ze względu na to, że nie mamy statków

transportowych, musicie sami przylecieć po towar". Był z tym kłopot – obawiano się, że wróg zniszczy bezbronne statki transportowe, jak to zrobił do tej pory przy Dorii. Wówczas Elianie zlikwidowali ponad dwieście transportowców różnego kalibru.

Po kilku dniach admirał nakazał atak na pozostałą flotę doriańską. Wiedział, że zniszczenie głównych sił to za mało, by rzucić wroga na kolana. Przeciwnik miał bowiem setki statków w całym imperium i zawsze kilkadziesiąt mógł zebrać, a wówczas stałby się groźny. Poza tym dysponował kilkoma bazami kosmicznymi. Obecnie znajdowały się daleko, ale z czasem mogły stać się niebezpieczne. Teraz jednak przeciwnik wiedział o sile Układu. Miał przewagę liczebną, więc mógł pokusić się o jakieś niespodzianki. Przeciwno czterdziestu czterem krążownikom i bazie kosmicznej wystawiłby siedemnaście statków bojowych, dwa promy i siedemdziesiąt myśliwców zdolnych do walki z krążownikami. Mógł jeszcze wykorzystać myśliwce sprzymierzonych Dorian, ale były za słabe, wolał ich nie narażać. To jednak wciąż za mało na bezpośrednią konfrontację z przygotowanym wrogiem. Admirał obmyślił więc plan, by zaatakować przeciwnika tylko myśliwcami, które podlecą do bazy kosmicznej i poprzez ostrzał zmuszą flotę doriańską do ujawnienia się. Gdy myśliwce zajmą się krążownikami, do walki wkroczy niemal cała flota. Gdy bitwa na dobre się rozpocznie, ze skrzydeł wejdą po prawej i po lewej stronie po trzy krążowniki eliańskie. To powinno dobić wroga. Gdy wszystko było gotowe do walki, flota podleciała w pobliże doriańskiej bazy kosmicznej. Odkrywca, zachowując eliańskie pole siłowe, ujawnił się i nadał wiadomość do Dorian w bazie. Tymczasem z hangarów wylatywały ziemskie myśliwce i ustawiały się do walki.

Admirał kazał nadać wiadomość, by Dorianie w bazie natychmiast się poddali. Odkrywca stał na widoku i był nie lada okazją dla wroga, który myślał, że statek dowodzenia nie ma w ogóle osłon. Dorianie nie znali pola siłowego eliańskiego typu, które było słabsze, ale nie na tyle, by należało się obawiać kilku strzałów laserowych. Jeden z dowódców nie wytrzymał i puścił dwa promienie czerwonego lasera. Pole siłowe Odkrywcy wytrzymało ten strzał, a w odpowiedzi błysnęła złota gwiazda, trafiając w osłony, które natychmiast pękły. Potem gwiazda przeorała krążownik po całej jego długości, doprowadzając go do eksplozji. To był sygnał do ataku dla myśliwców, które seriami laserów poszukiwały ukrytych statków. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Dorianie musieli skoncentrować siły, by zniszczyć ziemski statek, wyposażony w potężne pole siłowe. Zgrupowane więc były w kilku miejscach. Jedno z nich zlokalizowały myśliwce. Chmarą rzuciły się na wykryte krążowniki, które usiłowały się bronić, jednak nie były w stanie trafić w szybkie myśliwce i jeden za drugim eksplodowały. Część z nich wypuściła własne statki, by zaczęły poszukiwania maszyn Układu tą samą metodą. Ziemianie, dysponujący osłonami, nie musieli obawiać się doriańskich myśliwców. Eliańskie krążowniki zbyt szybko weszły do walki. Strzelały na oślep w poszukiwaniu wroga, przez co zdradziły swoją pozycję. Naraziły się na skoncentrowany ogień bocznych eskadr doriańskich. Same jednak też odkryły pozycje wroga i zaczęły ostrzał z laserów automatycznych. Taka wymiana ognia wiązała siły przeciwnika, ale była niebezpieczna. Dorianie atakowali trzy krążowniki eliańskie, a Elianie ostrzeliwali sześć okrętów doriańskich.

Musieli zatem podzielić ogień swych baterii na dwa krążowniki każdy. Pierwszy efekty walki odczuł jeden z okrętów eliańskich, który po kolejnym trafieniu stracił pole siłowe i stał się widoczny. Natychmiast wyleciały z niego myśliwce w celu rozproszenia ostrzału wroga, ale nie na wiele się to zdało. Kilka strzałów laserowych i eliańskie pole siłowe pękło. Krążownik został trafiony bezpośrednio. Już zaczęto jego ewakuację, gdy kosmos rozświetliła eksplozja. Wprawdzie następny eksplodował doriański okręt, ale strata była faktem. Obserwujący to admirał krzyknął do nadajnika:

– Urko, leć na prawą stronę, bo rozwałą pozostałe dwa krążowniki! Myśliwce ziemskie na prawą stronę, pomóżcie eliańskim.

Na prawym skrzydle pozostałe dwa eliańskie krążowniki, ostrzeliwane przez pięć doriańskich, ledwie się trzymały. W tym momencie Dorianom pokazał się na chwilę jeden szturmowiec ziemski i na ich oczach rozdzielił się na trzy części, po czym znikł z pola widzenia. Następnie Urko natarł na trzy krążowniki naraz. Najpierw ostrzeliwał je laserami, potem przebijał słabiutkie pole siłowe i dziurawił kadłub wszystkich trzech okrętów. Trzy eksplozje rozświetliły kosmos. Eliańskie krążowniki skoncentrowały ostrzał na pozostałych statkach, a i Urko zaatakował jednego z nich. Statek eksplodował. Myśliwce dorznęły piątego krążownika.

Na lewej stronie było jeszcze gorzej. Zanim maszyny Układu doleciały, jeden z eliańskich krążowników był już pozbawiony osłon i dorzynany. Za ledwie kilka myśliwców i kilka kapsuł ratunkowych zdołało oderwać się od krążownika, zanim eksplodował. Siedem okrętów doriańskich atakowało dwa statki eliańskie. Zmiękczone ostrzałem eliańskich okrętów krążowniki wroga były idealnym celem dla ziemskich myśliwców. Te z daleka otworzyły ostrzał na wszystkie krążowniki doriańskie, by tylko odciągnąć ostrzał od Elian. Dla jednego z nich było za późno. Stracił już pola siłowe i widać było eksplozje na kadłubie krążownika. W tym momencie ziemskie myśliwce weszły do ataku i po kilka naraz zaatakowały każdy z siedmiu okrętów. Inne z własnych pól siłowych zrobiły zaporę przed uszkodzonym eliańskim krążownikiem. Widać było, jak trafiane czerwonym laserem czerwieniały ich kule pól siłowych, ale stały jak zaporę nie do przebicia. Jeden z myśliwców został trafiony trzykrotnie, ale nie wycofał się, stał w tym samym miejscu. Zanim ostatni doriański krążownik eksplodował, zdążył wystrzelić ostatni promień, trafiając w myśliwiec bez osłon. Małym stateczkiem rzuciło jak piłką i poleciał bezwładnie w kosmos. Niestety nie udało się uratować eliańskiego krążownika. Jego dowódca zarządził ewakuację. Ze statku zaczęły wylatywać myśliwce, promy i kapsuły ratunkowe. Pozostały krążownik zebrał rozbitków pod osłoną ziemskich myśliwców. Główne grupowanie sił Układu szybko poradziło sobie z dwoma eskadrami, które, obserwując walkę na skrzydłach, nie mogły ustać w miejscu. Zaczęły się przesuwać, zostawiając ślad po spalonym paliwie. Szybko wykryte, stały się łatwym celem. Baza kosmiczna była teraz niemal bezbronna, straciwszy krążowniki. Admirał jednak miał pewne przecucie. Nie pozwolił opuścić pól siłowych i czekał. W końcu kazał wystrzelić kilka torped trytowych małej mocy w różne rejony orbity bazy. Nagle eksplozje ujawniły ukryte i

stojące nieruchomo statki doriańskie, na które teraz posypał się potężny ostrzał ze złotych gwiazd i czerwonych laserów. Dwanaście eksplozji świadczyło o tym, że ukryta eskadra przestała istnieć.

Admirał znowu wygrał. Coś jednak nie dawało mu spokoju. Nadal nie pozwolił wyjść statkom z ukrycia.

Po chwili wydał rozkaz, by wszystkie maszyny wypaliły w przestrzeń, gdzie nie prowadzono działań wojennych. Po kilku minutach Sokół, a raczej jego człon trafił na pojedynczy statek doriański. Pole siłowe maszyny natychmiast zaczerwieniło się od trafień pozostałych statków floty. Uszkodzony okręt dowodzenia z Leno-Tekiem na pokładzie został unieruchomiony. Dorianin, nie chcąc się poddać, wysłał myśliwce do walki z całą flotą Układu. Zarządził zatem samobójczy atak. Wszyscy o tym wiedzieli. Doriańskie maszyny nie pokonały nawet połowy drogi, gdy eliańskie myśliwce ze zniszczonych krążowników rzuciły się na nie jak chmara owadów na swą ofiarę. Elianie mieli kilkukrotną przewagę liczebną. Szybko niszczyli doriańskie myśliwce. Ziemskie maszyny nie brały udziału w tej walce. Stały na czele swojej floty i niszczyły myśliwce doriańskie, którym sporadycznie udawało się przebić przez okrążenie eliańskich statków. Mały prom oderwał się od uszkodzonego krążownika wroga i starał się ominąć blokadę. Gdy przelatywał obok Syriusza, dostał kilka strzałów i znieruchomiał. Następnie złapany w wiązkę holowniczą, został wciągnięty do hangarów, gdzie aresztowano wszystkich jego pasażerów w liczbie pięćdziesięciu ośmiu, z Leno-Tekiem na czele. Sam krążownik nie był mocno uszkodzony. Po kilku niewielkich naprawach nadawał się do walki.

Bitwa trwała dwie godziny. Zniszczono w niej sześćdziesiąt siedem krążowników doriańskich, w tym dwadzieścia cztery, które przyleciały dwie godziny przed bitwą. Te zlikwidowano jako ostatnie. Na placu boju pozostał tylko jeden cały, ale lekko uszkodzony krążownik. Ze strony Układu największe straty ponieśli Elianie. Zniszczono im trzy krążowniki i siedemdziesiąt cztery myśliwce. Z jednego okrętu oprócz części załogi w kilkunastu myśliwcach i kapsułach ratunkowych nikt się nie uratował. W dwóch również zginęły setki osób. Łącznie Elianie stracili cztery tysiące dwieście siedemdziesięciu sześciu członków swoich załóg. Admirał rozkazał, by uratować wszystkich rozbitków, a przede wszystkim pilota myśliwca, który oberwał przy osłonie eliańskiego krążownika. W ferworze walki wszyscy o nim zapomnieli. Elianie byli bardzo źli na Dorian i chcieli lecieć na ich planetę, by dokończyć dzieła zniszczenia. Admirał sprzeciwił się temu stanowczo. Powiedział, że nie pozwoli zniszczyć całej rasy, by Elianie mogli utopić swój gniew w jej krwi.

Zento-Pak, który przybył ze swego statku na Odkrywcę, słyszał całą rozmowę i blady strach padł na niego. Pomyślał, że zawarł pakt z cywilizacjami, które chcą zniszczyć jego rasę. Zaczął żałować, że nie zginął wcześniej w walce. Wolał to niż zagładę swojej cywilizacji. Cała nadzieja w admirale, który nie chciał do tego dopuścić. Czy jednak zaryzykuje rozpad Układu dla znenawidzonego wroga?

Na mostek wszedł Urko, który wykonał swoje zadanie i powrócił na statek dowodzenia.

Słyszał, jak admirał rozmawia z dowódcą eliańskiej eskadry przez wideołącze.

– Zulonie, masz wydzielić dwa swoje statki do zniszczenia bazy numer trzy.

– Pozostałe polecą zniszczyć Dorię – dodał tamten.

– Nie. Zostaną tu do mojej dyspozycji.

– Admirale, nie możesz nas powstrzymać przed dokonaniem zemsty. Dziś zginęły ponad cztery tysiące Elian. Moi rodacy są bardzo gniewni i żądają krwi.

– Albo ty ich powstrzymasz, albo Elia straci dzisiaj jeszcze sześć krążowników. Osobiście o to zadbam.

– Zniszczysz nasze okręty, by ocalić Imperium Doriańskie?

– Imperium Doriańskie już nie istnieje. Wy chcecie zabijać bezbronnych cywilów. Nigdy na to nie pozwolę.

– Nie możesz nas powstrzymać.

– Syriusz, tu admirał, wydaję ci rozkaz. Zniszcz eliańskie krążowniki. Wszystkie. To zdrajcy.

– Rozkaz – usłyszał w odpowiedzi.

– Steward, powstrzymaj się! – dowódca usłyszał przerażony głos Urka. – Admirale, proszę pozwolić mi porozmawiać z Zulanem.

Ziemianin popatrzył na Urka, który aż zzieleniał z emocji i przerażenia, po czym powiedział do Stewarda:

– Powstrzymaj się, ale miej broń w gotowości. Urko, robię to tylko dla ciebie. Inaczej twoi rodacy byłiby tylko wspomnieniem.

Elianin odparł:

– Jestem zwierzchnikiem wszystkich sił w kosmosie z woli Rady Elii. Muszą mnie posłuchać. Inaczej sam wydam rozkaz, by ich zgładzić. Zulanie, mówi Urko, zwierzchnik wszystkich sił eliańskich. Masz wykonywać polecenia admirała. To rozkaz.

– Urko, nie możesz mnie powstrzymać przed zniszczeniem Dorii.

– Wzywam Dotala, pierwszego oficera na krążowniku dowodzenia Nekro.

– Tu Dotal, melduję się.

– Dotalu, natychmiast aresztuj Zulana. Od dziś nie ma on żadnej władzy na statku ani na Elii. Przejmij dowództwo nad eskadrą. Następnego buntownika każę natychmiast rozstrzelać, choćbym musiał zabić was wszystkich. Synod Elii dał mi taką władzę i tylko on może mi ją odebrać. Kto nie będzie wykonywał moich rozkazów, zginie jako zdrajca i informacja o tym zostanie przesłana na Elię, by rodzina zmarłego odczuła to piętno.

– Urko, aresztowałem Zulana i osadziłem go w areszcie. Jakie są rozkazy?

– Wydziel dwa statki do zniszczenia bazy kosmicznej. Reszta niech pozostanie do dyspozycji admirała, zwierzchnika wszystkich sił w Układzie. Następnym razem sam zniszczę krążowniki, a na Elię wyślę wiadomość, by przysłali nowe, bo te dopuściły się zdrady w obliczu wroga.

Dopiero po czterech godzinach odnaleziono dryfujący myśliwiec ziemski, który ochronił

eliański krążownik. Pilot zginął na miejscu, trafiony bezpośrednio laserem, który przebił maszynę, fotel, grodz, zbiorniki paliwa, drugą grodz, pancerz i wyszedł na zewnątrz, tracąc cały impet. Był to drugi człowiek, który poległ w walce z Dorianami. Urządzono pogrzeb pilota ze wszystkimi honorami. Na uroczystości oprócz Urka nie było ani jednego Elianina. Admirał był trochę smutny. Podszedł do przyjaciela i powiedział:

– Widzisz, Urko, ten pilot własną piersią po części wyhamował pęd laserów, które mogły natychmiast zniszczyć krążownik i całą załogę. Czy nie zasłużył nawet na to, by chociaż jeden Elianin z tego samego okrętu złożył mu hołd? Przykro mi z tego powodu.

Kilka godzin później Urko lądował promem na statku dowodzenia. Witął go sam Dotal i reszta dowódców okrętów. Elianin kazał prowadzić się do sali narad i tam zebrać wyższych dowódców i oficerów. Zulan też miał być obecny. Gdy wszyscy już się zebrali, Urko zaczął:

– Bracia, wydarzyło się dzisiaj kilka przykrych rzeczy. Stojący tu Zulan wyrządził więcej szkód Elij i Elianom niż tysiąc krążowników doriańskich. Po pierwsze, zaatakował bez rozkazu dobrze przygotowane do walki okręty wroga, przez co zginęły cztery tysiące Elian. Straty były tak małe, ponieważ admirał, rezygnując ze swojego planu, wydał rozkaz swoim myśliwcom, by broniły eliańskich krążowników. Tylko dzięki Ziemianom nie doszło do zniszczenia okrętu wraz z całą załogą. Myśliwce te swoim polem siłowym zastawiły drogę doriańskim laserom.

Po drugie, Zulan sprzeciwił się rozkazom admirała, który jest zwierzchnikiem sił zbrojnych Układu i każda flota podlega jego dowództwu. Powiem wam – pstryknął palcami – że tyle właśnie brakowało, by po eliańskiej flocie pozostało tylko niemiłe wspomnienie. Admirał wydał już rozkaz flocie ziemskiej, by zniszczyła wszystkie nasze krążowniki. Uznał nas za zdrajców. Ledwie go powstrzymałem.

Po trzecie, podczas obrony eliańskiego krążownika kilkunastu pilotów ziemskich myśliwców utworzyło tarcze przed naszym krążownikiem, chroniąc statek przed laserami wroga. Jedna z maszyn, trafiona trzy razy, straciła pole siłowe. Jednak nie wycofała się. Załoga liczyła się z tym, że każde następne trafienie oznacza pewną śmierć. Wiedziała, że z tyłu znajduje się krążownik, a na nim ponad dwa tysiące bezbronnych Elian. Myśliwiec stał na swoim posterunku do samego końca. Ostatnia salwa z doriańskiego krążownika trafiła ponownie w ten statek. Pilot zginął na miejscu, ale uratował życie dwóm tysiącom Elian. Powiedzcie mi teraz, ilu z was przybyło na Odkrywcę, by pożegnać bohatera, człowieka, który oddał życie za nas. Ilu, pytam! Milczycie, tak, milczycie, to ja wam powiem. Nie było żadnego z was. Ofiara życia tego człowieka była daremna, bo Elianie nie zasługują na to, by ktokolwiek ryzykował dla nich życiem. Ziemianie do tej pory stracili tylko dwóch pilotów. Pierwszy z nich zginął, bo maszyna, którą kierował, miała awarię. Drugi człowiek zginął, poświęcając się dla ratowania Elian. Robił to świadomie. Powiedzcie, dlaczego przynosicie wstyd mnie, naszemu rządowi i wszystkim Elianom? Dlaczego mam świecić za was oczami przed admirałem i prosić go, by darował wam życie? Może lepiej by było, gdyby was wszystkich zabił? Do tej pory Elianie mieli silną pozycję w Układzie. Lepszą nawet niż Kilianie, którzy razem z Ziemianami byli jego założycielami. Teraz admirał bardziej ufa Zento-Pakowi i jego krążownikom niż

Elianom. Synod Elii nigdy wam tego nie wybaczy. Teraz posłuchajcie: jeszcze jeden taki wybryk, a sam będę prosił admirała, by zniszczył was razem ze statkami. Kiedyś obiecał, że tylko Elianom zdradzi tajemnicę rozszczepiania trytu. Teraz powiedział, że naszej rasie nie można ufać i nie pozwoli, by taka broń dostała się w niepowołane ręce. Zulanie, za swoją głupotę będziesz przebywał na trytowej planecie. Nigdy jej nie opuścisz. Jeden krążownik zawiezie tam załogi ze zniszczonych krążowników. Tam do czasu przybycia innych statków będą organizować pracę jeńców doriańskich. Teraz wytypujcie okręty do ataku na bazę. Ma zostać zniszczona. Wrak zaholujcie w pobliże gwiazdy, która spali go na popiół. Tylko Dorianie, którzy będą chcieli opuścić planetę, mogą być z niej zabrani.

Gdy Urko kończył wydawanie poleceń, rozległ się buczone alarmu bojowego. Statki natychmiast podniosły pola siłowe i ustawiły się w szyku bojowym z wysuniętym Odkrywcą z przodu. Na skanerach widać było kilkadziesiąt okrętów klasy niszczyciel doriański. Niszczyciele były okrętami klasy Przyjacieli i, ale uzbrojeniem dorównywały krążownikom, a nawet je przewyższały. Z powodu niewielkich rozmiarów nie nadawały się do dalekich podróży, więc służyły jedynie jako jednostki ochrony planet lub baz kosmicznych. Pojawienie się tych okrętów zwiastowało nową bitwę. Zento-Pak powiadomił admirała, że tylko jedna kolonia ma taką flotę. Była to praktycznie suwerenna planeta, bardzo bogata i potężna. Dzięki temu nie musiała słuchać władz zwierzchnich.

– Oni przybyli tu walczyć. Spodziewajcie się podstępów i oszustw. To nie są Dorianie trzymający się reguł honorowej walki. Kolonia nosi nazwę Lameta. Jej mieszkańcy mówią o sobie Lametanie, a nie Dorianie.

Łącznie przybyło sześćdziesiąt niszczycieli. Stanęły naprzeciwko floty ziemskiej. Odkrywca rozgrzał wszystkie trzy rodzaje osłon i kazał, by Przyjaciel i był w pogotowiu, a razie potrzeby zasłonił go przed strzałami. Urko siedział już w Sokole. Zbliżył się do floty lametańskiej. Nagle tuż przed nim błysnął promień lasera. Albo to przypadek, albo przeciwnik wiedział, jak znajdować statki wroga po spalinach. Admirał zakazał ruchu swojej flocie. Chciał poznać zamiary wroga. Zdjął osłony białej kuli i czekał, co zrobi przeciwnik. Kilkanaście laserów oddało strzały w kierunku Odkrywcy. Niemal wszystkie trafiły, niszcząc osłony magnetyczne i eliańskie. Przyjaciel i natychmiast przesunął się przed Odkrywcę, blokując następne serie laserów. Odkrywca wystrzelił trzy złote gwiazdy w niszczyciele lametańskie. Jak można było się spodziewać, niszczyciele eksplodowały. Admirał wiedział, że te okręty mają więcej laserów, więc nie chciał wdawać się w wymianę ognia. Doriańskie i eliańskie statki nie wytrzymałyby takiego ostrzału. Kazał przygotować myśliwiec-pułapkę i zaminować pancierz. Maszyny miały wlecieć w środek formacji i atakować tylko konwencjonalną bronią, by wróg je zlekceważył. Myśliwce wyleciały z hangarów i posuwały się w kierunku formacji wroga. Niszczyciele zaczęły ostrzeliwać stateczki, ale tak jak i Dorianie, Lametanie nie mogli namierzyć tak małych obiektów. Eskadra myśliwców wleciała pomiędzy statki lametańskiej floty, intensywnie ostrzeliwując pola siłowe z broni pokładowej i torped konwencjonalnych. Nie uczyniły jednak żadnej szkody statkom wroga. Lametanie zauważyli, że myśliwce, mimo

że są wyposażone w pola siłowe, nie mają broni, by komukolwiek zagrozić. Zlekceważono je. Nawet nie zauważono, jak myśliwce ruszyły z powrotem w kierunku ziemskiej floty. Nikt nie widział też, że jeden ze statków nie wrócił. Flota lametańska szykowała się do ataku, ustawiając swoje maszyny w stożek, bo taka strategia gwarantowała prowadzenie ostrzału ze wszystkich statków jednocześnie. Gdy ta formacja zbliżyła się na odległość strzału, wszystkie okręty ziemskie wzmocniły swoje pola siłowe do granic możliwości. Mniejsze statki chowały się za większymi, chroniąc się przed falą uderzeniową. Tuż za flotą lametańską nastąpiła potężna eksplozja, która rozświetliła kosmos bardziej niż gwiazda. Potężna fala uderzeniowa rozerwała armię wroga. Teraz zmierzała do linii floty Układu, która tuż przed wybuchem zawróciła, by się ochronić. Eksplozja była tak potężna, że linie floty załamały się. Statki zostały odrzucone bezwładnie. Żaden jednak nie ucierpiał, a po godzinie wszystkie stały w pozycjach bojowych, natomiast po flocie lametańskiej nie było śladu. Admirał powiedział tylko jedno zdanie:

– Lametanie podpisali na siebie i swoją planetę wyrok śmierci. Zento-Paku, podaj współrzędne kolonii lametańskiej.

To był swojego rodzaju test dla Dorianina. Jeżeli zdradzi pozycje Lametan, wyda na nich wyrok śmierci, jeżeli odmówi, straci zaufanie admirała. Zento-Pak nie zastanawiał się długo. Lametanie zawsze byli solą w oku imperium i teraz też nie podporządkowaliby się Układowi. Prędzej czy później musieliby skonfrontować się z najeźdźcą. To było nieuniknione. Nie miał więc żadnych skrupułów. Podał dokładne położenie kolonii i ostrzegł admirała przed ufortyfikowanym księżycem z bazą niszczycieli.

– Spokojnie, Zento, nawet nie zbliżymy się do planety, a ona zginie.

Dorianin, gdy zobaczył, co Ziemianie zrobili w jednej chwili z całą lametańską flotą, uwierzył w siłę broni Układu. Nie spodziewał się jednak, czego wkrótce będzie świadkiem. Admirał powiedział do Zento-Paka:

– Nadaj wiadomość do Lametan, by opuścili swoją kolonię, bo jest skazana na zagładę. Powiedz im, co się stało z ich flotą. Mają dwadzieścia cztery godziny, później nie będzie już Lamety.

Zento-Pak nadał wiadomość na Lametę, jak polecił mu admirał. Nie rozumiał, dlaczego Ziemianin ostrzegł wroga przed atakiem. Nigdy nie słyszał o takiej taktyce. Zwykle wykorzystywano moment zaskoczenia. Nie wytrzymał, musiał zapytać o założenia ataku. Admirał powiedział krótko:

– Nie będę uganiał się później za każdym statkiem lametańskim. Niech zbiorą się w jednym miejscu. Dam im nawet dwa dni.

Zaraz po podaniu współrzędnych Lamety admirał powiedział kilka słów do Urka i ten wyszedł. Trzy godziny później Sokół odleciał z misją w kierunku Lamety.

Przyszła wiadomość od Lametan, którzy, ufni w swoją flotę i siłę, rzucili kilka obelg pod adresem Zento-Paka. Nie uwierzyli mu. Admirał powiedział:

– Nie martw się. Są przerażeni, już wzywają wszystkie swoje statki z całego rejonu. Znam mentalność takich istot. Lametanie wiedzą, że ponieśli stratę we flocie, więc przygotowują się

jeszcze bardziej. Właśnie o to mi chodzi.

W ciągu dziesięciu minut obróć Lametę i jej mieszkańców w popiół, a flotę rozerwę na strzępy.

Siły Układu zmierzały w kierunku planety. Wszystkie uszy i oczy śledziły poczynania wroga, który miał się zmierzyć z najpotężniejszą frakcją w imperium. Admirał leciał powoli. Musiał dać czas Urko na wykonanie zadania. Promy cały czas śledziły na skanerach przelatujące niszczyciele, które przybywały z różnych kierunków i parkowały na orbicie Lamety oraz jej dużego księżycy. Statki transportowe cały czas lądowały na księżycu lub na samej planecie. Setki małych transportowców przylatywały lub odlatywały, jakby miało się nic nie wydarzyć. Admirał, gdy tylko dostał wiadomość od Urka, kazał przyspieszyć i zatrzymać flotę z drugiej strony gwiazdy, wokół której orbitowała Lameta. Rozstawił pięć statków przy koronie gwiazdy i kazał wysłać pięć myśliwców trytowych w kierunku korony. Natychmiast nakazał odwrót całej floty z maksymalną szybkością. Po półgodzinie statki Układu były już bardzo daleko, gdy kosmos rozświetlił błysk eksplozji. Fala uderzeniowa pięciu myśliwców wypełnionych trytem zdmuchnęła z korony gwiazdy miliardy ton gorącej plazmy i rzuciła je w kierunku planety. Lametanie w swoich niszczycielach, widząc, co się dzieje, postanowili ustawić swoje statki przez Lametę, by polem siłowym niszczycieli ochronić ją przed chmurą plazmy. Manewr ten może by się udał, gdyby był na to czas. Tylko około dwustu trzydziestu niszczycieli zdołało podlecieć na tyle blisko, by chronić planetę. Skutek był znikomy. Plazma słoneczna opływała kule pól siłowych i leciała dalej w kierunku Lamety. Chmura, oddalając się od gwiazdy, słabła, a jej temperatura malała. To też niewiele pomogło, ponieważ gdy dotarła do globu, miała temperaturę sześciuset stopni i paliła wszystko na powierzchni. Sam przelot chmury nad planetą trwał kilkanaście minut. W tym czasie wszystko, co żyło na Lamecie, na pewno zginęło. Planeta została całkowicie spalona, nawet woda wyparowała z oceanów. Pozostające na orbicie planety niszczyciele były jedynym dowodem na istnienie tej kolonii. Lametanie nie wiedzieli, że wykryty mały stateczek pozakładał na ich trytowych niszczycielach potężne miny, które teraz jedna po drugiej zaczęły eksplodować. Czterdzieści błysków rozświetliło kosmos. Flota Lametan przestała istnieć. Może jeszcze gdzieś daleko w kosmosie pozostało kilka statków tej klasy, ale było jasne, że już nigdy nie powrócą one na swoją planetę. Gdy flota Układu nadleciała, nad Lametą unosiły się jeszcze chmury dymu. Niemal na całej powierzchni padał deszcz. Admirał wiedział, że oceany wyparowały. Kiedyś planeta odżyje, ale minie kilkaset lat, zanim to nastąpi. Lametanie drogo zapłacili za swą arogancję. Admirał nie miał wątpliwości, że dobrze zrobił. Ziemia niemal cała wymarła, a on miał się przejmować jedną kolonią wroga? Poleje się jeszcze się wiele krwi doriańskiej, zanim zapanuje pokój.

Rozkazał lot w kierunku Dorii. Ta planeta nie została zupełnie zniszczona. Elianie nie byli dokładni. Uznał jednak, że nie będzie do końca niszczył Dorii, chyba że okaże się to konieczne. Po przylocie w okolice planety zauważono jedenaście krążowników i dziesiątki transportowców. Małe transportowce planetarne krążyły między wielkimi transportowcami i

okrętami, przewożąc żywność i leki dla rannych. Krążowniki stały bez pól siłowych. Widać nie chciano walczyć. Przybyłe statki na pewno zostały zauważone, ponieważ Odkrywca i pozostała flota wyszły z ukrycia. W kierunku Dorian posłano wiadomość, by dowódca krążowników przyleciał na promie na statek dowodzenia Układu. Po kilku minutach mały prom oderwał się od jednego krążownika i podleciał prosto do hangaru Odkrywcy. Po wylądowaniu z pojazdu wyszło kilka osób: sześciu wysokiej rangi oficerów i czworo cywilów, w tym dwie kobiety. Były bardzo ładne, prawie tak samo jak te z Dorii II, tylko inaczej ubrane. Daro-Zen zdał sobie sprawę, że skoro wróg jest tutaj, to nie ma już floty i trzeciej bazy. Nikt o zdrowych zmysłach nie zostawiłby za sobą floty przeciwnika. A o głupotę nie mógł posądzać najeźdźców. Daro-Zen przedstawił się.

– Jestem najwyższym rangą oficerem, a ci Dorianie pomagają mi uratować życie na planecie po waszym ataku. Nie chcemy z wami walczyć, zawrzyjmy pokój. Jakie są wasze warunki?

Admirał wysłuchał go i powiedział:

– Ja jestem admirał Anderson. Pochodzę z rasy Ziemiaków. Pełnię funkcję zwierzchnika sił zbrojnych w Układzie Pięciu Cywilizacji. Przyjmuję twoją bezwarunkową kapitulację. Wszyscy wasi wyżsi oficerowie mają w ciągu pięciu godzin stawić się na Odkrywcy. Rządy nad planetą z ramienia Układu przejmują Zento-Pak i wyznaczeni przez niego Dorianie. Oni jedynie mogą decydować o losie waszej rasy. Rozbroicie wasze krążowniki. Dwa z nich przejmę jako zdobycz wojenną i wcielę do sił Układu. Pozostałe statki będą pod kontrolą Zento-Paka. Wyżsi oficerowie i członkowie rządu doriańskiego zostaną przewiezieni na planetę Wenus II, która orbituje wokół gwiazdy, dzięki czemu kiedyś powróci na nią życie. Będą tam przebywać aż do śmierci lub ułaskawienia. Zento-Pak otrzymał cztery unowocześnione przez nas krążowniki. Każdy przybyły ma się podporządkować jego rozkazom. On jest teraz Premierem Dorii. Wasza cywilizacja została piątym członkiem Układu. Możecie do niego przystąpić albo zginiecie. Innej alternatywy nie ma. Teraz zadawaj pytania, jeżeli takie masz.

Daro-Zen nabrał powietrza w płuca i wypalił:

– Dlaczego nas zaatakowaliście?

Parker, przysłuchujący się tej rozmowie, wybuchnął gniewem:

– Masz czelność pytać, dlaczego was najechaliśmy? Dlatego że wy zaatakowaliście naszą planetę i zabiliście siedem miliardów ludzi. Kilianie stracili przez najazd waszego statku dwa miliardy swoich, a nie wiadomo, ilu z nich zginęło na statkach, których ponad tysiąc zniszczyliście. Policz, ilu na jedenastu tysiącach statków taliańskich było Talian. Eliańskie krążowniki też nie były dla was przeszkodą. Najeżdżaliście nawet swoich krajan na Dorii II. Tylko siła was przerażała. Lametanie nie chcieli się do was przyznawać, więc stworzyli własne imperium. Popelnili błąd, atakując naszą flotę. Mogli się dogadać. Ponieśli sromotną klęskę, a ich planeta spłonęła. Sami przyczyniliście się do waszej zagłady. Na własnym grzbiecie odczujecie skutki swojej polityki.

Daro-Zen milczał. Wiedział o wszystkim oprócz zniszczenia Lamety i jej floty. Raporty przychodziły codziennie od krążowników wysłanych kosmos, a ciekawsze wiadomości publikowano.

– A kim są ci cywile? – zapytał admirał. Daro-Zen ucieszył się, że odwrócono uwagę od jego osoby.

– Ten młodzieniec to Bela-Kar, syn premiera Dorii, a raczej byłego premiera. Ten drugi nazywa się Kita – Tak. Jego ojciec był zwierzchnikiem sił zbrojnych imperium. Rodzice tych dwóch zginęli podczas ataku waszych statków. Te dwie młode kobiety to moje córki: Tea-Zen i Mea-Zen. Obie są wykształcone w kierunkach humanistycznych. Chciały poznać ludzi, o których mówiono, że są bestiami w skórze Dorian. Rzeczywiście, pod względem budowy anatomicznej między ludźmi a Dorianami nie było żadnej różnicy. Zupełnie jakby wywodzili się z jednego gatunku. Same oddały się w waszą niewolę, by wyprosić łaskę dla Dorii i Dorian.

Admirał, trochę zakłopotany, spojrział na dziewczęta. Jedna z nich patrzyła gdzieś w bok. Podążył za jej wzrokiem i zobaczył postać Zento-Paka, któremu oczy się iskrzyły jak kotu przed łowami. Zrozumiał w lot, że coś się między nimi rodziło.

Powiedział do Daro-Zena:

– Chłopcy zostaną przewiezieni na Wenus II, planetę, która kiedyś była bazą kosmiczną. Tam jak zakładnicy będą pracować na swoje utrzymanie. Nie uczynię z nich niewolników. Ich los będzie zależał od zachowania. Tea – Zen pozostanie jako gość na moim statku, a Mea-Zen będzie podlegać opiece Zento-Paka. Zento, podejmujesz się sprawować rządy nad Dorianami?

– Tak – padła odpowiedź.

– Zorganizuj przewiezienie jeńców na Wenus II. Przybyły właśnie promy. Przywiozły z planety oficerów i ich rodziny, które chciały jechać razem z mężami i ojcami.

Admirał dodał, że członkowie rodzin jeńców nie będą zmuszane do niewolniczej pracy, ale mają same zatroszczyć się o swoje utrzymanie.

– Działaj, Zento, organizuj życie i ratuj swoją planetę. Wyślij też transportowce na Dorię II. Tam oferowano pomoc.

Admirał otrzymał dwa doriańskie krążowniki razem ze służbami technicznymi. Kazał przenieść na nowe statki część ludzi, by uczyli się ich obsługi i porządnie je uzbroili.

– Jutro o siedemnastej wszyscy dowodzący mają stawić się na Odkrywcy.

Na drugi dzień o wyznaczonej godzinie wszyscy dowódcy krążowników zjawili się w wielkiej sali na statku dowódcy. Gdy ucichły głosy, admirał wstał i zaczął swoją przemowę.

– Panowie, od mojej wyprawy z Ziemi jednym statkiem minęło dziesięć lat. W tym czasie stoczyliśmy wiele bitew. Upadło kilka potęg, które uważały, że wolno im decydować, kto ma żyć, a kto powinien umrzeć. Cały czas jednak myślałem o Ziemi. Sądziłem, że została zniszczona. Teraz jednak wiem, że planeta jest na swoim miejscu. Potężna eksplozja, którą widzieliśmy, zniszczyła część Księżyca i miliony ton skał księżycowych spadło na nasz glob. I nie wiem, czy ktokolwiek ocalał. Mam nadzieję, że ktoś przeżył. Jednak to dzięki nam oraz statkom, które wcześniej odleciały z Ziemi, nasza planeta się odrodzi. W związku z tym główną

bazę Układu Pięciu Cywilizacji założymy na Nowej Ziemi. Planeta ta świetnie nadaje się do tego celu. Niech każda cywilizacja ustanowi tam swoje przedstawicielstwo i wybuduje ambasadę. Wybudujemy ośrodek łączności i bazę statków kosmicznych. Każdy, kto zechce osiedlić się na Nowej, otrzyma pomoc od Układu. Jest tam już kilka rodzin ziemskich i kiliańskich. Zento-Pak niech też ustanowi przedstawicielstwo. Teraz muszę nagrodzić najdzielniejszych żołnierzy, którzy razem ze mną tworzyli i budowali Układ. Tak więc awansuję do stopnia kontradmirała komandora Parkera. Otrzymuje on dowództwo nad przejętym od Dorian krążownikiem, od dzisiaj nazywanym Kopernikusem. Awansuję do stopnia komandora kapitana Stewarda. Powierzam mu dowództwo nad drugim przejętym krążownikiem, Australią. Awansuję do stopnia komandora kapitana Harisa. Otrzymuje on dowództwo na Syriuszem. Awansuję do stopnia komandora Kilianina Zorę. Zostanie on dowódcą Przyjaciela i.

Wszystkich ziemskich i kiliańskich oficerów podlegających mojej władzy awansuję o jeden stopień w hierarchii wojskowej. Elian i Talian nie mogą awansować, ponieważ podlegali mi tylko czasowo. Wyróżnienia zależą od ich zwierzchników. Przesłałem odpowiednie dokumenty na poszczególne planety. Urko, jako że pozostaje na Nowej, awansuje do stopnia admirała w Układzie Pięciu Cywilizacji. Na koniec muszę z radością donieść, że konflikt Układu z Dorianami został zakończony. Doria stała się piątym członem Układu i biada temu, kto chciałby zakłócić tę równowagę. Jutro wszyscy rozpoczną podróż do wyznaczonych celów, a dzisiaj zapraszam na przyjęcie z okazji ustanowienia pokoju.

Wiadomość, że Zento-Pak zawarł pokój z Ziemianami, rozeszła się szerokim echem po całym terytorium doriańskim. Podano także, że flota Układu wycofuje się na swoją planetę. Wielu Dorian bardzo przychylnie przyjęło tę wiadomość, ale nie wszyscy.

Na drugi dzień flota Układu rozleciała się w różnych kierunkach. Elianie zabrali jeńców i ruszyli w kierunku Wenus II. Reszta okrętów, poza doriańskimi Zento-Paka, poleciała w kierunku Nowej. Po drodze zabrano piętnastkę ludzi szkolących się pod okiem Dorian na doriańskim krążowniku. Dorianom kazano przejąć statek i polecieć do Zento-Paka, po czym oddać się mu do dyspozycji. Alternatywą była niewola na Wenus II pod władzą Elian, więc przystali na to z ochotą.

Wysyłając raport na Talię, admirał prosił o ustanowienie ambasadora, który mógłby reprezentować interesy Talian w Układzie. W drodze powrotnej na Nową ludzie po raz pierwszy mieli czas dla siebie. Admirał zdawał sobie sprawę z tego, że załoga zasłużyła na to, co najlepsze, dlatego pozwalał swym ludziom na wszystko. Zawarto kilka małżeństw. Wcześniej nie chciano zawracać tym głowy admirałowi. Wesela trwały po trzy dni, a poprawiny jeszcze dłużej. Bawiono się i ucztowano z różnych, nawet mało ważnych powodów. Każdy był dobry, byle impreza się udała, a udawała się każda. Admirał często przebywał wśród załogi i razem z nią śmiał się i żartował. Zapomniano o różnicach pomiędzy rasami, nie wyłączając Dorian. Na przyjęcia często zapraszano personel damski z doriańskich statków, by zacieśniać więzy między cywilizacjami. Dorianie byli bardzo zadowoleni, a Dorianki, młode i

piękne, zwracały uwagę wszystkich Ziemiaków. Na statkach doriańskich zawsze służyło kilkudziesięć pań. Były to przeważnie młode i wykształcone kobiety, ale pochodzące z biednych rodzin. Córki bogatych i wpływowych Dorian nie musiały pracować.

15.

Pokój i powrót na Ziemię

Flota Układu od kilku tygodni leciała w kierunku Nowej, nie spiesząc się zbyt. Wszystkie załogi odpoczywały i zajmowały się swoimi sprawami, często wspominając wydarzenia z ostatnich miesięcy. Pewnego wieczoru, a raczej nocy admirał wrócił do swojej kabiny w świetnym humorze. Wziął kąpiel i poczuł się wypoczęty jak nigdy. Miał pięćdziesiąt sześć lat, ale nie czuł się staro i nie wyglądał na swój wiek. Był wysportowany i ogólnie wyglądał młodziej. Mógł się podobać kobietom, ale nie myślał o nich, stale zajęty pracą. Siedząc wygodnie w fotelu ze szklaneczką szkockiej i dyktafonem w drugiej ręce, uzupełniał swój dziennik osobisty. Gdy zastanawiał się nad kolejnym zdaniem, usłyszał pukanie do drzwi. Był nieco zaskoczony, bo pora była późna, a nie spodziewał się nikogo. Dopił szkocką i powiedział:

– Proszę wejść.

Drzwi się rozsunęły i do pokoju weszła Tea-Zen, córka Daro-Zena, o której zapomniał. Czuł się trochę winny, ponieważ obiecał, że dziewczyna będzie pod jego opieką, a zostawił ją samą sobie. Na Odkrywcy poza nią nie było ani jednego Dorianina czy Dorianki. Zrozumiał swój błąd i postanowił go naprawić. „Ściągnę tu z Kopernikusa albo z Australii kilka rodzin doriańskich i będzie po sprawie”.

– Usiądź, Teo – zaczął uprzejmie. Nawet nie zastanowił się, czy dziewczyna go rozumie, bo zostawił komunikator w łazience.

Tea weszła i łamaną angielszczyzną zaczęła mówić:

– Dobry wieczór, czy możemy porozmawiać?

Admirał, zaskoczony jej angielskim, zapytał:

– Znasz mój język?

– Tak, przez kilka tygodni uczyłam się języka i kultury Ziemiaków.

– Czytać też umiesz?

– Tak, wasz język jest łatwy do nauczenia.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

– Tak, proszę herbatę doriańską.

Admirał podszedł do replikatora i zamówił herbatę. Już po chwili niósł jedną dla Tei, a drugą dla siebie. – Co cię do mnie sprowadza?

– Przyniosłam panu prezent. – Podała mu pudełeczko wykonane z platyny i złota. Admirał

wziął je do ręki i otworzył powoli. W środku w czerwonej oprawie znajdował się przezroczysty kamień o średnicy dwóch centymetrów.

– Taki kamień na Ziemi nazywamy brylantem – powiedział admirał.

– To nie jest zwykły kamień. Proszę go dotknąć.

Admirał dotknął kamienia, a on natychmiast zmienił barwę na czerwoną jak rubin, potem na różową, by znowu przybrać barwę brylantu. Tea przysiadła się bliżej, prawie czuł jej oddech, i szepnęła:

– Mogę go też dotknąć?

Chwyciła lekko jego rękę, a drugą musnęła kamień, który zaczerwienił się, a potem zbladł jak poprzednim razem. Tea wzięła drugą dłoń admirała w swoje dłonie i dotknęła jego placami brylantu. Kamień zaczerwienił się, ale już nie zmienił barwy, pozostał czerwony. Tea zbliżyła usta do ust admirała i pocałowała go, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Objął ją ramieniem i też zaczął ją całować, a ona nie broniła się przed tym.

Godzinę później leżeli w jego łóżku. Dorianka spała, a on myślał o tym, co się właśnie wydarzyło. Przecież był od niej dwa razy starszy. „Wykorzystałem ją, sprowadziłem na obcy statek, a później wykorzystałem. Tak to wygląda. Tylko dlaczego nie czuję się podle z tego powodu? Przecież sama tego chciała”. Popatrzył na nią śpiącą i pomyślał: „Przecież nie sposób było się jej oprzeć, nie jestem z kamienia”. Była piękna, z rudozłotymi włosami niemal do pasa. Wyglądała jak rusałka z opowiadań babci, których słuchał, będąc dzieckiem. Zrozumiał, że ta spodobała mu się, gdy tylko ją zobaczył.

Położył się blisko niej i usnął.

Nazajutrz gdy się obudził, zobaczył, jak Dorianka wpatruje się w niego.

– Długo nie śpisz?

– Chwilę – odpowiedziała. Admirał pocałował ją, a ona znowu objęła go rękoma.

Kochali się godzinę, nim padli na pościel z wyczerpania. Admirał powiedział:

– Wiesz, że od ponad dziesięciu lat nie miałem kobiety?

– To prawdopodobne – odparła.

– A wiesz, że od ponad dwudziestu lat pierwszy raz spóźnię się na służbę?

Wstał szybko, ubrał się, a na odchodne powiedział:

– Możesz spać dalej.

Ona uśmiechnęła się i wtuliła głowę w poduszkę.

Admirał wszedł na mostek i przejął służbę. Zwolnił poprzednią zmianę i przeczytał kilka raportów.

– Kiedy dolecimy do Nowej? – zapytał kapitana Nielsena.

– Jutro na wieczór – usłyszał w odpowiedzi. Zadał jeszcze kilka zdawkowych pytań dotyczących zachowania się załogi i zamilkł, pogrążony we własnych myślach. Obsługa mostka pracowała w ciszy, a czas dłużył się jak nigdy.

Ocknął się z zadumy, gdy nawigator zwrócił się do niego:

– Admirale, Dorianka chce wejść na mostek. Czy można ją wpuścić.

– Ach tak, niech wejdzie.

Tea weszła, niosąc na tacy kawę i śniadanie. Admirał poczuł aromat świeżo parzonej kawy i dopiero teraz przypomniał sobie, że nie jadł śniadania. Tea podeszła do niego i postawiła tacę na stoliku przy admirałce.

– Usiądź, zjemy razem – powiedział. Załoga mostka popatrzyła na siebie znacząco, trochę zdziwiona zachowaniem Dorianki. Kiedy jednak spojrzeli na jej błyszczące oczy, natychmiast zrozumieli, że jest zakochana w admirałce. Zaraz zaczęli przyglądać się dowódcy. Nie wierzyli własnym oczom: admirał był taką skałą, a mała Dorianka robiła z nim, co tylko chciała.

Po zjedzeniu śniadania admirał powiedział do Nielsena:

– Olaf, przejmij mostek i kryj mnie przed szefem. – I wyszedł.

Nilsen zaśmiał się z żartu admirała i powiedział:

– Jasne.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za dowódcą, wziął nadajnik i połączył się z Parkerem, który leciał obok Kopernikusem.

– Ryszard, powiem ci nowinę. Jeżeli się zdziwisz, to stawiasz szampana, a jeżeli cię to nie zaskoczy, ja stawiam.

– Umowa stoi. A czym ty możesz mnie zadziwić? – odparł Parker.

– Jak usłyszysz, to padniesz, więc lepiej usiądź.

– Dobra, już siedzę. Olaf, nie denerwuj mnie, tylko mów, co wiesz.

– Nasz kochany admirał – cedził wolno Nielsen – zakochał się w Doriance, i to z wzajemnością. Co ty na to?

– To niemożliwe! Żartujesz chyba?

– Stawiasz szampana jak nic!

– Nawet dwa, ale czy to nie pomyłka?

– To pewne jak to, że teraz z tobą rozmawiam.

– Olaf, poczekaj, nie rozłączaj się. Zaraz to ogłosimy na swoich statkach. Ale się Dorianie zdziwią...

Nilsen słyszał, jak Parker mówi:

– Uwaga, załoga, ogłaszam ważny komunikat. Admirał Anderson, zwycięzca wielu bitew i pogromca kilku cywilizacji, dzisiaj uległ jednej małej Doriance.

Z początku załoga nie zrozumiała komunikatu. Ani Ziemiańskie, ani Dorianie nie wiedzieli, o co chodzi, ale gdy Parker dodał że Tea-Zen podbiła serce dowódcy, który zakochał się w niej jak sztubak (tego sztubaka dodał od siebie], na statkach zawrzało. Wszyscy się cieszyli, chociaż każda rasa z innego powodu. Nie minęło piętnaście minut, jak cała flota wiedziała o wszystkim.

Chorąży Ryszkin powiedział do Nielsena:

– Admirał nie podziękuje ci za to, że wszystkim o nich powiedziałaś.

– No to co, przecież jestem z łączności, to nie może się dziwić – zaśmiał się Olaf.

W tym czasie admirał rozmawiał z Teą przy stoliku w barze i nie wiedział, że wszyscy już plotkowali o jego związku z Dorianką. Sam zresztą nie miał pojęcia, czy to przypadkiem nie

kaprys dziewczyny. Tea coraz bardziej mu się podobała, ale nie zastanawiał się, czy coś do niej czuje. Siedział z nią przy stoliku i słuchał, jak opowiadała o swoim życiu na Dorii. Tak samo mógł słuchać Ziemianki czy Taliarki. Kobiety mają identyczne problemy, niezależnie od rasy i miejsca zamieszkania: szkoła, koleżanki, najbliższa rodzina i tak dalej. Jakby słyszał swoją młodszą siostrę... Ona też zamęczała znajomych i rodzinę swoim gadaniem, z tym że gadanie Tei było inne. Podobało mu się. Lubił, jak marszczyła brwi, opowiadając krępujące ją rzeczy, i jak śmiała się, gdy mówiła coś śmiesznego.

Nagle przyszedł barman i postawił przy nich szampana i dwa kieliszki.

– Co to jest? – zapytał admirał.

– To poczęstunek od załogi – odparł barman, nie dając po sobie poznać, że już wszystko wie i że na statku aż huczy od plotek.

Anderson podziękował i nalał trunek do kieliszków. Gdy spróbował, od razu rozpoznał oryginalny szampan francuski. Nawet nie wiedział, że jeszcze taki mieli. „Jak on się uchował?” – pomyślał, ale zaraz przestał się nad tym zastanawiać, bo Tea roześmiała się słodko. Szampan bardzo jej smakował, a najbardziej podobały jej się bąbelki. Na Dorii nie było winogron i nie znano win musujących. Robiono je tylko z owoców.

– To najszlachetniejszy napój na Ziemi. Spożywano go tylko przy szczególnych okazjach. – W tej chwili zrozumiał, że załoga mogła coś zauważyć. Powiedział do Tei: – Oni chyba już wiedzą.

Dziewczyna zaczerwieniła się i uśmiechnęła.

– To miło z ich strony.

Do baru wszedł Urko z żoną i od razu podszedł do stolika dowódcy. Zwrócił się do Andersona:

– Admirale, gratuluję. – I podając mu małą szkatułkę, dodał: – Proszę przyjąć ten prezent.

Anderson teraz nie miał już wątpliwości, że cała załoga już wie o nim i Tei. Zaprosił Urko i jego żonę do stolika. Barman szybko przyniósł odpowiednie krzesła dla niewielkich Elian.

Admirał po cichu zapytał Urka:

– Skąd o nas wiesz?

Elianin odparł szeptem:

– Parker mi powiedział.

„No jasne” – pomyślał admirał. „Jak Parker już wie, to na pewno wieść rozeszła się lotem błyskawicy”. Wiedział o przyjaźni Nilsena z Parkerem.

Admirał nadal trzymał w ręku podane mu pudełko. Nie wiedział, co w nim jest i co powinien z nim zrobić, więc bez oglądania zawartości podał je Tei. Dziewczyna wzięła pudełeczko i powoli je otworzyła. Chwilę przyglądała się temu, co było w środku, jakby o czymś myślała. Oczy się jej zaszklily. Urko szepnął do admirała:

– Wiem, że Tea przyjęła twoje oświadczenia.

– Jak to? – zapytał admirał.

– Wiem, że jak panna przyjmie prezent, to zgadza się na ślub. U nas też tak jest. A u was

nie?

– U nas daje się pierścionelek zaręczynowy.

– A co to jest pierścionelek zaręczynowy? – zapytał Urko.

– To taka mała ozdóbka na palec panny. Mężczyzna wręcza kobiecie pierścionelek na znak, że chce się z nią ożenić. No właśnie, różnimy się tylko kształtem prezentu, a cel jest taki sam.

„Ale wpadłem...” – pomyślał admirał. „A zresztą, przecież nie muszę być do końca życia sam. A nie wyobrażam sobie siebie zabiegającego o względy kobiety w moim wieku. Dobrze, że sprawa tak się ułożyła. Tea jest słodkim dzieckiem, bardzo pięknym na dodatek, no i chyba mnie lubi. Czegóż więcej mógłbym chcieć?”. Powiedział do Urka:

– Co włożyłeś do tego pudełeczka?

– Nie obawiaj się. Na pewno jej się spodoba.

Bella przysunęła się bliżej Tei i cicho powiedziała:

– Pokaż wszystkim prezent, bo umrą z ciekawości.

Tea otworzyła pudełko i wszyscy zobaczyli piękną kolbę, wykonaną ze złota i platyny, wysadzaną brylantami i rubinami. Do tego bransoletka, kolczyki i pierścionelek. Wszystko było ręczną robotą Urka, który nawet przed żoną ukrywał te błyskotki, ponieważ jako pierwsza miała je zobaczyć kobieta, dla której były przeznaczone. Admirał patrzył, jak kobiety oglądają prezent, zachwycając się każdym klejnotem z osobna i przymierzając je na przemian. Doszedł do wniosku, że już się nie wywinie, jednak nie był tym zmartwiony. Samotność zbyt często dawała mu się we znaki, zwłaszcza w chwilach spokoju, których teraz, po wygranej wojnie, na pewno mu nie zabraknie. Trzeba było czymś wypełnić czas. Małżeństwo jest na to radą. Bardzo nie lubił bezczynności. Pamiętał, jak nie mając nic do roboty, snuł się po statku i zaglądał każdemu przez ramię, by popatrzeć, co robi. Kiedyś nawet Szczęściarz wyprosił go z laboratorium, ponieważ dowódca rozpraszał naukowców i robota się im nie kleiła. Od tego czasu admirał spędzał więcej czasu na mostku. Stamtąd nikt nie miał prawa go wygonić. Tea pojawiła się więc w samą porę, bo załoga mogła wreszcie pracować spokojnie, a sam Anderson też miał o czym myśleć. Młoda żona będzie chciała spędzać z mężem jak najwięcej czasu. Również z tego powodu wszyscy od razu ją polubili.

Nastał czas pokoju. Poza kilkoma przystankami podczas drogi powrotnej mieli lecieć z pełną prędkością. Unowocześnione silniki były wydajniejsze i szybsze.

Planowane postoje na Nowej, Kili i Zarii miały trwać nie dłużej niż trzy dni. Szczęściarz mówił, że gdy leci się z ogromną prędkością, czas biegnie na statku wolniej niż w rzeczywistości. Na Ziemi mogło minąć już kilkadziesiąt lat. Admirał przewidywał, że powrót na Ziemię potrwa około roku, pod warunkiem że nie będą robić ponadprogramowych postojów.

Kilka dni później wszystkie załogi wiedziały o związku admirała i Dorianki. Znali nawet datę ślubu Andersona, który miał się odbyć z wielką pompą. Admirał już nie krył się z niczym, bo to nie miało żadnego sensu. Dziwił się tylko sobie, bo nie był już taki młody i myślał, że jest odporny na takie uczucia.

Obsługa kuchni i baru kilka dni szykowała przyjęcie, chociaż admirał chciał wziąć cichy

ślub w kameralnym gronie, wśród samych przyjaciół i próbował wszystkich ustawiać. Jedno słowo Tei wystarczyło, by machnął tylko ręką i powiedział:

– A róbcie, co chcecie, byle to się już skończyło.

W dniu ślubu wszystko było związane na ostatni guzik. Ślubu udzielał Parker, jako najstarszy stopniem poza admirałem. Na ten czas przejął dowództwo nad flotą.

Asystowali mu Urko, Zaro i Zalo-Mek, jedyny oficer doriański, którego nie odwieziono na Wenus II, ponieważ był nieprzytomny.

Parker pierwszy raz widział admirała tak zdenerwowanego. Anderson wyglądał jak młodzieniec, który boi się nieuchronnych zmian. Młoda Dorianka miała duży wpływ na dowódcę. Sytuacja jej pobratymców z pewnością się zmieni.

Uroczystość zaślubin przebiegła szybko i sprawnie według wcześniej ustalonego scenariusza. Admirała zmęczyły trochę życzenia, ponieważ każdy z osobna chciał powiedzieć coś od siebie i wręczyć upominek. Potem już wszystko poszło gładko i rozpoczęło się wesele. Anderson wziął kilka dni urlopu i w ogóle nie zaglądał na mostek. Zdał dowództwo Parkerowi. Tea była zachwycona weselem, zwłaszcza że admirał przeniósł na Odkrywcę kilka rodzin doriańskich. Zmienił im jednocześnie status zakładnika na status pracownika. Podpisał z nimi kontrakt na służbę w UPC i nadał im ziemskie stopnie wojskowe, zależnie od rodzaju służby, którą pełnili.

Po urlopie admirał jak gdyby nic przyszedł na mostek i przejął dowództwo od Parkera. Wysłuchał raportów i kazał nadać na Nową wiadomość o przylocie. Czekał dziesięć minut na sygnał o odebraniu wiadomości. Gdy go nie otrzymał, kazał wysłać następny. Sygnał miał być nadawany co godzinę. Aż do skutku. Poszedł do kabiny, gdzie zastał śpiącą żonę. Zrobił sobie kawę i przeglądał raporty z ostatnich dni. Po pewnej chwili Tea obudziła się i podeszła do admirała.

– Widzę, że masz jakieś zmartwienie – powiedziała.

– Nic poważnego. Martwi mnie tylko, że na Nowej nie odbierają sygnału.

– Może zepsuł im się nadajnik?

– To mało prawdopodobne.

– To wyślij najszybszy statek i niech sprawdzi, co się tam dzieje. Może potrzebują pomocy!

– Teraz poruszamy się z prędkością dwóch i pół tysiąca parseków, bo tylko tyle może lecieć

r

nasz najwolniejszy statek – Przyjacieli i. Syriusz jest dwa razy szybszy. Możliwości Odkrywcy nigdy nie badaliśmy, ale z pewnością byłby w stanie rozwinąć największą prędkość.

– To lećmy pierwsi, a reszta dołączy do nas później.

Admirał zastanawiał się chwilę. Nie chciał rozdzielać floty, ponieważ mógł się natknąć na jakąś wysoko rozwiniętą cywilizację, chociaż w raportach Dorian nie było mowy o tym, by takowe istniały w pobliżu. Jednak oni też wszystkiego nie wiedzieli. Wezwał przez radio mechaników na mostek. Sam też się tam wybierał.

– Masz racje, zrobimy, jak radzisz.

Na mostek dotarł przed mechanikami. Gdy tylko się zjawili, zadał pytanie:

– Jak szybko możemy lecieć?

– Z prędkością trzech tysięcy parseków już lecieliśmy, ale na pewno możemy jeszcze szybciej.

Admirał połączył się z flotą i nadał wiadomość: „Niech wszystkie statki lecą jak najszybciej na Nową. Planeta od pewnego czasu nie odpowiada. Zachować ciszę radiową. Czekać niedaleko Nowej na resztę floty”. Najpierw wyrwały się statki doriańskie, potem Syriusz. Nawet Przyjaciół i odskoczył do przodu.

Odkrywca rozpedzał się powoli, ale systematycznie. Doganiał kolejne statki. Gdy osiągnął prędkość sześciu tysięcy parseków, przestał przyspieszać. Sprawdzono wszystkie podzespoły chłodzenia reaktora i statek ponownie nabralł mocy. Niedaleko Układu Topień, w którym znajdowała się Nowa, Odkrywca zwolnił.

Po wyhamowaniu statku na zwiady wysłano prom, ponieważ nadal nie było żadnych wiadomości od osady. Na orbicie planety i obok niej nie zaobserwowano żadnych statków. Nie było nawet śladów spalin. Gdyby nastąpił jakiś atak, na pewno zauważyliby ruchy floty. Prom gładko wszedł w atmosferę planety, by nie zdradzić swojej obecności. Trwało to dłużej, ale ostrożności nigdy za wiele, jak mówił admirał. Skierował się nad osadę, a raczej nad to, co po niej zostało. Domy były częściowo spalone, a w większości rozbite. Martwe zwierzęta leżały przed budynkami, a kilkanaście wyrwanych drzew pozwalało sądzić, że osadę dotknął jakiś kataklizm. Prom wzbil się wyżej i rozszerzył zakres skanowania do pięćdziesięciu kilometrów. Od razu wykrył pracujące maszyny, i to intensywnie. Ich silniki były przegrzane od ciągłej pracy. Po kilku minutach lotu prom znalazł się nad nowo powstałą, a raczej budującą się osadą.

Ludzie kręcili się dookoła, pracując szybko, jakby czas miał decydujące znaczenie.

Maszyny karczowały las. Na łące obok osiedla pasły się zwierzęta, a dalej koło rzeki bawiły się dzieci.

Prom wyszedł z kamuflażu i wylądował niemal na samym środku osiedla, wzbudzając niemalą sensację. Kapitan Lewi wyszedł pierwszy z maszyny i od razu poznał zbliżających się do niego ludzi. Z miejsca zapytał, dlaczego nie odpowiadali na sygnały nadawane z Odkrywcy. Jeden z ludzi zaczął opowiadać, co zaszło.

– Przenieśliśmy osadę dalej od morza. Ostatni sztorm był tak mocny, że fale morskie nas zalały. Po drodze nie ma żadnych naturalnych zapór. Ledwie uszliśmy z życiem. A nie odpowiadaliśmy, bo dwa dni temu zdemontowaliśmy maszt i radiostację. Do tej pory jej nie podłączyliśmy.

Lewi natychmiast nadał wiadomość na Odkrywcę i poprosił o pomoc w ludziach i sprzęcie. Kilka godzin później nad rozbudowę osiedla pracowało ponad dwustu ludzi i wiele dodatkowych maszyn. Potem zaś poza stałą obsługą Odkrywcy w budowie pomagała cała załoga. Nadleciały pozostałe statki i ich personel także włączył się do pracy w odbudowie osady. Część załóg wykorzystywała swoje urlopy i odpoczywała nad morzem z rodzinami. Admirał zdecydował, że pięćdziesiąt osób z rodzinami może osiedlić się na Nowej. Szybko

znaleziono chętnych na Odkrywcy. Statek nie potrzebował całej obsady do lotów patrolowych i bojowych. Teraz przecież pełnił funkcję okrętu flagowego UPC. Urko już wcześniej postanowił, że się tu osiedli, a razem z nim na Nowej postanowiła zamieszkać doriańska rodzina z Odkrywcy. Admirał nadał im status obserwatora UPC i zwolnił ich z pracy na Odkrywcy. To samo uczynił z taliańską rodziną, z tym zastrzeżeniem, że Talianin miał pełnić funkcję przedstawiciela w Układzie do czasu przylotu ambasadora z Talii. Admirał postanowił, że oprócz myśliwca ziemskiego, którego zostawił tu wcześniej, na Nowej będzie stacjonować pięć dodatkowych myśliwców ziemskich i dziesięć doriańskich, których na Kopernikusie było ponad dwieście. Zostawił też działa plazmowe do ostrzału obiektów w kosmosie. Budowano również stacjonarne działo czerwonego lasera, które mogłoby razić obiekty spoza planety, dlatego zamaskowano je, by nie było widoczne z kosmosu. Z innych statków też zostało kilka rodzin, więc liczba stałych mieszkańców osady wzrosła do dwustu. Całe osiedle było już wybudowane i wyposażone we wszystko, czego można by potrzebować.

Cała eskadra miała jak najszybciej lecieć na Ziemię. Najwolniejszym statkiem był Przyjaciół i, który po modyfikacji silników mógł osiągnąć prędkość niemal trzech i pół tysiąca parseków. Po wyruszeniu wszyscy zdawali sobie sprawę, że nastąpi teraz piętnastomiesięczna podróż i w tym czasie prawie nic nie będzie się działo. Admirał nakazał załogom odpoczywać i pracować nad udoskonalaniem broni, środków łączności i skanowania przestrzeni. Służby techniczne miały się zająć montażem emiterów białych kul w myśliwcach doriańskich. Wiedział, że Dorianie mieli już takie maszyny, ale to była seria eksperymentalna i została całkowicie zniszczona przez Ziemian. Sam admirał był zajęty swoją żoną i rzadko przebywał na mostku. Ograniczał się do słuchania raportów i zaraz wracał do swojej kajuty. Cieszył się tylko z unowocześnieni swoich silników, co prawie siedmiokrotnie przyspieszało powrót do domu. Chciał też odwiedzić Elię, ale to by przedłużyło podróż o prawie trzy miesiące. Zamierzał też później odnaleźć statki, które opuściły Ziemię przed napadem. Urządzenia, jakie dostał od Dorian z Dorii II, potrafiły oczyszczać atmosferę planety. Myślał też, by takie maszyny wybudować na Wenus i na Marsie, a potem czekać na efekty. Rozkazał służbom technicznym rozpoczęcie prac nad budową następnych urządzeń do oczyszczania atmosfery z trujących gazów i wiązania pierwiastków w związki stałe, które, opadając na powierzchnie planety, tworzyłyby pokłady surowców. Technologia opierała się na urządzeniach doriańskich, co było bardzo skomplikowane dla ziemskich naukowców. Wiele opisów urządzeń trzeba było tłumaczyć na angielski. Samemu Willisowi admirał kazał pracować nad urządzeniem białej kuli, ale dla pojedynczego człowieka. Było to trudne, ponieważ temperatura w białej kuli wzrastała do dwustu pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Statkom to nie przeszkadzało, ale żywa istota zginęłaby w takich warunkach. Ponadto trzeba było pomyśleć o tym, by taka biała kula nie paliła otoczenia i aby człowiek czuł się w niej bezpiecznie. Poza tym admirał chciał, aby istota ukryta w białej kuli mogła swobodnie dotykać innych oraz przedmiotów bez szkody dla nich. Szczęściarz miał z tym zamówieniem duży problem, a dodatkowo dochodziła osłona przed laserami. To była jeszcze poważniejsza sprawa, dlatego postanowił dokładnie

prześledzić fazy powstawania białej kuli. Część załogi nudziła się. Przede wszystkim dotyczyło to pilotów myśliwców. Nie mieli nic do roboty, więc zaczęli robić sobie brzydkie dowcipy. Ekscesy te nie uszły uwagi admirała, chociaż piloci starali się omijać dowódcę szerokim łukiem i na ten czas powstrzymywali się od niestosownych żartów.

Admirał wiedział o tych dowcipach, ale zdawał sobie sprawę, że karanie nie przyniesie spodziewanego efektu, a jedynie zaostrzy sytuację. Cały czas myślał, jak skrócić podróż chociażby o kilka tygodni. Postanowił, że nie będą zbaczać z kursu, by odwiedzić Kilię. Sami Kilianie na statkach też się do tego nie palili. Byli wygnańcami i tylko obecność floty umożliwiłaby im poruszanie się im po planecie lub bazach kosmicznych. Teraz tu mieli swoje rodziny i przyjaciół. Nie potrzebowali wracać na Kilię. To jednak było za mało. Admirał po namyśle zdecydował, że przecież nie muszą lecieć razem, poszukując statków ziemskich. Kazał więc, by Kopernikus, Australia i Syriusz zaczęły samodzielne poszukiwania. Wyszukano w archiwach kursy poprzednich statków i po dokonaniu stosownych obliczeń, uwzględniających prędkości, jakie mogły osiągnąć okręty tej klasy, wyznaczono kursy dla trzech statków, które ruszyły, jak to określił Parker, na poszukiwanie igły w stogu siana.

Teraz tylko Odkrywca i Przyjaciół i leciały kursem powrotnym na Ziemię. Gdy statki zniknęły z radarów, admirał powiadomił Kilianina Zytę, że ma lecieć na Kilię i odwiedzić Nadię i Zarię. Ten jednak poprosił dowódcę, by pozwolił mu lecieć na Odkrywcy w kierunku Ziemi, a misję odwiedzenia sojuszniczych planet powierzył komu innemu. Tłumaczył się tym, że jest wygnańcem i nie może wrócić na Kilię. Gdyby wrócił na statku UPC, musiałby nakłonić krajan do posłuszeństwa, a to mogłoby doprowadzić do konfliktu – nawet zbrojnego. Być może tylko walka pozwoliłaby wymusić zgodę na to, by uznano go za przedstawiciela UPC. Gdyby Kilianom udało się zniszczyć Przyjaciół i, naraziliby się na odwet Układu, co też doprowadziłoby do konfliktu zbrojnego. Admirał po wysłuchaniu jego racji pozwolił mu zostać na Odkrywcy. Dowództwo nad Przyjaciółem i otrzymał major Aleks Kaziński.

Anderson z zadowoleniem pozbył się najwolniejszego statku, a sam kazał mechanikom przyspieszyć do sześciu tysięcy parseków. Szybko osiągnięto tę prędkość, zwłaszcza że już leciał w tym tempie na Nową. Teraz każdy impuls to ponad sto parseków więcej. Przekraczając każdy następny tysiąc parseków, robiono technologiczną przerwę, by sprawdzić prawidłowość działania urządzeń chłodniczych. Po przekroczeniu bariery dziesięciu tysięcy parseków admirał wstrzymał dalsze przyspieszanie. Dziewięćdziesiąt jeden lat świetlnych dziennie to i tak ogromna prędkość. Poza tym przy takim tempie korekta kursu w wypadku zlokalizowania większej asteroidy graniczyła z cudem, dlatego podróż odbywała się w polu siłowym białej kuli, która chroniła statek przed większymi obiektami. Admirał był zadowolony, że skróci czas podróży do dziesięciu miesięcy od chwili startu.

Niemal całą załogę ogarnęło teraz nieróbstwo. Tylko laboratoria pracowały pełną parą. Niepodzielnie panował w nich Szczęściarz, który został szefem naukowców. Pracowników też miał pod dostatkiem, ponieważ załoga, nieprzywykła do bezczynności, sama szukała sobie zajęć. Wykonywała nawet najzwyklejsze doświadczenia. Szczęściarz mógł dzięki temu

zająć się eksperymentami, które były w jego pracy najciekawsze. Mimo dużego zaangażowania sił i środków prace nad indywidualnym polem siłowym szły opornie. Przeprowadzono setki doświadczeń, ale temperatura w środku pola siłowego białej kuli zabijała każde żywe stworzenie. Brano pod uwagę pomysł, by ubrać człowieka w żaroodporny kombinezon i wyposażyć w sprzęt chłodzący oraz powietrze do oddychania, ale każde zetknięcie się skafandra z wewnętrzną ścianą pola siłowego mogło się kończyć ciężkim poparzeniem, a nawet śmiercią. Porzucono więc ten pomysł. Badano też inne pierwiastki, i te odkryte, i otrzymane od sojuszników po wyruszeniu z Ziemi. Pracowano z ich izotopami, ale nic nie przynosiło spodziewanych efektów. Przełom jednak wreszcie nastąpił. Było to dziełem przypadku. Na strzelnicy badano wytrzymałość osłon trytowych i w celu zmniejszenia wydzielania ciepła do otoczenia przy trafieniu pociskiem w pancerz do blachy trytu grubości pięciu milimetrów przymocowano blachę z molu grubości trzech milimetrów. Strzelano w tę blachę z czerwonego lasera. Niczego by nie zauważono, gdyby Szczęściarz gdzieś się nie spieszył i nie kazał nagrać celów doświadczeń na szybkoeklatkowej kamerze. Kilka godzin później oglądał ten film klatka po klatce. Gdy w zwolnionym tempie laser przebijał blachę, mol zaczął spełniać swoją funkcję i wypełnił dziurę po strzale. Jednak tylko w zwolnionym tempie można było zobaczyć kolejne fazy tego procesu. Najpierw powstawała cieniutka warstwa molu, idealnie przezroczysta, a dopiero z czasem matowiała i przybierała barwę molu. Szczęściarz zwrócił uwagę na jedną klatkę tego filmu, gdzie kadr pokazywał... a raczej niczego nie pokazywał, a czujniki wskazywały, że otwór już jest zatkany. Natychmiast powtórzono to doświadczenie i nie pomogły protesty uczonych, którzy już spali. Wszyscy musieli dokładnie to sprawdzić i zobaczyć na własne oczy. Zamontowano dodatkowe czujniki i mierniki energetyczne. Wyniki za każdym razem były takie same. Mol przy grubości dwóch tysięcznych milimetra i temperaturze trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza stawał się przezroczysty jak lustro weneckie – tylko z jednej strony. Szczęściarz pomyślał chwilę i powiedział:

– Gdyby tutaj wytworzyć kulę z mola w polu siłowym białej kuli, obniżyłoby to temperaturę w środku kuli i człowiek mógłby tam przebywać bezpiecznie, a na dodatek nie byłby widoczny z zewnątrz. Załatwiłyby to właściwości pola siłowego białej kuli.

– Ale – odezwał się jeden z pilotów, pomagający naukowcom – trzeba by skonstruować emiter, który ustabilizuje temperaturę w środku białej kuli i przy połączeniu z molem da stałą wartość trzydziestu ośmiu stopni. Wytworzenie stałej temperatury białej kuli jest możliwe, ale jak utrzymać wytworzoną warstwę molu grubości dwóch tysięcznych milimetra?

– To też jest proste. Już wiemy, w jakiej temperaturze mol staje się przezroczysty. Tak też musimy stale utrzymywać. To wszystko. Teraz musimy określić taką temperaturę powierzchni wewnętrznej białej kuli, by mol, pobierając to ciepło, stale był przezroczysty, a to tylko sprawa matematyki i nic więcej.

Mimo prostego pomysłu badania trwały jeszcze cztery miesiące, nim osiągnięto zamierzony cel. Dużo czasu zajęło konstruowanie małego przenośnego emitera białej kuli, i to zsynchronizowanego z podajnikiem odpowiedniej ilości molu. W sprawie ustalenia

temperatury zewnętrznej i wewnętrznej pomogły właściwości molu, które pochłaniały ogromne ilości energii, obniżając zewnętrzną temperaturę białej kuli do trzydziestu ośmiu stopni, przy czym wewnątrz nie mogła przekraczać dwudziestu pięciu stopni. Cały proces ustalania tych temperatur zachodził w miejscu styku powierzchni materiałów. Mimo niewątpliwego sukcesu, jakim było wytworzenie kuli o średnicy dwóch metrów, w której bezpiecznie mógł przebywać człowiek, Szczęściarz nie dawał za wygraną i wyznaczał nowe cele. Badając izotopy trytu, a zwłaszcza tryt 711, odkrył, że kula to nie jedyny kształt, jaki może wygenerować emiterem białych kul. Stosując izotop trytu 711, wygenerowano bryłę o kształcie jaja o średnicy poziomej jednego metra i pionowej dwóch metrów. Wyniki były zadowalające, ale trudności wciąż się piętrzyły. Nie można było przeskoczyć tematu zaopatrzenia człowieka będącego w środku kuli w powietrze, ponieważ kula była świetnym izolatorem i nie przepuszczała powietrza. Na szczęście od dawna aparaty produkujące powietrze były stosowane w górnictwie. Po wielu unowocześnieńiach ważyły kilkaset gramów. Po kilku przeróbkach dostosowano aparaty w taki sposób, by człowiek mógł swobodnie rozmawiać przez radio.

Generalną próbą miało być wejście na strzeżony przez wartowników mostek statku. Szczęściarz, ukryty w osłonie, szedł korytarzem w kierunku mostka. Musiał jednak uważać, by nie wpaść na kogoś. Doszedł do drzwi mostka, przy których stał uzbrojony wartownik. Szczęściarz podszedł do niego i stanął krok przed nim. Strażnik ziewnął i nawet nie drgnął. Naukowiec podszedł do szyfrowego zamka i wystukał kod otwierający drzwi. Wartownik nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy klawisze zamka same się wciskały. Zrobił to, co mógł w tej sytuacji. Zameldował do serwisu, by ktoś przyszedł i naprawił zamek przy drzwiach wejściowych, bo sam się otwiera. Szczęściarz, nie czekając na nic, wszedł przez otwarte wrota na mostek. Wachtę miał właśnie nowo mianowany porucznik, który nie zwrócił uwagi na bezszelestnie otwierające się drzwi. Zajęty był pisaniem raportu z kończącej akurat zmiany. Wszyscy na mostku byli czymś zaprzątnięci. Willis postanowił zrobić im kawał. Podszedł do chorążego, który obsługiwał dalekosiężny skaner i był wpatrzony w ekran. Obok niego na stole leżała jego ulubiona czapka. Po chwili nie wierzył własnym oczom – nakrycie głowy nagle uniosło się w powietrze, przeleciało kilka metrów i wylądowało na drugim stole. Chorąży rozejrzał się i gdy się upewnił, że nikt go nie obserwuje, powoli wstał, podszedł do blatu, na którym leżała jego czapka, unióś ją i zaczął ostrożnie oglądać ze wszystkich stron. Potem wsadził ją na głowę i usiadł na swoim miejscu, jakby nic się nie wydarzyło.

Szczęściarz dał spokój chorążemu i podszedł do mechanika, który od kilku minut sprawdzał wskaźniki pracy maszyn. Potem postanowił zrobić sobie kawę i odwrócił się do nawigatora z pytaniem, czy ten też się napije. Szczęściarz szybkim ruchem wsypał do kubka całą garść soli. Nawigator nie chciał kawy. Mechanik usiadł na swoim fotelu i powoli mieszając, upił spory łyk. Nagle głośno parsknął, wypluwając płyn.

– Co tu się, kurczę, dzieje? – krzyknął z wściekłością.

Wszyscy spojrzeli na niego i zdawali się pytać wzrokiem: „Co ci jest?”, „Co się dzieje?”.

- Ktoś tu robi głupie kawały! – stwierdził mechanik.
- Jakie kawały? – usłyszał.
- Nie udawajcie! Ktoś wsypał mi sól do kawy!
- To niemożliwe – powiedział nawigator. – Sam robiłeś sobie kawę. W tym czasie nikt do ciebie nie podchodził.
- No to skąd wzięła się sól w kawie?
- Daj spróbować – powiedział nawigator i sięgnął po kubek. Upił mały łyk. – Tfu, słona jak diabli. Jak to się mogło stać? Może ktoś wsypał sól do kawy w pojemniku?
- W pojemniku była dobra kawa – stwierdził mechanik.
- Może sam sobie wsypałeś sól do kawy zamiast cukru.
- To niemożliwe. Nie słodzę kawy. Mieszam tylko łyżeczką, bo tak aromat lepiej się rozchodzi.

– Musiałeś wsypać sam. Czarów nie ma. Najlepiej zrób sobie nową i po sprawie.

Mechanik podszedł do stolika i zrobił sobie nową kawę. Była dobra. Na twarzach kolegów pojawił się ironiczny uśmiech, sugerujący, że mechanik sam przez pomyłkę wsypał sobie sól do kawy. Mężczyzna usiadł na swoim miejscu i wszyscy wrócili do dotychczasowych zajęć.

Następnym obiektem zabawy Szczęściarza i jego kolegów, którzy obserwowali całe zajście przez kamerę zainstalowaną na ramieniu Willisa i śmiali się do rozpuku, była oficer łączności, długonoga Marta. Czytała właśnie starą książkę i wypadek z kawą oderwał ją od lektury. Marta, jak wszystkie kobiety, dbała o wygląd i zawsze miała przy sobie przybory do makijażu. Teraz leżały na pulpicie nadajnika. Szczęściarz wziął szminkę i na ekranie napisał: „Kocham cię, Martuniu”, a potem lekko puknął w ekran, by dziewczyna podniosła oczy znad książki i zwróciła uwagę na monitor. Rzeczywiście, Marta chwilę spojrzała na ekran, ale zaraz wróciła do książki. Jednak tylko na chwilę. Ponownie utkwiała wzrok w ekranie. Odłożyła książkę i powiedziała:

– Panie poruczniku, tu się dzieje coś dziwnego.

Porucznik Morgan, pełniący na mostku dyżur dowódcy, podszedł do dziewczyny i spojrzał na ekran.

– Pani to napisała?

– Oczywiście, że nie!

– No to kto? Samo nie mogło się napisać.

Reszta załogi mostka też podeszła do monitora i zobaczyła napis. Wtedy odezwał się chorąży, któremu Szczęściarz przeniósł czapkę:

– Wie pan, panie poruczniku, tu rzeczywiście dzieje się coś dziwnego. Sam widziałem, jak moja czapka samoczynnie przeniosła się z miejsca na miejsce.

– To dlaczego nic nie mówiłeś?

– Sam nie wiem. Myślałem, że mam zwidy. Nie chciałem być śmieszny. Pomyślałem, że po służbie pójde do okulisty.

– W sumie ja też widziałem coś dziwnego. Na początku służby drzwi samoczynnie się

uchyliły, ale nikt przez nie nie wszedł.

Wtem drzwi mostka znowu się otworzyły i stanął w nich sam admirał, i to w złym humorze.

– Co się stało? – zapytał. – Kto włączył cichy alarm?

– To nie my – odezwali się jak na komendę wszyscy naraz.

– Jak to? Ktoś musiał go włączyć.

Porucznik tłumaczył jak umiał:

– Od początku służby zdarzyło się kilka niewytłumaczalnych zdarzeń, łącznie z wezwaniem pana. Tak jakby razem z nami był tu ktoś niewidzialny i robił nam psoty.

– Może to duch? – zaśmiał się admirał, patrząc na przerażone twarze ludzi. Po chwili zastanowił się i nacisnął kilka klawiszy na pulpicie. Potem jeszcze minutę coś wystukiwał. Wreszcie odwrócił się do obecnych i powiedział: – Willis, masz się ujawnić. To rozkaz!

Wszyscy w zdumieniu patrzyli na admirała, który, pewny swego, miał wesołą minę. Po chwili cała załoga znowu została wprawiona w osłupienie, gdy obok pojawił się Szczęściarz, też zresztą zdziwiony, ale zupełnie czym innym.

– jak mnie pan zlokalizował, admirale? – zapytał.

– To było proste. Pomyślałem, że ktoś z innej rasy nas obserwuje. Dlatego włączyłem program poszukujący istot żywych na mostku. Były tylko te, które widziałem. Włączyłem skaner statku i wtedy dostałem wiadomość, że nie tylko nie ma dodatkowej istoty, ale nawet brakuje jednego członka załogi. Gdy wprowadziłem odpowiedni program, szybko ustaliłem, że tylko ciebie nie było. Ty przecież od kilku miesięcy pracujesz nad takim urządzeniem, a tylko w polu siłowym białej kuli mogłeś ukryć się przed czujnikami statku. Szybko wygenerowałem lekkie promieniowanie i ustaliłem, gdzie dokładnie stoisz. A teraz pokazuj, co masz!

Szczęściarz pokazał emiter i wyjaśnił zasady jego działania. Admirał był zadowolony z osiągnięć Willisa i jego zespołu. Nawet zapomniał zbesztać Szczęściarza za to, że zakłócił pracę załogi mostka. Powiedział do naukowca:

– Wykonaj sto takich urządzeń i zachowaj cały projekt w ścisłej tajemnicy. Ta technologia będzie tylko dla ludzi. Inne rasy nie mogą o niej wiedzieć.

– Rozumiem – odparł Willis. Wychodząc, przeprosił wszystkich za swoje psoty.

Gdy wrócił do laboratorium, koledzy jeszcze się śmiali z jego zachowania i po raz kolejny oglądali zapis z kamery. Potem wydzielił grupę do sporządzenia dokładnej dokumentacji projektu i oczywiście zakazał wszystkim mówienia o tym wynalazku.

Jeszcze przed odlotem floty admirał polecił Urkowi zorganizować Radę Układu. Elianin przewodził jej do czasu jego powrotu. Każda rasa wybrała po jednym przedstawicielu. I tak przedstawicielem Elian był Urko. Przedstawicielem Ziemi – porucznik Zyga Ponarski, a właściwie Zygmunt, ale wszyscy zawsze mówili do niego Zyga i nawet admirał inaczej się do niego nie zwracał. Był po prostu porucznikiem Zyga. Kilian reprezentował w Radzie Zora, który był zarazem szefem bezpieczeństwa na Nowej, a Dorian – Cubo-Zen, który był administratorem i szefem zaopatrzenia. Talianin Kato został piątym przedstawicielem w Radzie, a zarazem strategiem na wypadek konfliktu zbrojnego. Ta piątka stanowiła władzę na

Nowej, gdzie teraz mieszkało sto sześćdziesiąt sześć osób, z czego sto czterdzieści sześć było Ziemianami, dziesięć Kilianami, cztery Talianami, cztery Dorianami i dwie Elianami. Mimo że Ziemianie stanowili tu większość, wszyscy podporządkowywali się decyzjom Rady. Prace przydzielano każdemu według jego umiejętności i potrzeb społeczeństwa. Najliczniejsza była grupa budowlana, do której należało najwięcej osób. Realizowała ona najpoważniejsze zadania. Wszyscy chcieli mieszkać w wygodnych domkach, nie za blisko sąsiadów, ale też nie za daleko. Każda rodzina chciała mieć też kawałek pola, ogrodu, a pod wszystko trzeba było wykarczować las, zrobić drogi dojazdowe i zapewnić zaopatrzenie w energię elektryczną. Wszystkie prace posuwały się szybko i sprawnie. Każdy pracował więcej, niż mu się nakazywało.

Nadchodziła zima i należało się do niej przygotować. W pobliskich górach znaleziono dwie grotty, w których mogli znaleźć schronienie wszyscy mieszkańcy osady razem ze zwierzętami i niezbędnym sprzętem. O jaskini wiedziało tylko piętnaście osób z grupy budowlanej i Rada Układu. Kazano grupie budowlanej wykonać podziemny tunel z budynku Rady do samej grotty. Wykonano go myśliwcem, który w jaskini przetopił tunel, zamieniając skały w szkło pod wpływem temperatury pola siłowego. W samych grotach znajdowały się już magazyny żywności i sprzętu pozwalającego przetrwać kilka miesięcy całej osadzie. W grotach pobudowano także pomieszczenia dla wszystkich istot z osady, nie wyłączając Dorian, którzy w razie napaści byli uważani za zdrajców i na pewno by zginęli. Admirał wiedział, że nie wszyscy Dorianie pogodzili się z upadkiem imperium i że mogą być jeszcze groźni. Przeciwnik nim zostawił Zento- Paka, który, dysponując lepszymi statkami, mógł niszczyć po kilka eskadr naraz. W razie zagrożenia miał wezwać Talian. Ci byli zobowiązani przyjść mu na pomoc. Statkom taliańskim dał osłonę białej kuli, więc były one tak samo wytrzymałe i groźne jak doriańskie. Na dodatek Talianie mieli ich ponad tysiąc. Były jednak nieco mniejsze, ale i przez to bardziej zwrotne. Sami Talianie mogli być zagrożeniem dla każdego członka Układu poza Ziemianami. Przekazując im technologię białej kuli, admirał ostrzegł ich, a zarazem przeraził:

– Słuchajcie mnie dobrze – powiedział. – Jestem Ziemianinem. Daję wam potężną broń w formie osłon białej kuli. Wiem, że jak odlecimy, będziecie mieli przewagę militarną w tej galaktyce. Jeżeli jednak dowiem się, że zdradziliście Układ i napadliście na którąś z jego ras, zapewniam was, że gdy tu wrócę ze swoimi statkami, których lecę szukać, z Talii nie pozostanie kamień na kamieniu. Talian wyniszczę co do jednej kolonii i wasza rasa przejdzie do historii. Wiecie, że wyruszyłem z Ziemi dziesięć lat temu jednym statkiem i rzuciłem na kolana kilka potęg, łącznie z waszą, gdy uważaliście się za niepokonanych. Nikomu nie przepuszczę zdrady. Nie wściecie się mi przeciwstawiać.

Otwarte słowa admirała podziały jak kubeł zimnej wody na Talian, którzy zamierzali po wylocie Ziemian przejąć władzę w Układzie. Po takim oświadczeniu zmuszeni byli zrewidować swoje poglądy. Postanowili trzymać się z dala od spraw Układu i budować swoją potęgę po cichu, w tajemnicy przed wszystkimi. Admirał wiedział, że niszcząc siły doriańskie, nie zniszczył ich do końca. Wiele statków znajdowało się bardzo daleko i nie mogły przybyć na

czas. Teraz jednak przylecą i będą robić problemy Układowi. Admirał przed odlotem floty rozkazał budowę umocnień osady, tak by nikt z zewnątrz nie dowiedział się o tym, a utrzymywanie tego w tajemnicy było dodatkowym zabezpieczeniem. Tymczasem na Dorii Zento-Pak sprawował władzę żelazną ręką. Nadlatujące statki brał pod swoją komendę, a opornych oficerów wraz z rodzinami zsyłał na Wenus II, gdzie zarządzali Elianie i cieszyli się, mając dodatkowe ręce do pracy. Nad statkami władzę sprawował Zento-Pak i obsadzał je swoimi oficerami z własnych załóg. Kilkanaście krążowników przerobił na transportowce, które zaopatrywały Dorię we wszystkie potrzebne towary. Przez kilka miesięcy Zento-Pak w spokoju odbudowywał macierzystą planetę. Mieszkańcy byli zadowoleni z jego rządów. Wiedzieli, że muszą ciężko pracować, ale nie byli niewolnikami. Budowali swoją przyszłość. Sytuacja się zmieniła, gdy dostał wiadomość od jednego transportowca, że dolatują do nich dwie eskadry okrętów. Wtedy sygnał się urwał. Zento-Pak zorientował się, że nadlatujące maszyny przejęły transportowiec. Szybko nadał wiadomość, że wyrusza przeciwko nim i jeżeli się nie poddadzą, zostaną zniszczeni. Rząd, który utworzył, zgodził się z nim, jednak pojawiło się kilka głosów sprzeciwu i marzeń o wielkiej potędze.

Zento-Pak odpowiedział niezdecydowanym:

– Jeżeli teraz ich nie powstrzymam, uda im się mnie zniszczyć, przylecą siły Układu, które nie wybaczą nikomu zdrady. Wówczas nie będzie już ani Dorii, ani Dorian.

Pamiętajcie, co się stało z Lametą i Lametanami, którzy sprzeciwiali się nawet władzy Dorii. Nie ma ich i nigdy nie będzie. Chcecie, by ten los spotkał również Dorian? Układ to przetrwanie dla nas i naszych przyszłych pokoleń. Teraz, mimo że przestaliśmy być mocarstwem, nie jesteśmy niczym skrępowani. A nawet gdybyśmy mieli pięćset krążowników, to i tak nie gwarantowałyby nam zwycięstwa. Teraz rząd w całości zgodził się z argumentami Zento-Paka, który wyruszył przeciwko eskadrom, powoli zbliżając się do floty legalnego rządu. Siły były wyrównane: prawie dwadzieścia cztery przybyte krążowniki i dwadzieścia pięć statków Zento-Paka, w tym cztery wyposażone w najnowszą technologię, z torpedami trytowymi włącznie. Zento-Pak czekał na ustalonej pozycji i wyszedł z kamuflażu. Reszta jego statków czekała ukryta w pobliżu. Zento-Pak wysłał wiadomość, by dowódca eskadr przybył na rozmowy. Przeciwnik ujawnił się. Po chwili ze statku dowodzenia przyleciał prom z dowódcą eskadr i kilkoma dowódcami krążowników. Gdy przybysze pod dowództwem Gulo-Dara weszli na pokład okrętu, zostali zaprowadzeni do sali odpraw, gdzie czekał na nich Zento-Pak. Natychmiast zarzucono mu zdradę i współpracę z wrogiem imperium. Lecz straż, która wycelowała w nich broń, szybko ostudziła gorące głowy przybyłych. Zento-Pak powiedział tylko:

– W imieniu UPC biorę wasze statki pod komendę. Jeżeli się nie podporządkujecie, zniszczę je razem z załogami.

– GłUPCze, nigdy nie podporządkuję się władzy zdrajcy imperium! – krzyknął Gulo-Dar. – Będę walczył z tobą i z każdym, kto stanie przeciwko mnie.

Zento-Pak czekał, aż Gulo-Dar skończy swoją mowę. Wiedział, że teraz tylko gniew i duma

przemawiały przez starego żołnierza.

– Znam cię od dawna, Gulo, i wiem, że jesteś patriotą, nie myślisz o swoich ambicjach, a dobro Dorii leży ci na sercu tak jak mnie. Jednak dawno tu nie byłeś, więc nie wiesz wszystkiego. Nie ma już imperium. Zostało złamane raz na zawsze. Naszą flotę zdziętkowano, bazy kosmiczne zniszczono, a macierzystą planetę zniszczono ogniem i zbombardowano. Setki milionów Dorian zginęło. Kolonia Lameta już nie istnieje, a ich flota nie wytrzymała dziesięciu minut w boju z flotą Układu. Sama planeta została spalona ogniem i nic tam nie przeżyło, ani Dorianie, ani zwierzęta, ani nawet rośliny. To samo czekało Dorię i inne nasze kolonie. Ja, widząc siłę wroga, przystąpiłem do Układu, by ocalić Dorian przed wyniszczeniem, co na pewno by się stało, bo nie mogliśmy niczym powstrzymać wroga i tylko dzięki mnie Doria jeszcze istnieje, ale teraz potrzebuje nawet żywności, a ty przybywasz z wojną domową na ustach i grozisz tym, którzy chcą ratować Dorian. Nazywasz mnie zdrajcą, a sam chcesz zniszczyć pokojowo nastawionych mieszkańców Dorii. Masz tylko dwadzieścia cztery statki. Sam z łatwością cię powstrzymam i nie pozwolę, byś zniszczył to, co zbudowano do tej pory. Nawet nie wiesz, z kim przyszło- by ci walczyć. Gdybym widział cię szansy na zwycięstwo, sam bym się do ciebie przyłączył. Nawet gdybyśmy zebrali sto krążowników, przedłużylibyśmy tylko agonię Dorian. Układ nie wybaczyłby nam zdrady i nastąpiłaby eksterminacja naszej rasy. Czy tego pragniesz? Takiej przyszłości dla naszych rodaków chcesz?

Gulo-Dar przerwał ten potok słów, mając nadzieję na połączenie obu flot.

– Mylisz się, Zento, lecą tu inne statki. Są potężne bazy kosmiczne i za kilka miesięcy tu będą. Poczekamy na inne nasze statki. Uderzymy na Elian na Wenus II, uwolnimy naszych oficerów, zbudujemy potężniejsze statki i odbudujemy imperium.

– Przestań marzyć. Sam nie wiesz, co mówisz. To byłaby zagłada dla naszej rasy. Nawet nie wiesz, jaką bronią dysponuje Układ, ale możesz się przekonać. Jeżeli nie podporządkujesz się legalnemu rządowi Dorii, zniszczę ciebie i twoje statki.

– Zniszczysz nasze statki?

– Wolę to zrobić, niż narażać cały gatunek na zagładę.

– Nie podporządkuję się rządowi, którym władają obcy i ich poplecznicy! – krzyknął Gulo-Dar. – Na Dorii nie ma ani jednego obcego. Są tylko Dorianie, którzy chcą w spokoju budować swoją przyszłość i nikomu nie pozwolę im w tym przeszkadzać. Ty teraz przekaż swoim dowódcom i załogom okrętów, że kto chce się do mnie przyłączyć i wraz z legalnym rządem Dorii budować przyszłość, niech odłączy się od eskadry i po opuszczeniu osłon przeleci pięćset kilometrów od pozycji eskadry. Niech Dorianie decydują indywidualnie. Niech każdy sam decyduje o swoim życiu. Czy pozwolisz im na to, czy poprowadzisz ich na pewną śmierć w bratobójczej walce wbrew ich woli?

Gulo-Dar po cichu naradził się z pozostałymi dowódcami i odrzekł:

– Dobrze, kto nie chce, niech nie walczy. Biada tym jednak, którzy teraz stchórzą. Niech czekają na wynik bitwy, która odbędzie się tu za dwie godziny. Jeżeli zwyciężę, Doria wystąpi

z Układu.

– Jeżeli zwyciężysz, to wolę zginąć, bo nie chciałbym patrzeć na to, co Układ zrobi z Dorią i Dorianami. Teraz leć i przekaz wszystkim moją propozycję.

Goście opuścili statek i Zento-Pak zmienił swoje miejsce postoju, by nie można było go namierzyć. Po kilkudziesięciu minutach zobaczył, jak jeden z krążowników opuścił osłony i odleciał na wyznaczone miejsce dla statków niebiorących udziału w walce. To samo zrobił drugi i trzeci statek. Po chwili wyszło kilkanaście statków i zaczęły kursować między nimi promy oraz myśliwce. Po dwóch godzinach ruch myśliwców i promów ustał. Siedem krążowników odleciało na wyznaczone pozycje. Inne zaczęły jeden po drugim znikać. Nagle Zento-Pak zauważył, jak dwa spośród jego statków opuściły osłony i zmierzały w kierunku wrogich eskadr. „Zdrajcy” – pomyślał Zento-Pak. „Ale lepiej teraz niż w czasie walki”. Z tych statków też zaczęły wylatywać myśliwce i promy z osobami, które nie chcą przyłączyć się do Gulo-Dara. Otrzymały one rozkaz dołączenia do oczekujących na wynik bitwy. Przede wszystkim dlatego, że w walce nie pomogliby, a jedynie zdradziliby pozycje ustawionych pozostałych krążowników Zento-Paka, który musiałby opuścić osłony, aby ich przyjąć. Gdy nadszedł czas walki przeciwko jego dwudziestu trzem krążownikom, Gulo- – Dar miał dziewiętnaście swoich statków. Zento wiedział, że nie dysponuje wielką przewagą ilościową, ale miał lepszą broń i zamierzał to wykorzystać. Założył, że po wystrzeleniu torped trytowych osłony krążowników, choćby kilku, zostaną zniszczone, a wtedy myśliwce chmarą rzucą się na pozbawione osłon okręty i szybko sobie z nimi poradzą, i to zanim tamci zdążą wypuścić swoje maszyny. „Inne statki zamierzające przyjść z pomocą swoim krążownikom będą chciały wypuścić przygotowane już do startu myśliwce, ale ja będę czekał na tę chwilę i seriami z dział laserowych w kilka sekund zniszczę każdy krążownik”. Kazał wystartować swoim myśliwcom i od eksplozji torped ukrywać się za krążownikami aż do przejścia fali uderzeniowej.

Gulo-Dar zauważył ten manewr, ale wiedział, że same myśliwce nic nie poradzą przeciwko ukrytym okrętom, a nie chciał strzelać do tak małych celów i zdradzać swojej pozycji. Ograniczył się do obserwacji pola bitwy i czekał na ruch przeciwnika.

Zento-Pak też już chciał zacząć bitwę. Kazał wystrzelić torpedy trytowe w pięciu kierunkach, a oprócz nich dziesiątki torped konwencjonalnych w celu wymuszenia ruchu wrogich statków, które po otrzymaniu trafienia zwykłą torpedą zaznaczą swoją obecność tylko lekko zaróżowionym polem siłowym krążownika. Była to stara technika, ćwiczona w akademii doriańskiej, a służyła do poszukiwań statków wroga. Gulo-Dar zrezygnował z drogi torpedom i cieszył się, że manewr wroga się nie powiódł. Zdradził swoją pozycję, jednak był za daleko, by strzelać, a wróg na pewno już zmienił położenie. Gulo-Dar znał wszystkie założenia szkoły doriańskiej i nie mógł nabrać się na takie chwytły. Nie przewidział jednak użycia torped trytowych, które potężnie eksplodowały niemal jednocześnie. Oślepiający błysk, a potem potężna fala uderzeniowa omiotły pole bitwy, niszcząc pola siłowe statków Gulo-Dara. Rozerwanych zostało sześć krążowników znajdujących się najbliżej miejsca eksplozji torped. Zaskoczenie było całkowite. Zento-Pak tylko na to czekał. Kazał atakować myśliwcom, które

chmarą rzuciły się na bezbronne krążowniki przeciwnika, zadając mu ciężkie straty. Krążowniki Zento-Paka z daleka otworzyły ogień ze wszystkiego, co miały. W normalnych warunkach tak atakowane krążowniki wykonałyby unik i strzały poszłyby bokiem. Jednak obsługa okrętów nie mogła wykonać na czas zwrotu i statki przyjęły na pancerze wszystkie trafienia. Nowe eksplozje rozświetlały kosmos. Inne statki miały już pola siłowe osłabione eksplozją torped. Były natychmiast atakowane przez skoncentrowany ostrzał z krążowników.

Najbardziej zuchwale poczynają sobie okręty dozbrojone w sprzężone działa laserowe, podarowane Zento- – Pakowi przez Układ. Wlatywały w strefę, gdzie stały niemal nienaruszone krążowniki wroga i ostrzeliwały trzy z nich naraz. Wygrywały tę potyczkę. Statki Zen- to-Paka też były narażone na ataki ze strony wrogich okrętów, ale rozkazał on, by ciężko atakowana maszyna natychmiast opuściła pole bitwy i do czasu odbudowy osłon nie wracała na nie. Nie było to zbyt bohaterskie, ale bardzo skuteczne. Statki wracały po dziesięciu minutach, ostrzeliwując wroga z innego kierunku, dzięki czemu czyniły mu wielkie szkody.

Po godzinie było praktycznie po bitwie. Walczyły jeszcze trzy krążowniki, ale po eksplozji następnego dwa pozostałe poprosiły o zawieszenie broni. Zento-Pak tylko na to czekał. Rozkazał swoim myśliwcom zaprzestania ataku. Dwa statki opuściły słabe już osłony, lecz jeden z nich zaczął przedzierać się w lewy rejon pola bitwy. Po chwili zaczęły wylatywać z niego myśliwce i kierować się na pozycje, gdzie stało siedem krążowników niebiorących udziału w walce. Zento-Pak wiedział już, co się dzieje. Był to krążownik z jego floty, który zdradził go przed bitwą, jego dowódca nie chciał się poddać. Gdy odległość była odpowiednia, statek eksplodował od wewnątrz. Zento-Pak kazał pozbierać myśliwce i wziąć na hol lekko uszkodzony okręt. Jego załoga, która się poddała, została uwięziona, a statek obsadzono swoimi Dorianami. Zento-Pak wezwał siedmiu dowódców krążowników i innych wyższych oficerów na swój statek. Gdy wszyscy się zjawili, zabrał głos:

– Wszyscy widzieliście, co się wydarzyło. Nie chciałem tej walki. Sami byliście świadkami, że przy tak

wyrównanych siłach wynik walki był trudny do przewidzenia. Dzięki broni i strategii obcych moja flota straciła tylko dwa myśliwce, a flota Gulo-Dara – dziewiętnaście krążowników, w tym siedemnaście zniszczonych. Zginęły tysiące Dorian, dobrych patriotów, którzy teraz są tak potrzebni Dorii i Dorianom. A sprzymierzeniec ma jeszcze straszniejszą broń i musiałem wybierać pomiędzy upadkiem imperium a wolnością w Układzie na równych warunkach. I nikomu nie pozwolę tego zmieniać. Teraz muszę zrobić to, co muszę. Załoga, która wcześniej była ze mną, a przed bitwą zdradziła mnie, zostanie w całości bez wyjątku przekazana jako niewolnicy Elianom na Wenus II. Tych, którzy poddali się po walce, też prześlemy Elianom. Polecą na Wenus II, ale ich rodziny nie będą z tego powodu szykanowane. Będziemy traktować ich jak jeńców wojennych i po pewnym czasie zostaną zwolnieni. Oficerowie, którzy mnie zdradzili, zostaną rozstrzelani na Dorii jako zdrajcy. Statki, które nie walczyły przeciwko Dorii, będą włączone do floty pod moim dowództwem. Każdy statek dostanie nowe zwierzchnictwo, a załoga zapozna się z sytuacją polityczną na Dorii.

Potem Zento-Pak zrezygnował z rozstrzelania oficerów, którzy go zdradzili. Postanowił, że wyśle ich na Wenus II do niewolniczej pracy bez prawa do ułaskawienia.

– Chcieliście zginąć bohaterską śmiercią, ale nie będzie wam to dane – powiedział. – Śmierć byłaby czymś więcej dla was: wybawieniem od nędznego życia, które wasz czeka. Przed odlotem pokażę wam, co zrobiliście swoim dzieciom.

Oficerowie ucieszyli się, że ostatni raz zobaczą swoje rodziny. Wprowadzono półprzrytomną czwórkę dzieci. Każde z nich było pobite, a na czołach miało wypalony napis: „Dziecko zdrajcy”. Oficerowie z przerażeniem zaczęli się szarpać i krzyczeć ze łzami w oczach. Ochrona szybko unieruchomiła spętanych więźniów.

– Wyprowadźcie tych zdrajców – powiedział Zento- – Pak. Gdy wartownicy wyprowadzili więźniów, popatrzył na dzieci i powiedział: – Możecie zmyć z nich tę farbę. Wygląda to tak realistycznie, że nawet ja uwierzyłbym, że dzieci zostały pobite. Nie mogą ponosić winy za grzechy swych ojców. Niech każdy odpowiada tylko za siebie.

Zento-Pak dysponował teraz trzydziestoma jeden krążownikami, ale miał tylko dwie torpedy trytowe, a nie znał technologii ich produkcji. Może to i lepiej, torpedy może dostać od Układu, a gdyby ta technologia została zdradzona innym Dorianom, mogłaby wybuchnąć wojna domowa, która doprowadziłaby do zniszczenia jego rasy. Teraz zajął się odbudową rodzinnej planety. Dobrze rządził, co zapewniło mu przychylność rodaków. Nie był zbyt surowy, ale stanowczy. Dawał rządowi coraz więcej swobody, a sam zajął się dostawą towarów i odbudową planety. Pozwolił, by większość krążowników konwojowała i przewoziła materiały oraz towary z kolonii na kolonię. Dzięki temu zyskał przychylność rodaków w mniejszych skupiskach. Wiedział, że ma wrogów, którzy czekają na każdy jego błąd. Tropił ich zaciekle. Schwytych nie traktował surowo, tylko największych mścicieli wysyłał do karnej kolonii, czyli na Wenus II. Raz zdarzył się wypadek, który zbagatelizował, a nie powinien. Grupa spiskowców ukradła prom i zdołała uciec w kosmos w nieznanym kierunku. Nie chciał ich gonić. Powiedział:

– Wybrali los wygnańca, więc sami są sobie winni.

Trzy miesiące później jeden z krążowników patrolujących kosmos natrafił na dryfujący prom, bez paliwa i innych zapasów. Na pokładzie było trzech wychudzonych

Dorian. Zabrano ich na statek i powiadomiono o znalezisku Zento-Paka, który jak najszybciej chciał ich przesłuchać. Gdy doszli do siebie, wszyscy zaczęli zeznawać to samo. Na promie było ich dziesięciu. Szukali jakiejś planety, aby na jakiś czas się na niej osiedlić, lub statku, który by ich tam zawiózł. Po dwóch miesiącach brakowało jedzenia, a i paliwo było na wyczerpaniu. Niektórzy chcieli wracać. W tym celu wszczęto bunt, podczas którego zginął dowódca i mechanik. Na drugi dzień z ran zmarł jedyny nawigator, który znał się na lotach w kosmosie. Czterech buntowników też zginęło w walce.

– Pozostała trójka. Żaden z nas nie znał się na lotach w kosmosie ani na obsłudze promu. Meteor wcześniej uszkodził nam radiostację, a może zrobił to sam dowódca, który spodziewał się buntu i nie chciał, by wezwano pomoc. Tak czy owak, gdyby nie krążownik, który nas

znalazł, na pewno zginęlibyśmy z głodu i pragnienia.

Zento-Pak uwierzył rozbitkom, zwłaszcza gdy zbadano wrak. Stwierdzono zużycie wszystkich zapasów, wraz z wodą. Poza tym od wewnątrz prom był ostrzelany fa-zerami. Kazał Dorianom, by wracali do swoich rodzin, mimo że byli buntownikami. Chciał w ten sposób udowodnić, że nie jest zły, tylko sytuacja, w jakiej się znaleźli, wymagała takich, a nie innych posunięć. Rzeczywistość była jednak inna. Po dwóch dniach lotu prom napotkał wracającą eskadrę dwudziestu czterech krążowników. Jej dowódca nic nie wiedział o tragedii i upadku imperium. Po przesłuchaniu załogi promu Mej-Gat dowiedział się, że imperium upadło z powodu zdrady części floty i sprowadzenia kilku obcych ras, które założyły Układ i rządzą Dorią za pomocą zdrajców i marionetkowego rządu, a opornych się rozstrzeluje albo wywozi do karnej kolonii na Wenus II, gdzie rządy sprawują Elianie, wykazujący się bezwzględnością i mściwością. Ponoć żaden Dorianin jeszcze stamtąd nie wrócił. Mej-Gat łatwo uwierzył tym opowieściom, zwłaszcza że wszyscy mówili to samo, byli przesłuchiwanie w oddzielnych pomieszczeniach i w tym samym czasie.

Ponadto determinacja uciekinierów, którzy odważyli się uciec w kosmos tak małym promem, narażając się na śmierć, utwierdziła go w przekonaniu o prawdopodobności uciekinierów. Mej-Gat wysłał wiadomość do wszystkich kolonii o koncentracji floty, która przeciwstawi się Zento- – Pakowi i położy kres władzy tyrana. Wpadł też na pomysł, by oderwać od armii Dorianina jak największą liczbę statków przed konfrontacją. Dlatego opróżnił zbiorniki paliwa i zabrał z promu zapasy i leki. Trzech chętnych do tego zadania głodził przez tydzień. Kilkanaście strażów z fazera w środku promu doskonale symulowało walkę. Teraz krążownik miał przewieźć prom w pobliże drogi patrolu statków Zento-Paka i pozostało czekać na okazję. Dowódca krążownika dał się zwieść i sprowadził rozbitków na Dorię. Oni to po wstępnym przesłuchaniu zostali zwolnieni i zaczęli opowiadać o potężnej armadzie powracających statków, która zbiera się w jednym miejscu w liczbie dwustu pięćdziesięciu krążowników i niedługo będzie gotowa do walki z Układem oraz jego poplecznikami. Agenci wysondowali kilku dowódców. W razie pojawienia się armady mieli się zgodzić na przyłączenie do niej. Agenci kazali przekonać jak największą liczbę oficerów, która, gdyby pojawiła się armada, dokonałaby sabotażu urządzeń militarnych na powierzchni planety oraz na samych statkach Zento-Paka.

Mej-Gat tymczasem zatrzymał swoje statki przy stacji remontowej krążowników na Dorii 7, niewielkiej kolonii górniczej, zajmującej się wydobywaniem i przeróbką trytu i innych metali na potrzeby floty. Była samowystarczalna i nikt nie przejmował się tym, że od kilku miesięcy żaden ze statków imperium tu nie przylatywał. Mej-Gat wysłał swoje statki w różnych kierunkach. Miały one szukać innych krążowników i sprowadzać je tutaj, a nie na Dorię. Z dnia na dzień jego siły rosły, a na Dorii zawiązywał się spisek w celu obalenia legalnego rządu. Grupa ta szkoliła się i pracowała z gorliwością, szybko awansując. Ciągnęła za sobą swoich popleczników, sięgając coraz wyższych szczebli władzy w wojsku i administracji. Takie osoby często posuwały się do eliminowania siłą niepokornych współpracowników, na przykład

aranżowały wypadki losowe.

Spokój na planecie uspił czujność Zento-Paka. Minął rok, potem drugi, a do floty Zento-Paka dołączyły tylko trzy statki. Nie mógł wiedzieć, że większość zebrał koło siebie Mej-Gat. Utworzył z nich potężną armadę trzystu dwudziestu krążowników, nie licząc tych, które zechcą zdradzić Układ. Jeden taki krążownik został celowo wysłany przez Mej-Gata, by ten przystał do floty Zento-Paka.

Jego dowódca, Zyto-Bell, poprosił, by mógł sprawdzić, w jakich warunkach żyją jeńcy i wolni Dorianie na Wenus II. Zento-Pak zastanowił się nad tym. Sam powinien dawno to sprawdzić. Był jednak zajęty. Inni też mogliby czasem wykazać trochę inicjatywy.

– Masz rację. Leć więc na Wenus II, a potem na Nową i sprawdź, co tam nowego. O wszystkim natychmiast melduj. Uważaj tylko na Talian. Są do nas uprzedzeni, bo zniszczyliśmy całą ich flotę. Nie spodziewaj się gościnnego powitania. Nie daj się sprowokować Elianom, są podstępni i niebezpieczni. Uważaj, co ci teraz powiem. Jesteś Dorianinem, a w UPC wszyscy są sobie równi. Nie pozwól, by się wywyższali. Miej honor. Gdybyś jednak wyczuł, że traktują cię z pogardą, przypomnij im to. – Nachylił się nad uchem oficera i cichutko coś mu powiedział.

– Czy to prawda? – zapytał Zyto-Bell.

– Tak, ale nie mów nikomu. Wie o tym tylko kilku ludzi, Urko, ja i teraz ty. Elianie też o tym wiedzą, ale nie chwalą się.

Potem pożegnali się i Zyto-Bell poleciał w kierunku Wenus II. Lot trwał miesiąc i nie mógł sobie przypomnieć, by w tym układzie gwiazdowym istniała planeta, na której mogłoby rozwinąć się życie. Był dwanaście lat w drodze i nikt mu nie powiedział, że Wenus II to ich dawna baza kosmiczna. Kilka godzin przed dotarciem do celu nadał wiadomość na Wenus II o swoim przylocie w misji dyplomatycznej. Na orbicie planety stały dwa statki eliańskie bez osłon. Jeden z nich podleciał do doriańskiego krążownika, a później razem cumowały na orbicie planety. Zyto-Bell przesiadł się na prom eliański i po przywitaniu z małymi istotami poleciał na inspekcję osiedla, gdzie mieszkali zakładnicy i rodziny więźniów. Sami więźniowie mieszkali w innym strzeżonym obozie. Wynik inspekcji zaskoczył Zyto-Bella. Zakładnicy i rodziny więźniów mieli całkowitą swobodę ruchu, własne domy i gospodarstwa. Samych Elian w ogóle nie widywali, a kontrolę nad osiedlem sprawowali Dorianie razem z członkami rodzin. Z Elianami kontaktowali się tylko, jak czegoś potrzebowali, na przykład sprzętu lub konkretnej maszyny czy też specjalistycznej pomocy medycznej. Więźniowie często przychodzili do osady w celu odwiedzenia swoich rodzin. Mogli tam przebywać nawet kilka dni. Sami więźniowie pracowali po dwanaście godzin przez trzy dni, a potem mieli dzień przerwy. Po następnych trzech dniach pracy były dwa dni przerwy. Sama praca nie była zbyt ciężka. Większość Dorian obsługiwała maszyny do przeróbki rudy trytowej. Zyto-Bell zauważył dzieci w różnym wieku, a nawet niemowlęta. Wszystkie były wesołe i zdrowe. Nawet kolonie doriańskie nie wyglądały na tak zadbane i utrzymane. Tego Dorianie powinni się uczyć od Elian, ale zostawił ową kwestię bez komentarza.

Dalsza inspekcja przebiegła bez zastrzeżeń. Zyto nadał wiadomość do Zento-Paka. Musiał pochwalić Eliana za warunki, jakie stworzyli osadnikom na Wenus II. Potem pożegnał się z nimi i poleciał w kierunku Talii. Rozpoczął długą, trzymiesięczną podróż z maksymalną prędkością, przekraczającą prędkość zwykłych krążowników. Jego statek był przystosowany do dalekich lotów. Miał nieco większy silnik, co przekładało się na zwiększoną prędkość statku. Okręt ten był także dobrze uzbrojony, bo to podnosiło prestiż dowódcy, a broń zawsze była potrzebna, gdy przebywało się z dala od znanych szlaków. Zyto-Bell miał dużo czasu na rozmyślania. Od Mej-Gata dowiedział o Elianach tylko tego, że byli niewielkiego wzrostu, a poza tym nic się nie zgadzało. Wiadomości o krwiożerczej i bezlitosnej rasie okazały się fałszywe. Ktoś tu kogoś oszukiwał. Zento-Pak też nie sprawiał wrażenia despoty i tyra. Mieszkańcy Dorii byli zadowoleni z jego rządów. Planeta na powrót rozkwitała i rozbudowywała się. Nigdzie nie widział straży na ulicach, nie stosowano przemocy wobec ludności cywilnej, jak słyszał od kilku oficerów Mej-Gata. Może robił błąd, przyłączając się do buntowników, którzy nie znali prawdy, poza garstką decydentów pozbawionych władzy, a teraz starających się ją odzyskać, nie przebierając w środkach. Może Zento-Pak ma rację, że teraz oderwanie się od Układu i rozpoczęcie z nimi walki to pewne samobójstwo dla Dorian. Musiał się jeszcze nad tym poważnie zastanowić, ale później, bo zbliżało się do niego sześć taliańskich krążowników pozbawionych osłon. Zniszczenie tych statków zajęłoby mu dziesięć minut. Ostatecznie zrezygnował. Uznał, że jeszcze nie pora. Instynkt podpowiadał mu, że dobrze robi. Nie mylił się. Dowiedział się później, że już od kilku godzin eskortowało go pięćdziesiąt taliańskich krążowników. Gdyby zaatakował te sześć statków, nie zdążyłby zobaczyć, jak eksplodują – tak szybko zostałyby zniszczone.

Po powitaniu gości, których traktowano z szacunkiem, uzgodniono, że powstanie ambasada doriańska, która będzie się mieściła w specjalnie wybudowanym budynku, należącym teraz do przedstawicieli UPC. Do tej pory byli tam tylko Dorianie oddelegowani do pracy w Układzie. Teraz miano tam zorganizować przedstawicielstwo doriańskie. Po tygodniowym pobycie Zyto-Bell zorientował się, że Talianie mają około tysiąca dwustu krążowników takiej samej klasy, co Dorianie. Zawdzięczają to ziemskiemu admirałowi, który uparł się, by wyposażyć taliańskie krążowniki w taką samą broń, jaką mają pozostałe rasy w Układzie. Talianom przekazano technologię pola siłowego, technologię czerwonego lasera oraz dwadzieścia torped trytowych. Większość tych statków była w drodze, ale koło planet zawsze kręciło się około stu krążowników gotowych do walki. Z przeprowadzonych rozmów wynikało, że Talianie nie są ściśle związani z Układem. Może dlatego, że ich planeta nie ucierpiała i nie odczuła skutków utraty floty. Do Układu przystąpili ze względów militarnych, ponieważ po rozbiciu ich armii poczuli się zagrożeni. Chętnie zawarli pakt. Dzięki temu zyskali nowe technologie, które spowodowały, że w dziedzinie technologii wojskowej poszli do przodu o jakieś pięćset lat. Talianie zawsze lubili teoretyzować, dlatego na otwarciu ambasady nie zabrakło kilkunastu oficerów floty. Rozmowy toczyły się spokojnie, bez emocji. Zyto-Bell miał w tym swój cel. Zamierzał wy badać nastroje wśród członków Układu. Zainicjował bardzo drażliwy temat.

– Wy Talianie, macie teraz spokój w swoich granicach, a u nas może dojść do wojny domowej.

– Jak to możliwe? Zento-Pak trzyma władzę silną ręką – powiedział jeden z polityków.

– Niby tak, ale chodzą słuchy, że gdzieś daleko z powracających z kosmosu krążowników tworzy się potężną armadę do rozprawy z Zento-Pakiem. On nie spodziewa się niczego takiego, a i dochodzi do aktów sabotażu i dziwnych zabójstw wysokich osobistości w rządzie Zento- – Paka. Opozycja pragnie go usunąć i wprowadzić stary porządek.

– Pewno chcą odbudowy imperium.

– Może i tak – powiedział Zyto-Bell. Gdyby tak połączyć siły Talian i Dorian, moglibyśmy sami rządzić w tej galaktyce, a Ziemian, Elian i Kilian odesłać do ich własnej.

– To może byłoby dobre, ale tylko do czasu, gdy znowu przyszloby wam do głowy zaskoczyć nas i rządzić samemu w galaktyce. My też musimy brać tę możliwość pod uwagę – powiedział jeden z polityków.

– Oczywiście – odpowiedział Zyto-Bell. – Podejmując tak ważne decyzje, związane z losem całej cywilizacji, należy uwzględniać wszystkie możliwości. Przed takimi sytuacjami należałoby się dobrze zabezpieczyć, ponieważ bez zaufania popartego odpowiednim zabezpieczeniem nic nie może się udać.

– Ale po co mamy ryzykować – odezwał się jeden z generałów – wojnę z przeciwnikiem, o którym wiemy, że jest bardzo groźny i niebezpieczny, mając gwarancję bezpieczeństwa od potężnych cywilizacji? Taka wojna nie przyniosłaby żadnych wymiernych korzyści, a my nawet nie znamy do końca możliwości militarnych Ziemian. Wiesz zapewne o ich torpedach trytowych. To potężna broń, a tylko Ziemianie ją produkują. Wiesz, co się stało z flotą lametańską i Lametą?

– No nie bardzo, ponieważ od kilku miesięcy jestem w tych stronach, a oni zawsze byli jakby oderwani od imperium i sami się rządzili...

Teraz dopiero przypomniał sobie, że Lametanie mogliby się przeciwstawić Ziemianom. Ich niszczyciele to cuda techniki wojennej. Nie pomyślał o nich w ogóle.

– To ci powiem, że ich flota nie wytrzymała dziesięciu minut walki z siłami Układu, a zniszczenie samej Lamety trwało tak samo długo. Nie dziwię ci się, że o nich nie słyszałeś, bo to wstydliva karta dla Dorian i ich floty.

– No tak, ale czy w razie kłopotów członkowie Układu przyjdą sobie z pomocą, czy to tylko obietnica?

– Zyto-Bellu, gdybyśmy nawet się zjednoczyli i przegnali, jak powiedziałaś, obcych do ich galaktyki, musisz pamiętać, że Ziemianie mają tu swoją kolonię – Nową Ziemię. Pierwsza Ziemia została zniszczona przez jeden z waszych statków. To za wami przylecieli tu na jednym statku, po drodze zbierając przeciwko wam sojuszników. Będą oni walczyć do ostatniego żołnierza i wiedz, że tym razem nie będą sami. Oni nie mają się gdzie wycofać z Nowej, będą więc walczyć do śmierci. Kilianie i Elianie też ich nie opuszczą, a to bardzo liczne rasy, mają setki, tysiące statków. Nawet gdybyśmy sprzymierzyli się do zniszczenia ich, mówię ci, że za

rok po naszych cywilizacjach nie pozostałby nawet ślad. Na dzień dzisiejszy taka jest prawda. Powiem ci coś, o czym jeszcze nie wiedzą nawet członkowie Układu. Nie mów o tym nikomu. Ziemianie potrafią wykrywać statki ukryte w polu siłowym. Nie chcą nikomu zdradzić tej techniki. Nie wiem, czy to prawda, ale chodzą takie pogłoski. Ziemianie to inteligentna i przebiegła rasa. Nie odkryją wszystkich kart do końca, a walka z nimi to loteria, w której mają znaczone karty. Kilianie też dysponują kilkoma bazami kosmicznymi, a Elianie to rasa niskiego wzrostu. Poznałem ich wodza – Urka. Kiedyś widziałem film z walki na szturmowcu. Mówię ci, zamieniłbym każdą eskadrę na taki okręt. A co on w nim wyrabiał! Pojąć tego nie można. Elianie są szaleni w walce i niebezpieczni. Tylko dzięki admirałowi, który zagroził zniszczeniem wszystkich krążowników eliańskich, powstrzymał ich przed całkowitym unicestwieniem Dorii. Wiem, że admirał wydał już rozkaz zniszczenia całej floty Elian i tylko prośba Urka, który wstawił się walką, uratowała te statki przed śmiercionośną bronią Ziemian. Powiedział, że jak go nie posłuchają, sam zniszczy wszystkie eliańskie krążowniki. Trudno zapanować nad gniewem Elian. I powiedz teraz, jakie mam zapewnienie, że ci groźni Ziemianie ze swoimi sprzymierzeńcami nie przylecą mścić się za zabicie swoich ziomków na tysiącach okrętów. Zniszczą Talię i Dorię oraz wszystkie wasze i nasze kolonie. To zagłada dla naszych ras. Pomyśl teraz, co nam proponujesz. Z jednej strony mamy Układ i zagwarantowane bezpieczeństwo, a z drugiej wojnę, która zanim się zacznie, jest przegrana. Bo wygrać jej nie można. Dorianie wystawią pięćset krążowników, jak ich Zento-Pak nie zniszczy, a wierz mi, ma na to środki. My wystawimy dwa tysiące okrętów, ale jeszcze nie teraz. A co wiesz o statkach przeciwnika? Jaką bronią dysponują? Gdzie są teraz? Nic nie wiesz! Więc sam sobie odpowiedz na to pytanie, bo naszą odpowiedź już znasz. Jeżeli nawet udałoby ci się przekonać kilkudziesięciu naszych dowódców krążowników, to i tak

Talia w ramach Układu musiałaby wystawić swoją flotę przeciwko tym statkom i doszłoby do wojny domowej, której nikt by nie chciał.

Gdy Talianin skończył, Zyto-Bell wiedział, że Talianie nie będą walczyć przeciwko Ziemianom. Powiedział:

– Dobrze jest porozmawiać i trochę pofantazjować. Poznajemy wtedy naszych przyjaciół i na pewno nigdy nie dojdzie do sytuacji, która zagroziłaby jednej z naszych cywilizacji w Układzie.

Zyto-Bell wiedział już, że poszczególni dowódcy taliańskich krążowników daliby się przekonać do walki z Zento-Pakiem, ale tylko incognito. Dowiedział się też, że Talianie wyrosli na potężnego przeciwnika i flotą przewyższają ich dwukrotnie. Nic nie wskórał, a przynajmniej nie tyle, ile zamierzał. Obsadził ambasadę swoimi Dorianami i ruszył w powrotną drogę, zamierzając odwiedzić Nową i wy badać systemy obronne planety. Potem ruszy w kierunku Dorii, a stamtąd do Mej-Gata, który nie będzie zadowolony z jego misji. Jego doradcy trochę mu nakłámali, by zmusić go do walki z Zento-Pakiem. O podróży na Nową musiał powiadomić Zento-Paka, ponieważ tylko od niego mogła przyjść taka wiadomość. Inne statki mogły być narażone na ostrzał i zniszczenie przez systemy obronne planety. Natychmiast

wysłał takie pytanie na Dorię, nie przerywając lotu z maksymalną prędkością. Kilkadziesiąt godzin później dostał wiadomość: „Leć na Nową. Czekają na ciebie. Zostaw kilku Dorian w ambasadzie i wracaj szczęśliwie”.

Kilka tygodni później Zyto-Bell był już w układzie gwiazdnym Topień, gdzie orbitowała Nowa. Wcześniej wysłał tam wiadomość i poprosił o pozwolenie na orbitowanie na orbicie planety. Tłumaczył się, że jego załoga od kilku miesięcy nie miała wolnego. Chciał dać im kilka dni urlopu na odpoczynek na planecie. To akurat okazało się prawdą i rzeczywiście większość jego załogi poleciała nad morze, by odpoczywać na plażach Nowej. Po krótkim powitaniu i poczęstunku zapytano go wprost, z czym przybywa. Zyto-Bell wyjaśnił, że ma zostawić tu obsadę ambasady, a także chciałby poznać Urka, bo wiele o nim słyszał, oraz ludzi, którzy nie różnili się od Dorian poza ubiorem. Cubo-Zen, jedyny Dorianin, zaopiekował się przybyłymi ziomkami i zakwaterował ich oczywiście obok siebie. Mieli oni zająć się budową ambasady. Sam Urko ucieszył się z dodatkowych rąk do pracy i miło przywitał przybyłych. Po tygodniu zorientował się, że osada jest praktycznie bezbronna i jeden krążownik z orbity mógł ją zniszczyć. Na dowód dobrej woli podarował osadzie sześć myśliwców z wyposażeniem i paliwem na dłuższy czas. Urko ucieszył się z подарunku, ponieważ Dorianie to sami piloci. Osada miała już szesnaście myśliwców ukrytych w górach w miejscu, o którym wiedzieli tylko piloci i rada Układu. Te sześć dodatkowych Urko postanowił zostawić w osadzie. Poza tym nie bardzo ufano jeszcze przybyłym Dorianom. Gdy Zyto-Bell szykował się do odlotu, Urko kazał przekazać prośbę, by Zento-Pak nakłonił kilka rodzin do osiedlenia się na Nowej. Mieli to być tylko ochotnicy. Po dziesięciu dniach Zyto-Bell leciał już z powrotem na Dorię i nie miał wesołej miny. Liczył bardzo na Talian i zawiódł się. Rozumiał jednak ich obawy. Przykład upadku Imperium Doriańskiego odstraszał. Gdy tak myślał, nagle wpadł na świetny pomysł. Mógłby wyeliminować Talian z walki w obronie Układu, gdyby kilku dowódców taliańskich poparło jego pomysł, by Doria wystąpiła z paktu. Wojna domowa, która by wybuchła, wyeliminowałaby Talię z walki po stronie Układu. Sama miałaby wewnętrzne kłopoty. Statki rebelianckie nawet nie musiałyby walczyć. Były wyraźnym zagrożeniem dla kolonii. Talia nie wyruszyłaby na pomoc Układowi, gdyby nie miała spokoju w swoich granicach. Trudniej będzie rozbić pozostałą trójkę w Układzie. Ziemianie odpadają, ponieważ to pomysłodawcy paktu. Kilianie, jako potencjalnie najsłabszy członek układu, pójdą za nimi. Natomiast Elianie są silni i samodzielni. Gdyby tak udało się ich pozyskać, Układ przy bierności tych członków mógłby się rozpaść. Duże znaczenie ma fakt, że Elianie nie ponieśli nigdy większej klęski poza kilkoma statkami, które zniszczył ziemski admirał.

„A jednak...” – zastanowił się. „Ziemianie, mając dwa statki typu niszczyciel, zdołali zniszczyć kilkanaście krążowników bez strat własnych. Poza tym Elianie mają tak potężną flotę, że sami mogliby się stać panami galaktyki. Dlaczego tego nie chcą? Mógłbym porozmawiać o tym z Urkiem, ale on jest przyjacielem ziemskiego generała. Muszę znaleźć innego Elianina, który wysłucha mnie lub podstawionego przeze mnie Dorianina. Najlepiej

będzie porozmawiać z Elianami będącymi teraz na Wenus II. Oni nawet nie widzieli ziemskiego admirała i mogą szczerze powiedzieć, co myślą o Układzie. Na to jednak jest jeszcze czas. Mej-Gat zaatakuje dopiero wtedy, gdy będzie na to gotowy. Najpierw chce osłabić Układ od wewnątrz. Dopiero gdy członkowie Układu będą zajęci swoimi wewnętrznymi problemami, po cichu usunie Zento-Paka i przejmie całkowitą władzę nad Dorią".

16.

Powrót w rodzinne strony

Minął ponad rok spokojnego lotu, gdy Przyjaciół i przekraczał strefę wpływu Kilian i kierował się prosto na macierzystą planetę. Załoga statku składała się głównie z ludzi. Na pokładzie było również sześciu Kilian, których władze skazały po cichu na banicję. Sama Kilia prawie nie była zamieszkała, ponieważ występowało na niej silne promieniowanie. Poza kilkoma placówkami naukowymi, starającymi się oczyścić planetę ze skażenia, nie było tam prawie życia biologicznego. Sam jednak widok globu i możliwość rozmowy z rodakami sprawiły, że Kilianie byli bardzo podekscytowani. Statkiem dowodził major Kaziński, który po wojnie szybko awansował i po rezygnacji Zytta został mianowany dowódcą niszczyciela. Na pokładzie było siedemdziesięciu jeden członków załogi i jako taki nie prezentował się zbyt okazale. Wyposażony był za to bardzo dobrze i mógł z powodzeniem walczyć z kilkunastoma krążownikami eliańskimi naraz.

Statek posiadał wszystkie zdobycze techniki wojennej, głównie zaś technologię złotej gwiazdy, którą miały tylko ziemskie statki. Elianom podarowano kilka takich urządzeń tuż przed atakiem na trzecią bazę doriańską, ale zabezpieczono je detonatorami termicznymi, by w razie grzebania w jej konstrukcji mała eksplozja przetopiała urządzenia w wysokiej temperaturze.

Przyjaciół i zbliżał się właśnie do jednej z baz kosmicznych, ale dla jej mieszkańców w osłonie białej kuli był zupełnie niewidoczny. Załoga statku chciała zrobić Kilianom niespodziankę, jednak zauważyła coś dziwnego. Wokół stacji nie było żadnych pojazdów, co zdarzało się niezmiernie rzadko. W bazie była duża stocznia remontowa i zawsze panował tam ruch jak na targowisku. Kaziński rozkazał, by jeden z Kilian wziął ziemski myśliwiec, niepostrzeżenie poleciał na planetę i dowiedział się wszystkiego. Podejrzał, że kolonia mogła zostać najechna i zniszczona. Po trzech godzinach zwiadowca wrócił i zameldował, że bazy nie zaatakowano, a floty nie ma, ponieważ wszystko, co mogło latać, ruszyło z planety w kierunku Zarii i Nadii na wojnę z mieszkańcami tych światów.

– Jak to? – zdziwił się Kaziński. – Przecież Kilianie pochodzą od tych ras. To ich przodkowie. Poza tym Zarianie

i Nadianie nie mają floty. Już po nich.

– Nie bardzo – powiedział zwiadowca. – Zarianie

i Nadianie dysponowali już wcześniej potężnym uzbrojeniem do zwalczania obiektów w kosmosie, a przez te lata, które minęły od czasu wizyty Ziemian, współpracowali ze sobą w pokoju, rozwijając technologię i budując statki kosmiczne. Niestety nie mogły one powstrzymać liczniejszych Kilian.

– Jak to się zaczęło?

– Lećmy tam. Całą historię opowiem po drodze. Szkoda czasu, a każda chwila jest teraz na wagę złota. Inaczej moi przodkowie wyniszczą się z ziomkami Kilian, a ja, wygnaniec, będę musiał ich pogodzić, bo Zarianie i Nadianie mają z Ziemianami porozumienie o pomocy i współpracy.

Zwiadowca opowiadał, jak rok temu kiliański niszczyciel przyleciał w okolice Zarii. Przywitało go kilka okrętów zariańskich, a po przyjacielskim powitaniu zaproszono część załogi na planetę. Zarianie to wysoka na dwa i pół metra rasa, a przy tym bardzo smukła. Natomiast Kilianie z powodu pobytu przez siedem tysięcy lat na planecie mającej dużo większą grawitację dorastała tylko do metra siedemdziesięciu. Budowa ciała była za to bardziej krępa i umięśniona. Właśnie ta różnica była przyczyną późniejszego konfliktu.

Zarianie z czasem zaczęli patrzeć na niskich Kilian z pogardą. Wzrost był u nich czymś znamienitym, budził respekt. Mikrusy jakoś nie pasowały do ich ziomków. Wspominali złośliwie, że może Kilianie pochodzą od innej, podszywającej się pod nich rasy. Tamci nie pozostawali dłużni i na zaczepki Zarian odgryzali się w każdy możliwy sposób. Nie przekraczali jednak granicy przyzwoitości. Sprawy zaszły tak daleko, że załogę kiliańską aresztowano, a statek przejęto. Kilka miesięcy później przyleciało pięć statków Kilian, by zapytać o los wysłanych tu ludzi i niszczyciela. Gdy dowiedzieli się o aresztowaniu załogi i przejęciu statku, zażądali natychmiastowego zwrotu pojazdu, wydania personelu oraz oficjalnych przeprosin. Zarianie odmówili, tłumacząc, że Kilianie zostali aresztowani, ponieważ popełnili kilka przestępstw, co było zresztą prawdą, ponieważ kapitan rozkazał grupie komandosów wykraść plany budowy dział plazmowych. Podczas tej akcji zabito kilku strażników, ale akcja się nie udała i zatrzymano wszystkich komandosów. W odwecie aresztowano resztę załogi przebywającej na planecie razem z dowódcą statku. Mając kapitana, Zarianie bez walki przejęli statek. Potraktowali go jako przedmiot przestępstwa i zarekwirowali.

Po krótkiej rozprawie kapitana i grupę komandosów skazano na śmierć, a reszta załogi za współudział trafiła na długie lata do więzienia. Po tej wiadomości Kilianie zaatakowali siedem zariańskich statków i zniszczyli je. Schwytych członków załóg wyrzucono służą w skafandrach w kierunku planety. Zarianie, zanim zginęli, spalając się w górnych warstwach atmosfery, cały czas wzywali pomocy przez pozostawione im celowo radia. Po tym wydarzeniu Zarianie powiadomili Nadian

O masakrze na orbicie. Ci, mając dużo liczniejszą flotę, która była wyposażona w statki z

działami plazmowymi, szybko okrążyła zaskoczonych wrogów i w krótkim czasie zniszczyła wszystkie ich okręty. O tym ataku Kilianie zdążyli powiadomić swoje bazy kosmiczne i miesiąc później eskadra stu niszczycieli nadleciała na terytorium Zarian i Nadian. Ci spodziewali się ataku i przygotowali się do niego dobrze. Zaatakowali przybyłą grupę statków z kilku stron naraz. Kilianie ponieśli duże straty, ale mieli dwukrotną przewagę, dzięki czemu szybko zdołali uzyskać przewagę w polu i z czterdziestu siedmiu statków zariańskich i nadszańskich zostało tylko siedem uchodzących z pola bitwy. Kilianie natychmiast przegrupowali swoje siły. Podzielili flotę na dwie części i zaatakowali planety z kosmosu. Popelnili jednak poważny błąd. Nie przeczytali historii wojen nadiańsko-zariańskich. Gdyby to zrobili, dowiedzieliby się, że obie planety dysponują bardzo silną bronią, skutecznie chroniącą przed atakiem statków z kosmosu. Kilianie wprowadzili swoje statki na orbity planet, chcąc jednocześnie ruszyć do walki. Ich nonszalancja pozwoliła Nadianom namierzyć statki

I odpalić działa plazmowe. Zaskoczenie było tak duże, że zdołały uratować się tylko trzy okręty kiliańskie. Z ataku na Zarię powróciło siedem statków. Nastąpiło jednak coś, czego Nadianie się nie spodziewali. Jeden z trafionych niszczycieli, spadając po orbicie kołowej, spaliłby się w atmosferze i eksplodował wysoko. Kapitan, nie mając już nic do stracenia, skierował statek pionowo w dół i odpalił pełny ciąg silnika. Niszczyciel, rozgrzany do czerwoności, runął z ogromną prędkością, przechodząc przez atmosferę. Nie wiadomo, czy załoga kiliańskiego niszczyciela żyła, gdy uderzył w powierzchnię planety. Siła uderzenia była tak ogromna, że powstał krater o średnicy trzech kilometrów, a trzęsienie ziemi było odczuwalne tysiąc kilometrów dalej. Kataklizmy zabiły tysiące Nadian, a straty materialne na powierzchni planety były ogromne.

Tydzień później nadleciała następna setka niszczycieli, która, powiadomiona o bitwie i o działach na planetach, nie zbliżała się nawet od orbit. Kapitanowie tych statków zdecydowali się na atak rakietami z kosmosu poza zasięgiem dział plazmowych. Wystrzelone pociski miały daleką drogę do przebycia i były zestrzeliwane przez pozostałe statki zariańskie oraz lotnictwo planetarne. Kilianie wyznaczyli pięćdziesiąt okrętów do ścigania i likwidowania maszyn wroga. Szybko udało się namierzyć pozostałe statki i niszczyć jednego po drugim. Gdy pozostały tylko cztery, stało się coś dziwnego. Zarianie zobaczyli, jak jeden po drugim eksplodują w tylnych formacjach statki kiliańskie. Zaskoczenie i celny ostrzał były tak duże, że z pięćdziesięciu okrętów z pola bitwy uciekło tylko trzynaście niszczycieli. Po kilku minutach powróciły jednak, prowadząc za sobą pozostałe pięćdziesiąt maszyn. Zaatakowały obcy statek, nie zwracając uwagi na zariańskie niszczyciele. Obcy pojazd, atakowany przez kilkanaście kiliańskich maszyn naraz, dzielnie walczył i likwidował co jakiś czas wrogi niszczyciela. Osłony statku zaczęły słabnąć i już sporadyczne strzały docierały do kadłuba. Wtedy to zariańskie niszczyciele rzuciły się na statki atakujące lewą burtę obcego okrętu. W krótkim czasie zlikwidowano cztery kiliańskie jednostki, niespodziewające się ataku ze skrzydła. Zanim Kilianie zdołali wykonać zwrot, następne cztery statki eksplodowały, a drugie tyle było ostrzeliwanych. Gdy załoga obcego pojazdu zorientowała się, że lewą burtę ma chronią

przez małe niszczyciele, przeniosła energię osłon na prawą i wypuściła pięćdziesiąt myśliwców, które jak pszczoły zaczęły raketami ostrzeliwać kilkanaście okrętów wroga naraz. Po kilkunastu minutach kiliańskie okręty przeszły do obrony i zaczęły wycofywać się z pola bitwy. Zaledwie jedenaście niszczycieli zdołało je opuścić. Zarianie bez litości dorzynali uszkodzone kiliańskie statki.

Po bitwie zariańskie niszczyciele odprowadziły obcy statek w kierunku Zarii.

To wszystko, co opisano w raportach nadesłanych po bitwie. Kaziński, gdy tylko usłyszał o obcym statku, natychmiast kazał przyspieszyć do maksimum. A do Kilian wysłał wiadomość, by nie ważyli się atakować obcego statku. Wiedział jednak, że Kilianie tak łatwo nie odpuszczą. Zniszczą statek, a potem powiedzą, że wiadomość przyszła już po zlikwidowaniu go.

Tymczasem do obcego pojazdu podlatywał zariański prom, wiozący delegatów obydwu planet. Gdy delegaci wylądowali na statku, od razu poznali jedynych gości z kosmosu – ludzi. Zarianie byli wyżsi od Ziemiaków, ale wiedzieli, że dla tamtych wzrost nie ma żadnego znaczenia. Szybko włączyli komunikatory zostawione przez poprzednich gości. Ludzie usłyszeli od dziwnych smukłych istot wyrazy powitania w języku angielskim.

– Zaria wita przyjaciół z planety Ziemia i dziękuje za pomoc w zniszczeniu sił kiliańskich przybyłych, by ich zniszczyć.

Dowódca Ziemiaków podziękował za powitanie i od razu zapytał, czy Zarianie mieli kontakt ze statkiem ziemskim, a jeśli tak, to kiedy.

– Tak, kilkadziesiąt lat temu był tu statek ziemski, taki sam jak wasz. Mówili na niego Odkrywca. A jak nazywa się wasz statek?

– Prometeusz. Jestem jego dowódcą, nazywam się admirał Szewczenko. To major Jan Kowalski, mój zastępca. Lecimy właśnie na Ziemię.

– Wasza planeta zaraz po odlocie Odkrywcy została zaatakowana i zniszczona przez obcą potężną rasę. Odkrywca był ostatnim statkiem, któremu udało się opuścić Ziemię. Wśród ludzi powstało małe zamieszanie. Nigdy nie dostali odpowiedzi na sygnały wysyłane na Ziemię i spodziewali się czegoś złego, ale nie tego, że planeta jest całkowicie zniszczona. Proszę, powiedzcie mi, dlaczego wasz statek, mimo że ma taką samą konstrukcję, znacznie różni się od Odkrywcy? Jego pancerz, pokryty srebrzystym metalem, odbijał promienie lasera jak lustro. Prometeusz wygląda inaczej.

– Odkrywca był ostatnim statkiem z tej serii. Odlecieliśmy kilka miesięcy wcześniej. Może w tym czasie odkryto technologię, o której mówicie. Szkoda, że my nią nie dysponujemy.

– Mamy jeden myśliwiec wykonany z użyciem tej technologii, jednak zepsuł się i nie możemy go naprawić. Teraz stoi w naszym muzeum. Może wy go zreperujecie? Chętnie go wam oddamy za udzieloną nam pomoc.

Po godzinie przyholowano ziemski myśliwiec, pokryty pancerzem z nieznanego, bardzo twardego metalu, odbijającego światło jak lustro. Uszkodzenia nie były poważne. Poza wymianą akumulatora trzeba było naprawić kilka drobnych uszkodzeń. Zrobiono to niemal na

poczekaniu. Po zatankowaniu i uzupełnieniu amunicji myśliwiec nadawał się do walki.

Na Prometeuszu dokonano kilku napraw i usprawnień, ponieważ Zarianie ostrzegli Ziemian, że Kilianie na pewno wrócą, i to z większą siłą. Miesiąc później wykryto kilkaset statków kosmicznych zmierzających w kierunku planety. Gdy obca flota nadleciała, nie rzuciła się do walki na groźnego kolosa, tylko wysłała wiadomość w ziemskim języku: „Ziemianie, walczycie przeciwko swoim sojusznikom? Zawarliśmy z wami przymierze, więc dlaczego niszczyacie nasze statki? Nie chcemy z wami walczyć”.

Z Prometeusza wysłano odpowiedź: „Zapraszamy waszą delegację na pokład naszego statku na rozmowy”.

Po godzinie w hangarze ziemskiego okrętu wylądował prom z delegatami. Po wyjściu z maszyny mali Kilianie natychmiast rzucili się na admirała z oskarżeniami:

– Dlaczego łamiecie zasady Układu, który sami założyliście? Nie powinniście z nami walczyć, a raczej udzielić nam pomocy jako sojusznikowi przeciwko agresywnym Zarianom. Oni wymordowali naszą misję dyplomatyczną, przybyłą z pokojowymi zamiarami.

– Znam sprawę – odpowiedział admirał Szewczenko. – Zarianie postąpili zbyt surowo z załogą waszego statku, a wy zniszczyliście im statki, zabijając w brutalny sposób cały personel ich okrętów. Pomogliśmy im dlatego, że byli słabsi i w walce z wami nie mieli żadnych szans. Natomiast o pakcie z wami nic nie wiem. Co to za porozumienie?

Kilianie wyjaśnił, że Układ to związek pięciu cywilizacji: Ziemian, Kilian, Elian, Talian i Dorian. Zarianie i Nadianie nie należeli do paktu. Założycielem i pomysłodawcą Układu był admirał Anderson, dowódca Odkrywcy.

– On pokonał naszą flotę, ale nie zniszczył nam tyle statków, co wy. Zawarliśmy przymierze z Ziemianami, podarowaliśmy im jeden z naszych niszczycieli. Po drodze natknęli się na inne rasy i z nich też uczynili swoich sprzymierzeńców. W końcu dotarli do tych, którzy zniszczyli Ziemię. Pokonali ich flotę i ukarali rasę za jej zbrodnie. Po zniszczeniu imperium wroga z reszty tej cywilizacji uczynili sprzymierzeńca i włączyli do Układu. Teraz lecą na Ziemię, ponieważ dowiedzieli się, że nie została całkowicie zniszczona, a eksplozja, którą widzieli, nie unicestwiła planety, tylko część Księżyca. Wasz glob poważnie ucierpiał wskutek celowego zniszczenia większości elektrowni atomowych.

Gdy trwały rozmowy, z Nadii przyszedł meldunek, że wróg atakuje planetę. Kiedy admirał przeczytał wiadomość, krzyknął:

– To wy tak działacie! Z jednej strony prowadzicie rozmowy, a z drugiej atakujecie za plecami mimo rozejmu.

– To nie moja wina. Mnie kazano wszystko wam wyjaśnić, byście nie walczyli przeciwko nam.

– A my nie pozwolimy zniszczyć całej populacji dla waszej małej zemsty. Zamknąć ich w areszcie. Jak zniszczą nam statek, podzielą nasz los.

Zawrócił Prometeusza i poleciał na drugą stronę gwiazdy – w kierunku Nadii. Koło Zarii zostawił ziemski myśliwiec, który miał choć na chwilę powstrzymać flotę kiliańską.

Gdy dolatywał do Nadii, planetę ostrzeliwało kilkaset niszczycieli i mimo że na powierzchni można było zauważyć pożary, z planety dosięgał agresorów ostrzał z dział plazmowych, które celnym ogniem trafiały co jakiś czas jedną z maszyn wroga. Prometeusz zaatakował kilkanaście statków naraz, ale w taki sposób, by zniszczyć im silniki. Pojazdy traciły sterowność, zasilanie i przestawały walczyć. Załoga starała się odlecieć z pola bitwy, aby się uratować. W ten sposób szybko wyeliminował kilkanaście statków, nie tracąc czasu na ich niszczenie. Niespodziewany atak zaskoczył Kilian. Sądził, że ich kompani na dłużej zatrzymają Ziemię lub dadzą znać przed ich atakiem. Niestety zasłaniająca Nadię gwiazda nie pozwoliła ostrzec Kiliana przed ostrzałem szybkiego ziemskiego statku. Zanim kiliańskie maszyny zdołały się przegrupować, kilkanaście następnych dryfowało z uszkodzonymi silnikami.

Z drugiej strony planety nadleciały inne jednostki kiliańskie i włączały się jedna po drugiej do walki, ostrzeliwując Prometeusza. Ten odgryzał się, niszcząc lub uszkodzając kolejny statek. Napór nie słabł i po godzinie walki Prometeusz zaczął się wycofywać, tracił osłony. Wróg wyczuł to i natarł jeszcze mocniej, aby dobić kolosa. Wtedy z Prometeusza wyleciało pięćdziesiąt myśliwców, które rzuciły się po kilka na najbliższe niszczyciele. Znowu udało się zaskoczyć Kiliana. Stracili kolejne statki, próbując zestrzelić szybkie ziemskie myśliwce. Prometeusz nabierał szybkości, gdy wykryto przed nim sto jednostek wroga. Admirał kazał natychmiast zawrócić w kierunku Zarii. Część załogi miała ewakuować się promami na planetę, a reszta walczyć do końca. Z tyłu nadlatywały kiliańskie statki, które uporały się z większością ziemskich myśliwców, pozostałe zaś nadal były na polu bitwy. Po ziemskim pojeździe nie było śladu. Kilka niszczycieli dryfowało w kosmosie, co świadczyło o niedawnej walce. Szewczenko uznał, że pilot myśliwca zrobił, co mógł, i zginął w walce. Tymczasem myśliwiec musiał z powodu braku paliwa lądować awaryjnie na Zarii i nic mu się nie stało. Planeta natomiast była ostrzeliwana z daleka. Kiliańskie niszczyciele nie ryzykowały lotu na orbitę. Bały się potężnych dział plazmowych. Gdy zjawił się Prometeusz, z przodu nadlatywała setka niszczycieli, która zaczęła go ostrzeliwać. Wtedy stało się coś dziwnego. Znad Prometeusza rozpoczęła swój lot dziwna torpeda. Zmierzała w kierunku nadlatujących statków kiliańskich. Na początku Szewczenko myślał, że to ziemski lustrzany myśliwiec przyleciał na pomoc, ponieważ powierzchnia pocisku odbijała promienie słońca tak jak ten pojazd. Torpeda wleciała w środek formacji wrogich statków i została ostrzelana z laserów. Kilkanaście promieni odbitych od lustrzanej powierzchni z powrotem trafiło w okręty kiliańskie. Szybko zaprzestano jej ostrzału, sądząc, że przeleci dalej. Gdy była w środku szyków wrogiej floty, nastąpiła potężna eksplozja, która na chwilę rozświetliła kosmos. Fala uderzeniowa rozerwała kilkadziesiąt niszczycieli, a resztę odrzuciła bezwładnie w różnych kierunkach. Prometeusz stał w miejscu, a przed nim jarzyła się czerwona kula pola siłowego, które osłaniało statek przed skutkami fali uderzeniowej. Pojawiło się kilka lustrzanych myśliwców. Rzuciły się one w kierunku kiliańskich niszczycieli i rwały ich kadłuby czerwonym laserem, niszcząc większość okrętów ocalałych po eksplozji.

– Admirale – powiedział major Kowalski – obok stoi srebrzysty kiliański niszczyciel i osłania nas swoim polem siłowym. Niech pan popatrzy. Też strzela tymi czerwonymi laserami, i to z kilku dział naraz, całymi seriami.

Admirał pomyślał, że pomoc przyszła w ostatnich chwili. Na Prometeuszu sprawne było tylko jedno działo laserowe, a i torpedy były na wyczerpaniu. Nagle nawigator krzyknął:

– Uwaga, wrogi statek na kursie kolizyjnym! Uderzenie za dziesięć sekund.

Dziewięć, osiem... Po zderzeniu dwóch statków na pewno obydwa zostałyby zniszczone, mimo że Prometeusz był dużo większy. Siedem, sześć, pięć, cztery...

Nagle od srebrzystego statku oderwały się dwie złociste kule, przesywając statek kiliański na całej długości jego burt. Okręt natychmiast został zniszczony. Nagle cała załoga Prometeusza usłyszała w głośnikach i nadajnikach głos, który dotarł też do załóg kiliańskich niszczycieli.

– Mówi dowódca Przyjaciela 1, statku Układu Pięciu Cywilizacji. Kilianie, macie natychmiast przerwać walkę i zgrupować swoje statki w jednym miejscu, w przeciwnym wypadku zostaniecie zniszczeni co do jednego. To nie jest prośba. To rozkaz!!!

Kiliańskie niszczyciele przez kilka minut nie ruszały się, a potem powoli jeden po drugim zaczęły wycofywać się z pola bitwy, biorąc na hol uszkodzone jednostki. Ze wszystkich stron zlatywały się pojedynczo lub grupami, ciągnąc za sobą ostrzelane statki, których było dosyć dużo. Uszkodzić taki niszczyciel było dosyć łatwo – wystarczyło trafić w silnik. Jednak zlikwidowanie mierzącego tysiąc pięćset metrów kolosa wymagało wiele czasu i potężnych dział. Szewczenko wolał eliminować statki, niż je niszczyć, ponieważ do uszkodzonego okrętu natychmiast podlatywał drugi, aby udzielić mu pomocy. Dzięki temu dwa nie brały czynnego udziału w walce. Przy przytłaczającej przewadze liczebnej owa taktyka świetnie się sprawdzała.

Mimo dużych zniszczeń na miejsce zgrupowania przyleciało jeszcze ponad sto pięćdziesiąt niszczycieli, nie licząc tych uszkodzonych. Gdy Kilianie wykonali polecenie, w głośnikach i odbiornikach na statkach i planetach rozległ się następny rozkaz.

– Dowódcy zgrupowania floty kiliańskiej, dowódca Prometeusza oraz przedstawiciele obu planet mają w ciągu godziny przylecieć na Przyjaciela i.

Wkrótce na statku Układu zjawiono się sześciu dowódców kiliańskich, z których każdy miał sto niszczycieli przed bitwą. Przybyło również dwóch Zarian i Nadian. Obecni byli także admirał Szewczenko i major Kowalski z Prometeusza. Rozmowy prowadził z ramienia Układu major Kaziński, który nie podlegał teraz wyższemu stopniem Szewczenko. Jego dowódcą był admirał Anderson, dowódca UPC. Obok Kazińskiego w rozmowach uczestniczyli Kilianie, członkowie załogi Przyjaciela i.

– Czy wyście wszyscy poszaleli? – krzyczał na dowódców kiliańskiego zgrupowania. – Chcecie zerwać pakt? Dobrze wiedzieliście, że Zaria i Nadia są pod ochroną Ziemi, czyli Układu. Chcecie doprowadzić swoją rasę do zagłady? Dorianie, którzy zniszczyli wam planetę, są w Układzie i tylko czekają na to, aż się oderwiecie. Myślicie, że podarowaliby wam to, że

niszczyliście im statki? Gdyby nie flota ziemska, trzymająca ich w ryzach, przylecieliby tutaj i wkrótce ślad by po was zaginał. Natychmiast macie się wycofać z tego sektora i przez sto lat tu nie przylatywać. Za atak na ziemski statek powinienem was zabić. Nie wiem, co mnie przed tym powstrzymuje. Najlepiej by było, gdybym zniszczył was wszystkich, a potem powiadomił Kilię o waszej zdradzie i próbie rozerwania Układu. Wiecie, co by z wami zrobił admirał Anderson, który szuka statków po całym kosmosie, a wy je zniszczyliście?

– Nie wycofamy się bez naszych rodaków. Będziesz musiał nas zabić! – krzyknął jeden z dowódców.

– Zgadzam się, to mogę dla was zrobić.

W oczach Kilian nagle pojawił się strach. Obawiali się, że srogi Ziemianin spełni swoją groźbę. Wiedzieli jednak, że jeśli wrócą z niczym, zostaną zgładzeni przez swoich jako zdrajcy i tchórze.

Kaziński aż zaklął w duchu na Kilian. „Narozrabiali i jeszcze mają czelność stawiać żądania!” Zwrócił się jednak do Zarian:

– Czy możecie im oddać ich ziomeków?

– Możemy, ale muszą nas o to poprosić.

– Nigdy! – odpowiedzieli chórem Kilianie.

– Albo poprosicie Zarian o jeńców, albo sami traficie do obozu jako jeńcy wojenni i pozostaniecie w nim do końca życia – powiedział poważnie Kaziński.

Jeden z dowódców odparł ze strachem:

– Złożymy prośbę na piśmie, bo nikt nie wypowie pod ich adresem słowa „proszę”.

– Czy to wam odpowiada? – Ziemianin zwrócił się do Zarian.

– To nawet lepiej.

Szybko sporządzono odpowiedni dokument, który podpisali Kilianie w obecności wszystkich obecnych. Promy mogły wystartować po jeńców. Kaziński powiedział do dowódców Kiliańskich:

– Macie, czego chcieliście, a teraz odlatujcie. Nie zjawiajcie się tu przez sto lat.

Gdy Kilianie wyszli, Zarianie i Nadianie zaczęli dziękować admirałowi Szewczence za ratunek. Bez niego tamta flota dawno uporałaby się z obroną obu planet. Dziękowano też majorowi Kazińskiemu, który zdecydowanie i na czas wkroczył do bitwy, ratując wszystkich od pewnej zagłady. Dopiero po wyjściu gości admirał Szewczenko i major Kaziński mogli spokojnie porozmawiać. Siedzieli kilka godzin. Major w skrócie przedstawił

Szewczence historię Odkrywcy i jego załogi. Admirał tylko kilka minut mówił o swojej podróży.

– Nie napotkaliśmy żadnej rasy inteligentnej. Kilkanaście form prymitywnego życia odkryto na planetach, gdzie zaopatrywano się w wodę i żywność. Nie były to gościnne światy a surowce trzeba było zdobywać dużym wysiłkiem i pracą. Niczego nie znaleźliśmy. Postanowiłem wracać. Trafiliśmy tu w sam środek konfliktu. Niestety straciłem większość myśliwców, w których zginęło czterdziestu dwóch pilotów. Osłaniali odwrót Prometeusza.

Dzielni chłopcy wiedzieli, że umrą. Walczyli do końca. Znałem osobiście każdego z nich. Na Prometeuszu zginęło trzydziestu ludzi, a wielu jest rannych. Część załogi przed walką ewakuowałem na Zarię. Tam niestety też wielu naszych zginęło. Łącznie straciłem osiemdziesięciu siedmiu członków załogi. Czarny to dzień dla Prometeusza i dla Ziemi. Uzbrojenie zostało niemal całkowicie zniszczone, pole siłowe nie działa. Dobrze, że możemy lecieć.

– Dostaniecie dobre uzbrojenie i emiter pola siłowego. Szybko dokonamy odpowiednich napraw i modernizacji. Zarianie też na pewno niczego wam nie odmówią. Potem polecimy na Ziemię. Odkrywca na pewno już tam jest.

Kilka dni później dwa statki ruszyły w kierunku macierzystej planety ludzi.

17.

Martwa planeta

Odkrywca hamował, powoli zbliżając się do Ziemi, która milczała i nie dawała żadnego znaku życia. Gdy statek znajdował się trzy miliony kilometrów od planety, była ona błękitną plamką, powoli powiększającą się w miarę zmniejszania dystansu do jej orbity. Po zbliżeniu się do Księżyca zauważono na jego powierzchni poważne zmiany topograficzne. Wielka wyrwa w powierzchni o średnicy dwustu kilometrów i głębokości półtora kilometra świadczyła o potężnej eksplozji i sile wybuchu, który wyrzucił ogromne masy skał w kosmos. Admirał pamiętał tamten błysk. Był pewien, że to Ziemia została rozerwana na strzępy. Teraz spoglądał na planetę i próbował porównać to, co widzi, z obrazem, który pamiętał, odlatując. Niby była taka sama, ale coś się nie zgadzało. Czegoś mu brakowało w widoku Ziemi. Nagle przyszło olśnienie. Tak, nie było ani jednego satelity, a gdy odlatywał, latały ich setki. „Co się tam stało?” – myślał. Kazał wysłać sondę, która wleciała w atmosferę i umilkła. Potem wysłał drugą i trzecią. Znowu to samo. Zdecydował się skierować prom w polu siłowym z sześcioma ludźmi na pokładzie. Pojazd bez przeszkód wszedł w atmosferę planety i szybko obniżył lot, obserwując powierzchnię Ziemi.

Pierwsze, co rzuciło się w oczy załodze, to panująca wszędzie niepodzielnie zieleń. Nie zauważono natomiast żadnych owadów czy zwierząt, choćby najmniejszych. Kiedyś wokół miast rozpościerały się wielkie połacie pól uprawnych, a teraz prócz lasów niczego nie było widać. Nawet miasta tak pozarastały, że załoga promu z trudem je dojrzała. Były to zresztą raczej ruiny. Życia biologicznego tam nie zauważono. Gdy na lądzie życie biologiczne zanikło, w oceanach roilo się od ryb i innych morskich stworzeń, które nie potrzebowały wychodzić z wody, by żyć. Wszystko, co oddychało powietrzem, musiało umrzeć. „Co się stało z tymi wszystkimi stworzeniami?” – myślał Szczęściarz, który nie darowałby sobie, gdyby pierwszy nie poleciał na zwiad. „Przecież atak Dorian i Elian nie trwał długo. Nie mógł spowodować

takich zniszczeń". Spojrzał na licznik Geigera, który wskazywał zero. „Co jest grane?” – Szczęściarz wciąż zadawał sobie to pytanie. Łączność z Odkrywcą stracił zaraz po wejściu w atmosferę, a tylko silne promieniowanie mogło zakłócić łączność. Nagle coś zaświtało mu w głowie.

– Kendo, mamy jeszcze na pokładzie jakiś licznik Geigera?

– Tak, w zestawie zapasowym wyposażenia promu są jeszcze ze dwa.

– Wyślij kogoś po obydwu.

Po chwili mechanik dźwigał trzy liczniki. Podał je Szczęściarzowi, mówiąc:

– Wziąłem wszystkie, jakie były.

Szczęściarz sprawdził ich sprawność, a gdy stwierdził, że działają, jeden z nich podłączył do czujnika zewnętrznego promu. Od razu usłyszał charakterystyczny skrzekot pracy licznika. Prawie dwieście radów. „Takie promieniowanie, działając dłużej na żywe organizmy, jeśli ich nie zabije, to na pewno sprawi, że stracą zdolność rozmnażania się. Ale skąd tak duże promieniowanie na całej powierzchni planety?” – zastanawiał się.

– Kendo, leć w kierunku najbliższej elektrowni atomowej.

Prom natychmiast przyspieszył i po kilku minutach zwalniał, lecąc w kierunku dużego zakładu. Według dokumentów tutaj gdzieś powinna być elektrownia atomowa, jednak nie widzieli żadnych budynków. Lasy otaczały niewielkie jezioro i nic poza tym.

– Leć do następnej elektrowni. Według dokumentów powinna być jakieś sto dwadzieścia kilometrów na północ.

Gdy prom zbliżał się do elektrowni, z daleka było widać prawie nienaruszone budynki. Po dokładnym zbadaniu silosów stwierdzono, że wszystkie były w większym lub mniejszym stopniu uszkodzone. Przeważnie wyglądały, jakby coś rozsadziło je od wewnątrz. Czyżby obsługa nagle opuściła swoje posterunki i porzuciła pracującą elektrownię samą sobie? Na planecie było ponad trzy i pół tysiąca podobnych zakładów, ale zniszczonych zostało kilkadziesiąt, z czego większość w wyniku zaniedbań samych ludzi. Po eksplozji na Księżycu miliardy ton skał uderzyły w Ziemię, niszcząc kilkadziesiąt miast i znajdujących się tam elektrowni. Największe szkody wyrządziła fala tsunami, gdy ogromny odłamek wpadł do Atlantyku. Woda zalała wielkie miasta na amerykańskim wschodnim wybrzeżu i Europę Zachodnią. Nie zdążono wyłączyć reaktorów przed zalaniem i nastąpiły eksplozje rozgrzanych reaktorów.

Zabójcze promieniowanie szybko rozprzestrzeniło się po powierzchni planety. W Europie było najgorzej. Gdy kawał Księżyca uderzył w Ziemię, na Atlantyku była jeszcze noc, więc nie podjęto żadnych środków prowadzących do wyłączenia reaktorów, chociaż mieszkańcy Starego Kontynentu mieli więcej czasu niż Amerykanie. Elektrownie we wszystkich państwach europejskich zostały zalane i eksplodowały, zabijając tysiące ludzi. Zabójcze promieniowanie powodowało natychmiastową śmierć mieszkańców najbliższych miast. Wielkie chmury radioaktywne płynęły po powierzchni planety, niosąc zagładę. Ludzie zaczęli panikować. Porzucali swoje domy i uciekali w góry. Nie na wiele to się zdało. W pozostawionych

elektrowniach następowały eksplozje. Silne promieniowanie zabiło wszystko, co żyło. W ciągu roku wyginęła większość ludzi i zwierząt. Od tamtej pory nie urodził się ani jeden żywy człowiek.

Szczęściarz chciał już wracać na Odkrywcę, gdy zapytał Kenda:

– Czy ty masz dane, gdzie na Ziemi znajdowały się schrony na wypadek zagłady lub kataklizmu?

– Tak, ale wiem jedynie o tych, które zbudowano na terenie USA.

– To lećmy tam. Może ktoś cudem przeżył?

Przelecieli całe Stany Zjednoczone i nie znaleźli nikogo żywego. Sprawdzali też Kanadę, ponieważ według amerykańskich dokumentów znajdowały się tam schrony zapasowe. Lecąc nad silnie zalesionym terenem, słyszeli przez chwilę sygnał sos. Trwał zaledwie dwie sekundy. Natychmiast zawrócono prom i rozpoczęto szczegółowe poszukiwania. Szybko zlokalizowano wystającą na metr z ziemi antenę nadawczą, która przez cały czas wysyłała sygnał pomocy. Trzydzieści metrów dalej było urwisko. Nie widzieli żadnego schronu. Prom obniżał lot, badając ścianę urwiska. Szukali wejścia do schronu. Dopiero na samym dnie urwiska zauważyli stalową bramę w ścianie.

Obok niej była jeszcze jedna brama, mniejsza, przeznaczona tylko dla ludzi. Szczęściarz włożył skafander i włączył IPS, czyli jego wynalazek – indywidualne pole siłowe, a raczej maskujące. Nie przepuszczało ono fal energetycznych, kumulując jego energię, ale pocisk z łatwością je przebijał.

Grupa zbliżyła się do małych drzwi i otworzyła je z trudem. W środku były jeszcze jedne drzwi, ale te nie chciały się otworzyć. Dopiero gdy zamknięto pierwsze drzwi, Szczęściarz usłyszał syk powietrza i drugie drzwi otworzyły się bez trudu. Wskaźnik Geigera wskazywał jeden do trzech radów, a więc było bezpiecznie.

– Teraz możecie zdjąć skafandry i swobodnie oddychać, powietrze jest czyste – powiedział Szczęściarz do reszty załogi.

Weszli do następnego pomieszczenia, gdzie prócz kolejnych drzwi niczego nie było.

– To chyba jakaś śluza – stwierdził Kendo. Ruszyli dalej. Gdy przeszli przez następne drzwi, zobaczyli troje wrót. Każde z nich były opisane. Na pierwszych drzwiach wisiała tabliczka z napisem „Maszynownia”. Na drugich było napisane „Pracownie i laboratoria”, a na trzecich – „Pomieszczenia mieszkalne”. Kendo otworzył drzwi z napisem „Pracownie i laboratoria” i wszedł do środka. Pomieszczenie było dobrze oświetlone i duże. Znajdowało się w nim dużo sprzętu technicznego, tak jak powinno być w pracowniach naukowych. Przy jednym z biurk zauważono starszego człowieka, który, siedząc na krześle, oparł ręce i głowę na blacie biurka i spał na rozłożonych tam papierach. Widać było, że oddychał. A więc żył. Był stary, miał pooraną bruzdami twarz i białe włosy. Podeszli do śpiącego. Szczęściarz chrząknął raz i drugi. Człowiek przebudził się i odwrócił w ich kierunku głowę. Nagle poderwał się z krzesła i szeroko otwierając oczy, głośno krzyknął:

– Ludzie!!! Żywi ludzie!

Szczęściarz przedstawił się:

– Jestem Mark Willis ze statku ziemskiego Odkrywca, a to załoga promu – wskazywał na pozostałych. – Kendo, lekarz Petersem i pilot Martin. A kim pan jest?

– Ja jestem Peter Garison, najstarszy człowiek na Ziemi, jak sędzę. A wy skąd się wzięliście?

– Trzyście lat temu wylcieliśmy na Odkrywcy kilka dni przed atakiem obcych. Co się wydarzyło? Ile osób przeżywa w schronie?

– Spokojnie z tymi pytaniami. Po kolei. Mam sześćdziesiąt siedem lat, a urodziłem się pięć lat po zamknięciu schronu. A więc nie było was tutaj siedemdziesiąt trzy lata. Tyle czasu minęło na Ziemi. Z początku było nas tutaj trzydziestu, w tym tylko trzy kobiety. To schron wojskowy. Poza obsługą nikt więcej tu nie dotarł. Teraz jest nas dziewięcioro: ja, dwie kobiety, które mogą rodzić dzieci, dwóch mężczyzn i czwórka dzieci. Myśleliśmy, że będziemy tu tylko pięć lat, ale promieniowanie na Ziemi nadal jest zabójcze. Minie ze dwieście lat, nim życie powróci na planetę. Zresztą tak jak dawniej już nigdy nie będzie.

– A jak udało wam się przetrwać tak długo? Skąd bierzecie energię elektryczną i żywność?

– Energię czerpiemy z głębi Ziemi. Są tu źródła geotermiczne.

– Proszę powiedzieć, jak doszło do skażenia Ziemi...

– To było trochę dziwne. Najpierw przyleciał statek, który zniszczył wszystkie satelity, rakiety balistyczne i nasze myśliwce kosmiczne. Następnie ostrzelano z kosmosu większe miasta, zabijając miliony ludzi. Potem przyleciały tysiące małych stateczków, które niszczyły bazy wojskowe, okręty, lotniska, elektrownie atomowe i wielkie elektrownie na rzekach. Na drugi dzień atak się zakończył i obcy statek odleciał, a przynajmniej tak myśleliśmy. Sytuacja była trudna, ale nic nie zapowiadało tego, co nastąpi. Kilkanaście godzin później ludzie ratowali wszystko, co mogli i kogo mogli. Rusczy nawet wystrzelili satelitę komunikacyjnego. Wtedy nastąpił drugi atak, mający unicestwić życie na Ziemi. Stateczki obcych latały bezkarnie, ponieważ pierwszy atak zniszczył siły lotnicze. Najeźdźca chciał przede wszystkim zburzyć elektrownie atomowe. Po trzech godzinach na Księżycu coś eksplodowało i miliardy ton skał z satelity uderzyły w Ziemię. Powstała fala tsunami. To ona dokonała dzieła zniszczenia. Promieniowanie było coraz silniejsze. Ludzie zaczęli uciekać w góry. Tam zabiło ich skażenie. Po roku na powierzchni nie było ani jednego żywego człowieka, a schrony, z którymi mieliśmy łączność w czasie pokoju, opustoszały.

– Minęło siedemdziesiąt lat, a promieniowanie nadal jest zabójcze dla życia, dlatego zabierzemy was stąd na Nową Ziemię. To planeta, którą odkryliśmy i zajęliśmy. Zawołaj wszystkich. Trzeba was stąd zabrać. Na Ziemi pozostawimy samodzielne urządzenia do oczyszczania atmosfery. Powrócimy tu, jak tylko będzie to możliwe. Szkoda tylko, że zwierząt już tutaj nie będzie.

– W laboratorium mamy pięćset gatunków zwierząt, oczywiście w stanie embrionalnym, ale to nie problem.

Nagle do pomieszczenia weszła mała, może pięcioletnia dziewczynka i zapytała:

– Dziadku, kim są ci panowie?

– To wujkowie, o których opowiadałem, że nas kiedyś stąd zabiorą. A teraz idź obudzić mamę i resztę dorosłych.

Dziewczynka wyszła, zamykając za sobą drzwi. Po pięciu minutach te same drzwi się otworzyły i mała weszła do środka, trzymając za rączkę czteroletniego chłopca.

– Jaruś chciał zobaczyć wujków, którzy nas stąd zabiorą – powiedziała. – Teraz muszę iść jeszcze spać, bo mama na mnie nakrzyczy.

W tej chwili za dziewczynką w drzwiach stanęła młoda kobieta i aż otworzyła usta ze zdziwienia.

– Kim jesteście? – Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się za siebie i krzyknęła: – Jenny, obudź wszystkich i przychodź szybko!!!

Po chwili mieszkańcy stacji co do jednego byli na miejscu i zadawali setki pytań. Szczęściarz, zmęczony odpowiadaniem na nie, powiedział:

– Zbierajcie się, reszty dowiecie się na statku. – I zwrócił się do pilota: – Leć na Odkrywcę i sprowadź tu drugi prom.

Po godzinie przyleciały dwa pojazdy. Gdy do jednego ewakuowano laboratoria, z drugiego wyciągano części urządzenia do oczyszczania planety. Potem zamontowano je i podłączono do geotermicznego źródła prądu. Nikt nie wiedział, na jakiej zasadzie działa to urządzenie, ale Dorianie z Dorii II powiedzieli, że wsysa skażone powietrze, a wyrzuca już oczyszczone. Zatrzymuje skażenie w środku i zamienia je w ciało stałe, wiążąc w związki obojętne z innymi pierwiastkami. Admirał wysłuchał raportu i aż westchnął.

– Tylko dziewięciu ludzi z siedmiu miliardów. To straszne.

Zamknął się w swojej kabinie i wspominał tych, których zostawił na Ziemi. Choć pragnął o wszystkim zapomnieć, stale miał przed oczyma studentów, którzy byli zbyt młodzi, by z nim lecieć. Przed odlotem na Odkrywcę poszedł pożegnać się z kolegami z wydziału. Po drodze natknął się na grupę studentów. Rozmawiał z nimi ponad godzinę, a teraz wiedział, że żaden z nich nie żyje. Zdawał sobie sprawę, że na Ziemi minęło siedemdziesiąt sześć lat i żaden z jego uczniów nie mógł przeżyć, ale ciężko mu było przyzwycząić się do tej myśli. Dla niego minęło zaledwie trzynaście lat. Jego studenci mieliby teraz po trzydzieści pięć lat.

Admirał nakazał dokładne badania całej planety. Nie spieszył się, ponieważ dostał wiadomość od dowódcy Przyjaciela i, że natrafiono na Prometeusza i lecą razem na Ziemię. Mieli tu dotrzeć dopiero za miesiąc.

Po kilkudziesięciu dniach rzeczywiście przyleciał najpierw Przyjaciel i, a po nim Prometeusz. W obydwu załogach znajdowano znajomych ze studiów i z innych jednostek, na których szkolono się do dalekich lotów kosmicznych i obsługi nowych, dopiero oddanych do użytku statków badawczych. Kompletowanie personelu trwało miesiącami. Kadeci szkolili się wspólnie, a potem rozdawano przydziały, jednym wcześniej, innym nieco później, w

zależności od potrzeb. Starsi oficerowie, którzy pozakładali rodziny, nie garnęli się na statki latające w nieznane obszary galaktyki. Podróż mogła bowiem trwać kilka lat. Młodzieży jednak nie brakowało. Trzeba było prowadzić szkolenia, na których młodzi adepci kosmicznych lotów poznawali się, zawierali przyjaźnie. Teraz odnajdowali się ci, którzy zaciągnęli się na Prometeusza, Odkrywcę, a także ci, którzy przeżyli z Kopernikusa.

Przez cały czas lotu na Ziemię służby techniczne naprawiały i modernizowały Prometeusza. Dzięki nadesłanym meldunkom na Odkrywcy budowano już z molu i trytu nowe urządzenia chłodnicze do silników Prometeusza. Konstruowano nowe działa laserowe i emitery złotych gwiazd. Budowano torpedy trytowe w ogromnej liczbie, by zaopatrzyć w tę broń innych członków Układu. Tak więc gdy tylko nadleciał Prometeusz, przystąpiono do montażu urządzeń. Po miesiącu statek był zdolny do walki z każdym przeciwnikiem i mimo że nie prezentował się okazale, pokieroszowany w walce z Kilianami, siłą uzbrojenia niewiele ustępował Odkrywcy. Admirał zamierzał czekać na przyłot pozostałych maszyn, ale zrezygnował z tego pomysłu, ponieważ okręty i tak miały lecieć w różnych kierunkach. Nie było sensu czekać.

Przyjaciół I i Prometeusz zabrały ludzi z Ziemi, zapasy torped trytowych, laboratoria z embrionami fauny ziemskiej i poleciały w kierunku Nowej. Odkrywca ruszył w przeciwnym kierunku, by szukać pozostałych statków ziemskich. Okręt nabrał od razu ogromnej prędkości. Admirał wiedział, że bliźniacze wobec Odkrywcy statki kosmiczne musiały daleko odlecieć, chociaż nie osiągały tak ogromnych prędkości. Minęło jednak czternaście lat, a silniki impulsowe nawet bez chłodnic trytowo-molowych miały naprawdę dużą moc. Przez pierwsze piętnaście tysięcy lat świetlnych Odkrywca leciał bez hamowania, skanując przestrzeń i nasłuchując sygnałów. Dopiero później kazał zwolnić i przeszukiwać dokładnie każdy układ gwiazdny, w którym znajdowały się planety klasy ziemskiej. W trzecim miesiącu lotu natrafiono na pierwszy ślad w postaci sondy krążącej wokół planety klasy Wenus.

Sonda nadawała ledwie słyszalny sygnał, ponieważ z dwudziestu dwóch baterii słonecznych sprawna była tylko jedna. Reszta została zniszczona przez mikrometeoroty.

Z informacji uzyskanych po przebadaniu nadajnika wynikało, że pochodził ze statku Alabama. Okręt ten dowodzony był przez admirała Willisa. Nazwisko to najbardziej poruszyło Szczęściarza, ponieważ admirał był jego ojcem. Na dodatek odlecieli stąd trzy miesiące temu kursem na podwójną gwiazdę, do której było tylko siedemset lat świetlnych. Admirał wysłał w ich kierunku sygnał, by wracali. Nic nie wiedzieli o katastrofie Ziemi – wylecieli miesiąc wcześniej.

Odkrywca, skanując dokładnie przestrzeń przed sobą, leciał na spotkanie Alabamy. Załoga tego statku była ogromnie zdziwiona, gdy obok statku wyłonił się dziwny okręt. Jego pancierz odbijał promienie pobliskiej gwiazdy i oślepiał obserwatorów swym blaskiem. Na Alabamie natychmiast zawyły buczki alarmowe i z hangarów zaczęły wylatywać myśliwce, gotując się do walki. Statek podniósł osłony magnetyczne. Admirał Anderson obserwował, jak ziemski statek składnie szykuje się do walki, ale nie rozpoczyna jej, tylko czeka na ruch przeciwnika.

Wiedział, że nie został rozpoznany, ale poczekał jeszcze chwilę i gdy Alabama była gotowa do walki, ale nie inicjowała bitwy, nadał sygnał rozpoznawczy. Nie pomylił się co do inteligencji admirała Willisa. Był gotowy do walki, ale nie zaczynał pierwszej bitwy z przeciwnikiem, bo nie znał jego uzbrojenia ani nawet zamiarów.

Wiadomość, jaką dostał admirał Alabamy z nieznanego statku, brzmiała: „Tu okręt ziemski Odkrywca z sił Układu Pięciu Cywilizacji”. Willis nie rozpoznawał okrętu tak bliźniaczo podobnego do jego statku. Odkrywca, pokryty trytem, zdawał się innym statkiem. Na nim miał polecieć jego syn i najpierw jego chciał usłyszeć, zanim opuści osłony.

– Chcę, by przywitał mnie mój syn.

– Dobrze – odrzekł admirał Anderson. – Chcę sprawdzić, czy nie ma tu jakiegoś podstęp.

Zawołajcie Szczęściarza na mostek.

Po chwili w głośnikach Alabamy rozległ się głos:

– Tato, to ja, Marek.

– To naprawdę ty?

– Cieszę się, że was znaleźliśmy.

– Ja też się cieszę. Opuście osłony, już do was lecimy.

Admirał Anderson kazał opuścić osłony typu eliańskiego. Alabama także opuściła swoje osłony, co oznaczało, że admirał Willis nie ma już żadnych wątpliwości, iż Odkrywca to ziemski statek. Część załogi Alabamy nadal nie mogła uwierzyć w to spotkanie, ponieważ Odkrywca miał lecieć w przeciwnym kierunku. Admirał Willis jednak zawierzył swojemu instyktowi i poznał syna, mimo że minęło kilkanaście lat od ich spotkania.

Alabama zbierała swoje myśliwce gotowe do walki, które teraz w pośpiechu parkowały w hangarach. W kierunku Odkrywcy wystartowały dwa promy z niemal całym dowództwem drugiego statku na pokładach. Po wylądowaniu na okręcie Układu pierwszy z pojazdów wyszedł admirał Willis. Za nim ruszyła grupka oficerów.

Pierwszy gości przywitał admirał Anderson, ściskając rękę admirała Willisa, którego znał i cenił.

– Witam serdecznie i cieszę się, że znaleźliśmy wasz statek. Podniesie to prestiż Ziemi w Układzie.

– Dziękuję, ale nasze jednostki to typowe okręty badawcze. Nie przedstawiają większej wartości bojowej – zaznaczył Willis.

– Tylko panu się tak wydaje. Dorianie zakwalifikowali Odkrywcę do niszczycieli i nie pomylili się. Teraz to potężny statek. Póki co nie spotkaliśmy godnego przeciwnika. Ale o tym potem. Idzie właśnie pański syn. On też ma dla pana kilka niespodzianek.

Szczęściarz podszedł do ojca i uścisnęli się mocno. Stary Willis posiwił trochę, a Marek zmężniał. Gdy mężczyźni patrzeli na siebie, starając się przypomnieć sobie zapomniane już rysy członka rodziny, zza pleców Marka wychylił się dwunastoletni chłopiec. Lekko szarpnął go za bluzę i powiedział:

– Tata, tata, to nasz dziadek, tata.

Wtedy admirał Willis spojrział na chłopca i rozpoznał w nim rysy członka rodziny. Nie miał wątpliwości – musiał to być jego wnuk. Podeszedł do chłopca i lekko uniósł go do góry, mówiąc:

– To jest mój wnuk. – I przytulił chłopca popiersi.

Gdy tylko nogi dziecka z powrotem dotknęły pokładu statku, maluch odwrócił się i wskazując na małą dziewczynkę, kryjącą się za spódnicą mamy, powiedział:

– To moja siostra, Gwiazdeczka.

Admirał Willis podeszedł do dziewczynki, podniósł ją i przytulił do piersi. Łzy popłynęły mu po policzkach. Dyskretnie je otarł, stawiając dziewczynkę na nogach. Gwiazdeczka jak nigdy była dziś nieśmiała i z zainteresowaniem obserwowała starszego pana, który był tatusiem jej taty. Jakoś nie mogła sobie tego wyobrazić. Admirał Willis już dawno pogodził się z myślą, że nie ujrzy syna. O zobaczeniu wnucząt nawet nie marzył. Gdy spojrział na synową, od razu ją rozpoznał. Nieczęsto się zdarza, by wykładowca postawił cztery celujące oceny z czterech wykładanych przez siebie przedmiotów na uczelni. Gdy trafi się taki student, na pewno musi być postacią wybitną. Dodatkowo nietuzinkowa uroda Tani sprawiała, że nie mógł jej nie pamiętać.

– Jesteś szczęściarzem, Marku. Masz mądrą i uroczą żonę oraz wspaniałe dzieci.

Nagle wszyscy wybuchli śmiechem, wprawiając admirała Willisa w zakłopotanie. Nie wiedział, że wszyscy od dawna nazywają jego syna Szczęściarzem. Usłyszał o tym nieco później i sam się śmiał z tego spostrzeżenia.

Rozmowę przerwał admirał Anderson.

– Drodzy państwo, na pogaduchy przyjdzie jeszcze czas, a teraz zapraszam na obiad, po którym zreferuję, na czym stoimy. Marku, poleć służbom technicznym przygotować urządzenia do montażu na Alabamie i dołączyć do nas.

Po dwudziestu czterech godzinach załoga Alabamy orientowała się w sytuacji. Najbardziej zmartwiła się zniszczeniem Ziemi i praktycznie zagładą cywilizacji.

Minęły dwa tygodnie wytężonej pracy. Alabama była wyposażona w najnowsze zdobycze techniki. Nie miała jeszcze emitera złotych gwiazd, lustrzanego pancerza ani silnika fotonowego, otrzymanego od Elian. Na statek przekazano eskadrę myśliwców razem z pilotami i zapasami amunicji. Wydział produkcji torped trytowych pracował cały czas. Niedawno Odkrywca pozbył się wszystkich torped – wysłał je na statki lecące na Nową. Teraz, gdy uzupełniono zapasy, znowu trzeba było wszystkie przekazać na Alabamę, gdzie nie było maszyn do ich produkcji. Admirał Anderson przekonał admirała Willisa, by ten leciał bezpośrednio na Nową i nie zatrzymywał się przy zniszczonej Ziemi, co zaoszczędzi załodze czasu i przykrego widoku pustej i martwej planety. Odkrywca wziął na hol Alabamę. Dzięki silnikom fotonowym szybko osiągnął ogromną prędkość i dopiero wtedy odczepił statek, który dzięki zmodernizowanym chłodnicom silnika szybko osiągnął prędkość dziesięciu tysięcy parseków i wciąż przyspieszał.

Odkrywca tymczasem poleciał w kierunku Układu Słonecznego, ponieważ admirał od dawna zamierzał zamontować na Wenus urządzenie do oczyszczania atmosfery. Panowały tam surowe warunki. Grube warstwy chmur otaczały całą planetę, na której wysokie temperatury, deszcze kwasu siarkowego i hulające z ogromnymi prędkościami huragany nie pozwalały na rozwinięcie się jakiegokolwiek formy życia. Zmodernizowane urządzenie do oczyszczania atmosfery, przekazane Ziemiom przez pokojowo nastawionych Dorian, najpierw zwiąże i połączy w związki stałe tlenki siarki występujące w wodzie i atmosferze Wenus. Gdy powietrze i woda będą oczyszczone, chmury, w których dominowały związki siarki, staną się zwykłymi deszczowymi chmurami. Z czasem zamienią się w zbiorniki wody na powierzchni planety. Likwidacja grubych warstw chmur, nieprzepuszczających odbitego od Wenus promieniowania słonecznego w kosmos, sprawi, że temperatura na powierzchni spadnie diametralnie, co położy kres tworzeniu się nowych obłoków. Wówczas prądy powietrzne nie będą tworzyć tak ogromnych, niszczących wszystko tajfunów. Atmosfera uspokoi się, a temperatura i duże ilości wody sprawią, że na Wenus będzie mogło powstać życie lub przynajmniej da się wykorzystać planetę jako bazę surowcową dla Ziemi. Takie były założenia admirała, a co z tego wyniknie, jak powiedział:

– *Pożywiom, to uwidim*, jak mawiali Rosjanie.

Urządzenie umieszczono nad wielkim wąwozem na specjalnych trytowych linach i podłączono do generatorów zasilanych z geotermicznych źródeł ciepła. Od razu zaczęło pracować, zasysając ogromne ilości atmosfery, składającej się przeważnie ze związków siarki i węgla z tlenem, i wypuszczając po oczyszczeniu tlen i azot, a siarkę i węgiel wiążąc w ciała stałe – węglan siarki. Materiał ten w postaci proszku opadał na dno ogromnego wąwozu, który przez lata pracy urządzenia miał powoli się zapełniać, tworząc pokłady siarki. Gdy po raz ostatni sprawdzono poprawność działania urządzenia, Odkrywca ruszył w kierunku Ziemi, która znajdowała się po przeciwnej stronie tarczy słonecznej. Kiedy statek wyszedł zza Słońca, od razu dostrzegł na orbicie planety cztery statki: trzy krążowniki i niszczyciela klasy Odkrywcy, którego nie rozpoznawał. Podleciał bliżej, ukryty w polu siłowym. Wtedy rozpoznał Australię, Syriusza i Kopernikusa. Czwartym statkiem była Europa, dowodzona przez admirała Teplitza. Po przybyciu na miejsce okazało się, że Europa i jego załoga dostały się do niewoli. Parker z sondy zostawionej przez Odkrywcę dowiedział się, że okręt poleciał szukać innych statków. Po zlokalizowaniu Alabamy miał wracać na Ziemię. Postanowił czekać tu na powrót Odkrywcy. Sprawa była poważna, ponieważ dowódca Europy, admirał Teplitz, nie uwierzył Parkerowi, gdyż ten dowodził okrętem nie pochodzącym z Ziemi, o wiele potężniejszym niż każdy z ziemskich statków. Doriański krążownik Parkera, niemal trzy razy większy od Europy, budził respekt. Teplitz myślał, że to zasadzka. Chciał stawiać opór. Parker, aby zapobiec rozlewowi krwi, szybko zareagował. Aresztował całą załogę Europy i przejął dowodzenie nad statkiem. Potem wziął go na hol i tak przetransportował na orbitę Ziemi. Teplitz, będąc już w niewoli, upewnił się co do swoich podejrzeń, gdy zobaczył Parkera w otoczeniu Kilian i Dorian. Uważał go za zdrajcę, który dogadał się z obcymi rasami, by

zniszczyć Ziemię i ludzi. Gdy Odkrywca wyszedł z pola siłowego, zaskoczył tym wszystkich. Parker był zły na swoje służby, że nie zdołały wykryć nadlatującego okrętu. Przecież w ten sposób każdy statek mógł z bliska zniszczyć niechronione polem siłowym okręty. Admirał nakazał uwolnić całą załogę Europy i oddać jej statek, a Parkera i Teplitza zaprosił do siebie. Teplitz natychmiast naskoczył na Parkera. Anderson szybko przerwał ten potok

słów. W dużym skrócie wyjaśnił mu historię Odkrywcy i Układu Pięciu Cywilizacji, po czym dodał:

– Albo przejmie pan dowództwo nad Europą i odda się pod moją komendę, albo zostanie pan zdymisjonowany i uziemiony na Nowej. Mnie chodzi jedynie o odbudowę rasy ludzkiej. Nie pozwolę nikomu, czy to będzie Ziemianin, czy ktokolwiek inny, by przeszkodził mi w tym przedsięwzięciu.

Po tym wyjaśnieniu i oświadczeniu admirała Teplitz zrozumiał, że był w błędzie i sam upór nic nie da. Uznał zwierzchnictwo admirała i kazał zawieźć się na Europę, do swoich ludzi. Anderson polecił przekazać temu okrętowi wszystko, co znajdowało się w arsenałach Odkrywcy – oprócz emiterów złotych gwiazd. Przeszkolono załogę w obsłudze emiterów pola siłowego i zamontowano dodatkowe chłodnice w silnikach impulsowych. Teplitzowi admirał kazał lecieć w kierunku Nowej. Prometeusz i Alabama były już w drodze. Kopernikus został zniszczony przez asteroidę. Tak więc odnaleziono pięć z dwudziestu dwóch statków. Pozostało jeszcze siedemnaście do zlokalizowania.

– Będziemy pozostawiać sondy. Nasi przyjaciele mają obowiązek odnajdywać naszych i sprowadzić na Nową.

– Czym pokryliście pancierz Odkrywcy, że odbija światło jak lustro? – zapytał Teplitz.

– Nie tylko światło odbija ten pancierz. Promienie laserów też na niego nie działają. Tylko czerwony laser może go zniszczyć, ale niewiele statków jest wyposażonych w taką broń. Torpeda też nie przebiję tego pancierza. Ten metal ma jeszcze kilka zastosowań.

– Czy możecie pokryć nim Europę?

– Nie mamy go aż tyle, ale wystarczy nałożyć cienką warstwę, a efekt będzie taki sam. Tylko Odkrywca i Przyjacieli mają takie pancierze. Można to zrobić w kilka dni, wykorzystując wszystkie myśliwce z obydwu statków. Dodatkowo Europa otrzyma trzy w pełni wyposażone myśliwce, wykonane z czystego trytu. To bardzo groźna broń, zwłaszcza przeciwko wielkim statkom. Dobry pilot potrafi zniszczyć kilka krążowników w czasie bitwy. Wiedzą to wszyscy, którzy mieli pecha zmierzyć się z nami – zapewniał admirał Anderson. – Potem rozpędzimy Europę na naszych fotonach do ośmiu tysięcy parseków, a resztę prędkości dołożą wasze impulsy.

Teplitz aż zagwizdał z wrażenia.

– Na impulsach leciałem trzysta pięćdziesiąt parseków i myślałem, że to maksimum. Przy dalszym przyspieszaniu silniki strasznie się grzały...

– Kazałem zamontować nowe chłodnice molowe.

Odkrywca rozpędził Europę tak samo jak wcześniej

Alabamę. Statek szybko osiągnął prędkość kilku tysięcy parseków i dalej przyspieszał. Odkrywca po wysłaniu Europy w kierunku ziemskiej planety nadał do wszystkich wiadomość: „Kto ostatni na Nowej, ten gapa”.

18.

Jeszcze raz Nowa

Na Nowej Urko rządził twardą ręką, ale sprawiedliwie. Nie wybuchały bunty, ponieważ admirał Anderson dokładnie wszystkim wyjaśnił, kto podczas jego nieobecności ma ostatnie słowo, a jemu nikt nie śmiał się sprzeciwić. Urkowi pomagał porucznik Zyga, jak go wszyscy nazywali. Dowodził najliczniejszą grupą osadników, czyli ludźmi. Urko polecił, by każdy z mieszkańców pracował cztery godziny dziennie przy obiektach Układu, a resztę spędzał na zaspokajaniu potrzeb rodziny. Na początku osadnikom było ciężko, ponieważ niewiele było gotowych domów, a zima przyszła szybko i była ostra. Zrobiło się ciasno, ale wszyscy wiedzieli, że z każdym dniem będzie coraz lepiej, bo nowe farmy powstawały w szybkim tempie. Gdy oddawano każdy nowy dom, jedna z rodzin wyprowadzała się. Robiło się luźniej. Do każdej farmy oprócz zabudowań przydzielano dziesięć hektarów ziemi i dwa hektary lasu. Oczywiście często przydzielano tylko las, a ten trzeba było najpierw karczować, by przygotować ziemię do wiosennej orki. Wielu osadników już na jesień sadziło przy domkach drzewka owocowe, specjalnie sprowadzone z Dorii i innych kolonii. Rozwijano przyzagrodową hodowlę zwierząt i drobiu. Starano się, by kolonia jak najszybciej stała się samowystarczalna, a nawet produkowała żywność na eksport.

Doria, skażona po działaniach wojennych, potrzebowała stałych dostaw żywności. Urko w porozumieniu z Zygą kazał w górach, w znalezionych tam pieczarach i grotach zmagazynować duże ilości żywności i broni, potrzebne na wypadek ataku obcych na kolonię. Gdy Doria otrzymała pierwszą dostawę żywności z Nowej, Zento- – Pak wysłał Ziemianom kilkunastu ochotników gotowych osiedlić się na tamtej planecie. Wśród dwudziestu pięciu osadników było osiemnaście młodych kobiet. Stanowiły one bardzo pożądany nabytek na Nowej, ponieważ w załogach statków, z których składała się osada na kolonii, większość stanowili mężczyźni. Przybyłymi Doriankami zaraz zajęli się piloci ziemscy i doriańscy, których zostawił Zyto-Bell. Z komunikacją nie było żadnego problemu, ponieważ każdy przybyły otrzymywał wygodny w noszeniu komunikator. Na powitanie nowych osadników stawili się wszyscy członkowie Rady Układu. Wkrótce przybyszom przydzielono tymczasowe kwatery, a wieczorem Zyga zaprosił wszystkich na przyjęcie powitalne. Osadnicy lubili bawić się przy każdej okazji, więc często urządzali przyjęcia. Tylko dla przybyłych było to coś nowego. Wyglądali na podekscytowanych. Przyjęcie zaczęło się od wystąpień Urka i Zygi, który nie lubił dużo mówić, więc jako gospodarz przyjęcia tylko życzył wszystkim dużo zabawy.

Większość gości stanowili mężczyźni, wśród których rej wodzili Dorianie. Wiedzieli, czym mogą zaimponować pannom ze swojej rasy. Wszyscy uczestnicy zabawy ubrani byli w odświętne ubrania, obwieszane dystynkcjami i zdobytymi odznaczeniami. Kobiety, bez względu na rasę, miały na sobie różnobarwne suknie i były ozdobione biżuterią oraz świecidełkami. Wabiły mężczyzn jak kolorowe motyle. Zaopatrzenie w potrawy i napoje było obfite, więc uczestnicy zabawy byli w świetnych nastrojach.

Cała Rada Układu siedziała przy jednym stole i tylko Zyga był bez partnerki. Patrzył ukradkiem na śliczne Dorianki, tańczące i bawiące się wesoło, i wzdychał, popijając niskoalkoholowy napój. W końcu dał sobie spokój i zaczął przysłuchiwać się dyskusji. Urko rozmawiał cicho z żoną. Nagle zagadnął Zygę:

– Może pan, panie poruczniku, spojrzysz chociaż na którąś z tych pięknych Dorianek i zatańczy z nią? Na pewno żadna nie odmówi.

– Nie mam ochoty konkurować z doriańskimi kogutami, a i panie doskonale dają sobie radę – oschle odpowiedział, zły, że ktoś zauważył, jak spoglądał wcześniej na bawiące się Dorianki.

– Nie będzie pan przecież przez całe życie sam – Urko próbował podtrzymać rozmowę.

Zyga nie odpowiedział, tylko kiwnął głową na znak, że Elianin ma rację.

– Pan porucznik pewnie woli, by jakaś Dorianka sama porwała go do tańca, bo sam nie ma śmiałości – odezwała się Bella, żona Urka.

– Nie martw się, kochanie – rzekł. – Jak porucznik spotka odpowiednią pannę, na pewno sam poprosi ją do tańca.

– Tak, tylko porucznik raczej zagląda do szklanki, niż zerka na parkiet.

– Masz rację, Urko – rzekł Zyga i podniósł szklankę. Wtedy poczuł lekkie dotknięcie w ramię. – Co jest? – odpowiedział machinalnie i odwrócił się na krzesło, zły, że ktoś mu przeszkadza w picu wina.

Stała przed nim Dorianka o kruczoczarnych włosach, sięgających do pasa, i o oczach jak czarne diamenty świecące w blasku świateł. Była piękna, młoda, przypominała urodą gruzińskie dziewczęta z Ziemi, które kiedyś widział na folderach turystycznych, gdy zdobywał szczyty w górach Kaukazu.

– Słucham panią... – zająknął się.

– Czy zatańczy pan ze mną? – zapytała pewnie, mimo że rumieniec oblał jej lico. Stała jednak, spoglądając Zydze prosto w oczy.

– Ale ja... ja nie umiem tańczyć – wykrztusił z siebie.

– To ja pana nauczę – rzekła. Chwyciła go za rękę i pociągnęła do siebie.

Chcąc nie chcąc Zyga wstał i poszedł za nią, a że był wysoki, wyglądało to, jakby prowadziło go dziecko. Dokładnie przyjrzał się Doriance i stwierdził, że jest bardzo ładna. Już w połowie tańca poprosił o następny. Potem o jeszcze jeden i jeszcze jeden. Gdy wyczuł, że się zmęczyła, zaproponował jej miejsce przy swoim stole razem z innymi członkami Rady Układu.

– To jest Kaja-Del – przedstawił wszystkim swojego gościa.

– No widzi pan? – odezwała się Bella. – Mówiłam, że kobieta sama pana znajdzie.

Kaja lekko się zaczerwieniła, ale nic nie powiedziała, tylko usiadła na krześle podstawionym jej przez Zygę. Do końca zabawy porucznik nie odstępował jej na krok. Załatwił też, by otrzymała nową kwatery w budynku Układu, ponieważ znalazł dla niej pracę. Jako łącznościowca umieścił ją przy radiostacji dalekosiężnej. Przed wojną była na Dorii członkinią ekipy obsługującej stację nasłuchową, ale po ataku Elian, kiedy zniszczono niemal wszystkie tego typu obiekty, straciła pracę i ciężko jej było znaleźć nową. Nie mogła zaciągnąć się na statek, ponieważ większość doriańskich okrętów zostało zniszczonych.

Jedynym sensownym wyjściem było zamieszkanie na Nowej, gdzie zawsze brakowało rąk do pracy. Jednak Ziemianie, jako agresorzy, mieli złą opinię i mimo zachęt ze strony nowego rządu chętnych nie było za dużo. Kaja pracowała dorywczo przy odgruzowywaniu stolicy, ale było to ciężkie zajęcie, w dodatku bez możliwości awansu społecznego. Gdy Zento-Pak wydał rozporządzenie, by zgłaszali się chętni do osiedlenia się na Nowej, niewielu takich się znalazło, a wybierano tylko młodych i zdrowych. Kaja zgłosiła się jako pierwsza. Wiedziała, że na Nowej brakuje kobiet. Myślała o poślubieniu Dorianina. Na miejscu okazało się, że jej ziomek było tylko sześciu. Resztę kawalerów stanowili Ziemianie, którzy na szczęście niemal niczym nie różnili się od Dorian. Wysoki porucznik od razu wpadł jej w oko. Ze względu na wzrost nie mógł pozostać niezauważony. Potem Kaja dowiedziała się, że ten Ziemianin zajmuje wysokie stanowisko na Nowej, a co najważniejsze, był sam i żadna kobieta nie kręciła się koło niego. Szybko dowiedziała się, kim jest ów Ziemianin. Nie spodziewała się tylko, że będzie tak wysoki. Z daleka zdawał się nieco niższy, ale w tańcu już myślała, że podobny wzrost to raczej zaleta. Lepiej, gdy mężczyzna jest wysoki, bo niskimi wszyscy gardzą.

W bazie Układu szybko zorientowano się, że Kaja jako panna dla wszystkich jest stracona. Nikt nie chciał zadzierać z Zygą, którego i Ziemianie się bali. Zresztą wszyscy wiedzieli, że studiował w Japonii i jako dodatkowy przedmiot wybrał wschodnie sztuki walki. Na egzaminie końcowym pokonał swego mistrza i nauczyciela w trzech kategoriach: walka mieczem, walka wręcz i walka włócznią.

Cubo-Zen rozmieścił przybyłych po kwaterach, a małżeństwu przydzielił farmy.

Zyga też poprosił go o taki przydział, ponieważ chciał się ożenić, a nie mógł mieszkać z żoną przy sztabie, gdzie zawsze kręciło się kilkadziesiąt osób.

– A poprosiłeś Kaję o rękę? – zapytał Cubo-Zen.

– Jeszcze nie!

– To niedobrze! Dorianki nie lubią czekać.

– A jak mam to zrobić – po ziemsku czy po doriańsku?

– Jak zrobisz to po ziemsku, Kaja i tak zrozumie, a jak po doriańsku – będzie jeszcze lepiej.

– To co mam wybrać?

– Zrób tak: zorganizuj przyjęcie dla przyjaciół pod jakimkolwiek pretekstem. Na przyjęciu podaruj Kai prezent. Jeśli go przyjmie, już się zgodziła. W przeciwnym razie nie masz szans. Wiem, że Kaja przyjęłaby od ciebie wszystko, nawet część silnika, więc nie masz się czym

martwić. U Dorian tylko mężatki mogą przyjmować prezenty. Pannie nie wypada tego robić, bo to się łączy z oświadczeniami.

– A co mam jej podarować?

– Tego nie wiem. Zapytaj Urka. Elianie mają zawsze dobre pomysły w tej kwestii. On będzie wiedział.

Gdy Zyga przyszedł do Urka, ten zaprosił go i kazał siadać. Poczęstował go winem i zapytał, jaki ma problem. Wiedział jednak o zwyczajach Dorian i był pewien, że prędzej czy później Zyga przyjdzie do niego po radę.

Porucznik zaczął nieśmiało:

– Wiesz, przyjacielu, mam prośbę. Chcę, byś mi doradził. Nie wiem, jak ci mam to powiedzieć, ale potrzebuję prezentu. Nie mam pojęcia, co to mogłoby być.

Urko, udając, że niczego się nie domyśla, dręczył Zyge pytaniami.

– Ale o co chodzi? Dla kogo ten prezent? Z jakiej okazji? Nie możesz sam go wybrać?

Zyga, nie chcąc zdradzić się przedwcześnie ze swoimi zamiarami, omijał główny temat i wił się jak piskorz. W końcu nie wytrzymał, odwrócił się plecami do Urka i wyrzucił jednym tchem:

– Chcę oświadczyć się Kai. Potrzebuję prezentu zaręczynowego.

Odwrócił się twarzą do Urka, który stał przed nim, trzymając w ręku małe pudełko.

Zyga, nieco zaskoczony, zapytał:

– Co to jest?

– Twój prezent zaręczynowy dla Kai.

– Myślisz, że to, co jest w tym małym pudełeczku, wystarczy?

– Tu nie chodzi o wielkość. To coś unikatowego. Obejrzyj sobie ten drobiazg.

Zyga powoli otworzył pudełko. W środku była kolia wykonana ze złota i platyny, wysadzana szlachetnymi kamieniami, ułożonymi w zmiłki, rozetki i motywy roślinne. Do tego bransolety na ręce i na nogi, kolczyki i pierścionek – wszystko w tym samym stylu. Całość była jedyna w swoim rodzaju, wykonana osobiście przez Urka, który dla relaksu bawił się w jubilera. Nigdy nie powtórzył tego samego wzoru. Gdy Zyga skończył oglądać prezent, zapytał się poważnie:

– Jak mogę ci się odwdzińczyć?

– O tym porozmawiamy kiedy indziej.

Urko nie mógł się wyzbyć pewnego przyzwyczajenia – gromadził przysługi. U Elian takie zachowanie było czymś normalnym. Przysługi zaś trzeba było spłacać nawet po latach.

– Dobrze – powiedział Zyga i dodał: – Nie lubię mieć długów, ale niech będzie po twojemu. Aha, jeszcze jedno... Zapraszam ciebie z żoną na przyjęcie dziś wieczorem. Tam ogłoszę... Dam prezent Kai – szybko się poprawił.

– Przyjdziemy na pewno, ponieważ i ja muszę coś ogłosić – rzekł Urko.

Zyga pożegnał się i wyszedł. Wrócił do swojej kwatery. Schował prezent i udał się do innych przyjaciół, by zaprosić ich na przyjęcie. Wydał też polecenie kucharzowi, aby

przygotował imprezę na kilkanaście osób, ale taką, by i pięćdziesiąt gości nie wyszło trzeźwych i głodnych. Potem wstąpił do Kai, która pracowała w sekcji łączności kosmicznej. Po przywitaniu się oświadczył, że Urko urządza przyjęcie, ponieważ chce coś ogłosić.

– Zaprasza ciebie... nas – szybko się poprawił.

Kaja nie była zaskoczona zaproszeniem od Urka, ponieważ już wszyscy wiedzieli, że dzięki Zydze jest zaliczana do grona przyjaciół Elianina, ale zapytała dla kurtuazji:

– To zaproszenie to pomysł Urka?

– Nie, mój, ale jak nie chcesz, to nie musisz iść – przekomarzał się. Doskonale wiedział, że choćby ze względu na to, że on tam idzie, Kaja i tak nie odmówiłaby sobie udziału w imprezie.

– Pójdę, ale pod jednym warunkiem. – Zbliżyła się do niego i zawiesiła mu ręce na szyi. – Masz mnie teraz pocałować. – Zyga nie dał się dwa razy prosić, zwłaszcza że od dawna o tym myślał.

Po wyjściu od Kai poszedł do kuchni, gdzie powiadomiony o wszystkim kucharz czynił niezbędne przygotowania. Człowiek ten uchodził w bazie Układu za osobę najlepiej poinformowaną, ponieważ miał doskonałą pamięć i pamiętał, jak inni po pijanemu zdradzali swoje sekrety, chociaż nigdy nie wykorzystywał tych informacji przeciwko nim. Zyskał dzięki temu opinię osoby bardzo dobrze poinformowanej, ale dyskretnej. Zyga zapytał go:

– Czy wiesz, co Urko chce ogłosić na przyjęciu?

– Nie mam pojęcia – odrzekł kucharz. Zyga wyszedł, nie zwracając sobie tym dalej głowy. Kucharz jednak doskonale wiedział, o co chodzi. Znał fizjologię Elian i po zamawianych potrawach domyślił się, że Bella musi być w ciąży. Nie chciał jednak tego zdradzać przed przyjęciem. Urko nie byłby z tego zadowolony, gdyby ktoś zepsuł mu niespodziankę.

Na przyjęcie przyszło dwudziestu czterech zaproszonych gości. Nikt nie chciał opuścić imprezy, na której miano coś ogłosić.

Na samym początku Zyga przywitał wszystkich zaproszonych i podziękował im za przybycie. Tradycją było, że wszelkie ogłoszenia omawiano dopiero po obiedzie, ponieważ głodni goście byłiby zbyt zajęci obserwowaniem wspaniałych potraw i nie mogliby w pełni docenić informacji przekazywanych przez zainteresowanych. Wniesiono więc jedzenie i napoje, by wszyscy nasycili się i spokojnie delektowali winem po obiedzie. Uwaga skoncentrowała się na gospodarzach przyjęcia. Gdy towarzystwo rozweseliło się trochę, Zyga wstał i poprosił o chwilę ciszy.

– Drodzy przyjaciele, poprosiłem was tutaj, byście byli świadkami tego, co za moment się wydarzy. Otóż zamierzam podarować Kai prezent i poprosić, by została moją żoną.

Wyjął pudełko przygotowane przez Urka, który jako jedyny wiedział, co się wydarzy, i podał je dziewczynie. Dorianom wystarczyło, by przekazał prezent (co oznaczałoby oświadczyły], ale ze względu na innych gości, nieznających tak dobrze tradycji doriańskich, wyjawiał swoje zamiary i poprosił Kaję o rękę.

Dziewczyna nie udawała zaskoczenia. Wiedziała o zamiarach Zygi, ale nie spodziewała się, że oświadczyły nastąpią tak szybko. Mimo to bardzo się ucieszyła i przyjęła podarunek. Nie

patrząc, co jest w środku, pociągnęła Zygę lekko za rękę, aby się nachylił. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. Nikt nie miał wątpliwości, że oświadczyzny zostały przyjęte. Rozległy się oklaski i wiwaty. Wszyscy składali narzeczonym życzenia i wznosili toasty.

Gdy wrzawa nieco ucichła, Kaja usiadła i powoli otworzyła pudełko z prezentem. Dziewczynie aż oczy się zaświeciły i westchnęła z zachwytu. Na chwilę goście skierowali wzrok na Kaję, która siedziała z pięknym naszyjnikiem w rękach. Wszystkie kobiety, bez względu na rasę, były oczarowane tym, co zobaczyły. Podawały sobie z ręki do ręki każdy element kolii i zachwycały się, przymierzając precjoza.

Po kilku następnych toastach w kieliszek zadzwonił Urko, prosząc wszystkich o uwagę. Gdy sala ucichła, wstał. Jego twarz, mimo że nauczył się już panować nad emocjami, wskazywała na wielkie poruszenie i radość. Odezwał się:

– Za cztery miesiące moja żona Bella urodzi dziecko.

Nagle rozległa się wrzawa. Wszyscy bili brawo i składali obojgu rodzicom życzenia pomyślności. Ledwie oklaski ucichły, gdy znowu rozległ się dźwięk szkła. Wstał Talianin Kato i powiedział:

– Moi przyjaciele, ja też chciałbym podzielić się z wami radosną dla mnie nowiną. Mimo że nie ma u nas takiej tradycji, popieram zwyczaje ziemskie i eliańskie. Informuję, że moja żona Zyta i ja spodziewamy się potomka.

Znowu zawrzało i rozległy się wiwaty, słowa gratulacji. Każdy z przyszłych potomków miał już zagwarantowaną posadę, a nawet ułożoną przyszłość.

Zabawa trwała jeszcze długo. Było już widno, gdy goście zaczęli rozchodzić się do swoich kwater.

Zyga i Kaja wyznaczyli datę ślubu za tydzień, ponieważ w tradycji Dorian długie zaręczyny były źle widziane. Sami młodzi też nie chcieli długo czekać, po prostu nie było na co. Kaja ani tym bardziej Zyga nie mogli liczyć na krewnych, więc nic ich nie powstrzymywało przed ślubem.

Porucznik polecił kucharzowi przygotowanie przyjęcia, sam zaś doglądał budowy swojego domu i zagrody. Zamierzał po ślubie wprowadzić żonę do ich własnego lokum. Nie chciał, by mieszkała w budynku Układu, gdzie zawsze panował gwar i ruch. Poza tym wychodził z założenia, że każda kobieta musi mieć swój świat, jakim jest dom, gdzie czuje się swobodnie i jest gospodynią. W związku z tym, że Zyga był członkiem Rady Układu, na jego farmie zorganizowano odpowiednie pomieszczenie na myśliwiec typu doriańskiego, ale wyposażony we wszystkie nowinki techniczne. Zbudowano też magazyn na broń i środki łączności oraz garaż na samochód terenowy. W wykonanie wszystkich prac zaangażowały się dziesiątki osób, które, nie szczędząc czasu i środków, starały się szybko i dokładnie wykonać wszystkie polecenia Zygi.

Ślub odbył się według tradycji ziemskiej, a wesele trwało trzy dni. Dzięki temu każdy mógł świętować wraz z młodą parą – jeśli nie pierwszego dnia, to drugiego lub trzeciego. Dorianie lubili się bawić i nikt się nie nudził. Po weselu młodzi zamieszkali na farmie, gdzie przebywali

bez przerwy przez dwa tygodnie. W tym czasie zapoznawali się ze swoim domem i całym obejściem. Rozpakowywali prezenty, wśród których były też młode zwierzęta gospodarskie. Należało natychmiast się nimi zająć.

Kaja wymusiła na Zydze naukę pilotażu myśliwca. Już w drugim tygodniu pozwolił jej na samodzielny lot. Po dwóch tygodniach Zyga pojechał terenówką do bazy, ale tylko po to, by pobrać z magazynu dodatkowe narzędzia i sprzęt. Większość wyposażenia sprowadzono z Dorii w ramach wymiany za żywność, której tamta planeta potrzebowała, Nowa zaś była jej producentem. Przywieziono też kolejkę wąskotorową. Tory prowadziły niemal nad samo morze. Tam osiedliły się dwie doriańskie rodziny. Wyposażono je w łodzie motorowe, aby mogły zajmować się połowem ryb i chwytniem innych morskich zwierząt. Kolejka dowoziła mieszkańców na morskie wybrzeże także w celach wypoczynkowych.

Cztery miesiące później Bella urodziła córeczkę. Urko nie posiadał się z radości. U Elian narodziny dziewczynki zdarzały się raz na dziesięć urodzin. Urko nadał jej imię Gea. Dwa dni później Talianin Kato poinformował wszystkich, że jego żona urodziła chłopca. Rozeszła się wieść, że i Kaja jest w ciąży. Miało to być pierwsze dziecko w rodzinie ziemsko-doriańskiej, więc wszyscy czekali niecierpliwie na narodziny. Na Nowej jeszcze nie wiadomo, że przed przyjściem na świat potomka Zygi Tea, żona admirała Andersona, urodziła na pokładzie Odkrywcy syna, któremu nadano imię Adam. Na planecie liczono jednak tylko te dzieci, które urodziły się w kolonii. W czasie, gdy Odkrywca poszukiwał statków ziemskich, na Nowej przyszło na świat ponad trzydzieścioro maluchów. Stan osady powiększył się do dwustu piętnastu mieszkańców.

Admirał Anderson nadał wiadomość, że przybędzie jeszcze kilka tysięcy osadników z ziemskich statków odnalezionych w kosmosie. Trzeba przygotować dla nich farmy i zrobić nowe magazyny, w których należało gromadzić wyposażenie i żywność. Domy budowano małe, trzyizbowe. Na zewnątrz stawiano pomieszczenia i zagrody dla zwierząt oraz garaże na pojazdy i myśliwce. Każdy z pilotów miał trzymać swój okręt w obejściu, by w razie potrzeby szybko stawić się do walki. Do głównej osady było dziesięć minut lotu, a więc znajdowała się niezbyt daleko.

Gdy przybyły cztery doriańskie rodziny, podarowano im samochody terenowe, tak by mogły na czas ewakuować się tam. Dorianie nie rozumieli, dlaczego farmy są wyposażane w broń laserową i palną. Nigdzie się z tym nie spotkali. Zyga jednak upierał się. Otrzymał tajny rozkaz od admirała Andersona, który potrafił przewidywać kłopoty. Zyga wierzył mu bezgranicznie.

Na Nową przyleciał też powracający do swego imperium krążownik eliański. Urkowi udało się namówić jedno z małżeństw Elian, stanowiących załogę statku, do osiedlenia się na planecie. Para nie miała jeszcze dzieci, ponieważ czekała z tym, aż zamieszka gdzieś na stałe. Oboje chcieli w spokoju wychować potomstwo. Nadarzyła się okazja i Urko już nie pozwolił im szukać innego miejsca. Umieścił Bazewa z żoną blisko swojej kwatery, by nie czuli się obco na Nowej. Elianin, ujrzawszy malutką Geę na rękach Belli, pomyślał, że jak się tu osiedli, jego

przyszły syn nie będzie musiał szukać żony – zostanie nią właśnie ta dziewczynka. Dowódca Bazowa najpierw nie chciał słyszeć o pozostaniu tu podwładnego, który był jego przyjacielem. W końcu zezwolił młodemu osiedlić się na Nowej. Wyposażył Bazowa w sprzęt i zostawił nawet na planecie dwa eliańskie myśliwce. Bazie przekazał nowoczesny sprzęt łączności i ostrzegawczy razem z trzydziestoma sondami szpiegowskimi, które, rozmieszczone w kosmosie na orbitach martwych globów, obserwowały każdy przelatujący obiekt i wysyłały jego pozycję. Nadajniki te później sprawiły się doskonale, będąc oczami i uszami Układu.

Po tygodniu pobytu na Nowej eliański krążownik obrał kurs na Elię i zniknął z radarów stacji.

19.

Bunt

Dowódca rebelii Mej-Gat już dziesięciokrotnie przewyższał liczebnie siły Zento-Paka. Czekał tylko na ukończenie budowy nowego statku, który jego zdaniem byłby w stanie powstrzymać siły Układu. Okręt był pięciokrotnie dłuższy i trzykrotnie szerszy od i tak wielkich krążowników doriańskich. Był wyposażony w pole siłowe zasilane z kilku źródeł. Zniszczenie jednego z nich nie wyrządziłoby statkowi ani jego załodze żadnej krzywdy. Siła ognia przewyższała atak dwudziestu krążowników naraz. Zakończenie budowy miało nastąpić za miesiąc. Wówczas rozpocząłby się początek końca Układu, jak to określił Mej-Gat. Na razie kazał przeprowadzać akcje szpiegowskie i przygotowywać agentów do wzmożenia działań dywersyjnych na tyłach wroga, jednak dopiero na dany znak. Chciał sparaliżować obronę Dorii przed planowanym natarciem.

Kilku oficerów, zniecierpliwionych bezczynnością, starało się namówić wodza, by wydał rozkaz do ataku na pomniejsze kolonie. Pozwoliłoby to po cichu pozbywać się zdrajców. Mej-Gat nie zgodził się na tego typu akcję. Szpiegzy donieśli mu już, że wielu Dorian przeszło na stronę wroga i nie chcą powrotu imperium w dawnej formie. Wiedział, że będzie zmuszony walczyć z rodakami, i to bezwzględnie. Musiał rozbić siły Zento-Paka, zanim zmierzyłyby się z flotą Układu. Liczył na to, że gdy rodacy zobaczą statek, przejdą na jego stronę. Wiedział, że Talianie zaatakują go, jeżeli nie pokona Zento-Paka. Liczył też na dywersję we flocie taliańskiej. Bunt nawet dwudziestu krążowników wystarczyłby, by Talia nie wzięła udziału w walkach, tłumacząc się koniecznością uporządkowania swojego podwórka.

Zento-Pak niczego się nie spodziewał. Spokojnie pracował nad odbudową Dorii. Niemal całą swoją flotę wykorzystywał do transportu towarów między koloniami a planetą. Wokół Dorii stacjonowały tylko cztery krążowniki, na których mieszkał ze swoją rodziną i najwierniejszymi druhami. Nie mógł sam wszystkiego dopilnować. Musiał wierzyć swoim rodakom, którzy stale zapewniali go o lojalności. Od pewnego czasu rozpoczęły się dziwne

roszady personalne. Niby nic się nie stało. Czasami ktoś leciał na kolonię i nie wracał. Przesyłał zdawkową wiadomość, że osiedlił się i nie ma zamiaru wracać lub dostawał awans i przenosił się na stałe, zostawiając wolne stanowisko w administracji planety czy też w innych ważnych strategicznie punktach planety albo floty. Było ono natychmiast zajmowane przez poplecznika Mej-Gata.

Na tydzień przed planowanym atakiem na planecie i we flocie zaczęły wydarzać się niepokojące wypadki i nieszczęśliwe zbiegi okoliczności. Najpierw konwój z materiałami wybuchowymi, przejeżdżając w pobliżu będącej jeszcze w budowie kosmicznej stacji nasłuchowej, niespodziewanie wyleciał w powietrze, niszcząc całkowicie niemal ukończony obiekt. Zginęło dwustu Dorian zatrudnionych przy wznoszeniu kompleksu. Podobny wypadek zdarzył się w planetarnych magazynach broni. Zniszczona została olbrzymia ilość sprzętu i ogromnych amunicji, a stu siedemdziesięciu czterech Dorian straciło życie. Oba wypadki nie wzbudziły niepokoju Zento-Paka. Dopiero trzecie podobne wydarzenie w zakładach lotnictwa kosmicznego, gdzie przygotowano serie nowoczesnych myśliwców dla floty, dało mu do myślenia. Zbiegło się to jeszcze z kilkoma niewyjaśnionymi zabójstwami oraz dziwnymi samobójstwami najwierniejszych Dorian. Wszystko to pozwoliło Zento-Pakowi sądzić, że dzieje się coś niedobrego. Liczba wypadków wskazywała, że coś się wydarzy, i to w najbliższych dniach. Przypomnił sobie meldunki, że z kosmosu nie przylatują statki, które według dokumentów dawno powinny wrócić. Zaledwie kilkanaście maszyn, które pojawiły się z powrotem, to te, co leciały, mijając układ Topień z orbitującą tam Nową. Z innych kierunków nie przybył żaden statek. To było tak nieprawdopodobne, że aż niemożliwe. Zento-Pak w trybie alarmowym wezwał wszystkie okręty, poza tymi biorącymi udział w akcjach ratowniczych, do bazy w pobliżu Dorii. Ogłosił cichy alarm na swoich statkach. Przewidywał najgorsze. Postanowił potajemnie zebrać rodziny swoich oficerów i przyjaciół oraz członków rządu na własnych okrętach i natychmiast ruszyć w kierunku Nowej. Krążownicy powiadomił o koncentracji w pobliżu Układu Topień. O swoich obawach powiadomił za pomocą kuriera Elian na Wenus II i sztab Układu na Nowej. Ważne wiadomości przysyłał tylko przez zaufanych kurierów. Nie mógł już ufać Dorianom.

Wiadomości te zaniepokoiły Urka i Zyge na tyle, że postanowili przeciwżyć sposoby ewakuacji na wypadek nagłego ataku. Poza kilkoma osobami będącymi akurat na polowaniu wszyscy zdołali się ukryć. Po tych ćwiczeniach zarządzono, by wszyscy osadnicy pracujący daleko od swoich domów byli wyposażeni w podręczne środki łączności i broń. Kilka dni później członkowie Rady Układu przewieźli rodziny do schronów w górskich jaskiniach.

Zyga wysłał w kierunku Ziemi i do innych członków Układu wiadomość o możliwym buncie Dorian. Kilka dni później zaczęły meldować się pojedyncze krążownicy doriańskie. Ich dowódcy nie wiedzieli nic poza tym, że mieli bezzwłocznie się tutaj zgłosić. Trzy dni później przyleciał Zento-Pak ze swoimi czterema okrętami. Potem myśliwcem wyruszył do osady. Lądując tuż przed budynkiem Rady, zwołał jej nadzwyczajną sesję. Opowiedział o wypadkach na Dorii i o tym, że wczoraj planeta ucichła całkowicie. Nawet pozostawiony na orbicie mały

statek, którego załogę tworzyli zaufani Dorianie, umilkł niemal w tym samym czasie, co nadajniki na globie.

– Musimy się zastanowić, co robić. Zdołałem zebrać jedynie trzydzieści statków. Reszta nie odpowiada, więc albo przeszły na stronę zdrajców, albo już nie istnieją. Tak czy inaczej na nic więcej nie możemy liczyć. Na Dorii od niedawna w obiegu krąży plotka, że ktoś buduje ogromny okręt, który ma zniszczyć wszystko, co napotka na swojej drodze. Wiem, że zbliża się do nas coś potężnego.

– Spokojnie, Zento-Pak. Nie ma co wzbudzać emocji. Nie istnieje statek, którego nie dałoby się zniszczyć. Zento, każ swoim statkom rozmieścić sondy szpiegowskie na wszystkich kierunkach i meldować każdorazowo o zlikwidowaniu nadajnika lub awarii. Do Elian z Wenus II już wysłaliśmy wiadomość. Mają dotrzeć tu i powiadomić swoich o koncentracji przy Nowej. Wszystkich niepotrzebnych cywilów ze statków należy przenieść do schronów w górach. Na statkach ma pozostać tylko obsada bojowa. Na Nowej należy przygotować się do odparcia ataku piechoty. Pamiętajcie, nie liczą się budowle.

Tylko życie ma cenę i należy je chronić. Wróg też nie po to przybędzie, by zniszczyć kilkadziesiąt budynków, lecz po to, by nas zgładzić, i to wszystkich bez wyjątku. Dlatego każdy, kto może, ma stać na posterunku i wykonywać rozkazy przełożonych.

Osada przygotowywała się do walki. Rozdano broń wszystkim mieszkańcom. Zakazano łączności kosmicznej i zmieniono stanowiska działa plazmowego. Zaminowano podejścia do osady, pozostawiono tylko wąskie przesmyki, znane jedynie mieszkańcom osady. Zwierzęta domowe wypuszczono na wolność daleko od osady, by nie stały się celem dla myśliwców lub nie zginęły na minach, gdy będą starały się wrócić do zagród. Większość osadników ewakuowano. Pozostawiono w osadzie tylko obrońców oraz kilka rodzin doriańskich, które przybyły najpóźniej. Uważały one, że rodacy nie wyrządzą im krzywdy.

Tymczasem na Dorii też przygotowywano się do walki. Parlament przegłosował ustawę, na mocy której planeta ogłosiła neutralność w walce buntowników z Układem. Wiedziano jednak, że to nie powstrzyma wojsk Mej- – Gata przed zajęciem planety. Rząd postanowił walczyć i wiedział, że przegra. Mej-Gat straci tym samym miano wyzwoliciela. Będzie uważany za tyrana, który atakuje macierzystą planetę i morduje ziomków. Sam Mej-Gat szczerze tego nie chciał i wierzył, że planeta podda się jego władzy bez walki.

Wokół planety orbitował tylko jeden statek klasy niszczyciel. Zento-Pak nie chciał zabierać go ze sobą, ponieważ w starciu z wielkimi krążownikami niewiele by pomógł, a teraz przynajmniej da znać, czy wróg już się pojawił. Dowódca tego statku ukrył go w polu siłowym białej kuli i nasłuchiwał wieści z kosmosu. Dwa dni później nadleciały dwa statki Mej-Gata. Potem zjawiły się następne i jeszcze następne. W końcu zebrało się ich tak dużo, że trudno byłoby je zliczyć. Na samym końcu przyleciał największy statek o nazwie Girato, co znaczy pogromca. Wysłano z niego wiadomość na Dorię o treści: „Mówi Mej-Gat, dowódca kosmicznych sił doriańskich. Przybyliśmy tutaj, by wyzwolić Dorian spod panowania obcych zrzeszonych w Układzie Pięciu Cywilizacji i rozliczyć się ze zdrajcami typu Zento-Pak i jego

poplecznicy. Chcemy też wypuścić naszych rodaków z kolonii karnej na Wenus II. Pokonamy flotę Układu i znowu staniemy się mocarstwem budzącym postrach. Czekam na delegację z planety".

Godzinę później z Dorii wyleciał w kierunku statku Mej-Gata mały prom z przedstawicielstwem rządu planety. Pojazd zaparkował w hangarze Gitaro. Z promu wyszło tylko trzech Dorian. Trochę zdziwiło to Mej-Gata, ponieważ spodziewał się liczniejszej delegacji i bardziej entuzjastycznego powitania. Jednak ucieszył się i z tego powodu. Nadal sądził, że obejdzie się bez zajmowania planety siłą, czego chciał uniknąć. Najpierw głos zabrał wicepremier rządu. Jego przemowa zmroziła najeżdźcę.

– Co ty robisz, Mej-Gacie? Chcesz znowu sprowadzić wojnę na Dorię? Mało zginęło do tej pory naszych synów i córek w konflikcie, który miał nigdy się nie wydarzyć? Flota, do tej pory niepokonana, została niemal doszczętnie rozbita, a Doria zapłaciła ogromną daninę krwi rodaków za doktrynę, by w zarodku niszczyć wszystkie napotkane światy. Nikt ci nie powiedział, że mamy teraz pokój? Nie chcemy nowej wojny! Na planecie nie przebywa ani jeden obcy. A jeśli chodzi o Zento-Paka, o którym mówisz, że jest zdrajcą, wiedz, że więcej zrobił dla odbudowy planety niż ktokolwiek mi znany. Dzięki niemu na Dorii panuje spokój i nie ma obcych. Pomagają nam wszyscy. Ziemianie z Nowej oraz Dorianie z Dorii II przysyłają żywność, nie żądając niczego w zamian. Doria dopiero teraz dochodzi do siebie po ostatniej wojnie, a ty chcesz prowadzić nową? Rząd planety nie zgadza się, by kogokolwiek wydać w twoje ręce. Natomiast składa ci propozycję, byś poddał się woli legalnego rządu i przyłączył się do UPC. Otrzymacie amnestię i będziecie mogli zatrzymać swoje statki oraz stanowiska. Tak duża flota na pewno przyda się Dorii. Dzięki niej będziemy mieć większe wpływy na decyzje zapadające w Układzie. Z biegiem czasu możemy nawet przewodzić Układowi, zyskać władzę większą niż kiedykolwiek.

– Stop! – krzyknął Mej-Gat. – Milcz, bo rozerwę cię na strzępy, zdrajco! Ja tu przybywam, by wyzwolić Dorię, a wy proponujecie mi układ z najeźdźcami, ciemżycielami patriotów, którzy jęczą pod batogami Elian na Wenus II! PO moim trupie to się stanie! Wolę zginąć, niż się poddać. A was, jak będziecie nieposłuszni, zgładzę jako zdrajców. Oczyszczę Dorię ze wszystkich śmieci i może nie teraz, ale kiedyś historia uzna mnie za bohatera i wyzwoliciela.

– Milcz, Mej-Gacie – przerwał mu jeden z młodszych delegatów. – Ty po prostu chcesz władzy nad całą Dorią i wszystkimi Dorianami. Los planety w ogóle cię nie interesuje. Nie chcesz przyjąć do wiadomości faktu, że Doria jest wolna bez twojej interwencji. Nie pochodzisz z tej planety, nie znasz jej. Urodziłeś się w jakiejś zapyziałej kolonii i nigdy nie byłeś na Dorii, dlatego ona cię nie obchodzi. Tobie śni się władza, chwała, a okazało się, że jesteś tu niepotrzebny. Przybyłeś tu z potężną flotą i jeżeli chcesz się przydać Dorianom, to podporządkuj się legalnej władzy. Jeśli nie zamierzasz tego zrobić, leć, gdzie cię oczy poniosą, i walcz, z kim tylko chcesz. My ciebie tutaj nie potrzebujemy i nie chcemy. Wynoś się stąd. Parlament Dorii proklamował neutralność w konflikcie i przez rok nie wpuści żadnych wojsk na planetę. Powiadomiliśmy o naszej decyzji Układ, który natychmiast dał odpowiedź, UPC

nie planował i nie planuje żadnej interwencji zbrojnej i tylko na prośbę legalnych władz podejmie działania pomocowe, jednak o żadnej interwencji militarnej na planecie nie może być mowy. Tak więc żaden żołnierz z bronią nie może wylądować na Dorii. Ciebie to też dotyczy.

Wściekły Mej-Gat wyciągnął pistolet z kabury i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, padły trzy strzały. Ciała delegatów osunęły się na pokład statku. Jeden z oficerów podszedł do zastrzelonych, pochylił się i stwierdził:

– Członkowie rządu Dorii nie żyją.

– To nie byli członkowie rządu, tylko zdrajcy i kolaboranci. Przygotować się do inwazji planety, zanim ci z dołu domyślą się, co tu się stało.

– Za późno – powiedział oficer. – Mieli ukryte przekaźniki. Słyszeli wszystko poprzez prom na dole. Statek ucieka!

– Zestrzelić go natychmiast!

Błysnął promień lasera, potem drugi, trzeci i mały stateczek rozleciał się, trafiony w silnik. Chwilę później na planecie odezwały się działa plazmowe, ostrzeliwując skupisko krążowników. Pewni swojej przewagi militarnej kapitanowie nie podnieśli osłon na swoich statkach. Już pierwsze strzały przyniosły bezpośrednie trafienia i wielkie okręty rozlatywały się w wielkich eksplozjach lub traciły sterowanie bądź zasilanie i powoli opadały w kierunku Dorii. Załogi czekała tam niechybna śmierć w ogniu spalających się w atmosferze statków. Setki myśliwców i kapsuł ratunkowych, wylatujących z uszkodzonych krążowników, nie pozwalały prowadzić z kosmosu ostrzału miejsc, gdzie znajdowały się stanowiska dział plazmowych. Mej-Gat zarządził natychmiastowy odwrót, by wydostać się z zasięgu dział. Gdy tylko myśliwce zostały wyłapane przez statki ratownicze, krążowniki w osłonach podleciały do planety i rozpoczęły ostrzał. Stojący w ukryciu niszczyciel filmował atak floty Mej-Gata na Dorię. Czekał na swoją kolej w walce. Dowódca niszczyciela wiedział, że aby zadać najwięcej strat, musi czekać i patrzeć na ostrzał swojej planety. Krążowniki szybko uporały się z działami plazmowymi. Gdy ostatnie zostało zniszczone, okręty wyszły z kamuflażu, opuszczając osłony, by wypuścić tysiące myśliwców, które miały zlikwidować wojska planetarne i ich lotnictwo. Dowódca niszczyciela czekał na ten moment. Opuścił osłony, ukryty za jednym ze statków, i też wypuścił myśliwce. Nikt nie zwrócił uwagi na niszczyciela, którego nie było we flocie. Gdy tylko statek wypuścił myśliwce, podniósł osłony i włączył kamuflaż. Potem zmienił stanowisko i czekał na walkę swoich maszyn. Była to misja samobójcza i wszyscy piloci o tym wiedzieli. Dwieście myśliwców z niszczyciela wmieszało się w tysiące pojazdów startujących z dziesiątek krążowników. Nagle, tuż przed wejściem w atmosferę planety, zawrzało. Myśliwce zaczęły eksplodować dziesiątkami. W słuchawkach dały się słyszeć krzyki pilotów meldujących o ataku na nich przez własne maszyny. Szyki zostały złamane i myśliwce zaczęły prowadzić walkę jedni z drugimi. Mej-Gat, widząc, co się dzieje, krzyknął:

– Wszystkie myśliwce przerwać ogień! Kto nie wykona rozkazu, zostanie zestrzelony!

Nadal jednak myśliwce eksplodowały, ponieważ te z niszczyciela nie usłuchały rozkazu i nie przerwały ognia.

– Uwaga! – krzyknął w mikrofon Mej-Gat. – Zniszczyć strzelające myśliwce! To maszyny wroga!

Krażowniki zaczęły celować w małe pojazdy, które, zwrotne, były trudne do ustrzelenia. Skoncentrowany ogień z dziesiątek okrętów zaczął przynosić efekty i coraz więcej małych stateczków eksplodowało. Gdy ostatnie myśliwce z niszczyciela wleciały w gęste warstwy atmosfery, szukając tam ratunku, przzerwano ostrzał.

– To nie były nasze maszyny! – rzekł jeden z oficerów. – Tu musi być gdzieś ukryty krążownik Zento-Paka.

– Natychmiast wszystkie statki mają zająć się poszukiwaniem wrogiego okrętu.

Dowódca niszczyciela, usłyszawszy rozkaz Zento-Paka, zaatakował od tyłu trzy krążowniki naraz, nie dając im żadnych szans obrony. Kilka minut później eksplodowały. Atak nie uszedł uwagi innych krążowników, które zaczęły zbliżać się do niszczyciela. Dowódca niszczyciela, nie patrząc na to, co za chwilę stanie się z nim i jego statkiem, atakował następne krążowniki pozostające bez osłon. Przybyłe w pobliże okręty Mej-Gata zaczęły ostrzeliwać miejsce pobytu wrogiego okrętu. Mimo że ten przemieszczał się pomiędzy krążownikami, wrakami i uszkodzonymi, ale jeszcze sprawnymi statkami, został odnaleziony i ostrzelany. Kilka trafień i osłony tak osłabły, że załozde niszczyciela zostało niewiele czasu. Tuż przed eksplozją ze statku oderwało się osiemnaście myśliwców, które, klucząc, kierowały się na Dorię. Jeszcze tylko jeden błysk i informacja oraz nagranie z niszczyciela poleciały w kierunku Wenus II. Dowódca statku wiedział, że sygnał na Nową będzie blokowany, dlatego przekaz z ataku floty Mej-Gata posłał właśnie do Elian. Eksplozja niszczyciela zakończyła bitwę o dominację nad Dorią. Myśliwce wypuszczone ze statku stały się teraz celem myśliwców ze wszystkich krążowników. Wściekłość na załogę okrętu była tak ogromna, że rozkazy, by kilku oszczędzić, nie zostały wykonane. Jeden za drugim myśliwce ginęły pod ostrzałem z krążowników i goniących ich myśliwców. Z osiemnastu tylko cztery dotarły bezpiecznie na planetę. Dwóm innym tuż przed wlotem w atmosferę zabrakło paliwa i zaczęły dryfować. Wnet zostały wyłapanie przez krążownik. Jeden z pilotów wciągniętych do hangaru wiązką holowniczą, będąc w kabinie, przebił zapasowy zbiornik paliwa, który ze względu na wadliwy zawór został pełny. Gdy został opróżniony, a grupa strażników od zewnątrz otwierała pojazd, by aresztować żołnierza, ten strzelił z lasera i zapalił paliwo w kabinie. Eksplozja myśliwca zabiła dwunastu strażników i trzech gapiów z obsługi hangaru. Drugi pilot został aresztowany i przewieziony na statek Mej-Gata.

Kilka minut później zamachowiec wydał rozkaz ataku na planetę. Trzy dni trwały krwawe starcia w obronie Dorii. Zginęły tysiące obrońców i jeszcze więcej napastników. Potem postanowiono poddać planetę Mej-Gatowi, którego wojska i tak zajęły osiemdziesiąt procent powierzchni globu. Aresztowano członków rządu i dowódców wojskowych. Część z nich rozstrzelano po pokazowym procesie, a resztę skazano na długoletnie więzienia. Kilku członków rządu i generałów zdołało ukryć się w górach i tam chronieni przez okolicznych Dorian przetrwali aż do wyzwolenia. Czterech pilotów nigdy nie odnaleziono, chociaż Mej-Gat

obiecał darowanie win i wysokie stanowiska we władzach planety.

Jedyny pilot z niszczyciela, którego przesłuchano, został umieszczony w więzieniu na Dorii.

Mej-Gat wysłał sto krążowników na Dorię II i sto na Nową. Kilka zostawił na orbicie zdobytego globu, a to z uwagi na braki w załodze, która zmuszona była walczyć z obrońcami planety. Z samej Dorii niewielu zwolenników Mej-Gata zaciągnęło się na jego statki, choć sądził, że nie będzie z tym problemu. Trzy dni później sam powoli ruszył w kierunku Nowej.

Statki, które doleciały na Wenus II, nie zastały tam już Elian. Po ostrzeżeniu Zento-Paka zdołały się wycofać. Jeden z nich poleciał pełną mocą silników w kierunku terytorium Talii po pomoc. Pozostałe trzy skierowały się na miejsce zbiórki koło Nowej. Elianie zaproponowali cywilnej ludności możliwość ewakuacji, ale nikt nie skorzystał z tej propozycji. Dorianie nie mieli dokąd lecieć. Ich macierzysta planeta została drugi raz zniszczona. Na Nowej spodziewano się inwazji floty Mej-Gata.

Po wyświetleniu przez Elian materiału filmowego nagranych przez niszczyciel, a pokazującego atak na Dorię, uzurpator Mej Gat stracił zwolenników na Wenus II. Nawet więźniowie nie chcieli nigdzie lecieć. Elianie złożyli propozycję ewakuacji również mieszkańcom Nowej, którzy bez problemu zmieściliby się do jednego krążownika. Zyga jednak odpowiedział:

– My, Ziemianie, nie mamy się gdzie wycofać. Jeżeli przyjdzie nam zginąć, stanie się to tutaj.

To samo powiedzieli inni mieszkańcy Nowej, nie wyłączając Dorian.

Zyga wysłał w kierunku Odkrywcy prośbę o pomoc. Admirał nadał wiadomość otwartym tekstem, że leci z dwudziestoma ziemskimi i dwustoma kiliańskimi statkami, a szyfrem dodał, że na miejscu będzie nie wcześniej niż za dwa tygodnie. Urko odebrał sygnały z sond rozstawionych przez flotę Zento-Paka, że wróg szybko się zbliża i za kilka dni będzie w układzie Topień. Zyga zdecydował przenieść się na krążownik Dorianina. Zaproponował mu, że sam poprowadzi okręty do walki. Zento-Pak mógł odczuwać dyskomfort, atakując rodzime statki, a tak wina spadłaby na Ziemian. Pomimo że zdecydował się już dawno, po której stronie konfliktu stoi, ucieszył się z propozycji Zygi. Nie chciał uchodzić wśród swoich za kata Dorian.

Gdy Zyga przejął dowództwo na krążownikami, natychmiast kazał cywilom i rezerwowej załodze opuścić pokład. Poleciał też zabrać wszystkie myśliwce i przekazać je do dyspozycji Urka na Nowej.

Elianin bardzo ucieszył się z czterech tysięcy maszyn. Kazał pilotom ukryć się w okolicznych lasach, rozpadlinach i zamaskować myśliwce. Dopiero na rozkaz mieli ruszyć do walki we wskazanych miejscach. Zyga swoją flotę ustawił przy szóstej i jedenastej sondzie. Tam właśnie czekał w zasadzce na pierwsze statki Mej-Gata. Gdy umilkła dwunasta sonda, Zyga wiedział, że flota wroga jest już blisko. Wnet skanery wykrywające ślady spalin silników krążowników wskazały, że zbliżają się dwadzieścia cztery statki w szyku bojowym.

Rozstawił cztery swoje okręty po bokach pułapki, sam zaś stanął w jej centrum. Gdy flota

Mej-Gata była blisko, wystrzelił w jej kierunku torpedę trytową, która eksplodowała w środku sił wroga. Potężny wybuch rozerwał najbliższe cztery krążowniki, a kolejne cztery były tak uszkodzone, że nie nadawały się do walki. Inne, siłą fali uderzeniowej pozbawione pola siłowego, dryfowały bezwładnie, obracając się wzdłuż trzech swoich osi, ale nie miały poważnych usterek i gdy załoga odzyska przytomność, na pewno zapanuje nad sterami. Na uszkodzone pola siłowe innych statków posypały się salwy czerwonych laserów ze wszystkich kierunków. Okręty Mej-Gata zaczęły jeden po drugim eksplodować i tylko z niektórych udało się wylecieć po kilka myśliwców lub kapsuł ratunkowych. Statki zbuntowanych Dorian nawet nie starały się prowadzić wymiany ognia. Nigdy nie spotkały się z tak gęstym i prowadzonym bez przerwy ostrzałem z czerwonego lasera. Do tej pory po salwach należało spodziewać się przerwy na schłodzenie luf lasera. Wtedy można było rozpocząć kontratak. W tym wypadku nie było takiej możliwości i statki zaczęły zawracać, by uciec z zasadzki. Po pierwszej chwili zaskoczenia okręty doriańskie zaczęły odgryzać się wrogowi. Otworzyły ogień w kierunku, skąd padały strzały. Gdy jednak Zyga dostrzegł, że jego statek ciężko obrywa, natychmiast rzucił się na atakujące go krążowniki i niszczył je ciągłym ogniem, latając pomiędzy jednostkami wroga, gdzie jedni przeszkadzali drugim w ostrzale szybkiego przeciwnika. Zlikwidowano siedemnaście z dwudziestu czterech krążowników, a pozostałe tak oberwały, że nadawały się raczej do remontu niż do walki.

Nadleciała następna eskadra dwudziestu czterech krążowników Mej-Gata. Gdy tylko wkroczyła pomiędzy walczące statki, Zyga wystrzelił torpedę trytową i nakazał swoim natychmiastowy odwrót na wcześniej wyznaczone pozycje. Nagle na polu bitwy pozostały tylko okręty z floty Mej-Gata. Na chwilę zapadła cisza, a zaraz potem kosmos rozerwała potężna eksplozja, niszcząc kolejne statki wroga. Inne pozbawiała osłon, a załogi przytomności i uniemożliwiała panowanie nad sterami. W tym stanie flota nie mogła prowadzić skutecznego pościgu. Wiele załóg z obu eskadr potrzebowało natychmiastowej pomocy, ponieważ niektóre statki ledwie utrzymywały atmosferę. Akcja ratunkowa trwała kilka godzin. Załogi doriańskich krążowników powoli odzyskiwały panowanie nad lekko uszkodzonymi statkami i wracały do szyków. Tak więc flota Mej-Gata, nawet nie zbliżając się do Nowej, straciła dwadzieścia pięć krążowników, a następnych sześć nie nadawało się do walki, choć jeszcze latało.

Zyga tymczasem przygotował zasadzkę przy dziesiątej sondzie i tam czekał na statki wroga. Po kilku godzinach skanery wykryły następną eskadrę wrogich krążowników. Tym razem leciało czterdzieści siedem okrętów. Zyga, widząc taką przewagę liczebną, już chciał zawrócić za radą pierwszego oficera, Dorianina Dar-Weda. Pomyślał jednak: „Ależ dlaczego miałby nie atakować? Przecież po to tu przyleciał!”. Tym razem pozwolił, by statki przeleciały obok jego ukrytej floty. Gdy tylko ślady spalin wskazały, że wrogie statki minęły jego krążowniki, kazał otworzyć ogień ze wszystkich statków w ostatnie okręty Mej-Gata. Zaskoczenie było całkowite. Dziesięć krążowników rozleciało się w kłębach eksplozji. Zanim wróg zdążył zawrócić, statki Zygi wykonały zwrot i poleciały w kierunku szóstej sondy. Flota, zaatakowana od tyłu, zatrzymała się w obawie przed następnym atakiem. Dowódca eskadry nakazał ciągły

ostrzał w trakcie lotu we wszystkich kierunkach, by ustrzec się ponownego natarcia od tyłu. Opóźniało to przylot do układu Topień, ale istniała szansa, że w ogóle tam dolecą. Jeżeli w tym tempie będzie tracił statki, dotrze na miejsce w pojedynkę.

Tymczasem eliański krążownik dolatywał do układu, gdzie orbitowała Talia, jeszcze przed dotarciem tam naprzeciwko krążownikowi Elian wyleciały dwie eskadry. Każda z nich liczyła dziesięć krążowników. Szybko doszło do rozmów Elianina Baraka ze sztabem Talii. Barak zażądał stu krążowników, które obiecała Talia w ramach pomocy deklarowanej w razie zagrożenia Układu. Rozmowy z ramienia Talii prowadził Jaar. Vandegar nie chciał się zgodzić na takie warunki.

– To nie jest konflikt Układu. Dotyczy wewnętrznych spraw Dorian, w które nie mogę się wtrącać. To pogwałciłoby postanowienia Układu.

– Dorianie zaatakują Nową, na której znajduje się sztab Układu. Jest teraz zagrożony, a flota Elian przyleci dopiero za kilka miesięcy.

Jaar zastanawiał się długo. Dla Talii lepiej by było, gdyby Układ się rozpadł. Talianie mieli technologię zbliżoną do eliańskiej i długo mogliby się bronić, a może nawet zdołaliby wygrać ewentualną potyczkę. Wiedział, że Układ wcześniej czy później poskromi krewkich Dorian, a wtedy zażąda wyjaśnień w kwestii nieudzielenia pomocy. Co gorsza, może potraktować to jako zdradę i najechać Talię. Ataku czterech cywilizacji planeta na pewno nie wytrzyma. Samym Elianom może by się oparła, ale leci tu dwadzieścia ziemskich i dwieście kiliańskich statków z ziemską technologią. To by wystarczyło, by zniszczyć Talię. Do tego w drodze były statki Zento-Paka, który na pewno chciałby odebrać zdobycze uzyskane na mocy Układu.

– Dostaniesz dziesięć krążowników i ani jednego więcej. To będzie wkład Talii w obronę Układu.

– Dziesięć to za mało, spodziewałem się stu! Talia ma ich ponad tysiąc!

– Tak, ale one są w drodze, a ty potrzebujesz ich natychmiast.

– Dorianie mają ponad trzysta krążowników. Ja muszę zebrać przynajmniej osiemdziesiąt.

– To wykluczone! Nie mogę zostawić Talii bez osłony. Nie wiemy, czy Dorianie nie wydzielili części floty, żeby zaatakować naszą planetę tylko po to, by nie mogła udzielić pomocy Układowi. Ja bym tak zrobił. Znaj jednak moje poświęcenie. Dorzucę jeszcze dziesięć krążowników. Nie jestem z kamienia i wiem, że każdy okręt się liczy.

– Słuchaj, Jaarze, masz tutaj ponad sto krążowników. Stoją tylko i rdzewieją. Dostaliście nową technologię, ale nie sprawdziliście jej w walce i tak naprawdę nie wiecie, jak się jej używa. Potraktuj tę wyprawę jako ćwiczenia w szkoleniu załóg. Takie doświadczenie będzie cennym sprawdzianem broni.

– Nie da rady! Nie dostaniesz nic więcej.

Barak podszedł do okna statku i zapytał:

– Jaarze, widzisz tę gwiazdę?

– Tak, to Zapata. Należy do Dorian.

– Daj mi jeszcze dziesięć krążowników, a ten układ gwiazdny stanie się własnością Talii.

Będzie to odszkodowanie za wkład w obronę UPC.

Jaarowi aż oczy się zaświeciły. To był najbliższy doriański układ. Znajdowało się w nim kilka ciekawych planet. Miał złą reputację. Kilka razy Talianie próbowali zająć ten układ siłą, ale statki za każdy razem były niszczone. Dopiero niedawno dowiedzieli się, że stacjonuje tam krążownik doriański i strzeże granic imperium przed obcymi statkami.

– Dobrze, dostaniesz następną dziesiątkę, ale nasze porozumienie musi zostać spisane.

Szybko sporządzono i podpisano odpowiedni dokument.

Gdy już się żegnano, Barak powiedział:

– Wiesz, Jaar, dobrze by było, żebyś wysłał na Dorię dwadzieścia krążowników. Wiem, że Mej-Gat zajął ją i pozostawił tam tylko kilka okrętów praktycznie bez obsługi. Dużo Dorian zginęło przy zdobywaniu planety. Szybko byś zrobił porządek i zyskałbyś miano wyzwoliciela. Dorianie na pewno nigdy by ci tego nie zapomnieli. Zostałbyś ich bohaterem.

– To nie jest zły pomysł. Wróg nie spodziewa się nas tam – powiedział Jaar. – Aha, zajrzyj po drodze na Wenus II i zostaw tam mały garnizon. Będziemy ci wdzięczni. I jeszcze jedno: jak będziecie w układzie Zapaty, przegoncie stamtąd krążownik doriański, który jest wierny jeszcze staremu rządowi imperialnemu. Stoi przy czwartej planecie tego układu. Zento-Pak nie odwołał go, bo był zajęty odbudową Dorii. Uznał, że dla jednego nieposłusznego kapitana nie będzie wysyłał kilku potrzebnych planecie statków. Zresztą Zapata jest teraz wasza. Zrobicie, jak zechcecie.

Jaar natychmiast wysłał dwadzieścia krążowników w kierunku Wenus II i na Dorię. Do systemu Zapaty poleciała następną dziesiątką okrętów.

Bardziej od Jara zadowolony był Barak, który wytargował trzydzieści krążowników, ale zmusił Jaara do zaangażowania następnych dwudziestu do oczyszczania terytoriów Dorian z buntowników.

Na Wenus II po odlocie statków eliańskich nadleciały statki Mej-Gata. Po stwierdzeniu nieobecności wroga w pobliżu planety i układu gwiazdznego osiem okrętów pozostawiono na orbicie, a reszta w liczbie dziewięćdziesięciu sześciu ruszyła w kierunku Nowej. Na Wenus II szybko uporano się z doriańską strażą, która niemal nie stawiała oporu. Zajęto kilka niestrzeżonych osiedli. W większości były to osiedla należące do rodzin więźniów i strażników doriańskich. Garstkę więźniów uwolniono i zabrano na okręty. Większość nie chciała opuszczać swych domów i rodzin. Strażników doriańskich zapędzono do ciężkich robót, by poczuli smak kajdan i niewoli. Nikt nie zginął podczas zajmowania planety. Tak nakazali Dorianom opuszczający ich Elianie. To było jedyne zwycięstwo wojsk Mej-Gata nieokupione wysokimi stratami. Najgorzej mu poszło, jak mówił, przy zdobywaniu macierzystej planety. Nie dość, że musiał zabijać rodaków, bombardować własną planetę, to jeszcze stracił osiem krążowników, tysiąc sześćset pięćdziesiąt myśliwców i pilotów oraz trzydzieści dwa tysiące Dorian przy ataku naziemnym. Lecąc w kierunku Nowej, łudził się, że rodacy z czasem zapomną, iż atakował własną planetę. Od samego początku szło mu nie tak, jak zaplanował. Myślał, że Dorianie powitają go jak zbawcę i wyzwoliciela, a stało się zupełnie odwrotnie.

Przeklęli go na wieki, nazwali zbrodniarzem i mordercą. Jeden ze skazanych na śmierć członków rządu powiedział, że Mej-Gat będzie od tej pory symbolem zdrajcy i mordercy własnego gatunku. Złe wieści nadeszły też od floty lecącej na Nową. W pułapce straciła trzydzieści pięć krążowników, a więc trzydzieści procent stanu, a nie zestrzeliła nawet jednego myśliwca.

Do zasadzki przy szóstej sondzie do statków dołączyły eliańskie krążowniki i reszta floty Zento-Paka. Łącznie zgromadzono trzydzieści cztery krążowniki przeciwko nadlatującym sześćdziesięciu jeden statkom Mej-Gata. Tylko eliańskie okręty były wyposażone w torpedy trytowe, z których Zyga rozkazał korzystać niezwykle oszczędnie. Obserwowano radary rejestrujące nadlatujące statki. Za każdym takim raportem sonda milkła na zawsze. Gdy flota Mej-Gata poleciała do szóstego nadajnika, nastąpił atak torpedowy w sześciu miejscach naraz. Potężne eksplozje rozrywały statki doriańskie, a inne fala uderzeniowa bezwładnie rzuciła w kosmos. Zanim Dorianie zdążyli pozbierać się po tym ataku, nastąpił następny. Wszystkie statki Układu uderzyły na zaskoczoną flotę Mej-Gata. To, co się wtedy zdarzyło, przeszło do historii wojen jako masakra przy szóstej sondzie. Gdy pozostały tylko dwa statki, Zyga natychmiast nakazał odwrót. W jednej chwili na polu bitwy przebywały jedynie dwa całe okręty i dziesiątki wraków z floty. Minutę później na miejsce niedawnej potyczki nadleciało sto pięćdziesiąt krążowników doriańskich z wielkim Cyrato na czele. Zyga obserwował lot tej floty na skanerach, dlatego zarządził natychmiastowy odwrót.

Mej-Gat nakazał niezwłoczną pomoc ratunkową dla załóg w uszkodzonych krążownikach. Nagle przed dziobem doriańskiego kolosa stanęły trzy eliańskie okręty i wystrzeliły torpedy trytowe. Potem natychmiast zawróciły i uciekły. Trzy eksplozje tuż przed Cyrato targnęły kosmosem. Mimo że atak wymierzony był głównie przeciwko wielkiemu statkowi, cztery najbliższe krążowniki doriańskie nie wytrzymały fali uderzeniowej i zostały rozerwane. Ciężko uszkodzone zostały też inne statki, a przede wszystkim te biorące udział w akcji ratunkowej. Wyłączyły swoje pola siłowe, by przyjmować rozbitków na swoje pokłady. W sumie po tym ataku Mej-Gat stracił następne siedem krążowników i setki statków ratowniczych z załogami oraz uratowanymi Dorianami z rozbitych okrętów. Samemu Cyrato, który oberwał najmocniej, nic się nie stało. Stracił trzy emitery pola siłowego, ale natychmiast włączyły się zapasowe. Sam Mej-Gat odczuł potężną eksplozję torped trytowych i zobaczył efekt ich siły uderzeniowej. Myślał, że to już koniec walki przed dotarciem na Nową, ale znowu się pomylił. Doriańska flota Zento-Paka, widząc manewr eliańskich statków, zawróciła i z furią natarła na Cyrato. Po drodze rozerwała blokujące atak dwa krążowniki ochrony kolosa. Trzydzieści doriańskich okrętów jednocześnie odpaliło lasery i skupiło ogień na Cyrato. Żaden statek nie wytrzymałby takiego ostrzału. Cyrato wciąż korzystał z zapasowych emiterów pól siłowych. Pozostałe krążowniki doriańskie, widząc atak na dowódczy okręt, ruszyły mu na ratunek. W eskadry nadlatujących statków trzy eliańskie maszyny wystrzeliły torpedy trytowe. Nowe błyski rozświetliły kosmos. Następne okręty zostały rozerwane, co powstrzymało pomoc dla atakowanego Cyrato. Widząc to, Mej-Gat wydał rozkaz:

– Zniszczyć eliańskie statki.

Doriańskie krążowniki otworzyły ogień z daleka i pierwsze czerwone lasery uderzyły w eliańskie okręty. Ostrzał ten jednak nie był zbyt celny i groźny. Potężne lasery Cyrato zniszczyły osłony eliańskiego krążownika. Zyga krzyknął:

– Odskakujemy natychmiast!

Laser z giganta przebił eliański statek na wylot. Natychmiast wyleciały z niego myśliwce i statki ewakuacyjne z załogą, jasne było, że krążownik nie wytrzyma następnego trafienia. Chwilę później statek rozleciał się w obłoku ognia.

– Zebrać rozbitków! – krzyknął Zyga. – Rozpocząć odwrót!

Gdy drugi z eliańskich statków zbierał rozbitków, doriańskie krążowniki ostrzeliwały kolosa i swoim polem siłowym ochraniały zbieranie rozbitków. Cyrato nie przestawał strzelać. Zanim zniknęły ostatnie statki, dwa doriańskie krążowniki z floty Zento-Paka zostały zniszczone. Zyga był już pewny, że Mej-Gat nie ma urządzenia do śledzenia okrętów ukrytych w polu siłowym. Wziął dziesięć krążowników, w tym jeden eliański, i obleciał pole bitwy z drugiej strony. Torpeda wstrzelona w środek eskadry będącej na samym końcu floty Mej-Gata od razu zniszczyła dwa statki, a inne uszkodziła na tyle, że ich pola siłowe opadły lub osłabły i okręty stały się widoczne. Na te osłabione jednostki posypały się celne serie z laserów. Następne eksplozje rozświetliły kosmos.

Gdy cała eskadra została zniszczona, Zyga obleciał flotę z drugiej strony, ale statki Mej-Gata stały w miejscu, więc trudno było coś zobaczyć. Nie chciał strzelać na ślepo, bo w ten sposób zdradziłby swoją pozycję. Nakazał odwrót w kierunku Nowej.

Mej-Gat był dumny ze swojego statku, który oparł się nawet niszczącej broni Ziemi. To były jedyne dobre wiadomości, które usłyszał. Wiedział, że jego flota poniosła dzisiaj ogromne straty. Liczby nie kłamały. Przy trzech straconych statkach wroga jego flota straciła sto dwadzieścia dziewięć krążowników i tysiące Dorian w myśliwcach oraz podczas ataku na Dorię. Dopiero kilka godzin później nadeszły dobre wiadomości. Flota lecąca na Wenus II bez strat własnych zdobyła panowanie nad kolonią i w liczbie dziewięćdziesięciu sześciu okrętów leciała na Nową. Mej-Gat postanowił połączyć obie armie. Jeden czy dwa dni zwłoki nie uratują Układu przed zagładą.

Tymczasem Zyga zebrał już okręty i ustawił je w szyku bojowym. Dostał też wiadomość od Baraka, że ten prowadzi trzydzieści krążowników taliańskich, ale przybędzie dopiero za dwa dni. Zyga nakazał im przyspieszyć, ponieważ mogliby spóźnić się na zabawę. Z obrony Nowej wycofał ziemskie myśliwce oraz dwa eliańskie i jednaście doriańskich, wyposażonych w ziemską technologię. Analizując z Urkiem założenia strategiczne wroga, doszli do przekonania, że Mej-Gat chce zdobyć Nową, a to tylko planeta i kilkaset zabudowań. Liczą się przecież jedynie istoty żywe, które Układ mógł ewakuować. Wróg będzie się starał zniszczyć flotę UPC jednym uderzeniem. Zapora w obronie planety nie na wiele się zda.

– Ten kolos to twardy orzech do zgryzienia. Do tego kilkaset krążowników.

Zyga nie chciał tracić floty w bezsensownej walce. Uznał, że najlepiej będzie odciągnąć

wroga, atakując go ze wszystkich stron.

Pod koniec następnego dnia wykryto zbliżającą się powoli flotę Mej-Gata. Z przodu leciało dwanaście krążowników, a zaraz za nimi olbrzymi Cyrato. Potem inne statki w różnej odległości, w formacjach po dwanaście sztuk.

Spodziewano się ataku na Nową, dlatego niemal wszystkich mieszkańców planety przeniesiono do schronów w górach. W osadzie zostawiono kilka rodzin doriańskich, które uważały, że Dorianie nie zrobią im krzywdy.

Odkrywca od kilku godzin śledził poczynania obrońców i nie ujawniał się. Admirał czekał, aż nadleci ostatni statek z jego floty, najwolniejszy Przyjaciel i, który miał dotrzeć za kilka godzin. Anderson miał do dyspozycji Odkrywcę, Prometeusza, Europę, Alabamę, Syriusza, krążownik typu taliańskiego, a także potężne: Australię i Kopernikusa, okręty typu doriańskiego. Wszystkie statki w czasie drogi powrotnej na Nową pokryto cienką warstwą trytu. Teraz w blasku gwiazdy świeciły jak ona. To było dobre posunięcie, ponieważ stojące w koronie słońca statki były zupełnie niewidoczne – zlały się ze słońcem. Poza tym kto patrzy nieuzbrojonym okiem na gwiazdę? Pojawienie się w środku bitwy ziemskich statków na pewno wpłynie destrukcyjnie na walczących Dorian, którzy bez wątplenia znają z przekazów filmowych sposoby walki Ziemian i samego Odkrywcę.

Admirał postanowił pozostać w ukryciu. Tylko Urkowi dał znać, że przybył. Sam wsiadł do myśliwca, biorąc ze sobą tylko IPS, choć to bardziej indywidualny kamuflaż niż pole siłowe. Ukrytym myśliwcem wleciał do groty, która była zarazem hangarem dla myśliwców. Tam mieli wstęp tylko upoważnieni piloci i obsługa techniczna. Gdy admirał tam dotarł, nikogo nie zastał. Wylądował spokojnie i cicho. Wyszedł z myśliwca, który niewiele różnił się od stojących tam maszyn. Wszyscy szykowali się do obrony. Włączył IPS i poszedł do pomieszczeń mieszkalnych. Po drodze nikogo nie spotkał. Potem ruszył do większej groty, gdzie kręciło się sporo istot, i to wszystkich ras. Rozmawiały między sobą i nosiły coś czy też pakowały sprzęt i broń. Z daleka zauważył małą postać Elianina. Szybko wzrokiem podążył za istotą, która właśnie otworzyła inne drzwi i znikła za nimi. Admirał, mijając postacie, szybko dotarł do drzwi i nacisnął klamkę. Niespodziewanie znalazł się w prywatnych pomieszczeniach Urka. Bella była w drugim pomieszczeniu, a Elianin, stojący do niego plecami, nagle się odwrócił. Admirał wyłączył IPS.

– O, to pan, admiral – zdziwił się Urko, ale widać było, że cieszył się z tego spotkania.

– Tak, to ja. Prowadzę naszą flotę. Widzę, że szykujecie się do obrony Nowej, ale chcę, byś przeniósł się na Sokoła. Ty najlepiej wykorzystasz go w walce. Sam go projektowałeś i wiesz, co potrafi.

– Poczekaj, pokażę ci moją córkę Geę.

Urko nie mógł się powstrzymać. Musiał pochwalić się dzieckiem.

– Tak, jest bardzo piękna, zupełnie jak jej matka, ale naprawdę musimy się spieszyć.

– Dobrze, tylko pożegnaj się z żoną. – Urko wszedł do drugiego pomieszczenia, gdzie była Bella. – Muszę już lecieć. Wszystko ci opowiem, jak wrócę.

- Wiem, że musisz iść na wojnę. Tylko proszę, nie daj się zabić.
- Nie obawiaj się. Jestem pewny zwycięstwa jak nigdy dotąd.
- Nie wiem, skąd bierze się twoja pewność siebie, ale wierzę ci.

Zza drzwi usłyszał głos admirała:

- Urko, pożegnaj się, zdaj dowództwo obrony i lecimy.

Elianin przez nadajnik powiedział coś do mikrofonu i chwilę potem lecieli w kierunku najbliższej gwiazdy. Gdy dotarli na Odkrywcę, Urko zaczął witać się ze znajomymi oraz z Teą, żoną admirała, a także ich trzyletnim synem Adamem. Tea, ucieszona z widoku Urka, o którym wiele słyszała, zdążyła tylko zapytać, jak się miewa jego żona. Elianin, ciągnięty niemal na siłę przez admirała, wspominał jedynie, że Bella i Gea, jego córka, mają się dobrze. Tea nie była zbyt zadowolona, że mąż tak szybko zabrał pierwszego gościa i nie mogła niczego się dowiedzieć. Wiedziała, że szykuje się bitwa, ale niewiele z niej rozumiała. Tak na dobrą sprawę nie bardzo chciała o niej słuchać. To była wojna domowa, a takie zawsze są okrutne.

Admirał spieszył się, bo wróg był blisko, a Talianie jeszcze nie przylecieli. Admirał dowiedział się właśnie, że Dorianie zbudowali superkrążownik, któremu trzy torpedy trytowe odpalone naraz nie zrobiły żadnej krzywdy. Dobre wieści były takie, że właśnie nadleciał Przyjaciół i i flota została skompletowana.

– Urko, wyślij meldunek do Baraka, że ma dolecieć do floty Zygi i stanąć przy nim. Ty weźmiesz ziemską flotę i ustawisz pomiędzy armią Dorian a gwiazdą, tak by promienie słoneczne i odbijały się od kadłubów statków i raziły celowniczych wroga.

– Jak to raziły?

– Nie martw się o to.

– A pan co będzie robił?

– Uderzę na giganta doriańskiego.

– Sam nie da pan rady. Trzydzieści doriańskich krążowników nie zdołało go zniszczyć.

– Spokojnie, Urko. Nawet nie wiesz, co potrafi moja flota. Dni kolosa są już policzone, tylko Mej-Gat jeszcze o tym nie wie. Jak zaatakujesz, krzyknij do mikrofonu: „Ziemia! Ziemia!”. To będzie hasłem do ataku dla mojej floty.

Do rozpoczęcia bitwy zostało kilka godzin. Dorianie zbliżali się powoli. Strzelając laserami, starali się zlokalizować miejsce postoju floty Układu. Statki UPC były jednak dobrze ukryte, a cisza w eterze, nakazana przez dowództwo, sprawiała, że okrętów nie dało się wykryć.

Tymczasem flota taliańska szybko zajęła system Zapaty i unieszkodliwiła stojący tam krążownik doriański. Potem pełnym ciągiem silników wleciała w układ gwiazdny, gdzie orbitowała Wenus II. Statki doriańskie nie broniły się, ponieważ przebywało na nich tylko dziesięć procent personelu – reszta odpoczywała na plażach jeziora na powierzchni planety. Szybko przywrócono dawny porządek. Uwolniono strażników Zento-Paka wtrąconych do więzienia. Uwięziono natomiast strażników pozostawionych przez Mej-Gata. Ludności cywilnej przykazano, by była posłuszna pozostawionym tam Dorianom, zwolennikom Zento-Paka. Nikt nie zginął w trakcie zmiany władzy na Wenus II. Dla bezpieczeństwa

pozostawiono mały garnizon Talian, którzy w wolnym czasie mieli szkolić się przy obsłudze zdobytych krążowników doriańskich. Po przylocie w okolice Dorii Talianie szybko zorientowali się, że tutaj też nie powalczą. Zajęli poprzez desant sześć niemal pozbawionych załogi krążowników. Dorianie z tych statków pełnili funkcję policji na planecie. Cztery z sześciu statków zabrali na Talię, a dwa pozostawili dla Zento-Paka. Na Dorii szybko przywrócono dawną władzę i aresztowano zwolenników Mej-Gata. Uwolniono dziesiątki aresztowanych polityków z poprzedniego rządu i udzielono wszelkiej pomocy mieszkańcom planety. Aresztowanych popleczników Mej-Gata wysłano pod eskortą na Wenus II. Większość mieszkańców Dorii była już zmęczona rządami popleczników Mej-Gata i szybko ich obalono. Policja zdrajcy została rozbrojona i zamknięta. Po opanowaniu sytuacji rozesłano wiadomość we wszystkich kierunkach, że taliańska flota opanowała Wenus II i przywróciła na niej poprzedni ład, a zdrajców aresztowano. Powiadomiono też, że wyzwolono Dorię i uwięziono buntowników oraz ich popleczników, a władzę przejął poprzedni rząd. Talia udzieliła mu wszelkiego poparcia i pomocy. Wiadomość o wydarzeniach na Wenus II i Dorii admirał i Mej-Gat otrzymali jednocześnie tuż przed samą bitwą. Anderson był zadowolony z poczynań Talian. Nie spodziewał się po nich takiego zaangażowania. Dobrą robotę wykonał tu Barak, który trafił do tej rasy, oferując jej łatwe zdobycze. Tak też się stało.

Mej-Gat tymczasem ryczał ze wściekłości. Wyzywał swych oficerów za niekompetencję i zdradę. Obiecał, że po pokonaniu floty Układu Doria i Talia spłyną krwią. Zwłaszcza Talia, która obiecała brak ingerencji w konflikcie z Układem. Mej-Gat, pewny zwycięstwa i potęgi swojego statku, uważał, że UPC ma tylko trzydzieści, może czterdzieści statków i nawet w frontalnym ataku nie potrafiłby uszkodzić jego kolosa. Gdy był już blisko Nowej, kazał dwóm krążownikom z czołowej eskadry zaatakować i zniszczyć osadę Układu na planecie. Nie spodziewał się oporu. Myślał raczej, że osada została ewakuowana i stoją w niej tylko puste domy.

Admirał Anderson nie mógł teraz zaatakować. Nie chciał, by za wcześniej zaatakowana flota rozproszyła się.

Wówczas trzeba by ścigać ją miesiącami. Chciał zniszczyć siły wroga w jednej bitwie. Musiał pozwolić na ten atak. Wiedział, że planeta jest dobrze broniona i dwa krążowniki to dla niej żadne zagrożenie.

Okręty podleciały blisko atmosfery i zaczęły wypuszczać dziesiątki myśliwców. Wtedy odezwało się działo plazmowe. Pierwszy strzał i od razu trafienie. Kula plazmy przeszła przez krążownik w najgrubszym miejscu, doprowadzając do dziesiątek pomniejszych eksplozji. Już było wiadomo, że statek jest stracony. Z trafionego krążownika zaczęły wylatywać myśliwce i kapsuły ratunkowe, a sam okręt stracił sterowność i powoli zaczął zbliżać się do atmosfery pod wpływem jej ciężenia. Eksplozja statku rozerwała go na strzępy. Jego resztki spłonęły w górnych warstwach atmosfery. Chwilę później i drugi krążownik został trafiony z działa. Tym razem niemal wszystkie myśliwce zdołały opuścić statek. Gdy tylko myśliwce i kapsuły ratunkowe z ostatnimi żyjącymi członkami załogi drugiego krążownika ewakuowały się, okręt

ekspłodował. Sześć tysięcy pięćset sześćdziesiąt myśliwców i kapsuł ratunkowych wyleciało z obydwu statków. Przy takiej liczbie maszyn znalezienie tak dużego działa jak działo plazmowe było tylko kwestią czasu. Obsługa nastawiła działo na ostrzał ciągły w tysiące myśliwców. Urządzenie strzelało samoczynnie, a obsługa wycofała się bezpiecznie. Działo wypaliło jeszcze piętnaście razy, niszcząc kilkanaście myśliwców, a potem zamilkło z powodu wyczerpania się ładunków plazmowych. Chwilę później odnalezione przez wrogie maszyny zostało zniszczone. Piloci myśliwców, robiąc zwiad, zauważyli, że osada jest opuszczona. Kilka kilometrów dalej zauważyli dym z komina jednej chaty. Były to domki osadników doriańskich, którzy nie chcieli opuścić swych domów, bo uważali, że rodacy nie zrobią im krzywdy. Sześć myśliwców wylądowało niedaleko zabudowań. Trzech pilotów, uzbrojonych w ręczną broń, skierowało się do jednego z domów. Weszli do chaty. Trzydziestoletni Dorianin przywitał ich tak, jak wita się gości. Został brutalnie pobity i wyrzucony z domu. Z chaty wybiegła doriańska kobieta z dwoma płaczącymi chłopcami. Jeden miał osiem, a drugi dziesięć lat. Piloci kazali im stanąć pod ścianą domu. Padły cztery strzały z pistoletów laserowych. Ciała padły na ziemię. Jeden z pilotów wrzucił do chaty granat zapalający. Drewniany domek stanął w płomieniach.

W drugiej chatce, oddalonej o sto pięćdziesiąt do stu osiemdziesięciu metrów, mieszkała inna doriańska rodzina, która przez okna widziała całe zajście. Oglądając tamte wydarzenia, doznała szoku. Mąż i ojciec dwojga dzieci wiedział, co go czeka, jeśli nic nie zrobi. Nie zastanawiał się długo. Wyciągnął ukrytą broń. Jeden z karabinów podał żonie, mówiąc:

– Nie płacz, tylko dobrze celuj do tego będącego bliżej.

Dwa strzały padły niemal jednocześnie i dwóch Dorian upadło na ziemię. Trzeci zorientował się w sytuacji i natychmiast zaczął biec w stronę myśliwców. Padł jeszcze jeden strzał i ten pilot osunął się na ziemię. Dorianin przypomniał sobie, że widział sześć myśliwców. Zaczął przekradać się opłotkami w kierunku, gdzie wylądowały maszyny. Zauważył z dala trzech rozmawiających pilotów. Wymierzył i strzelił. Usłyszał jednak dwa strzały i dwóch pilotów padło na ziemię. Trzeci, nie patrząc na nic, pobiegł szybko w stronę swojej maszyny. Wsiadł za stery i wyleciał pionowo w górę. Za pojazdem gęsto padały strzały.

Osadnicy strzelali, dopóki myśliwiec niemal nie zniknął im z oczu wysoko w górze. Wiedzieli, że muszą uciekać, ponieważ pilot na pewno zawiadomi swoich o zabiciu jego kolegów. Nagle ryk myśliwca, który wzbijał się w górę, ustał, a maszyna zaczęła gwałtownie spadać. Myśliwiec z impetem uderzył o ziemię i co ciekawe, nie eksplodował. Dorianie podeszli do zniszczonej maszyny i zrozumieli wszystko. Pojazd miał kilka przestrzelin z lasera. Na pewno trafienie w zbiornik paliwa sprawiło, że płyn wyciekł. To uratowało im życie, bo dało czas na ucieczkę.

Jeden z osadników był pilotem. Kobietom i reszcie osadników kazał zakopać ciała Dorian, a sam ukrył myśliwce kilka kilometrów w głębi lasu. Wrócił i swój zaparkował w zabudowaniach gospodarczych spalonej farmy. Koloniści przez radio powiadomili innych osadników o tym, co spotkało jedną z rodzin. Wiadomość ta zmroziła krew w żyłach pozostałych mieszkańców planety, którzy, nie czekając na nic, pochowali się w lesie uzbrojeni

po zęby, gotowi walczyć z każdym o własne życie.

Tymczasem Mej-Gat, gdy dowiedział się, że dwa krążowniki zostały zestrzelone przez działą plazmowe obrońców, wysłał tam cztery następne statki, by dokonały ataku na osadę i zniszczyły wszystko, co znajdują. Okręty te jednak nie zbliżyły się do planety. Piloci obawiali się ataku z dział plazmowych. Z dalekiej orbity wypuszczono myśliwce do natarcia na osadę. Do sześciu i pół tysiąca myśliwców z dwóch pierwszych krążowników doleciało jedenaście tysięcy z czterech przybyłych statków. Pierwsza grupa myśliwców przeszukiwała tereny wokoło osady w poszukiwaniu wroga. Myśliwce te były rozproszone po dużym terenie. Sytuację zauważyli obrońcy. Wtedy nastąpiło natarcie myśliwców Zento- – Paka. Nagły skomasowany atak przyniósł spodziewane efekty. Dorianie Mej-Gata nie spodziewali się tak silnej obrony i przylotu tylu myśliwców. Mieli przewagę liczebną, która przez ich zaskoczenie szybko stopniała i przestała istnieć.

Rozpoczęła się gonitwa i niszczenie myśliwców Mej- – Gata. Nadlatujące właśnie cztery krążowniki nie mogły udzielić skutecznej pomocy. Były za daleko od bitwy. Kilka maszyn Mej-Gata zawróciło w kierunku nadlatujących okrętów, ale za nimi poleciało kilka myśliwców Zento- – Paka. Niczym nieróżniące się od siebie szturmowce wleciały do hangarów krążowników. Nagle myśliwce zaczęły ostrzeliwać wnętrza okrętów laserami i raketami. Po dokonaniu zniszczeń wewnątrz statków wyleciały z hangarów i przeleciały obok krążowników. Ostrzelały niewralgiczne miejsca okrętów, czyniąc je praktycznie bezużytecznym złomem. Zniszczone zostały przede wszystkim silniki, które teraz groziły eksplozją. Zarządzono ewakuację i dziesiątki kapsuł wylądowały na planecie.

Mej-Gat, gdy dowiedział się o walce i zlikwidowaniu sześciu krążowników, wpadł we wściekłość i wysłał pozostałe sześć okrętów. Nakazał pilotom zniszczyć życie na Nowej.

Na planetę właśnie dotarła druga fala myśliwców wroga. Nad osadą nikt do nich nie strzelał. Z góry zniszczono większość budynków w osadzie i w okolicy. Gdy nie napotkano wroga, kilkaset myśliwców wylądowało, by przeszukać zniszczone zabudowania. Niczego nie znaleziono. Po godzinie piloci usłyszeli przez radio, że przybyłe im na pomoc krążowniki zostały zaatakowane i zniszczone przez ziemskie myśliwce. Gdy nadleciały okręty doriańskie, opuściły osłony, by mniejsze maszyny mogły wylecieć. Na ten moment czekało osiem myśliwców ukrytych w polu siłowym białej kuli – jeden ziemski i siedem doriańskich, wyposażonych w torpedy trytowe i czerwone lasery. Cztery pociski wystrzelone w kierunku statków leciały spokojnie w kierunku niczego niespodziewających się Dorian. Cztery błyski wokół planet świadczyły o zniszczeniu floty inwazyjnej. Mej-Gat, widząc te błyski, nic nie powiedział. Znał już ziemską broń i jej siłę rażenia. Wiedział, że stracił całą eskadrę i nie zdobył Nowej. Widząc błyski w kosmosie, piloci myśliwców starali się opuścić planetę w nadziei, że któryś z krążowników ocalał i ich zabierze. Będąc już wysoko nad planetą, nagle zobaczyli potężny błysk, a fala uderzeniowa porozrywała ich stateczki. Inne, które nie zostały zniszczone od razu, spadały szybko, pchnięte siłą towarzyszącą wybuchowi i dodatkowo ściągane grawitacją planety. Piloci, którzy stracili przytomność, nie mieli żadnych szans na

przeżycie.

Niektóre myśliwce nie zdołały jeszcze wystartować. Zostały zaatakowane przez cztery tysiące maszyn doriańskich, należących do floty Zento-Paka. Na nowo rozgorzała walka, ale nie była równa. Z załóg jedenastu tysięcy myśliwców atak torped przeżyło około dwóch tysięcy pilotów. To właśnie na nich uderzyły maszyny Zento-Paka. To była prawdziwa masakra. Piloci nie mieli litości nad krajanami, ponieważ wiadomość, jak zachowali się najeźdźcy wobec kolonistów, dotarła do wszystkich. Nawet Mej-Gat o tym usłyszał.

Po zniszczeniu sześciu krążowników część myśliwców startujących z tych krążowników siłą fali uderzeniowej została odepchnięta daleko w przestrzeń kosmiczną. Gdy piloci powoli odzyskiwali przytomność, stwierdzili, że już nie dotrą do planety – była za daleko. Kilkanaście myśliwców utworzyło eskadrę i zaczęło wzywać pomocy. Najbliżej nich był Cyrato. Mej-Gat odebrał wiadomość. Piloci doriańscy nie zauważyli, że leci za nimi ukryty w polu siłowym myśliwiec pilotowany przez ochotnika – ziemskiego oficera, porucznika Jana Kanina. Zyga walczył na doriańskim krążowniku, więc żeby jego maszyna nie stała beczynną, poprosił Kanina, by walczył na nim w obronie Nowej. Porucznik Jasio, jak wołali na niego koledzy, nie wiedział, czy będzie mógł polatać podczas walki, będąc w ochronie Odkrywcy, dlatego szybko zgłosił się na misję, gdy tylko Zyga mu to zaproponował. Teraz cicho poruszał się za myśliwcami doriańskimi.

Mej-Gat, widząc z daleka samotne maszyny doriańskie, odpowiedział na ich wywoływania. Gdy zorientował się, kim są, kazał wpuścić ich do środka. W tym celu polecił wyłączyć jeden emiter pola siłowego tuż nad hangarem myśliwców. Lecący za Dorianami porucznik Kanin zobaczył kawałek kadłuba jakiegoś statku. Szczelina wskazywała wlot do hangaru. Przelatując pomiędzy polem siłowym a okrętem, zobaczył, że ów statek jest bardzo duży. O wiele większy od tych, które widział do tej pory. Ukryty w polu siłowym, niezauważony, przylgnął do korpusu statku i czekał na odpowiedni moment.

Doriańskie myśliwce wróciły na Nową, powiadamiając sztab, że ich dowódca zniknął w kosmosie.

Dwie godziny później nadleciała flota taliańska z Elianinem Barakiem na czele. Statki wyszły z kamuflażu. Łącznie było ich sześćdziesiąt sześć i siedem ziemskich, które miały uderzyć z innej strony. Zaraz po przylocie taliańskich krążowników zdarzyła się przykra historia. Zakamuflowany doriański okręt niespodziewanie otworzył ogień do dwóch najbliższych taliańskich statków. Atak był tak szybki i niespodziewany, że zanim zdążono zareagować, Dorianin uciekł. Statki taliańskie eksplodowały jeden po drugim w krótkim czasie. Nikt nie zdołał się uratować. Tym zdrajcą był Zyto-Bell, szpieg Mej-Gata.

Admirał Anderson był zły. Zyto-Bell, dowódca krążownika, znał założenia strategiczne Układu.

Pół godziny później Zyto-Bell meldował się na Cyrato Mej-Gatowi.

– Z czym przybywasz? Masz dobre wieści? – pytał zamachowiec.

– Niestety nie, admirale. Sytuacja jest zła. Będziemy musieli walczyć z Zento-Pakiem,

który ma trzydzieści trzy okręty i dodatkowo trzy eliańskie. Przybyło też trzydzieści taliańskich okrętów, siłą dorównujących naszym. Pojawiła się ziemska flota – ma zaatakować Cyrato w liczbie ośmiu statków różnej klasy, od szturmowca po krążownik typu doriańskiego, ale wyposażonych w ziemską technologię. Lecąc tutaj, zniszczyłem dwa taliańskie krążowniki, więc okrętów tego typu jest dwadzieścia osiem.

– Brawo! Dzielnie się spisałeś. Wieści nie są tak złe, jak mogłoby się wydawać. Dobrze zrobiłeś. Ziemianie chcieli mnie zaskoczyć, ale pomieszałaś im szyki.

– Teraz pozwól mi wrócić na mój krążownik i dołączyć do eskadry.

– Lepiej będzie, jak zostaniesz tu ze mną.

– Admirale! – krzyknął nawigator. – Zbliża się do nas jakiś statek!

– Jakiego jest typu?

– To ziemski niszczyciel – odparł tamten niepewnym głosem.

– A więc Ziemianie nas zaatakują i połamią sobie zęby – powiedział na głos Mej-Gat.

– Admirale, to Odkrywca. Nadaje do nas wiadomość.

„Do dowodzących zbuntowanej floty doriańskiej.

Poddajcie swój statek i flotę, to ocalicie życie. Mówi dowódca ziemskiej floty Układu Pięciu Cywilizacji Admirał Anderson”.

Po tych słowach Mej-Gat kazał wyjść z kamuflażu. Admirał po raz pierwszy zobaczył doriańskiego kolosa. Mej-Gat, pewny zwycięstwa, kazał nadać odpowiedź.

„Do dowódcy ziemskiej floty. To ja proponuję, byś się poddał, to może nie zabiję wszystkich twoich krajan i pozwolę im żyć na Nowej pod moim panowaniem”.

Admirał kazał wystartować swoim myśliwcom. Miały zatrzymać się za Odkrywcą i ponownie włączyć kamuflaż. Manewr ten zauważył Mej-Gat i też wypuścił swoje maszyny w liczbie tysiąca sztuk. Admirał włączył kamuflaż i przesunął się kilkaset metrów w bok, by zejść z linii strzału Cyrato. Mej-Gat zrobił dokładnie to samo. Stanęli niemal w tej samej odległości co przed tym manewrem.

Admirał otworzył kanał i podał umówione hasło: „Ziemia! Ziemia!” Na ten sygnał cała flota zaatakowała. W kosmosie zawrzało. Wprawdzie dzięki zdradzie Zyto- – Bella Dorianie wiedzieli, że to hasło do ataku, ale nie mieli pojęcia, kiedy admirał go użyje. Myśliwce ziemskie, dobrze ukryte w swoich polach siłowych, dziesiątkowały doriańskie maszyny, które, nie widząc wroga, mogły jedynie liczyć na łut szczęścia. Ostatecznie zaczęły ostrzeliwać przypadkowo same siebie. Mej-Gat otworzył ogień z czerwonych laserów w miejsce, gdzie poprzednio stał Odkrywca. Promienie przecięły pustkę. Wtedy nagle odezwały się bucuki alarmowe sygnalizujące zniszczenie czterech emiterów pola siłowego. To Odkrywca strzelił złotymi gwiazdami, które z łatwością przeszły przez pole siłowe Cyrato i przeszły przez w kadłub na wylot. Niestety Cyrato był wyposażony w tysiące grodzi, więc o rozszczelnieniu całego statku nie mogło być mowy. Mała średnica złotych gwiazd sprawiała, że kolos nie bardzo odczuł skutki trafienia. Włączyły się zapasowe emitery, a statek wykonał mały obrót wokół własnej osi, by nie powtórzono trafienia w to samo miejsce. Mej-Gat w poszukiwaniu

Odkrywcy zaczęli ostrzeliwać przestrzeń gęstym ogniem z setek laserów. Ziemiński okręt strzelił jeszcze raz. Złote gwiazdy znowu przebiły pancierz Cyrato, niszcząc następne emitery. Tym razem wyliczono kierunek, skąd mogły paść strzały po uszkodzonych emiterach, i ostrzelano tamten rejon. Szybko odkryto miejsce postoju Odkrywcy, ponieważ trafione pole siłowe zabłysło na chwilę. Strzelcy z Cyrato znali już kierunek. Zaczęli ostrzeliwać gęsto ten kawałek kosmosu. Następne trafienia w Odkrywcę podały jego pozycje jak na tacy. Statek Układu wypalił ze wszystkiego, co miał. Gdy strzelcy byli zajęci namierzaniem Odkrywcy, od drugiej strony nastąpiło potężne uderzenie ziemskiej floty. Sześć krążowników i niszczycieli natarło na czoło Cyrato. Dziesiątki złotych gwiazd ze statków i myśliwców odpalonych jednocześnie niszczyły pole siłowe przodu doriańskiego statku. Tylko kilka emiterów rezerwowych włączyło się na czas. Czerwone lasery cięły korpus Cyrato w kilkuset miejscach. Statek ten był jednak tak duży, że niemal nie odczuł uderzenia. Odezwały się czerwone lasery z Cyrato, które zaczęły trafiać w ziemskie maszyny. Mej-Gat zażądał od budowniczych statku, by dział laserowych były setki, a nawet tysiące. Pomimo uszkodzeń Cyrato odgryzał się i trafiał często. Alabama solidnie oberwała i wycofała się z ataku. Inne statki też odczuły skutki ostrzału, który gęstniał z minuty na minutę. Wtedy to z admirałem połączył się Jan Kanin, który obserwował bitwę od środka.

– Admirale – powiedział pilot – jestem w środku. Czy mogę odpalić trytówki wewnątrz kolosa?

Usłyszał:

– Odpal w środku, ale w połowie długości statku.

Myśliwiec oderwał się od korpusu Cyrato i przeleciał pod osłoną jego pola siłowego. Najpierw w środek statku wystrzelił złotą gwiazdę. Gdy wykonał w kadłubie otwór o średnicy metra, odpalił torpedę trytową z opóźnionym zapłonem, po czym szybko zawrócił, starając się być jak najdalej podczas eksplozji. Wybuch torpedy rozerwał Cyrato na dwie części. Pole siłowe zniknęło na chwilę, ale zapasowe emitery włączyły się znowu, korzystając z zapasowych źródeł zasilania. To był początek końca Cyrato. Zaczęła się pospieszna ewakuacja uszkodzonego statku. Grupa komandosów z Odkrywcy teleportowała się na poziom dowodzenia. Szybko zdobyła sterówkę i aresztowała Mej-Gata oraz innych oficerów. Ochrona nawet nie zareagowała. Ukryci w ips-ach komandosi bez problemu rozbili wartowników, którzy nie mieli pojęcia, skąd nagle na pokładzie znaleźli się Ziemianie. Nie zdążyli nawet zaalarmować dowództwa. Dlatego zaskoczenie było całkowite i obyło się bez ofiar. Gdy większość załogi opuściła uszkodzony Cyrato, w jego środku eksplodowały podłożone miny trytowe, które rozerwały obie części rozerwanego statku na drobne elementy. Tak zakończył się żywot największego okrętu, jaki miał okazję zniszczyć do tej pory Układ Pięciu Cywilizacji.

Tymczasem gdy Odkrywca walczył z Cyrato, Zyga z Zento-Pakiem i Talianami uderzyli na flotę doriańską. Zniszczono kilkanaście krążowników, ale przewaga liczebna była po stronie zbuntowanych Dorian, którzy, stojąc w pewnym oddaleniu od siebie, nie byli narażeni na nagły

atak na całą flotę. Po przegrupowaniu zaczęli się gęsto ostrzeliwać. Zyga podleciał do jednej z eskadr i wypuścił Sokoła. Statek podzielił się na trzy samodzielne człony i zaatakował wszystkie jednocześnie. Dorianie nawet nie wiedzieli, co ich atakuje, a małe rozmiary członów Sokoła sprawiły, że nie było możliwości trafienia go. Eksplozja za eksplozją rozświetlała kosmos i nie pomagało strzelanie na oślep. Urko był bezlitosny i nie dał eskadrze żadnych szans. Rozgrzanym polem siłowym po ostrzeleniu statku z laserów i złotych gwiazd przebijał osłabione pola siłowe doriańskich krążowników lub też już pozbawionych tych pól siłowych. Niszczył statki jeden po drugim. Wróg nie miał czasu na ewakuację. Nikt się nie uratował.

Zyga, mając możliwość śledzenia statków doriańskich, podawał ich położenie swojej flocie, która ostrzeliwała skupiska okrętów przeciwnika. Zlokalizowane miały niewielkie szanse na przetrwanie. Zyga kierował też swoją flotę w pobliże eskadr doriańskich i wystrzeliwał torpedę trytową pomiędzy jednostki wroga. Ta, eksplodując, niszczyła lub osłabiała pola siłowe krążowników doriańskich, na które zaraz sypały się strzały z laserów sprzymierzonej floty. Dorianie próbowali zlokalizować wroga. W tym celu wypuścili myśliwce, które miały za pomocą ostrzału znajdować ukryte statki sprzymierzonych. Gdy Zyga zrozumiał manewr Dorian, wystrzelił torpedę trytową. Pocisk zmiotł myśliwce raz na zawsze. Niemniej Dorianie zdążyli ostrzelać taliańskie krążowniki. Kilka nawet uszkodzili.

Wiele statków doriańskich nie wkroczyło jeszcze do bitwy, gdy nadeszła wiadomość, że Cyrato został zniszczony, a Mej-Gat trafił do niewoli. Eskadry zaczęły zmieniać swoje położenie i usuwać się z pola walki. Jeszcze nikt nie dał hasła do odwrotu, ale wielu o tym myślało. Żaden z buntowników nie miał odwagi tego zrobić. Nagle pojawiła się ziemską flotą. Statki różnej wielkości miały jedną wspólną cechę: wszystkie w blasku gwiazdy, odbijając jej promienie od swoich trytowych kadłubów, świeciły jak ona. Gdy zbliżyły się na niewielką odległość, otworzyły ogień do statków doriańskich, ufnych w swój kamuflaż i pole siłowe. Kiedy pierwsze eksplozje rozrywanych krążowników otrzęźwiły Dorian, starali się namierzyć nadlatujące ziemskie maszyny. Te jednak, odbijając światło gwiazdy, raziły oczy nawigatorów i celowniczych dział laserowych. Z drugiej strony uderzyły wszystkie statki Układu, ostrzeliwując seriami flotę Dorian. Buntownicy zrozumieli, że to koniec bitwy i trzeba jak najszybciej się z niej wycofać, bo inaczej czeka ich pewna śmierć. Ktoś krzyknął do mikrofonu:

– Odwrót!!!

Już każdy doriański statek starał się ująć z pola bitwy. Kilkanaście tych, które wybrały drogę obok floty taliańsko-doriańskiej, przedarło się przez atakujące je krążowniki, ostrzeliwując je solidnie. Okręty uciekające obok ziemskiej floty nie miały szans na ucieczkę. Żaden ze statków nie przedarł się przez zaporę ze statków admirała. Tylko Zyga na swoim krążowniku i Urko na Sokole mieli urządzenia do wykrywania krążowników. Niewidoczni, używali sobie do woli, dziesiątkując flotę Dorian.

Pół godziny później na polu bitwy oprócz uszkodzonych doriańskich krążowników i statków floty Układu nie było nic. Kilkanaście zbuntowanych okrętów uciekało w kierunku Dorii. Wtedy zameldowała się eskadra piętnastu krążowników taliańskich, które, wiedząc o

bitwie, starały się podleciec bliżej i zobaczyć wynik starcia. Admirał poinformował dowódców tych okrętów, że w ich kierunku ucieka z pola bitwy siedemnaście doriańskich maszyn. Talianie już wiedzieli o zdradzie Zyto-Bella i zniszczeniu ich dwóch krążowników. Dzięki podanym koordynatom i obliczeniu prędkości maksymalnych doriańskich okrętów udało się w odpowiednim miejscu i czasie utworzyć ścianę ognia z tysięcy myśliwców wypalających w kierunku Dorian. Manewr ten pozwolił wykryć niemal wszystkie uciekające krążowniki, które, nadziawszy się na ostrzał, stały się widoczne. Na ten moment czekały taliańskie statki. Natychmiast otworzyły gęsty ogień z czerwonych laserów. Zaskoczenie było całkowite. Dorianie najpierw zdziwili się, potem próbowali nawiązać walkę, ale Talianie byli dobrze ustawieni i przygotowani do starcia. Liczne eksplozje świadczyły o przewadze taktycznej członków Układu. Po zniszczeniu dziewięciu krążowników inne okręty zaczęły omijać Talian szerokim łukiem. Ci jednak nie dawali za wygraną i puścili się w pogoń za Dorianami. Zniszczyli jeszcze sześć krążowników, a z jednego uszkodzonego wzięto trzystu czterdziestu jeńców. Dwa statki uciekły. Powiadomiono krążowniki taliańskie stojące przy Dorii o zbliżaniu się do nich dwóch okrętów wroga.

Po euforii związanej ze zwycięstwem nastąpiły bardziej przykre momenty. Liczono zaginionych i zabitych. Pochowano bohaterów i rozprawiono się ze zdrajcami oraz głównymi oskarżonymi o spowodowanie konfliktu i wywołanie wojny domowej. Elianie stracili dwa krążowniki i prawie sześć tysięcy ich obywateli, Talianie – pięć krążowników i piętnaście tysięcy żołnierzy oraz pilotów, Dorianie Zento-Paka – siedem krążowników dwanaście tysięcy obywateli. W obronie planety zginęło dwustu trzydziestu pilotów w myśliwcach i kilkunastu osadników. Ziemianie ponieśli najmniejsze straty, ponieważ ucierpiała tylko Alabama. Straciło na niej życie siedemdziesięciu sześciu członków załogi, w tym dwudziestu dwóch ludzi. Pozostali zabici to Dorianie szkolący się w obsłudze ziemskich statków. Tylko Kilianie nie stracili ani jednego obywatela. Wszyscy zaangażowani w walkę przedstawiciele tej rasy byli na Przyjacielu i, który ani razu nie został trafiony. Przeciwnik nie marnował laserów na tak mały statek. Gdy zaatakowany przez tę niewielką jednostkę krążownik eksplodował, było za późno, by docenić potęgę niszczyciela.

Po bitwie wszystkich dowódców krążowników zaproszono na Odkrywcę, gdzie przedstawiono przebieg i przyczynę konfliktu. Zento-Pak oświadczył, że wielu Dorian nigdy nie włączyłoby się w konflikt przeciwko legalnemu rządowi Dorii, zostali jednak okłamani przez Mej-Gata i jego popleczników. Sami nie wystąpiliby przeciwko legalnej władzy. Wmówiono im, że Doria cierpi pod jarzmem zdrajców i agentów Układu. Gdy to wszystko okazało się nieprawdą, Cyrato, o którym mówiono, że jest nie do pokonania, został już zbudowany. Wielu uwierzyło w jego potęgę, a że będąc długo w kosmosie, nie znało prawdy o zmianach, jakie zaszły. Te osoby doszły do wniosku, że nie potrzebują żadnych zmian.

Dorianie zapłacili bardzo wysoką cenę za bunt. W statkach Mej-Gata zginęło ich ponad milion. Byli w większości młodzi i wykształceni. Ponadto planeta straciła setki statków, które mogły być wielką pomocą dla cywilizacji. Zniszczono też samą Dorii i wymordowano tysiące

jej mieszkańców.

Zento-Pak postanowił jak najszybciej wrócić na planetę, by zaprowadzić na niej ład i porządek oraz zwolnić Talian z obowiązku ochrony macierzystej planety. Na Nowej pozostawiono krążownik z załogą, która postanowiła się tam osiedlić. Zento-Pak obiecał, że dla typowo męskiej załogi okrętu sprowadzi Dorianki. Wiedział, że na Dorii z pewnością pozostało po wojnie wiele samotnych kobiet. W tego typu konfliktach giną przeważnie mężczyźni.

W pustych, a często zrujnowanych domach pozostają samotne kobiety, często z dziećmi. Rzeczywiście, kilka miesięcy później wiele Dorianek postanowiło ułożyć sobie życie na Nowej. Stały się obywatelkami tej planety. Tak też o nich mówiono. Wiele Dorianek przywiozło swoje dzieci, ale nikomu to nie przeszkadzało. Kobiety i tak cieszyły się powodzeniem wśród Ziemian, którzy woleli wychowywać cudze potomstwo, niż żyć samotnie.

Ziemskie statki wprowadzono na orbitę planety i członkowie załóg zostali kolonistami. Talianie też pozostawili do dyspozycji Układu jeden krążownik razem z całą załogą, której pozwolono się osiedlić. Dla nich również miano przywieźć ich rodziny z Talii. Reszta statków odleciała na swoje terytorium, po drodze zabierając okręty z Dorii i załogę garnizonu z Wenus II, gdzie wrócili Elianie. Talianie będą dobrze wspominać tę kampanię. Jaar dzięki wysłaniu floty zyskał sławę, a Talia otrzymała układ Zapaty i trzynaście wielkich doriańskich krążowników. Elianie zostawili sześćdziesięciu osadników. Mieli oni stworzyć odrębne osiedle. Reszta wróciła na Elię. Po drodze postawiła garnizon na Wenus II. Kilian, których było najmniej, traktowano na równi z innymi i szanowano za to, że żaden z nich nie zginął w czasie walki. Zyskali miano szczęściarzy.

Mej-Gata i Zyto-Bella oraz innych wysokich oficerów przewieziono na Dorię. Tam ich osądono i skazano za wywołanie wojny domowej i zniszczenie Dorii. Wyroki wykonano. Innych jeńców przewieziono na Wenus II, gdzie mieli odsiadywać długoletnie kary.

Osada, która do tej pory była głównym ośrodkiem Układu, przyjęła nazwę Osady. Od tej pory tak właśnie nazywała się stolica Nowej. Żaden z jej mieszkańców nigdy nie mówił o tym miejscu inaczej. Z dnia na dzień liczebność Osady wzrosła do dziesięciu tysięcy mieszkańców.

Trzy lata później na planetę dotarł następny ziemski statek – Jutrzenka – który dzięki spotkaniu w czasie podróży członków rasy Jattan zmodyfikował swoje silniki. Usłyszawszy wezwanie do przylotu na Nową, natychmiast obrał właściwy kurs. Jattanie od pięćdziesięciu lat przemierzali kosmos zahibernowani. Tylko sporadycznie, gdy komputer znajdował jakąś ciekawostkę na trasie statku, budził kilku członków załogi. Ci, oceniwszy znalezisko, budzili pozostałych. Tak też się stało, gdy statek jattański natknął się na nieco prymitywny ich zdaniem okręt Jutrzenka. Sympatyczna i pokojowo nastawiona rasa pomogła przebudować silniki ziemskiego okrętu, dzięki czemu mógł od tej pory osiągać duże prędkości. Zastosowano wydajniejsze chłodnice akceleratora, wykonane z czystego trytu.

Na Nowej większość osadników stanowili Ziemianie. Admirał, biorąc pod uwagę potrzeby swoich załóg, gdzie przeważali w dużej mierze mężczyźni, dogadał się z Zento-Pakiem, by ten zachęcił Dorianki do osiedlania się na Nowej. Ten nie mógł odmówić. Wkrótce wydał

połączenie naboru, ale tylko ochotniczek. Nie było z tym problemów, ponieważ na Dorii nadal przebywało więcej kobiet niż mężczyzn. Dzieci rodzące się z nowych związków stawały się Ziemiakami. O Nowej wiedziały, że to planeta Układu Pięciu Cywilizacji.

KONIEC